6

PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY SIÓDMY. — TOM CVII.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1910.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1910.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

Teorya Grunwaldu. Przez *d-ra Feliksa Konecznego* 1

Grunwald w poezyi polskiej. Szkic literacki. (Dok.) Przez *d-ra Wiktora Hahna* 24

Bitwa. Iliady pieśń V. Przez *Lucyana Rydla* . . . 44 216 366

Ostatnie postępy mikroskopii. Przez *ks. Józefa Sawickiego T. J.* 53

Wpływ »transfiguracyi« Słowackiego w r. 1842/3 na nową koncepcyę bohaterstwa w »Księdzu Marku« i »Śnie srebrnym Salomei«. Przez *ks. Romualda Koppensa T. J.* 62 221 372

»Civitas Dei« w epoce Karola Wielkiego. (C. d.) Handel i sprawy monetarne. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 81

Z powodu książki »O filozofii średniowiecznej«. Przez *ks. Ernesta Matzla T. J.* 153

William Ewart Gladstone. Przez *d-ra Romana Dyboskiego* 173 350

Eugeniusz Czirikow. Studyum z patologii literackiej. Przez *d-ra Stanisława Zdziarskiego* 185

Religijność Władysława IV. Przez *ks. K. Konopkę T. J.* 205

Katolicyzm eleuzyński. Przez *ks. J. Urbana* . . . 301

Ważne odkrycie na polu starochrześcijańskiej literatury. (Dokończ.) Przez *ks. J. Rostworowskiego T. J.* 328

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Literatura roku jubileuszowego grunwaldzkiego: Wiersze okolicznościowe (Kazimierz Gliński, Kazimierz Laskowski). — Utwory dramatyczne (Ignacy Grabowski, Wiktor Gomulicki). — Powieści (Kazimierz Gliński, E. Zoryan). — Utwory dla młodzieży. *(Dr, Wiktor Hahn).* 98

W pogoni za prawdą. 5 tomów: I—IV przez Aleksandra Mohla, V przez Teodora Jeske-Choińskiego. *(Th. Wybicki)* 109

Kazimierza Chłędowskiego: Rzym. Ludzie Odrodzenia. Wobec najnowszych badań historycznych. *(Ks. dr. Józef Bąba)* . . 245 394

Z piśmiennictw obcych.

Hołowaćkij Jakow. Korespondencija... w litach 1835—49, wydaw dr. Kiryło Studyńskij. *(Dr. Stan. Zdziarski)* 113

Opisanije słowiano-ruskich staropieczatnych knig Wilenskoj Publicznoj Biblioteki (1491—1800 gg.) Miłowidow A. I. *(Dr. St. Zdziarski)* 124

Die Regel des hl. Benediktus erklärt in ihrem geschichtlichen Zusammenhang und mit besonderer Rücksicht auf das geistliche Leben. *(M. B)* 260

Das Evangelium vom Gottessohn. Eine Apologie der wesenhaften Gottessohnschaft Christi gegenüber der Kritik der modernsten deutschen Theologie. Von Dr. Theol. et Phil. Anton Seitz. *(Ks. Ernest Matzel T. J.)* 261

Z piśmiennictwa czeskiego: »Nový Zákon« přeložil dr. Jan Lad. Sýkora. »Uvod do Pisma sv.« sepsal dr. J. L. Sýkora. »Sv. Řehoře o správě pastýřske« přeložil Kl. Kuffner. »Katolická Mravouka« napsal dr. Ant. Vřešťal. »Posvátná místa« sepsal dr. Ant. Podlaha. »Po stopách Boži prozřetelnosti sepsal B. Jiříček. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 262

Theologische Zeitfragen. Von Chr. Pesch S. J. 5 Folge: Glaubenspflicht und Glaubensschwierigkeiten. *(Ks. M. Sieniatycki)* . . . 406

Zapiski bibliograficzne.

Rocznik Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie. Tom I. *(Zet)* 127

Ojcowizna. Sztuka ludowa w trzech obrazach, z muzyką, nagrodzona na konkursie dramatycznym Wydziału Krajowego we Lwowie w r. 1908. Napisał Franciszek Domnik. *(wi)* 127

Pieśni ludu polskiego na Śląsku. Tom I, zeszyt 1. *(Dr. St. Zdz.)* 128

De cardinalatu Stanislai Siestrzeńcewicz-Bohusz (1784—1817). Godlewski Michael, prof. Acad. Caesareae Romano cathol. Eccl. Petropol. *(sław-ski)* 128

Album jubileuszowe: Grunwald. Szkic historyczny. Opracował Jasław z Bratkowa. *(Zet)* 265

Na srebrnym globie. J. Żuławski. *(K.)* 266

Nasze czytanki. St. Okołowiczówna i H. Orsza. Książeczka I: Jesień. Książeczka III: Wiosna. *(K.)* 267

Wybór poezyi. B. Zaleski. Ułożył J. Kallenbach. *(K.)* 267

W kalejdoskopie. Kornel Makuszyński. *(A. S.)* 267

Rzeźba francuska XIX i XX w. Czesław Poznański. *(A. S.)* . . . 268

Str.

Papież Pius X. Życie i praca. Ks. dr. Stefan Momidłowski. *(W. B.)* 268
Księżna Łowicka. Powieść historyczna z XIX w. Wiesław Sclavus. Wydanie II. *(W. B.)* 421
Genezis z ducha. Modlitwa. J. Słowackiego (obraz duszy poety). Karol Wróblewski. *(W. B.)* 421
Jak rozbudzać wśród młodzieży cześć do Przenajśw. Sakramentu. Ks. M. Jeż. *(Ks. H. P.)* 422
Vie de la bienheureuse Marguerite Marie. Par A. Hamon. *(A. M.)* 422
Der Tabernakel einst und jetzt. Eine historische u. liturgische Darstellung der Andacht zur aufbewahrten Eucharistie. Von Felix Raible. *(Ks. E. M.)* 423

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Srawy Kościoła: Encyklika Piusa X o św. Karolu Boromeuszu, — Wolna myśl w Galicyi. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 129
Przegląd artystyczny. Wystawa francuskiej sztuki z XVIII wieku w Berlinie. — Wystawa portretów kobiecych. — Wystawa obrazów dawnych mistrzów i międzynarodowa wystawa sztuki w Wenecyi. Przez *Franciszka Kleina* 138
Listy z Warszawy. Antoni Miecznik.—Głos nacyonalisty żydowskiego, Grossera.—Postępowcy warszawscy a żydzi.—Głos Świętochowskiego.—Rezolucya Polskiego Zjednoczenia Postępowego.—»Haman«.—*Odrodzenie.*—Agitacya »maryawitów«.—Ślepa polemika. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 143

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła. Obecne położenie Kościoła w Hiszpanii. — Ks. Hofinger przed sejmem bawarskim. Przez *ks. A. Starkera T. J.* . 269
Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1909. Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 274
Kilka uwag o ruchu ludności w Krakowie. Przez *d-ra Kaz. Wład. Kumanieckiego* 295
Konkurs Akademii Umiejętności 300

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Papież, Sillon i *Nowa Reforma.* Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 424
Christliche Kunst. Przez *Maryana Strzembosza* 433
List berliński: Teatr Reinhardta. Przez *Franciszka Kleina* . . 438
Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1909. (C. d.) Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 442

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.

TEORYA GRUNWALDU.

Movere nihil aliud est, quam educere aliquid de potentia in actum.

Chcąc określić należycie znaczenie Grunwaldu, należy ten czyn dziejowy badać na tle historyi myśli europejskiej, badając, jaki był do niej stosunek Polski, młodszej cywilizacyjnie.

Kultura powstaje najpierw w myśli, a to przez generalizowanie, stanowiące nieodzowny warunek myślenia oderwanego. Brutalne strony życia (cała wielokształtna walka o byt) dostarczają materyału do ustroju społecznego, który o tyle może się rozwijać w kulturę, o ile myśl ludzka zapragnie dane przez przyrodę niejako prymitywne stosunki regulować celowo (w granicach możliwości) czyli, o ile objawią się w społeczeństwie jakieś dążenia. Folklor zna ludy, istniejące od tysięcy lat, nie posiadające żadnych dążeń, nie umiejące myśleć oderwanie, nie nauczone generalizować i »dzikie«. Są też inne — w Azyi i nieco bliżej — których myśl ograniczyła się do pewnych kierunków, a wyczerpawszy je skostniała; te społeczeństwa przestały myśleć twórczo, bo zaniechały badać nowych stron życia, nasuwanych biegiem dziejów, nie wcieliły ich do swej twórczości i skutkiem tego przestały mieć dążenia lub mają dążenia zacofane, które muszą doprowadzić je do upadku, o ile nie będą porzucone. Jest trzecia kategorya ludów, których cała kultura polega na asymilacyi, na przejęciu wyższej od sąsiada starszego cywilizacyjnie i na powtarzaniu przebytego już biegu myśli ludzkiej w nowym

tylko języku, *mutatis mutandis*. Czwarta dopiero kategorya i przejmuje i tworzy, bo nie naśladuje, lecz tylko uczy się u starszych, ażeby po pewnym czasie stanąć z nowym, własnym dorobkiem kulturalnym, nie będącym konsekwentnem snuciem coraz dalszych wniosków z przejętych od innych starych założeń, lecz samychże założeń rewizyą.

Ograniczoność rozumu ludzkiego i w tem bowiem się objawia, że ani jedno z założeń teoryi społecznych nie da się wyzyskać z całą konsekwencyą, żeby nie doprowadzić do *absurdum*. Można to obserwować na wszystkich: od egiptologii do socyalizmu. Nawet dobro — o ile przez człowieka wymyślone — jest tylko ograniczenie dobrem i gdy w rozwoju swem dotrze do tej granicy, musi być wyręczone przez nowe pojęcia dobra społecznego, bo inaczej nastanie zastój i upadek. Asymilowani naśladowcy stają się więc tylko epigonami i giną niebawem po swych mistrzach, bez których nie mogą sobie radzić, podczas gdy lud prawdziwie twórczy może stanąć nawet w przeciwieństwie do byłych swych mistrzów.

Takiem twórczem społeczeństwem najwyższej kategoryi była Polska aż do połowy XVII wieku. Na ogólnem tle chrześcijaństwa wytworzyliśmy swą własną kulturę, której — niestety — wyrzekliśmy się w XVII w. i do dziś dnia — stokrotne niestety — nie umiemy się zdobyć na zbiorowe dalsze snucie przerwanego wątku. Mieliśmy własne dążenia, bośmy się zdobyli na własne pojęcia o ustroju społecznym i porządku europejskim. Mieliśmy myślicieli, w których umysłach samodzielnych powstały idee, zamieniane w czyn przez statystów i wodzów. Żyliśmy celowo w chrześcijaństwie.

Narzędzia pod snucie osnowy historycznej otrzymaliśmy z zewnątrz. Stało się to w Rzymie w r. 996, skąd św. Wojciech[1] przywiózł prowincyę kościelną polską[2], zorganizowaną w cztery lata potem. Oznaczało to uznanie równorzędności nowego

[1] Bynajmniej nie asceta tylko i zamodlony pątnik, ale polityk chrześcijański w wielkim stylu, pracownik energiczny około sprawy *de civitate Dei*.

[2] Szczegóły zob. w moich »Dziejach Polski za Piastów«.

żywiołu chrześcijańskiego wobec Rzymu ze starszemi. Dzieło św. Wojciecha przybiera pod również twórczą dłonią Bolesława Wielkiego[1] kształt olbrzymiej monarchii słowiańskiej, której pomysł waha się, to kurczy, to rozszerza w wykonaniu, ale trwa ciągle w okresie t. zw. bolesławowskim. Szalonemu rozmachowi na zewnątrz nie odpowiada siła wewnętrzna, siła społeczna. Tej nabywa społeczeństwo w t. zw. okresie dzielnic książęcych, ku którego końcowi ludność polskiej prowincyi kościelnej staje się narodem polskim, kiedy-to pomysły i dążenia, skrystalizowane najlepiej w umyśle arcybiskupa Świnki, zamienia w czyn Władysław Łokietek, którego ja zwykłem zwać Władysławem Niezłomnym. Niebawem potem zrywa się Polska do powtórnego rozmachu na zewnątrz i już za Kazimierza W. kładą się fundamenty pod olbrzymią znowu monarchię Jagiellońską.

Wszystko to dokonywało się zgoła odmiennie, niż wśród społeczeństw zachodnich, ale też nie po oryentalnemu, nie po bizantyńsku, lecz swoiście, po polsku.

Polska weszła w koło kultury zachodniej, a nie przyjęła zasadniczej podstawy ustroju społeczeństw europejskich, t. j. feudalizmu naśladowanego jednak dalej poza Polską, na Rusi. Nigdy nie miano w Polsce pojęcia o tem, że wszystko, co jest pomiędzy monarchią a niewolnikiem, ma być ujęte w ryzy hierarchiczne, tak, że każdy ma być i czyimś suwerenem i czyimś wasalem. Feudalizm wyhodował życie publiczne na Zachodzie, nadał formy ustrojowi społecznemu, był esencyą europejskości do tego stopnia, że przystosowywał się do niego Kościół, ażeby mógł wejść wewnątrz społeczeństw — a Polska go nie przyjmuje i pomimo to pozostaje o własnych siłach córą Zachodu, rozwijającą się na podstawie rodzimego ustroju rodowego, stanowiącego jak najjaskrawsze przeciwieństwo feudalizmu.

Wobec takiego przeciwieństwa musiały być nieporozumienia. Jakoż ślady tego stanu rzeczy sięgają aż w głąb wieku XVI.

Czy rozumieli wojownicy Bolesława Krzywoustego, o co

[1] Wielkim zwany przez współczesnych; świadczą zapiski w Rocznikach polskich. Przydomek »Chrobrego« później dopiero spopularyzował się.

chodzi cesarzowi, że gotów nie tylko pozostawić go na tronie w spokoju, ale zostawić mu najzupełniej własną wolę, byle tylko dał jakiś mały znak, że uznaje nad sobą »zwierzchnictwo« cesarskie? Wielkie wojny o to, czemu poddawało się bez szemrania tyle rodów na Zachodzie, świetniejszych w oczach świata od Piastów! W Burgundyi np. musiał się taki opór wydawać uporem barbarzyńców, nie ucywilizowanych jeszcze należycie. Wszak wszyscy panowie chrześcijańscy są wasalami cesarza »rzymskiego«. bo tego wymaga prawo, porządek europejski i dobro »całej familii chrześcijańskiej«. Tak ustanowiono w zgodzie ze Stolicą apostolską za Karola Wielkiego, monarchy prawdziwie wielkiego, od którego zaczyna się nowy okres dziejów.

Święty Augustyn potępił imperyum rzymskie i całą historyę rzymską w latach 413—426, kiedy pisał swe dzieło *De Civitate Dei* — a swoją drogą w tymże samym jeszcze wieku powstają nowe państwa europejskie na tradycyach, uchwyconych z resztek tegoż imperyum, a w trzy wieki potem, w r. 800. sam papież wznawia imperyalizm, koronując Karola W. Św. Augustyn miał zupełną słuszność, zżymając się nad zbrodniczością dziejów rzymskich, ale ta Afryka, która się przejęła jego wywodami, nie zbudowała po upadku imperyum sama nic nowego, podczas gdy państwowość rozkwitnęła na nowo w zachodniej Europie, przyznającej się do spadku po zbrodniczym Rzymie.

Nie daje się bowiem w dziejach nic budować zupełnie na nowo. Afryka, przejęta już romanizmem, wyrzekając go się nagle, zagwoździła sobie dźwignie rozwoju, bo na miejsce imperyalizmu nie miała nic, prócz marzeń. Zdezorganizowana skutkiem tego, uległa też kulturze mahometańskiej niemal bez oporu.

Gdziekolwiek sięgła kultura rzymska, nigdzie nie dało się jej dominować bezkarnie. Tkwiły bowiem w niej pewne zasadnicze dane organizacyi państwowej, której raz zakosztowawszy, nie można już było obejść się bez niej. Teorya dwoistości najwyższej władzy, duchownej papieskiej i cesarskiego *bracchii saecularis*, nie jest też niczem innem, jak zdobytym z doświadczeń czterech blizko wieków kompromisem pomiędzy teoryą św. Augustyna

a... możliwością. Jest to drugie z kolei w chrześcijaństwie pojęcie dobra społecznego.

I to pojęcie było tylko do pewnego stopnia czynnikiem organizacyjnym, a przeprowadzane z bezwzględną konsekwencyą wiodło do dezorganizacyi. Już też w XII wieku traciło wyznawców, ale że nie powstało żadne pojęcie nowe o ustroju Europy, dawne trzymało się formalnie siłą bezwładności, zastosowywane w praktyce tylko jako upozorowanie niemieckiej zachłanności względem Słowian. Najmocniej akcentowali zwierzchność cesarską tacy, którzy nie uznawali papieskiej. Cała ta teorya była już zwiędła i grubo sprofanowana — ale że innej nie było, a bez teoretycznych podstaw w wielu wypadkach nie można było dojść do ładu, więc uznawano ją w braku innej.

Scholastyka nowej teoryi w tej dziedzinie myśli nie wymyśliła, tylko próbowała dawną udoskonalić, zreformować. Tomiści i skotyści wciągali w swe dociekania nieraz spór o wyższość władzy papieskiej, czy cesarskiej; można powiedzieć, że filozofowie ci dostarczyli tylko nowych oręży, nowych argumentów *pro* i *contra*, nie zmieniając niczego w rzeczy samej. Osadzona lepiej spekulatywnie, dzięki św. Tomaszowi z Akwinu († 1274), wykwita cała sprawa jeszcze raz wspaniałym kwiatem w arcydziele Dantego, młodszego w sam raz o jedno pokolenie (* 1265). Słusznie powiedział Klaczko, że był to *utopiste du passé*.

Był jednak jeden kraj, gdzie cała owa teorya nie była spóźnioną utopią, lecz wielce »aktualną«, znajdującą nieustannie praktyczne zastosowania: to Polska, a zwłaszcza stosunki polsko-krzyżackie.

Zdajmyż sobie sprawę z tego, że duch Danta byłby w tym sporze z całą stanowczością po stronie krzyżackiej. Broniłby ważności nadań cesarskich choćby do całej Litwy.

To, co zapełniało najtęższe głowy Europy, zwracało się z całą stanowczością przeciwko Polsce. I w tem tkwi najgłębsze zagadnienie dziejów polskiego średniowiecza, a przedstawia się ono tak:

Polska garnie się do kultury zachodniej, czerpie stamtąd pojęcia o życiu i ustroju cywilizacyjnym, kształci się na nich —

i przeciwi im się równocześnie, bo feudalizmu nie przyjmuje, a teoryę imperyalizmu cesarza »rzymskiego« odrzuca. Wyrasta więc z tej cywilizacyi i na niej, lecz zachowuje się względem niej tak, iż każdy mógł orzec, że znajduje się poza jej obrębem, że nie należy do »familii chrześcijańskiej« w znaczeniu polityczno-społecznem. W pojęciu rycerza burgundzkiego nie mogło być porządku społecznego bez feudalizmu i całej związanej z tem specyalnej kultury, a więc Polska była w jego oczach dziczą. Ruś wydałaby mu się o wiele bardziej cywilizowaną, bo miała coś z feudalizmu. Powiedziałby, że Ruś jest na dobrej drodze, ale z Polski nic nie da się wykrzesać. Ludziom Zachodu wydawała się Polska nie tylko niezdatną do przyjęcia kultury zachodniej, ale zasadniczym tej kultury wrogiem, skoro odczepia się od wszelkiego związku ze świętem rzymskiem cesarstwem, a więc z jedyną znaną formą powszechności chrześcijańskiej.

Tak głęboko sięgało nieporozumienie, a które musiało oczywiście być wzajemnem. To też kultura polska robiła postępy powolne, zmagając się w największej rozterce pojęć, która u wyższych umysłów musiała być tragiczną. Niektóre dziwne załamania w dziejach kultury naszej od XI do XV wieku zdają się mieć źródło w tych przeciwieństwach i nieporozumieniach.

Nie zaasymilowaliśmy się, jak Czechy, gdzie rozwiązano kwestyę w sposób najprostszy, wchodząc w skład cesarstwa i starając się wkońcu stanąć na samym jego czele. Kiedy czescy królowie są cesarzami, polscy najbardziej właśnie zarzekają się wszelkiego związku z systemem imperyalistycznym. Kultura polska rozwinęła się przez to później od czeskiej, lecz za to głębiej.

W rozterce poglądów na świat uczyniła się myśl polska najbardziej krytyczną z całej Europy, aż doszła do tego, iż przystąpiła do krytyki samychże założeń europejskiej teoryi społeczno-państwowej i wytworzyła wkońcu swoje własne, polskie pojęcie dobra społecznego, jako trzecią z kolei teoryę tego rodzaju w chrześcijaństwie.

Zanim do tego doszło, przecierpiano wiele; a potem? Potem było jeszcze gorzej, bo musiała nastąpić walka dwóch poglądów na ustrój państw i społeczeństw: walka młodszej cywilizacyjnie

i słabszej materyalnie Polski z Zachodem, walka zaiste rozpaczliwa, nie rokująca według prostego rozsądku zgoła powodzenia. To też bywało, że się jej wyrzekano. Jak się to stało, że ostatecznie Polska zwyciężyła, z czego zrodził się Grunwald, pragnąłbym tutaj wyłuszczyć. Była to bowiem istotnie walka dwóch idei.

Podczas gdy inne narody słowiańskie poprzestawały na asymilowaniu się z kulturą zachodnią lub bizantyńską, pomnażając chrześcijaństwo i cywilizacyę tylko kwantytatywnie, jedna Polska pomnażała je kwalitatywnie. W niej jednej był duch inny, niż w Paryżu lub w Kolonii (względnie w Konstantynopolu), było coś swoistego, co było słowiańskiem nie tylko z języka, lecz z pracy ducha. Sama tylko Polska wytwarzała kulturę słowiańską i dlatego bieg wypadków postawił ją na pierwszem miejscu w Słowiańszczyźnie, dlatego jej »wielka wojna« stała się rozprawą orężną nie tylko o Polskę, lecz o Słowiańszczyznę. Pod Grunwaldem starły się pojęcia zachodnio-europejskie, feudalistyczno-imperyalistyczne z pojęciami polskiemi, które były zarazem jedynemi Słowian oryginalnemi, tak, że Polska była w r. 1410 pod względem duchowym istotnie całą Słowiańszczyzną.

Wszystkie słowiańskie narody dostały się na madejowe łoże kultury wyższej, sobie mniej lub więcej wrogiej, a którą trzeba sobie było przyswoić, chcąc żyć wogóle. Na wschodzie słowiańskim nastąpiło pewnego rodzaju samozatruwanie się, gdyż kultura bizantyńska nie znosi zmiany form. Szczęśliwsze ludu zachodniej Słowiańszczyzny znalazły się na łonie kultury, znoszącej doskonale zmianę form i mogły na jej tle wytworzyć sobie formę nową, własną, dla siebie stosowną, podczas gdy wschodnie nie miały wyjścia. Wraz z formą trzebaby tam rzucić samą treść, wyrzec się kultury bizantyńskiej, jedynej sobie znanej, a więc i wszelkiej kultury zarazem[1]. Ludy te wyboru nie miały; możli-

[1] Nie można zarzucić ludom słowiańskim, żeby były całkiem bierne wobec kultury bizantyńskiej. Próbowano już w średnich wiekach znaleźć sobie dogodne w niej miejsce, lecz napróżno. Żadna próba zmiany form nigdy się w bizantynizmie nie powiodła, żadna nie wydała zdrowych, dojrzałych owoców. Stryholnictwo nowogrodzkie, czy bogomilstwo bośniackie, nie tylko nie zdały się na nic, ale pogrążyły społeczeństwa jeszcze bardziej. Zastanowić też musi fakt, że nie było ani jednej świeckiej takiej próby.

wość wyboru miała im być nastręczona dopiero później, gdy Polska stała się mocarstwem i niosła idee zachodnio-europejskie w polskiej, słowiańskiej formie, daleko na Wschód.

Madejowem łożem była dla Polski szkoła kultury zachodniej, przez którą przejść m u s i a ł a. Sprawa polska stawała po wielekroć w poprzek europejskim zapatrywaniom na prawo narodów. Spotkano się z czemś nowem, niepojętem wprost dla zachodniej Europy. Sprawa nasza nie dawała się wciągnąć do teoryi imperyalistycznej. Stosunki faktyczne były tego rodzaju, że teorya ta, stosowana tu na Wschodzie, stawała się absurdem, spaczeniem, ohydnem nieraz wykoszlawieniem tkwiącej w niej pierwotnie myśli i mającej jej przyświecać chrześcijańskiej zasady. Ale o tem wiedzieli tylko tacy, którzy te stosunki badali i poznali bliżej, a takich było mało, że przypadał może ledwie jeden na dziesiątki tysięcy [1]. A choć ten i ów czuł, że po naszej stronie słuszność i żałował, że prawo jest przeciw nam, ale czyż zarzucać prawo dlatego, że w wyjątkowym jakimś wypadku ono nie domaga?

Dlatego to w sporze Polski z Krzyżakami sympatye Europy były stale po stronie Zakonu. Była to walka Polski nie tylko z Krzyżakiem, lecz z Europą. Nie tylko bowiem Niemcy wspierali Zakon, ale i Czesi (król Otokar II, założyciel Królewca), Francuzi, Anglicy, Szkoci. Pomódz Krzyżakom, to najwyższa zasługa; zdobyć pod ich poręką ostrogi, najwyższy honor: zapisać mienie na fundacyę dla nich, z dobrych uczynków najlepszy i najtrafniejszy!

Nasze dążenia i nasze postępowanie było łamigłówką dla

Wszystkie odbywały się na tle sekciarskiem, a wiele z nich bywało tego rodzaju, że proponowane przez nie zmiany form są doskonałym przykładem na owe wyjątki, które stwierdzają jeszcze bardziej regułę. Regułą stała się, martwota formalizmu podczas gdy zachodnia kultura miała i ma w sobie »ducha wiecznego rewolucyonistę«, którego cała czynność dziejowa w ciągłem przeinaczaniu form. Kultura zachodnia była dla Słowian szkołą twardą, nader twardą, ale szkołą; dało się z niej korzystać i wyjść samodzielnie — ale bizantynizm był tylko kuźnią zabójczą.

[1] Jeszcze w XVII w. Calderon (1600—1681) mógł sobie osadzić na tronie polskim króla imieniem Bazyli, którego synowiec, imieniem Astolf, panuje w Moskwie (dramat »Życie snem«). W XV w. tyleż wiedziało się o Polsce nad Renem i Padem, co w XVII w Hiszpanii.

ludzi Zachodu i dlatego to pamflety na Polskę znajdowały długo chętny posłuch i wdzięcznych słuchaczy nie tylko w Niemczech, lecz w całej Europie (z wyjątkiem środkowych Włoch, o czem niżej).

Ale co gorsza, my sami sobie poczynaliśmy być zagadką. Przyjmując z Zachodu kulturę, czerpaliśmy też stamtąd wiedzę i jej kwiat — teorye naukowe. Bez teoryi nie można się rozwijać umysłowo (myślenie oderwane, generalizowanie), nie można się cywilizować i stać się ogniwem w łańcuchu kultury powszechnej, a tymczasem teorye te były dla nas zabójcze. Znać też w dziejach naszego rozwoju istne męki ducha polskiego, rwącego się do światła. Na tych torturach moralnych, wśród walki między miłością światła i prawdy a miłością narodu mógł się złamać duch narodu [1] i wejść pomiędzy narody europejskie, jako coś połowicznego, nijakiego i okaleczonego, wiecznie niedomagającego i rzeczywiście pod względem kulturalnym zasadniczo niższego. Tylko wynalezienie nowej formy dla kultury zachodniej, tylko jakaś polska a p o z y t y w n a teorya mogła nas wykształcić na naród w całem znaczeniu tego wyrazu, pogodzić z samymi sobą i uczynić zdatnymi do czynów dziejowych.

Owoc bytu — to k u l t u r a c z y n u. A ta wymaga zgodności myśli ze słowem, słowa z czynami, czynów z wewnętrznem przeświadczeniem.

Była kraina w Europie j e d n a, gdzie rzadki w owych czasach przybysz Polak mógł się takiej zgodności często (jakkolwiek nie zawsze) dosłuchać, dobadać, gdy zadał sobie trud pogłębiania myśli swojej i cudzej.

Uderzało mię zawsze, że w spisach rycerzy, spieszących nad Bałtyk, przeciw Polsce i Litwie, po honor i zasługę, brak nazwisk włoskich. Nie łatwo było z Włoch tam się dostać, ale nie trudniej niż ze Szkocyi! Północno-włoskie księstwa i republiki nie wysyłają do Malborga ani ludzi, ani pieniędzy — ale bo też nie zajmują ich wówczas te północne sprawy. Natomiast Włochy

[1] Typem tej strony naszych dziejów wydaje mi się Zawisza Czarny, wielki a zagadkowy.

żywo się tem interesują, boć tam Rzym, centrum światowe, najwyższa duchowna instancya Zakonu i ognisko główne apostolstwa — a wszak chodziło o walkę z poganami, o nawrócenie Litwy.

Watykan bywał częściej przeciw Zakonowi, niż za nim. Gdyby nie pomoc papieży i soborów, nie bylibyśmy rozwiązali zagadnienia naszego stosunku do kultury zachodniej.

Bo też tylko papiestwo mogło dopuścić do uprawnienia nowej formy społeczno-państwowej na tę kulturę. Ono tylko było powołanym interpretatorem, że się tak wyrażę, ustawy europejskiej, obowiązującej moralnie. Gdy teorya imperyalistyczna na złe się obracała, mógł zrobić w niej wyłom, zawiesić ją dla sumień chrześcijańskich tylko następca tego, który koronował Karola W. Wszak w imię chrześcijańskiego porządku w Europie papiestwo dało było sankcyę teoryi imperyalistycznej; ono też tylko mogło dać sankcyę, lub odmówić jej, teoryi innej.

Niema tu nic do rzeczy, że papieże bywali w sporach z cesarzami, że mieli do czynienia z teoryą wyższości władzy cesarskiej nad papieską. W roztrząsaniu niniejszem chodzi o stan rzeczy moralnie obowiązujący, a ten walor posiadała teorya imperyalistyczna w zastosowaniu do sprawy polsko-krzyżackiej najzupełniej, bo w tym wypadku ingerencya cesarska posiadała wszelkie cechy *bracchii saecularis*, służącego Kościołowi, a więc zgodną była z czystą teoryą dwoistości najwyższej w chrześcijaństwie władzy.

Krzyżacy powoływali się na darowizny cesarzów i na to, że ziemia pogańska jest rzeczą niczyją. Wywody o cesarskich nadaniach były pod względem prawniczym nienaganne i zupełnie logiczne dla każdego, kto przyjmował założenie, t. j. zwierzchność cesarską nad państwami chrześcijańkiemi, a władzę nieograniczoną nad pogańskiemi, jako nie posiadającemi właściwego pana. *Res nullius!*

A jednak Zakon był kilka razy pod klątwą i to nie tylko o Polskę, ale i o pogańską Litwę! Tu się okazuje w całej pełni, czem był Kościół, jako kierownik sumienia zbiorowego, jako interpretator dobra i zła. A zarazem odkrywa się istota różnicy pomiędzy bizantynizmem a latynizmem, którego najwyższa instan-

cya, Stolica apostolska, odznaczała się wprost brakiem ślepego przywiązania do formy, gotowa ją zawsze poświęcić dla ocalenia treści.

Siłą bezwładności rowijała się dalej popularność Zakonu w dalekich od papiestwa krajach, gdy w Rzymie obkładano go już klątwą. Schizma papieska ogromnie też pomagała Krzyżakom, gdy na papieża mieli antypapę. I tak pozostał Zakon, »poświęcający się« nawracaniu pogan, »źrenicą w oku chrześcijaństwa«. Gdy dwie armie zmierzały pod Grunwald, sympatye Europy były nie po naszej stronie. W armii krzyżackiej dopatrywano się obrońców krzyża i chrześcijańskiego ładu w Europie, tem bardziej, że pamflety krzyżackie, rozrzucone po całym świecie, zrobiły swoje.

Zakon odgrywał największą komedyę, jaką widziały dzieje. Jak bowiem miały się w istocie rzeczy z ową »źrenicą«, poznamy, przerzuciwszy się na chwilę na grunt ekonomiczny.

Była to bowiem zarazem walka ekonomiczna, prowadzona o prowincyę, posiadającą nadzwyczajną doniosłość w ówczesnych szlakach handlu powszechnego. Z polskiej strony prowadzono ją w imieniu całego społeczeństwa, potrzebującego spławu i dostępu do morza, z niemieckiej atoli w interesie jednego tylko stanu. Szlachta i miasta pruskie były w tej walce po stronie polskiej (już w r. 1410), bo z Polską wiązały ich interesy ekonomiczne. Panowanie krzyżackie było więc tam niekorzystnem dla rozwoju rolnictwa, handlu i przemysłu, skoro sami przedstawiciele tych zawodów pragnęli gorąco pozbyć się Zakonu. Nie reprezentowali tedy Krzyżacy nad Bałtykiem niczyjego interesu ekonomicznego, jak tylko swój własny.

Czemżeż byli oni pod względem ekonomiczno-społecznym? Cała odpowiedź w tych słowach: młodszymi synami szlachty niemieckiej. Zakon stał się instytucyą zapomogową dla tego stanu, mającą fortuny szlacheckie w Niemczech nie tylko chronić od rozdrobnienia, ale wzmacniać je finansowo. »Rycerz« taki nie tylko nie potrzebował niczego od rodziny, ale sam mógł jej dawać i niejedną podnieść na nowo. Sami przyznawali bez ogródki, że sprawa tak się ma i nazywali rzecz po imieniu, gdy byli sami pomiędzy sobą. Do Flandryi, Francyi, Anglii pisało się: »Ratujcie

chrześcijaństwo!« ale odezwy przeznaczone dla krajów niemieckich nie odgrywały komedyi, lecz wołały jasno i po prostu: »Ratujcie szpital szlachty niemieckiej!« A wyraz »szpital« oznaczał wówczas schronisko dla pielgrzymów, zakład dobroczynny z bezpłatnem utrzymaniem.

Ze stanowiska ekonomicznego byli ci »rycerze« wyzyskiwaczami i pasożytami warstw produkcyjnych, nad którymi panowali wbrew ich woli, przemocą. Ten sposób załatwiania swej walki o byt mieli już we krwi, w tradycyi: wszak byli potomkami »rycerzy-rabusi«. Istota państwa krzyżackiego polegała na tem, że zajęcie rycerza-rabusia zorganizowało się na wielką skalę, korporacyjnie.

Polacy walczyli o Pomorze w imię pracy i wytwórczości; Niemcy w imię pasożytnictwa.

Ale opinia europejska była po stronie krzyżackiej, po stronie »źrenicy w oku chrześcijaństwa«.

Dnia 15 lipca 1410 wygraliśmy jedną z najwalniejszych bitew w dziejach wojennych Europy, pod Grunwaldem, a dnia 10 października tegoż roku drugą walną bitwę pod Koronowem — i odzyskaliśmy zaledwie ziemię dobrzyńską, zastawioną nieprawnie przez Opolczyka. Żmudź wracała do Jagiełły i Witolda tylko w dożywocie, pozostając w zasadzie własnością Zakonu. Takie były warunki pokoju. Ileż wypisano z tego powodu zarzutów i ubolewań nad polską niezdatnością do wyzyskiwania własnych zwycięstw! Wszystko to niesłuszne[1].

My, wielkich ojców nie zawsze godne potomki, zatraciliśmy świadomość, jak się robi historyę. Zdaje nam się, że do tego starczy zapał, jedna i druga chwila tryumfu i poświęcenia, skoncentrowane na pewien moment dziejowy. Zdaje się nam, że historya miewa takie chwile słabości, w której można ją robić

[1] O ile chodzi o sam rok 1410, starałem się wyjaśnić sprawę w fejletonach, ogłoszonych w *Czasie* w r. 1902, na ówczesny obchód grunwaldzki. Niektóre myśli z owych fejletonów weszły też do niniejszego artykułu, przeprowadzone systematyczniej i wyłuszczone dokładniej. Tam chodziło bardziej o pragmatyczne przedstawienie rzeczy, które tutaj pomijam.

i byle »sposobność« wyzyskać, już wszystko! Ale rzeczywistość jest inną. Historyę robi się zawsze, całemi pokoleniami, z dnia na dzień, bez dnia jednego przerwy, a gdy się jest przygotowanym do czynu, wtedy wywołuje się samemu »sposobność«, o co już bardzo łatwo, bo chcący a mogący zawsze ją znajdzie.

Nie znam większego bólu przy studyowaniu dziejów polskich, nad ten, gdy się musi słuchać, jak pokolenie, pozbawione do reszty twórczości politycznej, wyczekujące »sposobności«, jako jałmużny losu (żeby przyjść do gotowego), śmie robić zarzuty pokoleniom, które same sobie wytwarzały »sposobności«, robiąc historyę wśród gigantycznych wysiłków, zapełniających wszystkie dni żywota i każdy kąt kraju i wykuwając przy tem kulturę narodową...

Bitwy grunwaldzkiej nie można traktować epizodycznie, wyrywając z całości »wielkiej wojny«. Powszechnie mniema się, jakoby pokonanie Zakonu było dziełem kilku miesięcy, podczas gdy owa »wielka wojna« trwała całych lat 30, bo zaczęła się już w r. 1406, a skończyła się dopiero 31 grudnia 1435 (pokój brzeski). Całe pokolenie!

Były jednak ciągłe przerwy, rozejmy a nawet pokoje w ciągu tych lat 30 i przez to ogół zatracił wątek pragmatyczny tych wydarzeń, które stanowią razem jedno zjawisko dziejowe. Są związane z sobą ściśle nie tylko przyczynowo, ale — co ważniejsza — w świadomości współczesnych celowo, z programem określonym z obydwóch stron tak ściśle i jasno, jak rzadko kiedy w dziejach powszechnych.

Przerwy owe były zresztą względne, bo tyczyły tylko polsko-pruskiego placu boju. Wojna miała zaś zakres i politycznie i terytoryalnie znacznie szerszy. Obejmowała nie tylko Polskę, Litwę, Ruś Białą, Prusy i Inflanty, ale pograniczne kraje niemieckie, Czechy i Węgry, a zahaczała pośrednio o Moskwę i Tatarów i wciągała całą Rzeszę niemiecką, wywołując rozmaite nowe kombinacye polityczne aż do Francyi i Włoch.

Wojna zaczepna z Zakonem obmyślona była i ułożona już na r. 1396 (na sierpień), ale nie doszła do skutku przez Witolda, który na własną rękę zawarł rozejm, a nawet darował im wten-

czas całą Żmudź, byle mieć wolne ręce do swych planów wschodnich, które zlikwidowała następnie klęska nad Worsklą w r. 1399. Szlachcie wielkopolskiej za dużo było tego zwlekania, żeby się dał utrzymać na wodzy animusz wojenny i w r. 1406 zaczęła się faktycznie wojna na linii Noteci, chociaż oficyalnie był pokój pomiędzy Krakowem a Malborgiem. Zakon chciał go bezwarunkowo utrzymać, bo... dobywał właśnie Pskowa.

Wie się o udziale pułków smoleńskich w bitwie grunwaldzkiej (przekręca się to na rzekomy udział w niej »Rosyi«!), ale nie wie się o tem, że Ruś Biała była poważnie przez Krzyżaków zagrożona. Już w XIII wieku starali się zagarnąć z Inflant Psków i część Rzpltej nowogrodzkiej, zwaną Watland. Otóż w latach 1406—1409 odbyli Krzyżacy cztery wyprawy pskowskie, a wszystkie pomyślne. Jeszcze jedna, a sam gród Psków miał paść wyczerpany. Spodziewano się w r. 1410 skończyć z tą republiką białoruską.

Właśnie podczas trzeciej wyprawy pskowskiej nastąpiło wypowiedzenie wojny ze strony polskiej (9 września 1409). Zakon prosił o rozejm, uzyskał go do czerwca 1410, nie załatwił aż do tego czasu z Pskowem, przedłużenia rozejmu nie otrzymał i dnia 9 lipca 1410 przekroczyły wojska polskie powtórnie granicę krzyżacką, a bitwa grunwaldzka (15 lipca) pierwsze korzyści niosła nie Litwie i nie Polsce, lecz tej Rusi północnej, uwalniając ją raz na zawsze od niebezpieczeństwa niemieckiego.

Pokój zawarto 1 lutego 1411, a już w r. 1414 wybuchła wojna na nowo (t. zw. »głodowa«), poczem rozejm dwuletni, przedłużony do kwietnia 1419 i znowu wielka wyprawa (t. z. »odwrotowa«) i rozejm na samej granicy na nowo przedłużony, a w r. 1422 czwarta wyprawa (t. zw. »gołubska«), trwająca siedm tygodni (przerwana ze względu na sprawę czeską) i pokój nad jeziorem melneńskiem, przerywający »wielką wojnę« na tym terenie na lat dziewięć, podczas gdy wrzała ona w najlepsze na terenie czeskim. I tu i tam chodziło o to samo, chociaż innemi metodami. Zdawał sobie z tego sprawę Zakon, nie strzymał, zerwał pokój melneński, gdy nadarzyła się sposobność osaczenia Polski z kilku stron (t. zw. bunt Świdrygiełły), a gdy w r. 1432 prosił o rozejm, dano mu

go dopiero w roku następnym, dotarłszy przedtem orężnie do samego wybrzeża Bałtyku. Upokorzony Zakon zawiera rozejm aż na lat 12, ale tylko z Prus, pozostawiając na wszelki wypadek wolną rękę swej inflanckiej gałęzi; tamtędy znajduje sobie wojna dalsze ujście, aż wreszcie walna bitwa pod Wiłkomierzem dnia 1 września 1435 roku (stawiana przez współczesnych na równi ze zwycięstwem grunwaldzkiem) zmusza Zakon do zawarcia pokoju brzeskiego, drugiego »wieczystego« po kaliskim.

Zwróćmy uwagę, że pomiędzy wojnami »wielką» (1406—1435), a »trzynastoletnią« (1454—1466) jest tylko 19 lat przerwy. Nie dłużej trwał pokój, niż wymagała konieczność wzajemna wypoczynku, nabrania tchu na nowo. Ogólne wypowiedzenie posłuszeństwa Zakonowi przez własnych jego poddanych i prośba o przyłączenie do Jagiellońskich dzierżaw, nie były oczywiście w r. 1454 jakąś improwizacyą polityczną. Trzeba roboty lat wielu, żeby coś takiego stać się mogło jawnie i Związek Jaszczurczy musiał się do tego dobrze przygotowywać, nie bez tego zeby się nie porozumiewać z Polakami. Zawierając więc pokój stały, według ówczesnej terminologii, »wieczysty«, t. j. na czas nieograniczony, nie tylko nie myślano wcale o tem, żeby miał trwać wiecznie, lecz przeciwnie, zdawano sobie sprawę z tego, że trzeba przysposabiać się na nową wojnę, żeby nie tylko w polu Zakon pokonywać, ale i odebrać zagarnięte przez niego polskie ziemie.

Gdybyśmy weszli w szczegóły, dlaczego mianowicie nie można było dotychczas zwycięstw wyzyskiwać, okazałoby się, że przysposabianie się do odzyskania Pomorza trwało stosunkowo niedługo i że ta przerwa 19-letnia nie mogła być krótszą. Jest ona zapełniona pracą usilną u obydwóch stron walczących, pomnych dobrze, że je czeka w niedalekiej przyszłości ponowna ciężka rozprawa. Lata te nie rozrywają bynajmniej perspektywy dziejowej dwóch wojen, lecz owszem, łączą je z sobą w jeden obraz niezmordowanej, nieprzerwalnej, systematycznej, celowej pracy dwóch pokoleń polskich 1396—1466. Wyrwany z tej całości epizod roku 1410, rozpatrywany luźnie, musi być mniej zrozumiałym i pod niejednym względem zagadkowym, bo z dziejów jednego roku nie da się oświetlić wszechstronnie.

Zwracałem wyżej uwagę, jak papiestwo celowało brakiem ślepego przywiązania do formy. Ale rzecz prosta, że formy ogólnie przyjętej, która okazywała się dobrą długim czasem i szerokim krajem, nie rozbija się na prędce, pod wpływem jednego lub drugiego zdarzenia, nawet takiego, dla którego robi się wyjątek od obowiązującej normy. Odsunięcie się Kościoła od teoryi imperyalizmu chrześcijańskiego nie nastąpiło nagle i wymagało również pracy pokoleń. Zaczęło się to (o ile w takich rzeczach można dawać ścisłe daty) w r. 1320 (pierwszy proces kanoniczny przeciw Zakonowi), a dokonało dopiero 1424 r. (ostateczne potępienie Falkenberga przez Marcina V).

Papież wezwał obie strony walczące przed forum soborowe. Polacy wiedzieli, że w Konstancyi dużo znaczy i wiele może cesarz Zygmunt Luksemburczyk, Polski wróg największy, że siła biskupów, prałatów i uczonych mężów sympatyzuje z Zakonem. Wiedząc to, pojechali. Przechodzili tam nieraz chwile nadzwyczaj przykre, przez sytuacye najcięższe; zostali, wytrwali całe trzy lata i dzięki temu nakoniec wygrali.

Wieźli z sobą broń nowo wynalezioną, która wprawiła w zdumienie zebranych Ojców soborowych, a zgromadzony kwiat inteligencyi europejskiej nieraz w osłupienie, zwłaszcza prawników[1].

Wieźli uczony traktat scholastyczny: *De potestate papae et imperatoris respectu infidelium.* Autorem był Paweł Włodkowic z Brudzewa, doktor dekretów, rektor uniwersytetu jagiellońskiego, kanonik i kustosz katedralny krakowski, geniusz, godzien, by go stawiać, jako odkrywcę, obok Kopernika, by go czcić i szczycić się nim na równi z tamtym.

Dokonał on dwóch odkryć:

1) że względem pogan obowiązują te same prawa, co względem chrześcijan,

2) że nie wolno przemocą narzucać wiary.

Z tych dwóch tez wypływała już konsekwentnie ruina i teoryi imperyalistycznej i związanej z nią racyi bytu Zakonu.

---

[1] Nadmieniam, że sprawy polskiej broniło w Konstancyi ośmiu prawników włoskich.

Twierdzenia Brudzewskiego, tak proste dziś dla nas, a i w poprzednich epokach spotykane, były na owe czasy rewolucyjnemi. Rozbijały pośrednio formę ustroju europejskiego, co też miało się niebawem okazać jawnie.

Strona przeciwna tem bardziej akcentowała zasady imperyalistyczne i wysnuwała z nich jak najdalsze konsekwencye. W r. 1916 będą mogli Niemcy obchodzić pięciowiekowy jubileusz hasła *ausrotten*. Falkenberg głosił bowiem w r. 1416, że nie może być większej zasługi wobec chrześcijaństwa, jak walczyć z Polakami; dla obrony porządku chrześcijańskiego wolno bez grzechu zabić każdego Polaka, dostojnikom zaś polskim i królowi należą się szubienice. Takich rzeczy nasłuchali się polscy delegaci w Konstancyi i — zostali, (nie myśląc ustępować pola nieprzyjaciołom). Dzisiejsze pokolenie zarzuciłoby im »brak godności narodowej«, gdyby się bardziej interesowało historyą polską i wiedziało o tych faktach.

Brudzewski zadał Zakonowi klęskę jeszcze cięższą, niż Witold i Zyndram z Maszkowiec. Ludzie dobrej woli poczęli opuszczać sprawę Zakonu. Odtąd mógł Zakon trzymać się już siłami tylko tych, dla których był »szpitalem«. Wysychać poczęły źródła, z których płynęły opieka i wsparcia całej zachodniej Europy. Zachód był odtąd neutralnym w dalszych wojnach krzyżacko-polskich.

Do wypędzenia Krzyżaków trzeba było jednak czegoś więcej, niż »życzliwej neutralności« dalekich widzów; trzeba było sojuszów z ościennymi. Położenie było pod tym względem fatalne; wszak w Czechach i na Węgrzech panował Zygmunt Luksemburczyk. Węgierska wyprawa na Kraków wpłynęła na przyspieszony odwrót z Prus po zwycięstwach grunwaldzkiem i koronowskiem.

Niebawem wypowiedzieli Czesi posłuszeństwo Luksemburczykowi, a w kwietniu 1420 przybyło do Krakowa pierwsze z poselstw czeskich, ofiarujących koronę Władysławowi Jagielle.

Ruch narodowy przeciw Niemcom rozpoczął się w Czechach w r. 1409, a Żyżka przebył pierwszą szkołę wojenną na wyprawie

grunwaldzkiej. I w Pradze i w Krakowie odczuwano wzajemnie doskonale, że się ma wspólne cele. Zresztą związek inteligencyi czeskiej a polskiej był jak najściślejszy jeszcze od ostatnich lat życia królowej Jadwigi, której działalność odegrała wielką rolę w zbliżeniu obydwóch narodów. Poczucie solidarności słowiańskiej zrodziło się właśnie w tych czasach z wymiany myśli pomiędzy uniwersytetem krakowskim a praskim. Posiadamy mnóstwo dowodów źródłowych, że poczucie to było w Polsce żywe i głębokie; akty XV wieku roją się od powoływań na pobratymstwo słowiańskie. Wojny husyckie i potem jeszcze sprawy Jerzego Podiebradzkiego oddziaływały stale na politykę polską względem Zakonu. Były to dwa objawy jednej i tej samej rzeczy: wojny »z całą nacyą niemiecką«, jak wyrażają się źródła polskie, a rozumiano przez to wojnę z systemem imperyalistycznym [1].

Różnica objawów tej samej sprawy w Czechach a Polsce jest godna głębszej uwagi. Czesi poprzestawali na asymilacyi kulturalnej i własnych teoryi politycznych nie snuli. Praktyka, (zmiana ordynacyi uniwersyteckiej przeciw Niemcom, wypowiedzenie posłuszeństwa Zygmuntowi) obywała się u nich bez teoryi. Obalali to, co było dla nich szkodliwem, nie zajmując wobec teoryi imperyalistycznej samej żadnego stanowiska, ani *positive* ani *negative*. Ich walka »z całą nacyą niemiecką«, chociaż na zewnątrz efektowniejsza od polskiej, była w gruncie rzeczy słabszą i płytszą. Jakoż husytyzm nie wyrwał Czech z zaczarowanego koła Rzeszy niemieckiej i systemu imperyalistycznego, a nawet w dalszych swych następstwach przykuł Czechy jeszcze bardziej do Rzeszy. Czechy pozostały Rzeszy cząstką, solidaryzowały się potem na nowo z jej sprawami, walczyły w imię stronnictw rzeskich i los swój związawszy ze sprawą jednego obozu niemieckiego, za niemiecką sprawę położyły głowę w r. 1620.

Ruch polski zaczyna się kosmopolityczno-abstrakcyjnemi dociekaniami Brudzewskiego i staje się wybitnie narodowym, nie znoszącym na sobie żadnej obcej powłoki. Ruch czeski zaczyna

[1] Właściwą interpretacyę tego wyrażenia podał pierwszy ś. p. Anatol Lewicki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego — ostatni podobno *gente Ruthenus, natione Polonus*.

się od wypędzenia Niemców z Pragi, a kończy się na zupełnem ugrzęznięciu Czechów w sferze interesów niemieckich. »Król zimowy«, mający być ostatnim przedstawicielem niepodległości narodu czeskiego, był w istocie rzeczy tylko przedstawicielem jednego ze stronnictw niemieckich.

Bez teoryi niema świadomych dążeń, niema kultury czynu. Czesi walczyli z Niemcami żywiołowo, odruchowo — Polacy systematycznie, z uświadomieniem tej walki do najgłębszej jej istoty. Czesi zwalczali Niemców tylko, jako niebezpiecznych cudzoziemców; Polacy jako reprezentantów i wykonawców pewnego systemu międzynarodowego.

Rewolucyjność myśli polskiej zwróciła się od razu na pole świeckie, nie tykając w niczem katolicyzmu, mogąc mieć w papiestwie nawet siłę sprzymierzoną. Inaczej myśl czeska. Była ona bardziej »średniowieczną«, t. j. zależną od wykształcenia teologicznego, zdolna patrzeć na sprawy świeckie tylko przez pośrednictwo aparatu teologicznego. Podczas gdy Brudzewski sięgał do samych głębin zasady chrześcijańskiej i z etyki wysnuwał wnioski polityczne, husytyzm czynił to samo z dziedziny absolutnie do tego się nie nadającej, a mianowicie z dogmatyki. Gdy Polacy wygrywali swą sprawę wobec soboru i papieża, wypowiadając w zasadzie uznanie cesarzowi, równocześnie Hus głosił, że nie można uznać papieża zwierzchnikiem Kościoła, bo ani Piotr św. głową jego nie był, a papiestwo i jego przywileje są dziełem cesarzy. Stawał więc Hus na stanowisku skrajnie imperyalistycznem, a był równocześnie (boć to fakt) ojcem odrodzenia narodowego, skierowanego przeciw cesarstwu niemieckiemu[1].

Biorąc rzeczy teoretycznie, tezy Husa były o wiele mniej rewolucyjne, niż to, co głosił Brudzewski. Cała nauka Husa mieściła się w teoryi doskonale w dotychczasowym ustroju europejskim, dla którego istnienia obojętnem było, kto jest *praescitus*, a kto *praedestinatus* (fundamentalne założenie Husa).

W praktyce jednak wyglądało to inaczej. Brudzewski burzył

[1] W całym ruchu husyckim i jego następstwach tkwił brak zdolności twórczej przez niezgodność myśli z czynami, przez brak pogłębienia teoretycznego.

jedno, ale stawiał od razu drugie; w jego teoryi tkwiła zasada braterstwa narodów, system unii, a obok tego druga, że prawo publiczne ze społeczeństwa wypływa, a nie z dynastyczności.

Hus w dziedzinie życia politycznego niczego nie burzył, ale robił wszelkie życie społeczne niemożliwem. Wystarcza jego teza, że osoba, piastująca urząd (duchowny czy świecki), traci władzę, popadłszy w grzech śmiertelny, aż do oczyszczenia się z grzechu. Najmniejsza próba wprowadzenia tego w praktykę wiodłaby do anarchii i jest związek genetyczny pomiędzy tą tezą, a Adamitami. To też husytyzm miał w sobie ogromną siłę żywiołową, ale brak mu było pierwiastka twórczego, pozytywnego. Nie dał się z niego wykrzesać nowy ustrój. Zamienił się też na wojny domowe, które miały tylko rozstrzygnąć, kto kogo będzie prześladować, czy katolicy czescy husytów, czy husyci swych katolickich rodaków.

Naprzeciw temu świeci zasada, wypowiedziana przez samego Brudzewskiego krótko i po prostu: *fides ex necessitate esse non debet.* Urządzane na husytów krucyaty nie miały znaczenia dla umysłów polskich, bo sprzeciwiały się zasadzie, że nie wolno nawracać przemocą.

Wiadomo, że do pomyślnego rozstrzygnięcia drugiej części »wielkiej wojny« przyczynili się w znacznej części husyci, którzy okazali się dzielnymi sprzymierzeńcami.

Pomagali nam wbrew królowi czeskiemu, Zygmuntowi Luksemburczykowi. Korzystaliśmy z pomocy »buntowników«. Nie tylko to! Buntowaliśmy z całą świadomością poddanych przeciwko ich rządom. Można wskazać ze źródeł po imieniu wysłanników buntujących Węgrów przeciw Zygmuntowi, stany pruskie przeciwko Zakonowi. Otrzymali oni i tu i tam zapewnienia, że stany będą z całych sił przeszkadzały wypowiedzeniu wojny Polsce. Ale posunięto się jeszcze dalej.

Kiedy w r. 1433 układano się o pokój, podano z polskiej strony dwa warunki, iście rewolucyjne na owe czasy. Ani papieska, ani cesarska władza nie mają odtąd mieć znaczenia w sprawach pomiędzy Polską a Zakonem; pokój ma być poręczony przez stany obydwóch państw.

Było to oddawaniem rządu pod kontrolę obywateli, żeby Krzyżacy przyznali swym poddanym wpływ na sprawę wojny i pokoju, żeby bez ich zgody nie można już było wojny wypowiadać.

Warunek ten, podany ze strony polskiej całkiem poważnie, wywołał oburzenie w zachodniej Europie. Dopatrywano się w takiej teoryi państwowej zmiany cywilizacyi i wszelkiego ładu. Jako żywo nie słyszano o prawach ludów, znało się tylko prawa królów! Rozprawiano o polskich wymysłach z wielkiem ubolewaniem na soborze bazylejskim. Cesarz, Zakon i Świdrygiełło domagali się, żeby Jagielle wytoczyć proces kanoniczny. W Niemczech cesarz i książęta oświadczyli, że wyprą się Zakonu, jeżeli przystanie na tak horendalny warunek, burzący wszelki ład w ustroju europejskim!

Odrzucił go też Zakon i chciał zabrać się na nowo do wojny, ale stany pogroziły, że poszukają sobie innego pana, który pokój zabezpieczy. I musiał W. Mistrz zawrzeć choć rozejm 12-letni, przyczem wyraźnie zastrzeżono, że gdyby go nie dotrzymał, poddani mają prawo wypowiedzieć mu posłuszeństwo!

Jak widzimy, sprawa przechodziła szybko z uczonych traktatów do praktyki.

Polska ówczesna sprawiała Europie raz wraz niespodzianki. Dnia 15 października 1432 przeprowadził Oleśnicki równouprawnienie schizmatyków. Prosta konsekwencya nauki Brudzewskiego! Skutek był cudowny; całe powiaty wyrzekały się Świdrygiełły. Dzięki temu i sojuszowi z husytami można było ukończyć »wielką wojnę«, zwłaszcza, że Zygmunt Luksemburczyk, chociaż panował na Węgrzech, nie śmiał już urządzać stamtąd drugiej wyprawy na Kraków, bo Stany węgierskie zawarły poza jego plecami przymierze ze Stanami polskiemi!

Wygraliśmy więc »wielką wojnę«. Dzięki temu, żeśmy (nie wyrzekając się ani katolicyzmu, ani jak najgorliwiej uprawianej propagandy katolickiej) nie byli wrogiem nikomu za to, że był innej wiary (husyckiej, schizmatyckiej); żeśmy na miejsce poddaństwa państwowego wstawili pojęcie obywatelstwa; żeśmy głosili zasadę, że nie społeczeństwo ma służyć tronowi, lecz tron

społeczeństwu i pozyskaliśmy dla tej zasady ościenne ludy: żeśmy burząc imperyalizm podnieśli sztandar braterstwa narodów, a pozostając sami katolikami, pojmowali to braterstwo bez względu na wyznanie.

I odtąd rośliśmy stale, pókiśmy zostali wierni teoryi Brudzewskiego.

Oto »teorya Grunwaldu«, podana w najogólniejszym szkicu. Do należytego jej opracowania trzeba, żeby była zbadana i opracowana naukowo scholastyka polska. Kto tego doczeka, niech pisze dalej...

Odniosłem z badań nad tym przedmiotem wrażenie, że pozostaje on w związku ze sporami o to, czy *universalia ante rem*, czy *in re*, czy też *post rem*? Nominalizm zachowywał się obojętniej względem dogmatycznej części teologii, a w uniwersytecie krakowskim mieliśmy świetnych nominalistów. Największy geniusz twórczy średniowiecza, św. Tomasz z Akwinu, był umiarkowanym realistą *(in re)*.

Te rzeczy trzeba dopiero badać. Mówi się, że byliśmy tu w Krakowie epigonami scholastyki. Jakież to epigonostwo, co wydaje nowe teorye, wiodące na wieki całe do nowego, a lepszego ułożenia stosunków społeczeństw. Nigdy z epigonostwa nie wykuje się kultura narodowa, a wszak to stało się na tle naszej scholastyki.

Kultura ta opartą była na tak głębokich podstawach, że nie poruszył jej ani legizm. Przyjęliśmy humanizm oprócz legizmu i u nas nie było recepcyi prawa rzymskiego i związanego z tem nowego rozwoju teoryi imperyalistycznej, przeinaczonej w zmienionych czasach i warunkach na zasady despotyzmu i wszechwładzy państwa.

Rzut, dokonany przez krakowskich scholastyków z początkiem XV wieku, był tak potężny, że starczył na półtrzecia stulecia. Epigonowie nie miewają takiej dużej ręki. W scholastyce naszej kryje się jakaś tajemnica. Mnie nie jest danem więcej, jak wskazać jej istnienie innym, szczęśliwszym, którzy ją odkryją. Ale to zrobione być musi. I jest to obowiązkiem tej Szkoły, której

rektor stał się prawdziwym Ojcem Ojczyzny na cały okres jej świetności. Teorya Grunwaldu musi być zbadaną do gruntu.

Wygraliśmy i staliśmy się nie tylko mocarstwem, lecz nowym, samodzielnym czynnikiem kulturalnym, dzięki temu, że czyny nasze nie były ślepe, lecz oparte na wielkiej a pozytywnej teoryi. Poruszyliśmy pół Europy do nowego życia, bo mieliśmy w sobie kulturę czynu, mając najpierw dokładnie uświadomione *in potentia*, co się ma wprowadzić *in actum*, w myśl wielkiej tezy św. Tomasza z Akwinu:

Movere enim nihil aliud est, quam educere aliquid de potentia in actum.

Plemię Brudzewskiego miało czem *movere*, bo miało teoryę, posiadło własny pogląd na świat, pogląd wywołujący postęp, t w ó r c z y p o g l ą d.

Dziś pisać o tem ogromnie smutno, w otoczeniu pokolenia, które karmi się teoryami niemieckiemi i rosyjskiemi i bierze je za własne, gdy po polsku spisane, już nawet rozpoznać nie umie, że to tylko... wolny przekład. Czem my mamy Polskę *movere*, nie mając jej w samych sobie *in potentia*? Wszak stając się polską imitacyą Prusaków i Moskali, tracimy władzę nad dalszym biegiem sprawy polskiej.

Lęk zdejmuje w smutną rocznicę Grunwaldzką nie dla ustawy o wywłaszczeniu, nie dla nacyonalistycznej reakcyi rosyjskiej. Od takich rzeczy m y s i l n i e j s i. Ale co pomogą serca polskie, gdy mózgi polskie będą zgermanizowane i zrusyfikowane?

Wyrzeknijmyż się w tę rocznicę stosowania do sprawy polskiej pruskich i moskiewskich poglądów na świat, a gdy to nastąpi, będzie można zawołać pomimo wszystko: *Sursum corda.*

Feliks Koneczny.

GRUNWALD W POEZYI POLSKIEJ.

SZKIC LITERACKI.

(Dokończenie).

III.

Juliusz Słowacki. — Gustaw Zieliński. — Mieczysław Romanowski. — Marya Konopnicka. — J. I. Kraszewski. — Feliks S*** — Henryk Sienkiewicz. — Literatura z r. 1902. — Inne utwory poetyczne.

Żaden z wymienionych dotąd opisów bitwy pod Grunwaldem nie może być nazwany opisem poetycznym w ścisłem tego słowa znaczeniu; nie zasługują na to miano ani owe pieśni bezimiennych autorów, ani utwory Jana z Wiślicy, Stryjkowskiego, ani nawet śpiew historyczny Niemcewicza. Pierwszy prawdziwie artystyczny opis bitwy stworzył dopiero Juliusz Słowacki we fragmentach utworu dramatycznego p. t. »Zawisza Czarny«, uwydatniając zarówno w należyty sposób znaczenie tej bitwy, jako też przedstawiając jej zgrozę w pełnych siły i niezwykłej plastyki obrazach. Opis ten stosunkowo mało znany, ogłoszony bowiem drukiem dopiero w ostatnich czasach, mieści się w trzech pierwszych scenach dramatu [1]. Scena pierwsza odgrywa się w chwili ukończenia bitwy pod Grunwaldem, rozpoczyna ją chór, opowiadając o ostatecznym pogromie Krzyżaków:

[1] Por. »Dzieła Juliusza Słowackiego. Pierwsze krytyczne wydanie zbiorowe«. We Lwowie. 1909. Tom IX. (»Zawisza Czarny« w opracowaniu W. Hahna).

Słyszycie jęki... to Polska złamała
Czarne szwadrony... Krzyżaków... i goni.
Litwin na czele... w okrwawionej dłoni
Trzyma chorągiew... a chorągiew biała,
A on ją spuścił i we krwi umoczył,
Około kija okręcił — i skoczył...

A za nim... niby tęczowane chmury
Pełne słońc... lecą husarze w pancerzach,
Lob der Got... krzyczą... żelazne komtury,
I dzidy czarne, jako szczeć na jeżach.
Szczeć naprzód strachem zjeżona do góry,
A potem w polskich tęczowych odzieżach
Serc szukająca.

Oto dziś zaśpiewawszy pieśń Bogu Rodzica
Rzucili się pod Grunwald — szwadron za szwadronem,
Nie spuszczajmy ich z oczu... nie odwróćmy lica,
Oczyma ich oświećmy... pochłońmy ich łonem.

Na scenę wchodzi król, każąc przyprowadzić jeńców najpierwszych krzyżackich, nadto każe wyszukać Zawiszę, zaniepokojony wieściami, jakie mu przynieśli o nim dworzanie, oczekując zaś na niego, siada pod dębem by podumać; i znów odzywa się chór:

Błogosławcie mu teraz... on z wielkiego domu
Postawi ten lud sławnie pomiędzy narody,
Teraz mu wchodzą myśli nieznane nikomu —
Głaskaniem jak gołębia... głaskaniem tej brody —
Teraz mu widne dusze z tych ciał wychodzące,
Teraz w te oczy króla niby na pół śpiące
Przedstworzonych wypadków błyskające miesiące...

Ten dąb mu takie myśli cudowne gromadzi
Niby kopuła jakaś zrobiona dla ducha,
Gdzie mnóstwo liści czarnych niby sejmem radzi,
A król siedzi zmęczony krwią, pracą — i słucha;
Patrz, umiłował naród... i łzy wielkie roni —
Pierwsza godzina wiekom jagiellońskim dzwoni.

Dwie następujące sceny uzupełniają powyżej podany ogólny obraz bitwy, w scenie drugiej opowiada o bitwie cesarzowi niemieckiemu Baptysta Cygali, w trzeciej zaś goniec. Oto ważniejsze ustępy z obu scen: rano przysyłają królowi Krzyżacy dwa miecze.

Król z wielką pokorą
I niby z uszanowaniem

Te miecze... przyjął... przycisnął
Do serca... i tym krzyżem srebrnym przekreślony
Stanął na kształt ognistej pochodni i głowni
Przez te miecze, największe w Krzyżaków zbrojowni,
Uczyniony na polu straszliwym rycerzem.

Zaczyna się bitwa:

Z dwóch puszek Krzyżak ognia dał i czarnych księży
Zszykowawszy w klin jeden, straszną zaczął bitwę,
Cały na lewe skrzydło wytężon, na Litwę
I żółtego Tatarzyna,
I tak, jak bocian w żaby tak, się ostrzem klina
Wbił... i szedł ciągle głębiej... falą wciąż idącą
I tę Litwę na żmudzkich konikach siedzącą
Połamał... z końmi razem
I przez plecy się pokazał zakrwawionym żelazem

Rozprószywszy Tatarów
I na smoleńskich bojarów
Futrzane pułki... twarze czerwone... z pod borów
Wyglądające... natarł cicho... nie rozbity,
Jakoby klin okropny żelaznych upiorów
Czarnych z krwawemi kity,
I pułk jaki piekielny
Od Plutona wysłany, przeszedł nieśmiertelny
Przez pole pełne trupów...

Ostateczny pogrom Krzyżaków opisuje poeta z niezwykłą siłą, jak zginął wielki mistrz:

Dziesięć starszych chorągwi czerwonych zniknęło,
Dwóch komturów w złoconej zbroi i w lamparcie
Padło... okropne mary
Pokazały się... smugiem przedartym — słonecznym —
. . . . . .
Odtąd — śmierć i królowa ostatnich przerażeń
Panowała na polu... z krzykiem nocnych ptaków
Trupem legło pięćdziesiąt tysięcy Krzyżaków...
. . . . . .

Ze zgrozą też opowiada Cygali, że

Tak wielkiej czerwieni,
Takiego krwi bluzgotu... nie było na świecie
Od czasu, jak Rzym stoi... pola trazymeńskie
Przy zakrwawionem słońcu... w łona utworzone
Biorące żywcem całe kohorty czerwone,
Które się jeszcze w ziemi pochłonięte rznęły,
Są niczem...

W tych kilku scenach rozwinął poeta wielki artyzm w skreśleniu najważniejszych momentów walki, odnosimy też z nich głębokie wrażenie, wywołane wskutek odpowiedniego rozłożenia barw i obrazów poetycznych, zwłaszcza porównań, jako też stopniowania efektów. Przedziwną prostotą wywoływa w duszy czytelnika głęboki nastrój, silnymi zaś akordami wytwarza w nas jakoby bezpośrednie odczucie zgrozy klęski. Tak ten poeta, którego zwykle pomawiają o niezdolność odczucia rzeczywistości, zostawił najpiękniejszy i najpoetyczniejszy wierszowany opis bitwy grunwaldzkiej, zupełnie jednak wiernie odtwarzający rzeczywistość.

Mniej więcej równocześnie nosił się znany twórca »Kirgiza«, Gustaw Zieliński, z myślą napisania poematu epicznego p. t. »Bitwa pod Grunwaldem«, pracy tej jednak nie dokończył; w rękopisie pozostawił tylko trzy ustępy, ogłoszone w wydaniu zupełnem jego poezyi. (Toruń. 1901. II. 345—353)[1]. W ustępie pierwszym modli się król Jagiełło przed bitwą:

Boże! ty serca mego znasz pokorę,
Bo tajnie myśli wszystkich ludzi znasz;
Ja Ciebie dzisiaj na świadectwo biorę,
A Ty świadectwo tylko prawdzie dasz,

Że do tej wojny nie dałem powodu,
Anim się do niej tak skwapliwie wziął;
Lecz wróg przez krzywdy mojego narodu
Gwałtem mnie zmusił, bym za oręż jął.

. . . . . .

Ufny w mą słuszność, o Panie! podnoszę
Na wrogów moich, sztandar, w imię Twe;
Was, wszyscy Święci, przyczyńcie się, proszę,
A Ciebie, Boże, błagam, wesprzyj mnie![2]

Drugi ustęp ma za treść powrót posła krzyżackiego Gary, Węgrzyna, z obozu polskiego, ustęp trzeci modlitwę wieczorną wojska polskiego w Kurzętniku. Król, opanowany trwogą, czy w strasznej walce jest wzorem Chrystusowego rycerza, prosi Boga:

---

[1] Ogłoszone także w *Biesiadzie Literackiej*. 1902. I. Str. 333—334.

[2] Do modlitwy tej dorobił muzykę Jan Czubski. Por. »Modlitwa Jagiełły przed bitwą pod Grunwaldem«. Słowa Gustawa Zielińskiego. Na chór męski, duet i solo z towarzyszeniem fortepianu.

Jeśli za winy chcesz karę wymierzyć,
To strzałą gniewu we mnie chciej uderzyć,
A nad mym ludem pokaż zmiłowanie.

Jeszcze jeden romantyk, Mieczysław Romanowski, obiera motyw bitwy grunwaldzkiej za treść krótkiego poemaciku: »Sen króla Jagiełły pod Tannenbergiem« (napisany w r. 1860)[1].

Jodły jej dały miano: jakby w dwa ramiona
Wieś i cichą błoń-puszcza objęła zielona.
A królowi Jagielle, co z puszcz wielkie dzieje
Światu niósł i miłował ciemne Litwy knieje,
Żadne, ile ich w Litwie, w leśnej Polsce ile,
Żadne do snu szemraniem nie grały tak mile,
Jak tannenberskie jodły!

Już po zwycięstwie: słońca krąg czerwony oświeca pole bitwy krwawej, o której nie zapomni lud boży w Koronie i Litwie. Zmęczonego Jagiełłę zsadzają szczęśliwi rycerze na świeżą murawę; na kamieniu zasypia sędziwy król, otoczony sztandarami krzyżackimi, wetkniętymi w ziemię przez rycerstwo.

Zamknął oczy, śpi, marzy, a słodko znać marzy;
Już mu się uśmiech rozlał na sędziwej twarzy,
Śni o rodzinnej Litwie; w borach wzrokiem tonie;
Wiatr mu niesie woń kwiecia i żywiczne wonie,
I jasna jako zorza, jakimś smutkiem rzewna,
Przybliża się z uśmiechem doń polska królewna;
Podaje krzyż... do sławy wiedzie jak orlica,
I niknie we mgle. Wtem stary król nasrożył lica:
Śni mu się, że wyjechał na grunwaldzkie wzgórze;
Patrzy, brat Witold z wojskiem giną w pyłu chmurze.
Wielki mistrz go pomija, ale z mistrza roty
Pędzi doń na rumaku jakiś rycerz złoty,
Rycerz Dyppold broń wznosi, do walki go wzywa...
»Ha stój, Dyppoldzie!...« Nagle ze snu się porywa.

O tym śnie, jak pisze poeta, pamiętał do zgonu król stary, zwąc rozpięte sztandary krzyżackie jodłami, nieraz też zapewniał rycerstwo, że nigdy mu tak miłego snu nieba nie dały, jak gdy mu nad głową szumiały jodły pod Tannenbergiem.

Rozprowadza tu Romanowski podobny moment dumania

[1] »Poezye«. Lwów. 1883. t. 214—217.

(snu), o którym wspomniałem powyżej, mówiąc o »Zawiszy Czarnym« Słowackiego: charakterystyczne, że podobnie jak Słowacki zwie i Romanowski sen ten błogosławionym (s. 214), słodkim snem prześnionym (217).

O królu! bądź błogosławiony,
Że taką pieśnią Bóg ci skroń kołysał w śnieniu!
Błogosławionyś wieku, co w czasów strumieniu
Takimi w naszej ziemi rozkwitałeś dniami!
O! kiedyż takie jodły zaszumią nad nami?!...

Do wierszy o bitwie grunwaldzkiej, powstałych w w. XIX, należy jeszcze silny wiersz Maryi Konopnickiej »Grunwald«, malujący »myśli i uczucia« poetki, doznane przed obrazem Jana Matejki, przedstawiającym bitwę grunwaldzką (1878). Kreśląc w ogólnych rysach klęskę krzyżacką, porównywa poetka dawnych rycerzy z dzisiejszem pokoleniem:

Kto dziś zdzierży takie boje?
Taką — Sławę, takie zbroje?
Drzewce stare,
Żywą wiarę?..,
Kto dziś stworzy cud?...
. . . . . .
Z drogi! z drogi! Któż dotrzyma
Rozpędowi sił olbrzyma,
Co w dniu chwały,
Zbrojny cały,
Pogromem się zwał?

Walczy — miecz się zrasta z dłonią,
Pędzi — żywą jest »pogonią«...
On przez wieki,
W świat daleki
Sławę niesie w cwał! [1]

Wszystkie wymienione dotąd utwory, nie wyłączając nawet poematu Jana z Wiślicy, były rzeczami drobnemi; dopiero Kraszewski pierwszy stworzył większą całość w powieści historycznej p. t. »Krzyżacy w r. 1410« (obrazy z przeszłości), ogłoszonej po raz pierwszy w *Kłosach* w t. 18 i 19. (1874), w wydaniu książkowem

[1] »Poezye w nowym układzie«. II. Warszawa 1902. Str. 145—149.

w Warszawie 1880 i 1882 w 2 tomach)[1]. Główną bohaterką powieści jest Ofka Noskówna, córka bogatej kupcowej w Toruniu, oddana całą duszą idei Zakonu krzyżackiego. Tuż przed rozprawą grunwaldzką wysyła ją podskarbi krzyżacki Merheim na przeszpiegi do Polski; dziewczyna gotowa na wszystko, wkrada się nawet do wojska królewskiego w męskiem przebraniu, skąd donosi Krzyżakom o ruchach wojsk polskich, sama nawet zawiadamia ich o zdobyciu Gilgenburga, poczem znowu rusza do obozu króla i jest świadkiem bitwy pod Grunwaldem. Ona też przynosi pierwsza wieść do Malborga, donosząc, że przybywa »stamtąd, gdzie pole trupami usłano, gdzie krew się leje potokiem, gdzie chorągwie krzyżackie leżą stosami, gdzie nieprzyjaciel się weseli, gdzie ostatnia dla nas wybiła godzina« (II, 50). Druga część powieści opowiada o dalszych jeszcze krokach wojennych wojsk polskich i o usiłowaniach Krzyżaków celem odzyskania dawnej potęgi. I w tej części pozostaje bohaterką Ofka, która w chęci przysłużenia się Zakonowi truje kasztelana nakielskiego, Wincentego z Granowa i Jaśka Sokoła, ulubieńca królewskiego. Wkońcu wstąpiła jako siostra szpitalna do klasztoru w Elblągu, gdzie rozporządzała starszyzną zakonną, ostra dla podwładnych, przykra dla chorych (II, 269).

Z wypadków historycznych, opisuje jeszcze Kraszewski bitwę pod Koronowem (II, 235 nn); odtąd nie występowali już Krzyżacy nigdzie w pole, aby się mierzyć z rycerstwem polskiem, ale swoim sposobem, zdradą i wycieczkami, zamki napowrót odzyskiwali (II, 254). Intryga miłosna zajmuje w powieści mało miejsca: w Ofce kocha się bez wzajemności rycerz niemiecki Kuno Dienheim, który później żeni się z Ofką, córką starosty Brochackiego[2].

Głównym zamiarem Kraszewskiego było przedstawić przewrotność Krzyżaków, nie szczędzi też w powieści licznych szczegółów, mających o tem czytelnika przekonać. Zachowując zupełną bezstronność w kreśleniu wypadków, oświetla także lekkomyślność

[1] Chmielowski P. »Józef Ignacy Kraszewski«. Kraków 1888. S. 452, wspomina o powieści tej tylko mimochodem.

[2] O tym samym szczególe wspomina także Sienkiewicz w »Krzyżakach«. Tom IV, rozdział 29.

Polaków, którzy zwycięstwa należycie wykorzystać nie potrafili. Daje powieść Kraszewskiego w ten sposób pogląd nie tylko na samo zwycięstwo, ale także na jego następstwa. Z osób występujących najważniejszą jest Ofka, przedstawiona z niemałym zasobem obserwacyi, silna w swych postanowieniach, nie wzdrygająca się nawet przed zbrodnią, dla wykonania planu. Inne postaci zarówno ze strony polskiej, jak i krzyżackiej, są tylko z lekka naszkicowane.

Opis samej bitwy, skreślony według Długosza (t. II, 1—44), odznacza się sumiennem wyzyskaniem szczegółów historycznych i należytem zrozumieniem jej znaczenia: »a gdy na całej linii tej w dolinie tysiące kopii rozbiło się o tysiące zbroi i młoty żelazne uderzyły po hełmach, huk i łoskot rozszedł się na kilka mil wokoło. Z trwogą usłyszeli go mieszkańcy po lasach i siołach. Były to dwie siły: ludzka i Boża, ścierające się z sobą, aby w potokach krwi wykwitła sprawiedliwość i pomsta nad grzesznymi...

Dla patrzących zdala, te tysiące, które sprzęgła namiętność do śmiertelnej walki, wystawiały obraz zgrozą przerażający... Nie byli to już wojujący ludzie. Cały ten wał ruchomy wydawał się potworem jakimś z ciała i żelaza złożonym, wijącym się we wściekłych z sobą samym zapasach«.

Mimo wiernego odmalowania tła i stosunków ówczesnych, nie wywiera powieść Kraszewskiego większego wrażenia wskutek braku jednolitej kompozycyi, jako też przedstawienia wypadków raczej kronikarskiego, niż artystycznego. Podobna w tym względzie i ta powieść do innych powieści tegoż autora, składających się na cykl historyczny dziejów Polski[1].

Ten sam charakter ma także opowieść historyczna Feliksa S*** p. t. »Królewiec i Grunwald«[2]. Przedstawia w niej autor losy trzech rycerzy krzyżackich, Henryka von Schwelborna, Markwarda von Salzbacha i Andrzeja von Sonnenberga, splamio-

[1] W powieściach Kraszewskiego: »Semko« i »Matka królów« (Czasy Jagiełłowe) (część XVI i XVII) niema wzmianki o bitwie pod Grunwaldem.

[2] *Bluszcz*. 1882, str. 273—275, 282—284, 290—292, 299—301, 306—307, 314—316, 322—324, 332 i 339—340.

nych otruciem dwojga nieletnich synów księcia Witolda w r. 1393, których usunęli, pragnąc w ten sposób zapewnić Zakonowi panowanie nad Litwą i Żmudzią, w razie śmierci Witolda bezpotomnej, w myśl traktatu zawartego z nim 1384 roku. Odtąd żyją oni w niepokoju, by zbrodnia ich nie wydała się. Niepewni przyszłości, zapytują się słynnego astrologa Korneliusza Agryppina w Gdańsku o swe losy, który przepowiada im zagładę Zakonu; oni sami wyjdą z bitwy wolni, cali i nie tkięci, ale żaden z nich nie ma ujrzeć świtu następnej doby. Tę niejasną przepowiednię starali się wytłumaczyć zbrodniarze na swą korzyść, świadków zaś mimowolnych zbrodni usunęli na długi czas, wtrąciwszy ich do więzienia. Jeden z nich, uszedłszy po jedenastu latach z więzienia, donosi Witoldowi o istotnym stanie rzeczy. W przeddzień bitwy każe Witold przywołać do siebie rycerza Długosza, ojca późniejszego dziejopisa, i rozkazuje mu trzech owych zbrodniarzy wziąć do niewoli żywcem. Istotnie też dostają się oni w ręce Długosza; nazajutrz po bitwie, na rozkaz Witolda, kat ścina im głowy; tak spełnia się przepowiednia astrologa. Sama bitwa pod Grunwaldem przedstawiona w tej opowieści pobieżnie; na uwagę zasługuje epizod o rycerzu Zugehörze, walczącym do ostatka w obronie chorągwi krzyżackiej, powierzonej jego pieczy: śmiertelnie ranny, prosi rycerzy polskich, by mu jeszcze w chwili śmierci pozwolili trzymać chorągiew w ręce [1].

Po tych wszystkich próbach przyniósł dopiero koniec w. XIX prawdziwą epopeję narodu polskiego z czasów wielkiej wojny krzyżackiej: jest nią powieść historyczna Henryka Sienkiewicza p. t. »Krzyżacy« (drukowana najpierw w *Tygodniku Illustrowanym* 1897—1900, pierwsze wydanie książkowe w Warszawie 1900.) [2], zakończona opisem bitwy pod Grunwaldem. Należy

[1] Ten sam motyw wprowadza Ignacy Grabowski w dramacie »Grunwald« (1910, por. niżej rozdział v), przypisuje jednak tę rolę rycerzowi von Löwen (por. obraz xi).

[2] Dalsze wydania: w Gdańsku 1900, Warszawie 1903, w Warszawie 1910 (wydanie popularne w pięćsetną rocznicę Grunwaldu, 4 tomy w dwu). Najważniejsze rozprawy o »Krzyżakach« napisali: W. Gostomski (*Ateneum* 1901. ii), M. Konopnicka: »Trzy studya«. Warszawa 1902, Ks. J. Pawelski, *Przegląd Powszechny* 1901, ii, P. Chmielowski: »Henryk Sienkiewicz«. Lwów 1901.

powieść ta do najlepszych powieści Sienkiewicza, dzięki niezwykłemu odczuciu przez autora duszy ówczesnych Polaków i Krzyżaków, jako też wiernemu odmalowaniu tła historycznego, w skreśleniu którego oparł się na wyczerpujących studyach historycznych. Na przestrzeni kilku lat przedstawia stosunki wzajemne obu narodów, kreśląc dzieje Juranda ze Spychowa, Maćka i Zbyszka z Bogdańca. Losy ich to obraz dokładny tych nieprawości, jakich Zakon krzyżacki dopuszczał się w swej misyi dziejowej, wzbudzając ku sobie nienawiść Polaków i pragnienie wywarcia na nich zemsty za doznane krzywdy. Tak jak Jurand, Maciek i Zbyszko myśli całe społeczeństwo polskie, które straciwszy z czasem cierpliwość, oczekuje już tylko sposobności zgniecenia wroga: »każdy nosi w duszy głębokie poczucie, że raz trzeba skończyć z tym strasznym wrogiem całego plemienia, i że nie zakwitnie w potędze, w spokoju i pracy królestwo, póki, wedle słów św. Brygidy, nie będą wyłamane Krzyżakom zęby i nie będzie odcięta im prawa ręka« (III, IV, 329). Słusznie też mówi w jednem miejscu Zyndram z Maszkowic: »Nienawidzą w całych Prusiech Krzyżaków, i księża i szlachta i mieszczanie i kmiecie... Kto musi służyć, służy, ale zaraza każdemu milsza, niż Krzyżak... Jakże myślicie? Nie zwali ci się z konia przy pierwszym starciu rycerz, choćby najmocniejszy, ale taki, który ma poderznięty popręg u siodła i strzemienia« (II, 278). Sposobność ta wreszcie nadchodzi w wielkiej wojnie krzyżackiej, której opis obejmuje ostatnie rozdziały powieści, przyczem na pierwszy plan wysuwa się sama bitwa grunwaldzka, skreślona na podstawie źródeł, przedewszystkiem Długosza. Niesłusznie twierdzą niektórzy krytycy, że opis bitwy pod Grunwaldem nie jest ściśle złączony z samą opowieścią; w istocie jednak ma się rzecz przeciwnie, łączność zaś zaznaczył sam Sienkiewicz, opowiadając, jak główne osobistości powieści pragną tej wojny: stary Maćko do białego włosa czekał na tę godzinę, to też mimo siódmego krzyżyka spieszy do obozu królewskiego. Dusza Zbyszka rwie się też do boju, a inni rycerze, występujący w powieści, biorą udział w ostatecznej rozprawie. Sam opis bitwy, powszechnie znany, jest tak mistrzowsko skreślony przez Sienkiewicza, w tak prostych, a mimo to podniosłych słowach, że należy do najpiękniej-

szych i najsilniejszych opisów tej bitwy prozaicznych, wywiera też na czytelniku wielkie wrażenie. Z prawdziwym darem epicznym opisuje autor wszystkie ważniejsze momenty bitwy, przedstawiając je tak malowniczo, że zainteresowanie czytelnika nie słabnie ani na chwilę. I dopiero z opisu tego odczujemy prawdę słów autora, że »wiele bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak strasznego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nie tylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszem rycerstwem wspomagały oną przednią straż teutońską, wżerającą się coraz głębiej w ciało słowiańskie«. Razem z zwycięzcami rozumiemy ich szczęście niezmierne z tego wieczoru, kładącego koniec nędzy i trudom nie tylko dnia tego, ale całych stuleci, radość, że nie tylko przeniewierczy Zakon krzyżacki leżał pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas, jak fala, nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie [1].

Uroczysty obchód w r. 1902 w całej Polsce 492-ej rocznicy zwycięstwa grunwaldzkiego, odbił się także żywem echem w poezyi polskiej. Najpiękniejszym utworem powstałym w tym roku jest ballada Kazimierza Glińskiego: »Sen chwały« [2]. Autor opowiada najpierw o przysłaniu mieczy przez Krzyżaków, które król przyjmuje, przyobiecując odpłacić się wzajemnie, gdyż

---

[1] Doczekali się »Krzyżacy« licznych przekładów na obce języki: na język rosyjski (*Kriestonoscy*, przekład F. W. Dombrowskiego. Petersburg 1898, 1900. N. J. Picreligina, Moskwa 1900. W. M. Ławrowa, Moskwa (1901); czeski (*Křižaci*. J. J. Lengnera. Praha 1898—1900. [2]1903), francuski *Les chevaliers de la Croix*, przez Maurycego R. Skulskiego. Paryż 1901, węgierski (Budapeszt 1902), niemiecki (*Die Kreuzritter*, p. Hillebrand. Lipsk 1901, E. i R. Ettingera. Einsiedeln 1901, p. Teofila Kroczek. Graz 1904). Wspomnieć tu jeszcze wypada o przeróbce scenicznej »Krzyżaków« przez Adolfa Walewskiego, nie ogłoszonej jednak drukiem, znanej tylko ze sceny (»Zbyszko i Danusia«, ośm obrazów z powieści Krzyżacy z r. 1902).

[2] *Gazeta polska warszawska* 1902, nr. 312; *Dziennik berliński* 1902, nr. 271; *Gazeta narodowa* 1902, nr. 284; *Gazeta polska czerniowiecka* 1902, nr. 97. Drobną alluzyę do boju grunwaldzkiego zawiera wiersz tego autora: »Odpowiedź Bronisławowi Zawadzkiemu«. »Poezye«. Warszawa 1903, s. 13.

Za chwilę krótką
Ozwie się las pobudką —
Witold da skok na szaniec,
Zyndram też pójdzie w taniec,
I one dwa pałasze
Stępim o karki wasze.

Wszczyna się następnie walka, którą poeta tak opisuje:

Świat w przerażeniu stał...
Zajrzyjcie w dziejów księgi — —
Dwie moce, dwie potęgi
A jeden tylko szał.
Okrutne dusz odloty,
Śpiew armat, surm łoskoty,
I płaszcz kurzawy szary,
I wichrów gwizd — sztandary,
I szable, jak padalce,
I Boży sąd w tej walce.

Ucichło... Rozwiał precz
Wicher pas dymów długi...
Pierś Mistrza przebił miecz,
Wysłańca pierś — miecz drugi.
Świat w różnych błądzi dolach...
Dziś — mówią — na tych polach
Gdy ziemię noc utula,
Zjawia się postać króla,
I pyta — cień ten biały
Byłżeli to sen chwały?

Motyw modlitwy Jagiełły, znany już nam z poprzednich kilku utworów, podejmuje na nowo Władysław Karoli w wierszu: »Modlitwa Jagiełły« (*Ziarno*. Warszawa 1902, nr. 33, str. 649). Król błaga Boga przed bitwą, by krew przelana spadła jako kara na łupiezki Zakon, za krzywdy wyrządzone Polakom.

Kiedy po bitwie zbite w masy cielska
Knechtów zuchwałych pola zaścielały,
Na ziemię Słowian szła jasność anielska,
Słońca się dziwnie jasne blaski słały [1].

Okolicznościowe wiersze ogłosili: Tadeusz Kawęcki: »W rocznicę pogromu« (*Słowo polskie* 1902, nr. 340, str. 3—4),

[1] Tenże autor ogłosił w r. 1901 wiersz: »Zakon krzyżowy« (*Ziarno*, 1901, str. 823), w którym wspomina także o bitwie grunwaldzkiej.

K. H. Wachtel: »Grunwald« (*Głos rzeszowski*, 1902, nr. 29, s. 3), nieznajomy autor: »Stańmy bracia wraz« (tamże, nr. 28, str. 3), Jan Oksza (Aniela Orzechowska): »Grunwald« (*Tygodnik samborsko-drohobycki*, nr. 29, s. 1), Bronisław Kryczyński: »W Grunwaldzką rocznicę« (Sonet) (*Gazeta polska*, Czerniowce 1902, nr. 57); Ksawera Krokowska: »W rocznicę« (*Nowiny stanisławowskie*, 1902, nr. 39), nadto powstała w tym roku nieznanego autora kantata: »Cześć bracia uroczystej chwili« (*Słowo polskie*, 1902, nr. 342, str. 2). Poza tem przedrukowano w tym roku kilka razy »Pieśń o pruskiej porażce« z r. 1510 (*Dziennik poznański* 1902, 163, *Gazeta radomska* 58, *Kraj* 31, *N. Reforma* 160, *Wiek* 196)[1], nadto Niemcewicza: »Bitwę pod Grunwaldem« (w *Naszych Kłosach*, nr. 30)[2] i Konopnickiej: »Grunwald« (*Kuryer lwowski* nr. 161, *Now. Reforma* nr. 160, *Gazeta świąteczna* nr. 28).

Z późniejszych czasów pochodzą jeszcze dwie próby epiczne: pod wpływem obrazu Matejki nakreślił Teofil Mucha dłuższy fragment historyczny wierszem: »Pod Grunwaldem« (w Krakowie 1905), przedstawiając w nim głównie według Szujskiego najważniejsze wypadki od chwili wypowiedzenia wojny do bitwy pod Grunwaldem. Trudno nie uznać szczerego zamiaru autora, który pragnął także ze swej strony przyczynić się do upamiętnienia tej pięknej karty dziejów naszych; większej jednak wartości poemacik nie posiada.

Bez większego znaczenia jest także wierszowany opis Mieczysława Dukszty (Zenobjusza Mieszki): »Bitwa pod Grunwaldem« (Lublin 1908, pierwsze i drugie wydanie), składający się z dwóch części: w pierwszej podaje autor opis sił krzyżackich i polskich, w drugiej przedstawia samą bitwę, nie tylko nadzwyczaj niedokładnie, lecz i niedołężnie tak, że opowiadanie nie budzi najmniejszego zainteresowania. Nieudolna budowa wiersza, naiwność w łączeniu myśli, kłócąca się nieraz ze zdrowym sensem, odbierają książeczce autora wszelką wartość.

[1] W r. 1910 przedrukowano ją w Kalend. krak. J. Czecha i Haliczanin.

[2] Wiersz ten przedrukował w r. 1901 *Gość niedzielny*, dodatek *Gazety olsztyńskiej*, nr. 4, str. 27—28.

IV.

Literatura dla młodzieży i ludu. — Grunwald w poezyi ludowej i w podaniach.

W zakresie literatury dla młodzieży, dopiero w ostatnich czasach pojawiło się kilka opowiadań historycznych, osnutych na tle bitwy pod Grunwaldem. Jedna z pierwszych takich prób: »Bitwa pod Grunwaldem«, opowieść historyczna (*Przyjaciel dzieci*, Warszawa 1901, nr. 42—45, s. 662—664, 681—682, 687—688, 712—713), jest ładnie ułożonem opowiadaniem, włożonem w usta rycerza Zbigniewa Jelity, którego ojciec znajdował się w bitwie; intrygi powieściowej, we właściwem znaczeniu, w opowieści tej niema. Wprowadza ją natomiast M. Zielińska, której opowieść przerobił także Józef Chociszewski w »Niespodziewanych skarbach«. Ks. Wilhelm, narzeczony Jadwigi, uchodząc z Polski pozostawia Gniewoszowi z Dalewic, zwolennikowi swemu, w nagrodę jego wierności, liczne klejnoty i pieniądze, których ze sobą nie chce zabrać. Gniewosz umierając, oddaje skarby te w depozyt księdzu przełożonemu klasztoru św. Katarzyny w Krakowie, z tem, aby je zachował dla jego syna młodszego, gdy dojdzie do lat dwudziestu. O tej tajemnicy wiedziała jeszcze wychowanka Gniewosza, która pod przysięgą również zobowiązała się dochować tajemnicy do czasu wyznaczonego przez Gniewosza. Tymczasem przełożony klasztoru nagle umarł, nie mogąc powierzyć tajemnicy nikomu; następca zaś jego natrafiwszy na skrzynię ze skarbami, ogłosił publicznie o znalezieniu skarbu, ale gdy się nikt nie przyznał do niego, zabrał go na potrzeby kościoła i klasztoru. Dopiero w r. 1410, kiedy syn podkomorzego osiągnął lat dwadzieścia, dowiedział się od owej wychowanki o tajemnicy i zażądał od księdza przełożonego wydania skarbu. Przełożony, poczuwając się do winy, przy pomocy krewnych, zwrócił część skarbów, z czego podkomorzyc był wielce uszczęśliwiony, mogąc wystawić własnym sumptem zbrojny poczet rycerski na wyprawę krzyżacką. W bitwie

pod Grunwaldem odznaczył się męstwem, ocalając wodza swego z narażeniem życia własnego, za co zyskał pochwałę Jagiełły [1].

Z ostatnich lat pochodzi krótkie opowiadanie Mity Koliskównej [2]: »W niewoli u Krzyżaków« (Powiastka z czasów Władysława Jagiełły), przedstawiająca losy Jędrusia, syna Krzysztofa Wilka, zwanego przez Krzyżaków »Wściekłym«, który nieraz we znaki dał się Krzyżakom, podczas ich zdradzieckich napadów na graniczne wioski. Krótko przed bitwą grunwaldzką napadł oddział krzyżacki na zameczek Wilka, podczas jego nieobecności, załogę wymordował, przyczem także i żona Wilka zginęła, a małego Jędrzeja pojmano do niewoli. Jako jeniec znajduje się Jędruś w obozie krzyżackim pod Grunwaldem, skąd wysyłają go Krzyżacy do namiotu ojca, by mu oświadczył, że w razie połączenia się jego z Jagiełłą, Krzyżacy pozbawią go życia. Dzielny chłopiec nie wspomina o tem ani słowa ojcu, przenosząc śmierć, niż zdradę ojczyzny. W czasie bitwy, w tej samej chwili kiedy pierwszy Krzyżak ginie z ręki Wściekłego Wilka, jeden z niemieckich rycerzy w oczach ojca przeszywa mieczem ukochanego jego syna.

Istnieje też przeróbka »Krzyżaków« Sienkiewicza p. t. »Krzyżacy«. Powieść historyczna dla młodzieży pod kierunkiem autora ułożona (Warszawa 1901, [2]1905), ponadto dla dzieci przerobił Walentynian: »Ślub rycerski«, obrazek z przeszłości (*Przyjaciel dzieci*, 1901, nr. 3), samą nadto bitwę wydano w »Biblioteczce młodzieży szkolnej« (nr. 68, Warszawa 1908), w której umieszczono także opowiadanie z tej powieści p. t. »Jurand ze Spychowa« (nr. 80) i »Łowy w puszczy na niedźwiedzia« (nr. 95, tamże 1908).

[1] »Czasy jagiellońskie«. Obrazki i opowiadania na tle dziejów naszych dla ludu i młodzieży opracował Jan Tworzymir (Józef Chociszewski). Poznań 1903. »Niespodziewane skarby« na tle powieści M. Zielińskiej, s. 3—22.

[2] »Z dawnych czasów«. Powiastki z historyi polskiej dla dzieci od lat ośmiu. Warszawa 1905. Część II, s. 17—30; przedrukowane bez podania nazwiska autorki w *Dzwonku*. Gazetka dla dzieci. Dodatek do *Prawdy*. 1909 (Kraków) nr. 18—20, nadto w dodatku pod tym samym tytułem do *Górnoślązaka* 1909, nr. 17—19.

W lieraturze ludowej mamy stosunkowo bardzo mało utworów powieściowych, osnutych na tle bitwy pod Grunwaldem. Józef Grajnert w opowiadaniu: »O Czechu wojaku i o polskiej Hance«. Opowieść historyczna z czasów potrzeby grunwaldzkiej za Władysława Jagiełły (Poznań 1893), kreśli na tle wojny z Krzyżakami losy Czecha Janka, ciury w orszaku rycerza czeskiego Zoławy, który bierze udział w wyprawie polskiej. Janek raniony w spotkaniu z Krzyżakami, dostaje się do domu młynarza, gdzie leczy się z rany, doglądany troskliwie przez młynarza i jego córkę Hankę. Wyzdrowiawszy, spieszy do obozu polskiego, przyrzekłszy Hance, którą szczerze pokochał, że wróci, by ją pojąć za żonę. Jest następnie świadkiem boju grunwaldzkiego, który autor opisuje szczegółowo; w samej bitwie początkowo udziału nie bierze, gdyż Zoława, za wydalenie się jego z obozu wbrew zakazowi, wypędził go ze swego taboru, później jednak z kilkunastu parobczakami z sąsiednich wiosek, rzucił się z tyłu na Krzyżaków, zabijając im konie. Sam król oddaje mu publicznie pochwałę i pasuje na rycerza. Nie na tem jednak koniec przygód Janka: po bitwie dostaje się do niewoli krzyżackiej, ratuje się jednak z więzienia przy pomocy swego pobratymca, który dopomaga mu do ucieczki. Wierny przyrzeczeniu, wraca do Hanki, z którą za zezwoleniem ojca jej łączy się węzłem małżeńskim. Opowiadanie Grajnerta, jakkolwiek nie wolne od pewnych nieprawdopodobieństw w przedstawieniu losów bohatera, jest skreślone żywo, może też dać ludowi wcale dokładne pouczenie o bitwie grunwaldzkiej.

Tenże autor opisał wierszem: »Pomoc Bogarodzicy i Świętego Stanisława pod Grunwaldem« *(Dzwonek częstochowski* II, 1902, t. 8, s. 60—62), przedstawiając w nim przysłanie mieczy przez Krzyżaków, modlitwę wojska do N. M. Panny i św. Stanisława, a następnie w krótkości, zwycięstwo Polaków. Autor pisze wprawdzie:

Tak Niebios Królowa i Stanisław święty
U Boga zjednali, że padł wróg zacięty
I świętej Brygidy proroctwo ziszczone:
Że zęby Krzyżakom będą pokruszone:
Prawą rękę im odetną
I mieć będą przyszłość szpetną!

motywu jednak pomocy Matki Boskiej i świętego Stanisława zupełnie nie wykorzystał.

Niezłą powiastkę ludową napisał ks. Walenty Załuski p. t. »Młody Krzyżak«. Obrazek historyczny z czasów wojen Jagiełły (Warszawa 1903). I w tej powiastce, tak samo jak Grajnert, powiązał autor opis bitwy grunwaldzkiej z fabułą powieściową, przedstawiając losy młodego Krzyżaka Henryka, którym opiekuje się Otton Elner, kapłan niemiecki; o pochodzeniu Henryka opiekun jego nic nie wie pewnego. Ranny w bitwie pod Grunwaldem, dostaje się Henryk do domu Litwinki Julianny Linkowej, gdzie przy pomocy relikwiarzyka, zawieszonego na szyi jego gdy był jeszcze dzieckiem, pokazuje się, że jest Litwinem, Henrykiem Aleksandrem Ginwiłłą. Młody rycerz odzyskuje w ten sposób dziedzictwo ojcowskie Ginwiłłki i rodzinę, za co z wdzięczności dla Stwórcy, wystawia wspaniałą kaplicę obok rodzinnego zamku.

Poza tem wydano dla ludu kilka opisów bitwy według »Krzyżaków« Sienkiewicza [1].

W tym związku nasunąć się może pytanie, o ile zwycięstwo grunwaldzkie odbiło się w ostatnich czasach w poezyi ludowej i w podaniach naszych. Mimo gorliwych jednak poszukiwań, mogę na razie przytoczyć tylko dwa wierszyki, podawane jako wyjątki z pieśni ludowych, bliższych jednak szczegółów o powstaniu tych pieśni jako też miejscu ich pochodzenia podać nie umiem.

---

[1] 1) »Bitwa pod Grunwaldem, opisana w powieści Krzyżacy«. Lwów 1901. (Wydawnictwo ludowe, nr. 217, s. 64) i Lwów 1908, s. 72. — 2) »Bitwa pod Grunwaldem« (Ustęp z Krzyżaków). Polak na obczyznie. (Dodatek do *Dziennika berlińskiego*) 1901, n 40–44.—3) »Krzyżacy. Wyimek. Bitwa pod Grunwaldem«. *Praca* (Poznań) 1901, nr. 2. — 4) »Bitwa pod Grunwaldem według powieści H. Sienkiewicza Krzyżacy«. Wydawnictwo tygodnika *Ojczyzna*. Lwów 1903. — 5) Henryk Sienkiewicz: »Grunwald«. Wydanie pamiątkowe, wydane staraniem i nakładem lwowskiego Komitetu dla wskrzeszenia obchodu pamiętnego pogromu Krzyżaków w r. 1410. Lwów 1902. — 6) »Opis bitwy grunwaldzkiej« (Podług H. Sienkiewicza. Ojczyzna nasza. Kalendarz illustrowany na 1910 rok. Rok I. jubileuszowy p. t. Grünwald, pod redakcyą Antoniego Orłowskiego. Warszawa. 1909, str. 54—63. — 7) »Grunwald« (w części według Sienkiewicza z dodaniem ustępu o Piotrze Szafrańcu). Kalendarz Prawdy na rok p. 1910. Kraków 1910, s. 65—74.

Oto kilka wierszy z jednej pieśni, utrzymanej w tonie rubasznym:

Król Jagiełło, chwat nie lada,
Z Krzyżakami szedł na udry,
Nabił mistrza Konderada,
Pod Grunwaldem zdarł mu pludry [1].

Jeden nadto wiersz z innej jakiejś pieśni ludowej: »Król Jagiełło bił Krzyżaki« przytacza Rawiczanka [2], nie przytacza jednak o niej bliższych szczegółów.

Co do podań osnutych na tle bitwy, znam tylko jedno powstałe w Prusiech, związane z zamkiem krzyżackim w Christburgu, przytoczone przez Michała Wiszniewskiego na podstawie kilku kronik pruskich [3]. Komturem tego zamku w roku 1410 był Olbracht Szwarcburg (lub Otton z Sangerwic), który przestrzegał przed wojną z Jagiełłą. Kiedy wyruszał na wojnę, jednemu starszemu, pytającemu go, komu zamek powierzy, odrzekł: tobie i tym złym duchom, coście wojnę tę uradzili. Ów starszy, przerażony temi słowy, popadłszy w gorączkę, zmarł w dwa dni potem. Dusza jego poczęła się błąkać po zamku, a także dusze wszystkich innych Krzyżaków, którzy namawiali do wojny z Jagiełłą, zbierały się tutaj, tak, że żaden żyjący człowiek nie mógł w tym zamku mieszkać. W dwa lata po bitwie grunwaldzkiej przybywa do zamku, po dłuższej nieobecności w Christburgu, jakiś kowal z tej miejscowości. Pragnąc dowiedzieć się czegoś o duchach zamkowych, udaje się do zamku, gdzie spostrzega na moście komtura, który zginął w bitwie. Kowal myśląc, że ma przed sobą żyjącego człowieka, zapytał go, co się dzieje w zamku, o którym opowiadają takie dziwy. Komtur poprowadził go do wnętrza zamku, okazując mu zdrożności Krzyżaków, oddających się grze w kości i karty, obżarstwu, pijaństwu i rozpuście. Komtur poucza kowala, że z tych zdrożności poszła nędza Krzyżaków i każe opowiedzieć o tem wszystkiem wielkiemu mistrzowi. Kowal usłu-

[1] *Herold polski* 1910, nr. 13, s. 2.
[2] »Opowiadanie o bitwie pod Grunwaldem«. We Lwowie 1891, s. 3.
[3] »Historya literatury polskiej« I, 259 nn.

chał rozkazu komtura, wyszedł jednak na tem źle, gdyż wielki mistrz, nie uwierzywszy jego opowiadaniu, kazał go utopić.

Podanie to jest stosunkowo dość dawne, podaje je bowiem mnich gdański, Szymon Grunau, piszący kronikę swą w pierwszej połowie wieku XVI [1].

Inne podanie z okolic Grunwaldu i Tannenbergu podaje M. Bogusławska, według którego koń wielkiego mistrza zjawia się na polu bitwy w rocznicę pogromu i kopytem uderza w grobowiec swego pana [2].

Na Litwie i w okolicach Grunwaldu ma się przechowywać dziś jeszcze podanie o niedźwiedziu Perukajtisie, tak przywiązanym do młodego kniazia litewskiego Jana Gastołda, że po walecznej śmierci jego pod Grunwaldem, nie odstąpił od grobu pana swego, póki wyczerpany bólem, po roku, nie zginął. Wierność Perukajtisa uwieczniło przysłowie ludowe: Wierny jak grunwaldzki Perukajtis, nadto dwa napisy na grobowcu, mieszczącym zwłoki Gastołda, jeden polski, zachowany tylko fragmentarycznie.

Tu leży Jana Gastołdtowa
I Perukajta, niedźwiedziowa głowa,
Dwa wierne serca ludz(kie) i niedźwiedzie
Ten grób do nie(ba) . . . . . wiedzie!
Przechodniu!

Drugi w języku łacińskim:

Ursus Perukajtis hic iacet,
Fidelior homine et tacet! [3]

* * *

Taką dań złożyła poezya polska w przeciągu pięciu stuleci pamiątce wielkiego boju, dań uwitą z najrozmaitszych rodzajów poetycznych, od skromnych pieśni począwszy, do wzniosłych wierszy lirycznych, od nikłych zawiązków epicznych do wspa-

[1] Kronika. Tractat. XIV. cap. 9, 15 i Tractat. XV, c. 3, według cytatu podanego przez Wiszniewskiego.

[2] »Młodzi amatorowie«. I. Kraków 1910, s. 7, uwaga. Por. też wyżej Glińskiego: »Sen chwały«.

[3] Ludwik Glatman: »Perukajtis. Epizod z boju pod Grunwaldem«. Dodatek literacki do nr. 140 *Nowej Reformy*. 1910, str. III,

niałej epopei, powieści i utworów dramatycznych, nie zapominając o maluczkich i nizkich, wznosząc się przytem nierzadko na najwspanialsze szczyty artyzmu. I jest w tej mozaice różnorodnej ścisły związek, jest w niej wielki głos siły i dziwnej potęgi, świadczący o zrozumieniu ważności owej chwili dziejowej, uczący, jak ją mają przechowywać w pamięci pokolenia w pokolenia. Krzepi nas to wspomnienie na duchu i sercu i mimo woli dobywa z duszy naszej te piękne słowa wielkiego pisarza: »Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!« [1]

Dr. Wiktor Hahn.

---

[1] Sienkiewicz: »Krzyżacy«, II, 379.

BITWA.

Pamięci Ojca poświęca
Syn.

ILIADY PIEŚN V.

Wówczas Diomedowi Athene Pallada
Tydejdzie zaciekłości a potuchy nada,
By nad wszystkie Argiwy stanął okazały
Dzielnością i poczciwej dorobił się chwały.
W hełmie w tarczy nieśćmione zażegła mu płomię,
Nakształt jesiennej gwiazdy, co błyszcząc widomie
Wszechjaśniejsza skąpana w Okeanie świeci:
Taki mu blask nad głową i u ramion wznieci
I na sam środek bitwy stawia go bogini,
Kędy natarcie w tłumach najgęstszych się czyni. —
Był zaś niektóry Dares pomiędzy Trojany,
Kapłan Hefajstów, możny człek i bez przygany,
Dwu synów miał, wszelaką zdatnych walczyć bronią:
Fegeus a Idajos — rwąc się naprzód, gonią
Na Diomeda wozem, on zasię piechotą
Biegł k'nim po ziemi. Gdy się przybliżyli oto
Pędząc na się, Fegeus włócznią z długiem drzewem
Pierwszy cisnął; Tydejdzie nad ramieniem lewem
Ostrze włóczni świsnęło, ale nie trafiło.
Zaczem Tydejda spiżem prasnął z wielką siłą,
Lecz jemu z ręki pocisk nie wyleciał płono:
Pośrodku piersi bowiem ugodził go w łono
I z zaprzęgu na ziemię powalił go trupem.
Skoczył z wozu Idajos, ostawując łupem

Ślicznie działany rydwan; ani mu nie w głowie
Ciało brata ochraniać. Ledwie, ledwie zdrowie
Sam uniósł i od czarnej wymknął się zaguby;
Hefajst go zbawił, w pomrok zakrywając gruby,
Krom pociechy — by starzec nie ostał nijakiej.
Serdecznego Tydeja syn ujął rumaki,
I druhom oddał, by je zawiedli ochoczo
Ku wydrążonym statkom. — Skoro tedy zoczą
Synów Daresa obu wspaniali Trojanie
Że ten uciekł, ów zabit poległ przy rydwanie,
Wszystkim się od żałości serce krwią zalewa.
Wtem Athene za rękę jąwszy — złotobrewa,
Okrutnego Aresa, te słowa doń rzecze:
— »Aresie, o Aresie, co plemię człowiecze,
Tracisz, murów dobywco, krwią cały zbluzgany,
Nie poniechaćby ninie Achajów z Trojany,
Niech walczą, komu sławę Zeus rodzic przeznaczy —
I ujść stąd, gniewu Zeusa unikając raczej?!«
Rzekłszy, z bitwy Aresa dzikiego zabierze,
Zaczem na Skamandrowe sadza go wybrzeże.
Trojan zasię Danaje parli coraz gorzej.
Z ich wodzów każdy męża jednego położy:
Agamemnon wódz ludów Odjosa rozciąga
Alibantyjskie książę: wybił go z wasąga
Gdy ów końmi nawracał; włócznią w grzbiet go bodzie
Między łopatki — piersią wyszła zaś na przodzie;
Runął tedy z okropnym łoskotem jak długi,
Aż na nim zaszczęknęły blachy od kolczugi.
Idomenej, Fajstosa starł — Borosa syna —
Meońca, który stamtąd przybył, gdzie kraina
Skibnej Tarny. Ten właśnie na wóz kiedy siada,
Włócznią go Diomedej oszczepnik nielada
Przez prawe ramię zdzielił. I z wozu się toczy
Fajstos, a mrok ponury przesłania mu oczy;
Zbroję zeń Idomena złupili druhowie.
Od Menelaja włóczni padł ćwiczony w łowie

Strofiosów Skamandrios, łowca doskonały:
Artemida go sama uczyła, jak strzały
Na wszelakiego zwierza słać, który w gęstwinie
Ostępów górskich żywie. Lecz mu w niczem ninie
I Artemida strzelna i trafność pocisku
Nie płuży, z której odniósł chluby tyle w zysku;
Bo Menelaj Atrejda, kopijnik nielada
— Acz ów już tył podawał — pchnięcie włócznią zada
I pomiędzy łopatki w grzbiet go sam ubodzie,
Aże piersiami ostrze wyszło mu na przodzie
I twarzą naprzód runął jak długi z łoskotem.
Meriones — Fereklosa ubił zasię potem,
Co synem Harmonida był, cieśli nad cieśle
I ręką dziw niejeden konał w swem rzemieśle,
Bo go Pallas Athene w chęci swej łaskawej
Osobliwie chowała. On to przecie nawy
Aleksandrowi zdziałał, w równej pławne mierze,
Powód zła skąd się tyle klęsk dla Trojan bierze
I dlań — iże boskiego nie pojął wyroku.
Meriones pogonią dopędził go w skoku
I pośladek mu prawy nawskróś przeszył grotem.
Co pęcherz ku przodowi przebił — i wylotem
Przez kość wyszedł sromową; jęknął ów głęboko,
Na klęczki padł... wtem śmierć go przesłoni pomroką.
Pedajosa starł Meges — Antenorowica:
Choć bękart był, Theano jak własna rodzica
Wychowała go równo, jak rodzone dzieci,
Miląc się małżonkowi. Pozad nań doleci
I żgnie go Fileida, kopijnik nielada,
Ostrzem w kark niżej głowy. Spiż nawskróś przepada
Zęby rażąc i język; rymnął tedy srodze
W kurzawę, a spiż zimny zębem jeszcze głodze.
Tedy więc Euajmonów Eurypyl pokona
Boskiego Hypsenora, syna Dolopiona,
Co kapłan był Skamandra, mąż wzniosłego umu,
A czci nieomal boskiej zażywał u tłumu.

Jego więc Eurypylos Euajmonów hoży
W ucieczce dognał, wraz nań koncerzem się złoży,
Ciął w ramię, rękę do krzty odrąbał mocarną,
Że na ziem padła krwawa; jemu wzrok ogarną
Mroki czerwonej śmierci i straszliwa Dola.
Tak w trudach bitwy srogiej parli się przez pola.
Ale z kim był Tydejczyc — nie poznałbyś pono,
Zali z Trojańską trzyma z Achajską-li stroną,
Rwał bowiem po równinie podobien tej rzece,
Co w jesieni wezbrała i tamy precz miece
Rozhukanym swym prądem; ni groble najkrzepsze,
Ani od niw zielonych płot jej nie odeprze,
Kiedy wylała nagle od Zeusowej słoty
I pustoszy ratajów dojźrałe roboty —
Tak przed Tydejdą hufy Trojan się cofały
Krom odporu, acz on sam, ich zaś tłum był cały.
Lecz skoro Lykaonów syn go dojźrał hoży,
Jak błoniem rwie i w hufcach rozbitych się sroży,
Przeciw Tydejczycowi krzywy łuk napręża,
I na rozszalałego miota pocisk męża:
W sam prawy bark utrafił, w płat naramiennika,
Przykry bełt nawskróś blachy w żywe ciało wnika
I wnet pancerz opłynął czerwoną posoką;
Wonczas na całe gardło wznosząc głos wysoko
Z uciechą Lykaonów syn wykrzyknął hoży:
»Koniopędni Trojanie napierajcie sporzej,
Bo największy z Achajów ranion, a tej rany
Nie przetrwa. Mówię prawdę, jak to, żem wezwany
Szedł z Lykii na głos władcy, co z krwie zrodzon bożej!«
Tak on wołał w tryumfie. Jednak nie umorzy
Tamtego bełt ów ostry. Ustąpiwszy nieco,
Drogę zaszedł rumakom, co tam z wozem lecą
I mówić do Stenala Kapaneudy pocznie:
— »Stój, drogi Kapaneudo, zstąp z wozu niezwłocznie,
Byś mi z ramienia wyjął strzałę dolegliwą!«
Rzekł. Z wozu na ziem skoczył Stenalos co żywo,

Stanął przy nim i do cna wyrwał oścień z rany,
A krew strzyknęła ciurkiem przez pancerz druciany.
Diomed gromki głosem wraz w modłach powiada:
— »Usłysz mnie, dziewko Zeusa, co Ajgidą włada,
Niezłomna ty! Jak chęci swoje najłaskawsze
Dla ojca mego mając, chroniłaś go zawsze
W boju rzeźbie — Atheno, tak mnie sprzyjaj ninie,
Daj go zdybać, pod oszczep niech mi się nawinie
Mąż, co mnie zranił teraz i śmie butnie breszyć,
Że mi się blaskiem słońca niedługo się cieszyć!«
Tak się modlił, Athene słucha go — Pallada
Kolan i nóg mu gibkość i rąk tęgość nada
I z blizka doń lotnemi tak przemawia słowy:
— »Diomedzie, potuchy teraz nabierz nowej
Na walkę z Trojanami, bo tchnęłam ci w łono
Ojcowską wojowania chuć nieposkromioną,
Jak miał Tydej, pawężny harcerz zawołany,
I z ócz zdjęłam ci, — któreś miał na nich — blachmany,
Byś od człowieka boga rozeznawał snadnie;
Więc jeśli ciebie kusząc kto z bogów napadnie,
Strzeż się z nieśmiertelnymi bogami wojować,
Z wszystkimi zaś inszymi walki krwawe prowadź;
Chyba, że córa Zeusa najdzie się w pobliżu,
Afrodite w bój lecąc, — tę zrań ostrzem spiżu!«
Athene złotobrewa rzekłszy, precz odbieży,
A Tydejda wpadł między przedniejszych rycerzy.
Jeśli go wprzódy gnała Trojan bić ochota,
To nim teraz w trójnasób szał wojenny miota,
Jak lwem, co go przy owcach o kudłatej wełnie
Skotak w polu skaleczy miast ubić zupełnie,
Gdy zwierz górą wskakiwał w zagrodę do wnątrza,
A ninie rana jeszcze wściekłość w nim rozjątrza,
Tak iż pasterz już nie śmie zastąpić mu drogi,
Więc kryje się w szałasie, a stado drży z trwogi
Opuszczone i gęsto na kupie się tłoczy;
Więc lew rozjuszon, górą do zagrody skoczy —

Tak rozjuszon Diomed na Trojan uderzy.
Astynoj z Hyperionem, dwuch ludu pasterzy,
Wpadło mu w ręce. Tego włócznią w spiż okutą
Pchnął w piersi ponad sutką — tamtego zaś luto
Rąbnął mieczem ogromnym w obojczyk przy barku,
Tak iż ramię od szyi odstało i karku;
Niechał ich. Z Polyejdem Abanta zahacza,
Syny starego sennych widzeń wykładacza,
Eurydama. Lecz starzec, kiedy szli na boje
Nie wywróżył, że złupi z nich obudwu zbroję
Diomedes mocarny. — Zaczem prosto godził
Na Xantha i Thoosa; onych późno spłodził
Fajnopos, co przygnębion sędziwemi laty
Nie miał już inszych synów, by spadek bogaty
Zdać komu. A Diomed z obu wypędziwszy
Miły żywot — zdarł zbroje i żal najdotkliwszy
Ostawił rodzicowi, bo żywcem już chłopcy
Nie wrócą z walk, a mieniem podzielą się obcy.
Wtem dwu synów Priama dopadł niespodzianie,
Dardanica — na jednym jadących rydwanie:
Echemmona z Chromiosem. Jako lew drapieżnie
Gdy się rzuci na bydło i gardziel poderznie
Jałowicy lub krowie na paszy w gęstwinie,
Tak obu ich Tydejda gwałtem z wozu kinie,
A zbroję z nich złuskawszy, konie swej czeladzi
Oddał, która je z wozem do naw odprowadzi.
Widząc Ajnejas, iż ten wojsk zastępy niszczy,
Biegł pędem poprzez bitwę, poprzez las ratyszczy,
I szukał gdzieby nalazł boskiego Pandara;
Potkał Lykaonidę, w którym się przywara
Nijaka nie ostoi, wodza co się zowie,
Podszedł k'niemu i w takiej mówił doń osnowie:
— »Pandarze, gdzie łuk, bełty uskrzydlone w pierze
I sława, której nikt ci tutaj nie odbierze?
Ni w Lykii się nie chełpi nikt, by ponad ciebie
Strzelał celniej; wznieś ręce do Zeusa na niebie

A potem puść na męża tego lotną strzałę
Co wstręty zdziałał — mocarz — Trojanom niemałe,
Bo mnogo i szlachetnych mężów zbił z goleni;
Nie z bogów-li to który, co gniewem się pieni,
Że nie dosyć miał ofiar? Straszny gniew jest boży!«
Jemu więc Lykaonów syn powiedział hoży:
— »Ajneju cny, Trojanom rający rozumnie,
Co noszą śpiż u kolan; podobien jest u mnie
Hartownemu Tydejdzie po wszelakim znaku:
Po tarczy, po tulei długiej na szyszaku;
I zaprząg znam. Czy bóg jest, nie wiem bez ochyby,
Lecz mąż, o którym mówię — Tydejdą jeśliby
Hartownym był — tych czynów bez boga nie kona.
Z nieśmiertelników któryś mgłą sobie ramiona
Przesłonił, a przy mężu stanął tym w pobliży
I precz odbił w tamtego wysłany bełt chyży.
Toć już na niego strzałę puściłem z cięciwy
I w prawe-m trafił ramię, a grot przeraźliwy
Wskróś przebódł stal pancerza. Pewny byłem prawie
Mówiąc, że w Ajdoneja dom go dziś wyprawię;
Wżdym go nie pożył. Bóstwo znać w tem zagniewane!
Ni ja wozu ni koni, jakoż jezdno stanę?
Acz w Lykaona dworcu sporządzonych nowo,
Mam jedenaście wozów prześlicznych budową,
Kobiercami dokoła wysłane siedzenia,
A rumaków po parze, co ziarno jęczmienia
I orkisz chrupią — stoi przy każdym rydwanie,
Wszak Lykaon, rycerny starzec — na rozstanie
W pobudownych świetlicach przekładał mi wiele,
Bym na wozie, rumaczno, wybrał się na czele
Trojan Lykijskich, jadąc na wojnę zażartą.
Nie słuchałem, a rady słuchać było warto.
Koni mi było szkoda, że skąpą mieć paszę
Wśród oblężeńców będą — a rumaki nasze
Jeść zwykły suto. Tedy-m poniechawszy koni,

Do Ilionu szedł pieszo i łukowi w dłoni
Dufając. Łuk aliści na nic mi się przyda!
Już wodze dwaj: Tydejczyc, a przed nim Atryda
Postrzał mój wzięli, z rany krew im obu szczera
Trysła, i w obu wściekłość z mej przyczyny wzbiera.
W złą godzinę jam z kołka łuk zdjął zakrzywiony
W dniu, kiedym Trojan swoich wiódł gwoli obrony
Boskiemu Hektorowi pod Ilion uroczy.
Jeśli kiedy powrócę i ujźrę na oczy
Ojczyznę, żonę, dom swój o wysokim zrębie,
To niechaj cudzoziemiec głowę mi odrębie,
Jeśli onego łuku w rękach nie połomię
I nie rzucę na jasno gorejące płomię
Za to, że się tu za mną po próżnicy wlecze!«
Jemu Ajnejas, Trojan przywójca, odrzecze:
— »Nie mów tak, bo inaczej nie będzie dopóty,
Póki na tego męża, rozpęd wziąwszy luty
Na wozie z rumakami, nie uderzym bronią.
Siądź na mój wóz, a ujrzysz, jako rączo gonią
I tam i sam po błoniu Trojańskie bachmaty;
W pościgu, czy w ucieczce one od zatraty
Uwiozą nas bezpiecznie do miasta — jeżeli
Znowu Diomedowi Tydejdzie udzieli
Zwycięstwa Zeus. Więc może bicz i lśniące wodze
Ujmij ty ninie, ja zaś walczyć na wóz wchodzę,
Albo ty się onemu staw natarciem tęgiem,
A moją będzie rzeczą powozić zaprzęgiem«.
Jemu syn Lykaonów odpowiedział hoży:
— »Sam Ajneju, dzierż wodze i konie, bo sporzej
Pomkną z wygiętym wozem pod powóźcy dłonią,
Do którego przywykły; jeśli przed pogonią
Tydejowego syna uchodzić wypadnie,
Mogłyby się znarowić, spłoszywszy się snadnie
I możeby się z bitwy unieść nas wzbraniały,
Głosu twego nie słysząc. Tydejda wspaniały

Dopadłby nas i obu w starciu zbiwszy srogiem,
Wziął konie z niedzielonym na kopytach rogiem.
Sam tedy kieruj wozem i dzierż koniom wodze,
Ja zaś ostrą mu włócznią w potkaniu dogodzę«.
To mówiąc w rydwan wsiedli malowny wspaniale
I na Tydejdę sadzą rumakami w cwale.

(C. d. n.).

Lucyan Rydel.

OSTATNIE POSTĘPY MIKROSKOPII.

Że nauki przyrodnicze zawdzięczają swe olbrzymie postępy w ostatniem stuleciu w większej części rozwojowi techniki mikroskopu, każdy zdaje sobie z tego dobrze sprawę. Że powiększenia tysiąckrotne i jeszcze znaczniejsze umożliwiają obserwacyę najdelikatniejszej struktury i drobnoustrojów, których istnienia dawniej nawet nie przewidywano, że istnienie bakteryi na przykład i cała bakteryologia, to zdobycz, którą jedynie mikroskopowi zawdzięczamy, o tem niema dwóch zdań. Ale nie każdy może zdaje sobie sprawę z tego, że granica naszego widzenia wobec szczegółów drobnej struktury nie zależy jedynie od wydoskonalenia soczewek mikroskopu i od osiągnięcia jak najznaczniejszych powiększeń. Tem mniej temu dziwić się można, że przed kilkudziesięciu laty jeszcze sami uczeni o tę kwestyę się spierali. Rozpowszechnionem bardzo było przekonanie, może nie u wszystkich zupełnie świadome, że granica, do jakiej doszła wtedy technika mikroskopu, była jedyną zaporą, tamującą rozpoznawanie coraz drobniejszych przedmiotów i ich struktury, że skoro technika posunie się dalej w usuwaniu aberacyi sferycznej i chromatycznej, najgłówniejszych przeszkód do znacznych powiększeń, wszelkie tamy ograniczające naszą zdolność widzenia będą usunięte.

Dopiero teoretyczne badania Helmholtza, a dokładniejsza jeszcze teorya Abbégo z Jeny (1872) pouczyły, że granica widzenia nie jedynie od powiększenia zależy. Spuściznę Abbégo przejął i starał się rozpowszechnić i wydoskonalić instytut mikro-

skopii, założony przed ośmiu laty w Jenie, a zajmujący się tak stroną teoretyczną mikroskopu jak i praktycznem wydoskonaleniem techniki tego przyrządu. Że się instytut ten przyczynił do zdobyczy, jakiemi się szczyci ostatnich lat mikroskopia, to rzecz niewątpliwa; a przyczynia się również do rozpowszechnienia tych zdobyczy przez coroczne kursa, które po różnych miastach od kilku lat urządza.

Pierwszy taki kurs odbył się w Jenie w 1907 roku, w następnych latach w Wiedniu, w Berlinie i znów w Jenie miały miejsce, piąty z rzędu odbył się tego roku od 7 do 12 marca w Lipsku. Ogólna teorya powstawania obrazów w mikroskopie na podstawie dociekań Abbégo i badanie objektywów mikroskopowych (Pr. Ambronn), nowsze zdobycze na polu mikroskopii, jako to mikroskopia na ciemnem tle i ultramikroskopia (Siedentopf), mikrofotografia i fotografia pozafiołkowem światłem (Köhler) oraz sposoby badania metali, oto przedmioty, które, połączone z praktycznemi ćwiczeniami, zajmowały w tych kilku dniach siedmdziesięciu przeszło uczestników ostatniego kursu.

Warto zapoznać się nieco z tymi wynikami lat ostatnich, by poznać, jak twierdzenie Abbégo, któreśmy wyżej przytoczyli, nie odstraszyło badaczy od dalszych usiłowań, by módz coraz bardziej zgłębiać tajniki przyrody. Do zrozumienia tych wysiłków, musimy choć powierzchownie zaznajomić się z teoryą Abbégo.

Opierał się Abbé w swych teoretycznych rozważaniach na znanem od czasów Fraunhofera zjawisku uginania się światła. Według badań Fraunhofera promień świetlny, którego bieg jest wogóle w jednolitym ośrodku prostolinijny, przechodząc przez bardzo drobną strukturę, na przykład przez nader drobne szczeliny, rozdziela się na kilka promieni a raczej pęków świetlnych, z których główny idzie w niezmienionym kierunku dalej, inne uginają się od tego kierunku w jedną i drugą stronę o stałe kąty, zależne od delikatności struktury i od długości fali świetlnej. Tak więc dla światła białego promień główny będzie również biały, promienie ugięte będą zarazem rozszczepione czyli rozdzielone na swe pojedyńcze składniki barwne i utworzą widmo, bo im większa długość fali świetlnej (a wiadomo, że barwne składniki

białego światła mają coraz dłuższą falę, począwszy od światła fiołkowego aż do czerwonego), tem bardziej się światło ugięte odchyli. Zjawisko to zastosował Abbé do teoryi mikroskopu i wykazał, że do wytworzenia obrazu takiej delikatnej struktury, na przykład szeregu takich drobnych szczelin, musi wejść do systemu soczewek przedmiotowych, do tak zwanego objektywu, prócz głównego nieugiętego promienia, przynajmniej jeden z pęków promieni ugiętych, który, interferując z głównym promieniem, utworzy obraz oglądanej struktury.

Stąd od razu wynikała granica w rozróżnianiu drobnej struktury przedmiotów mikroskopowych. Przy prostem oświetleniu bowiem, gdy mianowicie promień główny wchodzi do objektywu w kierunku osi mikroskopu, promień ugięty, jeżeli ma także wejść do soczewki, nie może tworzyć z poprzednim kąta większego od prostego, a ściśle biorąc kąt ten musi być od prostego mniejszy. Skoro zaś odchylenie ugiętych promieni zależy od delikatności struktury oglądanego przedmiotu, przy przekroczeniu pewnej granicy już pierwszy z tych ugiętych promieni nie wejdzie do objektywu i rozróżnienie struktury stanie się niemożliwe [1]. Otrzymawszy więc powiększenie, dające możność rozróżnienia przedmiotów o długości około pół mikrona czyli pół tysięcznej części milimetra [2], doszliśmy do ostatecznej granicy widzenia przy pro-

---

[1] Oznaczywszy przez δ grubość struktury na przykład odległość szczelin od siebie, przez λ długość fali świetlnej w powietrzu, przez n spółczynnik załamania danego ośrodka, a przez u kąt, o który się uchyli pierwszy pęk promieni ugiętych (np. środek widma), mamy związek:

$$\delta = \frac{\lambda}{n \sin u}.$$

Skoro zatem kąt u nie może być większy od prostego ($\sin 90^0 = 1$), będzie dla przedmiotu znajdującego się w powietrzu ($n = 1$) mianownik naszego ułamka (od którego oczywiście zależy grubość struktury δ, dająca jeszcze się rozróżnić, i któremu dla swego znaczenia w teoryi mikroskopu nadano osobne miano apertury a czyli rozwartości optycznej) najwyżej równy jedności (a = 1 teoretycznie, praktycznie najwyżej a = 0·95), skąd otrzymamy jako granicę widzialności $\delta = \lambda$ (dla białego światła średnio $\lambda = 0{\cdot}5$ mikronów (μ) czyli $\lambda = 0{\cdot}0005$ mm).

[2] Osiągają dzisiaj wygodnie powiększenia do trzech tysięcy razy, zatem pół mikrona przedstawi się jako 1·5 mm w odległości dokładnego widzenia.

stem oświetleniu. Dalsze powiększenie nie miałoby celu, bo przedstawiałoby tylko przedmioty te same większe, ale szczegółów dalszych nie odsłoni.

Oczywiście, poznawszy ten fakt, silili się jednak badacze, by w jakiś sposób, że się tak wyrażę, obejść to prawo przyrody, a przyznać trzeba, że im się to w znacznej części udało [1]. Starano się naprzód rozwartość optyczną [2] powiększyć, używając zamiast powietrza jako ośrodka, w którem badane ciało spoczywa, innych substancyi o większym spółczynniku załamania [3] i zapełniano niemi przestrzeń między przedmiotem i objektywem. Tak powstały systemy tak zwane imerzyjne o rozwartości optycznej, sięgającej do 1·4. Nadto używanie światła o jak najkrótszej fali, na przykład fiołkowego [4], mniej odpowiedniego do badania subjektywnego, ale bardzo dogodnego do mikrofotografii, zmniejszyło granicę widzenia do 0·27 mikrona.

Dalsze stosowanie tej ostatniej zasady, o czem na pierwszem miejscu między nowszemi zdobyczami techniki mikroskopu mówić chcemy, doprowadziło do fotografii pozafiołkowem światłem. Wiadomo, że widmo słoneczne, otrzymane na przykład przez rozszczepienie w pryzmacie, zawiera cały szereg barw, od czerwonej o najdłuższej fali, do fiołkowej o fali najkrótszej. Ale działając na przykład widmem tem na płytę fotograficzną dostrzeżemy, że widmo rozciąga się dalej jeszcze, niż oko nasze stwierdzić może, aż do długości fali około 0·1 mikrona. Światło to, nie działające na oko nasze, wywiera jednak działanie na niektóre ciała, wprawiając je w fluorescencyę, działa również na płytę fotograficzną, i tej ostatniej własności użyto do mikrofotografii. Zajął się zwłaszcza od r. 1903 tą gałęzią mikroskopii Köhler w Jenie i wydoskonalił znacznie wszystkie do tego potrzebne przyrządy. Używał przeważnie do wywołania promieniowania pozafiołkowego iskry

[1] By dojść do dalszej granicy widzenia czyli do mniejszego δ, trzeba było albo licznik powyższego ułamka zmniejszyć, albo mianownik powiększyć; obu sposobów próbowano.

[2] Por. uwagę pierwszą.

[3] Dla wody $n = 1{\cdot}3$, dla olejku cedrowego $n = 1{\cdot}6$ i t. d.

[4] $\lambda = 0{\cdot}39\ \mu$.

elektrycznej między drutami z magnezu, dającej prócz niebieskiego światła także silne światło pozafiołkowe o długości fali 0·28 mikrona, więc prawie dwa razy krótszej od światła zwyczajnego. Że tak szkło, jak i używany często do preparatów mikroskopowych kanadyjski balsam, okazały się dla tego światła prawie nieprzepuszczalne, musiały być soczewki wszystkie i szkło przedmiotowe wykonane ze stopionego kwarcu i z flusszpatu, a cieczą imerzyjną była woda lub gliceryna. Do ustawienia mikroskopu używał Köhler ze względu na to, że światło przepuszczane do mikroskopu było dla oka niewidzialne, tak zwanego okularu fluorescyjnego, z płytką z substancyi, świecącej pod wpływem pozafiołkowego światła. Obraz na niej utworzony, choć do subjektywnego obserwowania dość niewyraźny, wystarczał do ustawienia mikroskopu przy pomocy lupy. Potem zastępował ten okular kamerą fotograficzną i wykonywał zdjęcia, które mógł, kręcąc śrubą mikrometryczną, rozciągnąć na kilka warstw preparatu. Że największa rozwartość optyczna używanych przez Köhlera objektywów wynosiła 1·25, mógł dojść do rozeznania struktury przedmiotów aż do granicy 0·22 mikrona, a przy skośnem oświetleniu nawet dalej, jak zaraz zobaczymy.

Nie na tem jedynie zasadza się doniosłość tego rodzaju mikrofotografii. Ważniejszą może jeszcze jest z tego względu (a spotkamy się z podobnym faktem niżej), że skutkiem różnego zachowania się ciał względem promieni widzialnych i pozafiołkowych, dozwala niekiedy fotografować w stanie naturalnym takie preparaty, które do subjektywnych spostrzeżeń muszą być dopiero sztucznie zabarwiane. Jak ważnym to jest czynnikiem w mikroskopii, poznać można choćby z tego, że przedmioty zabarwione obserwujemy już w stanie nieżywym, że nadto barwiki różne często dość znacznie strukturę ciała zmienić mogą.

Inna zdobycz czasów ostatnich, a przynajmniej jej lepsze zrozumienie i stosowanie w szerszych ramach, to tak zwana mikroskopia na ciemnem tle. Już około roku 1840 dostrzegł Reade, że przy skośnem oświetleniu zdolność rozpoznawcza mikroskopu wzrasta do pewnej granicy, potem nagle obrazy, które były ciemne na jasnem tle, stają się jasne na tle ciemnem. Dopiero teorya

Abbégo zjawisko pierwsze wytłumaczyła i okazała, że przy skośnem oświetleniu w najdogodniejszych warunkach zdolność rozpoznawcza wzróść może w dwójnasób [1]. Drugie zjawisko, które, jak wnet zobaczymy, okazało się też płodne w swych skutkach, polega na tem, że gdy kąt padania promieni oświetlających przewyższy rozwartość soczewki, żadne promienie już wprost do niej się nie dostaną, pole widzenia stanie się zatem ciemne. Promienie ugięte od obserwowanych przedmiotów wejdą jednak do mikroskopu, przedmioty te okażą się jasne na tle ciemnem, jak gdyby same były ciałami świecącemi.

Na tej zasadzie polega dziś coraz więcej używana obserwacya na ciemnem tle, której wydoskonalenie jest dopiero owocem lat ostatnich. Póki rozwartość objektywów była mała, wystarczało ustawić skośnie światło do uzyskania ciemnego tła. Gdy jednak wydoskonalona technika mikroskopu dozwala objektywom przyjmować coraz skośniejsze promienie, okazał się ten prymitywny sposób niewystarczający, bo wszedł w kolizyę choćby ze stolikiem o skończonej grubości, na którym przedmiot spoczywa. Zaczęto więc myśleć o innych drogach do skośnego oświetlania przedmiotów. Jedni, jak Cotton i Mouton 1903 r. [2] używali całkowitego odbicia promieni o szkiełko nakrywkowe, przedmiot sam był oświetlony ale promienie idące od źródła światła, odbiwszy się całkowicie na granicy między szkłem a powietrzem, nie dostawały się do objektywu. Inni jak Siedentopf i Zsigmondy, oświetlali przedmiot wązką szparką pod kątem prostym do osi mikroskopu. Inni uży-

[1] Wróćmy do naszego związku dla promieni ugiętych i do twierdzenia Abbégo, że wystarczy do wytworzenia obrazu, by prócz nieugiętego promienia jeden tylko z ugiętych pęków wszedł do objektywu. Dostrzegamy natychmiast, że oświetlając przedmiot skośnie, tak by promień główny stał się jednym z granicznych, choć pierwszy promień ugięty tworzyć będzie kąt dwa razy większy od poprzednio przyjętego, jeszcze będzie mógł wejść do objektywu. Otrzymamy w granicy:

$$\delta = \frac{\lambda}{2n \sin u} = \frac{\lambda}{2a}$$

Może być zatem w ten sposób zdolność rozpoznawcza w dwójnasób powiększona.

[2] Cotton et Mouton: *Les ultramicroscopes, les objects ultramicroscopiques*. Paris. Masson 1903.

wali diafragmy środkowej, założonej czyto w objektywie samym, czyto w kondensatorze, to jest w układzie soczewkowym, służącym do zbierania promieni, by silniej przedmiot oświetlić. Diafragma taka zatrzymuje promienie idące wprost od źródła światła, a dopuszcza do objektywu lub do oka tylko ugięte promienie. Wydoskonaleniem tego ostatniego sposobu są Siedentopfa kondensator paraboloidowy lub kardioidowy i Ignatowskiego kondensator kulisty (Spiegelkondensor).

Wyższość mikroskopii na ciemnem tle, zwanej też ultramikroskopią dla przyczyn, o których niżej, nad mikroskopią zwyczajną polega naprzód na tem, że wobec większego kontrastu między ciemnem tłem a oświetlonym przedmiotem łatwiej obserwować szczegóły struktury; nadto, jakeśmy wyżej wspomnieli, zdolność rozpoznawcza mikroskopu w dwójnasób się powiększa, wreszcie dozwala ta metoda obserwować niezabarwione sztucznie preparaty (więc też w stanie żywym), które dotychczas tylko po zabarwieniu do obserwacyi się nadawały. Tak na przykład żywe bakterye, w przechodzącem świetle dla swej przeźroczystości ledwo dostrzegalne, lub nawet wcale niewidzialne, na ciemnem tle jasno się pokazują.

Tym więc sposobem dojść może wydoskonalona technika mikroskopii do granicy widzialności około 0·1 mikrona. Lecz czy na tem już koniec? wszak są żyjątka, na przykład bakterye, które nie przekraczają tych wymiarów, a przecież i one muszą być uorganizowane, przecież nie mamy prawa twierdzić, by nie istniały jeszcze mniejsze żyjątka. Czy przynajmniej ich istnienia jakimś sposobem poznać nie możemy, czy nie umiemy się zbliżyć do granicy widzenia takiej, któraby mniej była odległa od rozmiarów cząsteczek wodoru na przykład, wynoszących według teoretycznych obliczeń w średnicy około 0·0001 mikrona? Jeżeli chodzi o rozpoznanie kształtu, wielkości lub struktury takich cząsteczek, leżących poniżej granicy wyżej podanej, musimy odpowiedzieć na ostatnie pytanie przecząco, i niema nawet widoków, według powyżej przytoczonej teoryi, by można się kiedykolwiek dalej posunąć. Jeśli zaś chodzi o poznanie samego istnienia takich cząsteczek, zajmuje się tem ultramikroskopia, czemu zawdzięcza swoją nazwę.

Gdy jasny promień słoneczny pada przez szparę okiennic do ciemnego pokoju, stojąc z boku, widzimy bieg promienia skutkiem posuwających się w nim cząsteczek pyłu, któreby inaczej nie dały się gołem okiem rozpoznać. Tu kontrast ciemnego tła pokoju i jasno oświecowych cząsteczek dozwala nam je dojrzeć. Coś podobnego zachodzi też przy obserwacyi mikroskopowej na ciemnem tle. Gdy cząsteczki mniejsze są niż 0·1 mikrona, nie mogą tworzyć obrazu, jednak gdy są silnie oświetlone, z powodu kontrastu z ciemnem tłem drażnią naszą siatkówkę i skutkiem tego dadzą znak swej obecności, zobaczymy jasny punkcik lub kółko większe lub mniejsze, zależnie od natężenia oświetlenia, podobnie jak spostrzegamy gwiazdy z powodu ich jasnego światła, choć ściśle mówiąc ich kąt widzenia jest za mały, by prawdziwie widzieć się dały. Oczywiście że o strukturze lub kształcie, a nawet o wielkości tych cząsteczek nic powiedzieć nie możemy, bo wielkość krążków zależeć będzie jedynie od natężenia oświetlenia. Cząsteczki podłużne lub ostre brzegi struktury przedmiotów większych przedstawią się znów jako paski świetlne, o których rzeczywistej szerokości również nic nie będziemy mogli mówić. A jednak i te zjawiska, choć tak niedoskonałe i niedokładne, już dotychczas niemałe usługi oddały wiedzy.

Pierwszy stosował tę metodę Zsigmondy do badania koloidalnego roztworu czyli zawiesiny złota lub innych metali na przykład w szkle tak zwanem rubinowem lub w jakichś rozczynnikach. Poznał tym sposobem, co już przedtem przypuszczano, że szkło takie, wydające się zupełnie przeźroczyste i jednolite o pięknej barwie czerwonej, tworzy się skutkiem zawiesiny bardzo subtelnych cząsteczek złota, mniej więcej równomiernie rozmieszczonych w całej masie szklistej. Zapomocą żmudnych pomiarów i liczenia cząsteczek doszedł nawet do określenia ich przypuszczalnej wielkości: najdrobniejsze dostrzegalne cząsteczki mogły wynosić w średnicy około 0·006 mikrona. Badania te były pierwszym krokiem w nowym rozwoju chemii koloidów, która dziś już zupełnie tę metodę sobie przyswoiła.

Niemniej zastosowano ten sposób badania w naukach biologicznych, do badań ciał białkowych i innych. Sposób ten przy-

dał się do poznania istnienia bakteryi ultramikroskopowych, których istnienie tylko przypuszczano, do bliższego poznania ruchów cząsteczek w zawiesinach, tak zwanych ruchów Braunowskich, do stwierdzenia ich analogiczności z ruchem molekularnym, który przyjmuje teorya kinetyczna materyi i do określenia wielkości tych ruchów.

Tak więc i świat ultramikroskopowy, że tak nazwiemy wszystko, co przechodzi swą maleńkością granicę widzenia, dał się poznać, wprawdzie w bardzo niedokładnych zarysach i bardzo zagadkowych, zwłaszcza co do wymiarów. Niemniej jednak, jeżeli porównamy wielkość cząsteczek złota na przykład, dających się jeszcze spostrzedz, z poprzednio podaną granicą widzenia, przyznać musimy, że to wielki krok naprzód w badaniu tajników przyrody.

Ks. Józef Sawicki.

Wpływ „transfiguracyi“ Słowackiego w r. 1842/3 na nową koncepcyę bohaterstwa w „Księdzu Marku“ i „Śnie srebrnym Salomei“.

Biada człowiekowi, któryby nie oświecony jasnością Chrystusową nowej epoki, zaczął rewolucyę polską, nową męczarnię ludu polskiego.

J. Słowacki: »Dzieła«, t. X, 322, wyd. Gubrynowicza i Hahna.

»Walkę stoczyć będziesz musiał, duchu czytelnika z duchem poety.« Tak pisał Słowacki w przedmowie do dalszych rapsodów »Króla Ducha«, a słowa te umieścićby trzeba na wstępie wszystkich dzieł, w których duchy największe treść swą najistotniejszą złożyły. Albowiem nie rozsypały skarbów swych dla tych, którzy w chwilach wolnych od zajęć lekkiej i łatwej pożądają przyjemności, ale dla tych, którzy zechcą iść śladem myśli i uczuć twórcy, przeżywać bole jego, toczyć jego walki, i trofea jego zwycięstw duchowych częściowo przynajmniej zdobywać dla siebie. A warto walkę stoczyć, by wejść w królestwa ducha tego, co odziany w płaszcz świetnościami przodków świetny, z mistycznym blaskiem oczu śpiewał »rzeczy przeminięte i wielkie duchów świętych wojny święte...«

Tak zaczyna swą rozprawę o »Królu Duchu« J. Słowackiego dr. J. Kleiner [1], najmniej fantastyczny, a jeden z najbardziej krytycznych i ścisłych badaczy skarbów twórczych autora »Ks. Marka«.

Sąd powyższy jest głęboki i prawdziwy. Prawdziwy nie tylko, gdy chodzi o pisma poety z t. zw. okresu mistycznego

[1] »Pamiętnik literacki«. Lwów 1909, p. 56.

(1842—49), ale nawet gdy mamy na myśli większą część dzieł lat poprzednich, np. taką »Godzinę myśli«, »Kordyana«, »Horsztyńskiego«, »Wacława«, »Dantyszka«, »Anhellego«, »Balladynę«, »Lillę Wenedę«, »Beatrix Cenci«, »Fantazego«, »Beniowskiego«, »Złotą Czaszkę« i t. d. Sąd to także głęboki, bo tylko ten zdolny będzie, nie zrozumieć, ale odczuć i ściśle ocenić poetyckie wzloty Słowackiego, kto z duchem jego potrafi walkę mocarną stoczyć, i najpiękniejsze, najczystsze i najprawdziwsze jeno tchnienia jego ducha ukochać.

Owe najczystsze i najprawdziwsze natchnienia stęsknionej do ideału piękna, dobra i prawdy duszy poety znajdują się wprawdzie rozprószone po krętej linii tułaczego żywota tego wielkiego samotnika już od lat najwcześniejszych, ale koncentrują się, jak promienie w ognisku, jak gwiazdy na drodze mlecznej, dopiero na przestrzeni ostatnich siedmiu lat jego pielgrzymstwa do »Jeruzalem słonecznego«, między r. 1842—49. — Datą przełomową i w życiu i w twórczości poety jest pierwsza jego wizyta u A. Towiańskiego dn. 12 lipca 1842[1]. Pod tym względem zgodne są zdania wszystkich badaczy życia, pism i ducha poety; a listy i utwory Słowackiego z najbliższych po onym fakcie chwil są aż nadto wymownym, historycznym dokumentem.

Gdy atoli chodzi o określenie charakterystycznych cech i objawów tej zmiany, czy to w życiu poety, czy w jego twórczości, to zdania, sądy, opinie badaczów Słowackiego są bardzo niezgodne, a nawet często wręcz przeciwne. Sprzeczności te mają swe źródło w powolnej ewolucyi krytyki literackiej w stosunku do niezmiernie skomplikowanej psychiki Słowackiego, w niekompletności poprzednich wydań jego pism, jako też w zmianach poglądów na kwestye artystyczne i zagadnienia z dziedziny religii, filozofii, bytu narodowego i t. p. u samych krytyków, należących pod tym względem do najróżnorodniejszych obozów. — Niniejsza, pierwsza i wstępna zarazem, część tej rozprawy przedstawi w słowach samych krytyków

[1] J. Tretiak: »J. Słowacki«. Kraków 1904. t. 1, p. 376.

lub historyków żywota i pism Słowackiego ich poglądy na te lata twórczości poety. Aby jednak ograniczyć się do cytat najkonieczniejszych, pominę prace drobniejsze, mniej oryginalne lub jedynie sprawozdawcze, a powołam się głównie na pierwszorzędnych przedstawicieli historyi literatury i krytyki estetycznej, lub takie znamienne i samoistne rozprawy, które wyrażają zasadniczo odmienne od tamtych poglądy, będące oddźwiękiem i odbiciem bardzo doniosłych prądów, w społeczeństwie naszem nurtujących. Celem tej części wstępnej mej pracy jest stwierdzenie faktu zamętu, jaki zapanował w nauce historyi literatury w zakresie poglądów na tak zwany »mistycyzm« Słowackiego. — Po tej żmudnej lecz niezmiernie pouczającej wędrówce, określę dokładniej przedmiot i cel dalszych części tej rozprawy.

I.

»Transfiguracya« Słowackiego w oświetleniu badaczy jego życia i pism od 1866. do 1910. r.

Najstarszy biograf poety, A. Małecki, choć jeszcze nie znał dokładnie okoliczności, wśród których Słowacki zbliżył się do Towiańskiego, to jednak wyraźnie zaznacza,[1] że »już w ciągu miesiąca lipca 1842 r. w Słowackim stanowcza zmiana zajść musiała... Od owego czasu począwszy, usposobienie naszego poety zmieniło się zupełnie, a sądy jego o tem wszystkiem, co się działo około Mickiewicza, ustąpiły miejsca zgoła innym wyobrażeniom«. I nieco niżej[2]: »Człowiek ten odtąd przestał prawie już żyć dla otaczającego go świata. Nic go już na nim nie zajmowało. Wszystkie myśli jego krążyły jedynie koło pojęcia Boga, Ojczyzny, przyszłości rodu ludzkiego, słowem koło zagadnień doktryny...[3]

W rok po wydaniu pierwszem dzieła Małeckiego o Słowac-

---

[1] A. Małecki: »J. Słowacki...« Lwów 1901. t. III, p. 55., wyd. III.

[2] P. 59. o. c.

[3] Od r. 1866., w którym dzieło Małeckiego wyszło w I. wydaniu, sądy powyższe uległy znacznym zmianom. Rażą one dziś, w III. jeszcze wydaniu, wielu niedokładnościami.

kim zabrał głos w tej sprawie młody podówczas krytyk literatury i polityk, S. Tarnowski, i w szeregu powabnie napisanych rozpraw wypowiedział swój sąd o pracy Małeckiego i o całej działalności poetyckiej autora »Króla Ducha«. Przy okresie towianizmu zatrzymał się dłużej, ale roztrząsał przeważnie kwestyę pobudek, które, jego zdaniem, pociągnęły Słowackiego do mglistych majaków doktryny Towiańskiego; a lekko tylko, jakby mimochodem, podkreślił jedynie ujemny wpływ owej nauki na twórczość poety. Oto jego słowa[1]: »Skutkiem (przyjęcia towianizmu przez Słowackiego) było zupełne rozprzężenie ducha: pod wpływem tych nauk stracił już (poeta) do reszty wszelką nad swoją myślą władzę i kontrolę. Zawsze skłonny do marzeń, zawsze przywidzeniom przystępny, zawsze pochopny do fantastycznych urojeń i gotów pomysłom swoim przypisywać wagę i znaczenie wyższych natchnień i intuicyi, skoro się spotkał z doktryną, która te jego upodobania podnosiła do godności dogmatu i przypisywała im moc odrodzenia ludzkości, musiał on instynktom tym dać folgę i popuścić wodze; i odtąd cokolwiek mu się przez rozmarzoną głowę przesunie, to dla niego jest rozkazem, »pchnięciem« bożego ducha; co się wylęgnie w mglistej i rozbrykanej fantazyi, to rewelacya prawdy jakiejś, ludziom zakrytej. Marzenie wydaje mu się natchnieniem, przywidzenie objawieniem, a on sam naczyniem wybranem, któremu Duch św. prawdy swoje odsłania na to, by przez nie dostały się do ludzi... Od chwili też, kiedy za sprawą mesyanizmu Słowacki uwierzył w swój bezpośredni z Duchem św. stosunek, przestaje zupełnie przebierać między swoimi pomysłami, przestaje je sądzić, przyjmuje wszystkie bez krytyki, bo to już nie jego myśli, ale tchnienia ducha, których ani zmienić, ani zataić nie wolno.

Niech się twa dusza, jako dolina, położy:
A wnet po niej, jak rzeka, popłynie Duch Boży.

[1] *Przegląd Polski*, r. 1867, grudzień, p. 387—689. O tej krytyce dzieła Małeckiego pisze prof. B. Gubrynowicz: »Książka Małeckiego wywołała świetną ocenę krytyczną S. Tarnowskiego, który w znamienne cechy twórczości Słowackiego wniknął głęboko, artyzm jego ocenił nader subtelnie, a z poglądami politycznymi stoczył walkę zaciętą, starając się wykazać ich kruchość i bezpodstawność«. Por. *Gazetę lwowską* 1909 r., 248. n.

Aforyzm ten Mickiewicza zastosowuje Słowacki bezwzględnie i ślepo. Dusza jego zachowuje się biernie i bezczynnie, leży, jak dolina i czeka na inicyatywę, na rozkaz ducha: a za rozkaz taki bierze poeta wszystko, co się jego duszy w tym półśnie przyśni lub przywidzi... Nastaje jakby rozszczepienie jego ducha na dwa. Jeden ten, który pisze, sługa, narzędzie, kanał słowa Bożego, pokorny, posłuszny, pozbawiony swojej woli i odpowiedzialności; drugi ten, który dyktuje, pan samowładny pierwszego, który za tamtego myśli i chce, który mu wszystko objawia, podpowiada i głosić każe: Duch św. w mniemaniu biednego poety, a w rzeczywistości i w prawdzie duch jego własny, jego własna fantazya rozkiełznana, zbuntowana przeciw prawdzie, przeciw rzeczywistości, przeciw historycznym, religijnym i psychologicznym pewnikom, która stanowczo opanowała jego sąd, jego rozum i jego wolę.

Smutny zaiste widok takiego ducha w takiej niewoli u jednej z własnych jego władz, z jego sług i poddanych; smutny, ale nauczający, bo pokazuje, jak człowiek, nawet wyższy, może stracić, wyrzec się, wyzuć się nawet z najkosztowniejszych swoich przyrodzonych darów: z sądu i woli, jeżeli ich w sobie szanować nie umie, jeżeli ich nie dopuści do tego w swojem wewnętrznem jestestwie znaczenia, jakie się im z woli Bożej, z prawa ludzkiej natury należy. U Słowackiego były te dwie szlachetne iskry Bożego ducha zawsze w poniewierce; zawsze tlały tylko, przywalone popiołami władz podrzędnych i niższych; nigdy on ich rozetlić się nie starał, nigdy ich nie strzegł, nigdy dostatecznie nie używał: doszedł też wkońcu do tego, że ze swoim rozumem i wolą stał się służebnikiem swego sługi, że stracił nieledwie to, co jest człowieka najszlachetniejszem piętnem i najdroższym klejnotem: odpowiedzialność za to, co robi.

Żal o tem mówić, bo nic smutniejszego, jak rozstrój i upadek wielkiego ludzkiego umysłu. W tym wypadku jest to tem smutniejsze, że kiedy myśl staje się coraz mniej jasną i coraz mniej siebie świadomą, to uczucie i dążenie poety zostaje zawsze pięknem i szlachetnem, a jego dobra wiara nieposzlakowaną, wyższą nad wszelkie podejrzenie; że jego wola, ta biedna wola tak haniebnie poddana urojonego ducha rozkazom, tak zostaje czystą

i dobrą, tak wiernie, tak gorąco pragnie służyć Bogu, Prawdzie, Dobremu, Ojczyznie, Ludziom, że drobnieją nawet wady jego temperamentu, a usposobienie staje się łagodniejszem i spokojniejszem, i że to uczucie, ta dobra wiara, ta szlachetna wola na taką wychodzą niegodną igraszkę przywidzeń i mrzonek, iż nam przyniosą, na przykład »Króla-Ducha«, i powiedzą: »Oto tajemnica początku i końca, alfa i omega świata i Ojczyzny!...« Większość utworów Juliusza z tego czasu... są dziełami umysłu w rozprzężeniu i rozkładzie«.

Dwa powyższe sądy najstarszych badaczy Słowackiego życia i pism, — profesorów Małeckiego i Tarnowskiego, — wspólne mają podłoże: obaj bowiem krytycy widzą w duszy Słowackiego od lipca r. 1842. zmianę, ale na gorsze, bo rozkład, rozprzężenie, wprost dziwną niepoczytalność, co wszystko, ich zdaniem, wyraźnie przebija się w dziełach tego okresu; to rezultat ujemny towianizmu; — natomiast w samem życiu poety, w usposobieniu jego, charakterze, nawet w temperamencie, a zwłaszcza w stosunku do »bliźnich«, upatrują również zmianę, ale — pod względem moralnym — zmianę poniekąd na lepsze: słowem, w kierunku intellektualnym, ideowym i artystycznym zauważają: deformacyę i dekadencyę — a w kierunku etycznym, moralnym: reformacyę, elewacyę, poniekąd »transfiguracyę« w ewangelicznem po części rozumieniu.

Pierwszy ten sąd o »mistycyzmie« Słowackiego, wypowiedziany przez największe naówczas powagi historyczno-literackie, stał się kamieniem węgielnym, owszem wyrocznią niemal, którą przyjęto za pewnik, za przesłankę zasadniczą do snucia dalszych, coraz cieńszych nici... wyroków, opinii, twierdzeń o duszy poety i duchu jego pisarskiej działalności w latach 1842—1849. Inne wrażenia z tego okresu natchnień twórczych Słowackiego, inne »doznania« lub wyznania o nim spotkać można jeno wśród głosów nielicznego grona wielbicieli poety, głośniejszych lub mniej głośnych, również poetów[1] z lat od 1861—1875. Aż do poja-

[1] Por. W. Hahn: »J. Słowacki w poezyi polskiej« (antologia). Lwów 1910, np. str. 13, 15—20, 23—24, 25—32, 33, 35, 38.

wienia się dzieła prof. M. Zdziechowskiego p. n. »Mesyaniści i Słowianofile« (Kraków 1888) pogląd na »mistyczne« dzieła twórcy »Genezis z ducha« zasadniczej zmianie nie uległ.

Wprawdzie r. 1877. ogłosił P. Chmielowski rozprawę p. t. »J. Słowacki Towiańczykiem« [1], w której wyłącznie zajął się wyjaśnieniem psychologicznem przemiany, pod wpływem doktryny Towiańskiego dokonanej w duszy autora »Króla-Ducha«; ale, jako wyobraziciel ówczesnego »pozytywizmu«, tłumaczył skutek i przejawy tej mistycznej metamorfozy na zimno, z pewną domieszką sceptycyzmu i politowania, choć zużytkował w swem studyum materyały nowsze i obfitsze, aniżeli Małecki i Tarnowski. Podobnie jednak, jak i poprzednicy, podkreśla Chmielowski doniosłość zmiany w usposobieniu poety w latach ostatnich. »Wydanie »Beniowskiego« w r. 1841. — powiada on — zakończyło pierwszy, pełen dramatów wewnętrznych okres życia wielkiego Juliusza. Potem nastąpiła w nim zmiana... Od r. 1842. aż do końca życia zarówno w utworach, przeznaczonych do druku, jak i w poufnych listach do matki, nie »zmienił się wprawdzie Słowacki z gruntu, tak, że go poznać niepodobna«, boć to jest frazes tylko bez umiejętnego znaczenia; ale wykazał przynajmniej tyleż różnic, co i podobieństw, w porównaniu z usposobieniem swojem dawniejszem. Pozostała mu taż sama co i dawniej zachwycająca wyobraźnia, która miała na posługi styl błyszczący i oryginalny; lecz wyobraźnia ta bujała teraz z niczem niepohamowaną swobodą i drwiła sobie ze zwykłych przepisów rozumu, a zwłaszcza rozsądku. Pozostała mu duma tytana, lecz stała się tytaniczniejszą..., bo się pozbyła dawniejszych słabostek próżności i pozowania, a podniosła się i uświęciła tem głębokiem przekonaniem, że była jedynie narzędziem woli Najwyższej. Pozostało mu uczucie zmienne i fantastyczne, lecz już przestało boleć smutkami wymarzonymi i chorobliwymi, a zaczęło się przyzwyczajać do dzielenia boleści rzeczywistych, do zachowywania pogody we-

[1] Przedrukowana na nowo w tegoż autora »Studyach i szkicach«. Kraków, t. II, 1886.

wnętrznej i spokoju. W charakterze jego, duch i zdolności inicyatywy nie zajęły miejsca zwykłej bierności, ale go z apatyi dla ruchów ogólnych wydobyły i uczyniły pochopniejszym do czynu, wyrażającego się naprzód w odezwach i przemowach, a potem nawet i w udziale, jaki brał Słowacki w pracach zbiorowych...« [1] Tak określa Chmielowski samą istotę omawianej tu »transfiguracyi« poety po roku 1842. A jej o b j a w y zestawia pod koniec swej pracy w następującym rzucie oka: »Udoskonalenie ludzi przez miłość, zdarcie z nich grubej skorupy ziemskiej przez natężenie ducha, wypędzenie ze świata fałszu wszelkiego, rozpowszechnienie prostoty i anielstwa; obudzenie potęg wszechmocnych w duszy człowieka przez wiarę w możność dokonania rzeczy nadzwyczajnych; pewność, jaką daje przekonanie o wielkiem posłannictwie osób pojedynczych i narodów na ziemi: oto węzły potężne, które poetę do doktryny (Towiańskiego) przykuły i propagatorem jej gorliwym uczyniły« [2]. Nacisk, położony tu przez pozytywistę na stronę e t y c z n ą dążeń poety, bez uwzględnienia strony d o g m a t y c z n e j, jest znamienną cechą naukową pisarzy tego oboziku, wyznającego w religii tak sprzeczny z naturą ludzką wogóle, a co dopiero Słowackiego w owej dobie życia, — agnostycyzm!

Rok 1884. przyniósł w wydaniu d-ra Biegeleisena pod tytułem »J. Słowacki. Pisma pośmiertne« — poprawniejszy przedruk »Genezis z ducha« — oraz nieogłoszone dotąd: »List do J. N. Rembowskiego«, »Wykład nauki« i »Dziennik« 1847—9. r. wraz z obszernym wstępem wydawcy. W tym wstępie po nakreśleniu sylwetki »paryskiego dandysa«, Słowackiego, po ogłoszeniu »Beniowskiego«, zauważa też Biegeleisen, bez podania jednak terminu *a quo*, wyraźną w życiu poety metamorfozę:

»W owym czasie (więc chyba pod koniec 1841., bo o tym roku była mowa poprzednio!) następuje reakcya w życiu Juliusza... i z wesołego, światowego młodzieńca wybił się na »wewnętrznego« człowieka, etycznie głębokiego i szlachetnego. Zmiana ta nie była tak gwałtowną, jakby sądzić można z dochowanych źró-

[1] P. Chmielowski: »Studya i szkice«, t. II. Kraków 1886, p. 226—227.
[2] O. c. p. 252.

deł« (str. V—VI.). Oczywiście w r. 1841. nie była »gwałtowną«, bo jej może wcale nie było. To też z dziwną konsekwencyą autor pisze dalej na tejże stronie: »Brat i sługa sprawy Bożej, stojący silnie przy sztandarze Chrystusowym, zatopiony w »pracy wewnętrznej« i ofierze ducha, potępiał i pogardzał szczęściem ziemskiem i żył rzeczywiście tylko duchem. Samotny niegdyś mizantrop, teraz zapragnął sercem i ukochał wszystkich. Jego dawne postępowanie z ludźmi, zimne i pełne powagi, zmieniło się na wprost przeciwne. Nim jeszcze zaczął mówić z człowiekiem, skupiał i czuł dla niego miłość spokojną, niepohamowaną. Smutek, spoczywający zawsze na dnie duszy Julka (dziwna poufałość!), uleciał gdzieś teraz, a przybyła większa prostota, mniej zachceń ziemskich, a więcej żądzy dobrego. Poeta podniósł się, nabrał dziwnego hartu i sprężystości i pozbył się próżnej melancholii, która mu całe życie zatruwała... należał tylko jeden rok do koła towiańczyków; mimo to pozostawił ten chwilowy udział w »sprawie Bożej« niezatarte ślady na umyśle i twórczości poety... Przed samym 27. lipca 1842. r. został Słowacki przyjęty jako brat do koła towiańczyków« (str. VI—VIII).

Ta skromna próbka stylu pewnej kategoryi wydawców dzieł geniuszów narodu i »literatów« z zawodu, jako też ich logiki i naukowej ścisłości, aż nadto wystarczy. *Procul este profani!* Zasługą mimowolną d-ra Biegeleisena było, że niewydane dzieła Słowackiego lub ich szczątki żywo zajęły głębsze umysły. Odtąd coraz częściej wydobywano z ukrycia nieznane pisma Juliusza, co pozwalało następnym badaczom wnikać głębiej w psychę poety, a zwłaszcza w tajniki jego mistycznych zachwytów.

Już na podstawie nowych, przedtem mało znanych, dzieł Słowackiego mógł prof. M. Zdziechowski[1] o tej mrocznej dobie życia poety powiedzieć: »Fantazya musiała go pchnąć na pole teozoficznych i historyozoficznych zaciekań; ambicya zaś, wiara w potęgę geniuszu swego i ekstazy marzycielskie kazały mu mniemać, że jest wybrańcem Boga, powołanym do objawienia ludziom myśli Bożych«.

[1] »Mesyaniści i słowianofile«. Kraków 1888, p. 113.

Prof. Zdziechowski głębiej i prawdziwiej, niż krytycy »pozytywni«, potrafił odczuć i odtworzyć wszelkie święte tęsknoty naszych wieszczów, bo go do nich zbliżyło pokrewieństwo ducha. Z początku był on, jak wielu mu współczesnych, wyznawcą zasady, że nauka pozytywna jest »najwyższą prawodawczynią ludzkości[1]. Lecz bezsilność tej rzekomej »prawodawczyni« w rozwiązaniu zagadnień, które człowieka najbardziej obchodzą, i brutalnie policzkująca ideały rzeczywistość, zwróciły niebawem gorącą duszę tego badacza do zagadnień metafizycznych, przez pozytywistów tak starannie usuwanych poza nawias, do wzniosłej i całym żarem serca odczuwanej religijności chrześcijańskiej, katolickiej, a nawet do zaciekań nad najbardziej skomplikowanymi objawami życia świętych i mistyków kontemplacyjnych[2]. Oto jego własne wyznanie: »Lepiej pióro złamać, niż pisząc, nie silić się: myśli ludzkie kierować ku dobru. Serce czyste i umysł prawy muszą być pierwszym celem, który należy osiągnąć tym, co chcą innych w tajniki twórczości artystycznej wprowadzić, gdyż tylko wtedy zdołają oni rozpoznać w pomysłach mistrzów to, co ze słońca, i oddać woń czystą ich ducha, aby nią znużone dusze pokrzepić. W ręku pracowników, takim ożywionych ideałem, przyczyni się krytyka... do wielkiego dzieła odrodzenia idealizmu, który naprzekór panującej dziś filozofii, czczącej materyę i głoszącej zasadę siły przed prawem, jest uznaniem Boga i boskich przeznaczeń duszy«[3].

W tym podniosłym ducha polocie rozważał prof. Zdziechowski wiekopomne dzieła naszych wieszczów. Owo wniknięcie w zasadnicze, a nie w przypadkowe tylko i podrzędne, znamiona ich duchowych dążeń i serdecznych utęsknień podyktowało mu to szlachetne zeznanie[4]: »Huysmans miał myśl szczęśliwą, gdy w swej książce *En route* oddzielił płaszczyzny religii... od religii... dusz wybranych, która kwitnie w klasztornych życia kon-

[1] Por. P. Chmielowski: »Dzieje krytyki literackiej w Polsce«. Warszawa 1902, p. 433. nn.

[2] Por. M. Zdziechowski: »Religia i sztuka«. Kraków 1902

[3] M. Zdziechowski: »Byron i jego wiek«. Kraków 1894. I. p. VIII.

[4] W »Religia i sztuka«, p. 14—15.

templacyjnego ustroniach. Odsłaniając ponęty kontemplacyi katolickiej, pociąga on ku niej tych, którzy zniechęceni twardością łupiny, nie czuli się usposobionymi do wniknięcia w treść, w jądro katolicyzmu; a tem samem stworzył szerokie pole natchnienia sztuce chrześcijańskiej. Atoli do tej pory jeden tylko romantyzm polski (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński) umiał rozwinąć na gruncie katolickim ideał chrześcijański duszy, wyzwolonej z pod jarzma materyi, wyniesionej przez miłość płomienną ponad ludzkie poziomy, złączonej wreszcie z Bogiem i szukającej w pełnieniu woli Jego szczęścia swojego i ludzkości. Jest to chrześcijański prometeizm. Dziś, we współczesnym nam okresie odrodzenia idealizmu, opartego, niestety nie na kulcie pojednanego z Bogiem człowieka, lecz na kulcie naszego j a, t. j. człowieka, z Bogiem rozłączonego, dziś ów prometeizm chrześcijański poezyi polskiej powinienby szczególniej trafić do serca duszom wyższym i przeciwstawić się brutalnemu, bismarkowskiemu indywidualizmowi Nietzschego«.

Z takiem usposobieniem badacz umiał w dziwnie intuicyjny sposób odczuć najsubtelniejsze drgnienia duszy Słowackiego i jej mistyczno-kontemplacyjne zachwyty po roku 1842. Przytoczmy na dowód bodaj jeden ważniejszy ustęp o tej transfiguracyi Słowackiego[1]: »Marzenia stanowiły treść życia Słowackiego — szczęście i nieszczęście: szczęście, ponieważ... czuł się niemi wyższym od ogółu ludzi — nieszczęście zaś, gdyż kochając kraj i chcąc dla niego coś zdziałać, aż zbyt dobrze pojmował przepaść całą pomiędzy niepochwytnymi ideałami, które się tworzyły w mózgu jego, a rzeczywistą prozą życia: stąd ciągła skłonność jego do krwawo radykalnych wybryków, tchnących rozpaczą i pesymizmem, po których rzucał się w nieprzytomne wywyższanie siebie samego, marzeń swoich... Nauka zaś Towiańskiego zupełnie zadowalniała wszystkie popędy Słowackiego: mówiąc o doskonaleniu dusz, o przeobrażeniu i o nadprzyrodzonem obcowaniu ludzi ze światem duchów, dawała obszerne pole dla wyobraźni poety; z drugiej zaś strony czyniła zadość jego instynktom patryotyczno-społecznym... Spotykał nagle cały zastęp ludzi, jak on, marzących

[1] »Mesyaniści i słowianofile«, p. 158—162.

o odbudowaniu ojczyzny, a mających natchnienie za kryteryum prawdy, za świadectwo łaski Bożej... a któż pod względem natchnień mógł mu dorównać?... Marzyciel nieziemski, ogarnięty zachwytem religijnym, bujał sobie po krainach nadgwiazdnych, zaglądał w tajemnice stworzenia i przeznaczeń Boskich... kochał świat, ludzi i przyrodzenie całe, a owiany czarodziejskim urokiem eterycznych snów swoich i widzeń, z wysokości ich spoglądał na pracę »Koła«... pełen wiary, że jeśli nie teraz, to kiedyś, już po śmierci jego, da się uczuć »fatalna siła«, spoczywająca w jego boskich strofach, i ludzie, porwani myślami zmarłego wieszcza, wypełnią jego marzenia niebiańskie... Bóg, ulitowawszy się wreszcie nad skołatanym samotnością wygnańcem, ozłacał mu serce promieniem miłości swej i otwierał podwoje cudnych krain słonecznych, niedostępnych dla ogółu śmiertelnych. Szczęśliwy i zachwycony, bujał po nich poeta i to mu wystarczało zupełnie«.

Zdaje mi się, na podstawie osobistych wrażeń, jakie budzą we mnie utwory i listy poety *z pierwszych dwu lat jego mistycyzmu* (1842—44) przed powstaniem »Genezis z ducha« [1], że trafniej i zgodniej z istotnem usposobieniem Słowackiego nikt nie określił nastroju duszy twórcy »Ks. Marka« i »Snu srebrnego Salomei«, a tłumacza Kalderońskiego »Księcia«. To co zdobyli późniejsi, tak liczni na tem polu badacze, czy to zwolennicy »modernizmu« w sztuce, czy przedstawiciele »czystej nauki«, rzuca bogate, nieraz bardzo jaskrawe światło na późniejszy, teozoficzny rozwój pojęć autora »Genezis« i wynikłych z niej utworów (List do R., Wykład, Zborowski, Agezylaus, Zawisza, Książę Twerski, i t. d.); lecz tych pierwszych drgnień duszy, oczarowanej odradzającem się w niej życiem religijnem i rozkoszą złączenia się z Bogiem przez miłość i wiarę, już nam subtelniej nie odtwarza. Prof. Zdziechowski wyczuł wprost i jakby intuicyjnie ten potężny powiew chrześcijańskiej ekstazy serca, zachwyconego

[1] Powstała latem 1844. podług Tretiaka, O. c., t. II., p. 78. przeciw p. Hösickowi, który r. 1846. podawał, jako też podług St. J. Witkowskiego w »Pamiętniku literackim« 1904 r., p. 610—628.

pięknem świętości, jaki bije bezpośrednio z dzieł poety w tem dziwnem dwuleciu jego żywota [1].

Podobne wyczucie, że tak powiem, spotykam jeszcze w niektórych pracach Elsów o Słowackim, zwłaszcza w rozprawach S. J. Witkowskiego [2], ale znać w nich jakieś dziwnie bałwochwalcze zasłuchanie się w każdy szmer rozbujałej fantazyi mistyka, schodzącego nieraz w dalszych latach na manowce coraz dziwaczniejszego maniactwa....

Olbrzymia, w 3 tomach, biografia Słowackiego, napisana przez F. Hösicka [3], z naszego punktu widzenia nie przynosi nic nowego, gdyż jest tylko »ciekawą opowieścią anegdotyczną o poecie i osobach zostających z nim w stosunkach [4], a nie daje naprawdę tego co zapowiada: »biografii psychologicznej«. Zasługą natomiast p. Hösicka jest zebranie nader staranne wszelkich wiadomostek, mających jakikolwiek związek z osobą poety, choćby to były plotki i ploteczki, których istnym matecznikiem było wychodźtwo nasze we Francyi po roku 1831 [5].

Hösick również, jak i jego poprzednicy, zaznacza, że dzień 12. lipca 1842 r., jako data osobistego spotkania Słowackiego z Towiańskim, (tę datę H. pierwszy ustala), — »rozłamał jego życie na dwie epoki i od tej chwili stał się Słowacki innym człowiekiem, a przedewszystkiem mistykiem... który nie przestał być poetą, który się swej poezyi nie wyrzekł, jak Mickiewicz: przeciwnie, uważając, że teraz, kiedy uwierzył, że przyszedł czas aby natchnienie było czynem, a czyn natchnieniem, uważał za swój pierwszy obowiązek: natchnieniem służyć *Sprawie*... [6] W tej myśli niezawodnie zaraz nazajutrz... napisał wiersz (Tak mi, Boże, do-

[1] Podobnie głębokie spostrzeżenie uczynił r. 1904. p. S. J. Witkowski w »Pamiętniku liter«. p. 626, jednak bardzo pobieżnie.

[2] Por. »Eleusis«, t. v. Kraków 1909.

[3] »Życie J. Słowackiego...« Kraków 1897/8.

[4] B. Gubrynowicz: »Stan dotychczasowych badań nad Słowackim«, w *Gazecie lwowskiej*, 1909. n. 250.

[5] Dowodów na to bez liku w 3 tomach »Emigracyi polskiej« L. Gadona. Kraków 1901. O dziele p. Hösicka por. uwagę J. G. Pawlikowskiego: »Mistyka Słowackiego«. Lwów—Warszawa 1909. p. 32, dopisek.

[6] Hösick: »Życie J. Słowackiego«, t. III., p. 272.

pomóż!), który postanowił wydrukować w *Dzienniku narodowym*. Dotychczas było to pismo, od którego stronił jako od »jezuickiego« dziennika; z chwilą jednak, kiedy redaktor *Dziennika narodowego*, Feliks Wrotnowski, stał się jednym z najżarliwszych uczniów »Mistrza«, musiał Słowacki, chcąc niedwuznacznie zaznaczyć swe stanowisko, drukować w *Dzienniku narodowym*... Słowacki był z początku zachwycony: rozegzaltowany, widział same zalety, a na złe strony (towianizmu) miał zamknięte oczy. »Życie takie, pisał do matki, podobne jest do życia aniołów i nieraz ozłocone uśmiechem są twarze nasze, a serca prawie zawsze spokojne«. To »prawie zawsze« dowodzi, że serca braci nie zawsze były spokojne. Ale poeta był pełen zapału dla sprawy, która go bawiła, jako nowość, i na wszystko patrzył przez poetyczny pryzmat, tak, iż w wyobraźni swej zwykle bujnej niezmiernie, a teraz podnieconej w dwójnasób, widział aniołów tam, gdzie w rzeczywistości byli... jego antagoniści i skryci nieprzyjaciele. Ale złudzenie to nie trwało długo: wkrótce przejrzał i zoryentował się w sytuacyi« [1].

Gdy powstawało dzieło Hösicka, w ostatnim dziesiątku wieku XIX., w prądach literackich dokonywała się już doniosła zmiana: rozpoczął się w sztuce »modernizm«, a raczej neoromantyzm. Te nowe, często bardzo radykalne i jaskrawe hasła, nie pozostały bez wpływu i na literaturę krytyczną o Słowackim. Najciekawszym ich objawem jest żywe zajęcie się »Królem Duchem« i wogóle mistycznemi pismami poety. W tym względzie najbardziej znamiennnem dziełem w początku XX. wieku była książka I. Matuszewskiego p. n. »Słowacki i nowa sztuka« (modernizm), wydana po raz pierwszy w Warszawie 1902 r. Postawił w niej krytyk ten, na wskróś subjektywny i indywidualista, a w pojęciach filozoficznych zwolennik Kanta [2], tezę bardzo śmiałą, że Słowacki posiadał w swej poetyckiej organizacyi umysłu wszelakie cechy, jakich dzisiejsi teoretycy sztuki wymagają od doskonałego twórcy, czyli że na pół wieku przed nowoczesną (modernistyczną) este-

---

[1] Tamże, p. 285—286.

[2] Por. Chmielowski: »Dzieje krytyki literackiej w Polsce«, p. 439 nn.

tyką urzeczywistnił, zwłaszcza w »Królu Duchu«, ideał artysty syntetycznego, nastrojowo-lirycznego i symbolicznego. Dzieło jego, pełne apryorycznych, niemieckich spekulacyi, nie przynosi nam żadnych nowych wskazań do dwulecia, które tu chcemy rozważyć.

Również wcześniejsza rozprawa I. Matuszewskiego p. n. »Mistyczne pisma Słowackiego w zestawieniu z doktrynami współczesnego okultyzmu«, z r. 1892., a przedrukowana w zbiorze szkiców tegoż krytyka p. t. »Swoi i obcy« (Warszawa, 1898., p. 233—270.), choć zawiera wiele nader cennych spostrzeżeń porównawczych nad mistyką naszego poety wogóle, do rozjaśnienia l a t p i e r w s z y c h towianizmu Słowackiego nie przyczynia się wcale, gdyż opiera się na analizie pism mistycznych p ó ź n i e j s z y c h, od »Genezis« zacząwszy.

Podobnie żywe i poważne zajęcie się duchową metamorfozą Słowackiego, dokonywującą się w poecie pod wpływem towianizmu, widać z bardzo gruntownego »studyum historyczno-literackiego« p. Edwarda Dubanowicza p. t. »Słowackiego ksiądz Marek« (w »Pamiętniku literackim«, Lwów, 1904 r., p. 224—244. i 378—402). Rozprawa ta drukuje się współcześnie z monografią prof. Tretiaka, o której wnet będzie mowa, ale jest od niej całkiem niezależna. Dubanowicz, nie zadowolony ogłoszonemi aż dotąd pismami poety, rozczytywał się w pozostałych po nim rękopisach i usiłował na tej podstawie wyjaśnić »Ks. Marka« z pomocą mistycznej nauki, jaką Słowacki w tych latach wyznawał. Brak prac przygotowawczych w tym kierunku utrudnił mu zadanie; więc nieraz nie potrafił autor tego studyum rozwikłać gordyjskich węzłów doktryny... Mimo to utorował drogę późniejszym krytykom, usunąwszy z niej dużo starego rumowiska. Do rozprawy jego powrócę przy szczegółowej analizie »Ks. Marka«. W tem miejscu zwracam jeno uwagę na o g ó l n ą c h a k t e r y s t y k ę p i e r w s z y c h l a t t o w i a n i z m u p o e t y i j e g o t w ó r c z o ś c i ó w c z e s n e j, bo jest ona cennym nabytkiem naukowym, przez p. Dubanowicza wniesionym do skarba wiedzy o Słowackim.

»Dzieła Słowackiego — powiada p. D. na str. 226 — z epoki towianizmu... nie przestały być dotąd zagadką tajemniczą. Po-

wszechny dzisiaj dla nich, a zwłaszcza dla ich artystycznej i filozoficznej strony, entuzyazm, wyłącznie, co prawda, subjektywny i niezawsze głęboki, usunął dawne, oziębłe, ku nim uprzedzenie, nie zdołał jednak ukazać ich przedmiotowego znaczenia. Obudzić ze snu i ożywić kolosalne kształty tych dzieł może jedynie znajomość tego zaklęcia, które je do życia powołało: znajomość mistyki Słowackiego. Ona jedynie rozstrzygnie rozpaczliwy spór między wielkim poetą, co mniemał, »że za sto lat chłopek polski pod Krakowem będzie mógł czytać »Księdza Marka« — bo ta poezya nie na nerwy, ale na same czyste czucie uderza« — a między jego największym krytykiem, A. Małeckim, któremu... w »Ks. Marku« i całej sferze ówczesnych utworów Słowackiego »duszno i obco i tak nieswojo, jak na cmentarzu w północnej godzinie«. Czyżby ów mistycyzm, z którego trysnęła cała twórczość Słowackiego z ostatnich lat życia, wniósł do poezyi rzeczywiście tylko zamęt bez wyjścia i ciemność bez światła, skoro on właśnie słoneczną pogodą i prostotą rozjaśniał smutne życie twórcy?«

Po analizie zaś czynników osobistych, historycznych, mistycznych i formalnych, które złożyły się na ten dziwny utwór, taki sąd ogólny o tej twórczości Słowackiego wygłasza p. Dubanowicz:

»Mistyczne utwory Słowackiego... wywierają niesłychanie silne, ogłuszające i jakby magnetyczne wrażenie... wywołane ogólnym nastrojem, co jak czar, jak zaklęcie, unosi się nad całym poematem, uderza na wszystkie nasze zmysły, ubezwładnia je i nalewa jednem bolesnem uczuciem...

Wewnętrzne osłabienie twórcy, gorączka i początki piersiowej choroby podnosiły w ciągu tworzenia poematu w skwarnych miesiącach lipca okropność wizyi nieludzkich, bo zaczerpniętych z »krainy ducha«. (Str. 401—402).

Wymienione powyżej studyum p. Dubanowicza było pierwszą w XX. wieku próbą interpretacyi naukowej jednego z najwcześniejszych dzieł mistycznych Słowackiego, opartej o głębokie wniknięcie w treść ideową towianizmu, ale niestety, tylko ułam-

kiem zamierzonej całości (por. str. 391.), której autor dotąd nie ogłosił. To też nie rozjaśnia nam ono stosunku wszystkich trzech, na tak wielką skalę podjętych poematów, jak »Ksiądz Marek«, »Sen srebrny« i »Książę Niezłomny« — do duszy i ducha ich twórcy w owym pamiętnym roku »transfiguracyi«, nawet samego faktu tej przemiany nie tłumaczy, raczej jego skutki i objawy tak w listach poety jak w »Księdzu Marku«.

Natomiast pierwszorzędnej wartości jest dla naszego celu rozgłośna monografia prof. J. Tretiaka p. n. »J. Słowacki. Historya ducha poety i jej odbicie w poezyi« w 2 tomach, wydana w Krakowie nakładem Akademii umiejętności w r. 1904. Od czasu walki klasyków z romantykami nie pojawiło się dzieło krytyczno-literackie, któreby większą wywołało w światku artystycznym wrzawę nad tę, jaką ta książka wzbudziła i dotąd budzi. Już to samo świadczy, że dzieło to nie tuzinkowe...[1] Przy szczegółowej analizie utworów dramatycznych Słowackiego z lat 1842—44. będziemy musieli nieraz do tego dzieła powracać: tu więc ograniczymy się do przytoczenia najogólniejszego poglądu prof. Tretiaka na te pierwsze lata mistycyzmu poety.

»Stefan Witwicki, mówi prof. Tretiak[2], który nie znał się wprawdzie z samym Towiańskim, ale bardzo żywo zajmował się ruchem, wywołanym przez niego w emigracyi, i wiedział, jak sam powiada, bardzo wiele o Towiańskim »od ludzi pobożnych, cnotliwych i światłych, którzy go z blizka i długo znali, lub przynajmniej kilkakrotnie mieli z nim rozmowy«, — utrzymuje, że Towiański miał zwyczaj zapewniać ludzi, których pociągał ku swojej nauce, iż są »wielkie duchy i wielkie mają przeznaczenie«. Można być prawie pewnym, że i Słowacki coś podobnego usłyszał z ust Towiańskiego i że te słowa, odpowiadając namiętnym a od dzieciństwa żywionym pragnieniom sławy, głęboko zapadły mu w duszę

[1] Rzetelną jego wartość spokojnie i przedmiotowo ocenił p. Z. Wasilewski w art. »Spór o Słowackiego« z r. 1905, przedrukowanym w dziele: »Od romantyków do Kasprowicza«, zwłaszcza na str. 151—152; 155, 156—161, 166—167 i 170—179.

[2] O. c. I, 395—397.

i nadały nowej wierze jego tę niewzruszoność, która już w wierszu: »Tak mi, Boże, dopomóż!« tak majestatycznie występuje.

To nas prowadzi do uwagi, że nagłe przeobrażenie, jakie się dokonało w duszy Słowackiego, nie mogło jej odmienić z gruntu, i nie odmieniło, nie nadwerężyło, nie osłabiło w niczem jego wygórowanego indywidualizmu, — tylko nadało temu indywidualizmowi zupełnie różny kierunek i wprowadziło zupełny przewrót w wyobrażeniach poety o świecie i o zadaniach życia. Błyszczeć skarbami wyobraźni, olśniewać ludzi i zakreślać coraz szerszą aureolę sławy poetyckiej dokoła siebie: to był dotychczas pęd jego ducha nieustanny i wszystko pochłaniający. Teraz indywidualizm jego porzucał drogę ziemskiej sławy, na której tyle doznał zawodów, i zwracał się ku świętości. Chciał na tej drodze zajaśnieć, przekonawszy się, że tylko ta światłość jest prawdziwą, dawniejsze zaś blaski, do których się rwał, blichtrem tylko...

...Wraz z wyobrażeniem o świecie, o ludziach, o zadaniu własnem, jako poety, zmieniało się i wyobrażenie o Bogu. Poeta przejmował się chrześcijańskiem pojęciem doskonałości moralnej Stwórcy, który świat stworzył nie na to, aby lubować się hucznym lotem olbrzymich ptaków i pędem rozhukanych koni [1], ale aby go coraz bliżej do siebie zapomocą wybranych duchów podnosić i w ciągłej pracy moralnej ludzkości nad sobą czynić coraz doskonalszym, coraz bardziej uduchowionym. Więc jak przedtem Słowacki na Boga nie oglądał się wcale, chyba że do tego był zmuszony zarzutami przeciwników, nazywających jego poezyę kościołem bez Boga, a przedewszystkiem dbał o sądy ludzkie i starał się podobać ludziom bez względu na ich wartość [2]: — tak teraz poczuwszy się wybrańcem Bożym, przeznaczonym na to, aby

---

[1] Jest to alluzya do *Credo* Słowackiego o Bogu w »Beniowskim« z r. 1841.

[2] Te dwa sądy prof. Tretiaka uważam za zbyt jednostronne. Podobne im, dość liczne orzeczenia o wadach moralnych poety, uwłaczają bardzo temu, znakomitemu wprost z wielu względów, dziełu autora. Przypuszczamy, że źródło tej jednostronności jest w tem, iż prof. Tretiak zbyt pospiesznie zaakcentował »nagłość« transfiguracyi poety w r. 1842, przez co poprzedni okres w życiu Słowackiego przedstawił mu się w nader czarnych barwach, a nowy... w zbyt anielskich.

swój naród, a za nim ludzkość prowadzić ku Bogu, nie dbał już o mizerne oklaski ludzi, grzęznących w materyi, ale o to tylko, aby nie zboczyć »z drogi ducha jednobramnej«, nie wypaść ze wspaniałej roli pośrednikami między Bogiem i ludźmi, i musiał mieć ciągle oczy zwrócone na cel, ku któremu dążył. Nie obeszło się to wprawdzie bez walki wewnętrznej, bez ścierania się dawnych dążności z nowemi; przełom jednak, który nastąpił w duszy poety nagle, był tak stanowczy, że wszelkie jej wahania się późniejsze były tylko przelotnemi.

Powyższy obraz »ducha poety« w latach bezpośrednich po zetknięciu się jego z doktryną Towiańskiego jest z pewnością w zasadniczych swych liniach blizki przedmiotowej prawdy. W ciągu rozprawy niniejszej będziemy mieli sposobność przekonać się, że w utworach tego czasu znajduje on w istocie swe artystyczne »odbicie«, choć nie wszystkie linie tego rysunku są należycie dociągnięte, a niektóre może nawet trochę dowolnie pokrzywione [1].

(C. d. n.)

Ks. Romuald Koppens.

---

[1] Por. Gubrynowicz: »Stan dotychczasowych badań nad Słowackim«, w *Gazecie lwowskiej* 1909, n. 250; a także B. Chlebowski w »Wieku XIX. Sto lat myśli polskiej«, t. IV. Warszawa 1908, p. 248.

„CIVITAS DEI“ W EPOCE KAROLA WIELKIEGO.

(Ciąg dalszy).

HANDEL I SPRAWY MONETARNE.

Usiłowania Karola w celu podniesienia i ożywienia handlu zaledwie w części pomyślny osiągnęły skutek. Na dzikiej pustyni pierwotnych stosunków społecznych nie łatwo było zaszczepić handel, który dla żywotnego i pomyślnego rozwoju zawsze pewnego wymaga stopnia kultury. Bo, żeby zaspokoić swoje potrzeby kulturalne na rynku, trzeba je najprzód zrozumieć i odczuć, bo w pierwotnym języku *tauschen* było równoznaczne z *täuschen*, bo wreszcie zbywało po prostu na powszechnie uznanym i przyjętym mierniku wartości, jakim jest w dzisiejszych warunkach pieniądz państwowy o obiegu przymusowym.

To też mimo opatrznej opieki i ochrony prawnej, polegającej na jawności, dokonywujących się wobec świadków wszystkich prawie transakcyi handlowych, wszelki ruch towarowy trzymał się zawsze uparcie utartych tylko dróg i ognisk handlowych, wewnątrz zaś państwa, po prawej zwłaszcza stronie Renu, panował prawie niepodzielnie ruch wymienny w naturze i handel wędrowny i domokrążny.

Niektórzy mniemają, że Karol Wielki podejmując walkę przeciwko lichwie, powstrzymał tem samem rozwój handlu w zarodku. Rozporządzenie kapitularza w Nimwegen miało być skierowane przedewszystkiem przeciwko handlowi środkami żywności

wogóle. Mniemanie bezpodstawne, bo ustawy antylichwowe w epoce Karola, jak to wyż wykazaliśmy, wymierzone były przedewszystkiem przeciwko pożyczkom w naturze wielkich właścicieli ziemskich i handlu, który przeważnie był w rękach żydowskich, wogóle nie obejmowały. Rozporządzenie zaś w Nimwegen godziło wyłącznie, jak to ze słów dekretu samego wynika, w lichwiące środkami żywności monopole [1]. Ustawy tedy antylichwowe Karola podcięły co najwyżej handel lichwiarski, o ile go dosięgły, nie naruszając zgoła podstaw rzetelnego handlu.

Karol Wielki niewątpliwie żywotnie i z planem popierał i dźwigał handel z upadku, zewnętrzny i wewnętrzny. Tylko pierwotne stosunki społeczne i ówczesna atmosfera duchowa i religijna nie sprzyjały bardzo jego rozwojowi. Najprzód Kościół, stosując się do zasady św. Pawła: *nemo militans Deo implicat se negotiis saecularibus* (2 Tim. 2, 4), surowo zabronił duchownym dla brudnego zysku *turpis lucri gratia*, jak się kanony kościelne wyrażają, zajmować się wogóle sprawami handlowemi. A powtóre kościelna praktyka pokutna zalecała i wiernym w czasie pokutnym wstrzymywać się od handlu. W penitencyałach i zbiorach kanonów ówczesnych spotykamy się raz po raz z ascetycznem w tym kierunku upomnieniem Leona Wielkiego, który z apostolską żarliwością, właściwą świętym, usiłuje serca, żądne zysków ziemskich, w czasie pokutnym przedewszystkiem, skierować ku wyżynom Bożym. »Z zysku — oto słowa jego — wnosimy o tem, kiedy handel jest usprawiedliwiony a kiedy niedozwolony. Zarobkowanie bowiem może być uczciwe albo brudne. Wszelako lepiej w czasie pokuty ponieść szkodę, niż wystawić się na niebezpieczeństwo kupczenia. Trudno bowiem ustrzedz się grzechu tam, gdzie kupujący spotyka się ze sprzedającym« [2].

W naszej epoce oczywiście o rozwiniętym mechanizmie handlowym i pieniężnym słowa te, choćby tylko w części stosowane

[1] Patrz: *Przegląd Powszechny* ze stycznia, str. 53.

[2] Migne CXII, str. 1424.

Hrab., Poenit. I, 15 .... nec tempore poenitudinis lucra negotiationis exerceat.

w życiu, przywiodłyby do zupełnej ruiny handel i uniemożliwiłyby wogóle cały ruch wymienny, ale w społeczeństwie, wychylającem się z barbaryi, wśród pierwotnych stosunków gospodarstwa domowego, gdzie handel równał się częstokroć rozbojowi na własność cudzą, pokutne upomnienia świętego były tylko skierowaniem umysłów, zapatrzonych w złoto, ku wyżynom idealnym i po prostu żywotnym czynnikiem kulturalnym. I ta jest zapewne przyczyna, dlaczego umieszczono je w zbiorach praw kościelnych i podręcznikach pokutnych.

Że zaś w rozumieniu Kościoła i w epoce Karola handel nie uchodził za zbędne i pasożytne w życiu społecznem zajęcie, widać to jasno ze słów kapitularza arcybiskupa Teodulfa z Orleanu, który, przejęty ideałami reformatorskimi epoki, handel stawia na równi z każdym innym uczciwym zawodem i żywotne w życiu społecznem wykreśla mu zadanie. Niech kupcy — mówi on — nie przenoszą zysków ziemskich nad zbawienie wieczne i w nich nie upatrują celu ostatecznego, niech, jak zaleca apostoł, »nie podchodzą, ani oszukują w sprawie brata swego, albowiem mścicielem jest Pan« (I, Tessal. 4, 6), niech z zysków — podobnie jak chłopi i inni pracą zatrudnieni — składają ofiary, dziesięcinę i jałmużnę Bogu i ubogim, bo i handel jest zawodem Bożym, dającym utrzymanie i będącym w służbie zbawienia duszy. W myśl Kościoła tedy i podówczas handel, jak każdy inny zawód Boży, potrójny ma cel i zadanie: własne utrzymanie, dobro bliźniego i zbawienie duszy. Zasadniczy pogląd ten etyczny Teodulfa na handel wcielono dosłownie do zbioru praw kościelnych i zbioru kapitularzy Benedykta Lewity [1].

Z drugiej jednak strony nie ulega wątpliwości, że ówczesne poglądy religijno-ekonomiczne co do handlu i zarobkowania, odzwierciedlające się w prawie kanonicznem, w kapitularzach antylichwowych i praktyce pokutnej Kościoła, na zgoła odmiennych od dziś powszechnie panujących opierały się zasadach. Inne były podówczas poglądy o pracy i zarobkowaniu, inne o roli kupców, pośredniczących pomiędzy wytwórcami a konsumentami, inne o spe-

[1] Liber legum eccl. 994, c. 35. Mansi XIX, 190; XIII, 1004.

kulacyach handlowych. Handel ceniono sobie tylko o tyle, o ile był niezbędny i miernym zadawalniał się zyskiem, a więc przedewszystkiem handel zewnętrzny, importowy i eksportowy. Rolnictwo natomiast i rzemiosła, które więcej na wytwórczej opierały się pracy i mało nastręczały sposobności do podejścia bliźniego, w wielkiej były cenie. Wogóle ceniono sobie bardzo wszystkie zajęcia przy warsztacie wytwórczym, podczas gdy spekulacye, łaknące wielkich zysków tanim kosztem i bez pracy, zwłaszcza gdy chodziło o środki żywności, uważano zawsze za coś niemoralnego, *turpe lucrum*, i niezgodnego z prawem Bożem i uczuciem chrześcijańskiem.

Wogóle usiłowano wszędzie obejść się bez kupca-pośrednika. Producent stykał się o ile możności bezpośrednio z konsumentem, wytwórca surowców z rzemieślnikiem, bo kupiec-pośrednik był drogi bardzo, bo przedewszystkiem pracę wytwórczą uważano za najczystsze źródło dochodów i najzgodniejszy z prawem Bożem środek utrzymania życia. I pod tym względem przekonania ówczesne schodzą się w niejednym punkcie z aspiracyami i usiłowaniami dzisiejszych stronnictw reformatorskich na polu socyalnem.

Teraz kto zajmował się handlem?

Za Merowingów handel wschodni był przeważnie w rękach Syryjczyków z Egiptu i Azyi Mniejszej, którzy w Paryżu wielkie mieli składy handlowe i w całem państwie niemałe znaczenie. W epoce Karola Wielkiego ich miejsce zajęli Żydzi, którzy zwolna w ręce swoje cały prawie zagarnęli handel, *mercatores id est iudaei*, jak się wyraża kapitularz, i wielkimi cieszyli się przywilejami. Nacyonalistyczny historyk żydowski Graetz wyraża się o polityce Karola względem Zydów z uznaniem a czasy za Ludwika Pobożnego i jego żony Judyty, nazywa złotym okresem żydowskiej historyi w Europie [1].

Ale bo też w ręku Żydów jest cały prawie handel wewnętrzny [2] i zewnętrzny. Rozszerzenie się Islamu spotęgowało ich

[1] *Geschichte der Juden von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart*, t. v, str. 217 i dalej str. 249.

[2] Cap. 832, c. 19: »Similiter et Iudeis, qui si negotiandi causa substantiam suam de una domo sua ad aliam aut ad placitum aut in exercitum ducunt«.

wpływy, bo mahometanie i chrześcijanie używali ich pośrednictwa w różnych sprawach i stosunkach handlowych. Karol Wielki ceni ich przedsiębiorczość handlową i ruchliwość kosmopolityczną i powierza im ważne niekiedy poselstwa [1]. Domniemany kapitularz Karola Wielkiego przeciw Żydom pochodzi z czasów późniejszych. Cały handel pieniężny i kredyt jest w ich rękach, gdyż kapitularze antylichwowe jako ustawy kościelno-społeczne odnosiły się tylko do chrześcijan. Żydzi rosną w znaczenie i potęgę. Wszędzie w głównych ogniskach handlowych, w Marseille, Arles, Narbonne, w Aix, Magdeburgu, Kolonii, Paryżu, Clermont i Orleanie były kwitnące bogactwem kolonie żydowskie. Okręty ich idą do Bretonii i Słowian, krążą po wybrzeżach Afryki i Azyi, docierają aż do Chin. I pod tym względem Żydzi niemało przyczynili się do szerzenia kultury materyalnej wśród świeżych i barbarzyńskich ludów zachodniej Europy.

Ale też z drugiej strony, w ślad za rosnącym ich wpływem, idą straszne nadużycia i upadek obyczajów. Gospody żydowskie zamieniają się w gniazda demoralizacyi, stają się składami tandeciarskimi, bankami pożyczkowymi i lombardami, w których zastawiano częstokroć naczynia święte i paramenta i kosztowności kościelne. Doszło do tego, że Żydzi się chełpili, iż u chrześcijan wszystko sprzedajne. Słowa te przytacza znany kapitularz antylichwowy z Nimwegen (806), polecając wszystkim biskupom i przełożonym klasztorów, by czujną roztoczyli kontrolę nad tymi, którzy mają pieczę nad skarbcami i kościelnemi kosztownościami [2]. Żydzi też, przedewszystkiem za następców Karola, powadzą handel niewolnikami. Ustawa surowo zabrania wywozić niewolników pogańskich poza granice państwa, a oni nie tylko pogan, ale i chrześcijan sprzedają do Hiszpanii i rzezańców i niewolnice i chłopców na Wschód [3].

Handel ten towarem ludzkim szczególnie wywołał gwał-

---

[1] Annal. Einhardi 801: »Isaac Iudaeum, quem imperator ante quadriennium ad memoratum regem Persarum cum Lantfrido et Sigismundo legatis suis miserat, reversum cum magnis muneribus nuntiaverunt«.

[2] Bor. I, 131.

[3] Agobardi: *De insolentia Iud.* Migne, t. 104, str. 76; Heyd. t. I. 141.

towny protest Kościoła. Arcybiskup z Lyonu Agobard i Amulo piszą, aczkolwiek zrazu bez widocznego skutku, gwałtowne filipiki przeciwko Żydom. Synod w Meaux r. 845 przypomina dawne kanony kościelne i domaga się, żeby je napowrót w życie wprowadzono. Rezultatem tych protestów i ruchu antysemickiego został pod koniec, zdaje się, IX stulecia wydany słynny kapitularz *Capitula de Iudaeis*, w którym Żydom zabroniono pod grozą karceru i utraty majątku zajmować się handlem i zmianą pieniędzy i sprzedażą wina, zboża i innych środków żywności [1]. Zabroniono im też surowo trzymać w więzieniu zastawnych chrześcijan oraz przyjmować świętokradzkie zastawy pod grozą konfiskaty majątku i utraty prawej ręki [2].

Obok Żydów jednak, którzy mieli w rękach swoich największe bogactwa, byli i kupcy chrześcijańscy. W współczesnych dokumentach spotykamy się nieraz z wzmianką o Fryzyjczykach, którzy w Moguncyi np. najbogatszą dzielnicę miasta zamieszkiwali, a biograf Karola opowiada o kupcach chrześcijańskich, którzy handlowe utrzymywali stosunki ze Wschodem. Także klasztory nieraz rozległe utrzymywały stosunki handlowe [3] z odległymi krajami.

Koroną i dopełnieniem reform Karola Wielkiego na polu ekonomicznem była reforma monetarna.

Za Merowingów stosunki monetarne w państwie frankońskiem opierały się na systemie rzymskim. Jednostką pieniężną był złoty szyling *(solidus, saldo, sous)*, jeszcze z czasów Konstantyna Wielkiego, dość rzadki i drogi, ważący $^1/_{72}$ funta rzymskiego, znaczony pierwotnie rzymskim a później własnym stemplem. Obok szylinga ze złotych pieniędzy wybijano nadto dawne, rzymskie tryenty *(trientes, tremisses, tremissi)*, które były szczególnie lubiane i równały się $^1/_3$ części szylinga.

[1] Bor. I, 258: »Ut nemo Iudaeus monetam in domo suo habeat et neque vinum nec annonam vel aliam rem vendere praesumat. Quod si inventum fuerit, omnis substantia sua ab illo auferatur et in carcerem recludatur usque ad praesentiam nostram veniat«.

[2] Bor. I, 258.

[3] Mon. Sang. II, 14: »Alii Iudaeos, alii vero Africanos, alii Britannos mercatores esse dicerent«, mówi o okrętach kursujących na morzu Śródziemnem.

Obok złotych szylingów i tryentów były nadto w obiegu pieniądze srebrne t. z. *siliqua*, datujące się z czasów rzymskich, które dały początek denarom frankońskim, równającym się półsylikwom. Tak szyling rozpadał się na 24 *siliqua* czyli 48 denarów a później pod koniec V wieku, gdy srebro w ciągłym obiegu się starło, zredukowano liczbę tę do 40 denarów. Stosunek ten został ustalony prawem salickiem i przetrwał aż do VIII stulecia. Oprócz nowych denarów były nadto w obiegu dawne denary wielkie, z czasów cezarów rzymskich Antoninów, równające się $^1/_{12}$ szylinga. Plemiona germańskie po prawej stronie Renu, zwłaszcza Rybuarowie, do których Karolingowie się zaliczali, trzymali się uparcie tych denarów.

Pierwotnie w państwie frankońskiem była waluta złota, która zwolna z biegiem czasu przedzierżga się w walutę podwójną. Gdy zasoby złota się wyczerpały a dopływu nowego nie było żadnego, poczęto puszczać w obieg szylingi mocno mieszane ze srebrem oraz zmieniono stopę monetarną. Pod koniec VI wieku królowie frankońscy zamiast 72 z funta złota wybijali 84 szylingów. Później zwłaszcza w VII i VIII stuleciu miejsce pieniądza zastępuje złoto lub srebro według wagi. Siłą rzeczy srebro zdobywa sobie obok złota prawo obywatelstwa. Pieniądz złoty przez mieszaniny staje się coraz gorszym, równa się zaledwie $^1/_3$ części swojej wartości, wreszcie i złota nie stało, choć denary liczono nadal według jednostki złotej. Mimo pierwotnych stosunków gospodarczych i braku obrotu, nieporządki monetarne poczęły przybierać coraz szersze rozmiary i domagać się coraz natarczywiej naprawy. Przedewszystkiem okazała się potrzeba wprowadzić w życie walutę srebrną i określić i ustalić stosunek denarów do funta srebra. Zadania tego podejmują się Pepin i Karol Wielki.

Około roku 755 wydaje Pepin zasadniczą ustawę, wprowadzającą w życie nową jednostkę i stopę monetarną, która stała się podstawą nowego systemu waluty srebrnej aż do końca VIII stulecia. »Co się tyczy monety postanawiamy, czytamy w kapitularzu roku nieznanego, by z funta nie wybijano więcej niż 22 szylingów, a z tych szyling należy się mincarzowi, reszta zaś ma

być zwrócona panu, którego własnością jest« [1]. Odtąd więc stopa monetarna wynosić ma 22 a nieco później, według nowego postanowienia, 20 szylingów, z funta więc wybijać się będzie 264 a względnie 240 denarów. Szyling zaś nowej monety liczyć będzie nie 40, jak dawniej według postanowienia prawa salickiego, lecz tylko 12 denarów.

Teraz jak wytłumaczyć to przejście od złotej stopy monetarnej Merowingów do srebrnej Karolingów? Jedni mniemają, że reforma ta wzięła początek z upowszechnionego zwłaszcza pod koniec epoki Merowingów złotego tryentu. Pepin z powodu zmiany waluty, przywracając do dawnej wagi denara, obniżył tem samem kurs szylinga z 40 do 36 denarów tak, że złoty tryent równał się 12 denarom. I tę kwotę obrano za jednostkę rachunkową nowego systemu monetarnego, nadając jej miano szylinga [2].

Mniemanie to zdaje się potwierdzać skarb starych monet, odkryty w roku 1904 w Ilanz w Szwajcaryi. Znaleziono tam denary Pepina i Karola i złote tryenty królów langobardzkich i tryenty ze stemplem Karola Wielkiego. Otóż próby wykazały, że czytość kruszcowa tych tryentów równała się $^1/_3$—$^2/_5$ części złota, a denarów $^2/_3$—$^3/_5$ srebra, czyli innemi słowy, że wartość złotówek wynosiła zaledwie $^1/_3$ część wartości tryentów za dawnych Merowingów.

Przypuśćmy teraz, że w pierwszej połowie VIII stulecia już powszechnie w obiegu była w takim stopniu podwartościowa moneta, to zrównanie drogą ustawodawczą złotego szylinga ze srebrnym, tłumaczyłoby się zupełnie naturalnie jako postulat i sankcya prawna tego, co w dziedzinie ekonomicznej już dawno było się dokonało [3].

Inni przeciwnie twierdzą, że denary salickie stanowiły punkt wyjścia dla nowej stopy monetarnej. Według wagi bowiem na

---

[1] Cap. Pippini regis incerti anni c. 5: »De moneta constituimus, ut amplius non habeat in libra pensante nisi 22 solidos et de ipsis solidis monetarius accipiat solidum 1 et illos alios domino cuius sunt reddat«. Boretius I, 32.

[2] Heck: *Die altfriesische Gerichtsverfassung.* Weimar 1894, str. 473. Schröder: *Deutsche Rechtsgeschichte.* Leipzig 1907, str. 194.

[3] Luschin v. Ebengreuth w *Neues Archiv* 33, str. 437—459.

funt rzymski 327 gr. srebra przypadało 240—264 denarów salickich. Z drugiej strony, ludy po prawej stronie Renu przywykły do rachunku według denarów antonińskich, licząc na złotego szylinga 12 denarów. I ten rachunek zastosowano do denarów salickich stawiając w miejsce złotego, który stał się rzadkością w obiegu, idealny srebrny, dwunasto-denarowy szyling. Rozporządzenie tedy króla Pepina samo się tłumaczy: trzymając się rachunku upowszechnionego w Austrazyi, według którego 12 denarów przypadło na szylinga, na funt srebra wypadło 240—264 denarów czyli 20—22 szylingów. I liczbę tę wzięto za podstawę nowego systemu monetarnego o walucie srebrnej.

Nowy system oczywiście nie łatwo i nie prędko wprowadzony został w życie. Plemiona germańskie długo jeszcze i uparcie trzymać się będą starych pieniędzy, stosownie do słów Tacyta o dawnych przodkach: *pecuniam probant veterem et diu notam* i liczyć denary według złotego szylinga, ale dzieło rozpoczęte za Pepina dalej poprowadzi Karol Wielki z właściwą sobie energią i polityczną rozwagą.

Polityka monetarna Karola w dwu przedewszystkiem idzie kierunkach: aby stworzyć rzetelny i dobry pieniądz i skoncentrować prawo bicia monet w ręku państwa.

Ażeby stworzyć jednostajną, rzetelną i państwową monetę, trzeba było przedewszystkiem zreformować normalny ciężar funta monetarnego. Za Merowingów i Pepina na dawnym funcie rzymskim opierał się cały system monetarny i w znacznej mierze handel cały. W ciągu wieku atoli w braku komunikacyi dogodnej i spoistej i sprężystej administracyi, normalne ciężarki funta rzymskiego stały się niedokładne i co za tem idzie, normalny ciężar monet i stopa monetarna niepewne. Ażeby więc zaradzić niedomaganiom tym i utrudnić wszelkie praktyki oszukańcze w ruchu pieniężnym i na nowej i pewnej oprzeć go podstawie, wprowadza Karol w życie nowy funt monetarny. Co do funta tego nie mamy wprawdzie żadnego w tej mierze dokumentu, ale wynika to nieodparcie z podwyższenia ciężaru denarów, które Karol, przy zachowaniu tego samego stosunku liczebnego, z funta srebra wybijać kazał. Podczas gdy dawniej bowiem z funta srebra (327 gr.) wy-

bijano stosownie do określonej ustawą liczby szylingów 264—240 denarów, ważących po 1,25 a względnie 1,35 grama, to denary Karola z czasów późniejszych i jego następców przeciętnie znacznie wyższy mają ciężar normalny. Otóż na podstawie tych denarów, ważących przeciętnie po 1,58 grama, normalny ciężar funta monetarnego wynosi około 409 gramów. Co do ciężaru normalnego funta tego zresztą podzielone są zdania. Jedni dowodzą, że ciężar jego wynosił co najmniej 367 g., inni 409,32 g., jeden uczony twierdzi, że 391 a inny, że 491,179 g.

Nie mamy też pewności czy z podniesieniem ciężaru denarów łączyło się wprowadzenie nowego funta wogóle do ruchu handlowego, to tylko pewna, że pod koniec panowania Karolingów znowu funt rzymski stanowi podstawę systemu monetarnego, że w późniejszym średniowieczu funt Karola Wielkiego *(pondus Karoli)*, ważący, zdaje się, 409,32 g., znowu w życiu ekonomicznem różnych krajów jak Anglii, Hiszpanii, Włoch i południowej Francyi wielką odgrywa rolę i aż do najnowszych przetrwał czasów.

W łączności, zdaje się, z wprowadzeniem nowego funta jest list ciekawy opata Theodemara w Monte Cassino, zawiadamiający Karola o wysłaniu, stosownie do rozkazu, reguły i miary i wagi św. Benedykta, według których wydziela się mnichom chleb i wino[1].

Niektórzy mniemają, że tą drogą przywędrował za pośrednictwem Benedyktynów z Monte Cassino dawny aleksandryjski funt handlowy, wynoszący 15 uncyi, do państwa frankońskiego[2].

Doniosła reforma Karola dokonała się w międzyczasie pomiędzy r. 780—790. Następujące dokumenty, zdaje się, w przyczynowym ze sobą są związku. W roku 781 kapitularz mantuański wywołuje w obiegu znajdujące się denary w ściśle oznaczonym

[1] Mon. Germ. Ep. IV, str. 509, nr. 13: »Iuxta praeceptionem vestram en vobis regulam eiusdem b. patris de ipso codice, quem ille sanctis manibus exaravit transcriptam, direximus. Direximus quoque pondo 4 librarum, ad cuius aequalitatem ponderis panis debeat fieri, qui in quaternas quadras singularum librarum iuxta sacre textum regule possit dividi. Quod pondus sicut ab ipso patre est institutum in hoc loco est repertum«.

[2] Hillinger: *Studien zu mittelalterlichen Massen und Gewichten.* (*Hist. Vierteljahrschrift* 1900. III, 2, str. 215).

terminie [1]. Kapitularze po raz pierwszy z roku 789 i lat późniejszych, polecają komesom i biskupom czuwać nad tem, by w państwie całem na targach i po klasztorach i przy wszelkich wogóle transakcyach handlowych i czynszach i podatkach używano równych i sprawiedliwych miar i wag [2]. Jak zaś wielką była ta miara w porównaniu do poprzedniej widać to z kapitularza z roku 802, który poleca, aby odtąd liczono zamiast trzech po dwa korce [3]. W 794 roku kapitularz frankfurcki ogłasza przymusowy obieg nowych denarów [4].

Warto tu zaznaczyć, że pobudki kapitularza z r. 789 były religijne: »Nie czyńcie, czytamy w rozporządzeniu tem, nic przewrotnego w sądzie, w prawidle, w wadze i w mierze. Szale sprawiedliwości, i równe niech będą gwichty, sprawiedliwy korzec, i kwarty sprawiedliwe« (III Moj. 19, 35, 36). »Waga i waga, miara i miara oboje obrzydłe jest u Boga« (Ks. Przyp.). A więc Karol Wielki, polecając nową miarę i wagę, nawiązuje do Mojżesza i Salomona, podobnie jak w ustawach antylichwowych i opieki nad ubogimi powoływał się na Pismo św. i szukał wzorów w teokracyi Dawida.

Równocześnie prawie z reformą stopy monetarnej wprowadza dalej Karol w całem państwie frankońskiem przymusowy pieniądz państwowy. Kapitularz frankfurcki z roku 794 postanawia, aby nowe, królewskim monogramem opatrzone denary, o ile co do

---

[1] L. L. I, 41, c. 9: »De moneta ut nullus post Kal. Augustas istos dinarios, quos modo habere visi sumus, dare audeat aut recipere; nisi si quis hoc fecerit, vannum nostrum componat«. Z wywołaniem tem denarów łączy von Inama reformę funta i stopy monetarnej.

[2] Cap. 789, c. 73: »Ut aequales mensuras et rectas et pondera iusta et aequalia omnes habeant, sive in civitatibus sive in monasteriis sive ad dandum illis sive ad accipiendum«. Cf. Cap. Frankof. c. 4: »modium publicum et noviter statutum« i t. d.

[3] Cap. 802, c. 44: »Ut aequales mensuras et rectas et pondera iusta et aequalia omnes habent. Et qui antea dedit 3 modios, modo det 2.

[4] L. L. I, 72, c. 4: »De denariis autem certissime sciatis nostrum edictum, quod in omni loco, in omni civitate et in omni empturio similiter vadant isti novi denarii et accipiantur ab omnibus«.

Niektórzy uczeni mniemają, że już kapitularz biskupi (780—790), nakładający podatek ubogich, suponuje nowy funt: »Unusquisque episcopus aut

wagi i czystości kruszcu są rzetelne, wszędzie, »w każdem miejscu, w każdem mieście i przy każdej transakcyi handlowej« pod karą 15 szylingów przyjmowano [1]. Rozporządzenie to, wprowadzające w życie pieniądz państwowy z przymusowym obiegiem, ponowiono i obostrzono w roku 808 i 817, kładąc głównie nacisk na to, by pieniądz co do wagi i czystości kruszcu był rzetelny, *denarii meri et pleniter pensantes* i powiększając grzywnę do 60 szylingów.

Za państwowym pieniądzem idzie koncentracya prawa bicia monety. Za Merowingów mennice i wogóle sprawy monetarne były po części w rękach prywatnych i same sobie zostawione. Tylko bicie monet odbywało się pod kierunkiem menniczych, którzy byli urzędnikami królewskimi w *officina publica fiscalis monetae*, i według królewskich przepisów monetarnych [2].

Reforma Pepina poszła już znacznie w kierunku centralizacyi państwowej. Prawo bicia monety, choć znacznie ograniczone, pozostało i nadal w rękach prywatnych, ale sprawy monetarne bierze już król w swoje ręce i roztacza kontrolę nad mennicami co do stopy monetarnej, zysków i kosztów menniczych.

Odtąd pan mennicy ustawą przepisanej musiał się trzymać

---

abbas vel abbatisa, qui hoc facere potest, libram de argento in elemosinam donet, mediocres vero mediam libram, minores solidos quisque... vassus dominicus de casatis ducentis mediam libram, de casatis centum solidos quinque, de casatis quinquaginta aut triginta unciam unam». (Bor. I, 52). Widoczne tu stopniowanie podatku wedle możności ekonomicznej: 1 funt, $^1/_2$ funta, $^1/_4$ funta = 5 szylingów, 1 uncya = 16 denarów. Otóż suponując, że każda pozycya podatkowa stopniowo o połowę się zmniejsza, otrzymamy następujące liczby: 1 funt = 20 szyllingów = 15 uncyi = 240 denarów = 408 g, a więc funt Karola. Na podstawie zaś funta rzymskiego = 12 uncyom = 327 g i dawnych denarów stopniowa skala utrzymać się nie da. Patrz Hillinger: *Studien zu mittelalterlichen Massen und Gewichten, Hist. Vierteljahrschrift* III, str. 202 i dalej. Przeciwnie Heck w studyum: *Die gemeinfreien der karoling. Volksrechte,* 1900, str. 245, nie przychyla się do zdania Hillingera.

[1] Cap. 794, c. 5: »De denariis autem certissime sciatis nostrum edictum, quod in omni loco, in omni civitate et in omni emptorio similiter vadant isti novi denarii, et accipiantur ab omnibus. Si autem nominis nostri nomisma habent et mero sunt argento pleniter pensantes, si quis contradicit eos in ullo loco, in aliquo negotio emptionis vel venditionis, si ingenuus est homo 15 sol. componat«. Bor. str. 72.

[2] Luschin von Ebengreuth: *Geldgeschichte des Mittelalters und der neueren Zeit.* München 1904, str. 82.

stopy monetarnej a mincarz z funta srebra przepisaną tylko wybijać ilość pieniędzy t. j. 264 a później 240 denarów, z których pewna ilość przypadała w zysku właścicielowi mennicy i mincarzowi, jako wynagrodzenie. Był to postęp niemały na drodze ulepszeń monetarnych, ale z przyczyny utrudnionej kontroli a więcej może jeszcze różnych trudności technicznych przepisy te lekceważono. To też Karol Wielki, ażeby zapobiedz mnożącym się niedomaganiom, fałszerstwom i nadużyciom, niebawem ogranicza w całem państwie frankońskiem prawo wybijania monety do królewskiej wyłącznie rezydencyi. Ze względu na liczne wykroczenia przeciwko sprawiedliwości i edyktowi królewskiemu, postanawia kapitularz z r. 806 (c. 18), aby »w żadnej innej miejscowości monety nie wybijano jak tylko w rezydencyi naszej, chyba, że znowu inaczej postanowimy [1].

Centralizacya ta wszelako gospodarstwa monetarnego w braku ułatwień komunikacyjnych i gwałtownych potrzeb i wymagań handlu długo utrzymać się nie dała. Każde większe ognisko handlowe, każde targowisko niemal ze względu na nieodzowne potrzeby handlowe, dla przygotowania gotówki po prostu, dopraszało się prawa bicia monety i założenia mennicy, któraby przetapiała różne pieniądze i bryły szlachetnego kruszcu na kursującą monetę. To też niebawem po owem rozporządzeniu jeszcze za życia Karola, zdaje się, powstały w żywotnych ogniskach handlowych nowe mennice pod nadzorem komesów, jak w Dorestat (dziś Wyk pod Duerstede), Moguncyi, Strasburgu, Trewirze, Verdun, w Quentovic, Sens, Rennes, w Paryżu, Orleanie i Narbonne i t. d.

Monety Karola różne noszą napisy. Jedne monogramy wybitnych dygnitarzy państwowych, jak Odalryka, szwagra Karola, hr. Milo z Narbonny albo słynnego z legend palatyna Rolanda

[1] Cap. missorum in Theodorus villa datum secundum, 806, c 18: »Quia in multis locis contra iustitiam et contra edictum fiunt, volumus, ut nullo alio loco moneta sit nisi in palatio nostro, nisi forte iterum a nobis aliter fuerit ordinatum. Illi autem denarii qui modo monetati sunt, si pensantes et meri fuerint, habeantur«.

Cap. cum primis constituta a. 808, c. 7: »De monetis, ut in nullo loco moneta percutiatur nisi ad curtem; et illi denarii palatini mercantur et per omnia discurrant«. (Bor. I, 140).

(Rodlandus). Są to prawdopodobnie monety z pierwszych lat jego rządów, zanim centralizacya monetarna została przeprowadzona. Na innych wytłoczone są nazwy rezydencyi królewskich z czasów, gdy dwór przenosił się z miejsca na miejsce, lub też miast handlowych, gdzie stałe, jak powyżej, znajdowały się mennice królewskie. Pięknem szczególnie wykonaniem odznaczają się monety cesarskie z wizerunkiem cesarza, z jednej strony w stroju rzymskim i napisem: *Karolus imperator*, a z drugiej świątynią z krzyżem i napisem: *Christiana religio*.

Z reformą monetarną łączy się ściśle sprawa kar pieniężnych i grzywien. Zmiana waluty wywołała różne zmiany w cenach, w pierwotnych stosunkach społecznych nie dające się zresztą we znaki, a przedewszystkiem w karach pieniężnych i grzywnach. Różnica ta — przyjmując za podstawę ówczesny stosunek złota do srebra jak 1 : 12 — była znaczna, bo obniżyła przynajmniej o połowę wszystkie kary pieniężne i wergeldy. Ażeby więc i z tej dziedziny wyrugować zwolna walutę podwójną, poleca Karol w kapitularzu z r. 803, aby wszystkie należytości królewskie *(bannus)* płacono w srebrze (szyling = 12 den.) wyjąwszy kar pokojowych *(fredum)* i innych grzywien prawa salickiego, które bez uszczerbku zresztą dla zasady sprawiedliwości należało i nadal płacić w złocie (szyling = 40 den.) [1].

Ogólną redukcyę wszystkich kar pieniężnych i grzywien i wergeldów przeprowadził dopiero Ludwik Pobożny w r. 816. Były to ostatnie resztki waluty podwójnej i tu dopiero reforma została ukończona [2].

Reformatorskie usiłowania Karola na polu monetarnem tylko

---

[1] Cap. legibus additum a. 803, c. 9: »Omnia debita quae ad partem regis solvere debent, solidis 12 denariorum solvant excepto freda, quae in lege Saliga scripta est; illa eodem solido quo ceterae compositiones solvi debent componantur«. (Bor. I, 114).

[2] Capitula legi addita a. 816, c. 2: »De omnibus debitis solvendis, sicut antiquitus fuit constitutum, per 12 denarios solidus solvatur per totam Salicam legem, exepto laudes, si Saxo aut Frisio Salicum occiderit, per 40 denarios solidi solvantur. Infra Salicos vero ex utraque parte de omnibus debitis sicut diximus 12 dinarii per solidum solvantur, sive de homicidiis sive de omnibus rebu«. C. 3: »Ut omnis solutio adque compositio, que lege Salica

w części osiągnęły skutek i zapuściły korzenie w zwyczaje ludów. Ani szyling 12 denarowy, ani funt Karola nie zdobyły sobie stałego obywatelstwa wśród ludów olbrzymiego państwa frankońskiego. Obok waluty państwowej są w obiegu i inne pieniądze, obok nowego funta o 15 uncyach jest w bezustannem użyciu i funt rzymski. Głęboko zakorzenione zwyczaje dawne trudno wyplenić wśród pierwotnych ludów różnorodnych, na olbrzymich obszarach rozsypanych. Niebawem po śmierci Karola mnożą się też znowu dawne nadużycia i nieporządki monetarne, które żelazna jego ręka tak skutecznie i opatrznie usuwała, mimo że następcy jego dbali bardzo o rzetelność i pełną wagę monety i trzymali się ściśle raz prawem ustalonej stopy monetarnej.

Kapitularz akwisgrański Ludwika Pobożnego określa ściśle nadzór komesów nad mennicami i nakłada surowe kary na tych, którzy zużyte albo fałszywe puszczali w obieg pieniądze. Edykt Karola Łysego, *Edictum Pistense*, z r. 864 ponawia raz jeszcze i zbiera w jedną całość dawne rozporządzenia kapitularne co do bicia i obiegu monety, obostrza kary na fałszerzy i ustanawia osobną policyę monetarną. Ale były to tylko próby bezsilne i martwa praca kancelaryjna władzy, która wobec wzmagającej się z dniem każdym i rozsadzającej organizm państwowy prywaty potęg feudalnych, usiłuje ratować jeszcze resztki władzy centralnej i podtrzymywać gasnący blask majestatu ustawodawczego rozporządzeniem kapitularnem.

Wkońcu jeszcze słów kilka o przyczynach, które spowodowały podwyższenie stopy monetarnej.

Jedni twierdzą, że najprawdopodobniej było to tylko zarządzenie administracyi menniczej, która chciała po prostu bez naruszenia liczebnego stosunku denarów do szylinga stworzyć dogodniejszy dla obrotu i większy pieniądz. Ależ cel ten można było osiągnąć bez zmiany stopy monetarnej, odpowiada słusznie von Inama, przez proste podwyższenie ciężaru normalnego dena-

---

continetur, in Francia per 12 denariorum solidos componatur, excepto ubi contentio inter Saxones et Frisiones exorta fuit: ibi volumus ut 40 denariorum quantitatem solidus habeat, quem Saxo vel Frisio ad partem Salici Franci cum eo litigantis solvere debet«. (Bovetius I, 268).

rów razem z pomniejszeniem liczby szylingów, wybijając np. zamiast 20 tylko 16 szylingów z funta srebra. Tę drogę obrał był Pepin, redukując kolejno liczbę szylingów funta menniczego z 25 na 22 i ostatecznie na 20. W reformie Karola atoli 240 denarów idzie na funt, jak dawniej, a zatem musiał się zmienić ciężar normalny funta w stosunku 4 : 5.

Inni w myśl zasady, że zwyczajnie ludzie w życiu codziennem kierują się egoizmem ekonomicznym, mniemają, że Karol Wielki w interesie możnych właścicieli czynszowników i w celu podniesienia dochodów państwa podwyższył normalny ciężar funta.

Nic bardziej uwłaszczającego czci Karola, niż takie mniemanie, odpowiada von Inama, którego wywodom nie można odmówić siły przekonywującej. Karol przecież dla drobnych korzyści dominialnych nie burzyłby tego, co sam w przeważnej części zbudował, on, który we wszystkich swoich reformach kierował się zawsze szerokością poglądu i bystrem objęciem daleko idących następstw z każdą reformą związanych. Nadto Karol Wielki odznaczał się wielkiem poczuciem sprawiedliwości i nigdy nie byłby się posunął do wyzysku swoich poddanych. Gdy wprowadził nowy korzec większy, zarządził zaraz redukcyę podatku z 3 na 2 korce Podobnie byłby postąpił z podatkiem pieniężnym. Administracya jego zawsze występowała przeciwko nadużyciom i wyzyskowi, a on miałby najgorszym przyświecać przykładem, on, który zawsze był obrońcą prawa i ludu służebnego i stał na straży dobrobytu państwowego, który w kapitularzu frankfurckim poleca sprzedawać w królewskich dobrach zboże po cenie niższej niż zwykle? [1]

Zdaniem uczonego tego, przyczyny w pierwszym rzędzie ekonomiczno-polityczne, o które już powyżej potrąciliśmy, oraz potrzeba dostosowania do srebrnej waluty wszystkich cen legalnych, kar pokutnych i kompozycyi [2], wywołały reformę wagi i monety

[1] von Inama-Sternegg: *Deutsche Wirtschaftsgeschichte*. Leipzig 1909, t. I, str. 638.

[2] Dawne denary, które, według *lex salica*, miały się do nowych jak 40 : 12, w ciągu ostatniego stulecia straciły tak na wadze, że w połowie VIII stulecia ciężar ich normalny zaledwie wynosił 1 gram. Złoty szyling tedy, liczący 40 denarów, równał się za czasów Karola dwom nowym srebrnym szy-

Karola Wielkiego. »Karol Wielki usiłował z wyraźnym celem, mówi on, wnieść porządek i sumienność do całej administracyi i konsekwentnie oprzeć sprawy monetarne na pewniejszych podstawach i dlatego starał się w celu większego upowszechnienia pieniędzy najpierw przez wprowadzenie nowego funta niezachwianą wytworzyć podstawę«.

Ale coś więcej jeszcze. Kto bliżej i dokładniej przypatrzy się rozległej i gorączkowej niemal pracy ustawodawczej Karola na polu ekonomicznem, tym rozporządzeniom kapitularnym, wnoszącym we wszystkie dziedziny administracyi i pracy wytwórczej olbrzymiego państwa sprawiedliwość, spokój i porządek, przekona się, że wielkiemu twórcy ich poza naglącemi potrzebami i wymaganiami chwili i stosunków, przyświeca nadto jakiś ideał, odzwierciedlający się w teokracyi i ustawach socyalnych Izraela, społeczności Bożej, kwitnącej sprawiedliwością, pokojem i dobrobytem, z której wygnane są żebractwo, nędza i krwawy wyzysk.

Ażeby wszyscy żyli »w miłości i pokoju doskonałym« i wszędzie panował porządek i sprawiedliwość i ubodzy i sieroty i lud żadnej nie doznawał krzywdy: oto ekonomiczno-społeczne idee przewodnie słynnego kapitularza z r. 802, który słusznie nazwano dokumentem fundacyjnym państwa, oto idee kierowne całej jego pracy ustawodawczej wogóle na polu ekonomicznem i administracyjnem. Ale bo to też porządek i sprawiedliwość i stąd wykwitający pokój i miłość społeczna, to znamienne cechy *Civitatis Dei* św. Augustyna, które jasne znalazły odbicie w czasach krwawych zamieszek i siły przed prawem w państwie Karola Wielkiego.

(C. d. n.)

Ks. Leonard Lipke.

---

lingom, z których każdy liczył po 12 denarów, ważących 20 gramów. Przez podwyższenie więc normalnego ciężaru denarów Karol Wielki obniżył stosunek cen legalnych i kar pokutnych z 3 : 1 na 2 : 1. von Inama. str. 641.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Literatura roku jubileuszowego grunwaldzkiego.

Wiersze okolicznościowe (Kazimierz Gliński, Kazimierz Laskowski). — Utwory dramatyczne (Ignacy Grabowski, Wiktor Gomulicki). — Powieści (Kazimierz Gliński, E. Zoryan). — Utwory dla młodzieży.

Jak w r. 1902, tak i w obecnym roku jubileuszowym, poeci polscy wzięli żywy udział w obchodzie wielkiej rocznicy. Wśród znacznej stosunkowo liczby utworów okolicznościowych, pojawiło się kilka poematów prawdziwej wartości.

Zestawienie teraźniejszych naszych stosunków z wielką przeszłością pobudziło Kazimierza Glińskiego do napisania wiersza p. t. »Straszliwy dwugłos« (*Tygodnik Illustrowany*, 1910, nr. 12, str. 228), który w całości przytaczam:

Byłam królową...
Jesteś niewolnicą — —
Koroną cudów...
Dziś ukryta w szmatach —
Panią trzech ludów!...
O krwawych stygmatach
Stóp Chrystusowych jesteś niewolnicą.
A moje słowo...
Wiatr po polu goni.
Grzmiało wśród świata...
Świat zbył się pamięci.

I moja szata...
Nikt nie wie nic o niej,
Grobowej dotąd nie zerwał pieczęci.
Skroń mą okala...
Jedna blizna krwawa —
Wieniec zasługi...
I gwoździe ze spiżu.
Zwycięstw pas długi...
Tak było w poniżu
Wieków, dziś sił ci do zwycięstwa nie stawa.
Grunwaldu pola...
Chwasty na nich zrywaj!
Haracz krwi święty...
Marne, głupie słowo!
Duchu Jagiełły!
Ty żyjących wzywaj,
Żeby przybyli z siłą Jagiełłową!

Stanisław Rossowski w wierszu: »W rocznicę Grunwaldu« (Kalendarz Haliczanina, 1910. We Lwowie, s. V—VI), uwydatnia przedewszystkiem butę krzyżacką wobec pokory króla, wypowiadając przytem wiarę, że nastanie jeszcze dla narodu polskiego dzień nowego odwetu:

Boże! coś na grunwaldzkiej wydał sąd wyżynie,
Gdy zgładzić chce nas znowu ten sam gad stugłowy,
Bądź tej opieki tarczą nieszczęsnej krainie:
Daj jej wytrwania moc i — Grunwald nowy.

Z innych wierszy okolicznościowych wymieniam dalej Kazimierza Laskowskiego: »Wzywacie Boga!«:

Wzywacie Boga w każdem dziele!
W waszych krzyżackich ustach... Bóg!
Wy... Boga? Wy wywłaszczyciele!
Wy najfałszywsi z Bożych sług!
Wy... z Bogiem? wy?... Faryzeusze
Na rozpacz matek, krzywdy łup!
Na chłostę dzieci i katusze!
Na krew, co tryska wam z pod stóp?
Wy z Bogiem? Z krzyżem przed wiekami
Szliście w Grunwaldu krwawy smug,
Ale Bóg wtedy nie był z wami
I dziś nie będzie z wami Bóg!
Nie będzie Ten, co jest Miłością,
Nie będzie Ten, co Prawdą zwan!

Jak na Psiem Polu waszym kościom
I dzisiaj w poprzek stanie Pan!
I dziś w obronie tej ziemicy,
Co ją Piastowy orał pług,
Przeciw wam z gromem błyskawicy!
Przeciw wam... z nami pójdzie Bóg! [1]

Rok jubileuszowy wydał też dwie śmiałe próby stworzenia dramatów historycznych na tle bitwy pod Grunwaldem, śmiałe, gdyż sam temat nie zawiera w sobie pierwiastków ściśle dramatycznych, stąd zadanie twórcy podobnego utworu jest niezwykle trudne.

Jeden z nich wyszedł z pod pióra Ignacego Grabowskiego p. t.: »Grunwald« [2]. Jest to widowisko sceniczne okolicznościowe w 10 obrazach, na niezwykle szerokiem tle historycznem rozprowadzone, autor bowiem obejmuje w niem przeciąg 25 lat, t. j. od zaślubienia Jadwigi (1386) z Jagiełłą do chwili samej bitwy pod Grunwaldem. Wskutek takiego jednak rozszerzenia ram dramatu nie zdołał autor należycie połączyć poszczególnych obrazów ze sobą ani też umotywować czynności głównych osób, stąd też bardzo często ucieka się do roli opowiadającego i w dłuższych ustępach prozaicznych, poprzedzających sceny dramatu, stara się wytłumaczyć czytelnikowi główne mo-

[1] Wiersz ten wyszedł z muzyką Władysława Krogulskiego dla uczczenia rocznicy grunwaldzkiej, nakładem Leona Idzikowskiego w Kijowie 1910. Taż sama księgarnia wydała wiersz Laskowskiego: »Nie wydrzecie«, z muzyką Michała Hertza (1910), nie odnoszący się do zwycięstwa samego, także dla uczczenia rocznicy. M. Rudnicki ogłosił wiersz p. t.: »Pamiętny dzień« Kantata w pięćsetletnią(!) rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem«. Kraków 1910. Na obchód grunwaldzki wyszła też znana pieśń Maryi Konopnickiej »Hasło« (Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród) z muzyką Feliksa Nowowiejskiego, w Krakowie 1910 (niema w nim mowy o Grunwaldzie). Podobnież wiersz Maryi Konopnickiej: »Rota«, pomieszczony w numerze noworocznym *Kuryera warsz.* (1910, nr. 1, s. 1) o samem zwycięstwie nie wzmiankuje. W wierszach Antoniego Orłowskiego: »Na śmierć i życie« i Kazimierza Pollacka: »Hymn smutnej ziemi«, pomieszczone w Kalendarzu Ojczyzna nasza (por. wyżej) s. 1 i 15 znajdują się tylko uboczne wzmianki o Grunwaldzie.

[2] *Romans i powieść*. Tygodnik poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim. (Dodatek do *Świata*). Warszawa. R. II. 1910, nr. 1—18.

tywy akcyi, czyli sam uznaje swój błąd w założeniu dramatu. Występuje zaś ta wada w tem jaskrawszem świetle, ponieważ między obrazami są olbrzymie skoki: i tak akcya obrazów pierwszego i drugiego odgrywa się w r. 1386, dalszych pięciu między r. 1389 a 1399, ostatnich trzech w r. 1410. Rzecz ta wystąpi w tem jaskrawszem świetle w razie wystawienia utworu na scenie, gdyż widz, nie mając przed sobą wyjaśnień autora, nie zdoła powiązać obrazów w całość. Drugą wadą utworu jest wprowadzenie do akcyi niezwykle licznego zastępu osób, których nazwisk nie może czytelnik zapamiętać — cóż dopiero widz. Niektóre postaci zjawiają się nieraz tylko na chwilę, nie wpływają zupełnie na akcyę tak, że istotnie często nie można zrozumieć, poco autor operuje tak ciężkim mechanizmem, uniemożliwiającym wystawienie jego sztuki na deskach scenicznych.

Wychodząc z tego założenia, że utwór dramatyczny o Grunwaldzie nie może być tylko udramatyzowaniem tego epizodu, postanowił autor przedstawić bój grunwaldzki na tle stosunku Witolda i Jagiełły, temu też przeważną część obrazów poświęcił. Nie podając zupełnie w wątpliwość, że motyw ten ma wielkie znaczenie w danej kwestyi, trudno nie zauważyć, że autor z jednej strony niepotrzebnie przeładował utwór swój niepotrzebnymi zgoła szczegółami (np. opis zaślubin Jagiełły i Jadwigi, w zupełnie luźnym związku z całością pozostający, nadto traktowany w sposób epiczny), z drugiej znów strony nie uwydatnił w należyty sposób właściwych powodów wielkiej wojny z Krzyżakami; rozrzucone tu i ówdzie szczegóły nie składają się na pełny obraz wzajemnych stosunków obu narodów. Samo zaś przedstawienie chwiejności Witolda nie przedstawia się plastycznie; rzecz ta w odpowiedni sposób nie umotywowana, wypadła ostatecznie blado, do czego nie przyczynia się też akcya wlokąca się powoli, nie przedstawiająca właściwych momentów dramatycznych. Zbytni wkońcu realizm niektórych scen, zgoła niepotrzebny, osłabia wartość utworu. Odnosi się to zwłaszcza do przedstawienia królowej Jadwigi, którą autor, wbrew dotychczasowej tradycyi, przedstawia w sposób wielce uwłaczający jej świętości i cnotliwości. Używa królowa trywialnych wyrażeń (do Jagiełły odzywa się np.: samiec!

str. 63), w jednej scenie wiedzie z Jagiełłą przykry spór, w którym posądza go, że się upił, za co nawzajem król wyraża obawę, że królowa czyha na jego życie i t. p.; w pierwszym obrazie śpiewa »zielony rycerz« pieśń o Jadwidze i Wilhelmie, wprost ubliżającą pamięci wielkiej królowej; do tego wprowadzenie śpiewu tego w chwili zaślubin Jagiełły i Jadwigi jest przecież wprost niemożliwe; w obrazie drugim (s. 29) mówi biskup Kropidło, że »sama Jadwiga przesiąknęła rzepą«; Anna, żona Witolda, mówi znów o niej drwiąco, że święta swą czernią się pawi (str. 110). Tak samo w niekorzystnem świetle przedstawia się Jagiełło.

Wobec powyższych uwag, niewiele można przytoczyć na korzyść utworu. Kilka tylko scen wywiera większe wrażenie, np. obraz siódmy po śmierci Jadwigi, lub obraz dziesiąty przedstawiający chwile samej bitwy z niemałem napięciem dramatycznem. Żałować należy sumiennych studyów autora, że nie zdołał stworzyć całości takiej, któraby ze sceny budziła w tysiącach widzów pamięć wielkiej chwili dziejowej [1].

Autorem drugiego dramatu, znanego na razie tylko z fragmentu, jest Wiktor Gomulicki, który urywek z części drugiej swego obrazu dramatycznego: »Śmierć Ulryka Jungingena« (Grunwald) ogłosił w noworocznym numerze grunwaldzkim *Kuryera warszawskiego* (1910, nr. 1, s. 9). Dzięki jednak uprzejmości autora, który użyczył mi rękopisu pracy swej do przejrzenia, mogę podać szczegółową wiadomość o pięknym tym utworze. Składa się utwór z dwóch części, z których pierwsza zawiera trzy, druga pięć odsłon. W pierwszej odsłonie przedstawia autor usposobienie rycerzy krzyżackich, zebranych w Malborgu przed wypowiedzeniem

[1] Z w. XVII. znany jest dyalog jezuicki p. t. »Władysław Jagiełło, król polski, dla osobliwego ku najśw. Sakramentowi nabożeństwa, Ulryka, mistrza krzyżackiego ze stu czterdziestu tysięcy wojska pod Grunwaldem poraża... wystawiono w Pińsku A. 1663. 24 maja die Corp. Christi, gdy stała chorągiew husarska hetmańska, z którey zbroje, proporce y muzyka była, suknie y inszy woyskowy aparat, w pięciu aktach« (w rękopisie petersburskim, sygn. różnych języków XIV, quarto nr. 10. Załuskiej K 310—325, według wiadomości podanej przez A. Brücknera w Pamiętniku literackim I, 552, treści jednak dyalogu tego Brückner nie przytacza. [Dodano w korekcie jako uzupełnienie rozdziału II pracy »Grunwald w poezyi polskiej« zob. wyżej].

wojny, pragnących jej za wszelką cenę, mimo przestróg hrabiego Wendego, komtura gniewskiego. Usposobieniu temu daje najlepszy wyraz sam wielki mistrz, utrzymując, że

Zmężniał Krzyżak — pierś mu się rozrosła,
Jak kolumna stoi dziś wyniosła,
I szerszego oddechu mu trzeba,
I nad głową bezmierności nieba,
I pod stopą bezmierności ziemi.
Więc gdy własne mu nie starczą kraje,
Granicami zawarte ciasnemi —
Bóg w moc jego Polskę z Litwą daje.

W drugiej odsłonie, odgrywającej się również w Malborgu, występuje ciekawa postać lutnisty Futura, obdarzonego mocą tajemną, którą w nim rozniecił duch Boży, a która nieraz trwoży go samego. Krzyżakom wydaje się pół upiorem, pół szaleńcem, drżą jednak z obawy przed jego tajemniczą siłą. Niepewnego pochodzenia — wszystkim cudzoziemiec — jak cień mija pełną ludzi drogę. Za obelżywą pieśń o Krzyżakach staje przed sądem, by odpowiedzieć za swą winę. W odsłonie trzeciej, kończącej część pierwszą, sąd skazuje Futura na karę śmierci warunkowo: w razie zwycięstwa Krzyżaków pozostać ma przy życiu, w przeciwnym razie zginie. Na wyprawę zabierają go Krzyżacy ze sobą, wierząc zabobonnie, że Futurus celem ocalenia własnego życia uprosi im u Boga zwycięstwo.

Pierwsze cztery sceny części drugiej odgrywają się pod Grunwaldem; maluje w nich poeta kilka epizodów bitwy. W pierwszej przedstawia śmierć wielkiego mistrza z ręki bezimiennego rycerza polskiego. Raniony, nie wyzbywa się Jungingen zaciętości ku Polsce, przedstawiając walkę obu narodów, jako zapasy dwóch duchów o władzę:

Gorze wam, Polacy, gorze!
Idziem na was, jako morze...
Będzie rzeź o władztwo tronu,
Będzie walka aż do zgonu —
I nie prędzej mir nastanie,
Aż jednego z nas nie stanie!

Rycerz polski podrażniony temi słowy, zadaje Ulrykowi śmiertelny cios; po łańcuchu z relikwiarzem, który wyziera z ro-

zerwanego płaszcza, poznaje wielkiego mistrza, rezygnuje jednak z własnej, ziemskiej chwały, zatajając, że to on go zabił.

Druga scena wystawia popłoch Krzyżaków, uciekających pod naporem wojsk polskich: po krótkiej rozmowie Śmierci i Szatana, cieszących się plonem śmierci, występuje na scenę duch wielkiego mistrza, który z lękiem wyczekuje sądu Bożego, obawiając się srogiej kary za swe przewinienia, napełniające go wstrętem przed samym sobą.

Odsłona trzecia dzieje się w nocy, w namiocie Jagiełły, nazajutrz po bitwie. Król wynagradza mężnych rycerzy rozmaitemi darowiznami zamków; na zapytanie zaś jednego z dworzan, czy sam nie weźmie dla siebie żadnej nagrody krom chwały wiekuistej, odpowiada, że gospodarz musi najpierw myśleć o szczęściu innych, o swojem na ostatku. Wśród tego zbliża się wolno orszak pogrzebowy; na wozie wysokim, w otwartej trumnie, sześć białych koni ciągnie ciało wielkiego mistrza; za tym wozem ciągnie jeszcze kilka wozów z ciałami innych komturów. Wśród modlitwy obecnych za dusze poległych, dziwny nastrój ogarnia obecnych, którego wyrazem są słowa Wajdeloty.

Jak posępnie ten obraz w otchłań śmierci zapada!
Dziś — rzeczywistość; jutro — mara już tylko blada;
Po wiekach — myśl, co cieniem w dusze smutne pada...
Ale i wieki wieków nie cofną wstecz strumienia,
I będzie pieśń żałosna, nakształt wichrów jęczenia,
Płynęła nieprzerwanie z pokoleń w pokolenia...
Dziady podadzą wnukom, a wnuki potomności,
Jak pokarał Bóg pychę, gwałty i nieprawości —
Trwać będzie sąd o ludziach, choć w proch stleją ich kości!

Jagiełło rozumie, że i on kiedyś stanie się cieniem samego siebie, że go przytłoczy rzezany głaz a oczy oślepną w grobie:

A przecie — niech się nie zbliża
Wróg do mnie ze znakiem krzyża,
Przebóg! — niech się nie zbliża...
Bo pęknie, na Perkuna!
Rzezana moja truna,
Rozwalę kamienny sklep,
Trupa mojego dom,
I chwycę marmuru złom,
I — Niemca w łeb!

Efektownem powtórzeniem ostatnich słów króla: I — Niemca w łeb! kończy się ten obraz.

W odsłonie czwartej składa Jagiełło korny hołd Stwórcy za zwycięstwo:

Chwała Ojcu i Synowi,
Chwała świętemu Duchowi,
Chwała w Trójcy jedynemu,
Że pozwolił mnie nędznemu,
Tak wielką potęgę zgnieść.
Pochwalone imię Pańskie,
Żem te pułki zmógł szatańskie,
Że przynoszę mir po bitwie
Mojej Polsce, mojej Litwie —
Chwała! chwała! pokłon! cześć!

Modlitwę przerywa zjawisko Perkunasa, które ma przedstawiać chwilowe zwątpienie Jagiełły i zachwianie się w wierze chrześcijańskiej. Król jednak nie upada, znajdując moc swą w oddaniu się Chrystusowi.

W ostatniej odsłonie, odgrywającej się w oblężonym przez Jagiełłę Malborgu — Futurus, który po pogromie grunwaldzkim uszedł z rozbitego obozu krzyżackiego i bawił u Litwinów, zjawia się dobrowolnie w Malborgu, żądając, aby wykonano na nim zasłużony wyrok śmierci. Na miejscu kaźni przepowiada Krzyżakom, że, chociaż odrodzą się pod inną postacią, powalą tych, którzy ich teraz zwyciężyli, i długo będą ich gnębić. Odzywają się okrzyki, by tak pomyślne rzeczy przepowiadającemu wróżbicie darować życie. Niektórzy pytają go, czy ten odwet będzie ostatecznym tryumfem Niemców nad Polakami? Futurus odpowiada przecząco: pokonany orężem zawsze się podnosi i mści. — Któż zwycięży ostatecznie? — Ten, kto do boju pójdzie z orężem Chrystusowym: z miłością. Wśród sprzecznych głosów, żądających jużto śmierci, jużto uwolnienia go, zwyciężają zwolennicy przebaczenia. Ale Futurus nie chce żyć, gdyż na tej ziemi niema już dla niego miejsca. Przed oczyma jego odegrał się akt drugi tragedyi — po wiekach wróci na akt ostatni! Po tych słowach sam pozbawia się życia.

Zręczne ograniczenie się autora do kilku najważniejszych epizodów, artystyczne rozmieszczenie barw w przedstawieniu obu

narodów, wprowadzenie dobrze pomyślanej i wykonanej postaci Futura, napięcie w kilku scenach istotnie dramatyczne: oto najważniejsze zalety najnowszego utworu Gomulickiego, stojącego w porównaniu z utworem Grabowskiego znacznie wyżej [1].

Szereg powieści historycznych, osnutych na tle Grunwaldu, pomnożyła w roku bieżącym powieść Kazimierza Glińskiego: »Grunwald« (w *Gazecie warszawskiej* i *Słowie polskiem*. 1910) [2]. Do napisania jej podał myśl autorowi dzisiejszy separatyzm litewski i żal Litwinów do Polski, że w połączeniu się z nami utracili swój byt państwowy. Rzecz odbywa się w Litwie ówczesnej, po śmierci Kiejstuta, ostatniego obrońcy pogaństwa. Państwo Giedymina trzymało się już tylko wielkością imion Giedymina i Olgierda, wewnątrz było rozdarte. Dwa prądy zmagały się z sobą i wiodły bój śmiertelny: pogaństwo stare i wiara nowa. Krzyżacy, korzystając z zamieszek wewnętrznych, zajęli całą Żmudź; pod naporem żelaznych zastępów wojsk teutońskich, bogi stare i święte gajów ołtarze usuwały się w głąb lasów niedostępnych. Groza i przerażenie padły na Żmudź świętą — wtedy zrodziła się myśl okropna, rozpaczna w sercu nieszczęśliwego ludu, myśl — porzucenia siedzib i bogów swoich i wyjścia gromadnego z ziemi praojców i poszukania w pustyniach wschodnich nowej ojczyzny. Miał nastąpić nowy exodus — połączenie z Polską uratowało Litwę. Na tem tle dogorywania Litwy, rozgrywa się dramat dziejowy, którego epilogiem jest bitwa grunwaldzka.

Popularną znów powieść historyczną p. t. »Grunwaldzki bój«, zaczął ogłaszać E. Zorjan, wydawaną jako dodatek powieściowy do tygodnika lwowskiego *Nasz Kraj*, na razie nie ukończoną, stąd sądu o niej ostatecznego wydać jeszcze nie można. Właściwą opowieść poprzedza prolog, przedstawiający śmierć królowej Jadwigi, która w chwili zgonu zaklina panów polskich, by

[1] W ostatnich czasach pojawiła się w dziennikach lwowskich wiadomość, że dwaj literaci lwowscy pracują nad utworem dramatycznym, osnutym na tle bitwy grunwaldzkiej.

[2] W chwili oddania pracy tej do druku powieść nie zaczęła jeszcze wychodzić drukiem. Dzięki uprzejmości autora mogę podać ideę przewodnią powieści.

zwlekali z wypowiedzeniem wojny Krzyżakom. Dalszy ciąg opowiadania zaczyna się od przedstawienia przybycia poselstwa polskiego do Malborga, w lipcu 1409, obejmując najpierw wypadki tegoż roku jak n. p. oblężenie Bobrownik, Złotoryi, Bydgoszczy, a następnie dzieje r. 1410. Bohaterami powieści jest czterech przyjaciół: Maciej Gosławicki, Czesław Odrowąż, Iwaśko Odyniec, Aleksy Despot Zenowicz, których przygody rycerskie i miłosne wypełniają akcyę utworu.

Wkońcu wspominam jeszcze o wcale obfitym plonie literatury dla dzieci i młodzieży. Jadwiga z Łobzowa wydała piękną książeczkę: »Polsce! Litwie! Cześć!« (Kraków 1910), zawierającą kilka wierszyków, przystępnie napisanych, łatwych do deklamacyi (»Polsce! Litwie! Cześć!«, »Grunwaldzki rok«, »1410 rok!«, »Wiele Litwa ucierpiała«, »Dwa miecze«, »Chorągwie krzyżackie«).

W wierszyku »Grunwaldzki rok« tak opowiada dzieciom o znaczeniu rocznicy:

Hej po kraju... po tym kraju
Złoconym kłosami...
Idzie, idzie dziś wspomnienie
Z złotemi skrzydłami.

To się zbliży, to nachyli
Znowu naprzód krok...
Szepce słodko: — Pomnij dziecię,
To »Grunwaldzki rok«.

Mniej natomiast udatny jest tej samej autorki obrazek sceniczny dla szkółek i teatrów włościańskich: »Rycerze Jadwigi« (Kraków 1910). Za wiele w nim fantastyczności, nie umotywowanej należycie; rzecz cała osnuta na wierzeniu, że królowa Jadwiga zbudzi kiedyś swych rycerzy na oswobodzenie Polski. Mały chłopczyna, pod wpływem opowiadań babki o rycerzach Jadwigi, rusza w daleką drogę, by ich zbudzić, i wnet(!) powraca z jednym rycerzem, zbudzonym po pięciuset latach. Rycerz wzywa do walki, nie orężnej jednak, lecz do szerzenia oświaty wśród ludu. Grunwaldzki dar w roku jubileuszowym, ma być tym siewem lepszej przyszłości narodu. Dla przeprowadzenia tej myśli

użyła autorka formy niezbyt szczęśliwej, nie bardzo zrozumiałej dla dzieci, niejasnej zresztą już choćby z tego powodu, że pozostawia nas w niepewności, czy akcyi obrazka nie należy uważać za sen (por. s. 30).

Zupełnie też nieudałym jest obrazek fantastyczny w jednej odsłonie: »Na polu Grunwaldu«, napisany przez Maryę Bogusławską (w zbiorku »Młodzi amatorowie«. Obrazki sceniczne Tom I. Kraków 1910). I tu znów wprowadza autorka zupełnie niepotrzebnie pierwiastek fantastyczny, z którym następnie nie umie sobie poradzić. Dzieciom wiejskim, bawiącym się ze śpiewem na ustach na polu grunwaldzkiem, ukazuje się duch Krzyżaka; jednego z chłopców chwyta za ramię, grożąc mu, że za śpiew polski będzie go ćwiczył batogiem aż do krwi; drugiemu każe gnomom wydrzeć język, dziewczęta zaś dwie poleca innemu gnomowi unieść do tych stron, gdzie wiecznie czyha trąd (!), by tam znalazły zgon. Gnomy jednak nie mogą spełnić rozkazów ducha, gdyż jedna z dziewczynek, dobywszy medalika z Matką Boską, odpycha ich ze sceny. Sam Krzyżak cofa się także przed godłem cudownem zapowiada przecież, że przywiedzie wnet »zepsucie«, które za sobą sprowadzi grzech i niecnotę, wiodące do zupełnego upadku. Wylęknionym dzieciom zjawia się drugi duch rycerza polskiego, który za złe bierze im, że zbierały kwiaty, zamiast chwastów i kąkolu (?), że tańczyły na mogile poległych rycerzy. Z dalszych niezbyt jasnych słów rycerza, wymieniam jeszcze wezwanie jego do pracy, wytrwałości, zbożności i trudu. I w tym obrazku nie wiemy na pewno, czy zjawienie rycerzy obu jest snem (s. 11), czy też istotnym faktem; allegorye wprowadzone przez autorkę, są niejasne i dadzą się w najrozmaitszy sposób tłumaczyć; czyż nie lepiej powiedzieć to samo w sposób zwykły, naturalny, zrozumiały przedewszystkiem dla dzieci?

Popularny opis bitwy ogłosił wierszem Stanisław Wajda, nie odznaczający się należytą kompozycyą, składa się bowiem z dwóch luźnych części, nie powiązanych ściśle ze sobą (I Przepowiednia królowej Jadwigi. II Wojna)[1].

[1] »Pod Grunwaldem« 1910. W tymże zbiorku mieszczą się jeszcze: »Marsz grunwaldzki młodzieży polskiej« i parafraza »Jeszcze Polska nie zgi-

Piękną natomiast opowieść dla młodzieży napisała Walerya Szalay: »Straszne dziedzictwo« (Opowieść dla młodzieży z czasów Władysława Jagiełły. We Lwowie 1910, jako dodatek do pisemka *Małego światka*), przeplatając dzieje r. 1409 i 1410 odpowiednio dobraną fabułą o losach Hanusi Schwanenfels, która pochodząc z ojca Niemca, matki Polki, wychowywana w domu Jakóba Chełmickiego, starosty dobrzyńskiego, wyrasta na dzielną dziewczynę, gorąco kochającą Polskę, nienawidzącą Krzyżaków. Strasznem dziedzictwem, to wielki spadek, zapisany jej przez hrabiego Rosenburga, krewnego po ojcu, strasznem, ponieważ Krzyżacy, nie chcąc dopuścić, by tak znaczne skarby przeszły w ręce polskie, porywają ją z domu Chełmickiego, by wymusić na niej oddanie majątku. Tak sprowadza na nią zmiana losu liczne przygody, między innemi cała rodzina Chełmickich z wyjątkiem jednego tylko syna, dostaje się w ręce krzyżackie podczas zdobycia Dobrzynia i ginie z rąk mściwych Krzyżaków.

Dr. Wiktor Hahn.

W pogoni za prawdą. 5 tomów. I—IV przez *Aleksandra Mohla;* V przez *Teodora Jeske-Choińskiego.* Poznań 1910. Nakładem księgarni św. Wojciecha.

W szeregu pokaźnym swych 52 listów do Akademika, potrafił autor, nie nudząc ani moralizując, przejść wszystkie prawdy wiary, wyłuszczyć je, rozwinąć, oświecić należycie i zbić stawiane przeciw nim zarzuty. Oczywiście o poruszonych przez niego kwestyach możnaby pisać obszerniej i głębiej, ale trudnoby napisać jaśniej, zaspokoić bardziej umysł młody, który na większy wysiłek zdobyć się nie chce, albo nie umie. Dla większej części młodzieży i intelligencyi naszej otwiera się tu świat im nieznany, w którym powoli łuska z ich oczu zaślepionych poczyna opadać a drogie sercu »postępowemu«, »liberalnemu«, »nastrojowemu« pojęcia i zasady przedstawiać tak, że chcąc nie chcąc, z autorem odrzucić je wkońcu trzeba... bo on ma słuszność i zdrowy, maćkowy rozum uznać to musi.

Stąd cztery pierwsze serye »W pogoni za prawdą« to zarazem

---

nęła« p. t.: »Nie zginęła«. Na pamiątkę 500-letniej (!) rocznicy bitwy pod Grunwaldem.

i katechizm i podręcznik dogmatyczny i apologia i traktat polemiczny i książka budująca.

Serya piąta dodaje dziełu całemu przyprawę literacko-estetyczną. Znany z ciętości swego pióra, energii, poglądów i trafności swej krytyki p. Teodor Jeske-Choiński, rozwija tam w szeregu uwag luźnych obraz myśli polskiej z ostatnich lat 45, przyczem poświęca połowę swej książki na czasy nam najbliższe po ogłoszeniu konstytucyi październikowej z 1905 r. Tu szanowny autor nie zadowolnił się wskazaniem dróg, a raczej wertepów i przepaści, po których skakała i skacze jeszcze najnowsza, rozbawiona i nastrojowa a rozszalała myśl polska, — ale stał się tej epoki pierwszym kronikarzem i historykiem.

Pierwsze wydanie »W pogoni za prawdą« miało rzadkie powodzenie. Zważywszy treść bądź co bądź poważną samego dzieła, jego objętość, cenę wskutek tego nie dla wszystkich przystępną, chłodne wreszcie przyjęcie przez prasę — dziwić się trzeba, że już po sześciu miesiącach pierwsze dwie serye były wyczerpane i zabrać się wypadło do drugiego wydania [1].

Znajdujemy, że autor dobrze zrobił usuwając z tytułu dodatek: »z włoskiego«. Tłumaczeniem w ścisłem znaczeniu tego słowa nie było już i wydanie pierwsze. Myśl wprawdzie do swej pracy wziął O. Mohl od O. Galleraniego T. J., autora *Il contraveleno religioso,* ale ją całkiem po swojsku, oryginalnie rozwinął. Dość powiedzieć, że kiedy w oryginale włoskim 57 listów pomieściło się na 657 stronicach, to wydanie pierwsze polskie tejże samej ósemki przy 50 listach ma 1055 a drugie przy 53 listach 1354 str.

Jeszcze bardziej oryginalnem jest wydanie drugie; owszem, porównując je z pierwszem, ma się wrażenie znowu pracy nowej, tak wielka między jednem a drugiem zachodzi różnica.

Najprzód zachodzi co do stylu. Niewiele przesadzimy utrzymując, że mało w którym liście znaleźć można dwa zdania, powiedziane tak samo, jak w pierwszem. Ks. Mohl w pierwszem wydaniu podlegał jeszcze zbyt często i zbyt widocznie wpływom obcym w rozwijaniu myśli, rozumowaniu, w zwrotach i porównaniach; skład i styl jego był nieraz naciągnięty, sztuczny i twardy; w drugiem z tych wad poprawił się niemal zupełnie.

---

[1] Wydanie drugie tłumaczy się na język rosyjski (Письма къ студенту. Александра Молля. Вѣра и жизнь. С.-Петербургъ, Ушаковская 22).

Potem w bardzo wielu miejscach kwestyę omawianą pogłębił, rozszerzył, tok myśli naturalnej bardziej po polsku ułożył, uzupełnił pozytywne dowody przez nowe cytaty klasyczne.

Wreszcie, nie mówiąc już o dodaniu całego piątego tomu do tamtych czterech, dodał szereg nowych listów (serya I-sza: L. IV i V o Inkwizycyi; L. XI i XII o Darwinizmie; serya II-ga: L. VII o Hypnotyzmie; serya III-cia L. XII o Masoneryi i XIII Kwestya socyalna. Serya IV L. I Co nam po wierze?); inne zaś znacznie przerobił i powiększył: (serya II-ga L. V, VI i VIII; serya III-a L. III, V, VI, VII, X; serya IV-a L. II, III, X, XI).

Wszystko to razem wziąwszy, możemy dziś śmiało, bez ściągania na siebie zarzutu występowania, jak Cicero, *pro domo sua,* dzieło to jak najgoręcej polecić:

I. Na pierwszem miejscu kapłanom, od których się dziś wymaga tyle, a którzy tak mało nieraz mają czasu, aby tym wymaganiom zadosyć uczynić. Ileż to kwestyi stawia się dla kapłanów, na jakie odpowiedzieć, które rozwiązać powinien, a nie zawsze rozwiązać może bez szukania i wertowania wielu książek, często dla niego samego nieprzystępnych. Otóż w przeważnej części wypadków, odpowiedź bez wielkiego szukania zapomocą spisu rzeczowego znajdzie on »W pogoni za prawdą«. Jest to bowiem prawdziwa encyklopedya filozoficzno-religijna, wygodna właśnie tem, że zawiera same tylko kwestye będące dziś na czasie.

Dalej tenże kapłan ileżto razy spotyka dziś w konfesyonale ludzi dobrej woli, intelligentnych i wykształconych, ale z głową przewróconą. Otóż, żeby tę głowę odwrócić i do równowagi przyprowadzić, jak ulał nadaje się znowu »W pogoni za prawdą«. To też wielu kapłanów w takich wypadkach naznacza swym penitentom za pokutę przeczytanie tego dzieła i to z wielkim pożytkiem.

— Ta książka wiele złego zrobić może — mówiła pewna socyalistka, która, bojąc się jej wpływu, po przeczytaniu niektórych ustępów, odłożyła ją na bok — i niejednemu przewróci w głowie, szczególnie, że temu księdzu zachciewa się mówić naukowo!

No, tak! Na całej linii miała słuszność ze swego punktu widzenia. Niektóre listy nadawać się przytem mogą jako doskonała lektura podczas rekolekcyi. I tak Serya I-a, L. III: Indyferentyzm (o celu człowieka). L. IV: Śmierć końcem czy początkiem wszystkiego? L. IX: O etyce niezawisłej. Serya II-a: L. I: Autorytet

i rozum; L. IX: O prowadzeniu złych; L. X: O grzechu; L. XII: O świętokradztwach; L. XIV: O piekle. Serya III-a. L. I: Jezus Chrystus, Pan nasz; L. II: O przykazaniach kościelnych; L. V: Kapłan Nowego Test.; L. XI: O liberalizmie; L. XIV: O czytaniu książek. Serya IV-a. L. I: Co nam po wierze? L. II: Kult zewnętrzny: L. III: O modlitwie; L. IV: Spowiedź; L. V: Komunia św.; L. XI: Indywidualizm i postęp; L. XIV: Kilka uwag na drogę życia.

W dodatku znajdą kapłani »W pogoni za prawdą« materyał do kazań, a jeszcze bardziej do przemówień w kierowanych przez siebie związkach i stowarzyszeniach, przyczem wielką usługę im odda wspomniany wyżej a bardzo szczegółowy spis rzeczy, znajdujący się na końcu seryi IV-ej i V-ej, a w seryi IV-ej poprzedzony spisem alfabetycznym przytoczonych w całem dziele autorów i spis danych statystycznych.

II. Na drugiem miejscu polecić trzeba to dzieło dorastającej młodzieży gimnazyalnej (VII i VIII klasa) oraz uniwersyteckim słuchaczom i słuchaczkom, do których przedewszystkiem jest ono skierowane. Wobec wymagań, stawianych dzisiejszej intelligencyi, sama znajomość katechizmu nie wystarcza. Katolik, chcąc być w swych zasadach konsekwentnym, powinien umieć bronić swej wiary przed innymi, a najbardziej przed sobą samym, ile razy zarzut, zręcznie postawiony i zewnętrzną powagą poparty, podkopaniem jej w sercu zagraża. Otóż »W pogoni za prawdą« do tej obrony go zaprawia; a takim, co wiary się wyzbyli i nawrócić się nie chcą, daje sposobność wykształcenia się przez zapoznanie z nauką katolickiego Kościoła. Kto w duszy swej chce potępić Kościół, wiarę i kapłanów, niech przynajmniej pozwoli im przedtem się tłumaczyć i bronić i tej obrony niech wysłucha. Gdyby była ona trudną i nudną w jakiemś uzasadnieniu, mógłby im tego odmówić: ale dzieło O. Mohla na to nie pozwala, bo trudnem i nudnem nie jest, a wszystko, co wiedzieć o Kościele, wierze i kapłanach katolickich potrzeba, w niem się znajduje.

III. Z tejże samej przyczyny co kapłanom, nie można dość gorąco polecić tego dzieła wszystkim, co się wychowaniem i kształceniem młodzieży zajmują, a wogóle intelligencyi, dlatego każdy, kto ma pod swym zarządem jakąś bibliotekę lub czytelnię, powinien dołożyć starań, aby wszystkie pięć tomików »W pogoni za prawdą« dobrze oprawione w niej się znalazły.

Wobec wiary oraz narodu i ojczyzny zasługa jego będzie wielka.

Na zakończenie naszej recenzyi zwrócić musimy uwagę autora na pewne braki. W III-ej seryi, na str. 326 mowa jest o mordercy Majewskim, tymczasem był nim Gilewicz; w II-ej, str. 86, jest: *a posse ad esse valet illatio;* str. 109: »hypnotyczne, wyliczone na pierwszem pewne« — powinno być zapewnie: »hypnotyczne p e w n e« i t. d. i t. d.

Podobnież niepraktycznem nam się wydaje rozdrobnienie całości na tyle seryi. Sam widok 5 sporych tomików niejednego odstraszy, choć i to prawda, że właśnie w ten sposób drukował swą trylogię Sienkiewicz. — No, ale to był Sienkiewicz. — Stąd lepiejby było, zdaniem naszem, dać trzy serye: po jednej z dwóch O. Mohla i trzecia osobna p. Jeske-Choińskiego.

Przytem, zdaje nam się, że administracya św. Wojciecha miała szczęśliwą myśl, kiedy dwa listy o Darwinizmie wydrukowała jako »Głos na czasie« p. t. »Ewolucya czy trwałość gatunków?«.— Czemu na jednym poprzestała? Przecie w taki sam sposób dałoby się tyle innych listów zamienić w broszurki. Konkurencyi jedno drugiemu robić nie będzie. A wielu kupiłoby chętnie krótki, jędrny, żywo napisany traktacik o małżeństwie, o kwestyi socyalnej, protestantyzmie, liberalizmie, zakonach i t. d., którzy na całe wielkie dzieło zdobyćby się nie mogli albo nie chcieli. A przeciwnie dla bardzo wielu innych całe dzieło właśnie dlatego, że zebrane w jedno, nabierałoby zawsze, jak i nabiera wartości.

Th. Wybicki.

Z piśmiennictw obcych.

Hołowaćkij Jakow. Korespondencija... w litach 1835 49, wydaw *dr. Kiryło Studyńskij.* (Zbirnyk filioliogicznoji sekciji Naukowoho Towarystwa imeny Szewczenka. T. XI i XII). U Lwowi. Nakładem N. T. im. Szewczenka, 1909. 8-ka, kt. nlb. 3, str. CXXXVIII i 463.

O Jakóbie Hołowackim krążyły dotychczas wersye najrozmaitsze, sprowadzające się głównie do tego, iż był on od lat młodych rzekomo zapamiętałym moskalofilem. Mniemanie powyższe opierało się — naturalnie — na nieuzasadnionych podejrzeniach i kombinacyach plotkarskich, jakich nigdy i nigdzie nie jest za mało w odniesieniu do osobistości wybitniejszych. Tak samo pozbawione były w większej

części prawdy faktycznej legendy formalne o stosunkach Małorusinów galicyjskich z Rosyą w przeciągu czwartego i piątego dziesięciolecia minionego wieku. Daleki jestem od stawiania twierdzenia, jakoby stosunków takich nie było, jakoby pewne stronnictwa polityczne małoruskie nie otrzymywały były w swoim czasie zasiłków pieniężnych od możnej wówczas »Rosyi-matuszki«. Jeżeli jednak otrzymywali tysiące, setki tysięcy nawet, to w każdym razie nie brał w tem udziału Jakób Hołowaćkij. Stosunki zaś jego z Rosyą stały się zupełnie jasne, dzięki publikacyom tylekroć zasłużonego prof. Studzińskiego, którego prace zdobiły nieraz łamy *Przeglądu*.

Lat temu cztery ukazał się w opracowaniu szan. profesora tom pierwszy »Listów Hołowackiego«, który obejmował okres korespondencyi z lat 1850—1862. Obszerna dyskusya, jaką spowodował, zarówno w prasie małoruskiej, jak niemniej i w obcej, stwierdziła dowodnie, że materyały, ogłoszone przez prof. Studzińskiego, stanowią materyał pierwszorzędny do historyi kulturalnego życia Małorusi owych czasów, bez względu na to nawet, jakby je komentować zechciano.

Obecnie ukazał się drugi, bardzo obszerny tom tej »Korespondencyi«, obejmujący wcześniejsze lata życia Hołowackiego, mianowicie od r. 1835—1849, lata bardzo ważne nie tylko dla dziejopisa rozwoju kulturalnego Małorusinów, ale też tem więcej doniosłego znaczenia dla historyka ruchu umysłowego i politycznego polskiego w Galicyi, zwłaszcza, że w owych czasach życie polskie zasilały obficie żywioły inteligentne małoruskie.

Dotychczas wiele faktów z tej epoki było osłoniętych zasłoną tajemniczości. Niemniej niejasne były trudności ogromne, z jakiemi musieli walczyć twórcy odrodzenia małoruskiego, a już całkowicie mgłą owinięte były ich stosunki ze światem słowiańskim. Listy Hołowackiego rzucają spory snop światła na wszystkie wspomniane kwestye, wyjaśniając, ile to trudów włożyli młodzi zapaleńcy z poetą Markianem Szaszkiewiczem na czele w pracę nad odrodzeniem Rusi galicyjskiej, zwłaszcza, że usiłowaniom ich stawali na przeszkodzie wybitni rodacy, zaśniedzieli w obskurantyzmie.

Pragnąc dać możliwie najzupełniejszy obraz owych dążności, zaglądnął też prof. Studziński do archiwum prezydyum Namiestnictwa we Lwowie, oraz do archiwum ministerstwa spraw wewnętrznych. Poszukiwania archiwalne nie wydały takiego plonu, jakiego spodziewano się. Znaczna część aktów, odnoszących się do ruchu odrodzeniowego, została »wyszkartowana« (po polsku znaczy to: »sprzedana

żydkom na obwijanie masła i powideł«). Razem z aktami uległy takiemuż samemu arcysmutnemu losowi rękopisy, przesłane ongiś do cenzury. Zaledwie nieznaczna część została uratowana. Z rąk antykwaryuszów zakupiono ostatki częścią do Biblioteki uniwersyteckiej lwowskiej, częścią zaś do zbiorów Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki. Garstka znalazła się wreszcie w archiwum »Narodnego Domu«. Poszukiwania, przeprowadzone przez prof. Studzińskiego w archiwum Ministerstwa spraw wewnętrznych, dały wyniki wcale mizerne.

Zanim przystąpimy do rozejrzenia się w właściwej korespondencyi Hołowackiego, zatrzymać się musimy nad wstępną rozprawą prof. Studzińskiego p. t.: »Przyczynki do historyi życia kulturalnego Rusi Halickiej w latach 1833—1847«.

Skutkiem błahego przewinienia, rozkazem ówczesnego gr.-kat. metropolity, Michała Lewickiego, został Markian Szaszkiewicz wydalony z seminaryum duchownego we Lwowie. Bieda zżarła mu zdrowie, musiał bowiem przez trzy lata znosić niedostatek krańcowy, póki go w r. 1833 nie przyjęto z powrotem w mury seminaryjne, wśród których rozwijał się na dobre polski ruch spiskowy, z przyczyny którego wielu alumnów i księży uległo prześladowaniu, gdyż pierwszych oddawano za karę w szeregi wojskowe, drudzy zaś pokutowali w kazamatach Szpilbergu lub Kufsteinu. Ruch ów nie pociągnął ku sobie Szaszkiewicza. Młodzieniec bowiem snuł marzenia o podniesieniu ludu małoruskiego z ciemnoty.

Celem przeistoczenia swoich planów w czyn, skupił wokoło siebie grono kolegów, z pomocą których ułożył pierwszy almanach literacki p. t. »Syn Rusi«. Od poezyi roiło się tam. Wiersze te jednakowoż, poza wyrazami gorącej miłości ojczyzny, były utrzymane w formie naiwno-romantycznej i w dodatku aż nadto niedołężnej. A że spór polsko-ruski nie został bynajmniej, jak to powszechnie utrzymują, rozdmuchany przez *Słowo Polskie* i wszechpolaków, tego najlepszym dowodem strofka z wiersza, pomieszczonego w tem zbiorowem wydawnictwie, kreśląca typ Polaka:

Dumnyj trochy wpokojiw sia,
Ałe znowu rozłostyw sia,
Na suchoty uże hyne,
A szcze każe: »Ty Rusyne!...

A zatem lat temu siedmdziesiąt parę spór narodowościowy był już dostatecznie zaogniony... Rzecz łatwa do wytłumaczenia: Naród ruski czuł przygniatającą go wyższość kulturalną Polaków. A że hi-

storya dowiodła tysiąckrotnie, iż narody niższe kulturalnie, bojąc się asymilacyi, odrzucają precz od siebie wszystko, co ma pozór bodaj kultury, żeby tylko zachować odrębność narodową, więc też nie dziw, że Małorusini bronili się wówczas ze wszech sił przed światłem idącem z Zachodu, przeciwstawiając mu ciemności bizantyńskie, jak bronią się obecnie...

Niebawem złożył Szaszkiewicz w cenzurze drugi almanach p. t.: *Zorija*. Dano ją do ocenzurowania znanemu sławiście, wydawcy *Glagolita Closianus*, Kopitarowi [1], który, będąc szczerze przywiązany do Austryi, uważał wydanie *Zorji* za fakt polityczny, przeciwko któremu mogliby założyć protest Polacy i Rosyanie. Lubił zaś zarówno jednych, jak drugich. To też rozważał, czy Austryi godzi się popierać dążności literackie Małorusinów za cenę niezadowolenia rosyjskiego i polskiego? Wśród takich wahań odesłał rękopis do Lwowa, pragnąc usłyszeć wprzód zdanie cenzora miejscowego. Cenzorem był wówczas prof. teologii moralnej ks. Benedykt Lewicki. Na skutek jego relacyi ks. metropolita Lewicki wydał opinię nieprzychylną, gdyż w *Zorji* były wycieczki ostre przeciwko: Polakom, Jezuitom i Żydom. Nowy Humań!...

Na ogół słowianofilstwo Jakóba Hołowackiego, Markiana Szaszkiewicza, Mikołaja Ustyanowicza, Wagilewicza, Mogilnickiego i innych mniej wybitnych członków tego kółka nie wykraczało poza ramy ideowe, a w każdym razie nie było czemś, co później otrzymało nazwę »moskalofilstwa«. Szaszkiewicz już w najwcześniejszych swoich utworach poetyckich występował z otwartą przyłbicą, kiedy marzył o zbrataniu się i tych, którzy mieszkali nad Wełtawą, i tych, których siedziby były tam, gdzie »biały orzeł gniazdo klecił«, tych, co żyli nad Dnieprem i hen — aż w Nowogrodzie...

Marzenia te były zresztą, jak to łatwe do przewidzenia, utopią krańcową. Że zaś kółko to młodych słowianofilów nie pragnęło zlania się wszystkich narodów słowiańskich w jednem wielkiem morzu rosyjskiem, o tem świadczy najdowodniej słabiuchny wierszyk, którego urywek przytaczam w przekładzie dosłownym. Że byli separatystami, to jasne:

[1] Przy tej sposobności zwracamy uwagę na niewyzyskane dotąd oceny Kopitara następujących książek polskich, znajdujące się w archiwum Ministerstwa spraw wewnętrznych: fasc. 887, rok 1822, nr. 10743/90 o gramatyce Onufrego Kopczyńskiego; fasc. 929, rok 1823, nr. 686/1765, 159 o Niemcewicza »Śpiewach historycznych«; fasc. 1259, rok 1832, nr. 8291/26 o Fr. Siarczyńskiego »Słowniku hist. statyst. geograf. Królestwa Galicyi«.

Ruska matka nas zrodziła,
Ruska matka nas powiła,
Ruska matka nas lubiła,
Czemuż mowa jej niemiła?

Nie brakło jednak podejrzeń w tym kierunku. Dość, że powszechnie utrzymywano, iż w seminaryum duchownem gr.-kat. istnieje, jak powiada doniesienie pewne, — *die russische Partei,* która *die besten Köpfe im Seminar zählte und ihre Reden zeichneten sich nun sämmtlich dadurch aus, dass sie das Glück des Landes unter der Herrschaft der alten russischen Fürsten priesen,* mowy zaś wypowiadali *in der echt russischen Sprache.* Boć chyba użycia grażdanki przy druku »Rusałki Dniestrowej« nawet naiwny nie mógłby poczytywać za rusofilstwo!...

Tymczasem właściwa skłonność do używania t. zw. *jazyczija,* t. j. konglomeratu cerkiewno-słowiańskiego języka z rosyjskim, objawiała się wśród wyższego duchowieństwa kapitulnego z placu św. Jura, o czem świadczy najlepiej żargon, w jakim napisano panegiryk pośmiertny metropolicie Lewickiemu, w którym wysławiana była jego *rewnost' k błagoczestiju, wozdierżnost', dobrota, ljubow k'narodu, krotost' i szczedrota.* Naturalnie, że z nowatorskimi zapędami, zmierzającymi do używania języka ludowego w literaturze i w życiu, nie mógł pogodzić się ówczesny cenzor ks. Lewicki, o którego języku wyraziły Jordana *Jahrbücher für slavische Litteratur* następująco: *Dieses Büchlein liefert uns ein Muster der babylonischen Vermischung moskovitischer, polnischer, kirchenslavischer und kleinrussischer Sprachelemente.* Ale koniec końców był on cenzorem urzędowym rękopisów małoruskich.

To też, kiedy przesłano mu do ocenzurowania rękopis »Rusałki Dniestrowej« zrobił z przysługujących mu praw użytek ścisły, tak, że cenzor wiedeński, a był nim w owe czasy Kopitar, za głowę chwycił się ze zdumienia. Ks. Lewickiego uprzedziły do »Rusałki« przedewszystkiem: język żywy ludowy, pisownia fonetyczna i... grażdanka, było to bowiem pierwsze wogóle wydawnictwo, drukowane w Austryi grażdanką!

Wydawcom tego almanachu wytoczyły władze duchowne śledztwo, zakończone udzieleniem surowej nagany.

Najwybitniejszy z całego kółka nowatorów, Hołowacki, nie zniechęcił się niepowodzeniami, owszem starał się nawiązywać stosunki z wybitniejszemi osobistościami z całej Słowiańszczyzny bodaj zapomocą korespondencyi. W ten sposób wnet pomiędzy jego znajomymi

znaleźli się: Szafarzyk i Kopitar, Zap, Pogodin, z Polaków zaś W. A. Maciejowski, z ludzi zaś, zajmujących się specyalnie sprawami małoruskiemi: znany etnograf M. Maksimowicz, I. Srezniewskij oraz Osip Bodjańskij, żeby nie wyliczać pomniejszych.

Wszystkie objawy życia umysłowego wśród narodów słowiańskich interesowały go żywo, jak niemniej jego brata. Że zaś obaj nie byli szowinistami, na to dowód w zachwycie, w jaki popadali na widok wybitniejszych talentów. Wystarczy przytoczyć zdanie o Zaleskim, zawarte w jednym z listów, które przytaczam w dosłownem tłumaczeniu:

— Oj, gdybyśmy mieli piewcę takich dum, — duchem powstałaby Małoruś i zabłysłaby piękniej od wszystkich gałęzi słowiańskich! a nie potrzebowaliby się o nas ani Polacy, ani Moskale bić, kłócić, sprzeczać...

Nadeszła »wiosna narodów«, rok 1848. Hołowacki, któremu bieda nalała się już była uszyma i nosem, został zamianowany profesorem uniwersytetu lwowskiego. Nareszcie — przypuszczano — uzyskawszy byt niezależny, spełni te nadzieje, jakie w nim pokładali Małorusini. Niestety, nadzieje okazały się niebawem zwodniczemi. Hołowackij sprzeniewierzył się wnet ideałom, wyznawanym i głoszonym z tak niepospolitym zapałem w młodości, stał się moskalofilem. Życie przeszło nad dalszą jego działalnością, która stała w jaskrawej sprzeczności z dawniejszemi jego dążeniami — do porządku.

Smutny jest zawsze los renegatów... Takiż był los Hołowackiego.

* * *

Ale czas przejść do samychże materyałów. Wszak samych listów mamy 242!

Przedewszystkiem dodatki do wstępnej rozprawy prof. Studzińskiego. Jest ich sporo i to niejednokrotnie ważnych też dla nas. Do takich zaliczyć należy wydane z aktów archiwalnych c. k. Namiestnictwa we Lwowie normy cenzuralne z 1810 roku, które obowiązywały aż do roku 1848. Dalej mamy tutaj parę wierszy ze »Syna Rusi«, relacyę metropolity w sprawie Markiana Szaszkiewicza, udzieloną prezydyum gubernialnemu, orzeczenie cenzorskie Benedykta Lewickiego o gramatyce małoruskiej Łozińskiego, szereg nieprzepuszczonych przez cenzurę ustępów z *Annales Ecclesiae Ruthenae* M. Harasewicza, wreszcie relacyę konsystorza o Jakóbie Hołowackim i Wagilewiczu.

Właściwa korespondencya rozpoczyna się listem Kollara z r. 1836. Autor *Sławy Dcera*, któremu to utworowi zawdzięcza znaczenie swoje w historyi literatury, dotyka też spraw polskich. Dowiadujemy się tedy o stosunkach jego z działaczami naszymi, z Maciejowskim i Rościszewskim, o żywem zainteresowaniu się wybitniejszemi pracami, jakie ukazywały się w ówczesnej literaturze polskiej (Chodakowskiego »Rozprawa o Słowiańszczyznie przed chrześcijaństwem«, krakowski »Powszechny pamiętnik nauk i umiejętności«), o tłumaczeniach czeskich z literatury naszej (Krasicki, Niemcewicz, Mickiewicz) i innych drobiazgach.

Maciejowskiemu, który właśnie wówczas pracował nad prawodawstwem słowiańskiem, był Hołowacki pomocny, gdyż przesłał mu parę odpisów dyplomów oraz piosnek ludowych, do których Maciejowski przywiązywał nadmierną wagę. Nie mając we Lwowie nikogo sposobniejszego, obarczał historyk polski Hołowackiego najrozmaitszemi kwerendami. W jednym z listów prosi go o wypisy z manuskryptów w tym względzie, »co tylko może rzucić światło na prywatne i publiczne życie narodu tego (małoruskiego scil.), tudzież na jego życie. Pieśni gminne najwięcej mnie zajmują. O gdybyś mi mógł, panie Jakóbie, więcej podobnych dostarczyć!« Dowiadujemy się stąd dalej rozmaitych szczegółów o przygotowywaniu materyałów do historyi prawodawstw słowiańskich, która była istotnie tematem ogromnym. »Wszakże wziąłem się do niego — pisał — tymczasem na samej Polsce i będącej z nią w związku Rusi badania nie ograniczywszy i nie posuwając się dalej za rok 1650. Czytam wszystko, co do tego czasu należy, a czytam z uwagą i żelazną pracą! Skończyłem poetów polskich, ich czytanie 5 kwartałów zajęło mi czasu. Teraz czytam kaznodziei. Czytając spisuję wszystko, chociaż to, ściśle mówiąc, do prawodawstwa nie należy. Mam zamiar zebrać te ważne szczegóły i wydać je osobno, wystawiając rzecz o literaturze polskiej, domowem życiu Polaków i t. d. w XV—XVI wieku. Do tej pracy bardzoby mi się przydały szczegóły o Rusinach, pamiętaj więc na mnie, panie Jakóbie, i przysyłaj, co tylko uwagi godnego znajdziesz«. Zleceń takich sporo w każdym liście:

»Skoro wykończę mój opis Polski – donosił Maciejowski – przyjadę do Lwowa dla skompletowania dzieła. Jest to ogromna praca. Każdy nawet i najlichszy pisarz ma być rozebrany szczegółowo, a następnie wykazany duch naszego piśmiennictwa w XV, XVI wieku, wraz z przyczynami i rozumowaniem. Życie prywatne Polaków ów-

czesnych ma zastąpić niehistoryczne romanse, jakie pisano dotąd o owych wiekach. Piękna materya, ale trudna! zwłaszcza, jeżeli rzecz ma być wystawiona i gładko i ładnie, ze względu na sztukę i charakter narodu, który w prywatnem życiu tyle podziwienia jest godzien, ile w publicznem życiu brakiem taktu razi. Ogrom, wielki ogrom rzeczy zebrałem dotąd, i co Gołębiowski w tej mierze napisał, zdaje mi się być lichą ramotą! W jakże innem świetle wydaje mi się być ruski naród z Polską połączony! Jak mylnie go wystawiano i pisano na pamięć o nim bez znajomości rzeczy. Wszakże z drukowanych dzieł ledwie że cokolwiek powziąć można wiadomości w tej mierze. Potrzeba rękopisów, a rękopisów wchodzących w życie prywatne. Wy, panowie Rusini, powinniście zasilać mnie w tej mierze, wszakże tu i o was chodzi, bo wasze dzieje dotąd leżą odłogiem« (str. 14).

Z okazyi tejże samej pracy udaje się Maciejowski do Hołowackiego z prośbą o nadesłanie pieśni ludowych, »jakie osądzisz być za najstarsze. Coraz to więcej przekonywam się, jak niejedna pieśń sięga odległej starożytności (powszechne to było wówczas mniemanie, chociaż najfałszywsze. Przyp. rec.), tylko że wieki późniejsze przeistaczały ją i do okoliczności różnych stosowały. Tak będąc teraz w Lużycach znalazłem pieśń około Budziszyna śpiewaną o pewnym panu z poza Drażdżan (Drezno), która jest tą samą, jaką w zbiorze p. Wojcickiego o Staroście zakochanym w młynareczce, a u p. Żegoty Pauli o Panu Kaniowskim (tejże treści) czytamy. Tak więc ta piosnka odległej sięga starożytności; bo od czasu zerwania Lużyczan z Polską nie krążyły już pieśni polskie nad Labą, i przeciwnie nadlabańskie nad Wisłą i t. d. Nie nauczyli się więc tej pieśni nasi chłopi od łużyckich, i nawzajem. Właśnie teraz gotuje się do druku zbiór pieśni gminnych górno i dolnó-łużyckich, które wielkie rzucą światło na pieśni gminne polskie. Zresztą nie widziałem pieśni, któreby pod względem rzeczy tak były jałowe, jak łużyckie: nic się z nich nie dowiesz o domowem życiu zniemczałych tych Słowian« ... (Str. 19).

Pomijamy wcale ciekawy opis Krakowa w liście Iwana Birec-kiego (str. 46—48), ażeby zatrzymać się chwilę nad poglądami Hołowackiego na ówczesny nastrój społeczeństwa polskiego i stosunek wzajemny do Małorusinów:

»Ciężko było mnie czytać twoje słowa: »Polacy chcą gwałtem, żebyśmy Polskę uważali za swoją ojczyznę i ich pisownię, a może i język przyjęli. Polacy nie wierzą w Słowiańszczyznę. Takie słowa bolesne są dla serca ruskiego, a jeszcze i to, co nieraz odbiło się

o moje uszy o szlachcie i tych »derunach«, co przy niej wieszają się — rozważywszy to wszystko i patrząc się żywemi oczyma na tę nędzę milionów, przeglądnąwszy, z czyjej to przyczyny stało się, nie zdziwisz się, dlaczego tak ostro wyraziłem się w liście« ... (Str. 58).

Pomimo to nie zrywał ze znajomymi Polakami i tymi, co byli tylko *gente Rutheni,* np. z Denysem Zubrzyckim, który zachęcał go do zajęcia się zbadaniem następującej kwestyi: »Mówiono mi, że panuje tradycya gdzieś tam w Kołomyjskiem, czyli czortkowskim cyrkule, iż istniało między ludem prostym »pobratymstwo« tak dalece, że nawet dwóch miewało wspólną żonę, i że duchowieństwo ledwie zdołało ten pogański zwyczaj wytępić. Jeżeli tak w rzeczy samej, jabym ten aczkolwiek naganny zwyczaj, poczytał za pobratymstwo, istniejące dotąd, jak Panu wiadomo, u niektórych plemion słowiańskich« (str. 72).

Sprawy polskie interesowały go żywo, czego dowodem list brata jego Iwana z 30 stycznia 1844 r., w którym komunikuje między innymi o berlińskich wykładach d-ra Wojciecha Cybulskiego *Über Volkspoesie der Slaven,* o kursach literatur słowiańskich Mickiewicza, o których wyraża się, że pełne są »myśli nowych, genialnych, — ale wpływ zachodni przeważa« (str. 111), a dalej o »Chowannie« Trentowskiego, poezyach Gawińskiego, wydanych przez Żegotę Paulego, wreszcie bardzo a bardzo obszernie, z przytoczeniem licznych ustępów, o poezyach Bohdana Zaleskiego, który »śpiewa prześlicznie«, a dumki jego, »gdzie spojrzysz, cud, jakie prześliczne — tylko ta nieszczęśliwa, przeklęta mania, nas wszystkich porobić »perekińczykami« — język płynie, jak woda, — ludowi z ust wyjęte myśli... Te dumy takie piękne, że wszystkie trzebaby odpisać na pokaz, która najładniejsza; porównaj je z *Ohłasom pieseń małoruskich* Czelakowskiego, to będziesz mieć chociaż pojęcie o dumach Bohdanowych. W innym liście donosi mu brat o rosyjskich tłumaczeniach ballad i sonetów Mickiewicza i Odyńca, dokonanych przez Afanasija Szpigockiego, Ukraińca rodem, późniejszego sekretarza oberprokuratora Świątobliwego Synodu w Petersburgu.

Że do Polaków czuł aż nadto wiele niechęci, na to dowodów, jak niemniej też na wzmaganie się jej, aż nadto wiele w miarę biegu lat. Oto przykład, wyjęty z listu serdecznego jego przyjaciela, Czecha zamieszkałego we Lwowie, K. K. Zapa, który donosi, że »u Polaków największym występkiem jest, jeżeli kto jest panslawistą, a za takiego i ja mam zaszczyt być uważanym. Co nam i wam Rusinom Polacy pod płaszczykiem tego panslawizmu zaszkodzili u władzy, tego im

Pan Bóg na niebie nie odpuści« (tłumaczę dosłownie z czeskiego, str. 148).

Im bliższa była »wiosna narodów«, tem ogniściej gorzała nienawiść Hołowackiego do Polaków, w pierwszych wybuchach maskowana zręcznie. Niechaj przemówi sam Hołowackij urywkiem z listu, pisanego 25 maja 1848 r. do swego brata:

Po ogłoszeniu konstytucyi — pisze on — »Polacy uradowani krzykami narodów europejskich i potakiwaniem dworów, że Polska będzie i musi być, i to w dawnych granicach, zapomnieli o nas Rusinach, pragnęli tylko Polski, a nasz język nazwali swojem narzeczem, a nam nawet nazwy Rusin zaprzeczali... Ale nie uda się im, Rusin zwietrzył pismo nosem, swojego dobija się, a z Lachami nie zrywa związku... Nie dałbyś wiary, co za dziwy porobiły się — Niemcy »basują« Rusinom, jak mogą; sam słyszałem, jak komisarz cyrkułowy mówił, że tutaj Czerwona Ruś — i Polakom nic tu do roboty, że — powiada — tylko wy, Rusini, dźwignijcie swoją narodowość, swój język, a Lachów wyrzucicie aż za San. W Stanisławowie oficerzy i cyrkułowi mówią wszyscy po rusku, — także Niemcy mówią, że wszyscy przejdą na wyznanie ruskie, bo ono jest lepsze — ba, znaleźli się i tacy, którzy głoszą: poco mamy słuchać papieża rzymskiego, przyjmiemy obrządek ruski i zrobimy cesarza głową Cerkwi, tak jak w Rosyi«. (Str. 249). Takie były czasy...

Waśń narodową rozdmuchiwała biurokracya z zapałem. Wielu szło na lep jej obiecanek. To też niepodobna nie przytoczyć w tem miejscu charakterystycznego ustępu, wyjętego z listu znanego poety małoruskiego księdza Antoniego Lubicz Mogilnickiego, który wcale nie liczył się do przychylnie usposobionych względem narodu polskiego:

»Znam lepiej wszystkie te krzywdy, jakie wycierpieli Rusini od Polaków, bom głębiej brodził w piśmie od nich, - ale nie dzisiaj czas na to — rany zabliźnione na nowo drażnić; nie daję wcale wiary pięknym słowom teraźniejszych polskich demokratów: *Timeo Danaos et dona ferentes.* Ale nasz własny, dobrze zrozumiany interes radzi nam nie mnożyć sobie wrogów pod bokiem, gdyż mamy innych szkodliwszych wrogów, którzyby chcieli ze wszystkich swobód konstytucyjnych zrobić gruszki na wierzbie, ażeby to, co pięknie obiecywano, pozostało na wieki na papierze. Jednem słowem, zdaniem mojem, Polacy, którzy chytrością pragną nas złowić, są złodziejami politycznymi, — Rusini zaś, którzy rozdzierają bratnią zgodę, ażeby zostać na wieki pokornymi knechtami hardych biurokratów — są *kruhom duraki*... (Str. 264).

Przyszło do zwołania pierwszego parlamentu austryackiego. Początkowo nienawiść plemienna Małorusinów ku Polakom zdawała się przycichać. »My — pisał do Hołowackiego poseł Karol Błoński — mamy nieustanne sprzeczki z Lachami, ale gdzie chodzi o dobro ogólne Słowian, wówczas i my, i Lachy, Czesi i Illiryjczycy stajemy jeden za drugiego... Bardzo mało jest nas Rusinów, bo albo chłopi, albo Polacy, albo i Rusini z polskim duchem tutaj poprzyjeżdżali« (str. 271).

Waśń między Polakami a Rusinami niedługo mogła tlić w ukryciu. Wybuchła wnet z całą siłą i to ze strony ruskiej, co wielce zgorszyło jednego ze słowianofilów, Czecha, Fr. Jachima, który patrząc na to, co się działo we Lwowie, nie powstrzymał się od wypowiedzenia swego oburzenia w liście z 8 sierpnia 1848 r. Oto urywek:

»I waszym Rusinom (tłumaczę dosłownie z czeskiego; przyp. autora), jak każdemu innemu przyznano równe prawa, dlatego też nie mogę pochwalać niesfornych usiłowań wielu tutejszych Rusinów, którzy dzisiaj jeszcze w szermowaniu i występowaniu przeciw Polakom znajdują specyalne upodobanie. Przecież Polacy już dosyć upadli, tak że Wam więcej szkodzić nie mogą, a z drugiej strony potrzeba bardzo, ażeby w parlamencie wszyscy Słowianie jak najściślej spoili się celem osiągnięcia równych praw z innymi narodami naszego państwa. Stronnictwo słowiańskie w Wiedniu już wiele ucierpiało skutkiem tego, że z Galicyi wybierano tylko włościan... Jak obecnie sprawy w Wiedniu mają się, — wydaje się, że jedynie zawisło od solidarności Słowian, ażeby otrzymali przewagę, dlatego starajcie się wszędzie przygotowywać do zgody. Polacy Wam już wszystko przyznają, czego wymaga równość, i nam wszystkim potrzeba zgody przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi. Wasi Rusini, tak zwani świętojurscy, mają pośród siebie bardzo wielu starych, upartych wrogów (w oryginale *nenawistniku*) Polski, pozbawionych krzty rozsądku, polityki i znajomości naszych wspólnych potrzeb. Ze samych młodych mało który dotychczas poznał myśl wszechsłowiańską, to jest to, czego nam wszystkim dzisiaj najwięcej potrzeba« (str. 281). Tak pisał Czech bezstronny, przyjaciel Rusinów...

Jak zresztą mądrze korzystał lud małoruski z otrzymanych praw obywatelskich, niechaj zaświadczy inny przyjaciel Hołowackiego, Rusin szczery N. Bireckij, ustępem z listu z 12 sierpnia 1848 r.:

»Drugiego b. m. były w Dynowie wybory posła już po raz trzeci. Mógł był pójść do Wiednia Rusin, ale cóż z tego, gdy ludzie nasi liczbą silniejsi, nie wiadomo, czy przez Żydów, czy — szanując

krzyż św. — przez dyabła podburzeni, jak opętani wyszli z lokalu wyborczego i nie chcieli głosować, a intelligencya z tego rada, wybrała, jak wiadomo, Polaka i wysłała do Wiednia, a chociaż nie miał tyle głosów, ile potrzeba, zgromadzenie narodowe przyjmie go« (str. 283).

To nazywało się wówczas, równie jak dzisiaj, gwałtem czy bezprawiem wyborczem!...

Nabiedował się był dotychczas Jakób Hołowackij aż nadto. Teraz czekała go nagroda w postaci katedry literatury małoruskiej na wszechnicy lwowskiej. Pod nrem 167 (str. 297—299) znajdujemy brulion podania wraz z krótkiem *curriculum vitae* i drobiazgowem wyliczeniem prac naukowych. Wymagania były naówczas, zwłaszcza stosowane względem Rusinów, minimalne. Na podstawie takiego przygotowania naukowego, jakie miał Hołowackij, bez stopnia naukowego, dzisiaj nikt nie uzyskałby nie tylko katedry uniwersyteckiej, ale bodaj stopnia doktorskiego!... Ostatecznie Hołowackij bez wielkich zachodów został mianowany profesorem. A że brakło mu odpowiedniego do tego zawodu wykształcenia, rozpisywał na wszystkie strony listy z prośbami o książki i podręczniki. Zresztą naukę trzeba było zaczynać od *azbuki*, jak to widać z listu I. Antoniewicza: »Daruj, że pisze Rusin po polsku, ale cóż kiedy się boję jako uczeń do mistrza po rusku pisać, żebym go, nasadziwsza *(sic)* bykow, nie zmartwił«... (Str. 334—335). Cóż?... kiedy sam profesor starał się o otrzymanie dzieł zasadniczych wówczas w nauce historyi literatury małoruskiej, które każdy student znać dokładnie powinien, profesor zaś do nich zaglądać wstydzićby się musiał...

Doszedłszy do szczytu marzeń — Hołowackij sprzeniewierzył się ideałom młodości, zawiódł pokładane w nim przez Małorusinów nadzieje, i oparł się aż w... *matuszce Moskwie.*

Kończę refleksye swoje wierszem dumki ludowej małoruskiej, łzawej i smętnej, jak smętną jej melodya:

Pomarniła nasza dol'a...

Dr. St. Zdziarski.

Opisanije słowiano-ruskich staropieczatnych knig Wilenskoj Publicznoj Biblioteki. (1491—1800 gg.) *Miłowidow A. I.* Wilno, 1908. 8-ka, str. 160.

Niejednokrotnie już zdarzyło się podpisanemu słyszeć prywatnie zarzuty, jakoby tylekroć wypowiedziane przez niego w druku twierdzenie o wyższości kulturalnej narodu polskiego nad rosyjskim, było dyk-

towane zarozumialstwem narodowem, jeżeli nie krańcowym szowinizmem. Argumenty przeciwników mojej teoryi były zawsze tego rodzaju, że polegały nie na faktach lecz na sentymentach. Że zaś w nauce ścisłej nie wolno kierować się uczuciami, tylko prawdą, chociażby ona była nawet najprzykrzejsza, więc, po raz nie wiem który, spróbuję udowodnić na przykładzie swoją tezę, nie oglądając się wcale na to, czy rezultaty, do jakich doszedłem, będą dla kogo przyjemne lub niemiłe.

Dowodem najwymowniejszym na rozwój kulturalny każdego narodu jest jakościowa, ale też i ilościowa suma jego produkcyi umysłowej. Zestawieniem cyfr, z których można wyciągać wnioski, dotyczące rzeczonych faktów, zajmuje się bibliografia. Pospolicie chełpią się uczeni rosyjscy tem, iż u nich jedynych w całej Słowiańszczyźnie każdy uniwersytet wydaje własne czasopismo naukowe, iż roczna produkcya drukarska jest u nich tak wielka, że z nią nie mogą mierzyć się wszystkie inne narody słowiańskie, razem wzięte. Na czem jednak opierają swoje wnioski?... Mając do rozporządzenia środki materyalne tak olbrzymie, o jakich gdzieindziej pomyśleć nie da się, mając tylu ludzi pracujących na polu naukowem, nie mogą poszczycić się tem bodaj do czego zdążyli w części Czesi, a co nas stawia pod tym względem na pierwszem miejscu w Słowiańszczyźnie, nie mają bibliografii, którąby obejmowała całokształt ich produkcyi umysłowej, podczas gdy my, nie zasobni ani w tylu zawodowców, iloma oni chełpią się, ani w odpowiednie zasoby finansowe, a te wcale nie podrzędną rolę odgrywają w takiem przedsięwzięciu, możemy pokazać im, co praca i dobra wola jednostki zdziałać jest w stanie. Co przeciwstawić są zdolni »Bibliografii« Estreichera?...

Nie przechwałkami próżnymi o wyższości kultury polskiej, lecz świadectwem niezaprzeczalnem możemy każdej chwili udowodnić, gdzie jest kultura, a po czyjej stronie bizantyńska napuszystość tylko!...

Co więcej?... nasze Ossolineum lwowskie ma katalog pomnikowy rękopisów w opracowaniu zasłużonego tylekroć dra Wojciecha Kętrzyńskiego, ma go też zapoczątkowanym przez dra Józefa Korzeniowskiego krakowskie Muzeum XX. Czartoryskich. A co jest w Rosyi?... Proszę wziąć tylko pod łaskawą uwagę nie ocenione dotąd i nie wyzyskane zbiory Biblioteki Publicznej w Petersburgu, których katalog rękopiśmienny jest ułożony jakby na urągowisko. Że zaś świat dowiedział się o części zbiorów polskich, tam pomieszczonych, to znowu zasługa nie bynajmniej obecnych właścicieli tych zrabowanych skarbów, lecz niestrudzonego dra Korzeniowskiego! I co tu mówić o kulturze rosyjskiej?...

Przedemną leży jeden z przyczynków do ogólno-rosyjskiej bibliografii, która kto wie kiedy zostanie zestawiona. Przyczynek to tem więcej nas interesujący, ile że Biblioteka Publiczna w Wilnie dostała za podwaliny zbiory czysto polskie, zagrabione rozmaitymi czasami z klasztorów i dworów szlacheckich, zwłaszcza po powstaniu styczniowem, o czem autor napomyka delikatnie, traktując grabież pospolitą, jako rzecz zupełnie naturalną. »Co kraj to obyczaj«... powiada mądrze przysłowie.

Po tych ogólnych uwagach przejdźmy do rozpatrzenia się pobieżnego bodaj w tem, co ręce Wandalów ocaliły od zniszczenia. Otóż chronologicznie biorąc, napotykamy w Bibliotece wileńskiej jeden jedyny druk, pochodzący z wieku XV, ale jakże zdefektowany!... Z »Czasosłowca«, wydanego w Krakowie w r. 1491, obejmującego 384 kart, mamy tutaj jedynie kart 3 (trzy)! Mimowoli nasuwa się myśl, czyli też żołdactwo nie robiło z reszty drogocennych kart przybitek do karabinów w roku 1863?... Wszakże i dzisiaj mało który żołnierz rosyjski jest »gramotnyj«! A cóż to było dopiero przed pół wiekiem?!...

Wiek XVI figuruje 14 zabytkami, XVII już 77-miu, a XVIII aż 112. Najmniej, bo tylko po jednym jest druków: krakowskich, ostrogskich i rzymskich; weneckich napotykamy już 2, pragskich 3, mohylowskich 7, a wileńskich 22, lwowskich wreszcie nawet 29. Najobficiej reprezentowany jest Poczajów z poważną liczbą 41 zabytków typograficznych.

Niepodobna jednakowoż przemilczeć niepospolitej zasługi, jaką wydawca oddał nauce, reprodukując wzory czcionek i niektóre ornamenty tytułowe, przeważnie z XVII i XVIII wieku, z oryginalnych sztanc, przechowywanych w znajdującem się przy bibliotece wileńskiej Muzeum starożytności. Tak samo podnieść należy, iż rzadsze zabytki zostały opisane dokładnie, przyczem nie zaniedbano przytoczyć znajdujących się na ich marginesach uwag rękopiśmiennych, jak niemniej opisać t. zw. *ex libris*'ów.

To, co dał nam p. Miłowidow, nie jest bez znaczenia dla nauki. Przynajmniej praca jego rzuciła promyczek światła na to, co było wielu dotąd nieznane, a po większej części wprost niedostępne.

Cieszyłbym się z całego serca, gdyby moje uwagi, wypowiedziane wyżej, okazały się bodaj na przyszłość niedaleką najzupełniej błędnemi! Gdyby za przykładem p. Miłowidowa poszli inni bibliografowie rosyjscy, chętnie i bez żalu przyznałbym się otwarcie do grubej pomyłki.

Dr. St. Zdziarski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Rocznik Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie. Tom I. Wilno 1908. 8-ka, str. 187.

Po lat ośmiu dziesiątkach, w ciągu których ruch umysłowy polski na Litwie nie miał prawa wypowiedzenia się publicznego, powrócono nareszcie, dzięki pseudo-»konstytucyi« do kontynuowania prac, na ziemi, która hodowała Śniadeckich, Mickiewiczów, Zanów i tylu innych najszlachetniejszych synów Polski. Na gruzach dawnej siedziby życia umysłowego Litwy polskiej powstała instytucya, mająca za cel wyłączny kultywowanie badań naukowych na kresach starej Rzeczypospolitej.

I oto ci, którzy wyniki swoich badań mozolnych dotychczas musieli ogłaszać w Warszawie lub Krakowie, złożyli się na zapełnienie tomu pierwszego, który wprawdzie jest szczupłutki, ale, jak na początek, skoro się zważy milion trudności, jakie pochłonęła organizacya wewnętrzna instytucyi, wróży dobrze o swoich następcach.

Z natury rzeczy — ludoznawstwo otrzymało tutaj miejsce naczelne. I dobrze stało się. Dotychczas bowiem archeologowie i etnografi ziem litewskich, po upadku »Wisły« zmuszeni byli ograniczyć się ogłaszaniem badań swoich w wydawnictwie komisyi antropologicznej Akad. Umiej. krakowskiej. Obecnie przybyło nieco miejsca. A zatem: p. Michał Brensztejn, niezmordowany etnograf, podaje przyczynki do poznania narzędzi muzycznych ludowych. Znany również z prac ludoznawczych p. Ludwik Czarkowski pomieścił tutaj spory zarys ludoznawczy powiatu bialskiego w gub. grodzieńskiej, podając uzupełnienie słownika tykocińskiego p. Z. Glogera w swoim słowniczku gwarowym ziemi drohickiej. Za nazwy lokalne i rodowe należy się mu najzupełniejsze uznanie.

Z pomiędzy innych prac wymieńmy jeszcze »Krótką wiadomość o tajnych towarzystwach uczniów uniwersytetu wileńskiego aż do ich rozwiązania w r. 1824« przez Michała Czarowskiego. Jest to właściwie pamiętnik, spisany dla hr. Tyszkiewicza z uzupełnieniem Tomasza Zana.

Szczegóły, tyczące się działu administracyjnego podamy na innem miejscu. *Zet.*

Ojcowizna. Sztuka ludowa w trzech obrazach, z muzyką, nagrodzona na konkursie dramatycznym Wydziału Krajowego we Lwowie w r. 1908. Napisał *Franciszek Domnik.* Lwów 1909.

Jako tomik czwarty »Biblioteki« swojej, wydał »Związek teatrów i chórów włościańskich«, którego świetny rozwój należy w zupełności zawdzięczać energii niespożytej p. d-ra Zyg. Gargasa, popularną sztukę autora farsy o olbrzymiem powodzeniu p. t. »Na Łyczakowie«. O utworze tym musi powiedzieć się te same pochwały, co o wspomnianym. Odznaczają go niewątpliwe zalety sceniczne oraz literackie. Twórczość tego autora zasługuje tem więcej na uznanie, ile że mamy aż nadto wielki brak utworów, przydatnych do wystawianie w teatrach włościańskich i miejskich t. zw. »ludowych« oraz przez kółka amatorskie prowincyonalne. Niebawem wyjdzie nadto muzyka do śpiewek, kompozycyi tak wybornego piosenkarza, jak Jan Gall. *wi.*

Pieśni ludu polskiego na Śląsku. Tom I, zeszyt 1. (Odbitka z *Zarania śląskiego*). Cieszyn. Nakładem Tow. ludoznawczego. 1908. (8-ka duża, str. 16).

Ruchliwość kilku dzielnych jednostek, grupujących się w śląskiem Tow. ludoznawczem, zasługuje na uznanie publiczne, tem większe, że melodye śląskie przedstawiają dla badaczy materyał ogromnie ważny, ze względu na oddziaływanie muzyki niemieckiej i czesko-słowackiej, a przedewszystkiem na analogię ich z melodyami podhalańskiemi, która jest widoczna od razu nawet dla niezajmującego się specyalnie twórczością ludową. W zeszycie pierwszym znajdujemy 15 melodyi wraz z tekstem. Niektóre pieśni zostały zharmonizowane. Otóż w tej mierze nie zgadzam się z wydawcami, którzy, widocznie, mieli na oku także cel praktyczny. Nauka bowiem ścisła nie godzi się razem z popularyzacyą pieśni. Przynajmniej — takie jest moje zapatrywanie osobiste. Szata zewnętrzna wydawnictwa czyni zadość jak najdalej posuniętym wymaganiom i świadczy chlubnie o zapobiegliwości pp. wydawców.

Dr. St. Zdz.

De cardinalatu Stanislai Siestrzeńcewicz-Bohusz (1784—1817). *Godlewski Michael*, prof. Academiae Caesareae Romano-catholicae Ecclesiasticae Petropolitanae. Petropoli. 1909. 8-ka większa, str. 53, kt. nlb. 2, z portretem Siestrzeńcewicza.

Postać potężna metropolity Siestrzeńcewicza należy niewątpliwie do rzędu najciekawszych, najtęższych, ale też dotychczas najbardziej zagadkowych w dziejach Kościoła katolickiego z czasów porozbiorowych Polski. Mimo licznych prac, jakie o nim ogłoszono w językach polskim i rosyjskim, — osobistość Siestrzeńcewicza dotąd otoczona jest mgłą podejrzeń tak ciężkich nawet, jakoby rzekomo celem jego życia było oderwanie Kościoła w Polsce od Kuryi rzymskiej. Polegano powszechnie — pisząc o nim — na opowiadaniach ludzi postronnych, a zatem niepewnych i niedokładnych. Do dokumentów urzędowych, przechowywanych w pyle archiwów petersburskich, wstęp był do niedawna prawie niemożliwy.

To też za niepospolitą zasługę należy poczytać ks. prof. Godlewskiemu, że od lat kilku zajął się badaniem tych niejasnych relacyi i w pierwszym rzędzie sięgnął do źródeł rękopiśmiennych. Tem łatwiej było to możliwe do uskutecznienia, ile że ks. prof. Godlewski ma za sobą poparcie jednego z wielkich książąt, oddającego się również wyłącznie badaniom historycznym, a nie polityce i intrygom.

Jako część plonu, wyniesionego z poszukiwań archiwalnych, znajdujemy w rozprawie wymienionej oprócz listu Ojca św. Piusa VII do Siestrzeńcewicza obszerny traktat o rokowaniach dyplomacyi rosyjskiej z Kuryą apostolską w sprawie nadania metropolicie purpury kardynalskiej, jakie toczyły się za czasów panowania Katarzyny II, Pawła I i Aleksandra I. Opierając się na źródłach dotąd niedostępnych dał ks. prof. Godlewski cały szereg faktów, bądź zupełnie nieznanych, bądź też fałszywie przedstawionych. Do historyi Kościoła pod berłem rosyjskiem rozprawa ta stanowi walny przyczynek.

sław-ski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika Piusa X. o św. Karolu Boromeuszu.

Na rok bieżący przypada trzechsetna rocznica kanonizacyi św. Karola Boromeusza, kardynała i arcybiskupa Medyolanu, dokonanej w r. 1610 przez papieża Pawła V. Trudne położenie Kościoła w czasach św. Karola i nadzwyczajny przykład jego pasterskiej mądrości i gorliwości, z jaką wówczas w obronie praw Kościoła występował, pobudziły Ojca św. Piusa X, aby jak niedawno św. Chryzostoma, Anzelma i Grzegorza W., tak teraz odnowić pamięć Karola w osobnej encyklice, i w dzisiejszych równie przykrych i trudnych dla Kościoła czasach wskazać na pełen zachęty i światła jego przykład. Walka, jaka dziś toczy się z modernizmem, a którą z taką siłą podjął Pius X, kazała mu św. Karola przedstawić wyłącznie prawie pod kątem mądrego doradcy i energicznego propagatora zdrowej reformy.

Skreśliwszy przeto krótko zgubne usiłowania fałszywej reformy w czasach reformacyi, przechodzi do działalności św. Karola. Cała praca jego reformacyjna odbywa się w duchu i w posłuszeństwie Kościoła, zmierza do wzmocnienia wiary, dźwignięcia upadłej moralności w klerze i u wiernych świeckich, i podnosi dyscyplinę kościelną, podczas gdy modernizm naszej doby, jak

fałszywa reforma za czasów Karola, usiłuje wiarę i dyscyplinę naprawiać według własnych poglądów, przez co wprowadza większe zamieszanie w szeregach wierzących. Mając ciągle na ustach słowa: kultura, etyka! dążą fałszywi reformatorowie do ogólnego oderwania się od wiary i dyscypliny kościelnej, i aby tem łatwiej znaleźć posłuch, korzystają z powaśnienia i rozgoryczenia warstw społecznych, by odebrawszy im wiarę, obalić także porządek społeczny.

Wobec tych niebezpieczeństw, wzorując się na działalności św. Karola, zwraca Pius X uwagę na obowiązek zaznajamiania się z zasadami wiary św., przypomina rodzicom, chlebodawcom i proboszczom ciężki obowiązek niesienia oświaty religijnej dla powierzonych im osób i żąda szczególnie wielkiego starania o religijne wychowanie młodzieży szkolnej, wskazując na smutne stosunki szkolne w krajach romańskich. W podobny sposób podnosi Pius X niezwykłe zasługi św. Karola około reformy kleru, kaznodziejstwa i szczególnie jego gorliwość w szerzeniu praktyk religijnych, zwłaszcza częstego przystępowania do Sakramentów św., pokazuje, że różni się on zasadniczo od fałszywych reformatorów, którzy własnej sławy oczekują i na ludzkich siłach się opierają, podczas gdy on jedynie dbał o dobro bliźnich i w Bogu nadzieję pokładał. Wkońcu wspomina też papież o znaczeniu św. Karola nie tylko dla Kościoła ale także dla społeczeństwa, gdy, nie oglądając się na przychylność możnych, wszędzie trzymał się zasad sprawiedliwości i niesłusznym uroszczeniom mężnie się opierał. Takich to, spodziewa się Pius X, znajdzie sprawa Boża obrońców i apostołów, nie tylko w szeregach kleru ale i wśród świeckich, którzy gotowi będą wszystko poświęcić w walce o dobro Kościoła i społeczeństwa. Przy końcu jasno daje poznać, że takich Karolów, mężnych obrońców praw Kościoła, życzy sobie zwłaszcza dla dzisiejszej Francyi, gdzie partye przewrotu gwałcą najświętsze prawa, a pod słodkiemi słowami i zapewnieniami kryją najpodlejszą zdradę.

Każdy łatwo zrozumie, że zasadnicza myśl encykliki o prawdziwych i fałszywych reformatorach, nawiązująca się do osoby św. Karola Boromeusza, domagała się od Piusa X charakterystyki reformacyi i reformatorów XVI wieku. Z góry jest rzeczą pewną,

że ze stanowiska głowy katolickiego Kościoła ta charakterystyka pochlebnie dla nich wypaść nie mogła, każdy też chyba przyzna i prawo i obowiązek papieżowi napiętnowania wobec wiernych tego, co wprost zmierzało ku zburzeniu nauki, organizacyi i dyscypliny kościelnej. To też nie dziw, że Pius X widzi w reformacyi akcyę, która negacyą dogmatów kościelnych podkopała moralność i powagę Kościoła, a opierający się na namiętnościach moralnie podupadłych książąt i ludów reformatorzy przedstawiają się mu jako zwodziciele, których czyni odpowiedzialnymi tak za wnet wynikłe długie i straszne wojny religijne, jako też za wszystkie niedomagania w wierze naszych czasów.

Trudno żądać od papieża, żeby na reformacyę zapatrywał się ze stanowiska protestantów albo wolnomyślnych, niewierzących historyków dzisiejszych. Ze stanowiska zaś katolickiego sąd o nich nie mógł i nie może wypaść inaczej, a dodać należy, że sąd ten jest w zupełnej zgodzie z przedmiotową historyą i podzielają go także nieuprzedzeni historycy protestanccy.

W Niemczech ta charakterystyka reformacyi i reformatorów, dokonana piórem papieża, choć o niemieckiej reformacyi w szczególności nie mówi, wywołała niezmierne oburzenie. Interpelacye, wniesione 5 czerwca w sejmie pruskim przeciw encyklice przez nacyonalnych liberałów i frakcyę konserwatywną, widzą w niej zhańbienie Kościoła ewangelickiego, reformatorów i przychylnych reformacyi książąt i ludów, przedewszystkiem zaś zakłócenie spokoju religijnego w Prusiech. Gazety protestanckie wszystkich odcieni skorzystały z tej sposobności i nie znały granic w napaściach przeciw Stolicy św. i piętnowaniu katolików, jako nieprzejednanych wrogów protestantyzmu. Po wszystkich prawie miastach i miasteczkach Prus odbywały się zebrania, na których protestowano przeciw arogancyi Rzymu i wzywano do walki przeciw rosnącej potędze ultramontanizmu.

Rząd pruski czuł się wobec tego zniewolony na drodze dyplomatycznej od Stolicy św. żądać wytłumaczenia i usunięcia złego. Nie trudno było Rzymowi oświadczyć i zaręczyć, że tylko nieporozumienie mogło wywołać tak wielkie objawy wzburzenia, że papież nie miał wcale zamiaru obrazić kogokolwiek, a tem mniej

zakłócać spokoju religijnego i na żądanie rządu pruskiego zabronił publikacyi encykliki z ambony i w pismach dyecezyalnych. Na to rząd pruski oświadczył, że sprawę uważa za załatwioną i wyraził swoje zadowolenie z pokojowego usposobienia i przychylności Ojca św.

Lecz z rządem pruskim nie uspokoili się protestanci i Związek ewangelicki stara się jak najwięcej z tej sprawy dla swoich celów skorzystać. Dziś już nikomu nie tajno, że niezmierne oburzenie w kołach protestanckich, wywołane było nie przez encyklikę Piusa X, lecz przez samychże protestantów, którym znaczenie Rzymu w świecie, a katolickiego centrum w Niemczech, już dawno jest solą w oku. Jak mało protestantom chodzi o Lutra i konfesyę augsburską, najlepiej świadczy ów liberalizm religijny w obozie protestanckim, głoszony z katedr uniwersyteckich i ambon, a z gruntu podkopujący całą pozytywną naukę protestantyzmu, który przecież największą cieszy się u nich wziętością i popularnością.

Nie kościelne i religijne względy kierowały i kierują sprawcami ostatnich burzliwych manifestacyi, lecz polityczne; nie o pokój religijny chodziło manifestantom, gdyż rozkiełznany *furor protestanticus* w odpowiedzi swojej wcale pokojowym się nie okazał, owszem nie szczędził obelg i obrazy papieżowi i katolikom, lecz o rozniecenie jeszcze większej nienawiści i skupienia sił do wspólnej walki przeciw Kościołowi katolickiemu.

W żadnym innym kraju protestanckim, ani w Anglii, ani Danii, ani Norwegii, Szwecyi, Szwajcaryi albo Holandyi, słowa Piusa X tego oburzenia nie wywołały, choć tam więcej pozytywnego protestantyzmu aniżeli w Niemczech, ale zabrakło tam Związku ewangelickiego, zabrakło tych nieprzejednanych wrogów katolicyzmu, których ściślejsze węzły łączą z masoneryą, niż z protestantyzmem, i którzy w zupełności hołdują zasadzie: cel uświęca środki, gdzie chodzi o walkę przeciw Rzymowi.

Niemiłe te zajścia z powodu encykliki o św. Karolu Boromeuszu dla katolików niemieckich ten korzystny miały skutek, że jasno im wykazały, czego od protestanckich współziomków w przyszłości spodziewać się należy. Już dotychczas nie bardzo dowierzano zapewnieniom zgody i przyjaźni ze strony protestan-

tów, choć ze strony katolickiej tak w prasie jako też na zebraniach katolickich skrupulatnie unikano wszelkich wyrazów i zwrotów ubliżających dla protestantów, w przyszłości trzeba będzie się jeszcze więcej z tem liczyć, że przeciwna strona tej zgody wcale nie pragnie. Wobec tego byłoby wszelkie rozdwojenie w obozie katolickim zgubnem dla dobrej sprawy, gdyż czujny nieprzyjaciel umiałby z tego wybornie skorzystać. Nie można zaś twierdzić, żeby obawa rozdwojenia między niemieckimi katolikami nie miała podstawy. W ostatnich czasach coraz wyraźniejsze dają się słyszeć głosy przeciw »kolońskiemu kierunkowi«, skupiającemu się około *Köln. Volkszeitung*. Rozdział między Berlinem i München-Gladbach w akcyi socyalnej, walka ostatnich czasów między liberałami katolickimi i inne oznaki zdradzają pewne zasadnicze różnice, które niezawodnie rozbiją obóz katolicki, jeżeli sprawy potoczą się dalej tym torem Z tego powodu bardzo ważnym i ciekawym może być następny wiec katolików niemieckich w Augsburgu, którego najpilniejszem zadaniem byłoby nasienie niezgody z obozu katolickiego usunąć.

Wolna myśl w Galicyi.

Wolna myśl, ale nie nowa, gdyż dzieje wolnej myśli ponoś są tak stare, jak świat, nowem w dziejach wolnej myśli jest tylko to, że ostatnimi czasy zawiązała się akademicka liga wolnej myśli we Lwowie, której zadaniem będzie, jak nas poinformowały gazety, pracować nad zwalczaniem dogmatów i przesądów, szerzonych i podtrzymywanych przez religię i duchowieństwo, oraz rozwijanie światopoglądów, opartych na wiedzy i rozumie. Członkowie zaś tego towarzystwa w myśl statutu dzielić się będą na trzy samodzielne sekcye narodowe: polską, rusińską i żydowską, z których każda pracować ma przedewszystkiem wśród własnego społeczeństwa. Pisma, przychylne tej nowej kreacyi, wyznaczyły jej już także cały szereg zadań do spełnienia, między innemi kwestyę rozwodów i ślubów cywilnych, wyodrębnienia fakultetów teologicznych, usunięcia przymusu wyznaniowego ze szkół, uzyskanie krematoryów, zwalczanie terroru wyznaniowego, powiedzmy krótko: radykalna emancypacya człowieka z pod wpły-

wów religijnych, to cel Wolnej myśli i jej ligi we Lwowie. Program wcale pokaźny, tylko czy nie nad siły »akademików«?

Walka się już rozpoczęła, bo wyszedł już pierwszy numer *Biblioteki wolnomyślnej*, broszura Bolesława Bourdona p. t. »Giordano Bruno«. Przecież trudno rozpocząć działalność ligi wolnej myśli bez wstępnej modlitwy do bożka wolnomyślnych, który do tego padł ofiarą św. Inkwizycyi! W dalszym planie jest także wiec, odbyć się mający w jednym dniu z wiecami innych uniwersytetów monarchii austryacko-węgierskiej w celu wyeliminowania fakultetu teologicznego z uniwersytetów.

Choć w Krakowie ligi wolnej myśli jeszcze nie mamy, to przecież czasy ostatnie dały niejeden dowód, że ruch ten szerzy się także między tutejszą młodzieżą akademicką. Znane są wiece akademickie krakowskie w celu usunięcia fakultetu teologicznego z uniwersytetu, w celu obchodu grunwaldzkiego bez nabożeństwa. Niedawno też budzący się Kraków Wielki ze zdziwieniem przeczytał rozlepione w nocy odezwy »Grona młodzieży bezwyznaniowej«, rzucające hasło: Występujcie z Kościoła! Praca więc Niemojewskiego i towarzyszy tworzy powoli szereg szermierzy wolnej myśli, których zadaniem jest »otworzyć wstęp świeżym prawdom filozofii i sztuki, przeprowadzić rewizyę dogmatów«, a gdyby się udało, przenieść rewolucyjnego ducha Ferrerów na grunt galicyjski.

Gdyby liga wolnej myśli lwowska i jej program były tylko kreacyą akademików lwowskich, możnaby nad nią przejść do porządku dziennego, ale sprawa staje się poważniejszą, jeżeli się zważy, że ostatni męczennik wolnej myśli Ferrer został przez wielką paryską lożę masońską ogłoszony za inkarnacyę ideału wolnomularskiego. Międzynarodowa akcya wolnej myśli jest światowym związkiem najskrajniejszych wrogów Kościoła i tronu i systematycznie prowadzoną rewolucyą przeciw istniejącym instytucyom Kościoła i państwa na wielką skalę. O tem chyba trudno wątpić, śledząc jej objawy we Francyi, Hiszpanii, Włoszech, Niemczech, a także Austryi. Głosi to też otwarcie prasa światowa wolnej myśli i kongresy wolnomyślnych. Że *credo* wolnej myśli najwięcej ma wyznawców namiętnych w szeregach młodzieży,

zwłaszcza akademickiej, nie dziwi nikogo, gdyż obiecuje złotą wolność, szczególnie moralną; cały też tryb nauk uniwersyteckich, skrajny ich empiryzm i pozytywizm, jest wodą na młyn wolnej nauki.

Wobec tego nie wystarczy wskazać tylko na to, że to sprawa żydowska, choć dużo w tem prawdy, albo że to młodzieńcze porywy, które życie sprostuje, bo byłoby to złudzeniem, gdyż rzeczywistość co innego pokazuje. Wolna myśl i jej program są dla dzisiejszej intelligencyi zanadto wielką ponętą i pokusą, aby ją można zbyć kilkoma słowami. Trzebaby akcyi akcyę przeciwstawić. Wiadomo, że nie brak między młodzieżą akademicką w Galicyi takich, których hasłem jest: Kościół i ojczyzna, nie brak związków katolicko-narodowych, których celem jest »strzeżenie i pielęgnowanie katolicko-narodowych przekonań, wyrabianie prawdziwie chrześcijańskich charakterów i podnoszenie poziomu etycznego, obrona katolicyzmu i polskości w życiu publiczno-akademickiem, wspólna praca w dziedzinach tak objętych jak nieobjętych programem studyów uniwersyteckich«, jak Polonii w Krakowie i Klubu akademickiego we Lwowie, ale słusznie możnaby się skarżyć na małe poparcie tych katolickich stowarzyszeń ze strony nie tylko katolików świeckich lecz także i kleru. Nie zapomnijmy o tem, że świetne zwycięstwo katolików niemieckich w tak zwanym »kulturkampfie« przypisać należy w wielkiej części wyszkolonym w związkach katolickich akademików ludziom świeckim, którzy wśród ciężkiej walki i wielkich ofiar mężnie trwali przy swoich hasłach katolickich. Zły to znak, że rzadki dziś akademik polski, katolicki, któremuby się uśmiechało hasło: *Tibi, Christe, et patriae!* hasło, w którem streszcza się niejako cała przeszłość Polski. Odpowiedzialność za to spada nie na samą tylko młodzież. Mało bowiem, zbyt mało robi się nie tylko u nas, ale i w innych krajach, aby wśród niebezpieczeństw naszej doby utrzymać tych młodych w gorącem przywiązaniu do Kościoła, a tem samem przy praktycznem chrześcijaństwie. Istnieją wprawdzie Kongregacye Maryańskie akademickie w Galicyi, ale o zbyt szczupłej liczbie członków. Nie każdy także akademik katolik zechce do nich należeć, choć nawet praktykującym jest katolikiem; nie

jest to też jedyna droga do celu. O co więc chodzi? O to, aby w katolickich akademikach wyrobić to przeświadczenie, że katolicyzm i prawdziwa wiedza nie tylko się nie wykluczają, lecz dopełniają i doskonalą wzajemnie; że prawdziwa wolność z negacyą dogmatów i moralności nie ma nic wspólnego, owszem na ich tylko fundamencie dopiero jest możliwa; że chrześcijański światopogląd zgadza się z wszelką zdrową kulturą i rozumnym postępem i że chrześcijańskie zasady są podstawą szczęścia tak pojedynczych osób, jak całego narodu — słowem, że nie wstyd być katolikiem i to katolikiem z przekonania i w praktycznem życiu, lecz wstyd wielki zapierać się dla czczych mrzonek i banalnych frazesów wolnomyślnych agitatorów najświętszych przekonań i uczuć. Tych zaś wzniosłych ideałów nie daje dzisiejsze życie młodzieży akademickiej, lecz raczej odbiera, i dlatego tem potrzebniejsza jest troskliwa i rozumna opieka i wsparcie tych z młodzieży akademickiej, którym są jeszcze święte katolickie i narodowe ideały, aby przy ich pomocy wpłynąć także i na owych, którym terroryzm opozycyi żydowsko-wolnomyślnej już narzucił inne poglądy, niezgodne z ich religijnem przekonaniem.

Wiadomo, że kwestya pielęgnowania katolickich przekonań wśród młodzieży szkół wyższych wywołała w Niemczech, Belgii, Francyi, północnej Ameryce i Szwajcaryi myśl stworzenia katolickich uniwersytetów, myśl, która w części już została zrealizowana. Myśl ta jednak w tej formie pojęta, aby stworzywszy nowe uniwersytety, dawne stare i sławne pozostawić wyłącznie wiedzy akatolickiej, natrafiła na silną opozycyę w obozie katolickim. Mogą być w tej kwestyi różne zapatrywania, ale nikt chyba nie wątpi, że tą drogą nie paraliżuje się wpływu fałszywych światopoglądów. Istnienie wyłącznie katolickich ognisk wiedzy nie domaga się wcale opuszczenia dawno zajętych posterunków, ale może korzystnie wpływać na to, aby w środowiskach o charakterze akatolickm silniej podkreślić znaczenie myśli chrześcijańskiej i energiczną pracą wykazać, że katolicyzm nie cofa się przed rozwiązaniem jakiejkolwiek kwestyi i czuje się na siłach odpowiedzieć wszelkim naukowym i kulturalnym zadaniom i wymaganiom chwili obecnej. Powinno to w każdym razie nas zastanowić, że opozycya

wolnomyślna z taką siłą domaga się usunięcia wydziałów teologicznych z naszych uniwersytetów. Chyba każdy zdrowo myślący rozumie, że racye podane tylokrotnie o rzekomo nienaukowej metodzie teologii, dla której trzeba ją usunąć z pośród nauk uniwersyteckich, są tylko pretekstem, który głębsze racye i aspiracye zakrywa. Teologia domaga się większego wysiłku ducha i większe ma znaczenie dla całego życia kulturalnego, niż każda inna nauka, bo teolog nie tylko jest zmuszony zdać sobie sprawę z hipotez i rezultatów innych nauk, ale świat objawienia jest bogatszy w myśli, prawdy i ideały, aniżeli świat cały stworzenia. Nie o naukowość też chodzi w kwestyi fakultetów teologicznych, lecz o to, aby obalić ostatni mur, który stawia zaporę nawałnicy ducha wolnomyślnego i antychrześcijańskiego. Publiczne znaczenie fakultetów teologicznych dla najważniejszego czynnika życia kulturalnego chrześcijańskiego t. j. religii, jest też racyą dlaczego my katolicy domagamy się, aby teologia nadal zajmowała swoje tradycyjne stanowisko przy uniwersytetach, które jej przyznała przeszłość, jest też racyą, dlaczego zgubnemby było, gdyby to stanowisko z jakiegokolwiek powodu straciła. Więc nie z pewnego tylko pietyzmu, dla tradycyi, nie z pietyzmu dla Kościoła, który swoim kosztem stworzył sławne światowe uniwersytety, domagamy się przeciw wolnomyślno-żydowskiej opozycyi uznania dla fakultetów teologicznych po uniwersytetach naszych, lecz dla ich znaczenia w życiu kulturalnem chrześcijańskiem. Tylko nieznajomością, tylko niezdawaniem sobie sprawy z całej doniosłości tej kwestyi usuwania fakultetów teologicznych z uczelni uniwersyteckich da się wytłumaczyć, że laicy katoliccy tą sprawą mało się interesują, zostawiając ją do obrony sferom kościelnym, w których także zdania są rozdzielone. Może być, że wina lekceważenia pewnego naszych fakultetów teologicznych leży po części w nich samych, ale to nie zmienia kwestyi zasadniczej, owszem byłoby tylko energicznym apelem, aby wydziały teologiczne po uniwersytetach naszych gruntowną i znakomitą nauką swoją starały się zainteresować także resztę świata akademickiego i tem samem stać się w całem tego słowa znaczeniu powołanymi doradcami katolickiej inteligencyi, dla unormowania jej przekonań i życia katolickiego.

Zobaczymy, jakie będą dalsze losy wolnej myśli w Galicyi, mamy jednak nadzieję, że znajdzie się jeszcze tyle tężyzny u młodzieży katolickiej akademickiej, aby mogła się oprzeć poglądom, narzucanym jej przez żywioły wrogie jej religii i narodowości. Ale nie łudźmy się fałszywym optymizmem, bo i to prawda, że grunt dla wolnej myśli w części przygotowany i duch doby obecnej z nią sympatyzuje.

Ks. A. Starker.

Przegląd artystyczny.

Wystawa francuskiej sztuki z XVIII w. w Berlinie. — Wystawa portretów kobiecych. — Wystawa obrazów dawnych mistrzów i międzynarodowa wystawa sztuki w Wenecyi.

Niedawno, bo przed dwoma miesiącami zamknięto w Berlinie wystawę sztuki francuskiej z ośmnastego wieku. Urządzona w królewskiej akademii sztuk pięknych, otwarta wśród wielkich ceremonii przez samego cesarza — obok widocznej kokieteryi z Francyą — w okazałych, przestronych salach przedstawiała się imponująco, tak ze względu na ilość, jak i wartość wystawionych okazów. Złożyły się na nią dzieła mniej dostępne dla szerokiego ogółu, będące w prywatnem posiadaniu. Jako zasadę przyjęto, omijanie zbiorów publicznych i muzeów. I przez to właśnie stworzono zespół niezmiernie zajmujący, dający poniekąd — przynajmniej w zakresie malarstwa — kompletny obraz twórczości sztuki francuskiej danego okresu. Wystawa miała zapewnione powodzenie, odkąd na jej czele jako protektor — a kto wie, czy nie jako pośredni może inspirator — stanął cesarz Wilhelm. Była ona tem samem zręcznym manewrem dyplomacyi pruskiej, uwieńczonym w skutkach wypożyczeniem przepysznych gobelinów przez rząd francuski, a następnie obrazów i rzeźb przez kilkadziesiąt osób z Paryża.

Pod względem artystycznym objęła ona ostatnie lata panowania króla Ludwika XIV, a głównie czasy regencyi i Ludwika XV. Jest to zatem okres największej, najbardziej wyrafinowanej kultury w erze chrześcijańskiej. Wraz ze śmiercią Ludwika XIV skończyła się epoka sztywnego ceremoniału, uroczystej reprezentacyi. Na wiadomość o śmierci królewskiej odetchnęli wszyscy, którzy wówczas przedstawiali świat

francuski. Zwrócono się, niemal żywiołowo, do swobodnej, lekkiej zabawy, nie krępowanej żadną etykietą dworską. I wtedy właśnie nastały czasy, określane mianem »rokoka«, w których wszystkie pierwiastki wysilały się nawzajem, ażeby życie urządzić, jak najprzyjemniej i najweselej, aby je istotnie zamienić w rozkoszny raj ziemski. W tem oczywiście główną rolę grała sztuka, która we wszystkich swych dziedzinach rozwinęła nieznaną przedtem lekkość, wykwintność i nadzwyczajną subtelność. Jest ona zasadniczo różną od sztuki poprzedniego okresu. Podczas gdy tamta potrzebowała olbrzymich, wysokich sal, teatrów, kościołów lub pałacowych dziedzińców, gdyż w tych jedynie mogła pomieścić z godnością cały swój majestat, imponujący wielkością, a także sztywnością — to teraz przeciwnie: interyerem najbardziej typowym dla tych czasów jest zaciszny budoar damski, z którego właściwie wyszła cała ta sztuka. Bynajmniej nie przypadkowym był wpływ Chin na tryb ówczesnego życia i na sztukę. Chiny właśnie były tym niedoścignionym wzorem dziwnej, oszałamiająco wyrafinowanej kultury, do której namiętnie lgnęły owe czasy, tak bardzo spragnione egzotyzmu.

Te wszystkie typowe cechy rozwinęła w całej pełni obecna wystawa. Głównym jej terenem było malarstwo, obok którego widzieliśmy trochę rzeźby, a także przemysłu artystycznego w postaci komod, stołów, bronzów, wachlarzy i miniatur. Dobrze się przytem stało — choć na to część prasy narzekała — że nie starano się urządzić »stylowych interyów«, gdyż było niemożliwem a poniekąd bezcelowem. Z malarstwa nikogo prawie nie brakowało. Byli wielcy i mniejsi. Był główny przedstawiciel tej epoki Watteau, którego najlepsze dzieła, w posiadaniu cesarza Wilhelma, znalazły się obecnie na wystawie. On właśnie umiał podpatrzyć cały czar i niewypowiedziany wdzięk tych czasów, myślących tylko o zabawie i promieniejących uśmiechem szczęścia. Biedny Watteau, śpiewał gloryę rozbawionemu światu, który dla niego jednak był zamkniętym. Umarł w nędzy, a dziś płótna jego są najcenniejszymi klejnotami korony. Obok niego stoi Jan Honoryusz Fragonard, również licznie reprezentowany w obrazach, rysunkach i sztychach. Jeszcze bardziej wyrafinowany, niż tamten, był przedewszystkiem malarzem ówczesnej kobiety, z jej nieuchwytną a tak bardzo zmysłową kokieteryą ledwo dostrzegalnego uśmiechu. A przytem każdy jego obraz jest wprost arcydziełem wyrafinowania w kolorycie. Tu dopiero się poznaje olbrzymią intelligencyę malarską. Najlepszym tego przykładem był obraz p. t. »Pasza«. Na tle ogromnej sali, gi-

nącej w półmroku, na wielkiej, żółtej, jedwabnej sofie usiadł starzec, rozparłszy się szeroko na poduszkach, cały biało ubrany, w białym, olbrzymim turbanie, o wybitnych rysach, pełnych życia, majestatu i dostojeństwa, o dużej, siwej brodzie, zakrywającej mu piersi. Za nim, za sofą majaczą się dwie postaci niewolników, po piersi widoczne, jeden blado-różowy, drugi blado-niekieski, o bezmyślnych, zwierzęcych twarzach, którzy z psią uległością wpatrują się w pana. Przed paszą, konturowo traktowane, w półcieniach, trzy, jakby sylwetki: wysoki majordomus, wprowadza dwoje młodych dziewcząt. Z tych jedna przyklękła i ruchem rąk z niewypowiedzianym wdziękiem oddaje pokłon paszy. Cały obraz tonie w półmrokach. Światło pada z góry i oblewa jasną strugą samego paszę. Przez to otrzymujemy na ciemnem tle przecudną gamę barw: biało-żółtą z bladymi tonami, różowym i seledynowym.

Obok tych dwóch były świetne portrety Bouchera, śliczne sceny zabaw Lancreta i Portera, kapitalne martwe natury Chardina, sentymentalne główki Greuza; cała plejada innych, których już nie czas wyliczać. Wystawa ta, obok swego znaczenia politycznego, była doniosłem zdarzeniem artystycznem. Pozwoliła bowiem w tak licznym zespole zapoznać się z najpiękniejszą epoką w dziejach ludzkości, w której uśmiech szczęścia i zabawy górował nad wszystkiemi zajęciami.

Równocześnie z wystawą berlińską mieliśmy w Krakowie pokrewną ze względu na czas i sztukę, »Wystawę portretów kobiecych z XVIII i XIX wieku« — może nie tak piękną i bogatą zwłaszcza w stare arcydzieła pendzla, choć nierównie bardziej zajmującą, jako »wystawę naszych babek i prababek«. To też nic dziwnego, że cieszyła się wyjątkowem powodzeniem. Już nie czas szczegółowo ją rozpatrywać. Należy jednak podnieść, że do najlepszych trzeba było zaliczyć kapitalne wprost portrety Bacciarelliego, Lampiego i Grassiego. Niektóre z nich, np. portret Anny z Ossolińskich Krasińskiej Józefa Grassiego mógłby stanąć w rzędzie najlepszych portretów kobiecych na wystawie berlińskiej, obok nieśmiertelnych dzieł Franciszka Drouais, Mignarda lub Nattera. Również świetne były portrety z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, przedewszystkiem Winterhaltera, Ary Scheffera i Matejki. Wystawa ta, obok finansowego powodzenia, miała bez wątpienia duże znaczenie kulturalne. Ograniczyła się ona prawie wyłącznie do Krakowa i jego najbliższego otoczenia, choć w rzeczywistości można było sięgnąć wiele dalej, przeszukać skrzętniej pry-

watne zbiory, a wtedy arcydzieł malarstwa z Polską związanych znalazłaby się daleko większa liczba.

Gdy mowa o dawnem malarstwie, nie można pominąć milczeniem zamkniętej przed paru dniami »Wystawy obrazów dawnych mistrzów pendzla«. Była ona już czternastą z rzędu, a sama cyfra świadczy wymownie o wielkiej ich popularności wśród społeczeństwa, a także poniekąd i potrzebie. Nic zresztą dziwnego. W naszem mieście, tak ubogiem w zbiory europejskiej sztuki, niemałem zdarzeniem artystycznem jest otwarcie takiej wystawy. Niestrudzony ich organizator, prof. Jerzy Mycielski, zdobył sobie przez nie szeroki i zrozumiały rozgłos na ziemiach polskich i za granicą. Wyszukanie w zapomnianym często cichym dworze wiejskim jakiegoś doskonałego płótna, które wisząc nieraz przez sto lat lub dłużej na tem samem miejscu, zatarło w pamięci właścicieli swe pochodzenie i często wartość — wyszukanie takiego płótna jest istotnie odkryciem. Jest także cennem bardzo świadectwem naszych potrzeb kulturalnych w dawnych wiekach.

Na obecnej wystawie widzieliśmy takie płótno: »Ecce homo« van Dycka. Na ciemnem tle majaczeją dwie postaci siepaczy, z boku faryzejski arcykapłan, w środku zaś Chrystus w całym majestacie boskiego dostojeństwa, do pół obnażony, z wyrazem cierpienia i rezygnacyi. Wspaniałe to arcydzieło, koło którego nie można przejść obojętnie, jest własnością pana Sokołowskiego w Sieprawkach pod Lublinem. Z licznego szeregu trzeba podnieść dwa doskonałe obrazy owoców, szkoły rzymskiej, kapitalny portret księżnej Jabłonowskiej w białej sukni z blado żółtym szalem przez Grassiego, bardzo dobry portret księcia Sapiehy w tabaczkowym fraku, przez Longhiego i świetny obraz Piotra Michałowskiego: »Maksymilian Oborski na białym koniu«.

A teraz na zakończenie parę słów jeszcze o sztuce dzisiejszej. W Wenecyi jest obecnie otwarta »międzynarodowa wystawa sztuki«, głównie malarstwa i rzeźby. Daje ona dość dobry przegląd artystycznej twórczości ostatnich lat. Wystawy takie obok innych mają i tę wadę, że są za wielkie, wskutek tego wywołują znużenie i chaos, to jest także powodem, że bywają zwiedzane przeważnie bardzo pobieżnie i z dużo mniejszem zajęciem, niż często w rzeczywistości zasługują. Obecna wystawa ogólnie jest mniej ciekawą, właściwie słabszą. Z głównego pawilonu, obejmującego przeszło czterdzieści sal, można było wyłączyć jako lepsze: salę hiszpańską, salę artysty Klimta z Wiednia, salę Anglika Jana Lawery'ego, parę pojedynczych obrazów z innych sal, no i przez patryotyzm salę czesko-polską. Reszta, głównie produkcya ma-

sowa Włochów, nie zasługiwała nawet na uważniejsze spojrzenie, albo znowu płótna Francuzów, Gustawa Courbeta i Augusta Renoira, jako dawniejsze i z poprzednich wystaw już dobrze znane, nie powinny się były znaleźć na obecnej. Najlepiej, może najrówniej co do wartości artystycznej, jako grupa, przedstawiał się osobny pawilon angielski.

Szczytem wystawy jednak są Hiszpanie. Jest ich kilku. Nie tworzą oni żadnego stowarzyszenia artystycznego, a przecież wysoką miarą indywidualnych zdolności mimowolnie łączą się w zwartą, zamkniętą grupę, bardzo silnie odcinającą się od reszty wystawy. Z płócien ich przemawia do nas charakter tego narodu, tak głęboko religijnego i tak bardzo konserwatywnego. A przytem uderza tu u wszystkich siła i zdecydowanie w akcencie, ogromna intelligencya malarska i nieustanne studyum. To sprawia, że motywy, często brane z codziennego życia, występują u nich z nieznaną gdzieindziej siłą i monumentalnością gestu.

Takim jest n. p. obraz Zuloagi »Franciszek i jego małżonka«, oboje starzy z ludu, na tle dalekiego pejzażu. On wysoki, oparty na kiju, zawinięty w pelerynę popod prawe ramię, o twarzy dobrotliwej. Ona poczciwa kobieta wiejska, w spódnicy, zwyczajem ludowym zarzuconej na głowę. Stoją, i nie myśląc o niczem, pozują malarzowi. Ten jednak umiał wydobyć z tych dwojga postaci tyle życia i charakteru, że stworzył naprawdę monumentalne typy rasy hiszpańskiej, w tej najzwyklejszej codzienności życia. Taką także jest »Stara Kastylia«. Na pierwszym planie trzy kobiety wiejskie o twarzach znużonych pracą i wiekiem, spokojnych, a jednak tak dziwnie nieugiętych, stoją lub siedzą, również w spódnicach pozarzucanych na głowy. Za niemi w oddali, jak wspomnienie czegoś minionego, mgłą przesłonięte, stare, odwieczne miasto, z dachami domów, kładącymi się po sobie, ujęte w pierścień murów, strzeżone przez szeregi nieugiętych wieżyc. Cały obraz, trzymany w suchych tonach zielonawo-żółtawych, ma niezwykły urok jakiegoś dziwnego hartu średniowiecznego i siły.

»Zdjęcie z krzyża« Zuloagi jest doskonałym obrazem religijnym, z pełnią uczucia i przejęcia się nastrojem chwili. Hiszpanie czerpią często tematy z rodzinnego życia ludu, przyczem uderza od razu głębokie studyum i wyrafinowana intelligencya. Artysta nie łapie przypadkowo jakiejś pierwszej lepszej sceny z życia ludu. On powoli go obserwuje, z nim obcuje, poznaje najdrobniejsze, typowe szczegóły i dlatego obierając potem za temat do obrazu jakiś moment pracy lub zabawy ludu, daje w nim poniekąd syntezę ludu. Takim jest właśnie »Święto patronki Atrary« Antoniego Ortiza Echagije. Ogromne płótno

a na niem tłum dziewcząt, wyruszających do kościoła. Pod względem maniery malarskiej u Hiszpanów, można, prawie u wszystkich, to zauważyć, że nie należą oni już do impresyonistów. Nie spotykamy tu bowiem barwnej plamy, drgającej w promieniach słońca, o nierówym, zamazanym konturze. Przeciwnie, począwszy od Zuloagi, wszędzie widzimy ograniczone płaszczyzny barwne. Konturowy rysunek jest tu podstawą obrazu. W jego granicach rozkładają się kolory, o głębokich tonach u wielu, u Zuolagi o suchych, zmatowanych. Znać tu niemal u wszystkich znajomość, a nawet wpływ dawnego malarstwa z XVI i XVII wieku, jednak w najlepszem znaczeniu, zasadzający się na pokrewnem czasami tworzeniu kompozycyi, a także poważnym, patryarchalnym nastroju.

Franciszek Klein.

Listy z Warszawy.

Antoni Miecznik. — Głos nacyonalisty żydowskiego, Grossera. — Postępowcy warszawscy a żydzi. — Głos Świętochowskiego. — Rezolucya Polskiego Zjednoczenia Postępowego. — »Haman«. — *Odrodzenie.* — Agitacya »maryawitów«. — Ślepa polemika.

Żyjemy w Warszawie jeszcze ciągle pod znakiem żydowskim. Żyd, żyda, żydowi, żyda, o żydzie, w żydzie, na żydzie, deklinuje bezustannie cała prasa warszawska. Jedyny tylko *Kuryer Warszawski* zawsze niezmiennie ostrożny »udaje, że nic nie wie, co się dzieje w Warszawie«, jak mu urągają pisma żargonowe.

Do dawniejszych pisarzów antysemickich przybył nowy szampion duży, mocnej ręki, atakujący z wielką brawurą Judeę. Nie tylko żydów atakuje Antoni Miecznik, utalentowany powieściopisarz i publicysta, obecnie główny filar *Dziennika Powszechnego.* I wszelacy »osobiści wrogowie Boga« i wywrotowcy różni czują na sobie jego cięte, odważne pióro, tem ciętsze i mocniejsze, że uzbrojone w obosieczny brzeszczot gruntownego przygotowania literackiego, historycznego i filozoficznego. Nie frazesami walczy Miecznik, lecz argumentami.

Nawet postępowcy stają sztorcem przeciw żydom. Ruszył ich z wygodnego barłogu doktrynerskiej asymilacyi nacyonalista żydowski, Grosser. Ten p. B. Grosser upomniał się w wileńskim tygodniku p. t. *Wiedza.* w artykule p. t. »Pro domo sua« o równouprawnienie naro-

dowe żydów w Polsce. Pisze on pomiędzy innemi: »ze strony żydów, znających masy żydowskie, oryentujących się w nurtujących je prądach, stojących, jednem słowem, wśród tych mas, nikt się dotąd po polsku i do Polaków nie odezwał... Fakt istnienia na ziemiach polskich dwóch odrębnie kulturalnych narodowości — polskiej i żydowskiej — musimy traktować jako zjawisko stałe...« P. Grosser żąda »uznania narodowości żydowskiej, dania jej możności swobodnego narodowego rozwoju, uznania jej narodowych praw, obywatelskiego i narodowego równouprawnienia żydów...« »Ludności żydowskiej, wszędzie stanowiącej znaczny procent, a w wielu miejscach nawet większość, należy się prawo posługiwania się swoim językiem (żargonem) w samorządnych instytucyach i w stosunkach z takowemi... Żydzi zażądają i muszą zażądać zniesienia wszelkich ograniczeń wyborczych i całkowitego równouprawnienia swojego języka i t. d.« Więc naród w narodzie, więc kultura współrzędna w kulturze, więc »my i wy«, równi pod każdym względem.... A może nawet z czasem my przed wami...

Żaden nacyonalista żydowski nie przemówił dotąd u nas tak śmiało, tak szczerze, żaden nie odkrył kart tak nieostrożnie. Wszyscy ukrywali swoje zamierzenia za parawanem wymijających frazesów.

Było tej szczerości za wiele nawet naszym postępowcom, urzędowym dotąd obrońcom wszystkiego, co żydowskie. Obuchem uderzyła ich ta szczerość nacyonalisty żydowskiego i przerwała brutalnie ich drzemkę optymistyczną.

Pierwszy ruszył się Aleksander Świętochowski, warszawskiego postępu arcykapłan i żydów stały wierny mecenas. Mówi on: »Co do propozycyi nie przeszkadzania powstaniu narodu żydowskiego na ziemi polskiej, to doprawdy, trudno byłoby dla niej wynaleźć nieodpowiedniejsze miejsce, czas i środowisko. Ci Polacy, którzy swoją ziemię przepoili krwią i łzami, którzy swoją narodowość ukochali aż do ekstazy, którzy przez sto lat cierpią i walczą za swój sponiewierany i skrzywdzony język, ci Polacy mają wyrzec się swej miłości, wspomnień, marzeń, całego uczuciowego oprzędu serc swoich, uznać się za właścicieli połowy swego domu i nazywać swoją ojczyznę polsko-żydowską! Zaiste, trzeba być pozbawionym najprostszego zmysłu psychologicznego, ażeby ważyć się na takie rady. Trzeba przytem nie należeć do żadnego narodu. Niektórzy publicyści żydowscy rozumują nie jak cząstki narodowe, w których drga przeszłość i przyszłość całości, nie jak organy pewnego historycznego i kulturał-

nego ustroju, ale jak kółka maszyny, które dowodzą, że jeśli się osadzą na pewnych osiach i będą się obracały w pewnych transmisyach, to ona będzie dobrze działać. To jest mowa nie żywych istot ale mechanizmów. I dlatego takie głosy nie wywierają na życie innego wpływu, prócz najwyższych rozdrażnień. »Chciałbym być złym prorokiem — kończy swój artykuł p. Grosser — lecz myślę, że jeżeli burżuazyjna prasa polska (zdaje się, że nawet w znacznej części nie burżuazyjna) gwałtownie wystąpi przeciw temu równouprawnieniu, stworzenie pierwszych w kraju instytucyi reprezentacyjnych (samorządnych) może stać się początkiem (!) wewnętrznej walki narodowościowej w Królestwie, która nieubłagalnie pociągnie za sobą jak najsmutniejsze następstwa dla kraju i zamieszkującej go ludności obu narodowości«. Chciałbym być również złym prorokiem, lecz przypuszczam, że ta walka, prowadzona pod sztandarem, wywieszonym przez autora, będzie miała smutne następstwa dla żydów«.

Za wodzem poszła jego armia. Nieliczna to armia, nie złożyłoby się z niej nawet bojowego szwadronu, ale żwawa i głośna, tak głośna, iż zdaje się, że rozporządza całym korpusem.

»Polskie Zjednoczenie postępowe« obradowało przez trzy dni nad sprawą żydowską i zgodziło się wprawdzie na dalsze krzewienie asymilacyi, nie mogąc zerwać od razu z tradycyą warszawskiego postępu, w zakończeniu jednak swojej »rezolucyi« — *in cauda venenum* — powtórzyło mniej więcej to samo, co powiedział Świętochowski, bo: »niezależnie od wszelkich wywodów teoretycznych i sztucznych konstrukcyi polityczno-społecznych, tworzonych przez nacyonalizm żydowski, uważamy, że naród polski nigdy nie pozwoli na podział swej ziemi i swojej organizacyi między równouprawnioną z obu stron spółkę polsko-żydowską i że dla zwalczenia tego rodzaju dążeń będzie miał zawsze dostateczną siłę«.

Więc wprost groźba: siedźcie cicho ze swoim nacyonalizmem żargonowym, bo jeśli się nie uspokoicie, dowiecie się, że mamy jeszcze dobrą pięść.

Jakże się »antysemitniki« bawią! Przez lat dwadzieścia nazywano ich wstecznikami, obskurantami, wrogami humanitaryzmu, światła i t. d., a teraz powtarzają ich: hepp, hepp! nawet jaśnie oświeceni postępowcy, skąpani od czuba do pięt we wszelakich światłościach XIX stulecia.

Istniało u nas od pierwszej chwili nieporozumienie pomiędzy

naszym postępem a kwestyą żydowską. Bronić żydów bez żadnych zastrzeżeń znaczyło to samo, co być postępowcem. Postęp a żyd — to para nierozdzielna...

A może-ż być para więcej niedobrana, sklejona nie wiadomo dlaczego, na co, jak nowoczesny oświeceniec i prawdziwy żyd? Przecież ten żyd prawdziwy (prawowierny) jest najdoskonalszem wcieleniem wstecznika w świecie cywilizowanym, skostniałą mumią z przed lat tysięcy, nie mającą nic wspólnego z kulturą europejską, wrogą wszelkiemu światłu, choćby najbledszemu. Ten jego obskurantyzm jest jego siłą, jego cementem, broni go od zaniku w morzu narodów innych, ale postępowości trudno mu chyba przyznać.

W chwili kiedy to piszę, przychodzi ze Stanisławowa pod Warszawą następujący kwiatek »postępowości« żydowskiej. Jakiś dziewiętnastoletni chasyd, żonaty, zgrzeszył, bo zaczął czytać gazety, co w owym Stanisławowie uważają za postęp. Więc wytykają go żydzi za tę zbrodnię na ulicy palcami, wołając: *a pikores!* nie wpuszczają go do bethamidraszu, ciskają na niego kamieniami i t. d. W tem bojkotowaniu »postępowca« biorą czynny udział cztery córki rabina. Gdy »grzesznik« wszedł do bóżnicy, obrzucili go prawowierni ręcznikami i obrusami, wołając: I wyprzątniesz złe z pośród siebie (Mojżesz).

Tak wygląda w naszych małych miasteczkach postęp żydowski.

Więc dlaczegóż bronił nasz postęp żydów przez tyle lat i solidaryzował się z ich interesami? Czynił to prawdopodobnie po pierwsze z t. zw. względów humanitarnych, a powtóre (głównie) dlatego, że w szeregach postępowych walczy znaczny procent żydów oświeconych. A żydzi oświeceni narzucili naszemu postępowi swoje sympatye i antypatye rasowe, spowodowali zżydzenie polskiego postępu.

Ale to dziwne nieporozumienie zaczyna nareszcie pryskać. Nawet główny u nas »osobisty wróg Boga«, Andrzej Niemojewski, którego nienawiść do krzyża sympatyzowała z żydami dla ich nienawiści do chrześcijaństwa, stał się »Kruszewanem, Puriszkiewiczem«, czyli antysemitnikiem.

Jakże się to wszystko tak nagle stało?

Stało się sposobem bardzo naturalnym. Działalność żydów w rewolucyi, działalność wroga narodowości polskiej i najazd zuchwałych litwaków otworzyły oczy naszym postępowcom. Bo przestała u nas istnieć kwestya filosemityzmu i antysemityzmu, a miejsce jej zajęła brutalna walka o byt i o prawo do naszej ziemi. My albo wy — my

albo oni... Albo żydzi ulegną, albo my pójdziemy w ich jarzmo. Tak się obecnie ta »kwestya« przedstawia. Więc drgnęło serce polskie w obozie postępowym i żachnęło się sumienie polskie.

Niewiele się nacyonaliści żydowscy troszczą o gniew postępowy. »Bladem, bezkrwistem stworzeniem, majaczącą, urodzoną lunatyczką« nazywa organ ich *Frajnd* całą »postępową myśl polską« i twierdzi, że rezolucya postępowców »ani na włos nie zmieni stanu rzeczy i w niczem się nie przyczyni do rozwiązania kwestyi«, bo »nacyonalizm żydowski jest objawem żywiołowym masy żydowskiej, na którą wpływ asymilatorów równa się zeru« i bo »proces nacyonalizacyi żydów jest tak samo nieunikniony, jak proces demokratyzacyi«.

Jeśli się obawiają, to tylko warstw zachowawczych (katolików i narodowych demokratów) i to słusznie, bo warstwy te ogarniają dziś trzy czwarte narodu. Pod ich to adresem ogłosiły wszystkie pisma żargonowe następujące, zbyt wyraźnym tchórzem podszyte »wyjaśnienie«:

»Rozważywszy deklaracyę Polskiego Zjednoczenia Postępowego o żydach w Polsce, przedstawiciele grup żydowskich, w obecności przedstawicieli prasy żydowskiej, doszli do następujących wniosków:

1) Protestujemy najmocniej przeciw oskarżeniu, które rzucono na pewne grupy żydów, że są wrogie pod jakimkolwiek względem lub w jakichkolwiek warunkach narodowi polskiemu. Takie grupy nie istnieją. Każdy uczciwie myślący żyd-nacyonalista jest zainteresowany w rozkwicie i rozwoju Polski i kultury polskiej i nigdy się nie przeciwstawi interesom narodu polskiego.

2) Nacyonalizm żydowski jest przedewszystkiem kulturalny, jedynie w nacyonalizmie żydowskim i na gruncie języka żydowskiego widzimy możliwość rozwijania masy żydowskiej, jak również utrzymania egzystencyi naszego starego plemienia.

3) Żadnych agresywnych dążeń nie ma nacyonalizm żydowski, a wszelkie gadania o zagarnięciu polskiej ziemi i rozdzieleniu jej pomiędzy dwoma narodami, nie są niczem innem, jak oszczerstwami.

4) Jesteśmy przekonani, że jedynie uznanie obywatelskich i narodowo-kulturalnych praw narodu żydowskiego może wytworzyć z żydów polskich uczciwych dopomagaczów *(Mithälfer)* w rozkwicie i pokojowym rozwoju Polski.

Wierzymy w siłę wewnętrzną narodu żydowskiego, który już tyle doświadczeń przeżył w swej długiej historyi, że żadne groźby nie sprowadzą go na manowce i nie będą przeszkadzały naturalnemu

biegowi pokojowo usposobionego, samozachowawczego narodowego rozwoju«.

Protestują nacyonaliści żydowscy przeciw kłamliwemu jakoby oskarżeniu ich wrogiego dla autochtonów usposobienia, zaklinają się, że są »zainteresowani w rozkwicie Polski i kultury polskiej«, a korzystając z nieznajomości żargonu w naszem społeczeństwie, sieją w swoich pismach do nas nienawiść i ośmieszają naszą przeszłość w swoich teatrach.

Grają np. w warszawskim teatrze żydowskim »Elizeum« popularną w sferach żargonowych krotochwilę p. t. »Haman«. W tej krotochwili występuje Stefan Batory z królową Anną, występują nasi hetmani, kanclerze, duchowni, zakonnicy i mniszki. Z króla Batorego naigrawa się jakiś żydek, przebrany w gronostaje i koronę polską, mówi do niego »ty«, królowa Anna mizdrzy się do owego żydka, dygnitarze zachowują się, jak pajace, ksiądz łyka co chwila z butelki i t. d. Nacyonaliści żydowscy, co zapewniają, że »szanują kulturę polską«, aż pieją z radości, patrząc na tę zniewagę naszej przeszłości.

Jest to zuchwalstwo, zwijające pięść w groźbę, tem bezczelniejsze, że ci sami nacyonaliści grożą zburzeniem teatru polskiego, któryby się ośmielił wystawić tak niewinną satyrę dramatyczną, jaką jest »Złoty cielec«.

Byliżbyśmy na prawdę już tak bezsilni, iż każdemu wieprzowi wolno włazić do naszego ogrodu, pożerać nasze zagony i plwać nam jeszcze zato w żywe oczy?

Trudno się dziwić, że się te wszystkie zuchwalstwa nawet najcierpliwszym sprzykrzyły. I należy wątpić, czy nowe próby asymilacyjne, podjęte przez grupę publicystów, zgromadzonych dokoła nowego tygodnika p. t. *Odrodzenie,* na co się przydadzą, tem więcej, że pod sztandarem owego *Odrodzenia* stanęły siły, zbyt głośne w smutnej pamięci latach rewolucyjnych, bo: Iza Moszczeńska, Antoni Szech (Wysłouch), Wincenty Rzymowski, I. Wassercug, Gacki i i. — same zbuntowane anioły, skrajnego wolnomyślicielstwa *vulgo* bezwyznaniowości i bluźnierstwa odpryski.

Alarmowy głos trwogi huczy w *Odrodzeniu* w »Wezwaniu do żydów, zwących się Polakami« p. Wassercuga, tego samego założyciela »Ligi wolnej myśli« w Warszawie, co chciał z katedry prelegenckiej poprawiać nam dogmaty, oświecać światłem wolnej myśli nasze ciemne głowy chrześcijańskie (a jakże). On prorok woła i lamentuje i grozi pomiędzy innemi:

»Od szeregu miesięcy słuchacie, co mówi o sprawie asymilacyi żydów prasa polska. Rzucono wam — i rzucono mocno — okrzyk: »idea asymilacyi zbankrutowała; nie wprowadzajcie w błąd opinii społeczeństwa«.

Polskość wasza jest obecnie przedmiotem powątpiewań w całym niemal narodzie.

Stwierdzono siłę separatystycznych dążeń żydowskich i duży wpływ, wywierany na masy przez żydów nacyonalistów.

Wzrasta uczucie niechęci i brak zaufania do żyda, jako takiego.

W procesie dziejowego przeistaczania się stosunków polsko-żydowskich nastąpił teraz moment wysoce poważny, którego następstwa mogą być prawdziwie tragiczne.

Może nastąpić całkowite udaremnienie trwających od stu lat wysiłków nad zbliżeniem żydów do polskiego społeczeństwa.

Może wytworzyć się taki stan rzeczy, że w świadomości Polski zatrze się zupełnie poczucie różnicy pomiędzy żydem, obcym polskości, a żydem, przejętym ideałami polskiego narodu.

Może nadejść chwila usunięcia żydów od obywatelskiej pracy na ziemi polskiej.

I wtedy wnuki, albo prawnuki wasze będą przeklinać waszą pamięć, żeście nie uczynili nic, by uniknąć tak tragicznego dla nich losu.

Pomruk niechęci do żydów rozlega się niemal wszędzie i dał się wyraźnie słyszeć ze strony niektórych postępowców polskich.

I cóż wy na to?

Od szeregu miesięcy tu i owdzie naradzacie się i gwarzycie, jak i coby czynić należało. I nic nie robicie dla dobra sprawy. Albo puste są słowa wasze i nie płyną z głębokiego przejęcia się sprawą, albo już do jakiejkolwiek obywatelskiej pracy nie jesteście zdolni! A tam — z tamtej, nieprzyjaznej nam strony — praca wre! Żargonowe pisma odgrywają coraz większą rolę w masach, głosy nacyonalistów zdobywają coraz większą powagę. To jest fakt i nie zasłaniajcie oczów przed jaskrawością tej prawdy!

Przyszłość zapyta się, co czynili żydzi, zwący się Polakami, dla sprawy asymilacyi i może odpowiedzieć będzie mogła z pogardą: »debatowali!«

I skończy się niewątpliwie na »debatach«, bo któż będzie słuchał Wassercugów? Nacyonaliści żydowscy, czyli właściwy dziś naród żydowski, podrwiwa sobie z nich albo opluwa, »a pikores« nazywając,

bogaci oświeceńcy żydowscy są kontenci, gdy się wydostali z ghetta żydowskiego i odwracają się ze wstrętem od hałatowego motłochu, a my? My mamy chyba dosyć takich żydo-polaków, »przejętych ideałami polskiego narodu«, jak pp. Wassercugi i ich otoczenie.

Kłócimy się z żydami, a nasi t. z. maryawici idą różnemi drogami do swoich celów. W warszawskiem *Słowie* czytamy następujący list p. A.: »Uważam za obowiązek prosić o ostrzeżenie społeczeństwa, iż od pewnego czasu jeżdżą za składką na dom własny, który budować mają w Żarkach dla zgromadzenia swego, szkółki i ochronki, 2 zakonnice w habicie mankietniczki Kozłowskiej, mieniące się siostrami zgromadzenia św. Józefa. Są one rodem z gub. kowieńskiej, mówią, iż przed dwoma laty przyjechały do nas z Dalmacyi, osiedliły się w Żarkach, gdzie ich jest już 8, zajmują się pielęgnowaniem chorych i utrzymują ochronkę.

Opowiadały, iż przełożoną ich w Dalmacyi wypędził miejscowy biskup, schroniła się więc do Petersburga. Wobec habitu i tych opowiadań, zarówno dwory, jak plebanie goszczą i dają ofiary, wpisywane w książeczkę. Mankietniczki te objechawszy gub. łomżyńską, są teraz w siedleckiej, skąd przez gub. lubelską i radomską wrócą do Żarek, aby w jesieni znów po innych guberniach zbierać składki. Składek tych nikt im zabronić nie może, chodzi tylko o to, żeby nie przyczyniali się do nich ci, co z mankietnictwem nie chcą mieć nic wspólnego«.

Krzywemi drogami chodzą maryawici. Mają oni cichych wspólników głównie pomiędzy pedagogami niższego rzędu. W jednej z miejskich szkół warszawskich wychwalał jakiś bakałarzyna, podczas wykładu czegoś, sektę mankietniczą, widząc w niej »misyę wprost niedościgłą, do której nie dorosło i nie dorośnie żadne z innych wyznań«. W Łodzi w szkołach miejskich, mają mankietnicy także swoich cichych wspólników. Jakiś nauczyciel śpiewu, niejaki Łopatowskij, prowadził tam dzieci na naukę śpiewu do kaplicy mankietniczej i tłumaczył im »wysokie znaczenie« maryawityzmu, poddając oczywiście katolicyzm surowej krytyce.

Taką agitacyę rozumie się, ale jak wytłumaczyć popieranie *Myśli Niepodległej* Niemojewskiego przez »ojców« mankietniczych? Wiadomo, że najpopularniejszym autorem, protegowanym przez kler maryawicki, jest Andrzej Niemojewski. Jakiż może być most pomiędzy mistycyzmem maryawickim, a wolnomyślicielstwem *Niepodległej Myśli*? Chyba tylko wspólna nienawiść do katolicyzmu. Ale takie sztuczne mosty załamują się zwykle, zasypując gruzami swoimi nierozważnych sekciarzów. Żałować ich nie będziemy, myślę.

Żydzi, maryawici, wolnomyśliciele, socyaliści i zsocyalizowani ludowcy (zaraniarze), a wszystko to atakuje zawzięcie nasz Kościół i nasze tradycye narodowe. Myślę, że dosyć złego na jednego.

Wobec takiego położenia, zdawałoby się, należałoby się spodziewać, że grupa zachowawcza, atakowana ze wszystkich stron, pójdzie karnie, ławą przeciw wspólnemu wrogowi.

Tymczasem... Świeżo sformowana, jeszcze nie zorganizowana grupa katolicka, polemizuje pomiędzy sobą z zaciekłością, godną zaprawdę lepszej sprawy. Nie cała grupa, bo jej znaczna większość, jej starsze, doświadczeńsze siły (Ignacy Baliński, Teodor Jeske-Choiński, prałat Jan Gnatowski, Wincenty Kosiakiewicz, Roger hr. Łubieński, Antoni Miecznik, dr. Kazimierz Rakowski, kanonik Skimborowicz) idą obok siebie w równem tempie, na tej samej linii, porozumiewając się nawzajem. Wyłamują się tylko z pod rygoru karności niektóre jednostki, które bawi ślepa polemika.

Nazywam tę polemikę ślepą, bo trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, nie rozumieć, iż wzajemne pożeranie się członków tej samej grupy, rozmyślne wyłamywanie się z pod rygoru karności jest ciężkim grzechem publicznym przeciw samej sprawie. Dziecinna kłótnia nic jeszcze nie zbudowała, a kłótnia zła, namiętna, oślepła z namiętności rozbijała nawet ruiny.

Wina za tę gorszącą polemikę, która przekroczyła już wszelkie granice przyzwoitości, nie spada na starszych przedstawicieli prasy katolickiej, ci starsi bowiem, doświadczeńsi publicyści robili wszystko, aby wynikłe spory stłumić, wyrównać, załagodzić. Podali oni pierwsi rękę »protestantom«, »cenzorom«, zbliżyli się do nich pierwsi, przyjęli ich, dla dobra sprawy, chętnem sercem do swojego grona, przebaczając urazy. Nic to nie pomogło. Najmłodsi reprezentanci prasy katolickiej nie chcą iść karnie do tego samego celu, nie chcą zrozumieć, że *concordia parvae res crescunt, discordia maximae dilabuntur*. A wszelkie polemiki mają to do siebie, że przedłużone, uparte, wyradzają się wkońcu zawsze w brutalną kłótnię, naszpikowaną brudnemi insynuacyami. Namiętność zdejmuje rękawiczki i staje się złą, zajadłą plotkarką. Wiedzą o tem wszyscy polemiści z zawodu.

Gdzież przyczyna tej nieokiełznanej niczem zajadłości? Nie chcę jej szukać w źródle zawiści konkurencyjnej, byłoby to bowiem źródło zbyt plugawe. Widzę ją w temperamencie wiecznych, urodzonych »protestantów«, w ich chorobliwym indywidualizmie, nieznoszącym

jakiejkolwiek obroży. Ale chorobliwe indywidualizmy stopniują się zwykle, przechodzą w megalomanię, dalej w manię prześladowczą. Mieliśmy tego w Warszawie niedawno żywy a smutny przykład.

W każdym razie nie są chorobliwi indywidualiści, których ambicye przerastają ich środki, ich zdolności, pożytecznymi robotnikami w służbie publicznej. Kto nie umie słuchać, gdy potrzeba, nie umie także rozkazywać.

Teodor Jeske-Choiński.

Druk ukończono 9 lipca 1910.

Z POWODU KSIĄŻKI „O FILOZOFII ŚREDNIOWIECZNEJ".

W recenzyi swej, zamieszczonej w marcowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego*, powitał prof. dr. Gabryl książkę prof. Twardowskiego »O filozofii średniowiecznej« jako jaskółkę, zapowiadającą wiosnę, mianowicie zmianę u nas sądów o wartości myśli filozoficznej w okresie średniowiecza. Zdanie to jest pod pewnym względem bez wątpienia słuszne, ale powiadam »pod pewnym względem«. W dziełku prof. Twardowskiego nie spotykamy niesmacznych pamfletów i utyskiwań na ciemne wieki średnie, jakich pełno w literaturze mniej lub więcej antykościelnej, co więcej, spostrzegamy dobrą wolę, dążącą do usunięcia niesprawiedliwych o filozofii średniowiecznej przesądów. Jednak to pewna, że autor mimo najlepszej woli nie wypełnił dotąd »jednej z najdotkliwszych luk naszego piśmiennictwa z zakresu dziejów filozofii« (Przedmowa autora). Nie wchodząc w »stronnicze i mylne jego poglądy na historyę samej filozofii średniowiecznej«, które z akcentem pierwszego oburzenia wytknął autorowi prof. dr. Kazimierz Wais w *Gazecie kościelnej*, ograniczam się celem uzasadnienia odmiennego od prof. Twardowskiego stanowiska do teologicznej strony scholastyki. Będzie to poniekąd pożądanem uzupełnieniem recenzyi prof. Gabryla, który poprzestał na kilku uwagach z punktu widzenia teologicznego, nie przypisując sobie w skromności swojej upoważnienia, aby przemawiać imieniem teologii (str. 393). Nie można atoli zaprzeczyć, że w kwestyi filozofii średniowiecznej teologia ma poważne prawo do głosu. Albowiem, jak Kościół

i państwo mimo istotnie różnych celów i środków przez cały przeciąg istnienia rzymskiego cesarstwa najściślej były ze sobą zespolone i wzajemnie na się oddziaływały, tak samo związały się też w średnich wiekach filozofia i teologia, wiedza i wiara, jak dowodzą liczne wielkie Sumy XII i XIII wieku. Przy całej odrębności tych nauk, którą zawsze w Kościele uznawano, istniały i istnieją liczne punkty styczności, z których trzeba sobie zdać jasno sprawę, by nie posunąć się za daleko i uniknąć skrajnych ostateczności. Dla nieteologa jest to rzeczą arcytrudną i dlatego też niema się czemu dziwić, że i prof. Twardowski uległ niebezpieczeństwu, które grozi zwyczajnie zawodowym uczonym, zapuszczającym się swobodnie poza granice swej specyalności na teren mniej im znany — mianowicie niebezpieczeństwu błędu.

I.

»Na początku okresu rozwoju filozofii scholastycznej« — tak czytamy na str. 103 — »teologię i filozofię zupełnie ze sobą utożsamiono; następnie w epoce rozkwitu filozofia stała się służebnicą teologii; w okresie upadku zdobywa sobie ponownie swobodę i niezależność od teologii«. Przypuśćmy, że to zdanie jest prawdziwe — musimy tedy przyznać, że filozofię scholastyczną jedynie w związku z teologią sprawiedliwie można osądzić, gdyż sprzeciwia się zasadom zdrowej krytyki oceniać jakiś system na tle okresu upadku a nie na tle epoki rozkwitu. W epoce rozkwitu objawia się znaczenie i potęga każdego systemu najwyraźniej, — stąd ze stanowiska tej właśnie epoki należy patrzeć na przeszłość i przyszłość. Gdyby autor był się trzymał tej zasady, byłby bez wątpienia dostrzegł, że posługiwanie się filozofią przez Ojców Kościoła i teologów przed okresem scholastyki właściwej nie może bynajmniej uchodzić za utożsamienie teologii i filozofii. Na podstawie św. Tomasza z Akwinu byłby się autor łatwo przekonał, że metoda scholastyczna zachowywała zawsze istotną odrębność teologicznej i filozoficznej wiedzy, jakkolwiek łączyła teologię z metafizyką, mistykę z rozumowaniem, wiarę z wiedzą, samodzielność badania z uległością dla powagi Objawienia. Cofając się wstecz aż do pierwszych wieków,

byłby następnie w myśl prawa ciągłości historycznej poznał, że Ojcowie Kościoła w zasadzie trzymali się tej samej metody, że i oni posługiwali się filozofią tylko w tym celu, by spekulacyą swoją przeniknąć treść dostarczaną im przez teologię pozytywną ze źródeł Objawienia i wyprowadzać stąd dalsze wnioski dla pogłębiania i bardziej wszechstronnego pojmowania nabytych wiadomości, oraz ujmowania ich w system na mocy wewnętrznego ich związku.

Tymczasem autor wychodzi z założenia, rozpowszechnionego wśród protestanckich pisarzy, że wiara nie ma nic wspólnego z wiedzą, i że zespolenie jej z filozofią nie wypływa z natury Objawienia, lecz z oportunistycznych względów, wynikających z konieczności własnej obrony i z obowiązku szerzenia dobrej nowiny (str. 17). »Zrazu chrześcijaństwo z filozofią nic wspólnego nie miało i mieć nie chciało« — pisze prof. Twardowski na str. 16. — »Zrazu bowiem chrześcijaństwo występuje jako opozycya przeciw wszelkiej mądrości »tego świata«, więc także przeciw filozofii... Niebawem jednak stosunek ten uległ zmianie. Nauka Chrystusowa właśnie dzięki swej opozycyi do mądrości ówczesnego świata i wogóle do całego ówczesnego porządku rzeczy doznawała licznych prześladowań. Musiała więc zająć stanowisko obronne i odpierać czynione jej zarzuty. Nie mogła też ograniczyć się raz na zawsze do takiego wyłącznie obronnego stanowiska. Wszak chrześcijaństwo czuło w sobie misyę zawładnięcia »tym światem«, do czego je zresztą obowiązywał wyraźny rozkaz mistrza« (16—17). Oczywiście, że nie oświadczano się jednomyślnie za posługiwaniem się filozofią w celach obronnych i misyjnych, lecz wywiązała się w pierwszych wiekach walka stronnictw, w której »zwyciężyli ci, którzy odczuwali potrzebę ujęcia nauki Chrystusowej w system religijno-filozoficzny, oparty na Objawieniu, ale wyrażony w pojęciach filozofii greckiej i hellenistycznej« (str. 17). Odtąd zaczyna się już praca nad wytworzeniem dogmatów, bo, według prof. Twardowskiego, Ojcowie Kościoła są »duchowymi rodzicami podstawowej treści« nauki kościelnej, t. j. »jej dogmatów« (str. 19). Gnostycyzm wciąga autor w ten proces rozwoju dogmatu chrześcijańskiego, łącząc z gnostykami także Klemensa

z Aleksandryi, który »z gnostykami ma tę wspólną cechę, iż, jak oni, dąży od prostej wiary przez poznanie do wiedzy«... »jakkolwiek jego stanowisko odznacza się bez porównania mniejszą fantastycznością i o wiele silniejszem uwydatnieniem właściwych pierwiastków chrześcijańskich« (str. 18). Znaczenie soborów upatruje prof. Twardowski »w potrzebie ustalenia urzędowego wyznania wiary«, gdyż przed soborem nicejskim »wobec braku jednolitości w religijno-filozoficznych poglądach nie zawsze można było stwierdzić, który z nich ma charakter urzędowy, który jest prawowierną nauką Kościoła, w przeciwieństwie do poglądów od tego prawowiernego odbiegających czyli do t. zw. herezyi« (str. 18—19). Ustalenie nauki o Trójcy Przenajśw., dokonane na soborze nicejskim, było, według autora, »dziełem Atanazego, biskupa aleksandryjskiego« (str. 19). Na podstawie dogmatu o Trójcy Przenajśw. »można było przystąpić do dalszej budowy systemu myśli chrześcijańskiej« (str. 19). Na najbardziej »wybitne konstrukcye myślowe« wysilili się Grzegorz z Nyssy i Augustyn (str. 24). »Przez cztery wieki następne pisarze kościelni ograniczają się do zestawiania, objaśniania, formułowania tego, co inni przed nimi już znaleźli« (str. 24). Co więcej, dopiero po 8 wiekach znajdujemy znów również szeroko pojętą i przeprowadzoną — jak u św. Augustyna — lecz na innych podstawach filozoficznych opartą syntezę filozoficzno-religijną« (str. 24). Prof. Twardowski ma tu na myśli system św. Tomasza z Akwinu, zawarty w dwóch dziełach *Summa philosophica* i *Summa theologiae*, »które, jak powiada, po dziś dzień uchodzą w Kościele za ostatni wyraz i ostateczne filozoficzne sformułowanie katolicyzmu« (str. 64). »U św. Augustyna z nauką wiary łączyła się filozofia Platona i neoplatońska, u Tomasza z Akwinu zaś filozofia Arystotelesa, przyczem oczywiście nie brak i u niego tych czynników platońskich i augustyńskich, które weszły już przedtem w ustalony skład nauki kościelnej« (str. 65). Dzięki temu zlaniu się nauki Kościoła i filozofii Arystotelesa w jedną zwartą całość »niektóre określenia, sformułowane przez Greka i poganina Arystotelesa, stały się dogmatami kościelnymi, jak przedtem już inne określenia, sformułowane przez żyda Philona« (str. 65). Od Alberta W.

przejął też św. Tomasz, jak powiada autor, rozróżnienie teologii przyrodzonej i objawionej, określone przez św. Alberta »za wskazówkami Maimonidesa« (str. 63). Po św. Tomaszu z Akwinu »pozostawało jedno bardzo ważne zadanie: trzeba było znajomość systemu Tomasza rozpowszechniać, trzeba było wykładać go w szkołach« (str. 67). »System tak w sobie zamknięty, tak zwarty i jednolity nie dopuszczał dalszego rozwoju« (str. 68). Opozycyę Dunsa Szkota przeciw tomizmowi upatruje prof. Twardowski w tem, że wbrew poglądowi tomistów wierzył w możność i potrzebę dalszego rozwoju teologii i filozofii« (str. 77). Według Dunsa Szkota »filozofia i teologia — to nie jest jedno i to samo, jak uczył ów pierwszy scholastyk, Szkot Eringen, lecz są to dwie nauki, idące obok siebie — jeżeli wogóle teologię uważać zechcemy za naukę« (str. 78). Duns Szkot rozerwał spójnię, jednoczącą teologię i filozofię w jedną całość, a jeśli nie był tu lub tam dość stanowczy, Okkam rzecz poprowadził dalej, snując z twierdzeń Dunsa Szkota najskrajniejsze wnioski« (str. 81). Okkam »w zupełności przyswoił sobie teoryę dwojakiej prawdy, którą podał był Arab Averroës, twierdząc, »że pod względem teologicznym niejedno trzeba uznawać, co się pod względem filozoficznym utrzymać nie da, i że istnieją na odwrót prawdy filozoficzne, których z punktu widzenia teologicznego przyjąć niepodobna« (str. 85). »Dzięki temu stanowisku mógł Okkam wygłaszać swe przekonania filozoficzne (niezgodne z dogmatem), nie przestając być wierzącym katolikiem i zakonnikiem« (str. 86). Kościół wprawdzie potępił naukę Okkama, ale później zniesiono wszystkie ograniczenia i odtąd wolno było uczyć i pisać także w duchu nominalistycznym (str. 87). Odtąd tomiści »bronią nadal wszelkiemi siłami jedności teologii i filozofii« (str. 87), i obok nich nie brak i innych prób pogodzenia teologii i filozofii, — prąd teologiczny przybiera formę mistycyzmu, bądź zgodnego, bądź niezgodnego z nauką Kościoła, — a prąd filozoficzny oderwany od teologii opiera się na doświadczeniu i rozumowaniu, zasłaniając się zawsze teoryą dwojakiej prawdy przed interwencyą Kościoła (porównaj str. 87 i 88).

Nowy etap w ukształtowaniu się życia umysłowego stanowi

epoka Odrodzenia i humanizmu, która, »idąc za głosem Okkama, słusznie oddzieliła wiarę od wiedzy, teologię od filozofii« (str. 106). Filozofowie tej epoki »zapragnęli poznać filozofów starożytnych oko w oko, bez okularów, przez które na nich patrzyli dotąd zwolennicy i wielbiciele Platona i Arystotelesa, znajdujący Platona takim, jakim go przedstawiał św. Augustyn, Arystotelesa takim, jakim go przedstawiał Averroës i Tomasz z Akwinu, a nie znając ich takimi, jakimi znała ich starożytność« (str. 97).

Kościół »obecnie stanął bezsilny wobec tego nowego napływu odrodzonej filozofii starożytnej« z powodu rozbieżności w odnawianiu się kierunków filozoficznych (t. j. platonizmu, neoplatonizmu, arystotelizmu pogańskiego, epikureizmu, stoicyzmu) oraz rozbieżności w obrębie stosunków politycznych, Kościoła i organizacyi nauki (str. 99). Odtąd wyzwolona od teologii filozofia kroczy samodzielnie naprzód, nawiązując pracę swą do kultury klasycznej starożytności (str. 106). »Zespolenie wiary i wiedzy straciło swoje uprawnienie na zawsze, wszak ze stanowiska historyi filozofii rola Kościoła w średnich wiekach polegała na wychowywaniu ludów nieoświeconych, w znacznej mierze barbarzyńskich i przygotowywaniu ich do tego, by mogły kiedyś samodzielnie pracę swą nawiązać do kultury klasycznej starożytności. Zespolenie wiary i wiedzy było skutecznym środkiem, umożebniającym przeszczepienie wiedzy za pośrednictwem wiary z epoki starożytnej na ludy, które miały objąć kierownictwo duchowe Europy w epoce nowożytnej« (str. 106). »Wiara i wiedza, teologia i filozofia nie mają już tworzyć odtąd jednolitej, harmonijnie zespolonej całości« (str. 107), lecz zachowywać swą niezależność. »Filozofia nowożytna, ograniczywszy w myśl Okkama i Rogeryusza Bakona swe badania do tego, co podlega doświadczeniu, pozostawiła wolne miejsce teologii do rozpamiętywania spraw, leżących poza zakresem doświadczenia«. Teologii daje prof. Twardowski wskazówkę, by »ze swej strony także ograniczała się do tych właśnie spraw, i nie wkraczała w sferę zagadnień, podlegających rozumowi i badaniu naukowemu«. W takim razie, zapewnia, znikną między filozofią i wiedzą świecką wogóle, a teologią wszelkie powody starć i walk« (str. 107).

Starałem się umyślnie o streszczenie poglądu prof. Twardowskiego jego własnemi słowami, by czytelnikowi ułatwić zrozumienie następujących uwag o filozofii scholastycznej. Sumienność każe zaznaczyć, że sam autor uważa swoje dziełko za ogólny tylko szkic, nie przykładając doń miary źródłowej pracy naukowej. Tem także tłumaczyć sobie musimy brak odnośników do literatury naukowej, na której się autor opierał, oraz brak naukowego uzasadnienia poszczególnych twierdzeń. Wobec tego byłoby bezcelowem rozprawiać się szczegółowo z poglądami autora, bo trzebaby napisać w tym celu całą książkę, wiele obszerniejszą od jego własnej pracy. Zwrócimy raczej uwagę na zasadniczą kwestyę stosunku wiary do wiedzy, teologii i filozofii, gdyż na tle tego właśnie zagadnienia wyłaniają się wszystkie jego twierdzenia, na które teolog katolicki zgodzić się nie może.

II.

Wspomniałem już wyżej, że z pracy prof. Twardowskiego wieje jakiś duch pojednawczy, przyjazny, owszem szlachetna tendencya do obrony »tak mało na ogół znanej i cenionej epoki myśli ludzkiej«, jaką jest średniowieczna scholastyka. Wobec nieustających starć między wiarą a wiedzą, teologią katolicką a nowożytną filozofią chciał prof. Twardowski wskazać sposób pogodzenia obustronnych dążności i zapatrywań, chciał się, że tak powiem, stać apologetą chrześcijańskim wobec przeciwnych chrześcijaństwu prądów filozoficznych naszej ery. Cenimy bez wątpienia to usiłowanie szan. autora, ale nie możemy nie protestować przeciw projektowi, który obala istotne cechy religii objawionej. Zespolenia wiary i wiedzy, teologii i filozofii nie możemy się żadną miarą wyrzec, po prostu dlatego, że z natury swojej mają odnośnię do siebie. Zawarcie pokoju, które zgodnie z Paulsenem [1] upatruje prof. Twardowski w kantowskiem rozróżnieniu dwóch światów, z których jeden należy do wiary, drugi do wiedzy, nie tylko nie ratuje wiary, lecz poniża ją i odziera z jej właściwego

[1] Immanuel Kant (1898). 6.

znaczenia w dziejach ludzkości. Dualizm między wiarą a wiedzą odbiera wierze zarówno rozumowe jej podstawy, jak treść, wzbogacającą umysł w nowe i nadprzyrodzone prawdy, i wydaje wiarę na łup subjektywistycznych i ślepych postulatów praktycznego rozumu. Podczas gdy z głębi duszy wyłania się stanowcze »Wierzę«, rozum wątpi o tej samej prawdzie religijnej i mówi: »Nie wiem, czy tak jest«. Wątpienie i przekonanie podają tu sobie ręce, »tak« i »nie« idą zgodnie w parze. Kantowski ten dualizm, który nigdy nie da się pogodzić z katolicyzmem, jest widocznie punktem wyjścia dla prof. Twardowskiego, skoro pisze, że wyżej wyłuszczoną drogę pogodzenia wiary i wiedzy »wskazała filozofia nowożytna, zwróciwszy się ku zbadaniu podstaw i granic rozumowego poznawania i przekonawszy się, że Bóg i jego stosunek do świata i człowieka nie może być przedmiotem wiedzy rozumowej, lecz jedynie wiary religijnej« (str. 107). Tłumaczy się nam w ten sposób także sympatya autora dla Okkama, którego teoryę o dwojakiej prawdzie silnie akcentuje. Jako wierzący katolik nie chciał teologom katolickim polecić teoryi Kanta, ale mniemał, że bez obrazy będzie się mógł odwołać do katolika i zakonnika Okkama, który, właśnie dzięki teoryi o dwojakiej prawdzie, jest gotów »bronić takich poglądów, które sam zwalcza, jeżeli Kościół tego od niego zażąda« (str. 86). Prof. Twardowski widzi w tej teoryi Okkama klucz do rozwiązania trudnej kwestyi stosunku wiary do wiedzy w obrębie katolicyzmu, — ale nie tłumaczy się dalej, jak po usunięciu rozumowego pierwiastka należy pojąć wiarę, czy jako ślepe uczucie, czy postulat praktycznego rozumu i t. d. Bliższe badanie tych zagadnień byłoby go pouczyło, że teorya Okkama prowadzi do indywidualizmu religijnego i do zupełnego subjektywizmu, tem samem do zrzeczenia się katolickiej prawdy. Subjektywizm w religii nie może uznać przedmiotowych, niezmiennych prawd objawionych, nie mogąc ich jednak pominąć zupełnie, musi je przekształcić w symbole, pozwalające na dowolną interpretacyę. Racyonalistyczni teologowie protestantyzmu i za nimi moderniści jasno zdają sobie sprawę, że cały rozwój dogmatu katolickiego i teologii katolickiej przedstawia konsekwentny i zwarty system, w którym niema miejsca

dla subjektywistycznej religii, — stąd z góry wyłączają z widnokręgu swego całą epokę religijnego rozwoju i schodzą aż do samego Chrystusa, aż do teologii samych Ewangelii. Oświadczają więc, że sam Chrystus nie podał żadnego dogmatu, nie ustanowił żadnego Kościoła, nie uczył żadnej prawdy przedmiotowej, lecz był tylko subjektywistą, czerpiącym swe zasady religijne z własnego życiowego doświadczenia [1].

Prof. Twardowski oczywiście dalekim jest od podobnych twierdzeń, ale dość wyraźnie prześwieca w jego poglądach subjektywizm kantowski, który konsekwentnie przeprowadzony, musiałby go prowadzić do podobnych wniosków. Teorya Averroësa i Okkama o podwójnej prawdzie jest stanowczo sprzeczna z nauką Kościoła katolickiego, co jasno wynika zarówno z wielkich soborów starożytności chrześcijańskiej i wieków średnich, jak z nauki Ojców Kościoła, teologów i papieży aż do dzisiejszego dnia. Rada, którą prof. Twardowski daje teologii, by nie wkraczała w sferę zagadnień, podlegających rozumowi i badaniu naukowemu, może mieć sens tylko w przypuszczeniu, że religia Chrystusowa z istoty swojej nie sięga w sferę takich właśnie zagadnień, owszem, że nie ma nic z niemi wspólnego. W rzeczy samej twierdzi też prof. Twardowski, że »zrazu chrześcijaństwo z filozofią nic wspólnego nie miało i mieć nie chciało, a tak samo filozofia z chrześcijaństwem« (str. 16). Uzasadnienie tego twierdzenia, że »chrześcijaństwo występuje zrazu jako opozycya przeciw wszelkiej mądrości »tego świata«, więc także przeciw filozofii« — nie udało się autorowi zupełnie, bo każdy znawca przewodniej myśli Ewangelii wie, że mądrość »tego świata« jest to w duchu Ewangelii mądrość będąca »pożądliwością ciała, pożądliwością oczu i pychą żywota, która nie jest z Ojca, ale jest z świata« (1 Jan, 2, 16), która jest nieprzyjaciółką Boga, bo nie jest poddana zakonowi Bożemu« (Rzym. 8, 7). Nie można zaś żadną miarą się zgodzić na to, by

[1] Taki pogląd znajdujemy w dziełach: »Historyi dogmatów« Ad. Harnacka, Fr. Loofs'a, R. Seeberga w dziełach o pierwotnem chrześcijaństwie O. Pfleiderera, Heinrici'ego i innych. Modernistów cytuje ks. Rostworowski T. J. w artykule swoim p. t. »Dwie filozofie«, w *Przeglądzie Powszechnym* 1908. Tom 97, str. 333. Uwaga.

całą wogóle filozofię starożytną podciągnięto kiedykolwiek pod tak zrozumianą mądrość. Przeciwnie, filozofia starożytna grecka, zwłaszcza filozofia Sokratesa, Platona i Arystotelesa, zawierała mnóstwo prawdziwych i zgodnych z chrześcijaństwem myśli, zwłaszcza o Bogu i nieśmiertelności duszy.

Opozycya chrześcijaństwa przeciw tym prawdom i wogóle przeciw wszelkiej prawdzie tkwiącej w filozofii starożytnej, jest stanowczo wykluczoną. Niema bowiem żadnej wątpliwości, że sam Chrystus zwraca się także do rozumu ludzkiego, i że podaje rozumowi prawdy pouczające go o stosunku człowieka do Boga i świata, o życiu pozagrobowem, o naturze Boga, o osobie Zbawiciela, o grzechu, odkupieniu, uświęceniu przez łaskę i t. p. Bez wątpienia zawiera Objawienie Chrystusowe tajemnice, czyli prawdy, których rozum ludzki ani przed, ani nawet po Objawieniu nie może pojąć całkowicie, ale to bynajmniej nie znaczy, że rozum nic zgoła z tajemnic poznać nie może, i że filozofia może się wyrzec wszelkiego zrozumienia objawionych prawd. Chrystus nie dał filozofii uprawnienia do agnostycyzmu, lecz »na to się narodził i na to przyszedł na świat, aby świadectwo dał prawdzie« (Jan 18, 37). Co więcej, właśnie w przyjęciu tej prawdy, a zatem w jej prawdziwem pojmowaniu i zastosowywaniu w życiu, upatruje Zbawiciel rękojmię prawdziwej wolności: »Jeśli wy trwać będziecie przy mowie mojej... poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi« (Jan 8, 31—32). Chrystus nie domagał się studyum filozofii celem poznania prawdy, lecz przyniósł już prawdy gotowe, nie zabraniając jednak, owszem domagając się, aby rozum zastanawiał się nad niemi i czynił je podstawą poglądu na świat i życie. Prawdziwy chrześcijanin nie potrzebuje w myśl Chrystusa być filozofem, — filozofia bowiem jest specyalną nauką, jak każda gałąź wiedzy — ale chrześcijanin nie może żyć w duchu swej wiary, jeśli jej nie zamienia wciąż w żywe myślenie, jeśli nie posługuje się nią, jako kluczem w trudnościach życia i nie stara się poznać, jakie ona rzuca światło na jego własną naturę i jego przeznaczenie, na stosunek do bliźnich swoich i do Boga. Nie oportunistyczne względy, konieczność obrony i dążność szerzenia się, ale sama natura prawdy objawionej domaga się zespolenia

wiary z wiedzą, teologii z filozofią. Każda religia, podająca prawdy, musi z natury swej stać się teologią, skoro tylko rozum usiłuje wniknąć w treść tych prawd i wysnuć z niej wnioski dla praktycznego życia. Wobec tajemnic już samo poznanie, w czem tkwi jądro tajemnicy, którą bez rozumowych dowodów dla powagi objawiającego Boga przyjąć z pokornem poddaniem się rozumu należy, wymaga wnikania myśli ludzkiej w treść Objawienia.

Stąd też już w listach św. Pawła znajdujemy początki i zarodki spekulatywnych uzasadnień i dowodów[1].

W niektórych nawet miejscach cytuje św. Paweł pogańskich pisarzy, jak poetę Aratusa (Dz. ap. 17, 28), Menandra (1 Kor. 15, 33), Eupimenidesa (Tyt. 1, 12), tak iż myśliciele późniejszej ery chrześcijańskiej mogą się odwoływać na przykład apostoła narodów dla uprawnienia swej metody posługującej się literaturą, zwłaszcza filozofią pogańską. Sam apostoł nawet żąda od Tytusa, aby »upominał przez zdrową naukę, i tych, którzy się przeciwiają przekonał« (Tyt. 1, 9). W szczególności teologowie średnich wieków wypisują jako motto na czele teologicznych Sum określenie wiary, które daje św. Paweł w liście do żydów: »Wiara jest gruntem rzeczy tych, których się spodziewamy, wywodem rzeczy niewidzianych« (Żyd 11, 1). Także upomnienie św. Piotra: »Zawżdy gotowymi bądźcie ku dosyć uczynieniu każdemu domagającemu się od was sprawy o tej nadziei, która w was jest« (1 Piotr 3, 15), częstokroć służy Ojcom Kościoła i teologom scholastycznym jako tytuł prawny dla zastosowania dyalektyki do treści Objawienia[2].

Wynika więc zespolenie wiary z wiedzą, teologii z filozofią z samego intellektualnego charakteru Objawienia, pouczającego o prawdach, zwracających się do rozumu ludzkiego. Jeśli Ewangelia

---

[1] Por. Dr. Joseph Quirnbach: *Die Lehre des hl. Paulus von der natürlichen Gotteserkenntnis u. dem natürlichen Sittengesetz. Eine biblisch-dogmatische Studie. (Strassburger Theolog. Studien* VII. 4). Freiburg 1906. Herder.

Dr. Theol. Arnold Rademacher: *Die übernatürliche Lebensordnung nach der Paulinischen und Johanneischen Theologie. Eine dogmatisch-biblische Studie. (Strassburger Theol. Studien.* VI. 1—2).

Christian Pesch S. J.: *Theologische Zeitfragen.* Vierte Folge: *Glaube, Dogmen und geschichtliche Tatsachen.* Freiburg 1908. Str. 162 i nast.

[2] Por. Dr. Martin Grabmann: *Die Geschichte der scholastischen Methode.* Freiburg. Herder 1909. I Band. S. 59—60.

nie miała być niepłodnym talentem, lecz żywem ziarnem prawdy, to musiała koniecznie nawiązać do charakteru i kultury tych ludów, które chciała nawrócić, a zatem musiała wejść w bliższą styczność z filozofią i cywilizacyą grecko-rzymską. »Jak pierwsze domy kultu chrześcijańskiego, powiada trafnie Mausbach [1], wznoszą się po wielkiej części na podwalinach pogańskich świątyń i noszą na sobie piętno starożytnej sztuki, tak też duchowe twory owej epoki objawiają na dnie fundamenty klasycznej pracy intellektualnej i formy starożytnej dyalektyki«. Zespolenie teologii z filozofią, wiary z wiedzą, niewątpliwie stało się tem potrzebniejsze, im bardziej chrześcijaństwo szerzyło się wśród intelligencyi i doznawało zaczepek ze strony filozofów pogańskich i heretyków. Prof. Twardowski słusznie kładzie nacisk na te czynniki w rozwoju dogmatów, posuwa się zaś za daleko, skoro w tych czynnikach a nie w intellektualnym charakterze Objawienia upatruje genezę zespolenia wiary z wiedzą. Ojcowie Kościoła poznali się zaraz z początku na znaczeniu greckich filozofów dla systematyki i apologii chrześcijaństwa, i wspominają o nich z prawdziwą czcią, przyczem jednak jasno zdają sobie sprawę z ich mnogich błędnych poglądów i pojęć. Zwłaszcza szczere dążenie Platona do wyższej,. nadzmysłowej, ogólnej i wiecznej prawdy musiało budzić zapał u chrześcijańskich pisarzy, pod względem zaś formalistycznym platońska metoda rozprawiania ze sofistami podała wzór dla polemiki przeciw zarzutom pogańskich i heretyckich przeciwników, a arystotelesowska logika dostarczyła cennych wskazówek dla teologicznego dowodzenia i utworzenia naukowej systematyki teologicznej. Nareszcie i to prawdą jest, że filozofia grecka obdarzyła chrześcijańskich myślicieli mnóstwem terminów i określeń, które dały się przystosować do prawd chrześcijańskich. Widzą więc Ojcowie Kościoła w filozofach greckich sprzymierzeńców, zapomocą których zwalczają politeizm i ujmują wiarę chrześcijańską w system poglądu na świat, ale z drugiej strony jasno odróżniają prawdy chrześcijańskie, tudzież prawdziwe i zgodne z chrześcijaństwem pojęcia rozumowe od mylnych poglądów filo-

[1] *Christentum u. Weltmoral.* Münster i. W. 1897, str. 7.

zofii pogańskiej. Stąd to częstokroć wskazują w polemice z heretykami na pokrewieństwo staro-chrześcijańskich sekt z pogaństwem i wytykają heretykom przejmowanie się błędami pogańskich filozofów [1].

Opozycya pewnych Ojców przeciw filozofii greckiej, np. Tertulliana, nazywającego filozofię »matką wszystkich herezyi«, odnosi się właśnie do błędnych twierdzeń pogańskich, które herezye usiłowały wnosić w gmach objawionych prawd chrześcijańskich. Tertullian, który z afrykańską swą namiętnością występuje surowo przeciw heretyckiej filozofii gnostycznej, pragnącej niczem nieograniczoną wiedzą zastąpić wiarę, w zasadzie nie jest uprzedzony do filozofii wogóle, owszem posługuje się nią sam, jako najlepszą bronią dla zwycięstwa prawdy [2].

O utożsamieniu wiary i wiedzy, teologii i filozofii nie może być mowy na tle patrystyki chrześcijańskiej. Walka przeciw gnostykom, którzy z powodu niezdrowej swej mieszaniny filozoficznomistycznych spekulacyi z chrześcijańskiemi pojęciami stworzyli karykaturę chrześcijaństwa, świadczy wybitnie o świadomem odróżnieniu filozofii wogóle od teologii chrześcijańskiej. »Ojcowie Kościoła, powiada słusznie Caird [3], wcale nie byli tego przekonania, że samodzielnie tworzą system naukowy, lecz sądzili po prostu, że dalej przekazują wiarę, udzieloną niegdyś świętym. Jeśli zaś w epoce scholastyki, filozofii przeznaczono odrębne miejsce, to ściśle rzecz biorąc, było to miejsce narzędzia dla analizy i wyjaśniania nauk, które przyjmowano na podstawie powagi Kościoła«. Filozofia Ojców Kościoła nie mogła nawet być tak samodzielną, jak filozofia grecka, na której tle powstała. W epoce chrześcijańskiej zadanie filozofii zmieniło się. Wiara chrześcijańska, dająca jasną i głęboką odpowiedź na najważniejsze i wieczne zagadnie-

---

[1] Por. Seitz A.: *Die Heilsnotwendigkeit der Kirche nach der altchristlichen Literatur bis zur Zeit des hl. Augustinus.* Freiburg 1903. Str. 15 i nast.

[2] Dr. Kihn Heinrich: *Patrologie.* I. Band. Paderborn 1904. Str. 254; — por. także wyżej cytowane dzieło Grabmanna, I. str. 118 i nast.

[3] *Die Entwicklung der Theologie in der griechischen Philosophie.* Autorisierte Übersetzung von Hilmar Willmanns. Halle, a. S. 1909. Niemeyer. Str. 37.

nia życia, sprawiła, że filozofia nie potrzebowała już szukać rozwiązania tych problemów, lecz mogła się zwrócić ku ich sformułowaniu, wyjaśnianiu i wykończeniu. Posługując się w tym celu pojęciami i wyrazami, zapożyczanemi z filozofii greckiej, musiała filozofia chrześcijańska odpowiednio je przystosowywać i zmieniać, zwłaszcza tam, gdzie miały służyć ku objaśnianiu przekraczających rozum tajemnic o Trójcy Przenajśw. i Wcieleniu. W obrębie teologii stała się w chrześcijaństwie filozofia, tak samo jak inne gałęzie wiedzy, zależną od teologii, służebnicą teologii, co nie wyklucza wcale samodzielności filozofii i innych nauk w kwestyach leżących poza zakresem teologii. Częstokroć nadużywane i fałszywie zrozumiane zdanie *philosophiam esse ancillam theologiae*, ma tylko znaczenie, że teologia posługuje się przekazywaną i z naturalnego światła rozumu płynącą filozofią dla wnikania spekulacyą swoją w treść, dostarczaną jej ze źródeł Objawienia przez teologię pozytywną, w zamiarze wyprowadzenia z tych prawd dalszych wiadomości, pogłębiania i bardziej wszechstronnego pojmowania nabytych znajomości, tudzież ujmowania ich w system na mocy wewnętrznego ich związku. W tym sensie filozofia nazywa się służebnicą teologii nie dopiero w epoce scholastyków, ale już u uczonych aleksandryjskich, począwszy od Klemensa [1]. Nie inaczej sądzili także Orygines, dla którego najwyższą normą prawdy jest »reguła wiary« [2], i Laktancyusz, który samą filozofię uważa za niewystarczającą zarówno dla poznania prawdy, jak dla etyki, upatrując jedynie w chrześcijaństwie prawdziwą filozofię i religię, jako płynące z tego samego źródła, Boga, który objawił się światu przez Syna swego [3].

Nie można zaprzeczyć, że wobec trudnej pracy intellektualnej w przenikaniu i wyjaśnianiu prawd objawionych zapomocą filozoficznej spekulacyi, myśliciele chrześcijańscy nie zawsze byli wolnymi od wpływu błędnych poglądów filozoficznych, jak to np. miało miejsce u Justyna i Klemensa Aleksandryjskiego, ale

[1] Krieg: *Encyklopädie der theol. Wissenschaften nebst Methodenlehre*[2]. Herder 1910 Freiburg, str. 80.

[2] *De princ.* I. c. 2.

[3] *Divin. Inst.* III, IV.

nie można też na podstawie tych ułomności ludzkiego wysiłku mówić o istotnej przemianie chrześcijaństwa przez filozofię grecką, lub o utożsamieniu teologii i filozofii, ani o przerabianiu pewnych określeń filozofii pogańskiej w dogmat. Nie można żadną miarą Ojców Kościoła uważać za »duchowych rodziców podstawowej treści nauki kościelnej, t. j. jej dogmatów« (Tward. str. 19). Za typowy przykład może nam tu służyć Sobór powszechny w Nicei r. 325, pierwszy i najczcigodniejszy z soborów powszechnych Kościoła katolickiego. Określono na tym soborze przeciw aryanom, że »Syn Boży jest zrodzony z Ojca, jednorodzony, że jest z istoty Ojca, Bóg z Boga, Światłość ze Światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego zrodzony, nie uczyniony, współistotny Ojcu« [1].

Terminologia, którą posługiwano się dla określenia tego dogmatu, zapożyczoną została od filozofii greckiej, ale, jak historya dogmatu o Trójcy Przenajśw. przed soborem nicejskim pokazuje, zastosowaną została z olbrzymim nakładem pracy intellektualnej, by nie zmienić treści Objawienia i znaleźć dokładny sposób sformułowania objawionej prawdy. Główną i rozstrzygającą rolę miała w tem określeniu teologia zachodnia Kościoła rzymskiego, przedstawiona w osobie zastępcy papieża, biskupa Hozyusza z Kordowy w Hiszpanii [2]. Sam św. Atanazy powiada, że Ojcowie soboru nicejskiego określili dogmat na podstawie »Tradycyi«, stwierdza więc wyraźnie zespolenie wiary z wiedzą, ustalenie religijno-filozoficznego poglądu, dokonane z uległością dla objawionej prawdy. Śladami poprzedników idą i późniejsi Ojcowie Kościoła, stosując do danych z Objawienia rozumowe pojęcia i prawdy. »W meto-

---

[1] Denzinger: *Euchiridion Symbolorum etc.* Ed. x. Friburgi. 1908. N. 54.

[2] Moeller-Schubert: *Lehrb. d. Kirchengeschichte*[2]. Tübingen 1902. Bd. I. Str. 443.

Także Harnack: *Lehrb. d. Dogmengeschichte.* Leipzig 1894. Bd. II, str. 228. — Harnack wskazuje na tę samą naukę, zawartą już w pismach Tertull. (Adv. Prax.) i Hipolita (c. Noët. 14).

Por. także artykuł Knellera T. J.: *Das Papstum auf dem ersten Konzil von Nicäa*, w *Stimmen aus Maria-Laach.* Bd. 77, str. 503 i nast. 1909.

Kneller zwraca uwagę na tę naukę u Dyonizego Aleksandryjskiego i Dyonizego papieża, o których wspomina także Atanazy św. (Ad Afros. 6. M. P. G. 26, 1029 B. i 1040.

dologii teologicznej św. Grzegorza Nazyazeńskiego — powiada Grabmann (l. c. str. 87) — znajdujemy już harmonijną całość wszystkich tych wzniosłych cech i kierunków, które są właściwe dziełom średniowiecznych scholastyków, zwłaszcza św. Anzelma, Hugona od św. Wiktora, Bonawentury i Tomasza z Akwinu«. Pogromcę nestoryanizmu, św. Cyryla Aleksandryjskiego, nazywa Arnauld [1]: *le plus dogmatique et le plus scolastique de tous les pères*, a Scheeben [2] mówi o nim, że w takim stoi stosunku do dawniejszych Ojców greckich, w jakim św. Tomasz z Akwinu stoi do Ojców łacińskich. Tak samo Atanazy Zachodu, św. Hilary i św. Augustyn uchodzą w literaturze patrologicznej za poprzedników scholastyków. Niektóre poglądy św. Augustyna nie stały się wprawdzie trwałą zdobyczą scholastyków, bo od początku XIII wieku przewodnictwo w dogmatyce przechodzi pod wpływem filozofii arystotelesowskiej na św. Tomasza z Akwinu — ale pewną jest, że ze spuścizny geniuszu św. Augustyna żyje cała scholastyka [3].

Dokładne studyum Ojców Kościoła i Sum teologów średniowiecza pokazuje, że praca tych ostatnich jest tylko dalszym ciągiem pracy Ojców, że wszystkie cechy metody scholastycznej znajdują się już u Ojców Kościoła. Nigdzie nie widzimy utożsamienia wiary z wiedzą, teologii z filozofią, lecz tylko korzystanie z filozoficznych pojęć i prawd, celem wyjaśniania i systematycznego zestawienia objawionych prawd. Nie mogąc przekroczyć granic artykułu, pomijam epokę właściwej scholastyki, zwłaszcza że prof. Twardowski sam przyznaje, iż w okresie rozkwitu scholastyki filozofia była służebnicą teologii, a zatem podporządkowaną Objawieniu. Przez to jednak wcale nie zgadzam się z zapatrywaniem autora na metodę św. Tomasza, która, według jego wywodów, wychodzi właściwie na utożsamienie filozofii i teologii. Zresztą sformułowanie metody św. Tomasza w tak szczupłe ramy zostało ujęte w dziełku prof. Twardowskiego, że trudno o nie się spierać, jeśli się chce zachować sumienność i sprawiedliwość

[1] *La perpetuité de la foi sur l'eucharistie.* II. Paris 1869. 493.
[2] *Kirchenlexicon, Wetzer u. Welte.* Tom III, 1287.
[3] Por. v. Hertling: *Augustin.* Str. 4.

w ocenie. Faktem w każdym razie jest, że prof. Twardowski patrzy się na filozofię św. Tomasza, jako »na ostateczny wyraz nauki Kościoła, niezdolny już do dalszego rozwoju«. Jedynie nieznajomość odnośnej katolickiej literatury filozoficznej może nam tłumaczyć tak fałszywy pogląd na naukę św. Tomasza. Niema nic fałszywszego nad zdanie, że filozofia św. Tomasza nie jest zdolna do dalszego rozwoju, że po nim teologia skazaną jest na martwotę i stagnacyę [1]. »Jeżeli na schyłku średnich wieków w pewnych kołach utracono zrozumienie chrześcijańskiej mądrości, złożonej w scholastyce, to z tego wcale nie wynika, jakoby sama ta mądrość ustała; jeśli epigonowie nie mieli już tej potęgi ducha, z jaką wielcy chrześcijańscy mistrzowie umieli łączyć pierwiastek kontemplatywny i rozumowy, mistykę i dyalektykę, to z tego nie wynika, jakoby spekulacya chrześcijańska rozszczepiła się teraz w mistykę i dyalektykę. Nie ów wielki świat myśli rozpadł się i rozproszył, ale małe pokolenie odwróciło się doń plecami, przyczem jedni te, inni inne porywali cząstki, by prędzej czy później i te jeszcze resztki marnotrawić: owe słowo z przypowieści o synu marnotrawnym, *dissipavit substantiam suam,* jest tu zupełnie na miejscu« [2].

Kiedy w XIX wieku nastąpiła reakcya przeciw racyonalistycznym i nominalistycznym prądom XVIII wieku, objawiająca się w ponownym szacunku dla średnich wieków, wtedy i teologowie, którzy w nieprzerwanej ciągłości pozostali w kontakcie z filozofią scholastyczną, odważyli się znów na odnowienie w szerszych warstwach chrześcijańskiej filozofii. R. 1840 wydał ks. Mateusz Liberatore T. J. swoje *Institutiones logicae et metaphysicae,* pierwszy podręcznik filozoficzny XIX wieku, napisany w duchu i według zasad św. Tomasza z Akwinu. W 25-em wydaniu tego dzieła mógł żyjący jeszcze wówczas autor († 1892) powiedzieć w przedmowie: »Quod tum delirium putabatur, nunc eventu pro-

[1] Porów. znakomite uwagi ks. Rostworowskiego T. J. w *Przeglądzie Powszechnym* 1908, t. 97, str. 323 i nast. p. t. »Dwie filozofie«.

[2] Seidenberger J. B. Prof. Dr.: *Grundlinien idealer Weltanschauung aus Otto Willmanns »Geschichte des Idealismus« und seiner »Didaktik«.* Braunschweig. 1902. Str. 78—79.

batum laeti conspicimus«. Kiedy w encyklice *Aeterni Patris*, z 4 sierpnia 1879, Leon XIII przywrócił filozofii św. Tomasza zaszczytne jej miejsce w studyach teologicznych, — to w tem można tylko upatrywać dojrzały owoc samoistnych dążeń do odrodzenia chrześcijańskiej wiedzy w Kościele katolickim. »Zwrot do Tomasza z Akwinu, powiada trafnie Seidenberger (str. 108), oczywiście nie oznacza bezwzględnej kanonizacyi jego pracy, lecz oryentacyę dla naszej pracy, wskazówkę dla uświadomienia sobie naszego zadania w naszej erze. Nie o to chodzi, by w pracy naukowej cofać się wstecz o całe wieki, ale o to, by nie marnotrawić i nie ignorować osiągniętych już rezultatów, o to, »by nie przetrwonić dziedzictwa ojców« [1].

»Filozofia scholastyczna wychodzi ze świata zmysłów, z doświadczenia zmysłowego, i stąd wznosi się ku wyżynom świata duchowego, tworząc tak system umiarkowanego realizmu. Święty Tomasz napisał swą wielką Sumę teologiczną, uwzględniając całą wiedzę ówczesną. Tem samem najwyższy rozkwit filozofii scholastycznej był osiągnięty: przyszłe generacye musiały się ograniczyć do zachowania zdobytych rezultatów i do uzupełnienia drobniejszych luk i usterek. Przyczyna, dla której scholastyka po św. Tomaszu nie rozwijała się dalej, tkwi w zastoju nauk przyrodniczych. Przez całe trzy wieki po św. Tomaszu nie widzimy żadnego wzbogacenia się w nowe wiadomości z zakresu świata zmysłowego. Brak materyału doświadczalnego nie dopuścił dalszej twórczości. Postęp w naukach doświadczalnych datuje się dopiero od czasu Galileusza [2]. Niestety stróżowie filozofii scholastycznej usiłowali w zupełnem zapoznaniu jej podstaw kierować naukami doświadczalnemi, zamiast dać się kierować jej zdobyczami. Wobec tego scholastyka nie postąpiła naprzód, a filozofowie ją opuścili jako pole nieurodzajne. Nieurodzajność ta nie wynikła jednak z jej podstaw, lecz z wyłączenia jednego z jej czynników. Dla wielkich

---

[1] Upadek scholastyki i jej odrodzenie tłumaczy trafnie Willman. Podaję głównie jego myśli według zestawienia Seidenbergera (str. 108—111).

[2] Por. G. Hahn S. J.: *Welches sind die Gründe des Stillstandes der Naturerkenntnis bei den Alten u. des Fortschrittes in der Neuzeit.* Fulda 1909. Separatabdruck aus dem »Philos. Jahrbuch« der Görres-Gesellschaft.

scholastyków zajmowanie się naukami przyrodniczemi było w teoryi właściwem polem działalności życia ludzkiego, jakkolwiek w praktyce nie urzeczywistniono tej zasady dlatego, że ówczesny prąd umysłowy jednostronnie zwrócony był ku teologii. W tem właśnie zatapianiu się w pierwowzorze stworzeń z pomijaniem jego odblasków w świecie zmysłów, tkwi niebezpieczeństwo wszelkiego idealnego kierunku umysłowego. Ażeby uniknąć tego niebezpieczeństwa, trzeba je poznać. Z tego punktu widzenia możemy zrozumieć, dlaczego około połowy XIX wieku obudziło się na nowo zainteresowanie się filozofią scholastyczną, możemy poznać, skąd jej adepci czerpali odwagę wystąpienia znów na arenę publiczną. Odrodzenie scholastyki jest skutkiem rozkwitu nauk przyrodniczych. Najgenialniejszy artysta skazany jest na bezczynność, jeśli mu zabraknie materyału«.

Postęp w naukach doświadczalnych w obecnej epoce jest rękojmią nowej epoki rozkwitu dla filozofii, która na fundamencie wszechstronnie nam otwartej przyrody i głęboko pojętego życia ludzkiego wzniesie na nowo tum znajomości i miłości Boga i bliźnich.

Upatrywać ideał filozofii w nawiązaniu do starożytnej kultury pogańskiej w epoce odrodzenia i w niezależności od Objawienia Chrystusowego, jest stanowczym błędem już wobec prawa ciągłości historycznej. Znaczy to skreślić tysiącletnią pracę kulturalną Kościoła katolickiego i ignorować posłannictwo prawdy Boga-Człowieka. Nowożytne pogaństwo naszych czasów wypływa właśnie z tej negacyi chrześcijańskiej prawdy i cywilizacyi. Słowa Chrystusowe nie przeminą, nie przeminie też nigdy wspaniały gmach katolickiej teologii, który scholastycy na podstawie dostarczanej przez Objawienie treści wybudowali zapomocą zdrowej filozofii. W obrębie kwestyi teologicznych filozofia i dziś, jak dawniej, musi się korzyć przed Słowem Bożem, — poza obrębem teologii posiadać będzie i nadal swą samodzielność i niezależność [1]. Nieomylna prawda Objawienia, zachowana w Kościele katolickim

[1] Por. znakomite dzieło ks. d-ra Donata T. J., prof. uniw. w Innsbrucku p. t. *Die Freiheit der Wissenschaft.* Ein Gang durch das moderne Geistesleben. Innsbruck 1910. Rauch.

z istoty posłannictwa Zbawiciela, musi być normą oryentacyjną dla rozumu ludzkiego: sprzeczność z wiarą katolicką — musi być dla wierzącego chrześcijanina pewnym znakiem, że w filozofowaniu pomylił się rozum ludzki, z istoty swej omylny, nie zaś ten, który po wszystkie czasy jest »prawdą, drogą i żywotem« (Jan 14, 6).

Objawy szczerego dążenia prof. Twardowskiego do usunięcia nieuzasadnionych przesądów i do sprawiedliwej oceny scholastyki, które w jego książce napotykamy, budzą nadzieję, że po ponownej rewizyi swych poglądów i szerszem oczytaniu się w katolickiej literaturze teologicznej i filozoficznej, sprostuje swoje zapatrywania i przysłuży się talentem swym i pracą słusznej sprawie.

Ks. Ernest Matzel.

WILLIAM EWART GLADSTONE.

Rok 1909, otwierający dla Anglii przez wielką kryzys konstytucyjną nowy okres rozwoju społecznego i politycznego, zaznaczył zarazem przez kilka świetnych jubileuszów niejako zamknięcie rachunków z tą w całości już do historyi należącą epoką kultury narodowej, która chronologicznie zawarta jest w ramach długoletniego panowania królowej Wiktoryi. Setne rocznice urodzin Darwina, Tennysona i Gladstona postawiły w pełnem świetle uroczystego wspomnienia postacie trzech z najznakomitszych i najznamienniejszych przedstawicieli myśli i czynów narodu w naczelnych dziedzinach cywilizacyi: nauce, poezyi i polityce. Gdziekolwiek w świecie jednoczą się umysły w mozolnem i nieskończonem dążeniu do prawdy, — wspminano pamięć teoretyka ewolucyi; gdziekolwiek łączą się serca w tęsknem ukochaniu idealnego piękna, — wznowiło się uwielbienie dla klasycznych melodyi piewcy »Idyll królewskich«; gdziekolwiek wreszcie podają sobie dłoń braterską miłośnicy wolności i postępu, — oddano hołd cieniom wielkiego męża stanu wiktoryańskiej Anglii. Chociaż więc my Polacy nie mieliśmy szczęścia, jak inne uciemiężone ludy w Europie, doznać jego czynnej sympatyi i potężnego poparcia, niech jednak i u nas złożoną będzie danina kilku słów przynajmniej osobie i dziełom bohatera pamiętnej fazy w dziejach nowożytnej państwowości angielskiej.

I.

Jak wiele z najpotężniejszych indywidualności w angielskiem życiu politycznem, szczególnie nowszej doby, Gladstone pochodził z północy wyspy, z surowego, pracowitego pokolenia purytańskich podhalan szkockich. Z urodzenia posiadał ten ważny w życiu angielskiem warunek czynnego udziału w służbie publicznej, jakim jest niezależność majątkowa: ojciec, przeniósłszy się z odziedziczonym handlem zboża do Liverpoolu, w chwili urodzenia syna był jednym z najbogatszych kupców miasta, niebawem jego poważanym merem, i jak na dygnitarza plutokracyi przystoi, gorliwym stronnikiem torysów i równie gorliwym członkiem wysokiego Kościoła anglikańskiego. Konserwatywne więc zasady wyniósł z domowego wychowania młody Gladstone, a wspólnie z niemi to przeniknięcie wszystkich, nawet najzupełniej światowych rozumowań duchem i argumentacyą Biblii, która pozostaje »księgą nad księgami« nawet dla najodleglejszych potomków prezbiteryańskich Szkotów. Istotnie, sprawy teologiczne do końca życia były jedną z najżywotniejszych dziedzin jego myśli i pracy literackiej, a śledzenie motywów religijnych w jego politycznej działalności jest niezbędne dla jej psychologicznego wytłumaczenia.

Twierdzą konserwatyzmu w duchowem życiu angielskiem z dawna jest Oxford; tam więc odbywał i młody Gladstone studya uniwersyteckie. Już w tych latach, w zgodzie zresztą z charakterem angielskiego wychowania akademickiego, wykwita całą swą zdumiewającą bujnością ta bezprzykładna prawie ruchliwość i wszechstronność umysłu, która jest może głównym tytułem Gladstona do podziwu u wszystkich wykształconych ludzi: klasycy Grecyi i Rzymu, których całe życie wiernym czytelnikiem pozostał, już w szkole i na uniwersytecie niemniej intensywnie go zajmują, jak wielkie dzieła nowożytnej poezyi; już jako akademik zagłębia się w najtrudniejsze problemy filozofii i teologii, a fizykę i inne gałęzie wiedzy przyrodniczej studyuje z tem samem żywem zainteresowaniem, co historyę i umiejętności polityczne. Gladstone, który przez sześćdziesiąt lat brał nieprzerwany prawie udział w życiu politycznem, potrafił równocześnie i równie nie-

strudzenie pracować nad zdobyciem sobie coraz bardziej imponującej erudycyi i stać się jednym z najbardziej encyklopedycznie oczytanych ludzi w stuleciu niebywałej specyalizacyi wszystkich nauk.

Zarówno w dystyngowanym internacie Eton, gdzie synowie pierwszych rodzin Anglii przygotowują się do studyów akademickich, jak oczywiście i w Oxfordzie samym, potomek szkockich kupców znalazł się w otoczeniu samej elity młodzieży narodu, i jak każdy młodzieniec angielski w tym okresie życia, połączył się węzłami dozgonnej przyjaźni z wybranymi duchami wśród kolegów, z niejednym później i uczestnikiem i przeciwnikiem w karyerze politycznej. Przysposobienie do służby kraju w parlamencie zawsze jest jednym z głównych celów uniwersyteckich lat dostojnego młodego Anglika; systematyczne wykształcenie na mowców i polityków dokonywa się głównie przez dyskusye w stowarzyszeniach akademickich: Gladstone przez trzy lata był prezydentem centralnego oxfordzkiego klubu *Union*, i dotąd w sali obrad biust jego nad fotelem prezydyalnym świadczy wymownie o tem, jaką odegrał rolę w życiu tego towarzystwa i jak doskonale skorzystał z jednego z najlepszych środków wychowania narodowego.

Mimo to, gdy uwieńczony laurem chlubnie ukończonych nauk, miał wstąpić w życie obywatelskie, zawahał się zrazu przed otwartą drogą do tej karyery, która wyraźnie zdawała się być mu przeznaczoną. Jeden z kolegów, lord Lincoln, zwrócił na niego uwagę swego ojca, księcia Newcastle; ten, jak każdy magnat w ówczesnej niezreformowanej, agrarnej Anglii, miał po prostu do rozdania między swych protegowanych mandaty poselskie z ubogich wiosek na swych dobrach, i zaproponował Gladstonowi, by się dał wybrać do parlamentu z miejscowości Newark. Gladstone zrazu walczył z moralnymi skrupułami; przedewszystkiem jednak w podróży do Włoch, w katedrze św. Piotra i innych środowiskach katolicyzmu, z całą potęgą odezwały się skłonności teologiczne; po raz pierwszy prawdziwie przejęty wielkością Kościoła jako instytucyi społecznej, uważał zawód duchowny za właściwszy dla siebie od służby publicznej. Ale ojciec, który oczywiście od

początku marzył dla syna o karyerze parlamentarnej, przemógł wszelkie jego wątpliwości, i w r. 1832 — dwudziestym trzecim życia — Gladstone wstąpił do parlamentu.

Wstępował doń naturalnie pod sztandarem konserwatywnym; inaczej być nie mogło po wychowaniu, jakie odebrał, i wpływach, jakim dotychczas głównie podlegał. Kraj był właśnie w przededniu wielkiego odrodzenia konstytucyjnego, pierwszej reformy wyborczej XIX wieku, która zakończyć miała rządy wyłącznie agrarne i nowożytny liberalizm zasadniczo możliwym uczynić. Otóż pierwszym głośniejszym politycznym występem Gladstona była już w Oxfordzie, w klubie studenckim, gwałtowna mowa przeciwko reformie; jak zupełnie konsekwentnie zaś w tych pierwszych latach swej karyery stał po stronie konserwatywnej, o tem wymownie świadczy jego postępowanie w parlamencie. Nie dał się wprawdzie jeszcze w tem pierwszem stadyum poznać Izbie jako mowca; tego się po młodym pośle nie spodziewano: w każdym razie znamiennem pozostaje, że pierwsze jego dłuższe przemówienie skierowane było przeciwko bezpośredniemu i natychmiastowemu zniesieniu niewolnictwa w Indyach; nic dziwnego, wszak i ojciec jego nawet biblijnymi argumentami bronił armii niewolników na swych plantacyach indyjskich. Najlepszym probierzem partyjnego stanowiska Gladstona w tym czasie jest przegląd głosowań, w jakich wziął udział; oto, co wynika ze skrupulatnych zestawień liberalnego biografa[1]: Gladstone, późniejszy ἥρως πάνυμος wszystkich idei postępowych, nie tylko głosuje przeciwko poszczególnym ważnym punktom reformy parlamentarnej a więc przeciw tajności głosowania, przeciw ogłaszaniu wykazów wyborczych i przeciw krótszym sesyom parlamentu, ale także przeciwko wszelkim autonomicznym koncesyom dla Irlandyi, za ogłoszeniem stanu oblężenia w niespokojnych prowincyach irlandzkich; przeciw dopuszczeniu żydów do parlamentu i dyssydentów — a więc także katolików — do uniwersytetów, które, zdaniem jego, muszą pozostać »seminaryami Kościoła państwowego«; przeciw

[1] John Morley: *Life of W. E. Gladstone* (popular ed.. London, Lloyd, 1908), I, 79.

zniesieniu uciążliwych ceł zbożowych, które zapewniały większej własności ziemskiej panowanie nad krajem, tak samo przeciwko wszelkim zmianom systemu podatkowego, dążącym do sprawiedliwszego rozdziału ciężarów; dalej przeciwko reformom w armii i flocie, a więc zniesieniu synekur i zniesieniu kar cielesnych; nawet w sprawie ulżenia losu robotników fabrycznych w drodze prawodawczej raz się sprzeciwił, a raz wstrzymał od głosowania; jeżeli z drugiej strony głosuje za wypoczynkiem niedzielnym, to nie tyle ze względów socyalnych, ile z wierności dla swych zasad teologicznych; wszak jadąc w pośpiechu na mowę kandydacką do Newark, miał skrupuły z powodu, że odbywa podróż w niedzielę [1]. Teologiem bowiem, szczerze i gruntownie zajętym sprawami Kościoła i religii, pozostaje Gladstone zawsze; właśnie w owych latach sławny »ruch oxfordzki« przez traktaty młodego Newmana, Puseya i innych w całym narodzie poruszył nową falę religijnego zainteresowania; Gladstone już jako poseł chwyta za pióro, by całkiem w duchu swych oxfordzkich kolegów w gruntownej i uczonej rozprawce omówić odwieczny temat stosunku Kościoła do państwa.

Książka ta pamiętną jest głównie przez to, że z drugiem jej wydaniem (w r. 1839) w jednej ze swych walnych recenzyi *(Essays)* rozprawił się młody, zapalony protagonista liberalizmu, Tomasz Macaulay. Trudno może o lepszy od tej właśnie polemiki Macaulaya obraz kardynalnego przeciwieństwa między młodocianym konserwatyzmem Gladstona a naczelnemi zasadami polityki liberalnej, które on sam później urzeczywistnił w pomnikowych aktach swej prawodawczej inicyatywy: Gladstone, który w r. 1871 zaprowadził w Anglii tajne głosowanie, w r. 1832, jak widzieliśmy, był mu przeciwny; tak samo on, co miał kiedyś najbardziej podkopać autorytatywne stanowisko Kościoła anglikańskiego w zjednoczonych królestwach, w tej swojej pierwszej publikacyi teologicznej pod niebiosa wynosi ważność i dobroczynny wpływ instytucyi religii państwowej, święty obowiązek rządu do ojcowskiej opieki nad dobrem duchowem swych poddanych, do krze-

[1] Morley, I, 67.

wienia wśród nich tej wiary, jaką za prawdziwą uznaje; przez to wszystko oczywiście ściąga na siebie gromy Macaulaya, który z ferworem broni zasady, że doczesne dobro a nie stan religijny poddanych ma być główną troską władzy państwowej, i z całą siłą swej adwokackiej retoryki uderza w niedorzeczność wymagania pewnego *credo* religijnego, jako warunku otrzymania urzędu w państwie; bo i za tą starą angielską praktyką Gladstone tu kopie kruszy; wszak nawet autorytet Kościoła wobec naczelnego przywileju każdego protestanta, wolności osobistego sądu w kwestyach religijnych, uważa za potrzebne podnieść na nowy i wyższy piedestał.

II.

Macaulay dziwił się, jak poseł do parlamentu, pogrążony w bieżących sprawach politycznych, mógł znaleźć czas i swobodę ducha na tak głębokie i sumienne studyum socyalno-filozoficzne. Równie zdumiewającą ta naukowa gruntowność wydać się musiała wobec faktu, że piękny i układny syn liverpoolskiego milionera od pierwszego pojawienia się na towarzyskim horyzoncie Londynu był wielce pożądanym, wnet ulubionym gościem w najdystyngowańszych klubach i salonach stolicy. Że Gladstone, bynajmniej nie trzymając się pustelniczo zdala od życia towarzyskiego, jednak w tym wirze światowego powodzenia głowy nie stracił, to chlubne świadectwo o potężnej sile tej moralnej samokrytyki i powagi życiowej, którą przejął po purytańskich przodkach; dziennik jego, sumiennie przez całe życie prowadzony, jest prawdziwie budującym obrazem tej sumiennej i nieustannej kontroli nad samym sobą.

Mimo że w debatach Izby gmin młody Gladstone w tych latach nie miał jeszcze możności wybić się na przewodnie stanowisko, jednak nie mogło stronnictwo konserwatywne nie poznać się w krótkim czasie na wysokiej intelligencyi i zdolnościach swego tak gorliwego członka. To też niebawem stał się rzadki wypadek, że dwudziestopięcioletni poseł, od dwóch lat zaledwie do Izby wybrany, zasiadł na ławie ministrów. Upatrzył go sobie,

obejmując rządy, wielki konserwatywny premier Sir Robert Peel, i zrobił go podsekretarzem stanu najpierw w ministeryum finansów, potem kolonialnem. Niedługo trwał ten pierwszy okres czynnego udziału w administracyi kraju: Peel niebawem musiał ustąpić gabinetom whigistycznym; ale gdy z końcem roku 1841 powrócił do steru, tym razem na czas dłuższy, nie zapomniał o Gladstonie: powołuje go na wiceprezydenta ministeryum handlu.

Anglia, jak wiadomo, rządzona jest przez ministrów-dyletantów, którzy do objęcia jakiejkolwiek teki nie posiadają żadnych innych kwalifikacyi prócz poważania w parlamencie; tak i Gladstone nie przynosił ani do finansów ani do handlu żadnego specyalnego, fachowego wykształcenia. Ale tu właśnie zajaśniał całym blaskiem niepospolity jego umysł: podczas gdy z reguły stali, rutynowani urzędnicy ministeryalni przyzwyczajeni są kierować całkiem mechanicznie każdym krokiem ministra, nieświadomego samych elementów technicznych swego *ressort*, u Gladstona od samego początku wydziwić się nie mogą szybkości, z jaką bystra jego intelligencya oryentuje się w najzawilszym materyale.

Wstępując do ministeryum handlu, Gladstone o ekonomii politycznej, jak sam wyznaje, nie miał wyobrażenia[1]; jedyną ostoją jego myśli była niezachwiana wiara w doskonałość systemu ceł ochronnych, dziś jak wtedy naczelny dogmat prawowitego konserwatysty. Cóż Gladstone robi? Oto z całą właściwą sobie chciwością wiedzy zagłębia się w studya, z których w krótkim czasie wychodzi skończonym ekonomistą i zupełnym autorytetem na swem polu; wychodzi zarazem nawrócony na stanowczego zwolennika zasady wolnego handlu, a zatem po raz pierwszy w sprawie najwyższej doniosłości oddala się od tego programu konserwatywnego, w którego ścisłej obserwancyi upłynęły *Lehrjahre* jego politycznej karyery.

Od zasady ceł ochronnych coprawda w praktyce oddalić się musiał sam przywódca konserwatywnego rządu, Sir Robert Peel: głód i nieurodzaj roku 1845 zmusił go po rezygnacyi i rekonstrukcyi gabinetu otworzyć wreszcie porty angielskie dla obcego

[1] Morley, I, 181.

zboża i zainaugurować w ten sposób przeciwną programowi własnej agrarnej partyi politykę wolnego handlu. Ta konieczność oczywiście zdecydowała o jego upadku. Gladstone przez otwarte wyznawanie zasad wolnego handlu stracił swój długoletni mandat poselski z agrarnego Newark i przez trzy ćwierci roku pozostawał ministrem, nie będąc równocześnie członkiem Izby gmin, co jest w niezgodzie z konstytucyjną praktyką angielską; w lipcu roku 1846 ustąpił z całem ministeryum Peela; równocześnie prawie z tym rozkładem starej agrarno-konserwatywnej partyi przejście Newmana na katolicyzm dezorganizuje ostatecznie cały ten oxfordzki obóz teologów, z którymi łączyła Gladstona tak szczera i czynna sympatya; tak więc katastrofalnie prawie, zerwaniem długoletnich węzłów na wszystkie strony, kończy się pierwsza, konserwatywna era jego politycznej karyery. Wybrany posłem przez uniwersytet oxfordzki w roku następnym, wstępuje w nową całkiem fazę życia, w której niebawem zwraca na siebie oczy całego narodu.

III.

Wśród ogólnego zamieszania i nieładu, jakie w stosunkach obu naczelnych partyi politycznych w kraju wywołało odstępstwo Peela od zasad swego stronnictwa przez zniesienie ceł zbożowych, Gladstone, bardzo zresztą w tych latach zajęty administracyą odstąpionego mu przez ojca majątku ziemskiego, mało brał czynnego, inicyatorskiego udziału w głównych akcyach politycznych, i w tych właśnie latach w drodze refleksyi i obserwacyi dokonywa się ostateczna i zupełna przemiana jego przekonań z konserwatywnych na liberalne. Sprzeciwia się wprawdzie różnym śmiałym i ryzykownym eksperymentom w polityce zagranicznej, do jakich nazbyt skłonnym się okazał nowy premier Palmerston; ale w zasadniczej kwestyi polityki wewnętrznej sprawia niespodziankę swym konserwatywnym przyjaciołom, głosując za dopuszczeniem żydów do parlamentu; a wkrótce potem i w sprawach zewnętrznych wystąpił z manifestem w duchu zgoła nie konserwatywnym, który też ze znanego posłom i ministrom, obiecującego poli-

tyka, robi go od razu najgłośniejszą osobistością dnia u całego ludu angielskiego. Pod koniec roku 1850 mianowicie, bawiąc z rodziną w Neapolu dla poratowania zdrowia córki, Gladstone miał sposobność z blizka poznać całą tyranię reakcyjnych rządów burbońskiego króla, który, jak większość monarchów europejskich przed rewolucyami roku 1848, metternichowskimi środkami gwałtu i ucisku krępował każde poruszenie swobodniejszej myśli u swych poddanych. Gladstone, do głębi swej angielskiej duszy przejęty grozą tego brutalnego absolutyzmu, zaraz po powrocie do kraju, przez ministra lorda Aberdeen i austryackiego Schwarzenberga rozpoczął starania o zmianę neapolitańskich stosunków; ale gdy to pozostało bezskuteczne, uderzył gromem w opinię publiczną całej Europy, publikując list otwarty do lorda Aberdeen, w którym wstrząsającemi słowy opisuje, jak na własne oczy oglądał okropności więzień stanu, gdzie konstytucyjni patryoci jęczeli w brudzie i zaniedbaniu niegodnem człowieka, skuci z pospolitymi zbrodniarzami. Apel do całej cywilizowanej ludzkości znalazł potężne, powszechne echo, a Gladstone odtąd z coraz większym zapałem i coraz głębszem zrozumieniem popiera sprawę wyzwolenia i narodowego zjednoczenia Włoch; służył jej równie gorąco, jak niegdyś Byron, pieśnią i czynem niepodległości Grecyi, a dzięki szczęśliwszym warunkom i wpływowemu stanowisku z większem powodzeniem i wydatniejszym wynikiem.

Człowiek, połączony wzrastającą sympatyą z rewolucyjnymi nacyonalistami, jak Manin, Mazzini i Cavour, nie mógł i w rzeczach angielskich zostawać w obozie konserwatywnym. Ale kilka lat jeszcze miało minąć, zanim Gladstone otwarcie przeszedł w szeregi przeciwnego stonnictwa. Pierwszym oficyalnym krokiem w tym kierunku było, że przyjął tekę ministra skarbu w gabinecie koalicyjnym, złożonym ze starych stronników Peela i z umiarkowanych liberałów; spotkał się tam ze swym niedawnym przeciwnikiem Palmerstonem. Ten gabinet lorda Aberdeen rozbił się o trudności kwestyi oryentalnej i nieszczęśliwy przebieg wojny krymskiej. Nowy gabinet utworzył sam Palmerston; do tego z dawnych stronników Peela wstąpiło dwóch; Gladstone i dwaj inni należeć nie chcieli. Coraz bardziej rozluźniała się organiczna

łączność tego dawnego Peelowskiego stronnictwa; Gladstone znalazł się niebawem w zupełnem prawie odosobnieniu politycznem i począł sobie jasno zdawać sprawę z tego, że grupa stojąca, jak właśnie owa gromadka Peelitów, w środku między dwiema głównemi partyami parlamentu angielskiego, konserwatywną a liberalną, jest przeszkodą i anomalią w życiu politycznem, i że ścisła przynależność do jednego z dwóch obozów jest zarówno koniecznym warunkiem żywotności i znaczenia, jak obowiązkiem obywatelskim [1]. Do ostatecznego wyboru zmusiła go sytuacya polityczna w r. 1859, gdy Palmerston, chwilowo wyparty przez konserwatywny gabinet, powrócił do rządów. Gladstone zdecydował się ponownie wstąpić jako minister finansów do gabinetu już zasadniczo i w całości liberalnego. Było to, jak z wszystkiego widzimy, nieuniknione ostatnie stadyum długoletniego rozwoju, i wstępował w nie Gladstone z pewnością siebie i spokojnem sumieniem; nie brakło oczywiście inwektyw i wyrzutów odstępstwa ze strony konserwatystów; nie było także z początku szczerej sympatyi i zaufania u nowych liberalnych sojuszników. Gladstone, w całym tym przejściowym okresie wielokrotnie i z różnych stron napastowany, ucieczki od trosk politycznych i wzruszeń teologicznych — takich jak przejście Manninga na katolicyzm (1851), które go głęboko dotknęło — szukał, jak odtąd zawsze, w studyach literackich, nadewszystko w klasycznym świecie Homera: w tych właśnie ciężkich latach napisał pierwsze tomy swych sławnych studyów o epoce homeryckiej [2].

IV.

Rządy Palmerstona trwały aż do jego śmierci w roku 1865, a więc rozciągają się na wypadki tej doniosłości w historyi powszechnej, co narodziny królestwa włoskiego, co wojna domowa między północnymi a południowymi Stanami Ameryki. Tym i innym światowym przewrotom, z których jako ogólny wynik wy-

[1] Tak pisze w memoryale z 17 kwietnia 1856 (Morley, I, 411).
[2] I, 1858; II, 1866; potem III, 1876 i IV, 1890.

łania się wszechwładne nad następną generacyą panowanie ideałów narodowościowych, towarzyszy oczywiście najżywsze zainteresowanie Gładstona. Sympatya jego dla sprawy niepodległości włoskiej od pamiętnego pobytu w Neapolu coraz jest gorętsza; w sprawie amerykańskiej objawia raczej ślady dawnych konserwatywnych skłonności, sympatyzując ze Stanami południa, które broniły niewolnictwa; tę sympatyę zresztą ze względu na niebezpieczeństwo dla przemysłu bawełnianego w Lancashire, podzielała cała ówczesna Anglia, i czynne poparcie Stanów południowych przez rząd angielski spowodowało długotrwałe naprężenie w stosunkach z Ameryką.

Na ogół jednak wszelkie sympatye i awersye Gładstona w sprawach zagranicznych mało miały w tym czasie pola do czynnych manifestacyi, bo Palmerston, ostrożniejszy teraz niż niegdyś, aż do końca wytężał całą swą energię dyplomatyczną na utrzymanie jak naściślejszej neutralności Anglii wobec zapasów między obcemi potęgami; tą ustaloną odtąd zasadą nieinterweniowania kierowano się i wobec naszego nieszczęsnego powstania styczniowego i wobec ataku Francyi na Meksyk a Prus na Szlezwig i Holsztyn; tak samo obojętnym pozostał następca Palmerstona, lord John Russell, wobec wojny prusko-austryackiej w roku 1866.

Jeżeli w polityce zagranicznej praktyka Palmerstona okazała się mądrą i owocną, to w sprawach wewnętrznych ta sama taktyka bezczynności nie mogła obudzić równego zadowolenia; i tutaj też gorliwy liberał lord Russell od razu odstąpił od inercyi swego poprzednika, wnosząc w formie ustawy swe z dawna umiłowane projekty gruntownej reformy wyborczej, która miała uzupełnić dzieło rozpoczęte przez *Reform Bill* roku 1832. Tę ustawę parlament odrzucił, i z nią upadło ministeryum Russella; ster państwa ujmuje znowu stronnictwo konserwatywne, a Gładstone, uznany już powszechnie za najwybitniejszą osobistość w obozie liberalnym, staje na czele swej partyi jako przywódca opozycyi w parlamencie. Po drugiej stronie Izby, jako rzecznik polityki ministeryum, występuje na front długoletni już osobisty rywal Gładstona w ambicyach politycznych, Benjamin Disraeli, i zaczy-

mają się między dwiema najpotężniejszemi indywidualnościami w polityce angielskiej okresu Wiktoryi te heroiczne zapasy, na które świat cały z podziwem spoglądał.

Gladstone jeszcze w rok przed śmiercią Palmerstona sprawił ferment w całej Anglii odważną mową o moralnem prawie każdego obywatela do głosu przy wyborach; ten radykalizm poróżnił go z samym Palmerstonem i przyprawił o utratę z dawna zachwianego mandatu uniwersyteckiego z Oxfordu; z entuzyazmem zato wybrali go swym posłem wyborcy południowego Lancashire, przeważnie robotnicy w przemyśle bawełnianym. Projektu Russella bronił w parlamencie z niebywałem oratorskiem uniesieniem. »Nie możecie walczyć z przyszłością«, wołał do przeciwników, »czas jest po naszej stronie« [1]. Prawdę tych słów okazał rok 1867, gdy sam Disraeli ujrzał się zmuszonym wnieść ustawę, która najgruntowniej ze wszystkich zmieniła angielskie prawo wyborcze, dopuszczając ogromne masy ludności robotniczej do udziału w rządzie narodu. Naturalnem następstwem tej reformy była zaraz po pierwszych nowych wyborach rezygnacya gabinetu konserwatywnego, na którego czele po lordzie Derby stał sam Disraeli; i tak w roku 1868 Gladstone po trzydziestosześcioletniej karyerze parlamentarnej zajął najwyższe stanowisko w państwie angielskiem: został premierem gabinetu. Ten gabinet, do którego należał wśród innych wybitnych mężów najwierniejszy przyjaciel i pomocnik Gladstona, John Bright, — był pierwszą doskonałą administracyjną reprezentacyą całej i zjednoczonej partyi liberalnej w nowożytnem znaczeniu tego słowa; dzieła jego należą do najdonioślejszych postępów cywilizacyjnych Anglii w XIX wieku.

(Dok. n.)

Dr. Roman Dyboski.

[1] Morley, I, 627.

EUGENIUSZ CZIRIKOW

STUDYUM Z PATOLOGII LITERACKIEJ [1].

... »Przyszedł prorok! Wszyscy prześladowani ludzie różnych plemion idą za Marksem... Ślepi i głusi niech czekają, kiedy ich poprowadzą do Jerozolimy«... oto zasada neo-żydostwa rewolucyjnego rosyjskiego, które uznało za godnego następcę proroków Starego Testamentu — pana Czirikowa, co stanął od razu na koturnach kuglarskich, by z ich znikomej wysokości szerzyć i tak już nadto rozpowszechnioną w Izraelu wiarę w moc zwycięską rozkładczego żywiołu semickiego. I w tym względzie Czirikow okazał się potomkiem nieodrodnym rozmaitych *sui generis* nieuznanych geniuszów, głoszących uporczywie nie mniej ani więcej, jak tyle tylko, iż Izrael jest na świecie wszystkiem, i jego jest panowanie nad wszech-narodami ziemskimi!...

Lecz... jeżeli Czirikow, który wyszedł już dawno z lat młodzieńczych, kiedy to najłatwiej pociągają ku sobie utopie najrozmaitszych gatunków, przylgnął sercem całem do zasad socyal-rewolucyjnych — trudno mu to poczytywać za lekkomyślność karygodną.

Pomimo bowiem ogłoszenia manifestu październikowego, położenie żydostwa na obszarach imperyum rosyjskiego nie uległo żadnej zmianie zasadniczej. Osławiona »granica osiedlenia«, mini-

[1] Ustęp z książki p. t. »Dżingis-Chan zmartwychwstały«, która ukaże się z końcem b. r.

malny procent uczniów pochodzenia żydowskiego w szkołach, żeby nie wymieniać drobniejszych przepisów, zaostrzających nieznośność bytowania, pozostały nadal w całej swojej rozciągłości i mocy. Manifest październikowy nie dał żydom pełnego uprawnienia, tak samo, jak nie dał go innym nie-rosyjskim narodowościom, jakkolwiek one, razem wzięte, stanowią większość zaludnienia, nieporównanie przewyższającą żywioł rdzennie rosyjski.

Być może, a nawet wydaje się bardzo prawdopodobnem, iż osiągnięciu całej pełni praw obywatelskich zaszkodzili najwięcej sami żydzi. Boć przecież — publiczna to tajemnica — za ich pieniądze organizowano drużyny terrorystyczne, fabrykowano bomby i machiny piekielne, z ich funduszów utrzymywano prasę rewolucyjną oraz wydawnictwa nielegalne, oni wreszcie wydali ze swego łona tysiące zdecydowanych przewrotowców, dla których zniszczenie powszechne i zbrodnie najpospolitsze były ideałem najwyższym!

Nie miejsce tutaj na rozsądzanie, o ile sami zawinili. Że jednak waga grubsza winy leżała po ich stronie — to pewna.

Okaże się to najdowodniej na Czirikowie, który jest żydem z pochodzenia i z przekonań...

Skoro tylko tedy nastała doba, przestająca pociągać autorów za bylejakie słowo drukowane do odpowiedzialności karnej, Czirikow występuje z całym szeregiem utworów, przeważnie w formę dramatyczną ujętych, mających być, że się tak wyrazimy, czynem politycznym pisarza.

Zacząwszy od zobrazowania dążności i pragnień tych mas, z jakich sam wyszedł, t. j. ghetta żydowskiego, postąpił Czirikow szybkim krokiem ku opisaniu rewolucyi wogólności, upatrując w niej jedynie drogę, wiodącą do uzyskania wolności prawdziwej.

Poza kwestyę żydowską oraz ruchy rewolucyjne wyjść nie potrafił, jak gdyby obydwie te sprawy stanowiły decydująco o przyszłości.

To — być może własnowolne — zacieśnienie ram twórczości, nie wywoływałoby żadnych podejrzeń, gdyby nie nasuwająca się całą mocą wątpliwość, czy zacieśnienie takie było wskazane mo-

tywami wewnętrznymi, uchylającymi się z pod kontroli krytyki, czyli też zostało spowodowane bezpłodnością autora w innych dziedzinach natchnienia? Tem gorzej dla pisarza, że druga alternatywa okazuje się o wiele prawdopodobniejszą, a nawet da się wcale poważnie uzasadnić.

* * *

»Sławę« europejską zyskał Czirikowowi czteroaktowy dramat p. n. »Żydzi«.

Ale to olbrzymie wrażenie, jakie wywołał wszędzie, nie zostało spowodowane bynajmniej wysoką wartością artystyczną utworu. Wszak został ogłoszony bezpośrednio po osławionych pogromach żydowskich, a nadto odsłonił rąbek zasłony tajemniczej, jaką zakryta była dusza izraelska tłumów, pozostających pod panowaniem rosyjskiem. W dramacie tym — poza faktem niezaprzeczalnego ucisku żydowskiego — zostały wprowadzone na widownię żywe typy działaczy współczesnych, ścierających się zawzięcie o zasady społeczne i programy polityczne, tak że sztuka Czirikowa otrzymała poniekąd charakter wiarygodnego dokumentu życiowego, tem bardziej, że występują w niej najrozmaitsze kategorye żydów, zarówno pod względem stanowym, jak i przekonaniowym. Obok starego zegarmistrza Lejzora, marzącego nieustannie tylko o ziemi obiecanej, mamy antytezę starego pokolenia w osobach jego dzieci. Student Boruch został wydalony z uniwersytetu za uczestnictwo w zaburzeniach, razem z siostrą Lają. Małamed Nachman — to syonista najczystszej wody, Izerson — to nawpół uświadomiony robotnik socyalistyczny; doktór Furman wreszcie, żeby nie wspominać figur podrzędnych, — to arcytyp sytego dorobkiewicza żydowskiego, który utracił wiarę w Boga, bo zamiast Jehowy obrał sobie pieniądz za bożyszcze, czci warte.

Rozbieżność kierunków polityczno-społecznych pomiędzy młodem a starem pokoleniem, zaakcentowana tu nader jaskrawo i dobitnie, ujawnia się już od samego początku dramatu Czirikowa w całej swojej sile i mocy.

Jakże odmienny jest świat myśli pokolenia starego?... Wszakże ten stary zegarmistrz Lejzor wraz z pomocnikiem swoim Szlojmą

nie mogą odpędzić ani na chwilę od siebie marzeń o powrocie narodu żydowskiego do Palestyny! Myśl ta gnębi Lejzora wielce, gdyż starzec nie spodziewa się dożyć tego szczęścia. To też pociesza się tylko nadzieją, iż może ktoś potem »przywiezie z Palestyny garstkę świętej ziemi — i wtedy na grób mój rzucą także garstkę«... Dla Lejzora zresztą życie nie przedstawia żadnej wartości, gdyż z powodu rozruchów antyżydowskich trzy razy tracił w życiu wszystko i musiał trzykrotnie rozpoczynać życie na nowo. »Ja — powiada z ciężkiem westchnieniem — jak pszczoła, zbierałem miód po kropli, a kiedy w moim ulu nazbierało się dosyć miodu, to mi go rozbijali i wybierali wszystko, co zgromadziłem«... Życie jego było, jak Joba biblijnego, którego synów i córki wiatr wielki pustynny zgubił. Gdybyż bodaj miał stary Lejzor pociechę z dzieci!... I chociaż one są uzdolnione — uważa, iż »bardzo mądrym być jest tak samo źle, jak być zupełnie głupim«. Tymczasem syn jego chce, żeby ludzie żyli podług jakichś nowych praw, »nie chce wiedzieć, że Bóg dawno stworzył prawa dla ludzi«. Wszak syn jego nazywa marzenia o powrocie żydów do Palestyny bajką! W tem właśnie — powiada Lejzor — »wielka bieda zrobić dzieci swoje tak mądremi, że nie wierzą w te bajki. To wielka bieda, bo jeżeli żyd nie wierzy w te bajki, to bardzo prędko przestaje być żydem«... I czyliż nie widoczna to kara boska, że Borucha wypędzili z uniwersytetu?...

Wyrzekania te starca przerywa kłótnia, toczącą się pomiędzy młodzieżą, obojętną dla ideałów narodowościowych, z wyjątkiem jedynego Nachmana, który jest fanatykiem, zagorzałym syonistą:

— »Borys Lazarewicz — powiada Nachman ze złością — wskazał na Niemcy, na Francyę... Ależ wy, panowie, nie wiecie, czem są żydzi w Niemczech i we Francyi. Tam, gdzie nam, żydom, dają pewne prawa, tam zabierają nam duszę... Jacyż tam żydzi? Oni wstydzą się swojego żydostwa i tańczą, jak im zagrają... Ukrywają swoje uczucia, tłumią je w sobie... i oszukują i drugich i siebie... W Niemczech żyd — Niemiec, we Francyi — Francuz, to znaczy, że ani Niemiec, ani Francuz, tylko żyd, który udaje to Niemca, to Francuza... Oni źle robią... Ale wy ich nauczycie, jak mają zostawać żydami«... To też znienawidziwszy

wszystko, co nieżydowskie, nie żąda żadnych praw, gdyż kieruje się logiką, ale nie tą, którą się ma w głowie. Bo jego »logika — w sercu!«

Wywodom tym doktrynerskim kładzie dopiero koniec westchnienie starego Lejzora, który od dziesięciu lat chce, ażeby wszystkie zegary u niego biły równocześnie, a jednak nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. One, jak ludzie, nie mogą zgodzić się...

Akt drugi — to dramat, rozgrywający się w duszy córki Lejzora — Lai.

W mieście rozchodzą się głuche wieści o zamierzonym pogromie żydowskim. To też w sercu Lai, która czuje, że jest sama żydówką, budzi się gwałtowna nienawiść do Rosyan, a zarazem łączność z żydostwem całem, której w zwykłym czasie nie odczuwa.

A wszakżeż Laja kocha gorąco wypędzonego studenta Berezina, który, jakkolwiek jest Rosyaninem, wzrastał z nienawiścią i lękiem niewolniczym przed wszystkimi bogatymi, strojnymi i silnymi. Przecież prześladowano go przez całe życie, począwszy od ławki szkolnej, na każdym kroku dawano do zrozumienia, że jest biedny i że każdy krwawo zapracowany przez niego grosz jest dobrodziejstwem wszystkich tych »sytych i możnych plugawców«, którzy »zgnębili mu duszę, podcięli jej skrzydła, podsycali w nim nikczemne tchórzostwo, prześladowali go za każdą pokusę, za każdy poryw ku wolności. Nie mam silnej woli — wyznaje — ale nienawiści dla nich dużo...«

Laja kocha Berezina całem sercem i nie wahałaby się pójść za niego za mąż.

— »Mnie nie wzrusza nasza religia i dużo w niej wydaje się mnie niedorzecznem. Ale czasem, gdy słyszę, jak ojciec odmawia swoje sobotnie modlitwy, coś nagle odzywa się w duszy, daleko, daleko, gdzieś tam, przypomina się coś swojego, bliskiego, rodzinnego, jakiś żal się budzi«.

Ale ochrzcić się nie mogłaby, bo cała jej istota sprzeciwia się temu, i zdaje się jej, że jeżeli to uczyni — zgubi siebie i kochanka. W poglądzie takim utwierdza też Laję zakochany w niej

do szaleństwa Nachman, który na wieść o zamierzonym pogromie wykrzykuje:

— »Nie wyprę się swojego narodu, nie zawieszę na szyi krzyża i nie wezmę w ręce ikony, żeby się schować za plecy waszego Boga! Nie! Jeżeli trzeba będzie umrzeć — umrę jako żyd! Będę ich przeklinał, będę ich bić także, dopóki moje ręce nie upadną wraz ze mną! Wezmę w rękę rewolwer i będę bronił mojego narodu, mojej religii i samego siebie! Mam wiernego obrońcę! Jemu wszystko jedno: czy jestem żyd, czy chrześcijanin!«

Nachmanowi, który na widok Lai zapomina o świecie całym, życie dało dobrą szkołę. Dziecięctwo jego — to istne pobojowisko. Wcześnie zostawszy sierotą, do 25 lat nie wiedział, co to młodość, gdyż ciągle uczył się i żył nie z ludźmi, tylko z książkami. Kiedy zaś pokochał Laję, widzi brak wzajemności z jej strony. Ale on gotów znieść i ten zawód mężnie, gdyż żyd powinien wszystko znosić bez łzy. Łez bowiem nigdy człowiekowi nie wystarczy. Odchodzi tedy z rezygnacyą — bez słowa skargi.

Ale staremu Lejzorowi nie tajne jest, iż myśl córki błądzi gdzieś daleko poza domem. Postanawia tedy wyzyskać chwilę przygnębienia, w jakiem znajduje się teraz córka i wydostać od niej tajemnicę jej serca. Ale tajemnica ta uderza weń, jak grom z pogodnego nieba, dowiaduje się bowiem, że ukochany jego córki — to *goj*. Czyżby Bóg chciał tak ciężko doświadczyć pobożnego Lejzora?!... Niechby wybranym był chociażby niewierzący, ale żyd! Kiedy zaś córka odpowiada mu śmiało, że Bóg u wszystkich jeden, starzec wybucha wulkanicznie:

— »Jeżeli u wszystkich jeden, to dlaczego, kiedy goj pokocha żydówkę, ona musi się ochrzcić? Dlaczego goj nigdy nie zrobi się żydem?... Dzieci twoje wyśmiewać się będą z żydów, a ty będziesz bała się powiedzieć im: »nie śmiejcie się, ja także — żydówka!« Twoje dzieci będą uczyć się swojej religii i będą mówić: »przeklęci żydzi, zabili naszego Boga!« — i ty będziesz milczeć! A twój mąż wstydzić się będzie, że ma żonę — żydówkę i także będzie milczał!... Czy oni nie wiedzą, że ich Bóg był na ziemi żydem i że matka ich Boga była żydówką?«

Laja dostaje napadu histeryi skutkiem tej sceny. Przerażony

Lejzor posyła po lekarza Furmana, po owego niedowiarka, który tłumaczy starcowi, a nie mniej rozwydrzonemu teoryami pseudo-postępowemi Borysowi wcale dowcipnie:

— »Wy chcecie urządzić się na cudzej ziemi, ale z tego nic nie będzie. Potem, jeżeli wam się coś uda zbudować, jakąś szopę ogólnego szczęścia, to wam, żydom, powiedzą: »zabierzcie się precz z cudzej ziemi!« I pokaże się, że znów nic nie będziecie mieli, nawet i tej szopy. Wy, panowie, sami sobie powtórnie zadajecie te same egipskie trudy, od których uciekliście ongi, dzięki Mojżeszowi... A nie trzeba zapominać, że my, żydzi, nawet u szczytu naszej politycznej potęgi byliśmy tylko religijno-narodową agregacyą. Bez religii niema u nas narodowości... Wykształcony żyd wraz z religią traci narodowość. To prawo ewolucyi historycznej narodu żydowskiego! Nasze żydostwo silne tylko religią. A któż z wykształconych żydów może nazwać się religijnym? Ja takich nie znam, nie spotykałem. Nic żydowskiego bardzo prędko w nim nie zostaje... I cóż należy robić? Chcą, żebyś się wychrzcił — wychrzcij się! nie na długo! Śmieją się przy tobie z żydów, — śmiej się i ty, bo głupio jest płakać; przychodzi biednemu żydowi umierać z głodu, — staraj się zrobić bogatym, bo umierać żyd nie ma ochoty, tak samo, jak każde inne rozumne stworzenie! A potem, kiedy zrobisz się bogatym, to tobie, żydowi, kłaniać się będą i ty, żyd, śmiać się z nich będziesz!... Ot, i cały sekret życia«...

Tymczasem przychodzi wiadomość wiarygodna o rzezi kiszyniewskiej — w liście do Nachmana. Dom Lejzora pogrążony w trwodze, gdyż po mieście zaczynają przebąkiwać na dobre o planowanych pogromach żydowskich. »Ludzie wszystko najgorsze na świecie przypisują żydom — rozumuje Lejzor. Żyd — szachraj, żyd—lichwiarz, żyd nie ma żadnego sumienia«. Wszystkiemu zaś winni tacy niespokojni utopiści, jak syn jego Boruch, łudzący się nadejściem blizkiem jakiegoś fantastycznego braterstwa wszechnarodów. Ale Lejzor jest za stary, iżby mógł uwierzyć w takie mrzonki.

— »Urodziłeś się — rozumuje — na obcej ziemi, w biedzie, i od dnia twego urodzenia i, może być, do dnia śmierci swojej, byłeś i będziesz otoczony nienawiścią i pogardą! I jeżeli pójdziesz

do nich i będziesz im służył całą duszą, oni ci nie uwierzą! Powiedzą, że robisz sobie z tego geszeft, dlatego, żeś żyd«!...

Dramat kończy się rozgromem sklepu starego Lejzora i samobójstwem Lai z obawy dostania się w ręce rozwydrzonej tłuszczy. I tu przypominają się słowa fanatycznego Nachmana: »Ludzkość! Ludzkość! Co to jest ludzkość? Nigdy jej nie widziałem«...

Tymczasem nastała smutna nad wyraz wszelki doba zamieszek ulicznych, jakie napróżno chciało ochrzcić wielu zapaleńców niedorzecznem mianem »wielkiej rewolucyi wszechrosyjskiej« — i Czirikow oddał się w zupełności na usługi literaturze agitacyjnej, wyłączającej poza nawias kwestye narodowościowe. Z tego okresu pochodzi szereg utworów drobniejszych, zabarwionych tendencyą jednolitą, kiedy to ludzie, jak ćmy nocne — do ognia, lecieli ze wszech stron ku marze wolności, póki nie dostali się do więzienia.

Tłem i treścią noweli p. t. »Towarzysz« są właśnie wypadki z pierwszych dni manifestacyi »konstytucyjnych«, kiedy to wszystkie więzienia były podobne do zwierzyńców, w których zgromadzono wszelakie potwory zwierzęce wszystkich części świata. Razem z prawdziwymi apostołami nowego życia dostawali się do cel ludzie pospolici, razem z orłami gęsi domowe, pragnące naśladować orle loty... Więzienia przypominały miniaturowe miasteczka: siedzieli w nich bowiem ludzie najrozmaitszych stanów i zawodów, mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. Więzienie było przepełnione do tego stopnia, że zarządcę ogarniała wprost czarna melancholia, kiedy zawiadamiano go o nowej partyi aresztowanych. Nie wiedział bowiem biedak, gdzie ich pomieścić? Większość zaś lokatorów, jako nieprzyzwyczajona do życia więziennego, zasypywała go skargami dla ladajakiego najbłahszego powodu, jak gdyby zapominała o tem, że to nie hotel, tylko kryminał!... Zresztą niezwykły skład przestępców politycznych wprawił w zdumienie starego służbistę, który za istotnych przestępców uważał tylko: młodzież uniwersytecką i robotników. Do nich też jedynie stosował jak najściślej wszystkie przepisy więzienne. Nie wiedział wprost jak mówić do »politycznych«? A już w rozmowach

z jenerałem tracił doszczętnie nie tylko rezon, ale nawet głowę, zupełnie jak gdyby jenerał nie był więźniem politycznym, ale przełożonym więzienia, który ma prawo czynienia wymówek nieprzyjemnych.

Pośród więźniów rozeszła się tymczasem pogłoska, że w celi nr. 5 siedzi jakiś jenerał. Młodzi przestępcy polityczni w celach 4 i 6 przypuszczali, iż sąsiad ich nie jest wcale jenerałem, lecz nosi tylko takie przezwisko partyjne. Wystukiwali tedy w ścianę zapytania alfabetem, powszechnie znanym w więzieniach rosyjskich, ale nie otrzymując odpowiedzi, zaczęli przypuszczać, że w celi tej zarząd więzienny umieścił z umysłu szpiega. Wszelkie inne próby porozumienia się pozostały również bez wyniku dodatniego, gdyż więzień milczał.

Aż razu jednego zaprowadzono jenerała, przy zachowaniu wszelkich ostrożności, na przesłuchanie, które prowadzić miał oficer żandarmeryi. Jenerał przywitał oficera protekcyonalnem skinieniem głowy, ale wnet stracił fantazyę. Prowadzący śledztwo bowiem nie mógł w żaden sposób uwierzyć, iżby jenerał prawdziwy, za jakiego podawał się oskarżony, mógł brać udział w manifestacyach pospólstwa. Kiedy zaś fotograf sądowy przystąpił do zdjęcia podobizny oskarżonego — jenerał zgasł, rażony apopleksyą.

— »Tej nocy w więzieniu panował niespokój: do samego świtu śpiewano marsza pogrzebowego, a rankiem przybył oddział żołnierzy w zupełnej gotowości bojowej« — kończy Czirikow swoje opowiadanie.

Istotnie — o ofiary pomyłki nie było trudno w czasach rozruchów pokonstytucyjnych.

Stąd już krok jeden tylko do powieści p. n. *Miatieżniki*, boć i tutaj napotkamy apoteozę — tym razem zbrodni istotnej, wylęgłej się w ciemnych głowach chłopstwa rosyjskiego, co wcale nie potrzebowało *woli*, tylko *ziemli*. Występuje tutaj nie małorolny proletaryat rolniczy, ale chłopstwo, łaknące zwiększenia nadziału rolnego, jedynie dlatego, że orząc sposobem odwiecznym, wyzyskało siły produkcyjne posiadanej gleby do tła, o melioracyach zaś rolnych nie chce wcale słyszeć. Przesunie się przed nami szereg typów, stojących pod względem kulturalnym na jednym stopniu

z ludami dzikimi Afryki południowej, jakich pełno było we wszystkich procesach o rozruchy agrarne, kiedy to t. zw. »czerwony kogut« zapiał donośnie nawet nad najżyźniejszemi dzielnicami Rosyi rdzennej.

Skąd przyszły wieści alarmujące?... któż wyjaśnić zdoła!

We dworze dziedzica mówiono, że uwijają się po wsiach źli ludzie, którzy opowiadaniami o życiu bez panów i *naczalstwa*, bez płacenia podatków, podburzają najspokojniejszych nawet dotąd włościan. Czyniono poszukiwania za takimi agitatorami, starano się o ich przytrzymanie, tak samo starano dowiedzieć się, kto rozpowszechnia po wsiach broszury i gazetki nielegalne? Wszystko napróżno. Sprawcy pozostawali niewyśledzeni. Wszystkie zaś dochodzenia, prowadzone przez urzędnika policyjnego przyczyniały się tylko do tem większego wzburzenia wśród masy włościańskiej, która nienawistnem okiem spoglądała na budynki dworskie.

Ależ — bo dwór posiadał niebylejakie dostatki. Wszerz i wzdłuż ciągnęły się łąki, stare lasy i bezbrzeżna przestrzeń roli urodzajnej; należał wreszcie do dworu staw zarybiony, na którym gnieździły się stadami dzikie kaczki. Chłopi zaś mieli tylko skąpe działki ziemi, otrzymane po uwłaszczeniu, ale nie mieli ani lasu, ani pastwiska dla bydła, ani ryb nie było wolno im łowić. Spoglądali tedy z nietajoną zazdrością na otaczające ich dary boże i z tem większą nienawiścią obracali oczy, pełne złości, w stronę dworu, zwłaszcza, że 70-cioletni staruszek Eliasz, któremu skutkiem wieku osłabła pamięć mieszała prawdę z czczym wymysłem, opowiadał dziwy o dobrobycie za czasów pańszczyźnianych, pocieszając zazwyczaj chętnych słuchaczy, że doczekają z pewnością lepszych czasów, kiedy to »prawda boża zstąpi na ziemię«...

Kiedy zaś rozeszły się wieści o manifeście monarszym, stary Eliasz zaczął często odwiedzać miejscowego popa, pragnąc dowiedzieć się bodaj przed śmiercią, czy byt chłopski polepszy się znacznie. Wobec tego zaś, że od popa nie mógł otrzymać upragnionych wiadomości, zaczynał pseudo-rozumowania teologiczno-społeczne, na które jednakowoż otrzymywał odpowiedzi wcale nie podług swojej myśli karłowatej.

Ale bajkom o nowym nadziale ziemi nie było końca. Przy-

nosili je różni ludzie do wsi. Bajki zaś te odbierały wprost sen spragnionym zwiększenia stanu posiadania dotychczasowego. Wyczekiwano z niecierpliwością ogłoszenia manifestu. Niedziela za niedzielą mijała, ale pop nie odczytywał jakoś w cerkwi upragnionego aktu. A tu wszystkim pachła ziemia pańska i las i łęgi skarbowe.

I podczas gdy wśród wszystkich chłopów panował jednaki duch i jednakowe oczekiwanie polepszenia losu, jedynie miejscowy właściciel kramu był wrogo usposobiony względem tych nowych porządków, o jakich przebąkiwano półgłosem.

Kramarz zmienił się w krótkim czasie od założenia sklepiku do niepoznania. Zarzucił zupełnie dawny strój chłopski, przebrał się na pół po mieszczańsku i stał się wielce pobożnym. Nie mógł znieść głupich mędrkowań chłopskich, osobliwie, kiedy wyśmiewały one dziedzica, krytykowały czynności popa lub przepełnione były grubemi wymyślaniami przeciwko naczelnikowi ziemskiemu. Za całe nieszczęście niezadowolenia, wybuchłego wśród warstwy chłopskiej, o czem dowiedział się z gazet, uważał — całkiem słusznie — pijaństwo, połączone z brakiem chęci do pracy uczciwej. Wszakże on sam zaczął handel od domokrążstwa, a przecież powoli dorobił się pieniędzy!...

Nareszcie do zapadłej wioski dotarł manifest konstytucyjny. Późnym wieczorem, dróżkami polnemi, ukradkiem zebrali się włościanie nad brzegiem jeziora. Tutaj przy świetle łuczywa odczytał zgromadzonym jeden z chłopów tekst ukazu, w którym wszelako — ku wielkiemu rozczarowaniu wszystkich — nie było bodaj drobnej wzmianki o ziemi. Obietnica zwołania Dumy państwowej nie wzbudziła u chłopów najmniejszego wrażenia. Rozchodzili się tedy do domów w przygnębieniu.

Chłopstwo zaczęło przebąkiwać, że to »panowie« umyślnie sfałszowali manifest najwyższy. Przypuszczenia tego rodzaju nabierać zaczęły tem większego prawdopodobieństwa, jako, że we wsi sąsiednej uwięziono dwu parobków za rozpowszechnianie książek zakazanych, oraz jakichś odezw niedozwolonych. Winę tego zwaliła fantazya na mieszkańców dworu. Zaczęto tedy wyciągać z zapomnienia rozmaite »grzechy pańskie«, a nawet przodków

obecnych właścicieli wsi. Dziadek Eljasz zaś podsycał ten płomyk zarzewia opowiadaniem, jak to za czasów pańszczyźnianych panowie zmuszali kobiety wiejskie do karmienia własną piersią szczeniąt...

Nie wiadomo — kto rzucił hasło puszczenia z dymem sadyby pańskiej?...

Kiedy dowiedziano się o tem we dworze, spokój znikł bezpowrotnie z murów pańskich. Obecnie po raz drugi pani została sama, gdyż mąż musiał wyjechać do miasta, celem wzięcia udziału w zgromadzeniu obywatelskiem, mającem na celu obmyślenie środków zapobiegawczych przeciwko zamierzonym rozruchom włościańskim. Sen nie imał się samotnej gospodyni, drżącej ze strachu nawet wtedy, gdy z daleka doszło wycie psa, chociaż wszystkie wejścia były zamknięte, okna zaś pozabijane deskami. Popadła w straszny rozstrój nerwowy, tak, że nawet ciche trzeszczenie sprzętów lub stuk zagadkowy uważała za coś groźnego. Nie rozstawała się tedy z rewolwerem.

Za powrotem męża zaszła pewna zmiana. Oto do wsi przyjeżdżali rozmaici urzędnicy, którzy jęli tłumaczyć zgromadzonym włościanom, że ci ludzie, co obiecują im ziemię i wolność — są wrogami cara i władzy, dążącymi do pochwycenia steru rządów we własne ręce. Chłopi jednak nie dawali posłuchu tym radom, przypominając sobie za każdym razem cięgi, otrzymywane od rozmaitych urzędników. O ziemi jednakowoż ani o manifeście monarszym żaden z nich nie wspomniał, choćby nawiasowo!...

Chłopi zaś nie pomyśleli, coby zrobili z ziemią, w razie otrzymania nowego jej nadziału. Boć przecież ziemia nie jest chlebem, żeby ją było można jeść! Ziemia wymaga dobrego, racyonalnego gospodarstwa, nawozu, bydła, a bylejako uprawiana nie da plonów, a tylko zachwaści się!

Bogatszych zaś gospodarzy niepokoiły zaburzenia rolne, jakie rozprzestrzeniały się szybko po gubernii całej, niepokoiły podpalania i grabieże oraz wieści, jakoby tam lub ówdzie czyniono starania o równy podział ziemi pomiędzy ludność. »Daj im wolność — mawiali — a ostatnią parę spodni przepiją«!... Niepokój rósł w duszach z dniem każdym coraz to więcej, zwłaszcza, gdy obywatele

z sąsiedztwa zaczęli opuszczać czemprędzej swoje domostwa i chronili się do miast gubernialnych, gwałtom zaś ze strony chłopstwa nie było końca.

Przez całe dwie noce było widać na horyzoncie czerwoną łunę dalekiego pożaru. Chłopom, zgromadzonym na pagórku, serca wzbierały na ten widok radością, we dworze zaś rosła trwoga, która zmniejszyła się nieco, skoro z gubernii przysłano strażnika z nieograniczonemi pełnomocnictwami. We wsi zaś stało się cicho i bezludnie, a tylko w duszach milczących rosła nienawiść i wyczerpywała się cierpliwość.

Wkrótce też znienawidzono strażnika, który nie tylko wjeżdżał konno na grządki, czyniąc szkody w ogrodowiźnie, ale też zalecał się wcale ochoczo do bab i dziewcząt.

Uważał też pilnie strażnik na niektóre chaty, osobliwie zaś na chatę starego Eljasza, którą uważał za kuźnicę wszystkich pogłosek o nowej wolności, nie tyle z powodu niebezpieczeństwa owych pogłosek, ile dlatego, że mieszkała tam urodziwa kobieta, żona sołdata. Kiedy zaś nie udało mu się nawet przemocą pozyskać względów upatrzonej, zaczął knuć plan zemsty srogiej. Pobity podczas rewizyi nocnej przez brata owej sołdatki, wysłał strażnik depeszę do gubernatora. Na skutki nie potrzeba było długo czekać, zwłaszcza, że sami właściciele wsi, przerażeni napadem na strażnika, wyjechali pokryjomu do miasta.

Następnego już dnia o świtaniu przybył do wsi »stanowy«. Zaczęło się energiczne śledztwo w akompaniamencie obelg i bicia po twarzy badanych, która to zniewaga nie minęła nawet wójta miejscowego. Tłum aresztowanych zapełnił wkrótce całą szopę. Wszelako nocą tłum chłopów odbił uwięzionych. Zawezwano kozaków, przyjechał nawet sam *isprawnik* wraz z rotmistrzem żandarmeryi.

Dla wsi przeznaczonej na zagładę nastał sądny dzień!...

Uległ też Czirikow nagminnej chorobie, jaką zostali nawiedzeni wszyscy prawie piewcy rewolucyjni, symbolistyce, zamglonej ponad potrzebę istotną, w trzyaktowej fantazyi dramatycznej p. n. »Czerwone ognie«, drapowanej nawet w wiersz biały. Oprócz dwojga istot świata zmysłowego, wyprowadza poeta cały legion przeróżnych fantastycznych stworzeń, mówiących nieco za wiele

w stosunku do treści realnej, jaką przynieść mogą ich słowa. I ów sejm duchów ma położyć koniec dotychczasowemu porządkowi rzeczy...

Sam Czirikow odczuł widocznie najlepiej, że terenem najudatniejszych jego popisów dramaturgicznych może być, nie jakaś mistyka, lecz życie żywe, bijące tętnem młodości, niepohamowanej w swoich porywach. To też w ostatnich swoich dramatach zwrócił się ku problematowi, poruszonemu poniekąd, chociaż z innej strony, w »Żydach«, zwrócił się ku smutnym wypadkom, jakie spowodowały wykolejenie się dziesiątków tysięcy młodzieży rosyjskiej, ku politykomanii, jaka ogarnęła umysły niezrównoważone, co gorsza nieprzygotowane teoretycznie do racyonalnych prac obywatelskich, kiedy hasła przewrotu radykalnego śmieli uważać za prowadzące do celu!...

Smutneż tedy jest opowiadanie p. n. »Na poręce«, boć żal za zmarnowanem pokoleniem ogarnąć musi serce... żal tem sroższy, że politykomania pochłonęła i z pośród n a s aż nadto wiele sił młodych, obiecujących w przyszłości...

Na dworzec kolei żelaznej w niewielkiem mieście prowincyonalnem chodziła od pewnego czasu dzień w dzień staruszka — żona jednego z niewielkich czynowników miejscowych. Milczącą w zamyśleniu głębokiem i pogrążoną w troskach o synie, budził dopiero z zadumy łoskot nadchodzącego pociągu. Staruszka ożywiała się na chwil kilka, szukając pośród przybyłych pasażerów swego syna. Napróżno!... Codziennie tedy odchodziła z dworca ogromnie zgnębiona, pocieszając się po drodze kruchą nadzieją, że może w ścisku nie zauważyła syna, że może go zastanie w domu. Złudna nadzieja!...

Niekiedy zdawało się biedaczce, że już nigdy nie zobaczy syna. Przecież tyle razy już opowiadał znajomy czynownik Ardelion Michajłycz, przyjaciel serdeczny jej męża, o więzieniu, w którem za pociśnięciem mechanizmu umyślnego woda zalewa celę i topi znajdującego się tam przestępcę. To też mąż jej zwykł był mawiać, że lepiej już nie oczekiwać powrotu syna, boć on przecież dostał się do więzienia za sprawki »polityczne«. Staruszków

oboje na myśl samą o możliwości takiego faktu ogarniała rozpacz krańcowa, sen z powiek spędzająca.

Wszelako raz przedpołudniem, gdy mąż był w biurze, a stara Marya Tymofiejewna krzątała się w kuchni, zajechał przed dom staroświecki powóz. Marya Tymofiejewna wyglądnąwszy przez okno, upuściła z rąk naczynie. Bo oto — obok powozu stał student i choć był odwrócony tyłem, tak że twarzy dojrzeć nie było można, stary kufer, z którym mozolił się teraz woźnica, powiedział starowinie-matce, kto przyjechał? Rzuciła się bez namysłu ku synowi, nie wierząc wprost oczom, że Mikołaj jej najdroższy powrócił żyw i zdrowy.

W domu zastał Kola wszystko po dawnemu, choć już dwa lata minęły od jego wyjazdu do Kijowa. Nawet na podwórzu gęś wodziła dumnie, jak za dawnych czasów, młode, a w pokrzywie, obok chlewu, spał, poruszając tylko od czasu do czasu uszyma, okazały wieprz. Wydało się Koli, że te gęsi i wieprzka widział nie dawniej, jak wczoraj, boć i wróble tak samo świegotały wesoło na krzewach, a na oknie konały roje much, schwytanych na lep słodyczy papierowej. Od strony ulicy nie było słychać najlżejszego bodaj szmeru. To też Mikołajowi stanęło żywo przed oczyma miasto ogromne, kipiące życiem. A tutaj?... ani śladu życia!...

Z tych dumań wywołało go przybycie ojca. Po krótkiej rozmowie okazało się, że stary nie może zrozumieć młodego, syn zaś ojca.

Nad domem zawisły chmury... Po upływie tygodnia zawezwano Stefana Nikiforowicza na policyę. »Isprawnik«, który był chrzestnym ojcem wykolejonego młodzieńca, żalił się, iż zdany obecnie na jego łaskę i niełaskę młodzieniec, nie uznał za stosowne odwiedzić go choćby raz. W biednej wszelako głowie niedoszłego »bohatera« rewolucyjnego nie mogła pomieścić się myśl, iż — bądź co bądź — prosta towarzyska forma wymagała spełnienia tego, czego domagał się ojciec chrzestny. Nic dziwnego. Rewolucyonista bowiem rosyjski jest zazwyczaj w skrajnej niezgodzie z najprymitywniejszemi zasadami logiki i zdrowego rozsądku. Inaczej — trudnoby mu było być rewolucyonistą!...

Ostatecznie, ulegając natarczywszym coraz żądaniom ojcowskim, zdecydował się Mikołaj odwiedzić znienawidzoną policyę. Znalazł się tam w sposób, urągający najprymitywniejszym pojęciom o zasadach jakiego takiego wychowania. Ha! Aleć rewolucyoniści rosyjscy plują na takie drobnostki, jak np. dobre wychowanie. Stado pierwotne z okresu kamienia łupanego!...

Chciał nawet ojciec chrzestny wyrobić pochrzestnikowi pozwolenie na powrót w mury uniwersyteckie. To też, kiedy dowiedział się, iż ojciec zamierza wnieść podanie w tej mierze, nieszczęsnemu chłopakowi wydało się, że otrzymał wyrok śmierci. I jak gdyby sądząc, że dokona czynu bohaterskiego, biedny Kola, kończy samobójstwem, jak zwykli czynić bankruci moralni czy ideowi. A czem on sam był?...

Wyprawiono mu pogrzeb wspaniały. Za trumną postępował sam *isprawnik*, podtrzymując obłąkaną na poły z rozpaczy matkę-staruszkę. Chór cerkiewny śpiewał wspaniale, wtórzyły tym echom żałosnym ptaszki po krzewinach, nad otwartą mogiłą pożegnano szaleńca, co paraliż sprowadził na znękanego ojca, pożegnano słowem, jakiego wart nie był. A kiedy trumnę zasypano ziemią, na mogile pozostała matka-staruszka, przeklinająca tych, co jej syna wtrącili w mogiłę. Dlaczego jednak zapomniała w swoich przekleństwach o winowajcach właściwych, którzy rozpolitykowali młodzież, rzucając ją bez wyrzutów sumienia na pastwę Molochowi pseudo-rewolucyi rosyjskiej?

Wieleż, wieleż tragedyi takich przeżyła Rosya za lat pierwszych konstytucyi? Winowajców zaś nie szukano tam, gdzie należało...

Są łzy niewypłakane po sam świata koniec, są łzy, cięższe i od łez sierocych, zwłaszcza w szalejącej Rosyi — *sunt lacrimae rerum*...

Albo — gdyby zapytać się, czyją jest winą, że dziecko nieletnie »Na progu życia« spotkać się musiało z okropnościami niewytłumaczalnemi dla jego pojęć, okropnościami, co rzuciły cień na całe życie może? I czyliż Czirikow da na takie pytanie odpowiedź jasną i prostą?

Maleńki Wania przebudził się w nocy. Cóżby to mogło zna-

czyć, że pomimo tak późnej pory w pokoiku jego sypialnym chodzi kilku nieznajomych, jacyś wojskowi i dozorca domu? Dlaczego przerzucają w szafie jego zabawki? Dlaczego mama na to zezwoliła?... Na podłodze leży koń drewniany, książki obrazkowe, pudełka z grami dziecinnemi. A mama popłakuje z cicha?... Co to za niespokojni goście?... I o czem tak głośno rozprawiają w pokoju starszego brata Aloszy, który ich łaje, chociaż mama zabrania mówienia niegrzecznych słów do osób starszych?... Dlaczego tyle hałasu i krzyku?... Dlaczego mama znowu zaczyna płakać?...

Maleńki Wania wylazł po cichu z łóżeczka, podkradł się pod drzwi i odchylił je ostrożnie odrobinę. Scena, jaką ujrzał w pokoju brata zdumiała go. Brat żegnał się z wszystkimi, jak przed jakąś daleką podróżą. Czyliżby on na prawdę gdzie wyjeżdżał?...

Nazajutrz dowiedział się malec od matki, że Alosza pojechał istotnie gdzieś bardzo daleko. Nie mógł się wszelako ani teraz, ani później dowiedzieć od matki, dlaczego brat tak niespodziewanie, po nocy, wśród zgiełku wyjechał? Uważał tylko, że ilekroć pytał o to matkę, jej oczy zachodziły łzami. Kiedy zaś zapytał o przyczynę odjazdu brata rówieśników zabaw podwórzowych, nie mógł wprost dać wiary temu, co usłyszał. Powiedziano mu bowiem, że brat będzie powieszony, bo jest socyalistą. Kłócił się tedy, że to nieprawda, a gdy kłótnią nie mógł niczego zdziałać, biegł do matki z zapytaniem, na które również nie otrzymywał jasnej odpowiedzi, gdyż łzy zalewały matce słowa w gardle. Wania nie rozumiał teraz niczego...

Pewnego dnia matka pożegnała się z Wanią, gdyż miała pojechać na parę dni do Aloszy, zostawiając malca na opiece ciotki. W mieszkaniu zapanowała cisza i nuda, zwłaszcza, że ciotka całymi wieczorami popłakiwała po cichu. Dlaczego jednak płakała?

A kiedy matka powróciła — płaczowi końca nie było. Łzy potokami lały się z oczu matki i ciotki, tak że Wani na płacz się zbierało. Dlaczego jednak matka przywiązała do kapelusza długi, czarny welon i ubierać się zaczęła czarno?... Dlaczego modli się długimi wieczorami na klęczkach?... Nareszcie powie-

działa dziecku ciotka, że Alosza zachorował śmiertelnie? Więc i maleńki Wania zaczął co wieczora modlić się po dziecinnemu, słowami niewymyślnemi o zdrowie dla brata:

— »Jezu Chryste! Spraw, żeby Alosza wyzdrowiał!... Kochany Jezu Chryste! Powiedz Ojcu swojemu, iżby nie gniewał się na Aloszę... Alosza bardzo dobry chłopczyk... Niech Alosza powróci do zdrowia, a tamci niechaj zasłabną i pomrą... Alosza im nic złego nie uczynił, a oni zasadzili go do więzienia... Więc niechaj pomrą... Tak im należy się... Kochany Jezu Chryste! Obym czemprędzej wyrósł i stał się bardzo silnym... Silniejszym od Waśki stróża!... I tak dzielnym, jak bohater... Wtedy ja im pokażę... Ulituj się nad mamą, nade mną i nad Aloszą, daj papie wieczne odpoczywanie, a i c h poślij do piekła... Niechaj tam żyją razem z dyabłem... Niechaj w ogniu męczą się i oby im pić nie dano...«

Pewnego dnia przyszła znowu policya. Przyniesiono rzeczy Aloszy. A potem matka płakała, ilekroć spoglądała na rzeczy. I Wani zbierało się na łzy, bo mama zaniemogła ciężko i leżała sama w pokoju, w którym kryło się coś tajemniczego, niepojętego dla umysłu dziecka. A tu na dobitek wyśmiewali się chłopcy podwórzowi z Aloszy, więc mały Wania skombinował związek, zachodzący pomiędzy chorobą matki a losem brata i nienawiść zawładnęła sercem pacholęcem niepodzielnie, nienawiść ku wszelkiej władzy!

Kiedy zaś niepodobna było dłużej ukrywać przed dzieckiem smutnej prawdy, i matka powiedziała Wani, że Alosza umarł, — maleńki chłopczyk powiedział wprost do wizerunku Ukrzyżowanego, że go nie kocha ani odrobinę, bo gdyby Bóg nie był pragnął śmierci Aloszy, Alosza byłby żył dotąd. Do takich wyników doprowadził chłopię nieletnie nihilizm, zaszczepiony atawistycznie we krwi!...

Raz rano, ledwo Wania zdążył przetrzeć powieki — oznajmiła mu kucharka o śmierci matki. Nie zmartwiła wcale ta wiadomość chłopczyny; owszem, ucieszyła, gdyż ostatecznie bodaj teraz mama zobaczy się z Aloszą. Żałował tylko, że jemu nie dane jest widzieć się teraz z matką i bratem. I znowu w umyśle

dziecka zaświtała myśl, że temu wszystkiemu, co stało się, winni są jedynie ci, co uwięzili brata:

— »Oby wam Bóg zesłał śmierć rychłą!« — przeklinało dziecko z błyskami nienawistnemi w oczach. — Jezu Chryste! Obyż i u nich wszystkich pomarli ojcowie i matki... I niech ich także nazywają sierotami, jak teraz Wanię nazywa kucharka!«

Przekleństwem zaczynało dziecko najwcześniejsze dni życia nędznego... Przekleństwem strasznem, co spada na głowy złorzeczących!...

— »Wszystko przeminie, pójdzie w niepamięć, ale tych parę dni życia — przenigdy!« — kończy z emfazą Czirikow.

Minęło lat dziesięć, a Wania, późną nocą pochylony nad książkami, nagle oderwie się od pracy i utonie myślą w wspomnieniach, jak gdyby ktoś niewidzialny targał mu serce, dopominając się wspomnienia. »I płomień miłości, wzniecony przez padłe z książki do duszy iskry, splata się z płomieniem zemsty... naprężając wszystkie muszkuły twarzy młodzieńczej nieodstępną myślą złowieszczą«. I Wania-młodzieniec przysięga w noc ciemną przed portretem matki i brata zemstę straszliwą tym, którzy zawinili ich śmierci...

* * *

Idealizacya zbrodni i deprawacyi duchowej przewija się przez wszystkie bez wyjątku »utwory« Czirikowa, jak gdyby przez niego przemawiał głos krwi jego przodków, dla których niemal przykazaniom boskim równa była zasada pierwotnością swoją potworna: »Ząb za ząb, oko za oko!« W spuściznie po tych, co wyznawali teorye, możliwe tylko u hord pierwotnych, wziął Czirikow wszystko.

Kultura stuleci przeszła obok niego mimo, nie pozostawiając na duszy pisarza uszlachetniających swoich śladów. Aleć wolno żądać od pana Czirikowa, jako od teoretyka rewolucyjnego, wyjaśnienia, dlaczego takimi torami życie pójść musiało, jakie on mu wyznaczył?

A że na tego rodzaju pytanie darmoby szukać w utworach

Czirikowa odpowiedzi konkretnej i uzasadnionej logicznie, więc, choć nieproszony — ze względu na czytelników — muszę go wyręczyć. Otóż, te wszystkie tragedye, jakich idealizowaniu oddał swoje pióro, stać się musiały, gdyż niema na świecie państwa bez porządku i wolności bez ładu społecznego. Chyba, jeśli pan Czirikow nie ma pojęcia o wolności. Bo być wolnym, nie znaczy jeszcze... nie mieć i nie uznawać praw nad sobą samym!

To bowiem, co on mówi o solidarności, o braterstwie, o walce biednych z bogatymi, o pogardzie każdego istnienia lepszego — jest, niestety, walką z ładem i porządkiem, jest, mówiąc dobitniej — anarchią...

Dr. Stanisław Zdziarski.

RELIGIJNOŚĆ WŁADYSŁAWA IV.

W historyografii polskiej dość często podnosi się — całkiem słusznie — wybitne bardzo znaczenie Władysława IV, jako rzeczywiście wielkiego, bardzo zdolnego, o nowożytnych poglądach króla, który miał wszystkie dane do tego, by postawić Polskę między pierwszemi w Europie mocarstwami.

Również nierzadko łączy się te zamiary i zdolności Władysława IV a Zygmunta III z ich zapatrywaniami religijnemi, jak gdyby wielkość i geniusz królów pozostawała w odwrotnym stosunku do ich moralności, czy cnoty, czy wogóle do ich usposobienia religijnego.

Specyalnie, jeżeli chodzi o Władysława, to sąd taki jest niewczesnym, gdyż pomimo studyów — bardzo dokładnych — o tym królu, przedewszystkiem prof. Czermaka, jeszcze wiele kwestyi z Władysławowej epoki, jak np. i niniejsza, pozostaje do wyjaśnienia. Mimo, że zna się mnóstwo źródeł, współczesnych korespondencyi, jednak wiele materyału nietkniętego jeszcze. Chociaż i do niniejszego szkicu nie można było użyć całego materyału rękopiśmiennego, gdyż jest niedostępnym [1]; ale zato staraliśmy się przeglądnąć wszystkie dostępne źródła, korespondencyi współczesnej królewskiej i papieskiej przedewszystkiem [2]. Ponieważ zaś

[1] Tutaj np. należy bardzo obszerna korespondencya panny Mejerin; choć przechowała się do naszych czasów, jednak dotąd nie opublikowana. I jeżeli gdzie, to tam, będzie zapewne dużo żądanych rysów co do religijności Władysława, nawet jeszcze jako królewicza.

[2] Rkp. Akad. Um. w Krakowie, l. 362, 696, 412, 1054, 1062, 365, 376.

najwybitniej występuje usposobienie antykatolickie króla podczas bezkrólewia 1632 roku [1], więc też na ten okres specyalną uwagę zwrócić trzeba. Usposobienie to antykatolickie miało się pokazać głównie w tem, że król przeprowadził na sejmach konwokacyi, elekcyi i koronacyi prawne uznanie wolności wiary nie tylko dla dyssydentów, lecz i schizmatyków, a dla tych ostatnich kazał poczynić niektóre ustępstwa ze szkodą unii.

To postępowanie — przedewszystkiem — miało podobno mieć swoje źródło w obojętności religijnej Władysława i przychylności dla dyssydentów.

Pomijam zupełnie kwestyę, czy jego postępek przekraczał te granice, jakie nakreśla tolerancya Kościoła katolickiego, lecz pytaniem ważnem jest, czy jego uczucia i sympatya dla nich, jego skłonności i zapatrywania osobiste były w zgodzie ze zasadami Kościoła katolickiego? Starajmy się wglądnąć w jego duszę.

Zdaje się, że, wedle zdania prof. Czermaka, dla poznania duszy królewicza Władysława wystarczyłoby zupełnie powtórzyć to, co o nim napisał nuncyusz Visconti w swej relacyi do kard. Barberiniego w r. 1636. Visconti patrzał na Władysława przez całe lata, żył z nim ustawicznie i, jak widać z całej tej obszernej relacyi, miał doskonały zmysł oryentacyjny. Wedle niego król (t. j. Władysław) »posiada w wysokim stopniu, nie wiem, czy sztukę zadziwiającą, czy dar przyrodzony jednania sobie umysłów. Jest tak wymowny, że zdaje się, iż mu płyną z ust słowa... któremi krępuje słuchaczów. Ci nawet, co go znają, nie mogą uniknąć sideł tej czarującej wymowy. Ci, co go zrazu ze wstrętem słu-

Rękop. Bibl. Czartor. l. 373, 128, 360, 2086, 124, 125. Nadto odpisy z arch. watykańskiego prof. Czermaka, któremu za nie na tem miejscu składam podziękowanie. Nie wyliczam już Theinera: *Monumenta*; Rykaszewskiego: »Relacye nuncyuszów« i »Listy Wład. IV«, wyd. w Krakowie 1845.

[1] Trwać onoby miało mniej więcej do r. 1635. Od tego bowiem czasu muszą ustąpić wątpliwości co do ortodoksyi króla, który znowu odbywa praktyki katolickie, czego dowody wynikają z rozpraw ks. Badeniego T. J. (*Przegląd Powszechny*, r. 1894, str. 208 nast.) i ks. W. Piątkiewicza T. J. (*Przegląd Powszechny*, r. 1891, str. 360 nast.). Nadto wiele szczegółów bardzo budującego katolickiego życia króla Władysława po roku 1635 opisuje A. Radziwiłł w swym dyaryuszu (Rkp. Czart. 2356), gdzie również kreśli on ostatnie chwile króla, zmarłego po katolicku i bardzo przykładnie.

chają lub z uprzedzeniem, odchodzą ujęci i przekonani, do czego jeszcze dołącza się szczególny sposób karmienia nadzieją tych, którzy nigdy nie pożywali owoców jego szczodrobliwości... Bystry w przenikaniu i osądzeniu na pierwszy rzut oka charakteru osób, z któremi ma do czynienia, umie zastosować się do nich i trafić do ich przekonania, zwłaszcza, jeżeli ma w tem własny interes, do czego mu pomaga niemały dar wysłowienia. Umie on łudzić pięknemi słówkami, zwłaszcza gdy spostrzeże, że kto chce wybadać skrytości jego serca«. Posiadał on tę tajemnicę sympatyi, jaką ku niemu wszyscy żywili, co go znali i dzięki tym naturalnym danym, miał on wszelkie gwarancye do przeprowadzenia swych zamiarów, nawet u tych osób, które były przeciwnych zasad i przekonań. Szczegół ten ważny bardzo dla dokładnego zrozumienia, a zwłaszcza osądzenia układów Władysława z dyssydentami i schizmatykami a katolikami, jakie, zdaje się, obok stosunków politycznych, na tem właśnie tle rozumieć trzeba, a nie na tle niechęci, czy obojętności religijnej królewicza, bo o obojętność religijną może nie tak łatwo go posądzić należy, choćby dlatego, że, jak to zaznaczył nuncyusz, bardzo trudno było poznać, co właściwie na dnie duszy jego spoczywa. Ale wobec tego niech fakta mówią.

Pomijając, że w młodości był on bardzo pobożnym wychowankiem późniejszego księdza Gabryela Prevancy-Władysławskiego, a także i ks. Gembickiego, — a i Jezuici niejaki wpływ na jego wychowanie wywierali, — ale nawet później, gdy już, jako dojrzały młodzieniec wyjeżdżał na wyprawę moskiewską, odsłonił bardzo piękny rys swej duszy w tym względzie. Oto na bardzo ciepły list ks. Gembickiego, który go ostrzega przed niebezpieczeństwem utraty czy osłabienia wiary, odpisuje Władysław, że »o ile mogę sobie przypomnieć me chłopięce czasy,... to przecież zawsze tak się zachowywałem, że we wszystkich mych czynach za jedyną normę, za jedyną regułę było dla mnie Boże przykazanie... I teraz więc, gdy się wybieram w tę drogę... — uspokaja królewicz obawy swego starego mistrza — niczego po nad to stawiać nie będę«. Ale spotykamy się z ostremi i prawdziwemi zarzutami, że »oziębłość króla Władysława w pełnieniu

obowiązków religijnych, przy schyłku życia ojca, doszła do tego stopnia obojętności, iż go wszyscy o zupełny brak religii posądzali... ani razu nie widziano go z nim w kościele, co było także niezmiernie przykro katolikom dobrym... znalazła się jednak na to wymówka, albo dość pozorna przyczyna t. j., że gdy przed wielu laty znajdował się z ojcem w kościele Dominikańskim w Gdańsku, znagła wpadł w mdłości... od tego czasu, ile razy znajduje się w kościele, czuje zawsze jakąś ckliwość, jakby pochodzącą od wyziewów grobowych i dlatego, bojąc się podobnego przypadku, wstrzymuje się od chodzenia do kościoła«. Podejrzywano nawet, zwyczajem ówczesnych czasów, że został urzeczony przez jakichś złych ludzi. Nuncyusz tłumaczył to inaczej. »Władysław podlegał bardzo wielkim cierpieniom duszy z powodu utraty korony szwedzkiej, a nie mając przytem żadnej podstawy do oparcia swego dziedzictwa w Polsce, czuł, że wystawiony jest więcej, niż każdy inny, na zmienne losu wypadki. Cierpienia tego rodzaju łatwo mogą człowieka obłąkać, a nawet oddalić od służby Bożej. Przyznać jednak trzeba, że od niejakiego czasu pisze to nuncyusz w r. 1636 — odmienił się nieco w tym punkcie (o czem niżej) i, że lubo nigdy nie pokazał się w kościele i rzadko bywa na nabożeństwie, dał się jednak widzieć kilka razy ze swej loży w ciągu Wielkiego Tygodnia i ostatnich Świąt Wielkanocnych, a w innych uroczystościach przynajmniej podczas kazania... mówią także, że słucha codziennie mszy św. w miejscu prywatnem ze swego pokoju. Widziałem urządzoną w tym celu kaplicę w domu ogrodowym, na przedmieściu«. Wogóle trzeba powiedzieć, że sam nuncyusz nie wątpił nigdy w uczucia religijne króla, chociaż stwierdza jego oziębłość w praktykach katolickich, ale kładzie ją na karb tego ogólnego, moralnie deprawującego ludzi młodszych czynnika, t. j. złej lektury, bez wyboru, przy braku należytego kierownictwa i głębszego wykształcenia teologicznego.

Ale, jak się zapatrywała kurya rzymska na usposobienie religijne Władysława?

Przeglądając korespondencyę Władysława z Rzymem, pierwszy raz spotykamy się z tą kwestyą już w tym samym r. 1617, kiedy to Władysław pisał tak piękny list do ks. Gembickiego,

w którym otwarcie przyznaje się do katolickich zasad. Pod tą samą (1 kwietnia 1617 r.) datą pisał Władysław dwa listy. Jeden, jakby pod wpływem ojca, gdy mówi, że przez tę wojnę »rozszerzy granice nie tylko Polski, ale także rzeczypospolitej chrześcijańskiej i wiary katolickiej« i, że w tej sprawie idzie »dokąd go woła głos Boży, a wola ojca«. W drugim liście, widocznie samodzielnie pisanym, stawia papieżowi te dwa pytania: Najprzód oświadcza stanowczo, że podczas swej koronacyi na cara, chce się zastosować do ceremoniału obrządku grecko-unickiego, żeby go więc biskup unicki mógł koronować i żeby mógł przyjąć komunię św. w obrządku unickim t. j. pod dwiema postaciami. Następnie prosi o dyspensę w razie, gdyby go koronował biskup schizmatycki. Kongregacya św. Officium, której przedłożono sprawę, nie rozumiała pytania i, jakby zapomniawszy o istnieniu obrządku unickiego, odpowiedziała: 1) że w żadnym razie nie może być koronowanym przez biskupa schizmatyckiego; 2) nie może przyjąć komunii pod dwiema postaciami i 3) w żadnym wypadku nie może się stosować do rytuału greckiego [1]. Ale sam papież sformułował odpowiedź inaczej. Pozwolił na koronacyę przez biskupa unickiego wedle ceremoniału unickiego i w tym wypadku na komunię pod dwiema postaciami, o możliwej koronacyi przez schizmatyka zamilcza zupełnie, owszem wyraża, że wolałby, by jaki unicki biskup go koronował, byle nie schizmatycki [2]. Ponieważ jednak branie czynnego udziału w nabożeństwach heretyckich, czyli t. zw. *communicatio in sacris* jest zewnętrznym objawem wspólności z nimi, przeto przez Kościół jest uważanem za przejście na inną wiarę, a tem samem zakazanem, czyli innemi słowy papież na to pozwolić nie mógł. Ale tak postawiona kwestya mogłaby niemały cień rzucić na Władysława, tem bardziej, że Władysław w tymże samym liście prosi papieża o ewentualne rozgrzeszenie, w razie gdyby w tej sprawie źle postąpił. Wyglądaćby to mogło, jak gdyby królewicz zręcznem wystylizowaniem listu

[1] *Arch. S. Officii* IV, f. 94 sq.

[2] Korespondencya w tej sprawie cf. *Arch. Borghese* II, 68; f. 48, 225; f. 169, 241 (1617, 1, septembr.), Diatallevi do kard. Borghese II, 427, f. 183:74, f. 554.

chciał uzyskać papieskie *placet* na przejście na schizmę: i zdawaćby się mogło, że na tem tle trzeba też rozumieć ów list ks. Gembickiego — o którym wyżej — napominający Władysława, by nie porzucał swej wiary. Ale tak nie jest, gdyż list królewicza nie jest pisany w stylu dyplomatycznej noty, ale listu, w którym się prosi o radę, o rozstrzygnięcie wątpliwości sumienia. A chociażby nawet — to byłoby to tylko dowodem, że u Władysława polityka wypływa na pierwszy plan przed religią, ale nie że on sam jest bezreligijny.

Wogóle listów papieskich do króla mamy dosyć, ale możeby można zarzucić, że z listów tych prawdy dowiedzieć się trudno: są tam wprawdzie bardzo piękne zwroty o religijności i prawowierności Władysława np.: »od kolebki, z mlekiem matczynem zaczerpnąłeś nie tylko królewskich obyczajów, ale i religię i pobożność i szacunek dla wiary kat.« — »winszujemy religii katolickiej, że tak oddanego sobie syna na takim piedestale godnie umieszczonego widzi... a Stolica Apost. cieszy się, że tak energicznego i potężnego króla mieć będzie na usługi religii«; lub inne zwroty w listach papieskich, które raczej są nauką daną królowi, jak pochwałą np.: »My, którzy dobrze znamy Twoje zazalety i obyczaje, godne króla chrześcijańskiego, z góry pochwalając Twe czyny, pewni jesteśmy, że nigdy nie pozwolisz na to, aby na jakimkolwiek sejmie uchwalono coś takiego, coby było z ujmą czci Bożej a szkodą Kościoła i wiary katolickiej« (16 grudnia 1634 roku), albo gdy Ojciec św. pisze, że chociaż, co prawda, królowi »nic więcej nie leży na sercu, jak troska o całość wiary i obronę Kościoła, jednak nasz urząd pasterski wymaga«, »lubo, żeś pobożnością już od kolebki duszę swą przyoblekł« i t. d. Atoli wszystkie te i inne listy stylizacyą swą mogą nie zdradzać niczego więcej, jak właściwie tylko zręczny zwrot dyplomatyczny, co najwięcej, są to chyba tylko szczere uczucia ojcowskiej miłości, jaką w istocie żywił papież dla osobiście sobie znanego Władysława, niczego konkretnego jednak na pochwałę króla one nie mówią, a przecież gdyby było coś dodatniego, do pochwalenia, toby zapewne tego papież zaakcentować nie zaniechał; tymczasem uczynił to papież tylko raz jeden, w liście z 19 października 1640,

w odpowiedzi królowi na list, w którym tenże donosił, że zakazał wileńskim kalwinom odbywać swe nabożeństwa. Jeśli zaś papież nie wspominał o jakichś innych czynach (na polu religijnem) pochwały godnych, to chyba dlatego, że ich u Władysława nie było. Tak. Ale też niema i potępienia na Władysława, z powodu jego niereligijności — odpowiedzieć można. Również może nie możnaby kłaść nacisku na listy Władysława do papieża, chociażby on nawet tak pisał, jak po swej elekcyi, że »niczego więcej nie wyczekuję, jak, ażeby za naszych rządów religia katolicka jak najwięcej się rozeszła«; aczkolwiek słowa te, pisane pod pierwszem wrażeniem, mogły pochodzić rzeczywiście ze szczerego serca, a może i z ambicyi, by jemu udało się poruszyć cały świat chrześcijański przeciw Turkowi i na falach tej walki z pohańcem wypłynąć na pierwszą osobę w Europie. Tutaj należą też wszystkie jego listy w sprawie planów jego wojny tureckiej [1]. Co się tyczy orderu Niepokalanego Poczęcia, — rzecz znana — to również może więcej ambicyi królewskiej przypisaćby należało jego zamiary, jak uczuciom religijnym [2]. Najszczerzej — o ile się godzi użyć tego wyrażenia — pisać mógł papież po śmierci Władysława; może nie do królowej wdowy, którą widać szczerze pocieszał zapewnieniem, że »żyć będzie Władysław na ziemi w dziękczynnych modłach Kościoła«, ale w listach, pisanych do episkopatu czy osób prywatnych, gdzie wspomina o czynach wojennych zmarłego, o dzielności i cnocie, i to jest przyczyną, dlaczego »otoczyliśmy go takiem uczuciem apostolskiej miłości« (25 lipca 1648). Ale też w tych listach nagany nigdzie niema, owszem mimo wszystkie błędy młodzieńczego wieku, jakie wyliczają badacze na rachunek Władysława, jednak był on takim człowiekiem, że Rzym uważać go mógł i uważał za katolickiego księcia jeszcze za życia ojca, więc w latach, o które nam chodzi. I dlatego to, jeszcze w r. 1630, a więc na dwa lata przed elekcyą, jednak już zwraca swoją uwagę kurya rzymska na Władysława i w tajnej instrukcyi poleca nuncyuszowi swemu, by czynił starania »za obraniem tak katolickiego

[1] cf. Czermak: »Plany wojny tureckiej«, str. 298.
[2] Obszerne źródła w rękp. Bibl. Ossol. 314.

księcia« — (cytuję dosłownie słowa instrukcyi) *veramente S. B. desidera molto, che non solamente cotesto Regno, dopo la morte del presente Re, cada in persona, cosi cattolica, e religiosa, comme é il S. Vladislao...* A w szczerość tajnych instrukcyi, zarówno jak i w niedokładność informacyi, chyba trudno powątpiewać. Specyalnie zaś znowu, jeśli chodzi o unitów i schizmatyków, to mamy jeszcze z wcześniejszych lat list papieski, świadczący bardzo chlubnie o Władysławie. Wiadomo, że Zygmunt III był bardzo przychylnym unii, a jednak gdy unici prosili papieża o polecenie ich sprawy jakiejś wybitnej osobistości w Polsce, Ojciec św. w liście swym z 28 listopada 1624 poleca episkopatowi, aby się w tych sprawach udawali nie do króla, lecz do królewicza Władysława, bo »on im będzie bardzo pomocnym w poparciu unitów«. Może nie zmienił się Władysław pod tym względem i podczas bezkrólewia 1632 r., kiedy to »szkody katolikom wyrządzone, zawsze za sobie wyrządzone uważał«, wedle twierdzenia papieża w liście do prymasa z 31 listopada 1632; dlatego też możemy wierzyć w prawdziwość doniesienia nuncyusza, że w tej ugodzie, jaką podczas konwokacyi między katolikami a schizmatykami przeprowadzał Władysław, »pokazał, że leży mu na sercu interes unii, a skutkiem tego także i religii katolickiej« (dep. 15 lipca 1632). Również co się tyczy praktyk katolickich, czy prywatnego nabożeństwa, to zdradzał nieraz Władysław takie objawy, które trudno było pogodzić z indyferentyzmem religijnym. I tak np. donosi nuncyusz w liście z d. 15 lipca 1632, że Władysław, »gdy widział parę dni temu przez okno kapłana, przechodzącego z Najśw. Sakramentem do chorego, nie tylko ukląkł z wielkiem nabożeństwem, ale nawet czekał na wracającego z powrotem, aby uczynić ten sam akt nabożeństwa swego« [1]. Przy tej sposobności dodaje nuncyusz, że »J. K. M. ma jakąś niedyspozycyę, która mu przeszkadza w oddawaniu zewnętrznych objawów pobożności«. Władysław wiedział o tych pogłoskach, jakie w tej kwestyi o nim krążyły: »od jednych dla przychylności, od drugich

[1] Może niejasnem jest to wyrażenie nuncyusza — gdyż kapłan powracający od chorego zwykle już nie niesie Najśw. Sakramentu.

dla innych przyczyn słyszał o tem — mówi królewicz do nuncyusza — ale trzeba zwrócić uwagę i na jego przeszłe życie, że kiedy był młody i zdrowy, był tak samo starannym i w tej rzeczy, o ile to odpowiadało jego obowiązkom,... że zatem powinni się litować nad jego złym stanem zdrowia,... w szczególności trudno mu było wstawać wczas, bo w tym czasie bardzo cierpiał na ból głowy,... w innych rzeczach pokazywał zawsze, że jego intencya była szczera«.

Na odwrót zaś wiemy o kilku bardzo wybitnych faktach, które świadczą nadzwyczaj dobrze o usposobieniu i zapatrywaniach króla. Tak np. gdy Jezuici założyli w Warszawie w r. 1642 kongregacyę maryańską (sodalicyę) król Władysław był pierwszym, który się do niej zapisał i złożył śluby sodalisa[1]. Również pozytywnie wiadomo, jak wielką sympatyą otaczał on zakonników, nie tylko osoby pojedyncze, ale całe korporacye, jako takie. Specyalnie zaś jeśli chodzi o Jezuitów, to mnóstwo dowodów przytacza na to ks. Załęski w swej historyi zakonu, które świadczą, że chyba król niereligijny, nie mógłby korporacyi kościelnej, tak twardo stojącej na służbie papiestwa i bezwzględnej obrony katolicyzmu, świadczyć tyle dobrodziejstw (zakończenie sporów z akademią a akademia wileńska), udzielać tyle poparcia, gdyby jego zasady i przekonania nie były w gruncie katolickiemi. Ale nie chcę już wspominać o tych dowodach, jak również i o tem, że nie tylko pod koniec życia odżyła w nim — jak zwykle u ludzi wiekiem zrównoważonych — dawna bardzo gorąca wiara i pobożność ale, że już od r. 1635 spełnia praktyki religijne z przykładną wytrwałością, przystępuje od czasu do czasu do Sakramentów św. (Czermak: Studya str. 108). A niepowróciłaby ta pobożność, gdyby gdzieś, w głębokim zakątku jego duszy, nie tliła się jeszcze i nie najmniejszym chyba płomykiem.

A więc, jak sobie wytłumaczyć to sprzyjanie dyssydentom? Nie inaczej jak je sobie tłumaczyli współcześni, a mianowicie, że królewicz »chce zjednać sobie przychylność dyssydentów w kraju i wszystkich heretyków za granicą, jako potrzebniejszych i mo-

[1] Załęski: »Jezuici w Polsce« II, str. 362.

gących mu lepiej usłużyć w jego teraźniejszych zamysłach«; że, jednem słowem, chcąc sobie ułatwić odzyskanie królestwa szwedzkiego ma na myśli nie zaniechać ani jednych, ani drugich. A może i dlatego, żeby na wypadek jakich zaburzeń mieć punkt oparcia w Polsce na tych ludziach, którzy pragnąc wynieść się na upadku drugich, zawsze są gotowi należeć do krajowych zamieszek. I w rzeczy samej król dał dyssydentom dowody, że ich sobie wysoko ceni, mając ich niemało na dworze swoim i wśród służby, dając im bliższy przystęp do swojej osoby: »podobnie, jak i później, gdy się starał o rękę protestantki, palatynki Renu Elżbiety, albo gdy w czasie bezkrólewia, aby nie zniechęcić ku sobie innowierców, przez długi czas, aż do samej elekcyi nie pokazywał się w kościele nigdy, chociaż widywano tam często jego braci« — może dla tem wybitniejszego kontrastu. Wreszcie w sekretnych instrukcyach, jakie Władysław udzielał agentom swoim, ofiarował heretykom wolność sumienia. Wszystkie te fakta składały się na dowód, że Władysław w istocie sprzyja dyssydentom, jest im życzliwym. Tymi przynajmniej dowodami starał się Radziwiłł przekonać elektora podczas układów i zjazdu z nim, w czasie bezkrólewia 1632 r.[1]. Nawiasowo możnaby dodać, że w tem sprzyjaniu dyssydentom, a w szczególności w tej życzliwości, jaką Władysław okazywał Krzysztofowi Radziwiłłowi, głowie kalwinów na Litwie, możnaby się dopatrzeć może i wpływu kobiety, kalwinki, córki Krzysztofa Radziwiłła, wojewody wileńskiego, »do której miał skłonność« jeszcze jako królewicz. Wogóle mówiąc, życzliwość ta królewicza, dla innowierców była tak powszechnie znaną, że nawet mówiono, iż między Władysławem a innowiercami miało przyjść do jakiegoś porozumienia i wzajemnego zobowiązania się, »tak oni okazywali mu przed wyniesieniem go na tron i potem wszelką gotowość służenia jego zamysłom«. Wobec tego trzebaby powiedzieć, iż sympatya jego dla dyssydentów i schizmatyków, przy faktach, świadczących o jego nie wrogiem Kościołowi usposobieniu, jest kierowaną tylko polityką. Tego samego zapatrywania był już i nuncyusz Visconti, że »król odmienia swój

[1] O czem Szelągowski w *Kwart. hist.* r. 1899.

sposób postępowania stosownie do odmiennych celów, jakie ma na widoku. Jak po wojnie z Moskwą, 1633 r., w której może mniej miał na oku i nie bardzo się spodziewał zyskać to obszerne państwo dla swego domu, uważano, że ustygł w swych dobrych chęciach ku dyzunitom, którzy nawzajem dla niego ochotniejszymi się stali, jakem się przekonał na ostatnim sejmie... tak się spodziewać należy, że gdy straci nadzieję odzyskania Szwecyi, odstrychnie się także od dyssydentów i pozbędzie się urojeń, któremi dotąd chytrze natchnął jego głowę, bo się przekona, że mu niepodobna obejść się bez pomocy katolików. Sądzę jednak, że nie przestanie zręcznie kierować swym statkiem między obiema stronnictwami». Słowa te, pisane w cztery lata po elekcyi, tak wiernie charakteryzowały Władysława, że zdawałoby się mogło, iż jego usposobienie i zapatrywanie w prowadzeniu polityki nie zmieniło się w ciągu tych lat kilku ani na jotę; a więc nie niechęć do Kościoła i niewiara, lecz tylko polityka wpływała na jego zagadkowe postępowanie przed wstąpieniem na tron a i w pierwszych latach jego panowania. A i w późniejszych latach musiała ona swoje piętno wywrzeć.

Ks. K. Konopka.

BITWA.

ILIADY PIEŚŃ V.

(Ciąg dalszy).

Zoczył ich Stenal hoży, syn Kapaneusowy
I wraz do Tydejczyca rzekł lotnemi słowy:
— »Tydejdo, miły sercu memu Diomedzie,
Widzę, jak prosto na cię dwu rycerzu jedzie
Z tobą walczyć. Obadwaj w siłach niepożyci:
Pandar, wyborny łucznik, synem się być szczyci
Lykaona; Ajnejas synem się poczyta
Anehizowym, a matką jest mu Afrodita;
Nuż tedy rumakami ujedźmy gdzie dalej.
A ty mi tak w szeregach co pierwszych nie szalej,
Iżbyś ano miłego żywota nie stradał!«
Z pod brwi nań patrząc, mężny Diomed zagadał:
— »Nie mów mi o ucieczce; nie posłucham rady,
Jam nie z tych, którzy walcząc, nastawują zady
Lub chyłkiem przycupują. Trwam jeszcze w potędze!
Na rydwan mi nie spieszno. Sam ku nim popędzę;
Wszak-ci Pallas Athene uciekać mi broni!
Już od nas nie uniesie zaprząg rączych koni
Onych obu; a może jeden się wykradnie.
Co ci zapowiem — w serce wraź sobie dokładnie:
Jeśli da mi Athene doradna tę sławę,
Bym utłukł obu — konie zawściągnij swe żwawe

I wodze do poręczy uwiąż przy rydwanie,
Do rumaków Ajneja doskocz niemieszkanie,
Precz je z pośrodku Trojan zabierz, co stłoczeni
Z Achajami, co noszą spiże u goleni.
Konie te wiodą z tamtych początek swej rasy,
Które Zeus wszechwidzący dał onymi czasy
Trosowi za synaczka Ganimeda w cenie.
Lepszych rumaków — zorzy ni słońca promienie
Jak żywo nie widziały. Lecz krytymi tropy
Wbrew Laomedonowi na swoje świerzopy
Anchizes hetman puszczał te konie kradomie,
Po nich się źrebców sześci doczekał w swym domie.
Tak tedy z onych dla się zatrzymawszy cztery,
Sam je karmi u żłobu — te zaś dwa ogiery
Dla syna dał Ajneja, w biegu doskonałe;
Zdobądźwa je, to godną zarobiwa chwałę!«
Tak wonczas między sobą rozmawiali oni
A zbliżali się coraz pędem rączych koni.
Pierwszy doń Lykaonów hoży syn zawołał:
— »Gdy cię, rycerny sercem Tydejdo, nie zdołał
Zgładzić strzał chyży, bełtu przeraźliwe źgnięcie,
Tedy włóczni spróbuję, nią ja może pchnę cię!«
Rzekł i ogromną włócznią z rozmachem uderza,
I tarcz Tydejdzie przebódł. Wskróś niej, do pancerza
Na wylot sobie przejście grot śpiżowy drąży,
Więc doń syn Lykaonów głosem krzyknął hoży:
— »W słabiznę-ć pchnąłem! Tego — jako tuszę śmiele
Nie przetrwasz, a mnie chluby przysporzysz tem wiele!«
Bez trwogi doń mocarny Diomed zawoła:
— »Chybiłeś, nie trafiłeś! Zda mi się, że zgoła
Nie zaznacie wy oba spocznienia tak długo,
Aż jeden z was, poległszy, krwi napoi strugą
Aresa, pawężnego wojen walecznika!«
Rzekł i cisnął: oszczepem Athene pomyka,
Iż pod okiem w nos trafił i wybił ze szczętem
Białe zęby — a spiżu ostrzem nieugiętem

Uciął w nasadzie język, aże mu na spodzie
Sztychem sam koniec grotu wyszedł przez podbrodzie.
Ow tedy z wozu na ziem zwalił się jak długi,
Aż mu łyskliwie lśniące blachy u kolczugi
Brzękły. W bok się rumaki wartkonogie zdarły
A w nim odwaga z duszą na miejscu zamarły.
Z tarczą i wielką włócznią Ajnej dopadł skoro,
W obawie, iż Achaje trupa mu zabiorą
I wokół biegał, jak lew zadufany w sile
A zewłok tarczą krągłą i włócznią co chwilę
Osłaniał — gotów ubić, ktoby się ku ciału
Śmiał wysunąć, i krzyczał przytem niepomału.
Wtedy nagle Tydejczyc podejmuje z ziemie
Głaz polny jedną ręką — tak ogromne brzemię,
Iżby go nie dźwignęło dwu mężu, jak ninie
Bywają śmiertelnicy. — Lecz on sam nim kinie,
Ajnejasa nim w biodro tam ugodził prawie,
Kędy udo w biodrowym obraca się stawie,
Co też miednicą zowią. Miednicę więc głazem
Roztrzaskał mu — i ścięgna obadwa zarazem
Porozrywał, a przytem i skórę na biedrze
Do żywego mu kamień kończysty obedrze.
Bohater padł na klęczki, ręką się do góry
Mocarną wsparł o ziemię, a nocy ponurej
Pomroka już na oczy zewsząd mu zapada.
I byłby tam Ajnejas padł, co mężom włada,
Gdyby nie Afrodite stała mu w odwodzie,
Córa Zeusowa, macierz, która go przy trzodzie
Anchizowi powiła. Śnieżnemi ramiony
Tuląc miłego syna, promiennej zasłony
Fałdami go zakryła i w bełtów nawale
Schron mu dała, by który z rozpędzonych w cwale
Achajów poprzez piersi swym spiżowym grotem
Przebiwszy, nie rozdzielił go do cna z żywotem,
Aż i z walki miłego precz uniosła syna.
— Lecz Kapaneuda zleceń też nie zapina,

Które Diomed gromki zdał mu namienicie:
Swe konie z niedzielonym rogiem na kopycie
Zawściągnąwszy z odmętu, wodze przy rydwanie
Uwiązał do poręczy i nieomieszkanie
Ajnejowe rumaki bujnogrzywe żenie
Od Trojan ku Achiwom, co spiżem golenie
Mają pancerne. Zatem pieczy je powierza
Deipyla, miłego swojego rycerza,
Co nad wszystkich w drużynie był u niego wzięty,
Iż umysł miał stateczny. Ów, kędy okręty
Wydrążone leżały — pognał konie w pędzie.
Aliści sam bohater tymczasem dosiędzie
Własnego swego wozu, lśniące ima lejce
I parł mocnokopytne konie na Tydejcę
Kwapiąc się za nim. Ten zaś trop w trop za Kypridą
Uganiał i spiżową bezlitosną dzidą
Sięgał k'niej, po tem bowiem rozeznał ją snadno,
Że była nierycernem bóstwem, ani żadną
Z tych bogiń, które mężów na bój dziki żeną:
Ni Enyo, zgubnicą miast, ani Atheną.
Dotarł do niej pogonią wśród gęstego tłoku
Syn wielkiego Tydeja, rzucił się w poskoku
I rozmach z góry wziąwszy, spuścił ostry brzeszczot
Na rękę jej gładziuchną i nawykłą pieszczot.
W mig oszczep wyżej dłoni uwiązał w ciało wbity
Przez giezło boskie, które utkały Charity.
Zaraz krew nieśmiertelna oblała boginię:
Mlecz przeźroczy, co w żyłach szczęsnym bogom płynie,
Gdyż ani chleb ich jadłem ni napojem wino,
Stąd jako nieśmiertelni a bezkrwiści słyną.
Z krzykiem okropnym syna puściła zraniona,
Ale Fobos Apollo podjął go w ramiona,
Więc błękitnym obłokiem przesłonił i w cale
Zachował go, by który z rozpędzonych w cwale
Achajów poprzez piersi swym spiżowym grotem
Przebiwszy, nie rozdzielił go do cna z żywotem.

Jej zaś Diomed gromki wrzasnął wielkim głosem:
— »Uchodź Zeusowa córo przed wojen pokosem,
Jeszcze-ć mało, że słabe uwodzisz podwiki?
Wierę, jeżeli w bój się mieszać będziesz dziki,
To takiej przed nim trwogi napędzę ci jeszcze,
Że gdy słychniesz o boju, trząść będą cię dreszcze!«
Rzekł. I uszła struchlała, znękana do głębi.
Iris ją wiatronoga z wojennej kotłębi
Wziąwszy, uniosła zgiętą pod żalów uciskiem,
Z gładkiem ciałem z poboczy. Tam, za bojowiskiem
W lewo znaszły Aresa: ogromiec ponury
Siedział, oszczep i rydwan w czarne skrywszy chmury;
Brata błagalną prośbą na klęczkach oblęży
Bogini — o rumaki w złocistej uprzęży:

(C. d. n.)

Lucyan Rydel.

Wpływ „transfiguracyi“ Słowackiego w r. 1842/3

na nową koncepcyę bohaterstwa w „Księdzu Marku“ i „Śnie srebrnym Salomei“.

(Ciąg dalszy).

— —

Z dziełem Tretiaka weszliśmy w ostatni okres badań naukowych nad poezyą Słowackiego. Teraz zbliża się już stuletnia rocznica urodzin poety. Tętno sympatyi dla twórcy »Króla Ducha«, zwłaszcza wśród t. zw. »młodej Polski« i zwolenników nowych haseł w sztuce, uderzać poczęło coraz silniej i... coraz gwałtowniej. Stanowisko, zajęte przez prof. Tretiaka w jego książce o »duchu« Słowackiego, poczęło się wielom niepodobać. W pobudki kwasów wchodzić nie myślimy, bo często nie miały one nic wspólnego z nauką i tkwiły zupełnie poza jej nawiasem. Pomimo niepomyślnych okoliczności przyniosły te lata ostatnie obfity plon studyów nad życiem i twórczością poety. Krótko streszczając ich wyniki, zaznaczamy, że właśnie okres »mistyczny« i płody tego okresu budzą największe zajęcie badaczy. Chcąc uwydatnić różnicę — więcej powiem — przepaść, dzielącą ocenę pojęć mistycznych Słowackiego, wypowiadaną przez historyków literatury i krytyków dawniejszych, a najnowszych tłumaczów tych pojęć, podaję w całości pogląd prof. Brücknera, którego »Dzieje literatury polskiej w zarysie« (Warszawa, 2 tomy) wyszły r. 1903., jako ostatnia po Chmielowskim i Tarnowskim książka, obejmująca całokształt piśmiennictwa polskiego, przedstawionego samoistnie, ory-

ginalnie[1]. Autor jej tak ocenia »transfiguracyę« Słowackiego w dobie przejściowej między r. 1842—44:

»(Słowacki) przedzierzgnął się nagle w towiańczyka r. 1842. Z mistrzem poufaliło go najpierw wysokie znaczenie, przypisywane natchnieniu, światłu górnemu, trąceniu Duchem; któż mógł je lepiej ocenić, niż on, »syn pieśni, syn królewski«? Nęciła nauka o duchach światłych i ciemnych — tego, na którego »z grobów ojczystych patrzą blade twarze«, a od którego srebrny anioł i złoty duch dobrej rady odganiają czarne Cherubinów stada. Kto mit o Popielu tworzył, ten w metampsychozę, w wędrówkę duchów, w stopniowe podnoszenie się lub spadanie z góry musiał uwierzyć. Lecz nie fantazya sama odgrywała tu rolę, kazała mu apostołować wszędzie, w łonie własnej rodziny, u Krasińskiego i innych; pod wpływem nowej wiary odmienił się człowiek, wylinił się z dawnych przywyczek czy nałogów. Zapomniał o sobie samym, nie dbał już o pozory, wygody, przyjemności; służył innym, pozbył się wszelkiej wrażliwości...; nie łaknął już sławy osobistej; wszedł w siebie, spokorniał i skruszał. Przepajał się miłością do ludzi, wymagał coraz więcej od siebie, coraz mniej od innych, przeanielał się za życia. Wiarą, wyznawaną dotąd raczej ustami, fantastyczną i kapryśną nieraz, jak jego miłość ojczyzny, przejmował się coraz rzetelniej, chrześcijanił się zupełnie«[2].

Tak się objawiła nagłość przemiany w życiu poety, charakterze, usposobieniu — czyli pod względem moralnym. Ale prof. Brückner określa też dalej wpływ tej moralnej »transfiguracyi« Słowackiego na jego twórczość poetycką najbliższych lat:

»W miarę jak zyskiwał człowiek, tracił na razie poeta: umysłowo tem wyłączniej czynny, pożerający co niemiara dzieł filozoficznych i przyrodniczych, piszący nadzwyczaj wiele, pozbywał się zrazu krytyki, rozwagi, puszczał się ślepo za natchnieniem chwilowem, gorączkowem. Przejęty boskością natchnienia, nie starał

[1] Nie uwzględniam dzieła H. Biegeleisena: »Illustrowane dzieje literatury polskiej«, Wiedeń, tomów 5, bo to praca kompilacyjna i płytka. Por. t. v, p. 286—289!

[2] O. c. II, 154—155.

się zrazu kontrolować go, uważał się niby za naczynie, przez które się to natchnienie tylko przelewa: »jak szalony, piszę prędko... pisałem tak, żem się aż zmęczył i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą«. Wyznawał sam: »ja sobie żadnego z moich utworów teraźniejszych wytłumaczyć nie mogę, nie wiem bowiem, skąd przychodzą i dokąd idą«; były to improwizacye raczej, niż utwory sztuki. Wyprzedzało je tłumaczenie »Księcia Niezłomnego«; do mistyka-dramaturga hiszpańskiego przyciągało Słowackiego od dawna wiele spólnego: ów żar namiętności, wylewający się w burzy słów i porównań, egzaltowane uczucie, nadludzkie charaktery, cierpienia i czyny. Formą Calderona przejął się teraz poeta i w niej utworzył »Księdza Marka« i »Sen srebrny Salomei«. Wydała je Iliada barska; ciąg dalszy »Beniowskiego« wylał się znowu w formie dramatycznej, do której poeta zawsze nawracał. Ze wszystkich tych prac tylko ów przekład trwałym nabytkiem dla literatury pozostał nie dla wierności i dokładności, lecz dla znakomitego utrzymania się w tonie namiętno-mistycznym Hiszpana, a raczej w prześcignięciu jego. Zato grzeszą oba dramaty, barski i hajdamacki, rozwlekłością dykcyi: wezbrany, mętny potok słów wylewa secinami wierszów, rozrywa wszelkie tamy dramatyczne, uniemożliwia efekt sceniczny; nieprawdopodobieństwem akcyi, piętrzącej okropności na okropnościach (odzieranie z pasów, palenie żywcem) lub cudami samymi się toczącej, jaskrawej zawsze, przerażającej dziwacznością albo raczej brakiem motywowania, niekonsekwencyą charakterów. Beniowski, zdrowy i silny ustąpił; miejsce jego zajęli wizyonerzy-prorocy, cudotwórcy i lirnicy-czarodzieje, ks. Marek i Wernyhora; dalej tłoczą się figury hajdamackie, wrogowie konfederacyi, tępiciele buntu; od nadmiaru osób, cudów, dzikości omdlewa uwaga czytelnika, bierze go wkońcu niesmak, przesyca się wstrętem tych scen nocnych, ginących w półświetle fantastycznem, przelewających się krwią i łzami, ponurych, rozdzierających nerwy. Ginęły w tym nawale grozy i przerażenia pojedyncze, wzniosłe słowa (o wszechmocy miłości chrześcijańskiej), wymowne ustępy, porywające sceny o sile niepohamowanej, tajemnicze wywody (np. Wernyhory) i myśli głębokie,

ukryte raczej, niż jawnie wypowiedziane, osobliwsze zamiary i cele. Najniżej (?) stanął »Ksiądz Marek«, mimo wyniesienia potęgi słowa i ducha, nieznających szranek cielesnych czy materyalnych, płodzących cudy; przez ks. Marka i Judytę działają siły nadprzyrodzone, jak i przez słowa poety: jak oni za swe czyny, tak on za swe słowa jest nieodpowiedzialny; akcya przybiera więc cechy żywiołowej, elementarnej i budzi, właśnie na scenie, porywające zajęcie — »poemat« ten »dramatyczny« jest sceniczniejszy, niż dramaty autora; sama jego akcya jest bezpośrednią propagandą towiańszczyzny, wiary w duchów i cudowność, wyrażonej owym pysznym językiem poety. Niebawem jednak ochłonął nieco poeta z tego żaru i ostro siebie osądził... Krótkim wierszem Calderona, urywanym niby, zawładnął znakomicie, lecz dawał się unosić niepohamowanemu rozpędowi słowa, do którego się godnie dostrajały uczucia najprzesadniejsze, ekstatyczni ludzie, niby zstępujący z płócien Ribeiry, orgie i szały myśli i czynów, wyłaniające się z tła najposępniejszego, tonącego w nocy ponurej, oświetlanej błyskawicami, ogłuszanej grzmotami« [1]. Następnie przechodzi berliński profesor do drugiej części mistycznego okresu twórczości Słowackiego po roku 1844.; i tak samo, jak to uczynił w części pierwszej, w ostro odrzynających się zarysach, a stanowczych, nie dopuszczających innej interpretacyi pomysłów poety, określeniach i sądach wypowiada o tej dobie swój, zdaje się, nieodwołalny wyrok.

Teraz wchodzimy w ostatnie, najnowsze stadyum badań, rozpraw, roztrząsań i prac syntetycznych o mistycyzmie twórczym Słowackiego. Najwcześniejsze z nich to artykuły różne o Słowackim, pisane przez prof. Tadeusza Grabowskiego dla *Biblioteki Warszawskiej* od r. 1905. Z pierwszej ich części złożył się już osobny tom p. t. »J. Słowacki. Jego żywot i dzieła na tle współczesnej epoki« (Kraków 1909, t. I.), ogarniający całość życia i pism poety do »Anhellego« włącznie. Z II. tomu dopiero kilka ogłoszono ustępów w owem czasopiśmie, mianowicie: r. 1907. w t. I. str. 534—574 *Biblioteki Warsz.* artykuł p. n. »Kilka lat z życia

[1] O. c. II, 155—156

Słowackiego, 1837—1842.«; a r. 1908. w t. I., str. 88—110 i t. II. str. 73—96 i 354—384. dalszy ciąg tego samego okresu p. t. »Słowackiego lata ostatnie, 1843—1849«. Tutaj przytoczę jeno z pierwszego artykułu ogólną charakterystykę mistycyzmu poety, jak go pojął prof. Grabowski; drugi artykuł, w którym już spotykamy ocenę »Księdza Marka«, »Snu srebrnego« i przekładu »Księcia«, w dalszych częściach tej pracy będzie omówiony. Już w r. 1902. zarzucił temu krytykowi p. Chmielowski [1] w recenzyi jego pracy o L. Osińskim »pewne rozpierzchanie się określeń i rozumowań«. Wada ta, zdaje się, jest właściwością temperamentu krakowskiego profesora, gdyż widać ją i w dziele o Słowackim: utrudnia ona w wysokim stopniu zrozumienie i ujęcie myśli i odczuć autora, bardzo oczytanego, zwłaszcza w romantycznej poezyi europejskiej, i sięgającego nieraz w głąb dusz swą intuicyą krytyczną. Wybujały, obrazowy, gorący koloryt stylu i zawikłana budowa zdań (nie zawsze poprawna) są już wynikiem tamtej wady...

Samą istotę transfiguracyi Słowackiego po 12. lipca 1842. i jej objawy tak w całym nastroju duchowym, jak i w twórczości poety, kreśli prof. T. Grabowski w następujący sposób [2]:

»Istnienie Boga, świata, złego, duszy ludzkiej i jej stosunku do otoczenia, rozwiązywał dotąd (Słowacki) zgodnie z teoryami, młodości i idealistów niemieckich, które godził z wiarą gorącą i entuzyastyczną. Teraz nabył tylko silniejszego przekonania, skoro zetknął się z człowiekiem, który niejasne wyobrażenia streścił w systemie (?) określającym wyraźniej to, co mówili Swedenborg i Saint Martin. Jak poglądy na pokrewieństwo uczuć, dźwięków, barw brał niewątpliwie od mistyków, tak i jego stosunki z duchami zbliżyły go od razu do tego, który, jak Lamennais, wieścił nową epokę ducha, nowe objawienie... Towianizm nie był czemś nagłem i nieoczekiwanem, ale stanowił zwycięstwo tego prądu, który był w nim od dawna... I wtedy ogarnęło go takie uczucie radości, entuzyastyczne i szalone, że ostateczne wyanielenie tego

[1] Obacz »Pamiętnik literacki«, r. 1902, t. 1, p. 174.
[2] Obacz w *Bibliotece Warszawskiej* r. 1907, t. 1, p. 557—560.

czystego ducha, który otrząsł z siebie ziemski brud i słabości, dokonało się bez trudu (?). Jego małe i biedne serce zapragnęło pomieścić ludzi miliony, być dla nich zbroją i piorunem; ofiarować swe szczęście dla dobra drugich, a za to osiągnąć spokojność, moc, szczęście. Precz z umarłymi dla nowej wiary! droga ducha jest jedną i pokój ludziom, miłującym ofiarność i poświęcenie; oni zwyciężą i przetrwają wszystko, jak poeta, który modli się, jak kiedyś na grobie Chrystusowym, — jak zapewne modlił się w wileńskim kościele w dniach szczęsnej młodości... I rzeczywiście był odnowionym wtedy do głębi: z niebem w duszy, ze światłem w oczach, z sercem, wzniesionem ku niedościgłym wyżynom... Pożądanie boskiego, dreszcz nieskończoności, żądza czynu patryotycznego nigdy wyraźniej nie zaznaczyły się w poezyi Słowackiego, jak teraz... Jego ogólnikowa i panteistyczna religijność romantyka zamieniała się w coś określonego, w czem tkwiły pierwiastki chorobliwe, ale i niewypowiedzianie czyste, — co polegało na życiu z Bogiem, na łączeniu się z Bogiem w sposób ścisły i poufały... (Dusza poety) starała się wierzyć, jak dziecko i asceta, bezwzględnie i potężnie, — szukać wrażeń rzadkich i znanych tylko mistykom... Nie była to ekstaza przelotna, jak kiedyś w Jerozolimie,... ale trwała upojeniem, zwycięska zwycięstwem nad materyą i nad sobą... I oto dlatego słowa cisnęły mu się pod pióro, jakby w zachwyceniu; woń jakaś uroczysta płynęła z tej poezyi, podobna do świec, płonących w ciemnym pokoju, lub srebrnego wieńca dźwięków, wznoszących się z rozkołysanych modlitwą wieczorną dzwonów« [1].

Po dłuższym dyskursie o mistyce Plotyna, Swedenborga, Saint Martina, Boehmego i Towiańskiego wraca znów prof. Grabowski do ówczesnej twórczości autora »Ks. Marka« pod wpływem owych fantasmagoryi mistycznych [2]:

»Bezmiar go (Słowackiego) uspokoił: podziałał na pogłębienie myśli, na potęgę czucia, na siłę marzenia; dał tej poezyi płynność,

[1] Wyznam, że oba te porównania, polegające na modernistycznej transpozycyi wrażeń zmysłu powonienia na wrażenia wzrokowe i słuchowe — nie przyczyniają się chyba do rozjaśnienia pojęć!

[2] O. c. p. 565—573.

mrok, tajemniczość, sławę, charakter apokaliptyczny, rozmiary olbrzymie, które nie były dekoracyą, uspokającą oczy, ale istotnie tworem najwyższym duszy genialnej, jak tworem sił natury są niebowstępne turnie tatrzańskie, lub rozłożyste i wiejące morzem traw i kwiecia stepy ukraińskie. Dążenia niewstrzymane tej duszy stworzyły teraz takie postacie, wydobyły takie obrazy, że dawniejsze natchnienia wydawały się czasem muzyką... mazurka lub romanzy w porównaniu z wstrząsającymi akordami rapsodyi lub sonaty... Ta poezya straciła wdzięki zmysłowe, nabrała kształtów ascety, oczy kryształiły się, jako szafir, a rany paliły się, jak u największego mistyka chrześcijańskiego, na rękach i nogach. Przyszła do wichrem zbitego wędrowca... rozpogodzić duszę samotnika... Mimo płomiennych ran była wesołą i rękami złotemi sypała litosną miłość, by wieścić czas nowy i przestrzegać od zmazania ust światowym piołunem... Rozczytany w mistykach, nie mógł poeta rozumieć, że chrześcijańskie poistnienie[1] wyklucza przedistnienie (platońskie) i wyobrażał sobie, że dusze ludzi przeznaczone są na to tylko, by walczyć z otaczającą materyą; że poznanie, które posiadamy, jest tylko przypomnieniem; że zadaniem poety-mistyka jest dusze z więzienia uwolnić, co da się urzeczywistnić przez filozoficzne myślenie i pogardę zmysłowości... W ten sposób poetyzowanie przemieniało się w wizyę apokaliptyczną,... poezya nabierała kolorów ciemnych,... przemawiała symbolami i parabolami,... stawała się urywaną i gwałtowną, rzucając obrazami, tryskającymi z wyobraźni w sposób mało wspólny z dawniejszym... Indywidualistą nie przestał być i teraz, ale... wzniosłym w dążeniu do udoskonalenia i malującym siebie w sposób, który okazuje go istotnie wyanielonym... Stawał się podobnym do świętego i gdy tworzył w podniesieniu ducha, wpatrzony w nieskończone bezmiary, z którymi obcował niby bezpośrednio, tworzył, jak św. Franciszek z Assyżu lub Giacoppone da Todi, jak prymitiwi włoscy lub Murillo. Giętkość, obfitość, łatwość, kolorystyka zdumiewały; a wszystko, co rzucał na papier, zdawało

---

[1] Przez »chrześcijańskie poistnienie« rozumie chyba autor życie zagrobowe duszy.

się nurzać w mętnych blaskach rembrandtowskich, w atmosferze mglistej Corregia. Sceny najwięcej mistyczne imponowały głębokością odczucia; ich wrażenie przenikało do głębi — i był Słowacki jedynym z poetów polskich, któremu udało się sprowadzić najlepiej niebo na ziemię«.

Chociaż — jak o tem przestrzegają myślniki (...) — starałem się liczne pleonazmy autora skrócić, ten cytat pomimo tego pozostał długi. Ale jest on konieczny dla tych, co się chcą dowodnie, na wiernych dokumentach, przekonać, po jakiej to linii szła ewolucya poglądów na t. zw. »transfiguracyę« Słowackiego. Cytaty te lepiej i ściślej, niż streszczenia, bo z całą świeżością i wprost odzwierciedlają interpretacyę duszy Słowackiego w latach mistycyzmu, właściwą różnym badaczom i czasom, a przez to pozwalają nam wierniej i głębiej wglądnąć tak w ducha twórczości poety, jak w nastrój i »transfiguracyę« samejże krytyki literackiej. To też do końca tej pierwszej części rozprawy posługiwać się będę tą samą metodą, co dotąd.

Z kolei następuje teraz biografia poety pióra Bronisława Chlebowskiego, zamieszczona w znakomitem pod niejednym względem wydawnictwie zbiorowem, poświęconem wyłącznie literaturze polskiej przeszłego stulecia, p. t. »Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki. Pod redakcyą B. Chlebowskiego, I. Chrzanowskiego, H. Gallego, G. Korbuta, S. Krzemińskiego« (taki skład redakcyi od tomu II.) w Warszawie. Tom I. wyszedł w r. 1906, II. i III. w r. 1907, IV, w którym znajduje się wymieniona już biografia Słowackiego, w r. 1908, więc niemal współcześnie z artykułami T. Grabowskiego o mistycyzmie poety. Tom V. zjawił się w r. 1909. i zawiera już trzeciego z naszych wieszczów, Z. Krasińskiego. Chmielowski[1] świadczy o B. Chlebowskim, że »podniosły, szlachetny idealizm w poglądach na zadania życia łączy się w spokojnym, rozważnym, lecz bardzo skłonnym do ryzykownych hipotez umyśle jego z trzeźwem pojmowaniem stosunków bytu rzeczywistego i wpływów, jakie strona materyalna na duchową wywiera. Stąd w pracach jego nie kwestya

[1] Obacz »Dzieje krytyki literackiej w Polsce«. 1902, p. 404.

piękności artystycznej utworów stawiana bywa na pierwszym planie, lecz zbadanie zagadnienia, jak życie realne odbijało się w pomysłach twórców, w ich poglądach etycznych, politycznych i t. p.... Niemniej obchodzą go źródła natchnień poetyckich«.

Jakżeż ten »trzeźwy, spokojny i rozważny« krytyk zapatruje się na lata »transfiguracyi« Słowackiego? Azali tak chłodno, jak Chmielowski i Brückner z pośród najnowszych historyków literatury? Czy podobnie sceptycznie i »pozytywnie«, jak oni? Wszak »duch czasu«, »atmosfera współczesna«, nie wywierają zwykle wpływu na tak zrównoważone temperamenty uczonych. Warto więc dać głos takiemu świadkowi. On nas bodaj swoim entuzyazmem nie będzie oszołamiał.

»W dniu 12. lipca 1841. r.(?) — powiada autor[1] — Nabielak, jeden z blizkich, życzliwych Słowackiemu..., zaprowadził go do Towiańskiego. O wrażeniu, jakie z tego zetknięcia wyniósł poeta, dostrojony do niego duchowo, świadczy skreślony nazajutrz, a tchnący niewymowną siłą zapału i prawdą uczucia wiersz: »Tak mi, Boże, dopomóż«. Niewysłowiona radość, pewność i ufność zwycięska tryska z tego tryumfalnego aktu wiary, okrzyku upojenia z ujęcia i rozwinięcia sztandaru sprawy Bożej. Zapominając o mistrzu i jego prawach do przewodzenia, poeta, wstrząśnięty piorunem nowej idei, czuje się głosicielem woli Bożej i przeznaczeń ojczyzny... Zestawienie tego wybuchu pragnień i nadziei odrodzonej duszy Słowackiego ze wspaniałym aktem wiary, jakim unieśmiertelnił Mickiewicz swój duchowy przełom (»Rozum i wiara«) w tym samym momencie życia swego (co do wieku), uwydatnić może najwymowniej przedział, dzielący te dwie dusze i scharakteryzować stosunek ich do Boga i społeczeństwa. Najnowszy biograf Słowackiego, prof. Tretiak, określa ten nowy okres w życiu duchowem poety mianem »transfiguracyi«. W istocie jednak jest to tylko ostatnie, najsilniejsze i najgłębsze z całego szeregu przekształceń, polegających na kolejnem przyswajaniu sobie przez twórcę »Króla-Ducha« nastroju uczuciowego, punktu widzenia

[1] »Wiek XIX. Sto lat...« t. IV, p. 214—216. Błędnej daty (r. 1841. zamiast 1842) nie umiem wytłumaczyć inaczej, jak pomyłką drukarską.

rzeczy, a w związku z tem — właściwości artyzmu całego szeregu mniejszych i większych duchów, których wpływowi się poddawał. Kolejno przejmował (Słowacki) nastrój duchowy Zaleskiego, Mickiewicza, Byrona, Dantego, Szekspira, Krasińskiego. Wkrótce spotkamy się z pełniejszem i świetniejszem, niż w poprzednich fazach, przyswojeniem znamion duchowych Calderona. Wpływ Towiańskiego, będący pośrednio wpływem Mickiewicza, tego duchowego ojca zasadniczych pojęć nauki mistrza Andrzeja, różni się od poprzednich tem przedewszystkiem, że wprowadza ducha poety w dziedzinę postaci, będących nie kreacyami artystycznemi, ale realnością, dla wierzących w nie naturalnie; — że wywołuje w jego duszy po raz pierwszy potężne rozbudzenie uczucia, z którego płynąć będzie odtąd szczerość, ciepło i siła przekonania, na jakich zbywało poprzednim kreacyom, powstającym z podniecenia wyobraźni; — że jakkolwiek i teraz jeszcze, jako artysta, podlegnie na czas pewien wpływowi Calderona, to odtworzenie właściwości mistrza hiszpańskiego przewyższy świetnością piękność oryginału... Rzecz naturalna, że, odebrawszy to potrącenie duchowe od Towiańskiego, nie pozostanie długo w gronie posłusznych i uległych mistrzowi; że jeden z najpierwszych, wcześniej daleko niż Mickiewicz, odłączy się, w poczuciu własnej potęgi duchowej, własnego, bezpośrednio od Boga otrzymanego posłannictwa. Nie robotnikiem pokornym, ale »aniołem Bożym«, »ojczyzny krzykiem« stać się teraz pragnie... Polot wyobraźni od razu Słowackiego uskrzydlił do samoistnego lotu i pobudził do odtwarzania artystycznego rozwidniających się przed oczami duszy tajemnic prawieku i zaświatowych sfer, zespolenia przeszłości ojczyzny z dziejami własnego ducha. Poświęcając jeden ze swych wierszy [1] Towiańskiemu, określa poeta wpływ jego temi słowy: »Temu, który nie słowy ni nauką, ale przyjściem swojem i zapowiedzeniem sprawy Bożej ducha mojego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy [2] dopomógł«. Dalej zaznacza, że z całej nauki

[1] Według Tretiaka. O. c. I, 391. jest to wiersz w wyd. Gubrynowicza i Hahna I, 114.

[2] »Wiedza« — jak sądzę — znaczy już tutaj to, co w »Genezis z Ducha« — »widząca wiara«.

mistrza dla niego znaczenie ma ta jedna, równie jak odkrycie Kopernika, prawda, — »że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest«... Patrząc z takiego stanowiska na swoją przeszłość i swe przyszłe zadania, ze wstrętem i politowaniem ocenia własne poprzednie fazy duchowe, bajronizm zwłaszcza, — swe nawyknienia i upodobania światowe, — wreszcie swe dawniejsze utwory. Stosunek do ludzi i współrodaków ulegnie zupełnemu przewrotowi. Donosząc matce w liście z 2. sierpnia 1842. r., że »świat glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg« zniknął zupełnie mu z oczu, dodaje: »Wiele nadziei zwiędłych Boża miłość i łaska ożywiła we mnie; już nie wyrzekam, ale ufam... Otoczył mię krąg ludzi kochających; kosztuję nowego stanu duszy; zdaje się, że błogosławieństwo Boże jest nade mną«... Zapał neofity, który w związku z »kolumnami duchów« i Bogiem znalazł nieznane mu dotąd rozkosze uczuć religijnych, wraz z przeświadczeniem o dostojności własnego ducha, wytworzy nowy, nieznany dotąd duszy poety nastrój heroiczny i nowy pęd wyobraźni, cechujący cały szereg świetnych dzieł tego ostatniego i najwyższego okresu twórczości. Wynikiem tego nastroju będzie przekształcenie pomysłów, wysnutych przy pracy nad dalszym ciągiem »Beniowskiego«, w heroiczno-mistyczne dramaty: »Ksiądz Marek« (Paryż 1843.), »Sen srebrny Salomei« (Paryż 1844.), tudzież to cudowne zespolenie własnego nastroju z heroizmem mistycznym Calderona w przekładzie »Księcia Niezłomnego« (Berlin 1844.). Z dwóch oryginalnych dramatów tylko w pierwszym znajdzie poeta w ks. Marku, Judycie, Kossakowskim, K. Pułaskim postacie, w które będzie mógł wcielić swój heroizm, upojenie nawróconego, pęd wyobraźni, odurzonej nowością niedostępnej jej dotąd dziedziny; we »Śnie srebrnym« królować zaś będzie wyobraźnia, gospodarująca swobodnie w otwartej i rozjaśnionej srebrnym blaskiem mistycyzmu krainie snów, widzeń, — tworzącej taki kontrast z rzeczywistością życia szlacheckiego krwawym blaskiem pożarów i rzezi hajdamackich«.

Po tem, zwartem w słowach, a bogatem w treść, przedstawieniu »transfiguracyi« poety przechodzi autor do bardzo traf-

nej i głębokiej oceny wymienionych wkońcu trzech dramatów, o czem pomówimy później, w dalszej części tej pracy. Widzieliśmy, że żaden z »trzeźwych« krytyków — prócz Zdziechowskiego i Grabowskiego — nie oceniał twórczości poety z r. 1842/3 tak przychylnie, z taką sympatyą i czcią niemal, jak również »trzeźwy, spokojny i rozważny« Chlebowski. Tyle na razie stwierdzamy. — Z tą biografią dotarliśmy już do progu jubileuszowego roku poety. Rok ten ożywił niezmiernie badania nad Słowackim i wzbogacił literaturę o nim w wysokim stopniu. Naprzód wyraziło hołd swój poecie nauczycielstwo szkół średnich, dając w »Księgi pamiątkowej« trzech tomach aż 50 rozpraw (Lwów 1909.) Wsród tego mnóstwa prac jest tylko jedna »Próba syntezy« d-ra M. Janika (t. II.), rzecz zupełnie chybiona, bo jest zlepkiem jedynie wyrwanych na chybi-trafi zdań Słowackiego, zawierających jego nieprzychylne Kościołowi, duchowieństwu, religii katolickiej luźne powiedzenia — lub dające radykalny komentarz do wzniosłych i dostojnych pojęć poety o wolności, komentarz przypominający agitatorskie występy dla zyskania tanich oklasków galeryi. Oczywiście nie przyczyni się taka »próba syntezy« do lepszego zrozumienia pism i ducha poety, ani też nie jest hołdem, złożonym twórcy »Genezis z Ducha«. Zresztą mistycyzm poety jest dla d-ra Janika rzeczą obojętną (str. 95.); to też wyraża się on o nim lekceważąco.

Poza tem »Księga« przynosi dwie rozprawy, odnoszące się specyalnie do naszego tematu: w t. I. prof. J. Kantora: »Ksiądz Marek w dziełach J. Słowackiego i A. Mickiewicza« i w t. II. prof. K. Kobzdaja: »Czasy barskie w poezyi Słowackiego«. Tylko pierwsza z nich ma pewne pokrewieństwo z tematem, przeze mnie podjętym. »Snu srebrnego« nikt szczegółowo nie opracował. A o wpływie Calderona pisał tylko ogólnie, jeszcze w r. 1905., p. M. Szyjkowski w *Bibliotece Warszawskiej* (t. III. 14—55.) w artykule p. t. »Słowacki a Calderon«.

Współcześnie niemal z artykułami prof. T. Grabowskiego, bo w r. 1907., poczynają się pojawiać w czasopismach rozprawy prof. Jana Gwalberta Pawlikowskiego, które po ostatecznej rewizyi i dopełnieniu pojawiają się w druku w r. 1909., we Lwowie p. t. »Studyów nad Królem-Duchem część pierwsza: Mistyka

Słowackiego«. Jest to najobszerniejsza, dotąd najbardziej wyczerpująca i jedynie w celu naukowo-literackim podjęta praca nad najmroczniejszą dobą życia i działalności pisarskiej poety, oparta o nader rozległe tło porównawcze podobnych mistycznych prądów i zjawisk w dziejach ludzkiego ducha. Autor podjął się tych mozolnych studyów w celu utorowania drogi tak sobie jak drugim do zrozumienia tajemniczo-mistycznego świata »Króla-Ducha«, poematu, który i p. Pawlikowskiego i współczesnych wielu czaruje i pociąga swą kuszącą otchłanią artystycznego piękna. W dziele tem chodzi autorowi nie o »rodowód mistyki Słowackiego, ale o wprowadzenie czytelnika w świat idei, do którego ona przynależy i z którego wyrosła... o obraz środowiska ideowego« (str. VI.) W tym celu prof. P. określa naprzód »podłoże duchowe«, na którem się rozwija mistyka poety, i to jeno w rysach zasadniczych, kładąc szczególny nacisk na początek przełomu w życiu poety, od zmężnienia jego charakteru około r. 1840., który to przełom dokonywa się ostatecznie przez przyjęcie towianizmu, przynoszącego nowy ton duszy poety i nowy do sztuki stosunek (str. 3—27.) Na dwa ustępy tego I. rozdziału powołać się muszę, bo dają nam one nowy poniekąd kąt widzenia »transfiguracyi« z r. 1842/3.

»Jest w życiu mężczyzny — mówi autor »Mistyki« na str. 9 — chwila przełomowa, która kończy młodość, a zaczyna wiek męski. Na miejsce narcyzowego egotyzmu młodości, lubiącej się przeglądać w strumieniu życia, występuje indywidualizm z żądzą opanowania nurtu tego strumienia. Miękka plastyczność duszy, która daje się ugniatać wpływom zewnętrznym, roszcząc przytem pretensye do niezależności, ustępuje mniej pretensyonalnemu, ale twardszemu materyałowi. Uczuciowość, lubująca się w sobie i przez to nie wolna od pozy i złudzeń co do własnej głębi, nabiera teraz tej głębi i pod rylcem wrażeń nie ugina się już ale żłobi. Niepokój, który nawet szczęściu nie daje cechy pogody, a nieszczęścia rysy kamienne uruchamia, odbierając im surowość — ustępuje spokojnej powadze, która zna najgłębszy nastrój szczęścia — pogodę... Na tym przełomie dusze jedne rosną, inne karleją. Rosną te, które uniosły z sobą za ten próg życia idealistyczne

pierwiastki: karleją te, dla których ów próg jest zejściem na poziom codzienności, w towarzystwo »zjadaczy chleba«. Słowackiego epoka przełomowa przypada około r. 1840, bezpośrednio po wydaniu »Anhellego«, »Balladyny« i »Lilli«, w przeddzień napisania »Beniowskiego«... Są to dzieła nie tylko o głowę wyższe od wszystkich (z małymi wyjątkami) poprzednich, ale zarazem samoistne... Owa samoistność jest pierwszem znamieniem wewnętrznego przełomu. Drugiem jest zmiana temperamentu, widoczna z listów. Pisze poeta do matki w lutym 1841 r., że »stał się spokojniejszym, weselszym prawie, w wielu rzeczach mniej niecierpliwym«. Dlaczego?... »Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał i to mi daje dziwnie dumną spokojność«... Schlebiające próżności powodzenie i kolorowanie świata błyszczącą wyobraźnią nie mogły mu teraz wystarczyć. A życie wokoło miało tyle czczości w sobie! Kłótnie i swary, plotki i zawiści, małostkowe ambicye, hałaśliwe i czcze gadaniny, projektomania; obrzucanie się błotem, cały ten jarmark emigracyjny, z którego przynosiło się tylko »uszy pełne stuku« w puste, chłodne ściany swego mieszkania! To wszystko trawiło i żarło dusze z natury niespokojne i gorące... I wtedy przyszedł człowiek »z dobrą nowiną«, Towiański!

Dla Słowackiego przystąpienie do towianizmu przedstawia się nieco odmiennie, niż dla ogółu innych. Tamci prawie wszyscy przeszli rodzaj nowicyatu (... grono Braci Zjednoczonych od 1834, Bractwo Służby Narodowej, B. Jański). Słowacki nie należał do tych związków i obrzucał je wzgardliwem mianem jezuityzmu. On tego nowicyatu nie przechodził... wszedł w towianizm nie jako sekciarz, ale tylko jako człowiek... poczuł piękność idei i stanął przy niej, miłość i piękność go tu przywiodły... I jako człowiek, godność swoją... szanujący, potem odszedł, gdy tamci »epidemiczną chorobę« do siebie wpuścili... a jako poeta dał towianizmowi od siebie... nieśmiertelność. Cóż bowiem zostawił po sobie towianizm, coby godne było pamięci wieków, jeśli nie ziarno, które skiełkowało w »Genezie« i w »Królu Duchu«? W życiu — parę czynów, o których naród przez wzgląd na Adama radby zapomnieć, i zresztą rozpaczliwą bezpłodność; w literaturze — trzy tomy beznadziejne banalnych morałów pana Andrzeja (Towiańskiego)...

no i bądź co bądź — ostatni tom prelekcyi Mickiewicza. Słowacki apostata towianizmu, jest jego (?) najpiękniejszym kwiatem i owocem... Samo już przystąpienie do grona braci było aktem zaparcia się i miłości. Wszakże to w przeważnej części byli ludzie, od których ucierpiał wiele... niesprawiedliwie. A pokora nie przychodziła mu łatwo... Za złe mu wzięto, gdy nie prosił zastępcy mistrza o medalik, nie chcąc naśladować aktu całowania nóg (Mickiewicza)... Że ten akt nie był wybuchem odruchowym, dowodzi wypadek formalnego zapisania się jednego z braci w poddaństwo Towiańskiemu, czemu nikt nie przyganił, a co mistrz sam przyjął! Jak w tej sprawie, tak i w innych Słowacki stanął o głowę wyżej od całego grona towiańczyków, a to zarówno rozumem jak sercem. Wiadomo, co go z tego grona wytrąciło. *Veto*, które założył w »kole« przeciw dążnościom rosyjskim, przynosi mu zaszczyt!... Biografowie poety, prawie bez wyjątku, mówią o nadzwyczajnej jego w tej epoce wrażliwości i rozdrażnieniu nerwowem. Stan jego duszy określają jako chorobliwy i anormalny... Bynajmniej nie będę usiłował dowieść, że to, co pozostaje (po odrzuceniu plotek) ma absolutnie »normalny« charakter... »Normą« zaiste taki duch być nie może... Gdyby wszystko płonęło, światby zgorzał! Ale co poczęlibyśmy bez ognia?... Toż nie chodzi mi o określenie normalności i anormalności,... (lecz) o pozytywną prawdziwość objaśnienia psychiki poety. Piszący o niej popadają pospolicie w dziwny błąd logiczny. Ponieważ stan ekstazy uważają za sprzeczny z objektywizmem myślenia, przeto... traktują go jako objektywnie nie istniejący... Upicie się »duchem Bożym« jest to bowiem coś zbyt dalekiego pojęciom tych panów, ażeby mogli w nie uwierzyć«...[1]

Pod koniec tego I. rozdziału swej książki zaznacza autor, że ostatecznym objawem, najbardziej znamiennym w epoce mistycznej twórczości poety, jest to, że dawniej pobudki do tworzenia przychodziły Słowackiemu zwykle od dzieł cudzych, a teraz wydobywa on z zasadniczej myśli swej filozofii (w »Genezis«) nieskończony potok natchnień własnych, z wiarą proroków objawionych,

[1] Pawlikowski: »Mistyka«, p. 9—26.

nowych. bo natura jego zakwitła sama z siebie po raz pierwszy. Zmiana wewnętrznego nastroju duszy prowadzi poetę stopniowo do zmiany poglądu na świat. Zwięzłe określenie dogmatycznej i historycznej strony tego poglądu daje nam prof. P. w rozdziale drugim (str. 28—103.). Zródła zaś i pokrewieństwo tej mistyki Słowackiego z analogicznymi prądami w mistyce innych narodów i literatur stanowią ostatnią, najobszerniejszą część dzieła (104—542), a w niej zasługą autora zasadniczą jest nowy pogląd na polski »mesyanizm«, który dopiero prof. P. powiązał porównawczo z podobnemi zjawiskami w dziejach kultury europejskiej. W zakończeniu swej cennej pracy wyprowadza autor ostateczne cechy mistyki Słowackiego. Uznaje ją za »wysoce oryginalną«. Takim oryginalnym w niej rysem jest »zastąpienie panteistycznego światopoglądu koncepcyą indywidualistyczną wolnych i niezależnych duchów Słowa, a w związku z tem pomysł duchowego przewodnictwa i pomysł solidarności stworzenia. A tam, gdzie pomysły jako takie znajdują swoje blizkie analogie, to zupełnie oryginalnym jest sposób ich poetyckiego wyzyskania (np. anamnezy, przyszłej formy świetlnej). Cała ta mistyka ma ton zupełnie swoisty... konkretność i jasność (w poetyzowaniu przyrody)« [1]. Dodaje autor nakoniec ważne zastrzeżenie: »Daleki jestem od mniemania o równowartościowości czy równouprawnieniu mistyki jako sposobu myślenia. Za uprawniony uważam tylko jeden sposób myślenia, ten, który opiera się na trafnem spostrzeganiu i logicznem, a kontrolowanem przez doświadczenie rozumowaniu. Mistyka... takim nie jest... Rozpatrywałem ją tylko... w celu objaśnienia z niej poetyckich utworów« [2].

Z podobnego punktu widzenia na okres mistyczny w pisarskiej działalności Słowackiego zapatruje się jeszcze dr. J. Kleiner w swej pracy o »Królu Duchu« w »Pamiętniku literackim« z r. 1909. (str. 56—97) i kilku młodych krytyków wszechnicy lwowskiej, którzy w roku jubileuszowym poświęcili szereg swych rozpraw »Cieniom J. Słowackiego, rycerza napowietrznej walki.

[1] Pawlikowski: »Mistyka«, p. 543—544.
[2] O. c. p. 545.

która się o narodowość naszą toczy« (Lwów, 1909). Z niezmiernie żmudnej, filozoficznej pracy d-ra J. Kleinera wyłuszczam dwa momenty, stanowiące właśnie dla tezy, którą podjąłem, jakoby jej zawiązek czy punkt wyjścia. Pierwszy moment negatywny — to stwierdzenie spostrzeżenia, które przed paru laty również uczyniłem przy lekturze pierwszych trzech mistycznych dramatów Słowackiego (Ks. Marek, Sen srebrny i Książę Niezłomny) z uczniami kl. VIII gimnazyum chyrowskiego: że mianowicie przed napisaniem »Genezis z Ducha«, a więc przed r. 1844, utwory Słowackiego nie są wyrazem dążenia do jakiegokolwiek jednolitego systemu filozoficznego choć się już opierają o pewne, dające się określić idee moralno-religijne, a nawet historyozoficzne[1]; lecz pogląd poety na świat jest wprost owocem silnych uczuć i wrażeń religijno-mistycznych, a nie domaga się jeszcze bynajmniej swego logicznego uzasadnienia — czyli, podług mojego przekonania, nie widać jeszcze w działaniu poety ani jego dążeniach: sekciarskich zapędów do stworzenia jakiejś nowej religii, rzekomo katolickiej, lecz bez żadnych tajemnic, jakie katolicyzm zawiera i głosi otwarcie, a natomiast tajemnice owe niby rozwiązującej przez »widzącą wiarę«.

Drugi moment z tejże rozprawy d-ra Kleinera nazywam pozytywnym[2], a jest nim ta uwaga, że mimo pierwsze stwierdzenie i w »Ks. Marku« i w »Śnie srebrnym« tkwi pewien silnie uwydatniony element mistyczny, który można poniekąd uważać jakoby za zarodnię późniejszych, systematycznych koncepcyi mistyki Słowackiego.

Do tych dwóch od siebie dodaję jeszcze ten trzeci moment, że nieobecność sekciarskich zapędów — nie twierdzę przez to bynajmniej, żeby Słowacki nawet później, po r. 1844., całkiem jasno zdawał sobie z tego sprawę i był zupełnie świadom niezgodności tychże zapędów z nauką katolicką —

[1] Por. z tem »Pamiętnik literacki«, 1909, art. Kleinera: »Król-Duch«, p. 61. na dole.

[2] O. c. p. 59, ustęp przedostatni.

zawdzięczał nasz poeta gębokiemu przejęciu się »Księciem Niezłomnym«, i wogóle wpływowi Calderona. W tych trzech momentach zawarta jest dążność, a zarazem przedmiot dalszych części niniejszej rozprawy.

Z ostatniej czysto literackiej pracy o Słowackim w roku jubileuszowym w powyżej wymienionej książce zbiorowej uczniów wszechnicy lwowskiej, wyjmę kilka bardzo znamiennych miejsc.

W jej »Słowie wstępnem« pisze prof. J. Kallenbach [1]: »Coraz to szersze kręgi zatacza urok poezyi anhelicznej, coraz to dalsze obszary ulegają czarodziejskiemu berłu Króla Ducha... Wśród ciężkich trudów narodowego ucisku coraz lepiej rozumiemy, jakim skarbem wiecznotrwałym dla pokoleń znękanych stał się żywy i nieprzebrany zdrój natchnień Juliuszowych... Odkąd poezya Słowackiego zaczęła po raz pierwszy przenikać do szeregów warstw młodzieży, od czasów młodości Asnyka, Sienkiewicza i Konopnickiej, może nigdy jeszcze żadne pokolenie młodych nie opowiedziało się tak stanowczo i tak zapalnie przy chorągwi »rycerza napowietrznej walki«, nie okrzyknęło go z taką mocą przekonania swoim wodzem. Kult Słowackiego szerzy się wprost z żywiołową siłą, ogarnia młode serca, przenika dusze. Czar jego słowa upaja, a myśli jego dodają skrzydeł i unoszą w czarowne kraje nadziemskie. To uwielbienie najmłodszych dla Słowackiego jak jest najświetniejszym tryumfem poety, tak powinno być krzepiącą otuchą dla całego narodu. Młodzież, która Słowackiemu się oddała, która przejęła się jego czystemi natchnieniami, odwróci się ze wstrętem od wszystkiego, co nizkie i nikczemne. W dziedzinach Króla Ducha niema ani bagien z wodami trupiemi samolubstwa, ani malaryi z gorączką zmysłowych chuci; czyste tam wszędzie, krzepiące powietrze łąk i borów polskich, i jeden przeciągły szum wichru: *excelsior*! Trud jego ducha, żywota całego trud krwawy: to podważenie wieka trumny, aby Uśpionej nie brakło powietrza... Na młode barki trud ten święty spada. W żywym zdroju pieśni Juliuszowej zaczerpną oni sił do tej nieubłaganej walki, którą wy-

[1] »Cieniom J. Słowackiego«... p. I—II.

powiadają nam dziś na wszystkich kresach dawnej Rzeczypospolitej!«

Bez wątpienia: kult Słowackiego, pojęty z tego patryotycznego, etycznego i artystycznego stanowiska, jest zjawiskiem pocieszającem i krzepiącem ducha narodu znękanego tem, co nas otacza. Zobaczymy jednak później, a po części jużeśmy to zauważyli przy »próbie syntezy« d-ra Janika, że nie zawsze tak szczytne i wzniosłe pobudki są kultu tego źródłem... To też bardzo rozumna jest przestroga, ukryta w dalszych słowach prof. Kallenbacha: »Hołd młodzieży nie ma i nie może być tylko bezkrytycznem wybijaniem pokłonów przed ołtarzem poezyi«, ale winien być »rozumnie uzasadnionym i duchowo uprawnionym«.

I w istocie, dowodem, że wśród członków seminaryum literackiego wszechnicy lwowskiej zajęcie się Słowackim jest krytyczne [1] i polega na »zgłębianiu treści niespożytej« jego natchnień, są te piękne naukowe studya, jakie się na tę księgę zbiorową złożyły. Wśród nich cztery pozostają w związku z okresem mistycznym poety, albo zawierają przynajmniej charakterystyczne w tym względzie wynurzenia. Są to rozprawy pp. Kridla, Kleinera, Pochmarskiego i Kollera.

Tak np. Kridl wnika w nielogiczność krzyków na dzieło prof. Tretiaka (str. 2—8) i otwarcie piętnuje jedną z przyczyn ślepej i niewolniczej wiary w doktrynę towianizmu [2], przetopionego w ekstazy mistyczno-poetyczne

[1] Zaznaczył to słusznie prof. T. Grabowski w recenzyi tej książki w »Pamiętniku liter.« r. 1909, p. 403, w słowach: Książka powyższa »pozostanie trwałym dowodem, że atmosferę naukową stwarza się nie tendencyą, frazesem, efektem oratorskim, ale usilną i troskliwą pracą w seminaryach, gdzie wdraża się młode umysły w tajniki wiedzy, zaznajamia ze środkami tej wiedzy«...

[2] Zapędza się w tym kierunku najdalej p. Andrzej Baumfeld, który w szeregu pism, pełnych fanatycznego uwielbienia dla całej nauki Towiańskiego, usiłuje wszelkie jej fantastyczne mrzonki w duszę polską wszczepić. Widać to jasno z takich jego rozpraw, jak: 1) »A. Towiański. Dwa odczyty...« Lwów 1904. Nakładem »Odrodzenia«. Drukarnia Udziałowa, ul. Lindego 8«. — Tu np. czytamy na str. 35: »Prawdziwie czas już objąć ramieniem miłości i dziękczynienia całą (podkreślenia autora!) spuściznę prze

Mickiewicza, a szczególnie Słowackiego, w następujących słowach: »Dążenie czy tęsknota do wysnucia z romantyzmu polskiego w jego okresie emigracyjnym jakiegoś jednolitego i harmonijnego systematu filozofii narodowej — przybierać zaczyna w ostatnich czasach objawy wprost chorobliwe. O ile epoka ubiegła odznaczała się lekceważącem ignorowaniem i niezrozumieniem towianizmu, o tyle dzisiaj wpadać się zaczyna w drugą ostateczność t. j. bezkrytyczne, nie na zbadaniu rzeczy, ale na uczuciowej reakcyi opierające się uwielbienie, gwałtowne naciąganie wszystkiego (choćby dyametralnie różnych objawów) do »harmonii«, zgodnej symfonii najwyższych duchów, jako ostatecznej emanacyi »ducha narodowego«. Przytem nie zadano sobie nawet trudu postawienia tej emanacyi na tle kultury Zachodu, skonfrontowania ich i porównania, coby dać mogło bardzo doniosłe wyniki. Krążyć natomiast zaczynają o tych sprawach sądy

---

szłości naszej — i tem ściągnąć sobie pomoc i natchnienie wszystkich wielkich Opiekunów Ojczyzny naszej. Prawdziwie czas już w najwyższem Słowie ducha polskiego — w mesyanizmie — postawić obok siebie i Towiańskiego życie święte i moc ducha czystego — i Mickiewicza wielką poezyę czynu, naprawdę podług hasła: »mierz siły na zamiary«! I Słowackiego z bolu osamotnienia i w upokorzeniu wnętrznem zrodzone życie wzniosłe i głęboką poezyę prawd duchowych. A opodal — w odosobnieniu od tamtych, a niby dla dania świadectwa ich prawdzie (!?) stworzoną myśl »Irydyona« i »Przedświtu« — i ewangelicznego natchnienia pełne słowo »Ojcze nasz«. (Oczywiście ma autor na myśli dzieło Aug. hr. Cieszkowskiego pod tym tytułem).

2) »Ewangelia Syna Bożego z Ducha i Natury. Odtworzył A. Baumfeld. Kraków. Nakładem autora. Z »Drukarni powszechnej« we Lwowie, Akademicka 8. 1906«. Na czele czytamy tu iście okultystyczną dedykacyę: »Książka ta powstała z swobodnych (! o tak!) rozważań ducha Ewangelii w gronie najbliższych mi ludzi. Potem tak, jak jest, odczytywana była na szerszych zebraniach — zjednoczonych również wspólną Myślą. Przeto tym, którzy są ze mną, (nie z Chrystusem!) — wiednie i bezwiednie — cieleśnie i bezcieleśnie — to światło ducha mego (!) oddaję«. Znamienna to przygrywka do treści tej broszury o 71 stronach!

3) »A Towiański i Towianizm. Zarys chwili i postaci. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. 1908«. Str. 73 + VI.

4) »Polska myśl mesyaniczna. Warszawa 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł) Krak. Przedm. 9«, str. 97. O tych elukubracyach p. Baumfelda będziemy mieli sposobność pomówić w ostatniej części niniejszej rozprawy.

niemniej banalne i płytkie, jakkolwiek przeciwstawiające się poglądom krytyków starszego pokolenia«. (O. c. p. 8.). Z podobnym krytycznym poglądem spotykamy się w pracy p. Kleinera (»O dziele filozoficznem Słowackiego«, p. 27—44). Zaznacza on na wstępie, że pogląd na świat, wytworzony przez Słowackiego w epoce mistycyzmu, dopiero w ostatnich czasach począł być przedmiotem baczniejszej uwagi i badań poważnych, lecz nie z tych samych pobudek, bo »zajęli się nim jedni, jako wyznawcy, szukający rozwiązania zagadek u autora »Króla Ducha«; drudzy jako krytycy, pragnący znaleźć klucz do pełnego zrozumienia indywidualności i twórczości poety«. (Str. 27.) Do tej drugiej grupy należy dr. Kleiner. Przenikliwie odtworzywszy pochód mistycznej myśli Słowackiego po roku 1844., istotę zjawiska tego świetnie też określa na str. 40, zaznaczając, że »jakkolwiek w czasie pisania dzieła filozoficznego myśliciel brał chwilowo górę nad poetą, to jednak poezya, jako podstawowy ton ducha Słowackiego, ustawicznie dopominała się o swe prawa. Nie tylko fantazyą wypełniała szczeble ewolucyjnego systemu, ale budziła też chęć ujmowania systemu w formę wierszowaną«. A w ostatniej syntezie na str. 43—44. objaśnia jeszcze dokładniej ten ściśle jego trudem uzasadniony wniosek: »I tutaj właśnie [1], gdzie poeta umyślnie stara się przytłumić element poetycki na korzyść myśli, gdzie filozofem chce być i apostołem, przekonywać chce nie olśniewać i zachwycać — tu okazuje się najlepiej, jak dalece organizacya jego psychiczna była tylko organizacyą poetycką. Bogaty w myśl i wiedzę, często odgadujący prawdy naukowe, obdarzony intellektem wysoce rozwiniętym, człowiek wysokiej umysłowej kultury -- pozostaje zawsze przecież poetą, nie filozofem-twórcą, nie badaczem. Ujmując świat w jednolitą całość o nieprzerwanej ciągłości rozwojowej, służył artystycznemu postulatowi jedności; wysuwając jaźń na plan pierwszy, — nie jaźń abstrakcyjną jednak, lecz konkretną, indywidualną, niezniszczalną jaźń

[1] T. j. w t. z. pismach filozoficzno-mistycznych, jak »Genezis«, »Wykład nauki«, »List do Rembowskiego« i t. d.

ludzkiej jednostki — spełnił postulat artystycznej indywidualizacyi. Wielkim poematem zaś uczynił świat, przedstawiając rozwój jego jako dzieje twórczego ducha«.

Zdaje mi się, że to jest jedyne stanowisko, z którego i zrozumieć można i oceniać należy działalność poetycką i ducha poezyi Słowackiego właściwie i bezstronnie — bez zacietrzewienia. Pozory filozofowania lub apostolstwa religijno-mistycznego w tym okresie są tylko... złudzeniem. W tych wszystkich objawach tkwi zawsze i wszędzie tylko... piękny, szlachetny, przez żywsze tętno religijnych uczuć uniesiony artysta, miłośnik i poszukiwacz Odwiecznego, Nieskończonego Piękna, jakiem jest sam Bóg.

Kto z niego *per fas et nefas* czyni metafizyka, filozofa, rewelatora i twórcę nowej religii lub wroga starej, ten zaiste przekrzywia i wypacza oblicze jego duchowe — miasto rzeczywistego artysty stwarza jego... karykaturę. Bo Słowackiego oblicze własne to jest naprawdę, co z tak dziwną intuicyą przed laty pięćdziesięciu nazwał Małecki, oblicza tego pierwszy odkrywca, — »poetycznem na świat wejrzeniem«. On w istocie z tego punktu widzenia wgląda i w swe religijne uczucia, i swe dążenie do moralnej doskonałości, do chrześcijańskiej κάθαρσις serca, nie inaczej pojmuje: owo bowiem »poetyczne na świat wejrzenie« i tych obszarów życia ani nie wyłącza w nim, ani nie zdusza. Kto więc zeń czyni albo sztandar swych filozoficznych systemów, albo płachtę demagogiczną, albo płot chróściany, za którym się chowa, by swe świadome, półświadome czy nieświadome pociągi sekciarskie w blaski jego dostojeństwa fantazyi przyodziać — ten mu wyrządza krzywdę i zniża go do poziomu prawdziwych lilipucich »zjadaczy chleba«... a pierś wyniosłą usiłuje napróżno przykroić nie »na miarę Fidyasza« — lecz »na miarę krawca«.

To też słusznie się wyraża p. Koller w rozprawce swej: »Wpływ podróży na Wschód na uczucia religijne Słowackiego« [1], o tego rodzaju ubocznych tendencyach: »Królewskie bogactwa

[1] »Cieniom J. Słowackiego«, p. 119.

myśli, ich różnorodność, a może i kapryśność sprawiły, że do żadnego z poetów naszych wyznawcy i apostołowie najrozmaitszych, nieraz najsprzeczniejszych haseł politycznych, społecznych czy religijnych, nie rościli sobie tyle praw, co właśnie do — Słowackiego. Wyjątków z jego pism, często rozmyślnie odpowiednio poobcinanych, używano i nadużywano w celach agitacyjnych dla idei i spraw, z któremi poeta nie miał i nie chciałby mieć nic wspólnego — o jakich nie śniło mu się nawet. Wydzierano sobie Słowackiego, usiłowano zrobić z niego piewcę tej lub tamtej partyi politycznej lub jednej warstwy społecznej... Wskutek tego, nienawiści i uprzedzenia do pewnych partyi i ich dążeń przenosiły się zupełnie niesłusznie na osobę i dzieła twórcy »Króla Ducha«, zaciemniały i odbierały bezstronność sądom, niestety, czasami nie tylko szerokich warstw, lecz co gorsza, tych, co powinni być pośrednikami między sztuką a społeczeństwem — krytyków... Jednym z takich sądów... było twierdzenie, że Słowacki, jedyny ze wszystkich naszych poetów epoki Mickiewiczowskiej, był zupełnie niereligijny. Zrobiono z niego najskrajniejszego liberała, niedowiarka; jedni widzieli w tem zasługę i wyższość nad innymi, drudzy winę, wreszcie nawet wielbiciele geniuszu poety omijali starannie tę »drażliwą« kwestyę, jak gdyby się obawiali, żeby rozpatrywanie jej nie doprowadziło do wyników niespodziewanych — a może przykrych«. Młody autor przystąpił śmiele do tej właśnie sprawy i drobną jej cząstkę tu ogłasza. Z niezwykłą precyzyą i ścisłością dowodzi, że podróż na Wschód z r. 1836/7 jest początkiem wzmożenia się uczuć i ustalenia przekonań religijnych. Po znakomitej analizie stanu duszy poety, jak się on odbił w listach i dziełach, dochodzi p. Koller ostatecznie do następującego wniosku[1]: »Zmiana była olbrzymia. Jeżeli porównamy tylko »Podróż na Wschód« i »Anhellego«, te dwa graniczne dzieła (1836—1838), zmiana wystąpi jaskrawo. W podróż wyjeżdżał Słowacki prawie zupełnie sceptykiem (czy to nie za wiele?), powracał człowiekiem głęboko wierzącym i religijnym, a wiara jego taiła już w sobie

[1] »Cieniom J. Słowackiego«, p. 145—147.

dość wyraźne zarodki przyszłego mistycyzmu... Jeżeli nie powrócił w dosłownem znaczeniu do wiary dziecinnej, to pewne, że był jej teraz znacznie bliższy, aniżeli kiedykolwiek przedtem... Przewrót tego rodzaju nie mógł być ani nagły ani gwałtowny. Do wyjątkowych wypadków w życiu... należą przełomy tak gwałtowne, że życie zdaje się jak gdyby rozcięte na dwie części, zupełnie odmienne... Jeżeli wzmożenie uczuć religijnych, jeżeli pragnienie pewnej wiary dogmatycznej znajdywaliśmy już długo przed podróżą na Wschód, to i echa dawnego pesymistycznego sceptycyzmu zbudzą się jeszcze nieraz po powrocie z Ziemi św.... ale będą to już tylko echa — coraz dalsze, cichsze — aż wreszcie umilkną zupełnie... Ewolucya (religijna) jeszcze nie skończona... lecz ton zasadniczy duszy... pozostanie nie zmieniony. Noc u grobu Chrystusowego odrodziła w Słowackim chrześcijanina... nad duszą Anhellego od tej chwili czuwał Anioł Wiary«. Przypominam, że prof. Pawlikowski datę przełomową w życiu naszego wieszcza cofnął na rok 1840. A p. Koller sięga wstecz jeszcze dalej i upatruje ów przełom w podróży na Wschód i pobycie u Grobu Chrystusowego, więc cofa ją na r. 1837. Obaj przez to nie przeczą, że »transfiguracya« Słowackiego w wielkim stylu odbywa się w r. 1842/3, jeno pozwalają przypuszczać, że nie była tak »nagła«, jak się dawniej zdawało, i że grunt duszy jego pod wyraźne i wybitne odrodzenie w wierze od dawna już, przed poznaniem Towiańskiego, był uprawiony. Jest to nowa zdobycz ostatnich lat dla biografii poety.

(C. d. n.)

Ks. Romuald Koppens.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Kazimierza Chłędowskiego: Rzym. Ludzie Odrodzenia, (Lwów 1909) wobec najnowszych badań historycznych.

Spory, bo 587 stron liczący tom, który zdobi 42 rycin, a z tych cztery po raz pierwszy reprodukowane. Na okładce lśnią herby rodów Colonna, Rovere i Medici, które wydały papieżów głośnych w dziejach kościelnych i powszechnych. Autor, znany z monografii o Sienie i Ferrarze, przyjętych bardzo pochlebnie przez krytykę pobłażliwą, zamierza w niniejszem dziele według tytułu mówić o Rzymie, o ludziach działających w Rzymie za czasów Odrodzenia t. j. od początku panowania Mikołaja V, r. 1447, pierwszego humanisty na tronie papieskim, do śmierci Klemensa VII, r. 1534, sięga jednak czasów dawniejszych, bo czasów Bonifacego VIII, 1294—1303, gwoli Colonnów, od których zaczyna swoję opowiadanie.

Nie zajmuje się jednak dziejami papiestwa w wieku XIV, tylko opowiada krótko historyę Colonnów w tym wieku aż do Marcina V, z tegoż rodu pochodzącego, a potem począwszy od jego następcy Eugeniusza IV, mówi o papieżach, humanistach (o niektórych nawet, jak Pietro Aretino, Baldassare Castiglione bardzo obszernie) i o kurtyzanach.

O humanistów i kurtyzany nie będziemy się spierali z autorem; więcej nam chodzi o to, co pisze o papieżach a pisze z wielkiem uprzedzeniem, krzywdząco i wbrew prawdzie historycznej, tak że zdumiewać się trzeba, że autor przy dzisiejszym stanie wiedzy historycznej odważył się z taką pracą wystąpić.

Nie obroni go od zarzutu stronniczości spis dzieł na siedmiu stronach przy końcu zamieszczony, z których autor rzekomo czerpał wiadomości. Kto w pracy swej obarcza osoby historyczne, wszystko jedno czy papieży czy którekolwiek inne, ciężkimi zarzutami, ten na każde twierdzenie winien dać naukowe dowody czy archiwalne czy literackie, aby czytający mógł, gdy zechce, źródła sprawdzić i o prawdzie się przekonać. Tego autor nigdzie nie czyni, zasłania się ogólnikowym spisem dzieł, które mógł źle zrozumieć, których mógł i nie czytać; czytelnik wskutek tego nie jest w stanie skontrolować autora i jest skazany na to, by się zadowolił jego powagą. Krytyka naukowa nie może na tem poprzestać.

Ta kontrola ze strony czytelnika jest tem więcej potrzebna, że autor jest dziwnie uprzedzony do papieżów. Podnosi ich ujemne strony, czasem tylko mniemane, chwyta się każdego, choćby najpotworniejszego zarzutu, byle tylko jego ślad się znalazł w historyi, przytacza go jako pewnik, nie wspominając nawet, że zarzut pochodzi z mętnego źródła i wcale nie jest stwierdzony. Spór papieża czy z panującymi czy z wiarołomnymi wasalami państwa kościelnego, do których zaliczyć trzeba królów Neapolu i Sycylii, książąt Ferrary, Urbino i t. d., umie tak autor przedstawić, że czytelnik z góry się uprzedza do papieża i staje po stronie jego przeciwników. Na końcu opowiadania o którymkolwiek papieżu, czytelnik pyta się sam siebie, czy ten papież nie zrobił nic dobrego dla społeczeństwa chrześcijańskiego, dla Kościoła, dla nauki, dla sztuki, że go autor przedstawia w tak niekorzystnem świetle? czy Chrystus tak dalece opuścił swój Kościół, że »papiestwo przemieniło się w państwo świeckie« a wszystkie stopnie hierarchii uległy zepsuciu, aż do »arciprete, proboszcza wiejskiego, który się stał prawie komiczną postacią, nieukiem, wyciskającym grosz od swoich parafian!« (str. 581—2). Socyaliści to samo głoszą! Przeciwko takiemu traktowaniu papieży musimy się z całą stanowczością zastrzedz ze stanowiska katolickiego i naukowego!

Ale przejdźmy do szczegółów.

Zaznaczyć musimy, że autor wchodzi nieraz w bardzo drobne szczegóły i często przedstawia je tendencyjnie jednem lub kilku, jakby od niechcenia rzuconemi słówkami. Sprostowanie wszystkiego wymagałoby osobnego dzieła, równie szczegółowego; recenzya musi się ograniczyć do tego, co najgłówniejsze.

I tak: o papieżu Bonifacym VIII, z rodu Gaetani, mówi autor, że był człowiekiem »chciwym, podstępnym, mściwym, pałającym niczem

nieokiełznaną żądzą zbogacenia własnej rodziny«; że podstępem skłonił Celestyna V, »człowieka prostego, bez wykształcenia, trwożliwego, bardzo zabobonnego do zrzeczenia się papieskiej godności«, a zostawszy papieżem, obawiając się Celestyna, kazał go uwięzić i osadzić w zamku Fumone, »gdzie biedak wkrótce umarł«; że kardynałowie Jakób i Piotr Colonna byli przeciwni wyborowi kardynała Gaetaniego; że chęć zbogacenia rodu Gaetanich doprowadziła do ostrego konfliktu z rodem Colonnów, którzy wskutek tego łączą się z Fryderykiem II, królem Sycylii, nieprzyjacielem papieża, celem usunięcia Bonifacego VIII ze Stolicy apostolskiej, głoszą nieważność rezygnacyi Celestyna V a tem samem wyboru Bonifacego VIII, odwołują się do przyszłego soboru i starają się przeciągnąć Filipa Pięknego, króla francuskiego, na swoją stronę (str. 19—22).

To opowiadanie wymaga sprostowania.

Po śmierci Mikołaja IV, 4 kwietnia 1292, kardynałowie długo, bo przez 27 miesięcy nie mogli się zgodzić na wybór papieża. Wreszcie na propozycyę dziekana kollegium kardynalskiego, Latino Malabranca, dali swe głosy 5 lipca 1294 na mnicha Piotra, pustelnika na górze Murrone (stąd de Murrone zwanego) w Abruzzach, w obrębie królestwa Neapolitańskiego, koło Sulmony, znanego z życia bardzo umartwionego i świątobliwego, pokornego, i nie bez wykształcenia nabytego nauką [1], ale nie mającego ani doświadczenia (od 20-go roku życia wiódł żywot pustelniczy), ani tej wiedzy, jaka do stanowiska naczelnika Kościoła była potrzebną i do tego starca 77 lat liczącego [2]. Przyjął z płaczem ofiarowaną godność mówiąc: »Poddaję się, bo się lękam sprzeciwić woli Bożej i opuścić Kościół w jego potrzebie«; widząc jednak, że jej nie podoła, czując się też zaniepokojonym w sumieniu, złożył ją 13 grudnia 1294 r. po 5 zaledwie miesiącach. Dotychczas papieże umierali na stanowisku; rezygnacya przed śmiercią była rzeczą niesłychaną. Między kanonistami była nawet kontrowersya, czy papież może rezygnować ze swej godności. Zdania były podzielone. Celestyn V zasięgał rady w tej sprawie kardynałów, prawników, a zwłaszcza Benedykta Gaetano, najuczeńszego kanonisty owych czasów, a rozważywszy wszystko dokładnie, wydał osobną bullę, którą oświadczył, że papież może rezygnować, a kardynałowie są uprawnieni do przyjęcia re-

---

[1] Hergenröther: *Handbuch der allgem. Kirchengeschichte.* Freiburg i. Br. 1879. 2 wyd., tom I, str. 821.

[2] Rohrbacher: *Histoire univ. de l'église cath.* Paris 1900, t. IX, str. 421.

zygnacyi — i zrezygnował. Taki jest fakt historycznie stwierdzony. Do tego faktu przyłączyła się później nienawiść partyjna Colonnów i ich protektorów, »osnuła go fabułą jak pajęczyną«, a autor tę fabułę powtarza, bo mu się nadaje do celu. Żeby skłonić do rezygnacyi starca 77-letniego, który przed wyborem czuł się blizkim już śmierci i wyglągał jej, który się nie mógł oswoić ze swem nowem położeniem, nie trzeba było głosów z nieba. Są też i świadectwa współczesnych, którzy stwierdzają wyraźnie, że kard. Gaetani odwodził Celestyna od rezygnacyi i ociągał się z przyjęciem wyboru [1].

Autor dodaje frazesik: Celestyn »pożegnał się z Watykanem i został napowrót pustelnikiem«. Ależ Celestyn nie żegnał się z Watykanem, bo się z nim nie witał i może go nigdy w życiu nie widział; po swym wyborze przybył do miasta Aquila w Abruzzach, należących do Apulii i królestwa Neapolitańskiego, tam dotąd wezwał kardynałów z Peruzyi i tam przyjął sakrę biskupią 28 sierpnia 1294, tam pozostał do października a w październiku udał się do Neapolu, gdzie zamieszkał w pałacu królewskim i gdzie też 13 grudnia na konsystorzu kardynalskim zrezygnował ze swej godności [2].

Watykan wtedy nie był rezydencyą papieską. Papieże mieszkali w Lateranie aż do czasu przeniesienia stolicy do Avignonu a dopiero po powrocie z Avignonu zamieszkali przy św. Piotrze, w pałacu Watykańskim, który dopiero po wielu latach stał się tem, czem jest dzisiaj.

Z rezygnacyą Celestyna V a wyborem Bonifacego VIII, dokonanym w wilię Bożego Narodzenia 1294 roku, na miejscu w Neapolu, sprawa nie była skończona. Jednym zależało na utrzymaniu Celestyna przy papiestwie, aby jego powolność a nawet słabość wyzyskać; drudzy t. j. Celestyni, kongregacya zakonna przezeń ustanowiona, również się lękali jego ustąpienia i pracowali nad tem, by go od rezygnacyi odwieść. Jedni i drudzy po akcie rezygnacyi nie dali za wygranę. Podnosiły się głosy, że rezygnacya była nieważną. Można się było obawiać, że interesowani nadużyją osoby Celestyna i utworzą schizmę. Bonifacy VIII, znając stosunki i ludzi, postanowił wziąć Celestyna do Rzymu i wysłał go z Neapolu naprzód przed sobą. Aliści 1-go czy 2-go stycznia 1295 przychodzi wiadomość, że Celestyn w nocy z młodym zakonnikiem swej reguły odłączył się od towarzystwa, by wrócić

[1] Rohrbacher l. c. 428.
[2] Rohrbacher l. c. 9, 425 sqq.

do swojej celi koło Sulmony. Wysłany za nim pościg przytrzymał go na rozkaz Bonifacego i króla neapolitańskiego Karola i odstawił do Neapolu, z zachowaniem oznak czci należnej. Bonifacy przyjął go łaskawie, nie chcąc jednak większego kłopotu, zamiast wziąć do Rzymu, jak przedtem zamierzał, odesłał go do zamku Fumone i tam pod strażą osadził. Celka, którą mu przeznaczono, była mała; postępowanie straży szorstkie, ale miał dodanych dwóch Braci swego zakonu a odwiedzającym go kardynałom polecił powiedzieć Bonifacemu, że jest zadowolony ze swego położenia i nie pragnie zmiany [1]. Umarł po dziesięciu miesiącach pobytu w tym zamku 19 maja 1296 r., a nie, jak autor błędnie podaje, 1299 r.

Autor nazywa to postępowanie Bonifacego z Celestynem »przewrotnością«. My się nie odważymy tak piętnować papieża, któremu historycy poważni dają świadectwo, że był roztropnym politykiem, mężem uczonym i nieskażonych obyczajów [2].

Przejdźmy do stosunku Bonifacego VIII, do Colonnów. Tu zaznaczamy, że autor się myli, gdy mówi, że kardynałowie Colonna byli przeciwnikami wyboru Gaetaniego, str. 19. Owszem dali mu obaj głos [3].

Jak są wady fizyczne, które dziedziczy potomstwo po przodkach, tak są także i wady moralne dziedziczne. We krwi Colonnów tkwi stała opozycya przeciwko papieżom, która niekiedy wybucha otwartym buntem. Obecnie mamy dwóch Colonnów kardynałów, Jakóba i Piotra, jego synowca, którzy się zrywają na papieża; tak będzie wiele razy później. Autor sam mówi (321), że »Colonnowie zawsze dawali przytułek papieskim nieprzyjaciołom«; niżej zaś (573) czytamy, że kard. Pompeo Colonna (co zacz? czytaj str. 272 sqq.), wierny stronnik cesarstwa, w porozumieniu z posłem hiszpańskim (Karola V) napadł na Rzym i zmusił papieża (Klemensa VII), który się zamknął w Castel Sant-Angelo, do przyjęcia warunków przez Hiszpana«.

Jest to przygrywka do *sacco di Roma*, które hańbą okrywa pamięć Karola V. Colonnowie za czasów Bonifacego VIII, zwłaszcza kard. Jakób, chcieli prowadzić politykę na swoją rękę; łączą się z uzurpatorem Sycylii, Fryderykiem Aragońskim, choć wiedzą, że Sycylia jest lennem papieskiem a Fryderyk ją zajął wbrew woli papieża i zbrojną ręką w swem posiadaniu utrzymał.

---

[1] Rohrbacher l. c. 429.

[2] Hergenröther l. c. 822; Rohrbacher l. c. 545.

[3] Hergenröther l. c. 823.

Bonifacy ich upomina z tego powodu, oni mimo to układają się z Fryderykiem o wydanie mu kilku twierdz w państwie kościelnem i utwierdzając się w opozycyi, szerzą wieści o nieważnym wyborze papieża, któremu sami głos dali. Wezwani przed papieża 4 maja 1297, odpowiadają zuchwałem *memorandum*, w którem głoszą, że rezygnacya Celestyna a konsekwentnie i wybór Bonifacego był nieważny. Jakób i Piotr Colonnowie byli poddanymi państwa papieskiego, byli wasalami papieża, byli kardynałami św. Kościoła rzymskiego; każdy z tych tytułów obowiązywał ich do posłuszeństwa wobec papieża, a gdy nie tylko posłusznymi nie byli ale się na papieża targnęli, spotkała ich słuszna kara pozbawienia godności i klątwy. Wtedy Colonnowie dufając w pomoc francuską, ogłosili gwałtowny manifest do wszystkich książąt i biskupów, w którym żądają zwołania powszechnego soboru przeciwko Bonifacemu, jako kacerzowi, schizmatykowi i niszczycielowi Kościoła, a ściągnąwszy wojsko, gotują się do otwartej wojny z papieżem. Bonifacy nie czując się w Rzymie bezpiecznym, wyjechał do Orvieto. *Vim vi repellere* wszelkie prawa pozwalają. Nie można brać za złe Bonifacemu, że stojąc wobec ostateczności, gdy propozycye układów pokojowych się nie udały, użył środka ostatecznego, t. j. ogłosił wyprawę krzyżową przeciwko Colonnom, która się skończyła ich zupełną klęską. Musieli się poddać i prosić o przebaczenie. Papież darował im życie i wolność, uwolnił od klątwy, ale nie zwrócił godności i dóbr skonfiskowanych. Colonnowie uciekli do Francyi, czerniąc Bonifacego, w czem im dzielnie pomagali Franciszkanie, zwani spirytualnymi (fraticelli których autor chwali str. 54), a zwłaszcza słynny między nimi poeta Jacopone da Todi, który podpisał jako świadek powyższy manifest i lżył zapamiętale papieża. Był tedy Jacopone sam sprawcą swego losu. Został wprawdzie uwięziony, ale Benedykt XI obdarzył go wolnością; umarł w klasztorze 1312. Postępowanie Colonnów ma wszelkie cechy zdrady stanu i to ciężkiej; wszystkie państwa i panujący bronią się przeciwko tej zbrodni konfiskatą majątku i karą śmierci. Bonifacemu, który życie zdrajcom darował, nie można zarzucić srogości; nie żądza wzbogacenia swej rodziny po stronie papieża, jak autor pisze (17), ale charakter Colonnów wywołał konflikt, w którym ulegli.

Autor utrzymuje (13), że panująca dziś dynastya Hohenzollernów pochodzi od Colonnów rzymskich. Być może, bo oba te rody mają także wspólne cnoty i niecnoty; ducha wojennego, matactwo polityczne i nieszanowanie cudzych praw choćby najświętszych. Co czytamy na

str. 27—31: o jubileuszu, który Bonifacy VIII ogłosił, aby »wzbogacić Watykan (!) i miasto Rzym«; o dążeniu papieży »do zjednoczenia w jednym ręku najwyższej władzy kościelnej i wszechświatowej politycznej«, »do zawładnięcia nie tylko moralnem jestestwem ludów, ale także do objęcia sfer politycznych i ekonomicznych spraw państw europejskich«, o zdzierstwie fiskalnem Stolicy św., jest tak bałamutne, tak dyletanckie, tyle razy gołosłownie bez dowodów powtarzane przez protestantów i socyalistów, a zbijane przez katolików, tak pełne niechęci do papieży i papiestwa, tak niepoczciwe pod piórem Polaka, że na to, miasto odpowiedzi autorowi, powiemy: prosimy o dowody z dokumentów papieskich!

Jedno jest, co warto podnieść i wyjaśnić. Autor mówi, że niektóre państwa, jak Anglia, Polska, Dania zamieniły świętopietrze na stałą daninę z tytułu poddania się pod protekcyę papieża, *sub protectionem b. Petri,* - i dodaje: »Uznanie tego poddaństwa było bardzo niebezpieczne, ponieważ państwa zrzekały się w ten sposób części swej samodzielności na rzecz Stolicy apostolskiej« (30). Radzimy autorowi, aby do swego spisu dzieł, z których miał przy tworzeniu swej pracy korzystać, przyjął także i przeczytał dzieło d-ra Hergenröthera, późniejszego kardynała: *Katholische Kirche u. christl. Staat* (Freib. im Br. 1876). Otóż tam na str. 246 czytamy: »Nie było to nic rzadkiego i niesłychanego, że książęta oddawali siebie i swoje kraje pod szczególną opiekę św. Piotra... Takie wypadki były w późniejszem średniowieczu bardzo częste. W taki stosunek do rzymskiej Stolicy wstąpiły od Sylwestra II (999—1003) Węgry i Polska. Oba narody zawdzięczają zarodek swej narodowej samodzielności i rozwoju, jak tyle innych ludów, jedynie tylko Stolicy apostolskiej. Sylwester przywiązał je do Stolicy Piotrowej, jako równouprawnione członki jednej chrześcijańskiej familii państw, wyrwał je z pod przemożnego niemieckiego wpływu i dał im tem samem środek do przechowania silnej narodowej świadomości aż do obecnych czasów«. Taka protekcya św. Piotra dawała książętom i ich narodom opiekę przeciwko gwałtom ze strony mocniejszych sąsiadów, umożliwiała ich prawidłowy rozwój pod względem narodowym, politycznym i wewnętrznym a nie odbierała nigdy niezawisłości państwowej. Że Polska nie jest cmentarzem Słowiańszczyzny, jak kraje między Elbą i Odrą, to zawdzięcza owej protekcyi św. Piotra, która się autorowi tak niebezpieczną wydaje. Warto wiedzieć, co Hergenröther o trwałości tego związku pisze: »Papieże wogóle tam, gdzie poddanie się było całkiem dobrowolne, a zwłaszcza

przy sprzeciwie późniejszych władców, nie zwykli byli przy niem obstawać«.

Tam także str. 301 sqq. dowie się autor, że papież nie był »panem Neapolu na podstawie donacyi Konstantyna«, jak czytamy na str. 98 jego dzieła. Praw zwierzchniczych papiestwa do Neapolu nikt jeszcze dotąd nie wywodził od donacyi Konstantyna W. Tym wynalazkiem wsławi się autor.

Sobór konstancyeński nazywa autor »gniazdem szerszeni« (63). Ten epitet wskazuje, że nawet sobór może nie mieć tej powagi, nie znaleźć tego uszanowania, jakieby mu się należało; niezależnie od tego historya wskazuje nadto, że sobór może nie znaleźć posłuchu i posłuszeństwa a tem samem może być bezsilnym w dziele reformy Kościoła. Autor często zaznacza z pewnego rodzaju wyrzutem, że papieże soborów nie zwoływali, bo się ich bali, aby im władzy nie ograniczyły, przez co reforma Kościoła nie mogła dojść do skutku (str. 32, 126).

Zasadniczo oceniając ten zarzut, powiemy, że Chrystus Pan nie sobór, ale św. Piotra i jego następcę ustanowił głową Kościoła, nigdzie też nie nakazał św. Piotrowi i jego następcy słuchać soboru; bo jemu jedynie jako osobie fizycznej oddał pełną władzę rządzenia swoim Kościołem. Chociażby osobistość papieża pozostawiała co do życzenia, katolik mający wiarę wie, że z nim jest Duch św., pomaga mu w rządzie Kościoła i strzeże od błędów w nauce wiary i obyczajów; wie, że papież nie sprowadzi ludzkości na bezdroża i nie przyprawi jej o stratę dóbr najwyższych. Dlatego wszelkie usiłowania ograniczenia pełnej władzy papieskiej czy przez sobory czy przez kardynałów przy wyborze (kapitulacye) są nielegalne i nieważne. Również należy pamiętać, że tylko tam jest sobór prawdziwy, gdzie biskupi są razem z papieżem, głową Kościoła, zgromadzeni, bo wtedy reprezentują cały Kościół; gdzie zaś niema papieża, choćby się zeszli wszyscy biskupi katoliccy, nie stanowią soboru, uchwały ich nie mają charakteru uchwał soborowych; możliwe uchwały bez lub wbrew woli papieża, są nieważne, a gdyby zapadły przeciwko papieżowi, są schizmatyckie, jako dążące do rozdziału Kościoła Chrystusowego, który tylko może i powinien być jeden.

Zaprzeczyć nie można, że sobory są bardzo pożyteczne i ułatwiają działanie papieżom, ale też powiedzieć nie można, że są bezwarunkowo konieczne, *conditio sine qua non* istnienia Kościoła.

Nadto wiadomo z historyi soborów, że niektóre ulegały wpływom już to władzy świeckiej, już to dobrze zorganizowanej agitacyi here-

tyków. Dzieje aryanizmu i późniejszych herezyi, dzieje soborczyków pizańskich r. 1409 i 1511, i soborów konstancyeńskiego i bazylejskiego uczą tego dokładnie. Świat chrześcijański widział nawet 1437 r. dwa sobory równocześnie: jeden ekumeniczny we Ferrarze a drugi schizmatycki i bez głowy w Bazylei. Papieże mają doświadczenie nie kilku lat ale dziewiętnastu wieków i znają się na duchach działających. Nie byli oni przeciwnikami reformy, nie wyjąwszy nawet Aleksandra VI, uznawali jej potrzebę, ale do reformy trzeba ludzi spokojnych, wytrawnych, rozumnych, uczonych, których ideałem jest chwała Boża i zbawienie dusz. Nie każdy też czas stosowny jest do podjęcia dzieła reformy. Paweł II i Sykstus IV chcieli soborów: stosunki jednak polityczne nie dopuściły do nich.

Rzecz godna uwagi, że począwszy od Colonnów i Filipa Pięknego w wieku XV i XVI ci, co największą wyrządzili krzywdę Kościołowi katolickiemu i papiestwu, odwoływali się do soboru. Sobór był hasłem niezadowolonych, wszelkiej opozycyi, skądkolwiek pochodziła. Bywało, że, gdy sobór orzekł inaczej, niż odwołujący się sądzili i chcieli, apelowali wtedy do Chrystusa. Na złość i przewrotność ludzką ani sobór nie poradzi. Koło połowy XV wieku te apelacye do soboru stały się tak częste, że Pius II, 1458—1464, widział się zniewolonym wydać osobną bullę, mocą której zabronił podobnych apelacyi pod karą klątwy, wykazując zarazem niedorzeczność odwoływania się do sędziego nie istniejącego [1].

Wyroki soborowe tak dobrze jak papieskie można osłabiać, ważność ich kwestyonować, zachowaniu ich przeszkadzać w rozmaity sposób. Mamy tego przykład na autorze, który na str. 81 mówi, że »Hieronim z Pragi padł ofiarą zamieszania«, jakie panowało na soborze konstancyeńskim, i powołuje się na Poggia, »który był pełen uwielbienia dla czeskiego reformatora i miał przekonanie, że go niesprawiedliwie zasądzono na karę śmierci i wyrażał później zanadto »otwarcie swe oburzenie z powodu spalenia Hieronima«. Ależ Poggio i wszystkie mu pokrewne piękne duchy nie są powagą w sprawach wiary; ich osobiste przekonanie nie może osłabić w niczem wyroku soborowego. Hieronim z Pragi nie był ofiarą zamieszania, postępowanie soboru z nim nie było nagłe, gdyż trwało przeszło rok, od 23 maja 1415 do 30 maja 1416; ani nierozważne, gdyż w czasie tym mógł i powinien był poddać się wyrokowi przez sobór na Husa wydanemu.

---

[1] Hergenröther: *Handbuch*, t. II, str. 123 sq.

Gdy się nie poddał, ale owszem na sesyi soborowej nie szczędząc papieży i kardynałów oświadczył, że Hus jest mężem świętym i sprawiedliwym, sobór nie mógł z nim inaczej postąpić aniżeli z Husem. W Hieronima rękach był los jego złożony. Sympatye zazwyczaj stają po stronie skazanego, ale władza w społeczeństwie kościelnem i świeckiem być musi, jeśli się nie ma rozpaść.

Nie tu miejsce rozwodzić się nad systemem Husa, jak zgubnym był dla Kościoła i państwa, jak podkopywał władzę kościelną i świecką. Za potępienie tego systemu, za wskazanie ludom chrześcijańskim, że nie tędy droga, należy się wdzięczność Kościołowi od wszystkich ludzi zdrowo myślących.

Po śmierci Marcina V z rodu Colonnów nastąpił Eugeniusz IV, 1431—1447. Mimo swych cnót, roztropności i powagi wszedł w konflikt z rodziną poprzednika, która zabrała większą część skarbca papieskiego i zajęła wiele miejscowości należących do państwa kościelnego i zwrócić ich nie chciała. Colonnowie chwytają za broń i buntują lud rzymski. Wybuchła więc rewolucya w r. 1434 a papież, przewidując groźne niebezpieczeństwo, chroni się ucieczką do Florencyi. W tem ciężkiem położeniu Eugeniusz zlecił Janowi Vitelleschi, biskupowi z Recanati, znanemu z odwagi i sztuki wojennej, pacyfikacyę państwa kościelnego. Vitelleschi wziął się do dzieła z żelazną energią; ujął i ściął prefekta Rzymu, Giacomo de Vico; zwyciężył i powiesił sojusznika Colonnów, kondotyera Antoniego da Pontedera, podszedł pod Palestrinę, gniazdo Colonnów, po kilkotygodniowem oblężeniu zdobył ją i z ziemią zrównał. »Zemsta Vitelleschiego nad Colonnami była chyba jeszcze straszniejsza, aniżeli vendetta Bonifacego VIII«, pisze nasz autor str. 75. Dodamy: kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Papież wynagrodził Vitelleschiego godnością patryarchy aleksandryjskiego i dochodami arcybiskupstwa florenckiego; za dalsze usługi w obronie Neapolu przeciwko Alfonsowi Aragońskiemu ozdobił go purpurą kardynalską 1437. Vitelleschi uspokoił Rzym i państwo kościelne, był dyktatorem w Rzymie. W Eugeniuszu budzi się podejrzenie i obawa, czy on nie zechce sięgnąć po tyarę. »Włosi Odrodzenia, pisze autor 74 sq., umieli się zręcznie pozbywać takich przyjaciół, którzy się za wysoko wzbijali. I Vitelleschiego podobny los spotkał, kiedy wyruszał na wojenną wyprawę do Umbryi i przeglądając swe hufce, które przechodziły przez most św. Anioła, rozmawiał z wiernym papieżowi kasztelanem zamku Antonio Rido. Gdy się już ostatni oddział wojska o kilkadziesiąt kroków oddalił, Rido niespodzianie ujął konia Vitelleschiego za

wodze i silnem szarpnięciem chciał go pociągnąć ku otwartej bramie zamkowej. Kardynał dobył miecza i bronił się dzielnie, ale otrzymawszy 3 rany zsunął się z konia a żołnierze Rida szybko przybiegli, zanieśli go do zamku i most spuścili. Gdy ludzie kardynała spostrzegli, co się stało, chcieli szturm przypuścić do zamkowej bramy, ale Rido kazał im przeczytać pismo papieskie, nakazujące uwięzienie Vitelleschiego, wobec czego zaniechali wszelkich nieprzyjaznych kroków. W kilkanaście dni później kardynał już nie żył, zginął, jak się zdaje, od trucizny. Papież zostawszy świeckim księciem, musiał się tych samych chwytać środków celem utrzymania swej władzy, jakimi posługiwali się wówczas wszyscy panujący«.

Autor oskarża tedy stanowczo Eugeniusza IV o morderstwo, dokonane na osobie kardynała, który się wielce zasłużył około Kościoła rzymskiego i samego papieża; dowodów jednak nie daje wcale ani się nie kusi o nie. Mamy mu wierzyć, bo to on mówi, a ktoby nie wierzył, niech wertuje dzieła przezeń na końcu przytoczone. Odniechce mu się. W obronie prawdy i papieża przytaczamy to, co o tej sprawie mówi profesor uniwersytetu w Innsbruku, znany w świecie uczonym historyk Pastor, w dziele, opartem na rozległych badaniach archiwalnych i na dotyczącej literaturze, pod tytułem: *Geschichte der Päpste seit dem Ausgange des Mittelalters;* dotąd wyszło 5 tomów. Mamy przed sobą tom I wydania czwartego z r. 1901.

Otóż Pastor pisze na str. 293 sqq. o upadku i śmierci kard. Vitelleschiego, jak następuje: »Gęsta zasłona okrywa jeszcze zawsze to zdarzenie. Że z pomiędzy nieprzyjaciół Vitelleschiego przedewszystkiem Florentczycy umaczali w tej sprawie ręce, jest więcej niż prawdopodobne. Porozumieli się z kasztelanem zamku Anioła, Antonio Rido, który pozostawał do Vitelleschiego w stosunku bardzo naprężonym«. Następnie opowiada Pastor fakt uwięzienia kard. Vitelleschiego, które opowiadanie prawie dosłownie powtórzył p. Chłędowski, nie przywodząc źródła. Pastor pisze dalej: »Rido umiał uspokoić wojsko ogłoszeniem papieskiego pisma, nakazującego uwięzienie, którego to pisma autentyczności nie mogli żołnierze badać; 14 dni później (2 kwietnia) był Vitelleschi trupem. To jest faktyczny przebieg; wszystko inne jest mniej lub więcej niepewne. Co pewien kronikarz owego czasu napisał, ma znaczenie w istotnej części jeszcze dzisiaj: nie wiedziano, dla jakiej przyczyny został Vitelleschi uwięziony i tak samo nie znano ani tego, co go właściwie kazał uwięzić, ani rzeczywistej przyczyny śmierci (rany czy trucizna). Również co do pytania,

czy Eugeniusz IV zezwolił na uwięzienie swego faworyta, nie da się nic pewnego i stanowczego wyśledzić. Przedstawili to jednak niektórzy historycy jako niewątpliwe«. Pastor odnalazł we florenckiem archiwum państwowem i publikował list, który Rido wysłał bezpośrednio (19 marca) po uwięzieniu Vitelleschiego do Florenckiej Signoryi, list niezmiernej wagi. W tym liście mówi Rido, że »Vitelleschi chciał mu kilkakrotnie wydrzeć zamek ku wielkiej szkodzie papieża i Kościoła; poznał również Rido, że kardynał jest zdeklarowanym nieprzyjacielem papieża Eugeniusza i z tego powodu uwięził go dzisiaj, co prawda bez pozwolenia papieża, którego z braku czasu nie można było uprzednio powiadomić«. Pastor dodaje: »sam ten dokument nie wystarcza, by kwestyę na pewne rozwiązać; mocen jest jednak zachwiać dotychczasowe apodyktyczne twierdzenie, że Eugeniusz zezwolił na uwięzienie Vitelleschiego. Zupełne wyjaśnienie ówczesnych obfitych w intrygi wypadków mogą dać dopiero dalsze archiwalne odkrycia«.

W przedstawieniu Pastora znajdujemy spokój, przedmiotowość, każde słowo odważone. Jak wobec tego wygląda stronnicza apodyktyczność p. Chłędowskiego? Znać mistrza, historyka z zawodu. — znać też i historyka dyletanta!

Już to papieże nie mają łaski u autora a co szczególna, że nie jeden ale wielu. Od Celestyna V do Klemensa VII t. j. od 1294—1534, dwieście lat z górą! ani jeden się nie znalazł, któryby nie był zganiony, poniżony a co gorsza, któryby nie był skrzywdzony. I tak o Pawle II, 1464—1471, czytamy str. 139 sq., że to był »zawzięty człowiek«, »nieprzyjaciel Franciszkanów«.

Zapewne powód do zarzutu zawziętości dało postępowanie Pawła II z Platiną i akademią rzymską Pomponiusa Letusa. Ale autor sam opowiada, streszczając wywody Pastora, co tam w tej kuźni mówiono i co zamierzano, że do stanowczego zerwania z wiarą i rozwiozłych pogańskich obyczajów, przymieszał się i spisek polityczny. Papież miał prawo i obowiązek rozwiązać akademię a głównych działaczy stawić przed sąd. Działał też konsekwentnie, gdy Platiny nie przyjął do swego dworu, mimo widocznych zabiegów. Paweł II był »nieprzyjacielem Franciszkanów«. Gdy się mówi o Franciszkanach trzeba być ścisłym i rozróżniać zakon franciszkański w Kościele istniejący i odłam jego, który się zarysował już za życia św. patryarchy, na razie niewinnie. Chodziło o rozumienie reguły św. Franciszka, nakazującej ubóstwo. Przy absolutnem ubóstwie, które wyklucza własność

nie tylko osobistą ale także wspólną, zakon jako taki nie mógłby się utrzymać długo ze samej jałmużny czy ofiarowanej czy wyżebranej. Już tedy za Eliaszem z Cortony, drugim jenerałem zakonu, jedni rozumieli przepis reguły o ubóstwie łagodniej; inni zaś, rygoryści, nie chcieli słyszeć o jakiejkolwiek własności, zwano ich zelantami, spirytualnymi (duchownymi). Spór oparł się o Stolicę św. Grzegorz IX, 1230, oświadczył się za stronnictwem umiarkowanem a Innocenty IV orzekł, że zakon może mieć grunta, domy, książki, sprzęty, takowych używać; prawo własności jednak do tych przedmiotów zastrzegł Kościołowi rzymskiemu.

Tu się pokazuje, jak koniecznem jest posłuszeństwo względem Stolicy Piotrowej, że bez niego mieniąc się chrześcijaninem można Chrystusowi wyrządzić największą krzywdę; bez posłuszeństwa przy najlepszych chęciach można zejść na bezdroża i nie osiągnąć tego, o co głównie chodzi: zbawienia duszy. Ani z tego orzeczenia, ani z późniejszego, 1279, przez Mikołaja II wydanego, spirytualni nie byli zadowoleni. Odłączyli się tworząc sektę fraticellów, zwalczali namiętnie papieża i Kościół rzymski, wchodzili w związki z książętami Kościołowi wrogimi i głosili, że Kościół rzymski jest w stanie zepsucia. Ich przywódca, Ubertino da Cassale, nie uznawał Bonifacego VIII ani jego następcy Klemensa V, 1305—1314, za prawowitą głowę Kościoła, tamtego, bo rezygnacya Celestyna V, według jego zdania, była nieważna a więc i wybór następcy nieważny, a tego, bo Klemens V starał się połączyć spirytualnych z Franciszkanami konwentualnymi, opornych zaś obłożył klątwą. Nie dali jednak za wygraną, do błędów przeciwko wierze dołączyli gwałty wyrządzane konwentualnym, zabierając im domy. Jan XXII, papież, 1316—1334, wytoczył im proces i potępił, 1318, następujące ich błędy:

1) dwa są Kościoły, jeden cielesny, bogaty, zbrodniami skażony, z rzymskim biskupem na czele; drugi duchowny, biedny, cnotą zdobny, w którym sami oni (fraticelli) i ich wspólnicy się znajdują;

2) kapłani Kościoła cielesnego nie mają władzy tak ze święceń jak z jurysdykcyi płynącej; nie mogą tedy ani wyroków wydawać, ani sakramentów sprawować, ani ludu nauczać; albowiem u samych tylko fraticellów trwa i świętość życia duchownego i powaga władzy;

3) kto przysięga, grzeszy ciężko i winien kary;

4) kapłani choćby należycie wyświęceni, nie mogą sprawować ani udzielać sakramentów, jeśli w jakikolwiek grzech popadną;

5) Ewangelia Chrystusowa dotychczas zarzucona, nawet całkiem

zagubiona, u samych tylko fraticellów w tym czasie jest wypełniona (zachowana) [1].

Te twierdzenia są nie tylko katolickiemu dogmatowi wprost przeciwne ale podkopują fundamenta Kościoła. Są one przygrywką do ruchu rewolucyjnego XVI wieku. Waldensi, Fraticelli, Wiklefici, Husyci, to są stopnie, po których się prosto dochodzi do Lutra.

Fraticelli, mimo potępienia przez Jana XXII, nie ocknęli się. Owszem rozpoczęli na dobre wojnę z papieżem, wespół łącząc się z królem niemieckim Ludwikiem, który w r. 1328, 18 kwietnia odsądził Jana XXII od godności papieskiej a 12 maja dał Kościołowi innego papieża w osobie Franciszkanina spirytualnego, Piotra Rainalducci, »obłudnika, goniącego od dawna za honorami i łaską kobiet«, pod imieniem Mikołaja V. Hergenröther pisze (l. c. t. II, str. 20) o nim tak: »Antypapież otoczył się zaraz siedmioma, przez siebie mianowanymi, kardynałami. On i jego poplecznicy, którzy dotąd bronili swych zasad o ubóstwie z najzacieklejszym fanatyzmem, chcieli teraz mieć piękne konie, liczną służbę, pyszne urządzenie domowe i stół wspaniale zastawiony; by mieć na to środki, sprzedawali urzędy kościelne i przywileje duchowne«. Wzruszająco podobne do tego, co dziś widzimy u niektórych socyalistów! Deklamują przeciwko szlachcie, burżujom, ich bogactwom i używaniu, ale gdy się sami dorwą stanowisk i dochodów, nie pogardzają ani pięknemi mieszkaniami ani wygodami życia.

Skarga w »Żywotach Świętych« napisał te groźne słowa: »rychlej czarta zaklniesz, niż heretyka nawrócisz«. Przetrwali fraticelli do w. XV, nawet we Włoszech, a zwłaszcza w marce Ankonitańskiej, Romanii i Kampanii. Błędy te same co wyżej, tylko z wyraźniejszą i ostrzejszą barwą antypapieską. Urządzali zebrania niemoralne i popełniali inne potworne zbrodnie. »To jest snać pewnem, pisze Pastor l. c. II, 342., że się rozchodziło o ruch dla papiestwa w wysokim stopniu niebezpieczny, który w okolicach wzmiankowanych szerzył się już od dłuższego czasu«. Paweł II wziął się energicznie do tłumienia tego ruchu; karano zwłaszcza tych ciężko, co upornie przy swych błędach stali.

Historya nie wspomina o tem, żeby Paweł II zaznaczył swą nieprzyjaźń względem zakonu kościelnego Franciszkanów; z tego powodu trzeba przypuścić, że autor stronnictwo herezyą zarażone i pa-

[1] Według Denzingera: *Enchiridion symbolorum et definitiorum*. Wirceb. 1874. ed. 5. str. 149.

pieżów zwalczające, wbrew prawdzie historycznej, Franciszkanami mianuje i w obronę bierze. Pochodzić to może z chęci rzucenia cienia na papieża albo z bezgranicznej lekkomyślności, którą lepiej wykaże, co następuje: Ciężkie zarzuty podnosi autor przeciwko Sykstusowi z powodu nepotyzmu, t. j. że otaczał się krewnymi i posuwał ich na wysokie urzędy w Kościele i w państwie kościelnem. Do forytowanych należy 25-letni siostrzeniec papieski, Piotr Riario, i 28-letni bratanek Giuliano della Rovere, których papież zrobił kardynałami zaraz w pierwszym roku po wyborze na Stolicę Apostolską, tamtego z wdzięczności »za niemałe usługi, oddane sobie podczas conclawe«, str. 143, a tego, mimo życia rozwiozłego, gwałtownego a podstępnego charakteru.

Nie myślimy bronić Piotra Riario ani wykazywać jego niewinności ale niekorzystna ocena Sykstusa IV, jaką p. Ch. podaje na 28 stronach, przywodzi nam na pamięć słowa Leona XIII, zamieszczone w encyklice *Saepenumero,* o studyach historycznych z d. 18 sierpnia 1883. Mówi on tam o pewnej metodzie pisania historyi w następujący sposób: »Wydobywa się na światło bajki marne; wymysły sto razy już zbite, sto razy przecież powtarzane. Obciąwszy często lub chytrze rzuciwszy cień na ważniejsze rzeczy, zamilcza się czyny chwalebne i zasługi, godne pamięci, a wytęża się ostro umysł do śledzenia i przesadnego podnoszenia tego, co niebacznie, co mniej poprawnie było zdziałane; uniknąć zaś tego rodzaju błędów trudniejsza jest, aniżeli natura ludzka znosi. Co więcej! widzieliśmy, jak tajemnice życia domowego niepewne wietrzono niepoczciwie, wydobywano stamtąd i trzęsiono tem, o czem mniemano, że skłonnym do naigrawania tłumom da powód do zabawy i szyderstwa. Z pomiędzy papieżów, tych nawet, których cnota była wielką, często palcem wskazywano i ganiono jako chciwych, dumnych, o władzę zajrzliwych; którym zaś chwały z tego, czego dokonali, nie można było przeczyć, to ganiono ich zamiary«.

Te słowa Leona XIII są krytyką dzieła p. Chłędowskiego ogólnikową, ale bardzo trafną. On także przemilcza czyny chwalebne i zasługi pamięci godne Sykstusa IV; śledzi i podnosi z przesadą, co mniej poprawnego znajdujemy w jego życiu, jakby Sykstus nic innego nie zdziałał przez czas swego pontyfikatu; wydobywa tajemnice życia i opowiada je ku zgorszeniu i szyderstwu nie mających sądu.

(Dok. nast.)

Ks. dr. Józef Bąba.

Z piśmiennictw obcych.

Die Regel des hl. Benediktus erklärt in ihrem geschichtlichen Zusammenhang und mit besonderer Rücksicht auf das geistliche Leben. Freiburg im Breisgau. XV, 554.

Wykład najstarszej z reguł zakonnych Kościoła zachodniego, jaki dzieło powyższe zawiera, odpowiada potrzebie wynikłej z ciągłego rozwoju zakonów reguły św. Benedykta, który to rozwój w XIX w. na nowo się uwydatnił. Dość powiedzieć, że na 12 Kongregacyi składających zakon Benedyktynów, sześć z nich powstało a jedna się powtórnie zawiązała w ubiegłem stuleciu; że kiedy w r. 1880 gałąź męska tego zakonu liczyła 2471 mnichów, to w 14 lat później cyfra wzrosła do 4295. Wiadomo także, że zakon Cystersów reformowanych, zwanych zwykle Trapistami, jest tym, który (oprócz Towarzystwa Jezusowego) w XIX wieku najbardziej się rozszerzył, a w roku 1905 liczba wszystkich mnichów reguły św. Benedykta przekraczała 11.000 a ilość zakonnic tej reguły wynosiła 13.715. Zakony tej reguły jedne prowadzą życie kontemplacyjne, jak np. Kameduli, inne *vitam mixtam,* kierując szkołami, obsługując mnóstwo parafii, wszystkie dostarczają nieraz hierarchii kościelnej biskupów a nauce katolickiej uczonych i pisarzy. Ustrój klasztorów tej reguły opisał przepięknie pod tytułem: *Ein Tag im Kloster* Dom Sebastyan von Oer, a sama reguła, którą one się rządzą, jest, jak powiada protestant Hauck, w każdym punkcie dziełem umysłu pełnego miary i talentu organizacyjnego. Nic też dziwnego, że liczni kamentatorowie poświęcali jej swą pracę, tak że urosły foliały objaśnień, pełnych erudycyi, z którą zwykły czytelnik nie łatwo się może oswoić. Praca, której tytuł wypisany powyżej, ma inny charakter. Napisana była pierwotnie po francusku i wyszła w r. 1901 p. t.: *Explication ascétique et historique de la Règle de St. Benoît,* a napisał ją, zataiwszy swe nazwisko, jeden z członków Kongregacyi francuskiej zakonu benedyktyńskiego. Z uwagi, że zakon ten jest bardzo rozszerzony w Niemczech, w Austryi, Szwajcaryi, jeden z mnichów opactwa w Eltal w Bawaryi przełożył to dzieło na niemieckie. Pod względem formalnym wykład ten nie jest interpretacyą urzędową reguły, raczej jej tłumaczeniem zwyczajowem, co stąd pochodzi, że autor przeżywszy długie lata w spełnianiu tej świętej ustawy na różnych polach działania, owoce swych doświadczeń i rozmyślań przekazuje swej rodzinie zakonnej. Używa zaś do tego następującej metody:

naprzód we wstępie (str. 1—21) mamy rozprawę o istocie życia zakonnego, o jego celu i zasadach, któremi się ono kieruje; następnie znajdujemy samąż regułę w tłumaczeniu nowem, dokonanem z tekstu krytycznego, uzyskanego dzięki pracom Dom Schmidta, Wölflinga, Traubego. Po rozdziałach następuje wykład, ale nie metodą egzegetyczną, objaśniającą słowo po słowie, jedno mamy uwagi nad przewodnią myślą poszczególnego rozdziału lub całej grupy rozdziałów o jednej i tej samej materyi rozprawiających. Ideą przewodnią tej pracy było, jak sam autor powiada, dać poznać ducha przenikającego całą regułę św. Benedykta i wtajemniczyć się w system ascetyki św. Patryarchy, zaczem dzieła tego poznanie będzie pożytecznem nie tylko dla tych, co żyją pod regułą św. Benedykta, ale i dla innych osób służyć może za podręcznik do czytania duchownego. Bardzo też cennym jest dodatek (str. 506—532) pod skromnym tytułem: *Einige für Anfänger bestimmte Anweisungen über das heilige Offizium und das Gebet.* Jest to traktat, sam dla siebie całość tworzący, o modlitwie zarówno ustnej jak myślnej (medytacyi) i o modlitwie publicznej Kościoła zawartej w brewiarzu. W tej rozprawie, jak i w całej książce, autor opiera się na dziełach Ojców Kościoła i nauczycieli życia duchownego powszechnie cenionych, oraz na pracach uczonych, jak np. Benedykt XIV, Bäumer, Calmet, Pie, Mabillon, Martène, Haefter, Sauter i inni; jest to niemałą zaletą tego dzieła, które będąc pełnem erudycyi, dąży przedewszystkiem do praktycznych rezultatów.

M. B.

Das Evangelium vom Gottessohn. Eine Apologie der wesenhaften Gottessohnschaft Christi gegenüber der Kritik der modernsten deutschen Theologie. Von *Dr. Theol. et Phil. Anton Seitz*, o. ö. Professor der Apologetik an der Universität München. Freiburg 1908. Herder. 8-vo. S. X, 546.

Chrystus a antychryst — oto temat, obejmujący całą historyę chrześcijańskiej cywilizacyi. Nie wielu jest takich, którzy przechodzą nad Chrystusem do porządku dziennego, owszem Chrystus uchodzi powszechnie za najidealniejszą postać w dziejach ludzkości. Niestety jednak prawdą jest, co protestancki teolog Schmiedel w Zurychu otwarcie przyznał w odczycie »O osobie Jezusa w sporze poglądów dzisiejszych«, że »u nader licznych teologów protestanckich domniemane zagłębianie się w postaci Jezusa tkwi jedynie w tem, że własny swój ideał wkładają w postać Jezusa«. Smutny bardzo obraz rozwija

Seitz o tych wykrzywionych poglądach na osobę Boskiego Zbawiciela w »chrześcijaństwie bez chrystologii«. W imieniu nauki (!) oczywiście antychrześcijański duch pozbawia pojęcie »Syna Bożego« swej właściwej, wewnętrznej treści, i zachowuje tylko pozornie Chrystusowi symboliczny tytuł »Syna Bożego«. Głównym przedstawicielem teologii protestanckiej, rezygnującej z wiary w Bóstwo Zbawiciela, jest Adolf Harnack, autor dzieła p. t. *Das Wesen des Christentums.* Z nim też głównie rozprawia się prof. Seitz w swem gruntownem studyum. Przechodzi on wszystkie dowody o Bóstwie Chrystusa Pana, zaczerpnięte z Ewangelii, rozbiera je naukowo i krytycznie na tle tekstu, odpiera zarzuty najnowsze i uzasadnia wszechstronnie ten fundamentalny dogmat wiary chrześcijańskiej.

Dla pozytywnie teologicznego charakteru swego dzieło prof. Seitza przedewszystkiem będzie przydatne katechetom szkół średnich.

Zarzucić możnaby autorowi pewien brak przejrzystości i jasności, który spowodowały liczne uwagi polemiczno-apologetycznej natury.

Ks. Ernest Matzel.

Z piśmiennictwa czeskiego.

»Nový Zákon« přeložil dr. Jan Lad. Sýkora. — »Uvod do Pisma sv.« sepsal dr. J. L. Sýkora. — »Sv. Řehoře o správě pastýřske« přeložil Kl. Kuffner. — »Katolická Mravouka« napsal dr. Ant. Vřešťal. — »Posvátná místa« sepsal dr. Ant. Podlaha. — »Po stopách Boži prozřetelnosti« sepsal B. Jiřiček.

Czeskie piśmiennictwo kościelne zaznaczyło rok 1909 znacznym dorobkiem; tak liczbą wydawnictw jak treścią świadczy, że godziny wolne od pracy duszpasterskiej służą pobratymcom naszym na pracę poważną.

Ksiądz dr. Sýkora wzbogacił wydawnicze »Dziedzictwo Świętojańskie« książką już sto ósmą, a przez to dokonał dzieła bardzo pożądanego, bo wydał nowy przekład Ewangelii. Potrzebie szczególnej w Czechach odpowiada ten przekład, bo tamtejsi wydawcy Pisma św. od wieków inaczej radzili sobie z prastarym przekładem swoim, niż u nas wydaje się Wuyka. Nasi wydawcy nie pozwalają sobie, — przynajmniej zasadniczo, — na zmianę przekładu zatwierdzonego dla Kościoła polskiego. Czeski przekład pierwotny zaczął od szesnastego stulecia ulegać poprawkom bądź ze względu na język, bądź z troski o większą zgodę z Wulgatą albo greckim językiem. Nie jedna ręka, nie jedna myśl prowadziła wydawców przy tych poprawkach, robio-

nych dorywczo. Jedni zmieniali słowa zgodne z Wulgatą, aby odpowiadały wierniej greckim; inni poprawiali naodwrót. Wobec braku jednolitej zasady, coraz więcej próśb szło do ks. Sýkory, aby podjął się pracy równie ciężkiej, jak ważnej. Przystał na prośby i przyjął zasadę tę samą, według której obecnie w Rzymie przygotowują nowe wydanie Wulgaty: mianowicie prócz drukowanej miał na oku także poprzednie, pozostałe dotąd w rękopisach wydania Wulgaty i od drukowanej odstępował tam, gdzie znalazł w owych starszych rękopisach wiernie oddane myśli i słowa pierwotnie pisane po grecku.

Co więcej, dr. Sýkora opatrzył Ewangelie bardzo obszernym wykładem, przyczem uważał i na wyniki nauki dzisiejszej i na potrzeby czytelnika świeckiego. Tak gorąco poleca nam Rzym, żebyśmy czytali Pismo św.: ułatwił ks. Sýkora ten obowiązek swoim rodakom przez pracę naukowo wykończoną, wytłumaczoną niezwykle poprawnie i, co ważne dla wielu, niezwykle tanio.

Nie można tu przemilczeć, że do takiego wydawnictwa Czechy znalazły ks. Sýkorę przygotowanym zawodowo. Z pod jego też pióra już poprzednio wyszło poważne dzieło: »Uvod do Písma sv. nového Zákona«, którego dział pierwszy wyszedł już cały, a działu wtórego tylko część pierwsza, o dziejopisarskich księgach Nowego Zakonu. O dziele tem nie można milczeć w Polsce, bo łatwo zrozumiały język pozwoli naszym teologom korzystać z nieprzebranej skarbnicy wiedzy, którą tu zebrał dr. Sýkora. Czy do konferencyi zechce kto sprawdzić szczegóły, dziś najżywiej roztrząsane przez wiernych i niewiernych, czy do pracy doktorskiej albo apologetycznej potrzebuje wskazówek najdokładniejszych: znaleźć tu można wstęp do każdej Ewangelii wraz z żywotem jej pisarza i ważnymi o nim szczegółami: kiedy pisał i gdzie, jakiego na oku miał czytelnika, jakiemi piętnami prawdy potwierdza swoje świadectwo, z jakiemi zmianami albo bez zmian doszedł do nas przez ręce setek przepisywaczy.

Bezmierne mnóstwo szczegółów, poruszonych w tem dziele, samo przestrzega czytelnika, żeby nie w każdym bezwzględnie wymagał od ks. Sýkory wyroku pewnego, jak słowo prorockie. Nad czem osobno przez lata pracowali badacze, tego razem z całą omową tysiąca innych sporów nie mógł jeden pisarz rozstrzygnąć bezsprzecznie. W niejednym poglądzie znajdzie przeciwnika, który wytknie tu i ówdzie dowód mniej silny. Wytknąć także można brak spisu treści porządkowego, który może dopiero w 2-giej części nastąpi.

Dla duchowieństwa mało przy pracy pasterskiej zbywa godzin

wolnych, aby czytali co pożytecznego dla własnej duszy. Tem cenniejszą okazuje się każda książka, zdolna zasilić wewnętrzny żywot duchowieństwa, a spisana jędrnie i krótko, obliczona na potrzebę zarówno jak na czas szczupło wymierzony. Do takich książek należy »Prawidło pasterskie«, w którem św. Grzegorz tem piórem potężnem, jakiem włada, opisuje obowiązki sumienia duszpasterskiego. Wydał tę książkę w przekładzie czeskim ks. Kuffner, znany wielu Polakom, gościnny i uprzejmy proboszcz u św. Witą w Pradze. Prócz starannego przekładu zdobył tem większą zasługę, iż zaopatrzył swoją pracę przekładem Żywotu świętego Grzegorza przez Pawła dyakona, oraz uwagami na miejsca mniej zrozumiałe.

Niemałą też przysługę wyświadczył czytelnikowi przez podwójny spis treści: i porządkowy wedle rozdziałów, i bardzo obszerny, abecadłowy spis ustępów i myśli ważniejszych.

I Mgrowi Tumpachowi, przewodnikowi »Dziedzictwa św. Prokopa«, niemała należy się podzięka za ten już pięćdziesiąty tom ksiąg pożytecznych, w którym wyszły duszpasterskie nauki św. Grzegorza.

Poprzedni też tom, choć tylko tworzy pierwszą część większego dzieła, już dostarczyć może czeskiemu duchowieństwu wielkiej pomocy w pracy kaznodziejskiej i przy spowiedzi. Obejmuje ogólną część teologii moralnej. Przy nacisku dziś coraz powszechniejszym ze strony władz na kaznodziei, aby wykładali naukę jak najwszechstronniej, a nie tylko część jej ascetyczną, w wielu wypadkach potrzebuje mowca kościelny i katecheta mieć gotowy w swoim języku ojczystym niejeden ustęp z nauki moralnej, przydatny do wykładu dla wiernych. Aby zaspokoić wszelką potrzebę podobną, ks. dr. Vřešťal nie poprzestał na ustępach, prawdopodobnie najprzydatniejszych do nauki w kościele i szkole: objął swojem dziełem całą część pierwszą katolickich zasad obyczajowych. Pilnie przytem zwracał uwagę na stosunki czeskie i zachował wyrazownictwo utarte w katechizmach. Jaką cenę ma to dzieło, może czytelnik i stąd poznać, że jego wydawnictwem najpilniej zajął się Mgr. ks. dr. Tumpach i sam własnemi uwagami je zaopatrzył.

Inna znowu książka wyszła już nie dla Czechów tylko, ale dla wszystkich dziejopisów Słowiańszczyzny, ciekawa... i niemożliwie tania. Za cztery korony czytelnik dostaje opisaną część archidyecezyi praskiej. Setki wybornych rycin, tysiące wykrytych pomników dziejowego rozwoju Kościoła, niezliczone szczegóły, o stosunkach z przed wieków: to stanowi bogatą treść książki, którą chyba jeden na świecie dr. Podlaha zdoła dawać za cenę samego papieru.

A może ta cena, to tajemnica wydawców »Dziedzictwa Świętojańskiego?« Bo znowu innego z tegoż wydawnictwa książka wpada pod oczy: to p. Jiřiček pod napisem »Po stopách Boží Prozřetelnosti« wydał rzecz śliczną, zdobną również rycinami, a także niezrozumiale tanią. A czytelnik znajdzie tam najciekawsze wyniki z całej dziedziny, którą przyrodoznawcy wszelakiej nazwy zdobyli aż do dnia dzisiejszego. Od astronomii do fizyki, od roślin do zwierząt, od meteorologii do geografii i honnologii: wszędzie przeprowadza pisarz i wszędzie zajmie wyobraźnię czytelnika, zabawi i pouczy... wszędzie okazuje nad światem Stwórcę w Jego rządach opatrznych.

Ks. K. Czaykowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Album jubileuszowe: Grunwald. Szkic historyczny. Opracował *Jasław z Bratkowa.* Poznań 1910. Nakład polsko-katolickiej księgarni Z. Rzepeckiego i S-ki. 8-ka duża, str. 336.

Z prastarej ziemi Piastowej, na której ongi białe orły Lechowe bezpiecznie gniazda sobie wiły, a z której dzisiaj słychać tylko jęk sierót nieletnich, otrzymujemy w przeddzień pięćsetlecia Grunwaldu dzieło pomnikowe, które oby świadczyło w pokolenia długie o cnocie naszej i o zwyrodnieniu tych, dla których wiara była jedynie płaszczykiem, służącym do ukrywania przed światem zbrodni haniebnych, o pomstę do nieba wołających.

Ośmnaście rozdziałów tej wyczerpującej monografii — to martyrologia ziemi nieszczęsnej, ukradzionej w sposób podstępny przez najezdców. Słyszymy tutaj historyę bolesną od chwili najścia na pogańskich Prusaków rycerzy zakonu krzyżowego, nawracających na łono tego, który miłość głosił bezmierną, ogniem i mieczem, mordem i huraganami pożogi. Ale, że Nemezis dziejowa jest nieubłagana, więc pomściła się straszliwie na okrutnikach, którzy, jakby na urągowisko posłali przed bitwą pod Grunwaldem — dwa miecze Jagielle i Witoldowi — nie przeczuwając w swojej pysze bezgranicznej, że miecze te spadną ciosami straszliwymi na głowy tych, którzy je posłali. Grunwald był końcem świetności i potęgi butnego Zakonu krzyżackiego, który można było wówczas rozmieść w piach, gdyby nie kunktatorstwo wodzów polskich.

Dopuszczenie do sekularyzacyi zakonu było drugim nieobliczalnym wprost w następstwa krokiem fałszywym ze strony Polski. Ci bowiem, których przodkowie całowali kornie wobec tysięcy ludu nogi królewskie na rynku krakowskim, wzięli jak najczynniejszy udział we wszelkich machinacyach, skierowanych przeciwko ich dobroczyńcom. Fryderyk Wielki nie zawaha się nawet przed szyderczem porównaniem Polski z hostyą rozłamaną na trzy części... O kolejach, jakie zgotowali narodowi naszemu potomkowie jego — autorowi

wzruszenie pisać nawet nie pozwoliło. Rycerze krzyżowi porywali ongi dziatwę pogańską, żeby ją ochrzcić i wynarodowić, pachołcy Wilhelma II cóż innego mają dziś na celu, jak nie zluteranizowanie i zniemczenie dzieci, którym nawet Boga w ich ojczystym języku chwalić zabraniają!

Z podniosłą treścią »Albumu« harmonizuje doskonale strona artystyczna wydawnictwa, począwszy od okładki. Na niej bowiem pomieszczono kolorowaną plakietę, przedstawiającą śmierć wielkiego mistrza Ulryka, reprodukowaną z Matejkowskiej »Bitwy pod Grunwaldem«. Rycin w tekście jednokolorowych mamy 261, a ponadto 11 trójbarwnych tablic. Dobór i rozmaitość rycin nie pozostawia nic do życzenia. Znajdujemy bowiem tutaj reprodukcye zamków i kościołów polskich i pokrzyżackich, długi szereg godeł, herbów, pieczęci i monet, typy duchowieństwa krzyżackiego, rycerzy naszych, widoki licznych miast polskich i pruskich, pomników, tablic pamiątkowych i t. p. zabytków. Na niemniejszą uwagę zasługuje mapa zamków i ziem krzyżackich w Polsce oraz 56 banderyi krzyżackich, zdobytych przez Polaków w przeciągu lat 1410—1431. Wykonanie techniczne tablic nie ulega najmniejszemu zarzutowi.

A że wydawnictwo omawiane ma cel pedagogiczno-patryotyczny, więc trudno byłoby nie przytoczyć następujących słów wydawcy, jakie przyświecały mu w całem przedsięwzięciu. »Nie mamy powodu wołać: Hosanna! Raczej w piersi bić się winniśmy od magnata do pachołka, a rozpamiętywując ową i świetną i smutną przeszłość naszą uczmy się na nieszczęściach przodków naszych, i łącząc się, budujmy duchowo od nowa tę Polskę, która kiedyś była tak potężna!«

Dzieło omówione, poświęcone »Młodzieży Polskiej« — »Przyszłości Narodu«, zasługuje ze wszech miar na jak największe rozpowszechnienie. Duch patryotyczny i obywatelski, jaki z niego przemawia, wyszczególnia je i stawia na pierwszym planie pomiędzy wszystkiemi najnowszemi wydawnictwami gwiazdkowo-noworocznemi.

Zet.

Na srebrnym globie. *J. Żuławski.* Lwów. Tow. Wydawnicze. 1909. Str. 288.

Jest to drugie wydanie powieści fantastycznej, opisującej wyprawę na księżyc. Pierwsza połowa książki podaje nam opis księżyca, fantastyczny wprawdzie, ale o podkładzie dość ściśle naukowym, jako taka, z korzyścią może być czytana. Zato druga część już tylko urojona, pełna jest doktrynerstwa, którego przeprowadzenie ułatwionem jest z powodu zasłonięcia nielogicznych skoków przez fantastyczną formę powieści. Tak np. niewytłumaczonem logicznie jest, dlaczego pokolenie młode, zrodzone z ludzi normalnych, ziemskich, ma być skarłowaciałem, przeżytem, dlatego tylko, że się urodziło na księżycu: jeżeli otoczenie wpływa w ten sposób na tych ludzi, to dlaczego również otoczenie ludzi ziemskich nie może oddziaływać na etyczne, umysłowe wychowanie tych karzełków? Wszędzie przebija u autora skłonność do składania hołdów ewolucyonizmowi skrajnemu; dlaczego pierwszym krokiem w tej ewolucyi jest ogromny skok naprzód w objawach już obumierania fizyologicznego ludzi księżycowych, a równocześnie ogromne cofnięcie się wstecz w duchowym swym rozwoju aż do kultury pierwotnego prawie człowieka? Pomijamy, że przecież nawet w pseudonauko-

wych, byle tylko szanujących się sferach, Darwin w ten sposób pojmowany, »przestał już być w modzie«. Również rozwój pojęć etycznych i religijnych przedstawia się więcej nienaukowo, niż nawet na fanstatyczną powieść przystało. Autor nie chciał wnosić na księżyc »przesądów« katolickiego Kościoła, ale wniósł tam Biblię: z tej Biblii czerpią ci ludzie wiele pojęć etycznych; ale czyż w Biblii nie można znaleźć katolickiego pojęcia Boga, by dopiero człowiekowi, ostatniemu z pośród ludzi ziemskich, oddawać miały karzełki księżycowe cześć boską? O wiele lepiej jest uchwyconą szczęśliwa myśl kapłanki Ady, chociaż w szczegółach i tutaj trudno się dopatrzeć pożądanego związku. Zresztą forma oryginalna i język pełen siły czynią tę powieść przyjemną w czytaniu.

K.

Nasze czytanki. *St. Okołowiczówna* i *H. Orsza.* Książeczka I: Jesień. Książeczka III: Wiosna. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909.

Czytanki te, przeznaczone na rok drugi nauki, »mają dać dziecku barwne, całym urokiem mowy ojczystej mieniące się czytanki, któreby przemówić mogły do myśli, uczucia i wyobraźni, nie tylko pouczyć, lecz przejąć dziecko, rozpalić żarzące się w niem iskierki zasobów duchowych«.

Odpowiednio do tych zamiarów, bardzo ładnych, książeczki te są ułożone rzeczywiście z wielkim talentem pedagogicznym, mogą przemówić do dziecka i być przez nie rozumiane, szczególnie np. ustępy wprowadzające dziecko w zrozumienie tajemnic przyrody, są pisane bardzo jasno.

Jedną tylko wadę mają owe czytanki: wśród całego zasobu słów naszej ojczystej mowy, nie wymieniły one tylko jednego słowa: Bóg. Jak gdyby sz. autorki zapomniały zupełnie o tem, że to słowo Bóg i to, co pod tym słowem się kryje, oddziaływa i przejmuje i kształci duszę dziecka i jest mu potrzebniejsze stokroć więcej, niż najpiękniejsze ustępy z czytanek. Pod tym więc względem zdradzają owe czytanki brak niczem nie zastąpiony, i tendencyę, o jakiej świadczyć mogą same nazwiska na czele wymienione.

K.

Wybór poezyi. *B. Zaleski.* Ułożył J. Kallenbach. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1909.

W kieszonkowem wydaniu bardzo starannem, jak wszystko, co wychodzi z zakładów drukarskich W. L. Anczyca, są tutaj dobrane poezye Zaleskiego z każdej epoki jego twórczości: utwory młodociane, dumy, dumki, wiośnianki i szumki, wiersze różne. Z większych utworów jest: »Złota duma«, »Przenajświętsza Rodzina«, »Potrzeba zbaraska« i »Duch od stepu« w wyjątkach, ale dobranych.

Dodane do »Złotej dumy« i »Potrzeby zbaraskiej« uwagi, objaśniają znaczenie tych poematów.

K.

W kalejdoskopie. *Kornel Makuszyński.* Lwów 1910. Nakładem Tow. Wyd.

Dziennikarz, tylko dziennikarz, szermujący płytkim frazesem i fajerwerkiem słów! To określenie nasze potwierdza nie tylko pomieszczona w swoim czasie ocena »poezyi« i »nowel« p. Makuszyńskiego, ale dosadniej jeszcze zbiór notatek z podróży, listów z Paryża i kilku artykulików o aktorach i dramacie współczesnym, zebrany w omawianej książce. Czyż bowiem rzetelny talent, prawdziwy artysta poprzestałby na linoskoczem

pokpiwaniu o książce »Z pamiętnika upadłej kobiety«, jadąc prześlicznym Renem; czyż prawdziwy artysta zdobędzie się na poznanie w czasie pobytu w Paryżu (przez kilkanaście miesięcy!) jedynie jego tinglów, kabaretów, teatrów »okropności« i t. d., a zamknie oczy na wszystko, co ma związek ze sztuką, wiedzą i kulturą tej stolicy świata? Dlatego też stawianie tej książki przez wydawców w reklamowych ogłoszeniach »obok listów z podróży Sienkiewicza« jest co najmniej... śmieszne, i dziwić się tylko należy, że autor na to zezwolił.

A. S.

Rzeźba francuska XIX i XX w. *Czesław Poznański.* Lwów 1909. Nakład księgarni Altenberga.

Do dzieł w języku polskim zajmujących się sztuką europejską, tak dodatnio reprezentowanych przez prace Chłędowskiego (»Siena«, »Ferrara«, »Rzym«) i hr. Pinińskiego (»Przechadzka po muzeach madryckich«) przybywa jeszcze jedno niepośledniej wartości. Jest niem »Rzeźba francuska« p. Poznańskiego. W książce tej omawia autor jedynie rzeźbę XIX i XX wieku, omawía zaś nie tylko na podstawie rozrzuconych po czasopismach prac krytyków francuskich, nie tylko na podstawie własnej znajomości sztuki, ale także na podstawie osobistych stosunków z wielu współczesnymi rzeźbiarzami francuskimi. Ten fakt ostatni podnosi wartość książki, gdyż pozwala nam wniknąć w poglądy o sztuce i rzeźbie najwybitniejszych współczesnych artystów francuskich. Fakt ten pozwala również autorowi na wnioski, z którymi nie zawsze zgodzić się należy, ale zawsze liczyć się wypada. Jeden jedynie zarzut (o pedanteryo!) czynię autorowi. Język p. Poznańskiego nie jest zawsze czysty i poprawny, co czytelników, przyzwyczajonych do języka dzisiejszych pierwszorzędnych krytyków polskich, razić musi. Cenną książkę p. Poznańskiego zdobią liczne illustracye.

A. S.

Papież Pius X. Życie i praca. *Ks. dr. Stefan Momidłowski.* Nakład księgarni A. Juszyńskiego w Przemyślu. 1908. Str. XI, 250.

W dziesięć rozdziałów zamknął autor swą pracę. Z tych sześć poświęcił czasom przed wyborem papieża Piusa X, w dalszych zaś dopiero rozpatrzył, jakie nowy Papież rozpoczął rządy z Piotrowej stolicy. Końcowy ustęp poświęcony jest stosunkowi Piusa X do Polski. Całość poprzedza wstęp, przypominający akt ustanowienia św. Piotra Głową Kościoła.

W. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego

Sprawy Kościoła.

Obecne położenie Kościoła w Hiszpanii.

Rządy młodego Alfonsa XIII widocznie mają być dla Hiszpanii epoką odrodzenia politycznego i ekonomicznego, rzecz bardzo pożądana dla narodu i Kościoła hiszpańskiego. Hiszpania aż zanadto dotąd zapomniała o czasach dawnej świetności i potęgi swojej i zastojem ekonomicznym i kulturalnym dała niejeden słuszny powód do licznych rewolucyi zeszłego wieku i obecnego niezadowolenia. Nie szczędzono także Kościołowi hiszpańskiemu, który bezsprzecznie nadzwyczajnym cieszy się wpływem u ludności, zarzutów, że w niczem nie przyczynia się do postępu i kulturalnego odrodzenia narodu hiszpańskiego, zarzutów, których używano także obficie jako dowodu na ujemny wpływ kulturalny Kościoła w ogólności. Są to zarzuty, które wprawdzie ogólnie brane krytyki nie wytrzymują, dla Hiszpanii jednak i hiszpańskiego Kościoła bodaj czy nie wiele słuszności w sobie zawierają. Bo choć misya Kościoła w pierwszym rzędzie tyczy się duszy i jej kultury religijnej, to jednak cała historya Kościoła, dobrze zrozumiane znaczenie kultury dla religii i sama istota rzeczy domagają się, aby Kościół zwłaszcza tam, gdzie tak pierwszorzędne stanowisko zajmuje, nie omieszkał być także czynnikiem kulturalnym, uwzględniającym

i popierającym zdrowe prądy kultury współczesnej. Nie można zaprzeczyć, że Kościół hiszpański pod tym względem nie dość odpowiadał swemu szczytnemu zadaniu na niekorzyść własnej swej misyi. Trzeba zaś obecnej hierarchii hiszpańskiej przyznać, że sama spostrzegła ten niepocieszający brak Kościoła hiszpańskiego i według sił stara się błąd usunąć, jak to stwierdzają ostatnie listy episkopatu hiszpańskiego i obudzona akcya katolicka na polu ekonomicznem i społecznem. Zakończenie sprawy Ferrera kazało się domyślać, że dla sanacyi stosunków hiszpańskich na wzór dotychczasowych kulturkämpfer'ów zapomocą prześladowania Kościoła i sekularyzacyi dóbr kościelnych grunt dzisiejszy hiszpański będzie polem niewłaściwem. Położenie jednak zmieniło się od czasu, gdy Canalejas i z nim liberalni objęli ster rządu. Canalejas, prezydent ministrów, umiał króla Alfonsa przekonać, że jedynem zbawieniem dla zagrożonej przez radykalizm monarchii jest zupełna wolność sumienia, a najlepszym dowodem, że katolik z nią pogodzić się może, jest on sam, który prawie ostentacyjnie bierze udział w zewnętrznych aktach kultu katolickiego i dla papieża ma wyrazy najgłębszego szacunku i synowskiego przywiązania. Z dotychczasowych oświadczeń i postępowania rządu chyba też jasno wynika, że w obecnem dziele swojem reformacyjnem wzoruje się na pobratymczej Francyi, że dąży wprost do separacyi Kościoła od państwa. Mowa tronowa z 15 czerwca, która wprawdzie zawiera zapewnienia uczuć synowskich względem Stolicy św., zapowiada zarazem prawa przeciw zakonom, wkraczające w sferę jurysdykcyi kościelnej, i uwolnienie szkoły od wpływów Kościoła w imię wolności sumień. Niedługo potem dekret królewski, wbrew konkordatowi i oświadczeniom dawniejszym królewskim, zagwarantował dyssydentom wszelką swobodę religijnego kultu. Canalejas nie krył się nawet z tem, że obok usunięcia przysięgi, jego program reformy zawiera w sobie kwestyę rozwodów i małżeństwa cywilnego.

Watykan, który koniecznym reformom w Hiszpanii okazał się przychylny, wobec radykalnych aspiracyi liberałów zmuszony był zająć stanowisko odporne. Canalejas wprawdzie zapewnia, że

nie wątpi, iż przyjdzie do porozumienia między Watykanem i rządem, ale dotychczasowe dzieje obecnej walki religijnej w Hiszpanii raczej codzień więcej przekonywują każdego, że wobec takiego programu reform o porozumieniu mowy być nie może i że raczej rozłam coraz bardziej się powiększać będzie. Może też Canalejasowi i partyi jego o zgodę z Watykanem nie bardzo chodzi, gdyż jawnem jest, że za całą Kościołowi tak wrogą akcyą kryje się loża, za której sprawą Hiszpania już straciła Filipiny i teraz w partyi liberalnej i republikańskiej zwalcza ołtarz i tron.

Nie tak łatwo jednak przyjdzie loży zwycięstwo w Hiszpanii, jak we Francyi. Ostatnie kroki rządu wywołały liczne zebrania protestacyjne, liczne oświadczenia wierności i ze sfer najwyższych dla Stolicy św.; katolicki zaś lud hiszpański, silnie przywiązany do Kościoła, jest dobrze zorganizowany i do walki przygotowany. Obecnie liczy Hiszpania 255 katolickich stowarzyszeń, 47 patronatów robotniczych, 556 syndykatów agrarnych, 297 kas Raiffeisena, 95 syndykatów przemysłowych, 33 spółek spożywczych, 29 kas oszczędności, 92 towarzystw ubezpieczeń, 33 rady dyecezyalne, 8 bibliotek ludowych i 3 banki kredytowe. Prasa katolicka posiada 60 gazet, z których 17 powstało w roku ostatnim. Jądrem organizacyi jest gmina kościelna, ognisko religijnego i socyalnego życia. Wszystkie organizacye katolickie podlegają centralnej władzy z siedzibą w Madrycie. Jej zadaniem jest propaganda, zwłaszcza zaś tworzenie nowych organizacyi robotniczych. Stoi ona w ścisłym związku z radami dyecezyalnemi we wszystkich dyecezyach. Dla zrozumienia rzeczy wymienić należy, że w Hiszpanii akcya socyalna znajduje się w rękach kleru i na jej czele stoi energiczny arcybiskup Walencyi Msgr. Guisasola. Jego zdaniem, akcya socyalna domaga się także od kleru działalności organizacyjnej w sprawie agrarnej. Kler ma się o to starać, aby odpowiednimi środkami wyrwać robotnika i chłopa z rąk lichwiarzy. Koroną tej całej akcyi katolickiej ma być wielki dziennik *El Dèbate,* który pod względem religijnym i społecznym ma zawsze wskazywać kierunek ściśle katolicki. Wobec przywiązania ludu hiszpańskiego do Kościoła

i istniejących organizacyi katolickich można się spodziewać, że loży nie uda się demoralizacya Hiszpanii na wzór francuski, ale niejedna rzecz pod presyą rządu z pewnością się zmieni w dotychczasowych stosunkach i stanowisku Kościoła hiszpańskiego. Bez wątpienia przyjdzie do większej sekularyzacyi na wszystkich polach życia publicznego, oczywiście nie bez silnej opozycyi ze strony Kościoła. Jakkolwiek każdy dobrze myślący katolik tylko potępić może program partyi liberalnej i obecnego rządu jako też dotychczasowy sposób walki, nie oglądającej się na wiekowe prawa Stolicy św. w Hiszpanii, to jednak nikt zaprzeczyć nie może, że pewien ferment, zbliżający Hiszpanię do nowszej kultury, był potrzebny może i pod względem religijnym. Kto zna choćby pisma O. Colomy, ten wie, że pewne pogłębienie życia religijnego, zwłaszcza w sferach inteligencyi hiszpańskiej, było bardzo upragnione i uwolnienie od pustej formalistyki tylko na korzyść Kościoła wyjść może.

Trudno dziś o całej walce i jej znaczeniu dla Hiszpanii urobić sobie dokładne wyobrażenie, nie dlatego tylko, że znajduje się dopiero w swoich początkach, ale także dlatego, że koła konserwatywne hiszpańskie, Kościołowi nawet bardzo przychylne, nie tak wrogo na rozpoczęte kroki rządu się zapatrują. Widocznie więc nie wszystko publiczności wiadomo, co za kulisami się dzieje, trudno też przypuścić, aby rząd w tak trudnem położeniu swojem, odważył się przeciw nieomal całemu narodowi wystąpić do walki z potężnym Kościołem hiszpańskim w sposób, któryby od razu pozbawił tron najwierniejszych poddanych. Ale choćby strach miał zbyt wielkie oczy, lepiej wobec potężnej międzynarodowej akcyi wolnomularskiej, której skutki dotychczasowe aż zanadto są widoczne, mieć się na ostrożności. Hiszpanii katolickiej zaś tylko życzyć można, aby walka obecna stała się początkiem nowej świetności dla rycerskiego jej narodu.

Ks. Hofinger przed sejmem bawarskim.

Katecheta przy wyższej szkole żeńskiej w Bamberdze, ks. Hofinger, widocznie gorący ale nie szczęśliwy zwolennik słynnego pedagoga Förstera, nie chciał także w swojej działalności nauczycielskiej ominąć dogmatu dzisiej-

szego wychowania: uświadomienia seksualnego, i jak mógł najlepiej swoim uczennicom drażliwą tę kwestyę przedstawiał. Rzecz doszła do uszu ojca czy też opiekuna którejś z uczennic i przez niego do rąk znanego także z parlamentu niemieckiego posła-liberała Müllera-Meiningen. Ponieważ nieposzlakowane życie Hofingera nie dało możliwości skandalu na drodze sądowej, więc poseł Müller wniósł interpelacyę w tej sprawie do ministra kultu, w sejmie bawarskim. Rzecz ciekawa ale stara; poseł tej partyi, która w pismach, gazetach, dążnościach swoich agituje za daleko idącem uświadomieniem płciowem, księdzu katolickiemu, starającemu się odpowiedzieć wymaganiom nowszej pedagogii, zarzuca demoralizacyę i zarzut ten rozciąga na cały kler katolicki, który jakoby w pełnem świetle dwudziestego wieku dąży tylko do ogłupiania mężczyzn, psucia kobiet i zatruwania duszy dziecka. Minister kultu wprawdzie zganił postępowanie Hofingera, ale przypomniał też słusznie posłowi Müllerowi, że nie ma żadnego prawa do czynienia zarzutu Hofingerowi, gdyż jego własna partya popiera propagandę uświadomienia płciowego. Także znany publicysta Maksymilian Harden w swojem czasopiśmie *Die Zukunft*, śmieje się ze skrupułów i delikatności moralnej Müllera i towarzyszów-liberałów i bierze w obronę Hofingera, w którym raczej widzi wzór godny do naśladowania, pragnąc, aby szkoła zaprzestała i nadal na życie zamykać oczy.

Biskup bamberski usunął Hofingera ze stanowiska i uwolnił nadal od urzędu katechety, również centrowcy bawarscy, którzy wprawdzie podjęli się obrony Hofingera przed sejmem, uważali postępowanie jego za nietaktowne.

Różne te głosy z różnych obozów są najlepszym dowodem, jak wskazaną jest największa ostrożność w tej drażliwej kwestyi ze strony katolickiej, jak zwłaszcza niebezpieczną rzeczą jest wierzyć ślepo w tryumfy nowszej pedagogii. Doświadczenie wiekowe Kościoła, misya jego boża umoralnienia człowieka mocniejszą jest rękojmią mądrości pedagogicznej, aniżeli najbystrzejsza inteligencya mądrego pedagoga nowożytnego. Bez wątpienia za daleko posunięto się także nieraz ze strony katolickiej w kwestyi uświadamiania, które wprawdzie jest potrzebnem, atoli za-

danie to należy raczej do matek, aniżeli szkoły i nauczyciela. Zresztą jakie ma być zadanie uświadomienia wobec dzisiejszej korupcyi, która zapomocą słowa i malowideł szerzy uświadomienie inne, przed którem nikt młodzieży dzisiejszej nie obroni, chyba tylko surowe prawodawstwo przeciw liberalnym kierunkom i wolnomyślnemu żydowstwu. Wpierw trzeba tamę położyć demoralizacyi dzisiejszej młodzieży, którą systematycznie prowadzi obóz antykatolicki, aby uświadomienie roztropne i delikatne w kwestyi seksualnej mogło wydać pożądane owoce. Sprawa ks. Hofingera też jasno wykazuje, że kler katolicki daremnie usiłuje koncesyami i grzecznością zyskiwać względy liberałów. Co ksiądz katolicki czyni, jest z góry rzeczą przynajmniej nieużyteczną, nawet złą choćby w tendencyi swojej katolickiej. Trzeba sobie stanowczo powiedzieć, między Kościołem i obozem wolnomyślnym zgody i porozumienia być nie może, jak między Chrystusem i Belialem. Tu zostaje tylko jedna droga: walka i działalność zszeregowana i systematyczna w duchu Kościoła.

Ks. A. Starker.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1909.

Kraków: Akademia Umiejętności. — Tow. filozoficzne. — Tow. miłośników historyi i zabytków m. Krakowa. — Tow. numizmatyczne. — Grono konserwatorów dla Galicyi zachodniej. — Tow. Tatrzańskie. — Tow. Polska sztuka stosowana. — Tow. pielęgnowania nauk społecznych. — Tow. prawniczo-ekonomiczne. — Tow. lekarskie. — Tow. techniczne. — Koło literacko-artystyczne. — Klub słowiański.

Lwów: Tow. dla popierania nauki polskiej. — Tow. filozoficzne. — Tow. przyrodników polskich im. Kopernika. — Tow. ludoznawcze. — Tow. historyczne. — Tow. heraldyczne. — Grono konserwatorów dla Galicyi wsch. — Tow. literackie im. A. Mickiewicza. — Tow. filologiczne. — Tow. nauczycieli szkół wyższych. — Tow. pedagogiczne. — Tow. prawnicze. — Tow. lekarzy galicyjskich. — Tow. hygieniczne. — Tow. weterynarskie. — Tow. politechniczne. — Związek naukowo-literacki. — Koło literacko-artystyczne. — Klub społeczno-naukowy. — Koło dramatyczne. — Koło muzyczne. — Klub polsko-węgierski. — Czytelnia katolicka. — Powszechne wykłady uniwersyteckie.

Prowincya: Stanisławów. — Przemyśl. — Stryj.

Warszawa: Kasa im. d-ra J. Mianowskiego. — Tow. Przyj. Nauk. — Tow. kultury polskiej. — Tow. krajoznawcze. — Tow. lekarskie.

Wilno: Tow. Przyjaciół Nauk. — Kijów: Ogniwo. — Polskie Tow. lekarskie.

W. Ks. Poznańskie: Tow. Przyj. Nauk. — Tow. naukowe Toruńskie. — Zjednoczenie kobiecych Tow. oświatowych.

Śląsk: Polskie Tow. ludoznawcze. — Beskid. — Śląskie Tow. pedagogiczne.

Petersburg: Związek polski lekarzy i przyrodników.

Z bibliotek i muzeów całej Polski[1].

Jakżeż poważna i w pewnej mierze zasadnicza zmiana w formacyi naszych stowarzyszeń naukowych zaszła od czasu, kiedy po raz ostatni miałem zaszczyt z tego miejsca dokonać obrachunku rocznych zysków i strat, powodzeń i zawodów — przed laty pięciu?

Zasadnicza dlatego, że na skutek manifestu październikowego można było pomyśleć o zrzeszeniu się osób, pracujących w pewnej gałęzi nauki polskiej, na ziemiach naszych pod zaborem rosyjskim.

Lata pierwsze »konstytucyi« nie doprowadziły, co prawda, w Królestwie Polskiem ani w krajach zabranych do tak intensywnego rozwoju ruchu naukowego, jaki był spodziewany. Ale temu nie winny bynajmniej liczne jednostki, poświęcające się nauce, ile dwa czynniki od nich zupełnie dalekie i niezawisłe, mianowicie: owładnięcie umysłów politykomanią oraz dwa terrory — czerwony i rządowy. Wiele osobistości, które dotychczas pracowały wydatnie na niwie naukowej, musiało na czas pewien wyrzec się zupełnie badań ścisłych, skoro jedne z tych osób, powołane do pseudoparlamentu rosyjskiego, zostały pochłonięte czynnościami, uniemożliwiającemi pracę spokojną, inne znowu zostały zmuszone do wyjazdu za granicę, lub w niektórych wypadkach kulą bratobójczą przeniesione w świat lepszy. Terror czerwony dostał odpowiedź ze strony biurokracyi, która nie tylko przepędzała wszystko wybitniejsze tam, gdzie pieprz rośnie, ale też dla lada błahej przyczyny, z powodu przeważnie t. zw. »trudności prawno-

[1] Za łaskawe zezwolenie na zużytkowanie sprawozdań, które drukiem nie ukażą się, uważam za obowiązek złożyć z tego miejsca podziękowanie pp. Z. Wasilewskiemu, wiceprezesowi »Związku nauk.-liter.«, p. E. Walterowi, prezesowi »Koła muzycznego«, p. Stamirowskiemu, prezesowi »Klubu polsko-węgierskiego« i »Kołu dramatycznemu« we Lwowie, p. d-rowi E. Farnikowi w Cieszynie, wreszcie »Tow. nauk. warszawskiemu« i »Tow. Kultury polskiej« oraz prawie wszystkim bibliotekom i muzeom. — Jedynie »Grono konserwatorów dla Galicyi zachodniej« odmówiło mi udzielenia wyciągu z protokołów, odsyłając do sprawozdania, jakie ma być drukowane za lat parę dopiero.

ustawowych« odmawiała zatwierdzenia statutów stowarzyszeń, mających wyłącznie cele badawcze na oku. Skoro jednakowoż chodzi o wstrzymywanie rozwoju kulturalnego Polski?... »Bracia Słowianie!«

Kiedy wszelako minęły się stany wyjątkowe, kiedy wrzenie ustało, przyszła apatya ogólna, równie dobrze na polu ekonomicznem, politycznem, finansowem jak i naukowem. Zawiedzione tragifarsą konstytucyjną umysły były już niemal zupełnie wyczerpane z energii twórczej. Ale — bodaj czy apatya owa nie była korzystna dla przyszłego rozwoju ruchu naukowego w Królestwie Polskiem i w krajach zabranych?... Bo jeżeli z powodu niej powstało mniej znacznie stowarzyszeń naukowych, aniżeli tego spodziewać się należało, to znowu z drugiej strony stowarzyszenia owe stoją chyba na trwałych podstawach, skoro ostały się, pomimo tylu silnych orkanów, co więcej, nie prowadzą do takiego rozdrobnienia sił i funduszów, jakiego świadkami jesteśmy, nie od teraz w Galicyi. Stowarzyszenia pod zaborem rosyjskim stoją wyłącznie pracą i funduszami własnych członków, boć chyba skarb rosyjski na nie grosza nie wyłożyłby, a zresztą o ten grosz nikt z uczciwych Polaków nie ważyłby się prosić. Zupełnie odwrotnie mają się stosunki ze stowarzyszeniami galicyjskiemi, z których jedynie kilka mogłoby działać bez subwencyi: krajowych, miejskich i rządowych. Powtóre — stowarzyszeń tych namnożyło się już tak wiele, że siłą konieczności muszą działać w kilku z nich jedne i te same osoby, co nie jest, z łatwo zrozumiałych powodów, korzystne, a już najmniej wskazane.

* * *

Ilekroć muszę z obowiązku publicystycznego pisać o naszej najwyższej instancyi naukowej, tyle razy napełnia mnie duma. Bo proszę tylko wskazać mi drugą analogiczną instytucyę, już nie polską, ale europejską, która potrafiłaby zapomocą równie skromnych środków materyalnych, w jakie uposażona jest jedyna polska Akademia Umiejętności, poszczycić się równie wspaniałymi rezultatami prac mozolnych i przedsięwzięć monumentalnych?!... Zdani na własne siły, nie liczący na pomoc niczyją, potrafiliśmy, jeśli nie stanąć na równi, to prześcignąć analogiczne instytucye zagraniczne. Zasługa w tem niespożyta przedewszystkiem uczonych, drukujących swoje prace w wydawnictwach akademickich, a niemniej genialnego administratora, jakim obdarzyły Akademię losy w osobie czcigodnego prof. Ulanowskiego. Usuwającemu się zawsze w cień, tem świetniejszy blask na-

leży się na tem miejscu, które będzie *forum* publicznem, świadczącem pokoleniom przyszłym.

Co się tyczy stosunków finansowych Akademii Umiej., to nie doznały one w ciągu roku ubiegłego wybitnej zmiany. Poza darami Senatu Uniw. Jag. przybyły tylko dwa legaty, każdy w wysokości rb. 1000, z których tylko jeden, stanowiący zawiązek funduszu ś. p. Cezarego Staniewicza, a przeznaczony na badania fizyografii Litwy, został zrealizowany. Rokowania w sprawie szybszego doprowadzenia do skutku fundacyi im. Erazma i Anny Jerzmanowskich zostały uwieńczone rezultatem pomyślnym. Wdowa po testatorze, pobierająca dożywotnio odsetki od legowanej kwoty 1,200.000 koron, zgodziła się na oddanie kapitału fundacyjnego w zarząd Akademii oraz na ukonstytuowanie fundacyi już w najbliższym czasie. Rzeczywiste wszelako wprowadzenie jej w życie nastąpi dopiero po wygaśnięciu dożywocia. Zauważyć również należy, iż dochód z rozsprzedaży wydawnictw akademickich pomnaża się stale, co stanowi najlepszy dowód zwiększającej się ciągle ich popytności. Nie ulega wątpliwości, że katalog, obejmujący wszystkie druki, wydane kosztem Akademii do połowy roku 1909, przyczyni się jeszcze do tem większego ich rozpowszechnienia.

Wydawnictwo źródeł do dziejów porozbiorowych Polski, jedno z najmłodszych przedsięwzięć akademickich, rozpoczęte przy pomocy jednorazowej zapomogi senatu Uniw. Jag., może się już teraz poszczycić wcale pokaźną liczbą ogłoszonych dzieł, z których niejedno w sposób zupełnie niespodziewany rozświetla dzieje Polski w XIX wieku. W przygotowaniu do druku znajduje się już cały zastęp publikacyi z tego samego zakresu, a wszystkie rękopiśmienne. »Dyaryusza sejmu z r. 1830/31«, wydawanego przez prof. M. Rostworowskiego, ukazał się tom czwarty; »Korespondencyi ks. Lubeckiego z ministrami, sekretarzami stanu«, wydanej przez prof. d-ra Smolkę, cztery tomy opuściły prasę. Nadto podjęto prace przygotowawcze około ogłoszenia: raportów i instrukcyi, dotyczących stosunków W. Ks. Warszawskiego z Francyą, dalszych materyałów do historyi Królestwa Polskiego p. t. »Z papierów Lubeckiego«, wreszcie ważniejszych źródeł do dziejów emigracyi polskiej po r. 1831. Archiwum Komitetu wzbogaciło się znacznymi nabytkami, odnoszącymi się do końca XVIII i pierwszej połowy XIX wieku.

Wydawnictwo »Encyklopedyi polskiej«, jakiego nie powstydziłaby się żadna z światowych instytucyi naukowych, stanęło ostatecznie na

pewnym gruncie z powodów następujących: Senat Uniw. Jag. przekazał Akad. Umiej. z dochodów drukarni uniwersyteckiej kor. 35.000, a to na fundusz »Encyklopedyi polskiej« 20.000 kor., na wydawnictwo podręczników przyrodniczych 5.000 i na nowo kreowane wydawnictwo podręczników humanistycznych, jako pierwszą ratę kor. 10.000. Dary senatu akademickiego Uniw. Jag. są, ogółem wzięte, wprost królewskie, jeśli tylko zważymy ich wysokość niebywałą, przewyższającą obecnie 150.000 kor. »Encyklopedya polska«, która zacznie ukazywać się już w r. b., może poszczycić się całkowicie zebranym materyałem na trzy olbrzymie tomy. Pierwszy tom obejmie »Geografię fizyczną Polski«, opracowaną przez prof. Rehmana, Romera, Sawickiego, Dunikowskiego, Rudnickiego, Siemiradzkiego, Raciborskiego, Niezabitowskiego, Grzybowskiego, Limanowskiego, Radziszewskiego, Rudzkiego, Gorczyńskiego i Dziewulskiego. Dalsze dwa działy są w rękopisie wykończone. Daj Boże! porównać ją niebawem z Encyklopedyą słowiańską Akademii petersburskiej, a okaże się dowodnie, o ile wydawnictwo rosyjskie, rozporządzające setkami tysięcy rubli, będzie stać niżej od naszej skromnie honorowanej encyklopedyi, i — co najważniejsze! — napisanej przez Polaków, podczas gdy na encyklopedyę petersburską składać się musiały pióra uczonych najrozmaitszych narodowości! *Pażyjom — uwidim!*... powiada przysłowie.

Innego, ogólnego znaczenia entrepryzą naukową Akademii jest wydawnictwo »Greckich Ojców Kościoła z IV wieku«. Jeszcze w r. b. zacznie się druk pierwszego tomu tej publikacyi, która pomieści w wydaniu prof. L. Sternbacha »Prolegomena« do edycyi pieśni św. Grzegorza z Nazyanzu.

Na posiedzeniach wydziału filozoficznego przedstawiono między innemi następujące prace: d-ra K. Nitscha »Próba podziału gwar polskich«, prof. d-ra K. Morawskiego »Cezar i religia rzymska«, prof. d-ra P. Bieńkowskiego »O paru antykach w muzeum XX. Czartoryskich«, J. Grzegorzewskiego »Grób Warneńczyka«, L. Janowskiego »Słowacki, jako uczeń uniwersytetu wileńskiego«, prof. d-ra J. Tretiaka »Luźne przyczynki do biografii i utworów Słowackiego«, St. Schneidra »Kilka objaśnień do dzieł Słowackiego«, prof. d-ra W. Bruchnalskiego »Nowe źródła twórczości Kochanowskiego«, d-ra A. Łuckiego »Młodość Brodzińskiego«, prof. d-ra T. Grabowskiego »Polacy na uniwersytecie lejdejskim« i »Krytyka literacka polska za czasów romantyzmu«, M. Manna »O rozwoju syntezy literackiej od Gerwinusa«, wreszcie prof. d-ra

M. Zdziechowskiego »Geneza pessymizmu« oraz »Idea duszy świata w literaturze i filozofii XIX wieku«, St. Schneidra »Król wężów, studyum etnograficzne«, d-ra Z. Jachimeckiego »Wpływy włoskie w muzyce polskiej« i d-ra A. Chybińskiego »Teorya mensuralna w polskiej literaturze muzycznej z pierwszej połowy XVI stulecia«.

Komisya dla badania historyi sztuki w Polsce nie poprzestawała na ogłaszaniu cennych monografii w swoich wspaniale wydawanych »Sprawozdaniach«. Przygotowuje bowiem obok nich wydawnictwa osobne, na których czele należy wymienić: bogato illustrowany opis Zamościa i powiatu zamojskiego, którego to wydawnictwa fundatorem jest tyle świadczący przy każdej sposobności na cele naukowe ordynat Maurycy hr. Zamojski.

Komisya językowa ukończyła druk IV-go tomu »Materyałów i prac« oraz ostatniego tomu »Słownika gwar polskich« Karłowicza. Poza tem dr. E. Muka przygotowuje wydanie rzadkiego druku łużyckiego z XVI w. »Śpiewnika« Moellera, a p. R. Zawiliński podjął się dokonać fotograficznego zdjęcia całej Biblii królowej Zofii, tak żeby można mieć w Krakowie autentyczny tekst tego zabytku.

Do »Słownika staropolskiego«, nad którym sprawuje pieczę prof. J. Łoś, przybywają coraz to nowe, bardzo cenne materyały, dlatego też byłoby niepodobieństwem oznaczyć, kiedy ostateczna redakcya tego wydawnictwa zostanie ukończona? Przedsięwzięcie to ciągnie się już dość długo, wobec znacznego jednakże postępu, jaki uczyniło od czasu, kiedy prof. Łoś wziął je w swoje dzielne ręce, można spodziewać się niedalekich i walnych po nim rezultatów. Poza prof. Łosiem prof. dr. J. Rostafiński opracował materyał, zawarty w jego *Symbola ad hist. natur. medii aevi.* W ten sposób przygotowany i uporządkowany materyał zajmuje przeszło 20 tysięcy kartek.

W »Bibliotece pisarzów polskich« wyszedł »Biernata z Lublina Ezop«, wydany przez prof. I. Chrzanowskiego, kończy się druk »Katechizmu z r. 1543« w opracowaniu p. Fr. Pułaskiego, niebawem ukaże się Testament Stary i Nowy, *Hortulus animae* i inne pokrewnej treści teksty z samego początku XVI w., opracowane przez d-ra L. Bernackiego, poczem zaraz pójdą »Pisma Dzwonkowskiego« wyd. przez p. Badeckiego, który przygotował również »Walną wyprawę mistrzów na wojnę«. Sporo też zapowiedział prof. J. Czubek.

Prace Komisyi literackiej obracały się głównie około

wydawnictwa »Archiwum Filomatów«. Materyał został już w całości przepisany, a druk korespondencyi Filaretów, obliczony na cztery duże tomy, w opracowaniu prof. Tretiaka postępuje raźnie naprzód. Z Archiwum tego wydał już prof. Kallenbach osobno »Nieznane pisma, wiersze i listy A. Mickiewicza«. Ponadto wydano osobno nieznane poezye Brodzińskiego w opracowaniu d-ra A. Łuckiego, który wydaje równocześnie korespondencyę i nieznane pisma prozaiczne Brodzińskiego w XII-ym tomie »Archiwum K. L.«, na czem się ów tom zakończy.

Komisya bibliograficzna publikowała drugi zeszyt XXIII tomu »Bibliografii polskiej« K. Estreichera w opracowaniu syna jego tyle zasłużonego już prof. Stanisława Estreichera.

Wydział historyczno-filozoficzny ogłosił jeden tom »Rozpraw«, a jako osobne publikacye d-ra M. Sobeskiego »Uzasadnienie metody objektywnej w estetyce« oraz ks. d-ra Szydelskiego »Konstanty Zieliński, arcybiskup lwowski«, wspólnie zaś z wydziałem III rozprawę d-ra L. Sawickiego p. t. »Rozmieszczenie ludności w Karpatach zachodnich«, wreszcie epokowe dzieło d-ra J. Łukasiewicza »O zasadzie sprzeczności u Arystofanesa«, d-ra W. Sobieskiego »Polska a Hugonoci po Nocy św. Bartłomieja«, d-ra J. Rutkowskiego »Klucz Brzozowski biskupstwa przemyskiego w XVIII wieku« i d-ra A. Wrzoska »Jędrzej Śniadecki« (tom II na ukończeniu). Ponadto dziełu ks. prof. d-ra Gabryla p. t. »Filozofia przyrody« udzielono subwencyi w kwocie 1200 kor.

Z pomiędzy rozpraw, czytanych na posiedzeniach, wymienimy niektóre, a mianowicie: d-ra W. Kętrzyńskiego »Niektóre uwagi o autorze i tekście najdawniejszej kroniki polskiej«, d-ra W. Semkowicza »O Roczniku t. zw. świętokrzyskim dawnym«, d-ra A. Szelągowskiego »Granice Polski i Rusi w X i XI w.«, d-ra St. Zakrzewskiego »Uwagi nad Unią Horodelską«, d-ra A. Prochaski »Witold, litewski wielki książę«, prof. d-ra Finkla »Elekcya Zygmunta I«, prof. d-ra Wł. Czerkawskiego »O pamiętnikach jen. Prądzyńskiego«, p. Stan. Szpotańskiego »Maurycy Mochnacki« i M. Sokolnickiego »Bilans czynności dyplomatycznych polskich w Paryżu w roku 1831«, wreszcie ś. p. d-ra St. Waszyńskiego »Dzierżawa i najem u społeczeństw starożytnych«.

Komisya historyczna ogłosiła 2-gi zeszyt *Monumenta Poloniae paleographica* prof. Krzyżanowskiego i trzecią część II tomu »Praw i przywilejów miasta Krakowa«. Z polecenia Komisyi dr.

E. Barwiński badał materyały polskie z XVI i XVII wieku w archiwach szwedzkich. Druk »Dyaryuszów sejmowych 1591—1592« postępuje stale.

Ekspedycya naukowa watykańska, pracująca pod kierunkiem prof. Abrahama i Zakrzewskiego, liczyła w r. ub. trzech uczestników, a mianowicie: prof. d-ra J. Ptaśnika, d-ra Kłodzińskiego i d-ra Rutkowskiego. Obecnie przeszła do wydawania nagromadzonych w olbrzymiej ilości materyałów. Dość powiedzieć o rezultatach prac ekspedycyi, skoro zważy się tylko, że w druku znajdują się obecnie cztery tomy. To plon prac długoletnich i mozolnych, dobiegających wreszcie do końca.

Komisya prawnicza opublikowała ciąg dalszy *Corpus iuris Polonici* prof. O. Balzera. Praca nad wydawnictwem »Źródeł prawa niemieckiego w Polsce«, podjęta przez prof. d-ra St. Estreichera zbliża się ku końcowi. Również znacznie postąpiły czynności przygotowawcze około wydawnictwa »Pism rokoszowych« tak, że tom pierwszy zostanie w jesieni oddany do druku.

Na Wydziale matematyczno-przyrodniczym życie zabiło żywszem tętnem od uzyskanej na przeciąg lat pięciu subwencyi nadzwyczajnej w wysokości 12.000 kor. rocznie. Obecnie łączna dotacya tego wydziału, chociaż mimo wszystko jeszcze bardzo szczupła, pozwoli na rozwinięcie skuteczniejszej od dotychczasowej działalności, co jest wobec stałego rozwoju tej gałęzi wiedzy nader pożądane.

Komisya fizyograficzna wydała tom 43-ci swoich »Sprawozdań«, a z »Atlasu geologicznego Galicyi« dodatek do zeszytu 15-go. W druku są trzy zeszyty »Atlasu« i nowy tom »Sprawozdań«.

Sekcya botaniczna prowadziła prace w kierunku florystycznego zbadania Miodoborów, poszukiwań mykologicznych w Tatrach. Przy pomocy zasiłków, przyznanych przez sekcye geologiczną i zoologiczną rozpoczął dr. L. Sawicki badanie jezior tatrzańskich.

W Komisyi antropologicznej, której budżet aż nadto skromny w porównaniu z funduszami, łożonymi na inne komisye, (dlaczego — jeśli wolno wiedzieć?), nie pozwalał na życie znośne bodaj, prof. dr. J. Talko-Hryncewicz przedstawił program swoich zamierzonych badań nad dziećmi szkolnemi w Krakowie i najbliższej okolicy, obliczony na szereg lat najbliższych, oraz złożył sprawozdanie ze swej wycieczki do Czech i na Morawy. W dziale ściśle archeologicznym dr. Demetrykiewicz prowadził w dalszym ciągu badania archeologiczne w ziemi krakowskiej, a mianowicie

wspólnie z p. M. Wawrzenieckim studyował układ grodziska z ostatniej epoki przedhistorycznej w Czatkowicach koło Krzeszowic oraz zbadał najbliższe otoczenie mogiły Wandy. Dr. Demetrykiewicz robił następnie poszukiwania na zrujnowanych cmentarzyskach ciałopalnych z urnami z epoki Hallstatskiej w Kwaczale koło Alwernii i Tarnobrzegu, i podjął badania w obrębie powiatu ropczyckiego, wreszcie na podstawie badania groty Magóry w Tatrach, wykazał, że ona nie zawiera wcale śladów pobytu człowieka przedhistorycznego i budzi interes tylko pod względem geologicznym i paleontologicznym. Muzeum komisyi wzrastało stale, chociaż z żalem stwierdzić należy, że porządkowanie wykopalisk z powodu szczupłości lokalu posuwa się powoli naprzód. — W r. ubiegłym wydano tom XI-ty »Materyałów«, a na posiedzeniach rozpatrzono prace p. J. Stokłosy »Sitarze z Łętowego«, W. Bogdana »Gadki ludowe z Hyżnego«, p. A. Saloniego »Zaściankowa szlachta polska w Delejowie pow. stanisławowskiego«. P. S. Udziela przygotował do druku pracę »Ubiory polskich górali beskidowych«. Komisya bibliograficzna prac matematyczno-przyrodniczych zbierała i klasyfikowała w dalszym ciągu materyał naukowy. »Katalogu lit. nauk. polsk.« wydano w r. ubiegłym dwa zeszyty.

Biblioteka Akademii doszła w inwentarzu do 41.179 dzieł (oprócz zbiorów Walewskiego i ks. Lubomirskiego, liczących 12.944 dzieł. Zbiór rękopisów liczy 1677 numerów, dyplomów uporządkowanych 345, złożonych w depozycie 9. W r. ub. biblioteka otrzymała pomiędzy innymi darami, cenny zbiór rękopisów po ś. p. H. Łopacińskim oraz znaczną ilość notatek literacko-bibliograficznych po ś. p. Cypryanie Walewskim, pochodzących z daru prof. d-ra St. Estreichera.

Stacya naukowa polska w Paryżu powiększyła znacznie dotychczasowy lokal, skutkiem czego liczba osób, korzystających z jej zbiorów powiększyła się w dwójnasób, tak, że nie płonna jest nadzieja, iż niebawem ten za granicą działający zakład Akademii dojdzie do zupełnego rozkwitu.

W sprawie badań egiptologicznych, zainicyowanych przez naszą Akademię, nastąpił z Akademią wiedeńską, stojącą na czele tego przedsięwzięcia układ na przeciąg lat trzech. W braku na razie fachowych polskich egiptologów wezmą w poszukiwaniach tych kolejno udział członkowie Akademii krakowskiej i profesorowie archeologii klasycznej pp. dr. P. Bieńkowski i dr. K. Hadaczek.

Co się tyczy licznych fundacyi, jakiemi Akademia zarządzała, to zarówno stypendyjne, jak niemniej specyalnego przeznaczenia (np.

ś. pam. W. Osławskiego), funkcyonowały, równie jak za lat ubiegłych prawidłowo, ściśle wedle przepisów statutowych.

Nagród rozdano, jak zazwyczaj, bardzo mało, ale wina w tem szczupłości zapisów nagrodowych, nie zaś Akademii, której w udziale przypada tylko trud zawiadywania funduszami. W r. ub. nagrodę konkursową im. S. B. Lindego w kwocie rb. 675 przyznano pracy p. n. »Studya nad nazwami wód słowiańskich«, której autorem jest jeden z najtęższych językoznawców europejskich prof. dr. Jan Michał Rozwadowski. Nagrodę im. d-ra J. Majera w kwocie 2000 kor. na temat »monografia krakowskiej jury brunatnej«, przyznano pracy p. t »Bat Kelowej, Oxford dolny w okręgu krakowskim«, której autorem jest dr. K. Wójcik. Nagrodę z fundacyi im. XX. Lubomirskich w wysokości 3000 kor., za pracę z zakresu nauk przyrodniczych i lekarskich prof. dr. Leonowi Marchlewskiemu za jego badania nad chlorofilem, streszczone w rozprawie »Ze studyów nad chemią chlorofilu«. Wreszcie nagrodę z fundacyi Konstantego Simona za pracę, napisaną w języku polskim z dziedziny fizyki i matematyki otrzymał prof. dr. Maurycy Rudzki za dzieło p. n. »Fizyka ziemi«. — Z funduszu ś. p. Probusa Barczewskiego nagrodę za pracę historyczną otrzymał ks. prof. dr. Wł. Chotkowski, za najlepsze dzieło malarskie prof. J. Mehoffer (przyczem uwzględniono świetną ornamentykę wnętrzy kościelnych oraz witraży).

Czyliż po takiem wyszczególnieniu zasług Akad. Umiej. potrzeba jeszcze słów jakich? Niech ją chwalą czyny jej!... że sparafrazuję słowa biblijne.

* * *

Jednem z najmłodszych, ale rokujących najświetniejsze nadzieje na przyszłość jest krakowskie Towarzystwo filozoficzne, którego potrzebę nie od teraz odczuwał poważnie prastary gród podwawelski. Pod wpływem ruchu, ujawnionego na polu zrzeszonej pracy naukowej w zakresie filozofii ścisłej we Lwowie i w Warszawie, przystąpił tylekroć zasłużony prof. M. Straszewski do założenia Tow. filozoficznego w Krakowie. I jakkolwiek nowa ta organizacya naukowa istniała rok niespełna (założenie jej przypada na kwiecień r. ub.), przecież w ciągu tych kilku miesięcy życia zdziałała wcale dużo, żeby wymienić tylko zainicyowanie kilku przedsięwzięć poważniejszych, a mianowicie: rocznika Towarzystwa, zbiorowego cyklu odczytów, wreszcie wydawnictwa arcydzieł filozofii narodowej polskiej. Do zrealizowania tych wszyst-

kich zamierzeń jest — naturalnie — wcale nie blizko, skoro zważy się, jak wielkich wymagają one funduszów, na których zgromadzenie trzeba znaczniejszej ilości czasu. Na razie musiano poprzestać na urządzaniu odczytów. Akcya w tym kierunku została uwieńczona najpomyślniejszymi rezultatami. Odczytów tych były typy dwa: wielkie odczyty publiczne, wygłoszone w auli Collegii Novi oraz odczyty dyskusyjne, wygłoszone w sali seminaryum filozoficznego. Z zakresu pierwszych wygłoszono ogółem sześć odczytów, objętych tytułem zbiowym »W poszukiwaniu za prawdą« (dlaczego nie »przed« prawdą?!...) Drugiemu typowi odpowiadały prelekcye ks. prof. Gabryla i prof. Straszewskiego. Na najzupełniejsze wreszcie uznanie zasługuje program pracy na rok bieżący, określony zorganizowaniem cyklu wykładów o polskiej filozofii narodowej.

* * *

»Towarzystwo miłośników historyi i zabytków m. Krakowa«, które dało impuls Lwowu do utworzenia zupełnie analogicznej instytucyi, prowadziło żywot normalny pod wytrawnem kierownictwem prof. d-ra Stan. Krzyżanowskiego, przy współudziale wybitnych uczonych, żeby tylko wymienić d-ra Klem. Bąkowskiego, d-ra A. Chmiela, St Cerchę, prof. d-ra W. Czermaka, Z. Hendla, d-ra Koperę, d-ra J. Korzeniowskiego, prof. St. Kutrzebę, prof. Mycielskiego, L. Lepszego, d-ra J. Pagaczewskiego i Tomkowicza.

W r. ub. wydano tom 12-ty »Rocznika krakowskiego«, a w »Bibliotece krakowskiej« dwa obszerne tomy (40 i 41) wspomnień Ambrożego Grabowskiego w opracowaniu prof. d-ra St. Estreichera, oraz oddano pod prasę nowy tom »Rocznika« z pracami: d-ra Muczkowskiego »O warowniach krakowskich« i d-ra J. Ptaśnika »O Włochach w Krakowie w XIV i XV w.«. Również na ukończeniu jest nowy numer »Biblioteki«, obejmujący ciąg dalszy Kroniki krakowskiej do roku 1848 w opracowaniu d-ra K. Bąkowskiego. — Zamierzone natomiast wydanie monografii Krakowa w języku angielskim utknęło z powodu odmowy firmy wydawniczej londyńskiej, mimo poprzedniego jej przyrzeczenia. Pomyślnym za to wynikiem uwieńczone zostały kroki Tow. o monografię francuską, której napisaniem zajęła się wybitna autorka francuska pani Guy de Bois Hebert, pisząca pód pseudonimem Anne de Bovet. Książka ma się ukazać w krótkim czasie nakładem księgarni H. Laurénsa w Paryżu.

Materyał zebrany przez dwa konkursy fotograficzne, posłuży

obecnie do wydania album widoków Krakowa wraz z okolicą. Na wydanie pierwszego zeszytu album ma Tow. przyznaną subwencyę ministerstwa robót publicznych, płatną po przedłożeniu egzemplarza tego wydawnictwa.

Z »Kongregacyą kupiecką«, obchodzącą w r. bieżącym jubileusz 500-lecia założenia, weszło Tow. w porozumienie celem wydania książki, przedstawiającej rozwój handlu, organizacyę kupiectwa i wybitniejsze postacie ze świata kupieckiego krakowskiego w wiekach przeszłych. Na monografię tę, która wejdzie w skład wydawnictw Tow., uzyskano subwencyę Kongregacyi w kwocie 2.500 kor. Pracy tej podjęli się pp. Kutrzeba i Ptaśnik. Ze względu na to, że od lat wielu po wydawnictwach Grabowskiego, Piekosińskiego i Krzyżanowskiego nie przybywały większe wydawnictwa źródłowe, potrzebne badaczom przeszłości Krakowa, postanowiono odkładać corocznie przynajmniej 300 k. na wydawanie materyałów źródłowych z bogatego archiwum miejskiego. Zwrócono wreszcie uwagę na zaniedbaną u nas sprawę zabytków muzycznych. Osobna komisya postanowiła przedewszystkiem zająć się inwentaryzacyą druków i rękopisów muzycznych, znajdujących się w bibliotekach krakowskich, archiwach, wreszcie zbiorach kościelnych i klasztornych. Pracę tę rozdzielono w ten sposób, że katalogowanie muzykaliów do r. 1700 objął dr. Adolf Chybiński, późniejsze zaś zabytki opracują do spółki pp. Wallek-Walewski i Raczyński.

Ze spraw konserwacyi zabytków trzeba zanotować na pierwszem miejscu restauracyę Ogrojca przy kościele św. Barbary, która pod kierownictwem p. Z. Hendla, posunęła się w r. ub. znacznie naprzód. Na cele tej restauracyi uzyskano ogółem subwencye w sumie sześciu tysięcy kor., a że koszt robót konserwacyjnych wyniesie najmniej 10.000 kor., brakującą więc resztę będzie musiało dodać Tow.

Cenne obrazy cechowe z końca XV wieku w kościele św. Katarzyny ucierpiały wielce skutkiem wilgoci, tak, że pozostawienie ich w stania dotychczasowym naraziłoby je na zupełne zniszczenie. Ze względu na to, jak niemniej i na tę okoliczność, że stanowią one niezawodnie części dawnego tryptyku, którego obraz główny gdzieś — niestety — zaginął, Tow. poruczyło utrwalenie tych obrazów zaszczytnie znanemu artyście-malarzowi p. Wł. Pochwalskiemu. Podczas restauracyi wnętrza kościoła św. Wojciecha natrafiono na zamurowane dwie absydy romańskie. Ze względu na to, iż Kraków posiada niewielką ilość romańszczyzny, należało absydy te odsłonić i po wyfugowaniu ich,

pozostawić nietknięte. Na ten cel Tow. uchwaliło przeznaczyć stosowną kwotę.

W najbliższym programie ma Tow. konserwacyę 14 uszkodzonych nagrobków w kościołach krakowskich, która będzie przeprowadzona wspólnie z »Gronem konserwatorów« i »Tow. opieki nad zabytkami«.

Celem uczczenia pamięci Wincentego Pola umieszczono tablicę pamiątkową przy ul. Szpitalnej l. 26, według projektu p. Hendla, której koszta (643 kor.) pokrył właściciel kamienicy. Sprawę tablicy pamiątkowej Wita Stwosza oraz grobu konfederatów barskich przy klasztorze OO. Kapucynów odłożono z braku funduszów do późniejszego czasu.

Biblioteki własnej Tow. nie posiada, otrzymane zaś książki w 50 tomach udzieliło do księgozbioru Archiwum akt dawnych m. Krakowa, któremu oddano również 23 fotografie.

W r. ub. podjęto wreszcie inwentaryzacyę zbioru klisz i sporządzono katalog 800 sztuk. W r. b. praca ta zostanie ukończona, a skutkiem niej zyska Tow. przegląd klisz przy następnych wydawnictwach.

Należy wreszcie zanotować wynajęcie osobnego lokalu na magazyn wydawnictw, do spółki z Gronem konserwatorów dla Galicyi zachodniej.

O stanie finansowym Tow. najlepsze wyobrażenie dać może zestawienie dat następujących: podczas gdy w r. 1897 członków liczono 176 — w r. ub. było ich 648; — podczas gdy w pierwszym roku istnienia suma dochodów Tow. zamknęła się skromnemi 1364 kor. a rozchodów 937 kor., — to w r. ub. dochody i rozchody dosięgły poważnej, jak na nasze stosunki lokalne, wysokości 12 tys. koron w przybliżeniu. I — co uwagi godne — ani razu w ciągu lat tak wielu nie zamknięto rachunków niedoborem kasowym. Fakt ten niecodzienny w życiu naszych instytucyi naukowych świadczy wymownie z jednej strony o solidarności członków, jak niemniej o zasługach rzetelnych zarządu, który potrafił członków zadowolić w zupełności na punkcie ich wymagań. Jakżeż zawodnem okazuje się przysłowie brukowe o rzekomej opieszałości uczonych?!...

Po przetrwaniu kilku biblijnych »lat chudych« nastały nareszcie dla »Towarzystwa numizmatycznego« »lata tłuste». Przemiana taka dokonała się głównie dzięki pracy tych młodych jednostek, które Tow., rzec można, do pewnego stopnia samo sobie wychowało. — Na podniesienie zasługuje przedewszystkiem rozwój finansowy Tow.

W czasie, gdy za lat poprzednich dochód nie przekraczał rocznie 1600 koron, a rozchód 1400 kor., w roku ostatnim zamknęło Tow. książki dochodem, przekraczającym sumę 5000 kor. i nadwyżką około 1500 kor. Także kapitał żelazny wzrósł o 1300 kor., podnosząc się z 4000 do 5300 koron. — Nierównomierność we fluktuacyi członków daje się tutaj zauważyć taksamo, jak w innych stowarzyszeniach. Jednakowoż zarząd Tow. chwycił się jedynej w takich wypadkach, choć nieprzyjemnej, metody postępowania. Uchwalił tedy ostracyzm członków, zalegających z wkładkami i — wyszedł na tem jak najlepiej. Pomimo bowiem skreślenia dość wielu osób z listy członków Tow., liczba członków nie tylko nie zmniejszyła się, ale nawet podniosła. Przystąpiło 38 nowych członków. — I teraz ma Tow. do czynienia jedynie z płacącymi regularnie, a nie z figurantami tylko. Metody tej winnyby się jąć i inne nasze stowarzyszenia, a z pewnością skutki, wynikłe z jej zastosowania nie byłyby ujemne. — Co najsmutniejsze? — to, że zarówno zarząd Tow., jak i redakcya »Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych«, miały do walczenia z nieżyczliwością, panującą dla Tow. w pewnych kołach numizmatyków warszawskich. Nie mogąc wytłumaczyć sobie powodów tego smutnego objawu (czy nie działał tu żal »pokrzywdzonych« przez redakcyę antorów?!...) Zarząd dążył wszelkiemi siłami do stworzenia zupełnej łączności pomiędzy wszystkimi numizmatykami polskimi. O ile usiłowania te okażą się owocne, przyszłość najbliższa pokaże. — Organ Tow. »Wiadomości« uległ przemianie na miesięcznik, co pociągnęło za sobą znaczne trudności w przygotowaniu i opracowaniu materyałów do każdego numeru. Mimo to jednak żaden numer nie uległ opóźnieniu. — Biblioteka Tow. otrzymywała 16 czasopism fachowych. — Niepodobna wreszcie nie wspomnieć o medalu, poświęconym pamięci byłego prezesa ś. p. Andrzeja hr. Potockiego, którego wybicie pociągnęło za sobą znaczne koszta, do których pokrycia przyczyniło się ministerstwo oświaty kwotą 800 koron.

* * *

Dla Towarzystwa Tatrzańskiego rok ubiegły był rokiem skupienia i planów na przyszłość. Nie dziw tedy, że lwia część prac jego przypadła na sprawy natury administracyjnej, z pomiędzy których na pierwsze miejsce wysunęła się konieczność rozszerzenia otwartego w roku 1908 schroniska nad Morskiem Okiem, a to jedynie z powodu wzrastającego stale ruchu turystycznego. Podanie o subwencyę do ministerstwa robót publicznych nie zostało dotychczas za-

łatwione, a dotąd cała sprawa znajduje się ciągle w stadyum przygotowawczo-wyczekującem, dla załatwienia jej bowiem wymaganych jest około 80 tys. koron. Uznając dalej potrzebę wybudowania schroniska na Tomanowej, które służyłoby w porze letniej głównie jako punkt oparcia do badań naukowych w zakresie geologii, jakie z ramienia Wydziału krajowego mają odbywać się w Tatrach. w zimie zaś służyłoby narciarzom, urządzającym częste wycieczki w te strony, wniesiono petycyę do Wydziału krajowego o subwencyę jeszcze w roku minionym, ale — niestety! — dotychczas nie otrzymano na nią odpowiedzi. Sprawa założenia alpinaryum w parku przy Dworcu tatrzańskim w Zakopanem będzie ostatecznie załatwiona w ciągu b. r. Ogółem biorąc, Tow. mogłoby załatwić pomyślnie wiele jeszcze innych spraw, gdyby oczywiście doznało poparcia bodaj ze strony najbardziej zainteresowanych. A przecież — wyjmujemy ustęp ze sprawozdania — »także i rada gminna zakopiańska dziwnie obojętnie zachowuje się wobec Towarzystwa Tatrzańskiego, nie udzieliwszy mu n i g d y żadnej subwencyi lub poparcia, a niemniej charakterystyczną jest uderzająco niewielka ilość członków Tow. Tatrzańskiego (zaledwie 37) w Zakopanem stale zamieszkałych«.

Szczególną uwagę poświęcono w r. ub. wydaniu »Pamiętnika«, zyskując dlań cenne prace pp. Czerwińskiego, Dzięddzielewicza, Hoesicka, Króla, Limanowskiego, Sosnowskiego, Sawickiego, Zaruskiego oraz ś. p. M. Karłowicza. Zewnętrzny wygląd podnoszą także bardzo starannie odbite illustracye, które Tow. zawdzięcza: prof. Wyczółkowskiemu, p. Kostaneckiej, pp. Czerwińskiemu, Gąsiorowskiemu, Langowi oraz Muzeum Alpejskiemu w Bernie szwajc. Koszt wydania tej trzydziestej z rzędu publikacyi Tow. wyniósł 2833 koron. Wydania drugiej połowy mapy Tatr nie spuszczał wydział z oka i przystąpi do niego z chwilą, kiedy kartograficzna reambulacya Tatr będzie ukończona przez wojskowy zakład geograficzny w Wiedniu. — Ogłaszanie obserwacyi meteorologicznych w Krakowie nie dało się i nie da się jeszcze prędko wprowadzić w czyn z powodu niedostatku funduszów na cel ten potrzebnych.

Inwentarz Tow. wzbogacił się darem p. Ireny Karłowiczowej w postaci zbioru fotografii i klisz, pozostałego po ś. p. M Karłowiczu, zgasłym tragiczną śmiercią przed rokiem.

Wydawnictwo *Taternika* prowadziła w dalszym ciągu sekcya turystyczna z wielkim dla ogółu turystów tatrzańskich pożytkiem.

Oddziały Tow. rozwijają się normalnie, a w toku jest utworzenie

nowego oddziału śląskiego z siedzibą w Cieszynie. — Z końcem ub. r. liczyło Tow. ogółem członków 2094 (z czego w oddziale Babiogórskim 58, Czarnohorskim 228, Beskid 130, Pienińskim 66), w porównaniu zatem z r. 1908 zwiększył się stan członków o 78. Przybytek to niewielki, obecna zaś suma członków, po odliczeniu tych, którzy stanowią cztery wymienione oddziały, nasuwa wcale niewesołe refleksye. Wystarczy przypomnieć, że Tow. liczyło przed dwudziestu kilku laty znacznie więcej członków!

»Daleko nam wszakże — podnosi słusznie sprawozdanie — do tej ilości członków, którą Towarzystwo Tatrzańskie powinnoby posiadać, aby mogło spełniać wszystkie zakreślone naszym statutem cele i zadania. Wydział wie o tem dobrze i przykładał zawsze jak najwięcej starań do rozszerzenia Tow., do spopularyzowania jego zadań i wzmocnienia jego podstaw i sił żywotnych. Ale starania samego wydziału i wszystkich organów Towarzystwa do zupełnego osiągnięcia zamierzonego celu, t. j. zbadania i uprzystępnienia gór polskich wystarczyć nie mogą. Potrzeba jeszcze współdziałania wszystkich bez wyjątku członków Towarzystwa, potrzeba pomocy tego społeczeństwa polskiego, które polskie góry kocha i zwiedza, potrzeba uznania i poparcia ze strony wszystkich w grę tutaj wchodzących czynników« ... A zatem możeby też ministerstwo robót publicznych raczyło — dodajemy od siebie — przypomnieć sobie istnienie Tow. tatrzańskiego?!

Obrót kasowy nie przekroczył ram normalnych. W dochodach została wykazana cyfra 25.785 kor., w rubryce rozchodów 22.533 kor., tak, że pozostałość kasowa Towarzystwa na r. 1910 wynosi 3251.87 kor. Obydwie te cyfry mogą nieznającym sprawy dokładnie wydawać się wprost królewskiemi, o ile weźmie się je w zestawieniu z obrotem kasowym innych naszych stowarzyszeń. O tem wszelako, że środki to są wcale skromne i nieproporcyonalnie małe do zadań Tow. tatrzańskiego, może łacnie przekonać się każdy, jeżeli tylko zada sobie tak niewiele trudu, jak zestawienie funduszów naszego stowarzyszenia z krociowemi sumami, jakiemi rozporządzają rozliczne kluby alpinistyczne. Bo że o tak wysokich subwencyach, jakich im nie szczędzi rząd z racyi wzmożonego ruchu kolejowego, Tow. tatrzańskie ani zamarzyć nie zdolne, — z tego rzadko kto u nas zdaje sobie sprawę.

* * *

Towarzystwo »Polska sztuka stosowana« rozwijało się wcale pomyślnie pomimo znacznych szczerb, jakie śmierć poczyniła w szeregach

najbardziej zasłużonych członków, żeby tylko wymienić ś. p. prof. K. Potkańskiego i St. Wyspiańskiego. Nie spuszczając oka z głównych zadań, jakie wytknęło sobie Tow., gromadzono w dalszym ciągu skutecznie materyały z zakresu sztuki ludowej i zabytków budownictwa, jak niemniej projekty i reprodukcye z okazów sztuki stosowanej, wykonanych podług kompozycyi artystów polskich; wydano nowy zeszyt »Sztuki stosowanej«, który rozesłano członkom Tow. bezpłatnie. Zeszyt ten (Materyały nr. 12) zawiera zbiór krzyżów na Litwie oraz niezwykle oryginalnych kapliczek, wykonanych przez p. Fr. Krzywda-Polkowskiego dla Jana hr. Przezdzieckiego z Rakiszek w gub. kowieńskiej. Zbiór obejmuje 30 krzyżów, wykonanych akwarelą, ołówkiem i piórkiem (z czego 11 reprodukowano kolorami) i został poprzedzony obszerniejszym wstępem tegoż samego autora. Ogłaszano konkursy oraz wystawy. Celem ostatnich było wykazanie, że sztuka stosowana polska jest, że jest szereg artystów, którzy kilkuletnią świadomą pracą dowiedli, że w zakresie urządzenia wnętrz mieszkalnych, a więc przedewszystkiem w meblarstwie i dekoracyi ścian, można i u nas własnymi środkami, na gruncie rodzimym, zająć stanowisko samodzielne i artystyczne w pełnem znaczeniu tego wyrazu.

Zbiory Tow. w dziale materyałów obejmują zwyż 2000 okazów (w tem okazy ludowe oryginalne, motywy, kopie, fotografie, rysunki i t. p.), a w dziale kompozycyi (współczesnych projektów lub reprodukcyi z okazów, wykonanych podług pomysłów artystów polskich) 160 kartonów. Biblioteka Tow. zasila się głównie wydawnictwami polskiemi i obcemi w drodze wymiany. Zamknięcie rachunkowe wykazuje w przychodach i rozchodach cyfrę wiele mówiącą 21.000 kor. W tem były subwencye: krajowa 1000 kor., państwowa 500 kor. i m. Krakowa 300 kor. Członków liczyło Tow. 342.

* * *

Towarzystwo pielęgnowania nauk społecznych, założone lat temu siedm, drzemało od połowy 1904 roku jeszcze. Plany założycieli, dążących do stworzenia instytucyi, wzorowanej na paryskiej szkole nauk politycznych, nie ziściły się. W początkach r. 1908 nastąpiła reorganizacya Tow., któremu zakreślono szczuplejsze ramy działania. Z pomiędzy odczytów, wygłoszonych po reorganizacyi wymienimy: d-ra J. Dziembowskiego »O prawie wywłaszczenia ludności polskiej w zaborze pruskim«, d-ra L. Caro »Nasi wychodźcy w Brazylii« prof. d-ra Fr. Bujaka »Przemysł naftowy w Galicyi«, d-ra Z. Gar-

gasa »Polscy wychodźcy w Stanach Zjednoczonych«, d-ra K. Krzetuskiego »O przesileniu ekonomicznem w Stanach Zjednoczonych w r. 1907«, d-ra Ł. Głabisza »Pierwsze miesiące robotnika polskiego w Stanach Zjednoczonych« d-ra J. Polaka »Sprawa pokoju powszechnego ze stanowiska aktualnego«, d-ra E. Strassburgera »Kooperacya i jej rozwój w Królestwie Polskiem«, wreszcie d-ra A. Krzyżanowskiego »O drożyznie«. Tow. zamierza przez uproszonych prelegentów zająć się zbadaniem ważniejszych kwestyi, będących na dobie, jak np. opracowaniem budżetów miejskich, sprawy ubezpieczenia społecznego i t. p.

* * *

Towarzystwo lekarskie krakowskie, pomimo nie bardzo korzystnej konstelacyi, rozwijało swoją czynność nadzwyczaj intensywnie. Wprawdzie liczba członków zwyczajnych zwiększyła się nieznacznie w porównaniu z r. ub., bo ze 178 członków czynnych podniosła się do 190. Poza nimi liczyło Tow. 52 członków korespondentów i 17 honorowych. Posiedzeń naukowych odbyto 29, administracyjnych 8. Odczytów wygłoszono 22 przez 21 prelegentów oraz przeprowadzono 42 demonstracye na chorych. Staraniem zarządu było, iżby odczyty stanowiły pewną organiczną całość. A że w dobie obecnej nie tylko świat lekarski, ale i całe oświecone społeczeństwo przygotowuje się do walki z gruźlicą, zorganizowano zatem cykl odczytów w liczbie ośmiu o gruźlicy, rozpoczynając odczytem o etyologii, a kończąc kliniką gruźlicy. W dalszym ciągu rozpoczęto również będące na czasie odczyty o raku. Na ten temat odbyły się dotychczas dwa wykłady. Reszta odczytów była z zakresu: anatomii (1), embryologii (1), okulistyki (1), bakteryologii (1), syfilidologii (1), weterynaryi (1), hygieny (2), chorób wewnętrznych (3). Z zakresu fizyki odbył się jeden odczyt. Liczba członków, biorących udział w posiedzeniach, była w stosunku do ogólnej liczby stowarzyszonych, niezbyt znaczna, skoro niejako regułą bywało około 40 uczestników posiedzenia. Dwukrotnie tylko — a to na wykładzie o etyologii raka i o odczynie Wassermana brało udział przeszło 70 członków. Natomiast dyskusye na każdem posiedzeniu były zawsze ożywione. — Wielce dodatnim objawem żywotności Tow. był gorliwy udział w pracy ogólno-społecznej, tyczącej się spraw sanitarnych. Czynniki miarodajne, licząc się ze zdaniem Tow., zasięgały jego opinii, tyczącej się asanizacyi Krakowa. To też Tow. widziało się zmuszone utworzyć w swoim łonie stałą komisyę hygie-

niczną. Do prac ogólno-społecznych należy także zaliczyć prace komisyi przeciwgruźlicznej, która jako taka, rozwiązała się wprawdzie w połowie r. ub., ale utworzyła krakowskie »Koło Towarzystwa walki z gruźlicą« celem powołania szerszych warstw do czynu. — Do prac przygotowawczych na zjazd hygieniczny, mający odbyć się w Paryżu w r. 1910, wybrano delegatami prof. d-ra Browicza i d-ra Biera. Na zjeździe neurologów polskich w Warszawie reprezentowane było Tow. przez prof. d-ra Piltza, a na zjeździe polskich internistów przez prof. d-ra Dobrowolskiego.

Tyle co do spraw ogólnych. W rzeczach, tyczących się ściśle Tow. lekarskiego, doprowadzono do końca sprawę złączenia się z Tow. lekarzy galicyjskich. Tow. lekarskie krakowskie, zachowując swoją nazwę i zupełną autonomię, stało się sekcyą Gal. Tow. lek. Zlanie się w jedno dwu o jednakowych celach stowarzyszeń może tylko przyczynić się do spotęgowania wpływu i działalności instytucyi, dla Tow. krakowskiego zaś przynosi ponadto tę jeszcze korzyść, że złączyło się ono ze zasobnem w środki materyalne Towarzystwem, chociaż wobec połączonej z tym układem zmiany stosunków obu czasopism lekarskich, ponieść musiano pewne ofiary co do »Przeglądu lekarskiego«, rozwijającego się świetnie pod redakcyą niestrudzonego prof. Stanisława Ciechanowskiego. — Stan biblioteki przedstawia się następująco: w r. 1909 wciągnięto do inwentarza 1366 dzieli 43 czasopism tak, że ogólna cyfra dzieł uporządkowanych i skatalogowanych wynosiła 7577 numerów i 303 czasopism. Z biblioteki korzystało członków 32, na których użytek wydano dzieł 123. Na podniesienie zasługuje zaprowadzenie płatnego pomocnika bibliotekarza, urzędującego codziennie przez godzinę.

* * *

Krakowskie Towarzystwo Techniczne, może poszczycić się trwałym rozwojem na wszystkich polach swojej działalności, a przedewszystkiem na polu naukowem, o czem świadczy sama za siebie liczba trzynastu odczytów, pomiędzy którymi nie brak było tematów, zaczerpniętych z chwili bieżącej. Z pomiędzy nich wymieniamy: prof. A. Krzemeckiego »O technicznem zastosowaniu spirytusu«, prof. Stan. Alberti'ego »Monografia żelaza«, dyr. T. Jaszczurowskiego »Projekt rozszerzenia wodociągu krakowskiego na Podgórze«, p. Wł. Koszki »O projekcie noweli górniczej«, p. Fr. Drobniaka »Krakowskie zagłębie a nowela górnicza«, d-ra M. Seńkowskiego »Badania

skutków eksplozyi na odległość i warunki budowy magazynów środków wybuchowych«, p. St. G. Żeleńskiego »O wycieczce do Ameryki północnej«, p. K. Rollego »Kwestya ceglana w Krakowie i próby jej rozstrzygnięcia«, p. T. Rzący »O fotografii trójbarwnej i jej zastosowaniu praktycznem do reprodukcyi«, p. Fr. Drobniaka »Sposoby wypłacania zarobków w wielkich przedsiębiorstwach« i radcy L. Regieca »O projektach ochrony Krakowa od wylewów Rudawy i Wisły«. Ponadto odbywały się odczyty specyalne w powstałem w roku ub. w łonie Tow. »Kółku techników-technologów«, a mianowicie d-ra F. Polzeniusza »Otrzymywanie związków azotowych z azotu atmosferycznego«, p. A. Adelmana »Stan przemysłu gorzelnianego w Galicyi«, d-ra B. Drobnera »Przemysł szklarski« i d-rą F. Polzeniusza »O przemyśle atramentowym«. — Wydawnictwo czasopisma »Architekt« może zaliczyć r. ub. do najpomyślniejszych i poszczycić się ogólnem uznaniem, którego objawem są liczne subwencye. — Biblioteka Tow. była aż do początku r. ub. unieruchomiona, wszystkie bowiem książki były przechowane w pakach na strychu. Celem wprowadzenia ładu i umożliwienia członkom Tow. korzystania z biblioteki, przeglądnięto wszystkie książki i skonstatowano, że wartość przeważnej części dzieł była bardzo mała. Były to przedewszystkiem dzieła niekompletne, bez początków lub dalszych ciągów, broszury i wydawnictwa, nie mające częstokroć najmniejszej z techniką łączności, wydania starsze, wobec postępu nauk technicznych bez zastosowania. To też część tych zbędnych książek sprzedano, resztę zaś zapakowano z powrotem do skrzyń. Pozostałe zaś dzieła skatalogowano, sporządzając dokładny inwentarz i podzielono na działy. Ogólna ilość tomów w bibliotece wynosiła 854, z końcem zaś roku ub. powiększyła się do 895. W codziennie otwartej czytelni znajdowało się 28 czasopism, przeważnie fachowych. Zauważyć wszelako należy, iż w ciągu r. ub. tak z czytelni jak i z biblioteki korzystała bardzo mała tylko ilość członków. — W r. ub. pozyskało Tow. 40 nowych członków, utraciło zaś 26, czyli, że ogólna ich liczba wynosiła 405. — Urządzona staraniem Tow. nieustająca wystawa krajowego przemysłu budowlanego rozwijała się w r. ub. równie pomyślnie, jak w latach poprzednich i cieszyła się znacznym ruchem i ożywieniem. — Ze sprawozdania finansowego uderza od razu oczy wydatna pomoc, z jaką przychodziło Tow. wydawnictwu »Architekta«. Przychód ogólny dosięgnął cyfry 17.009 kor., w której to sumie mamy: dochód z przedpłaty 7475 kor., ze sprzedaży pojedynczych numerów 243 kor., dochód

z »Przeglądu technicznego« kor. 538, z ogłoszeń 1251 kor., wreszcie subwencyi 6654 koron. Z rubryki wydatków wyjmujemy: płacę redaktora 2400 kor., administratora 960 kor., druk 7360 kor., koszta kliszy 1892 kor., minimalna była pozycya honoraryów autorskich, która wstydzić się musi 112 kor. — Ze sprawozdania kasowego Tow. wyjąć uważamy za stosowne następujące dane: wkładki członków 6932 kor. i subwencye (ministeryalna, sejmowa i m. Krakowa) 2300 kor. — W rubryce zaś wydatków figurują: biblioteka z 193 kor., prenumerata czasopism z takąż cyfrą i pokrycie długów domu własnego 1900 kor. — Administracya domu własnego wykazała w rubryce przychodów 13556 kor., w tem 5800 kor. subwencyi, pozostałość zaś kasowa na r. b. wynosiła 3780 koron. — Stan ogólny majątku Tow. zamknięto wcale poważną cyfrą 125.208 kor., w czem mieści się wartość domu Tow., oszacowanego 114.213 koron. Reszta pozycyi liczona jest aż nadto skromnie.

Za tak świetną podstawę materyalną, która w czasach dzisiejszych decyduje przeważnie o bycie lub niebycie instytucyi naukowych, musimy wyrazić wdzięczność stojącym na czele Tow. krakowskiego, które obok bratniej instytucyi lwowskiej, może służyć innym za wzór godny naśladowania.

* * *

Rok ubiegły był nader pomyślny w rozwoju połączonych od lat kilku stowarzyszeń »Klubu prawników« i »Koła artystyczno-literackiego«. Liczba członków, pomimo znacznego ubytku przez śmierć i wskutek zmiany miejsca pobytu, nie tylko nie zmalała, ale owszem podniosła się, zaczem poszło zwiększenie się dochodów. Ta okoliczność pozwoliła na pomnożenie ilości czasopism w czytelni oraz publikacyi artystycznych, wreszcie na powzięcie uchwały złożenia 2000 koron w pięciu ratach rocznych po 400 kor. na dar Grunwaldzki. — Stosownie do tradycyi lat dawniejszych urządzano odczyty, pogadanki oraz produkcye muzykalne, połączone z zebraniami towarzyskiemi. Wieczory środowe gromadziły licznych uczestników i przyczyniły się niemało do ożywienia ruchu. W r. ub. odbył się koncert, złożony z utworów Haydena, jako w setną rocznicę śmierci kompozytora, prelekcya p. Ludwika Stasiaka o Piotrze Vischerze, d-ra Aug. Kwaśnickiego »O Ludwice Śniadeckiej na podstawie wspomnień osobistych«, wreszcie dwie pogadanki prof. Bylickiego »O życiu Finlandyi« i »O stosunkach współczesnych w Rosyi«. Ponadto członkowie »Koła« mieli

wstęp wolny na odczyty, urządzane w jego lokalu przez »Klub Słowiański«. — Celem uzupełnienia obrazu działalności »Koła lit.-art.« dodaję, że uskuteczniono spisanie inwentarza, a zwłaszcza dzieł sztuki, będących jego własnością, wreszcie ukonstytuowanie osobnej komisyi dla uporządkowania i pomnożenia biblioteki.

Tak przedstawiają się mniej więcej czynności Wydziału, który starał się spełnić według sił i najlepszego swego zrozumienia zaszczytne obowiązki, nałożone nań przez walne zgromadzenie, z tem przeświadczeniem, że połączone stowarzyszenia, skupiające w sobie żywioły intelligentne Krakowa, powinny popierać w skromnym bodaj zakresie cele kulturalne i narodowe.

(C. d. n.)

Dr. St. Zdziarski.

Kilka uwag o ruchu ludności w Krakowie.

Kraków wszedł obecnie w nowy okres swego rozwoju; włączenie sąsiednich gmin odbija się siłą rzeczy także na jego stosunkach gospodarczych i społecznych, a w dalszym ciągu także na przyrodzonym rozwoju jego ludności. Ciekawem przeto będzie rozejrzenie się w ilościowem napięciu naturalnego ruchu ludności krakowskiej w ostatnich dwudziestu latach, gdyż odsłoni ono wiele niezmiernie charakterystycznych zjawisk, uderzających przedewszystkiem swym wyjątkowym charakterem. Przed przystąpieniem do szczegółowego rozbioru ich istoty, należy z całym naciskiem zaznaczyć, że na ilościowym układzie ruchu ludności w Krakowie wybija silne piętno napływ obcych, przelotnych żywiołów. O tem zazwyczaj zapomina się przy powoływaniu się zwłaszcza na cyfry śmiertelności i zachorowań i buduje się na tej podstawie wprost błędne wnioski. Również każdy rok wykazuje wcale pokaźną cyfrę urodzin takich dzieci, których rodzice mieszkają poza Krakowem, jak niemniej wiele małżeństw, zawieranych przez osoby z poza obrębu Krakowa. Chcąc przeto uzyskać właściwą podstawę do oceny stosunków demograficznych Krakowa, należy w pierwszym rzędzie poddać analizie statystycznej ludność krakowską, w ścisłem tego słowa znaczeniu, po wyłączeniu obcych.

Najcharakterystyczniej przedstawia się ruch urodzeń. W ostatniem dwudziestoleciu dadzą się rozróżnić całkiem wyraźnie 2 okresy: Jeden po rok 1900 włącznie z rosnącą cyfrą urodzonych z 29·72 (do-

1000 mieszkańców) w roku 1887 na 35·21 w 1900 roku, drugi zaś od roku 1901 począwszy, w którym liczba urodzeń maleje do 22·36 % w roku 1909. W pierwszym z nich występują wprawdzie od czasu do czasu pewne wahania między podnoszeniem się a maleniem względnej cyfry urodzonych, a mianowicie w latach 1892, 1896 i 1897, jednakowoż powyższe zjawisko nie wywiera żadnego zasadniczego wpływu na ogólną tendencyę zwyżkową cyfry urodzonych. Dla drugiego okresu podobne wahania w rosnącym szeregu byłyby bardzo pożądane, boby pozwalały mieć jeszcze nadzieję, że zmniejszanie się cyfry urodzonych zatrzyma się na pewnej granicy, zawróci ku linii rozwojowej lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Bliższe przyjrzenie się cyfrom nie pozwala, niestety, żywić podobnych nadziei, bo z wyjątkiem drobnego, nic nieznaczącego, polepszenia w 1908 roku cały okres 1901—1909 wykazuje stałe i to znaczne obniżanie się urodzin pośród ludności w Krakowie osiadłej. Jeżeli się zważy, że cyfra urodzonych, obliczona do 1000 mieszkańców, spadła z 35·21 w 1900 r. na 22·36 w 1909 roku i że wynik roku 1909 jest następstwem procesu, wykazującego słabą tendencyę zniżkową, to jasnem się stanie, że Kraków przeżył w ciągu dobiegającego obecnie swego kresu dziesięciolecia jakiś wyjątkowy i niezdrowy okres w dziejach swojego rozwoju. (Tabelka na str. 297).

Skony, po wyłączeniu obcych, przedstawiają się zato pomyślniej, gdyż względna liczba zmarłych stale się zmniejsza od roku 1902 (z 20·64 na 15·18 w roku 1909). Zjawisko równoległego obniżania się cyfry zmarłych i liczby urodzonych spotyka się często, zna je między innemi także współczesna Francya, która przed znaną powszechnie obecną dekadencyą urodzin przeżyła okres pewnej równowagi a raczej zastoju w przyrodzonym przyroście ludności, dopóki zmniejszająca się pod wpływem urządzeń sanitarnych i postępu hygieny śmiertelność była jeszcze w stanie równoważyć rosnący deficyt w przyrodzonym rozwoju ludności. W Krakowie należy szukać innych przyczyn, niż we Francyi, a to mimo podobieństwa w poszczególnych objawach ruchu ludności. Zrozumiemy je, zestawiając wzrost ludności w sąsiednich gminach z dotyczącemi datami Krakowa. I tak w ostatniem dziesięcioleciu spisowem 1890—1900 ludność Krakowa wzrosła o 22·42 %, podczas gdy Ludwinów wykazuje przyrost + 243·21 %, Dębniki (+ 226·25 %), Rakowice (+ 160·66 %), Dąbie z Beszczem i Głębinowem (+ 103·39 %), Krowodrza (+ 94·23 %), Czarna Wieś (+ 79·89 %), Grzegórzki (+ 75·00 %), Łobzów (+ 62·76 %), Prądnik

Ruch ludności w Krakowie (bez obcych)

Lata	Ludność	Małżeństwa		Urodzenia		Skony		Nadwyżka urodzeń nad skonami
		Liczba absol.	‰	Liczba absol.	‰	Liczba absol.	‰	
1887	72.050	630	8·74	2.141	29·72	1.740	24·15	401
1888	72.900	623	8·55	2.218	30·42	1.808	24·80	410
1889	73.750	630	8·54	2.329	31·58	1.743	23·63	586
1890	74.601	625	8·37	2.418	32·41	2.019	27·07	399
1891	76.273	656	8·60	2.559	33·55	1.769	23·19	790
1892	77.945	667	8·55	2.481	31·83	1.814	23·28	667
1893	79.617	809	10·16	2.640	33·16	2.196	27·28	444
1894	81.290	765	9·41	2.898	35·65	2.001	24·62	897
1895	82.962	758	9·14	2.918	35·17	1.796	21·64	1.122
1896	84.634	750	8·86	2.828	33·42	1.832	21·65	996
1897	86 306	749	8·67	2.626	30·43	1.670	19·35	956
1898	87.978	765	8 69	2.900	32·96	1.643	18·68	1.257
1899	89.651	815	9·09	2.996	33·42	1.848	20·62	1.148
1900	91.323	825	9·03	3.215	35·21	1.788	19·58	1.427
1901	93.133	753	8·08	2.850	30·60	1.829	19·64	1.021
1902	94.057	821	8·72	2.846	30·26	1.941	20·64	905
1903	95.925	805	8·39	2.685	28·00	1.800	18·77	885
1904	97.842	822	8·40	2 443	24·97	1.822	18·63	621
1905	99.800	825	8·26	2.527	25·33	1.811	18·15	716
1906	101.789	826	8·11	2.356	23·15	1.729	16·99	627
1907	103.836	758	7·30	2.431	23·42	1.698	16·36	733
1908	105.912	858	8·10	2.377	22·44	1.786	16·86	591
1909	108.031	856	7·92	2.416	22·36	1.639	15·18	777

Czerwony (+ 60·63 %), Podgórze (+ 38·12 %)[1]. Jest to tak bardzo znaczny przyrost, że wytłumaczyć go sobie można tylko wyjątkowo silnym napływem ludności do gmin sąsiednich. Oczywista, że napływała ona z Krakowa otoczonego wieńcem gmin, z nim się wprawdzie bezpośrednio łączących, lecz posiadających lżejsze warunki codziennego bytu, co mniej zamożne sfery ludności musiało do tych gmin przyciągać. Potwierdza to także wzmożony ruch budowlany, bo kiedy u kresu dziesięciolecia 1890—1900 przyrost domów w Krakowie wynosił tylko + 29·56 %, to w Ludwinowie osiągnął + 135·89 %, w Dębnikach + 110 %, w Grzegórzkach + 86·48 %, w Czarnej Wsi + 60 %, w Kro-

[1] »Statystyka m. Krakowa«, z. VIII (Kraków 1902) str. 30.

wodrzy + 35·50%, w Zwierzyńcu + 33·12% [1]. Jeżeli się porówna wzrost ludności wszystkich 16 gmin sąsiednich z wzrostem ludności w Krakowie (przed ostatniem rozszerzeniem obszaru miasta), to stosunek przedstawi się tak [2]:

	%
w roku 1880	75·76 : 24·24
» » 1890	67·20 : 30·80
» » 1900	62·08 : 38·16

Ruch odśrodkowy daje się spostrzedz także i w samem mieście, gdyż ostatni spis ludności wykazał największy przyrost ludności w dzielnicach granicznych, a mianowicie na Wesołej, na Piasku i na Kazimierzu. Ludność coraz więcej przenosiła się ku granicom miasta, wreszcie przekroczyła jego rogatki, zasilając przyległe gminy. Ruch ludności z ostatnich lat w 16 sąsiednich gminach wskazuje wyraźnie na to, że powyższy proces nie ustał w bieżącem dziesięcioleciu, gdyż cyfra urodzeń w tych gminach w stosunku do 1901 roku wzrosła w 1906 roku o 6·88%, w 1907 r. o 8·35%, w 1908 r. o 16·73%. Natomiast śmiertelność w przeciwstawieniu do stanu w mieście Krakowie podniosła się w wymienionych gminach, bo w stosunku do 1901 r. podskoczyła w roku 1903 o 1·41%, w 1904 r. o 2·43%, w 1905 r. o 1·92%, w 1906 r. o 6·65%, prawdopobnie skutkiem większego napływu uboższej ludności.

Na przyspieszenie powyższego procesu przesiedlania się ludności poza rogatki Krakowa wpłynął bezsprzecznie wzrost drożyzny. Już przy sposobności opracowywania szczegółowych wyników spisu ludności z r. 1900 w IX zeszycie »Statystyki miasta Krakowa« [3] stwierdził dr. Sikorski, że »w Krakowie wypada przeciętnie na jedno mieszkanie 345 koron czynszu (w Podgórzu 120 koron), a na jedno mieszkanie, użyte zarazem do przemysłu 520 koron (w Podgórzu 174 koron). Porównując dochód lokatorów z czynszem, przez nich za mieszkanie uiszczanym, okazuje się, że w Wiedniu przeciętnie dochodowi 1200 koron rocznie odpowiada czynsz mieszkalny 320 kor. W Krakowie natomiast czynsz do 320 kor. rocznie opłaca aż 55·60% lokatorów, chociaż w mieście tem tylko 40% lokatorów posiada dochód wyższy, niż 1200 koron. Wkońcu zauważyć należy, iż w r. 1900 mieszkania w Krakowie pomimo, że należały do najdroższych w Austryi, zaopatrzone

[1] »Statystyka m. Krakowa«, z. VIII, str. 30,
[2] Ibd. str. 32.
[3] Cz. I, str. 60.

były wogóle w mniejsze dogodności, niż mieszkania innych miast tego państwa«. Wprawdzie od tego czasu da się spostrzedz pewne polepszenie pod tym ostatnim względem, ale wiadomo też z drugiej strony, że czynsze poszły tak znacznie w górę, iż stosunek między ich wysokością a podniesioną nieco skalą wygód jest dalej tak samo zwichnięty.

Podobnie podskoczyły ceny najniezbędniejszych środków żywności. I tak przeciętna cena ziemniaków[1] za 100 kg. wynosiła w koronach:

w roku	od	do
1901	2·37	3·15
1902	2·90	4·17
1903	3·27	4·63
1904	3·84	5·25
1905	3·64	5·47

Przeciętna cena kopy jaj wahała się w roku 1901 między 2·62 a 3·53 kor., w roku zaś 1905 między 3·03 a 4·10 koron.

Cena 1 kilograma[2] chleba pszenicznego wynosiła w okresie od 1904 roku do końca czerwca 1908 r. 0·31, 0·32, 0·30, 0·33, 0·41 k., żytniego 0·25, 0·25, 0·25, 0·30, 0·38 k., przeciętna za 1 kg. chleba wogóle 0·26, 0·27, 0·27, 0·31, 0·58 k.; takaż cena bułek 0·46, 0·41, 0·42, 0·46, 0·54 k.

Przeciętna cena mleka wynosiła w 1906 roku 0·14 k., w 1907 r. 0·16 k., w 1908 r. 0·17 k. (mleka niezbieranego 0·17 k., 0·18 k., 0·20 k.)

Żałować należy, że nie rozporządzamy dostatecznemi datami z przywozu i konsumcyi takich środków żywności, jak ziemniaki, gdyż mogłyby one rzucić wiele ciekawego światła na odpływ ludności poza rogatki Krakowa w bieżącem dziesięcioleciu.

Głównej zatem przyczyny obniżania się cyfry urodzonych wśród swojskiej ludności Krakowa w bieżącem dziesięcioleciu należy szukać przedewszystkiem w przesiedlaniu się do sąsiednich gmin. I dobrze, że jest tak, a nie inaczej. Czy jednak obok tego z dniem każdym rosnąca drożyzna nie przygotowywała przez szereg lat wśród ludności pozostałej w mieście gruntu pod przeszczepienie zwyczajów fatalnych dla przyrodzonego rozwoju ludności? Czy rozszerzenie granic miasta, przesunięcie rogatek wprowadzi ożywczy prąd w zwolna kostniejące

---

[1] »Statystyka m. Krakowa« szereg. Z. x, str. 152.

[2] Według miesięcznych wykazów miejskiego biura statystycznego m. Krakowa.

życie, czy zdoła pokonać złe, rozsiadłe na dawnym obszarze, czy raczej ułatwi mu przejście na nowe tereny? Oto pytania, które mimowoli się cisną na usta w obecnej chwili, lecz odpowiedź na nie dać może dopiero nieznana nam przyszłość. Ufamy, że odpowiedź brzmieć będzie pomyślnie.

Dr. Kazimierz Władysław Kumaniecki.

Konkurs Akademii Umiejętności.

Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem konkurs im. Czerwińskiego na napisanie *Historyi sztuki w Polsce.* Warunki konkursu są następujące:

1. Historya sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie ziemie dawnej Polski łącznie z Litwą i Rusią.

2. Powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę aż po koniec stylu empire.

3. Ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane.

4. Układ i rozmiary dzieła pozostawia się autorowi.

5. Fotografii ani rysunków autor nie jest obowiązany dołączyć do rękopisu.

6. Do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi.

7. Termin konkursu upływa z dniem 31 grudnia 1911 r.

Nagroda wynosi 1.000 rubli.

(Nr. Dz. p. 2828/04, 119/08, 390/09 i 558/10).

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres a opatrzonej tem samem godłem.

Według § 18. Regulaminu Akademii, wypłata wszelkich nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy uwieńczonej nagrodą.

Druk ukończono 9 sierpnia 1910.

KATOLICYZM ELEUZYŃSKI.

Przed dziesięciu laty poddaną została na tem miejscu [1] przez ks. St. Kobyłeckiego krytyce »filozofia wolnych dusz«, propagowana przez Wincentego Lutosławskiego. Wtedy krytyk uważał za potrzebne usprawiedliwić przed czytelnikiem swoje dość długie roztrząsanie owej filozofii tą okolicznością, że »indywidualizm Lutosławskiego może wywrzeć wpływ na jednostki o szlachetnem sercu, a mało rozwiniętej władzy rozumowania, a takich jednostek jest w każdem społeczeństwie niemało, u nas zaś zawsze, niestety, za dużo«.

Jakkolwiek do filozoficznej oceny nauki L., dokonanej przez ks. Kobyłeckiego, jeszcze i dziś niewiele można dodać, mimo to zdaje się być rzeczą na czasie powrócić znowu do rozpatrzenia systemu autora *Seelenmacht*, tylko już z innego punktu widzenia, mianowicie pod kątem teologii katolickiej, a to ze względu na nowe stanowisko, jakie tenże autor zajął wobec Kościoła, oświadczając się wielokrotnie wiernym jego synem i wyznawcą jego nauki. Przez ostatnie dziesięć lat przybyło też wiele pism Lutosławskiego, w których element teologiczny jeśli nie dominujące, to w każdym razie poczesne miejsce zajmuje. Aktualność oceny pism L. z katolickiego punktu widzenia jeszcze i tem się uzasadnia, że działalność literacka i praktyczna tego autora nie pozostaje bez realnych skutków, lecz owszem zaznacza się powoła-

[1] Zob. *Przegl. Pow.* tom 65, str. 1, 184, 410; tom 66, str. 215.

niem do życia pewnego zrzeszenia ludzi, stawiających sobie wzniosłe cele odrodzenia na duchu własnego, a potem i całego społeczeństwa. Wielu z tych ludzi niemało zawdzięcza L.: niejednego, niegdyś w rzeczach religijnych obojętnego, on umiał zwrócić ku zagadnieniom religijnym, a potem i do praktyk chrześcijańskich nakłonić. Oczywista, że taki autor i taki działacz, występujący poniekąd w roli apologety i apostoła katolicyzmu, nie może się uchylić od oceny ze strony katolickiej teologii.

Zabierając się do rozbioru religijnych poglądów L., czujemy niemałą trudność. Znaczny pod względem ilościowym dorobek jego literacki dotąd jeszcze nie przedstawia całkowitego systemu. Najbliżej tego celu była niemiecka książka autora p. t. *Seelenmacht*[1], wszakże po napisaniu jej w życiu autora zaszły doniosłe zmiany, zbliżył się on do Kościoła i praktyk religijnych, coś nie coś w swych pojęciach musiał sprostować i do nowych swych prac wprowadził wiele elementu teologicznego, stąd dawny jego system uledz musiał pewnej przebudowie, jeśli nie w rysach zasadniczych, to przynajmniej w szczegółach drugorzędnych. Przeczuwamy, że w umyśle autora musi być gotów jakiś mniej więcej jednolity pogląd w kwestyach religijnych, pogląd przenikający wszystkie partye zagadnień teologicznych, wszakże w pismach jego takiego jednolitego światopoglądu nie znajdujemy. Wyłożenie go, według samego autora, jest dopiero zadaniem przyszłości, zależnem od wielu praktycznych warunków. Stąd i krytyk, żeby się nie narazić na zarzuty, musi ograniczyć swą pracę tylko do tych kwestyi, które wyraźnie przez L. poruszone i omówione zostały, pomijając, albo tylko z pewną rezerwą traktując te części, których obecności w umyśle autora każe się domyślać konsekwencya, które jednak w pismach jego nie znalazły wyrazu.

I.

Zasadniczem zagadnieniem w teologii jest kwestya źródeł prawd chrześcijańskich, czyli dróg, jakiemi te prawdy do świa-

[1] *Seelenmacht. Abriss einer zeitgem. Weltanschauung.* Leipzig 1899.

domości ludzkiej dochodzą. Co to jest wiara w podmiotowem znaczeniu tego wyrazu, jakie jej kryterya i motywy, jaki stosunek do rozumu, oto pytania szczegółowe, jakie w tej dziedzinie stawiać można. Zacznijmy od tych zagadnień przegląd nauki L.

Pierwszy rozdział *Seelenmacht* nosi nadpis: »Wiara i wiedza«. Z tego rozdziału spodziewamy się dowiedzieć się, jak autor rozwiązywał przytoczone przez nas dopiero kwestye przed swem zbliżeniem do praktyk katolickich. Dowiadujemy się wprawdzie niewiele, ale i to, co w owej książce spotykamy, wprowadza nas niejako w kolej myśli L. Otóż, najpierw, czytamy tam, że wiarą nazywa się czyjeś twierdzenie, oparte na osobistem nadnaturalnem objawieniu. Stąd ma wynikać, że wiedza nigdy nie może wejść w kolizyę z wiarą, gdyż nie jest w stanie udowodnić fałszywości objawienia, na które wiara się powołuje [1]. Następnie słyszymy, że wszystkie religie opierają się na takich objawieniach. Dalej znowu, dla pozyskania umysłów dla wiary, powiedziano, że wiara jest człowiekowi tak właściwą, iż wszyscy ludzie, choćby niewierzący w rzeczach religii, przyjmują i przyjmować muszą wiele takich twierdzeń, których sami nie udowodnili, lub których wogóle udowodnić nie można, jak np. pewne hipotezy naukowe [2]. Reszta rozdziału »o wierze i wiedzy« nie mówi nam wprawdzie już nic więcej o wierze, a o wiedzy prawie nic, ale gdzieindziej w tejże książce [3] wyjaśnionem jest, że źródłem poznania prawd, nie dających się udowodnić naukowo, a zatem należących do dziedziny wiary, jest telepatya, a jeszcze dalej czytamy, że zawsze i u wszystkich narodów bywali nieliczni świadkowie otrzymanego bezpośrednio od Boga objawienia [4].

Z tych kilku rysów nie trudno skonstruować całkowite pojęcie L. o wierze. Wiarą, według niego, jest każde twierdzenie, nie oparte na własnem zwyczajnem doświadczeniu, ani na logicznem wyrozumowaniu. Wiarą będzie zatem i pewnik oczywisty, którego udowodnić nie można, bo niema uprzednich danych, z którychby się dał wyprowadzić, wiarą i hipoteza naukowa przed jej

[1] *Seelenmacht*, str. 2.
[2] Tamże, str. 3—5. [3] Tamże, str. 62. [4] Tamże, str. 118.

sprawdzeniem, i przypuszczenie jakiekolwiek lub prawdopodobieństwo, i każde wreszcie zdanie, choć dla innego widoczne, będzie wiarą dla tego, co je na słowo innych przyjmuje. Wiara religijna odróżnia się tu chyba tylko swym przedmiotem od innych wiar, bo ze względu na pochodzenie różnicy w wyłożeniu L. nie widzimy. Wszystkie one dostają się do umysłu przez objawienie, gdzieś z za świata, od istot innych, z któremi otrzymujący objawienie wchodzi w stosunek przez telepatyę. Stąd nie dziw, że objawienia w różnych religiach są tejże wartości w oczach Lutosławskiego.

W nowszym okresie pisarskiej działalności L. jego pojęcie wiary nie uległo zasadniczej zmianie. Weźmy do ręki broszurę »Religia w życiu narodowem», wydaną zaledwie przed rokiem. Wprawdzie L. zastrzega się, że ta broszura »nie wyraża pełni wiary autora«, twierdzi jednak przytem, że objaśnienie wiary, dane w niej, ma »charakter objektywny i naukowy«[1]. Tego dosyć, by się czuć upoważnionym do uważania jej za źródło poglądów autora na wiarę. Otóż stwierdziwszy ponownie w owej broszurze znany i prawdziwy fakt, że większa część wiadomości ludzkich opiera się nie na bezpośredniem poznaniu przedmiotu, lecz na świadectwie pewnych powag lub na ich dziełach[2], porzuca najniespodziewaniej to prawdziwe określenie wszelkiej wiary i wiarą nazywa »intuicyjne odgadywanie« rzeczy niepoznanych naukowo[3], lub »zdolność tworzenia lub przyjmowania przekonań bez ich uzasadnienia naukowego«[4]. Miesza wiarę z domysłem, przypuszczeniem, hipotezą naukową. »Hipoteza każda, powiada, jest jasnowidzeniem wiary«[5]. Nazywa ją nawet »twórczą wiarą«. Z takiego pojęcia wiary, jako przeczucia, hipotezy, wynika logicznie i określenie stosunku między wiarą a nauką. »W miarę, jak wiedza postępuje i uzasadnia pewne dogmaty wiary, doganiając rozumowaniem zdobycze, najprzód ujrzane przez wierzącą intuicyę, wiara też nie próżnuje i nowe sobie pola otwiera, nowe przedmioty zyskuje«[6]. Zapamiętajmy z tego ustępu to, że hipoteza, przypuszczenie nazwane jest dogmatem wiary i że wiedza

[1] *Wiara*, 1910, str. 310. [2] »Religia w życiu nar.«, str. 6.
[3] Tamże, str. 7. [4] Tamże, str. 11. [5] Tamże, str. 8. [6] Tamże.

z czasem stwierdza prawdziwość tych dogmatów, zamieniając je w pewniki naukowe.

Określając w ten sposób wiarę, musiał L. na chwilę spostrzedz, że chybią celu — zalecenia wiary i religii wobec niewierzących przez podciąganie pod tę nazwę hipotez z zupełnie innej dziedziny, hipotez, których użyteczności nikt nie myślał przeczyć. Zbacza więc nieznacznie w kierunku wiary, »skierowanej ku światom niewidzialnym, ku nieznanej przyszłości ducha« [1], i aby udowodnić potrzebę wiary religijnej, przypomina, że ci, co dokonali rzeczy wielkich przez swe »wierzenia społeczne« (hipotezy, przypuszczenia), byli zarazem ludźmi religijnymi, wyznającymi wiarę religijną swego czasu i swego otoczenia [2]. Dowodem — Leonidas, Kordecki, a potem niżej — Homer, Aischylos, Plato, Dante, Mickiewicz. Lecz dlaczego właśnie ludzie religijni, a nie inni, mają posiadać więcej owych »wierzeń społecznych«? Czy dlatego, że te ostatnie na twierdzeniach religijnych się opierają? Nie, lecz dlatego, że wierzenia społeczne i religijne pochodzą z jednego i tego samego źródła: z natchnienia. Każda bowiem taka myśl, która w nas zrodziła się nie dzięki ścisłemu logicznemu rozumowaniu, »w innej jaźni powstała i naszej jaźni została udzieloną« [3]. Otóż »ci z pośród ludzi, co te istoty najjaśniej i najpewniej odczuwają, zarazem najwięcej wszelkiej treści swych wiadomości od tych istot będą w stanie przyjąć« [4], czyli ludzie, co przez telepatyę lub w inny sposób otrzymują objawienia prawd religijnych, z tegoż samego źródła czerpią i owe »intuicye«, dzięki którym stają się tak pożytecznymi dla społeczeństwa.

Aczkolwiek wątpimy, czy tym sposobem L. zdołał wykazać pożyteczność wiary religijnej, widzimy jednak z przytoczonych ustępów, że pojęcia o istocie wiary ma on dzisiaj takie same, jakie miał przed dziesięciu laty, kiedy pisał swoją *Seelenmacht*. I tu i tam wiara opiera się na subjektywnem natchnieniu, a natchnienie jest to objawienie z góry pochodzące, od wyższych jaźni. Spotyka wprawdzie L. między ludźmi wiarę czerpaną skąd

---

[1] Tamże, str. 12. [2] Tamże, str. 12.
[3] Tamże, str. 13. [4] Tamże, str. 14.

inąd, mianowicie »ze słyszenia«, ale tę wiarę nazywa ślepą i lekce waży ją, a żąda wiary »widzącej«, i sądzi, że taka wiara łatwo jest możliwą. »Z punktu widzenia, powiada, i według przekonania człowieka religijnego, może on prawdy swej religii samodzielnie sprawdzać na zasadzie własnych osobistych objawień, które osiąga skupieniem i modlitwą« [1].

Czy się filozof może zgodzić na takie określenie wiary i na rozszerzenie tego pojęcia nawet na przypuszczenia i hipotezy naukowe; czy, dalej, psycholog przyjmie twierdzenie, że tego rodzaju wiara pochodzi koniecznie z natchnienia wyższych jaźni, nie chcemy przesądzać, ale o ile jest tu mowa o wierze religijnej, o wierze kościelnej, śmiało musimy zaprotestować przeciwko takiemu pojęciu wiary, jako niezgadzającemu się z nauką Kościoła. Według ustalonej terminologii teologicznej, wiarą w o g ó l e nazywamy akt rozumu, uznającego coś za prawdę wskutek powagi świadka tej prawdy; jeśli zaś chodzi w szczególności o wiarę r e l i g i j n ą, to pod mianem wiary rozumiemy akt rozumu przyjmującego za prawdę to, co Bóg ludziom objawił, i dlatego, że On to objawił. Ale pod objawieniem znowu co innego rozumie Kościół, niż to, co rozumie L. Jakkolwiek Kościół nie przeczy istnienia »wyższych jaźni«, czyli całego świata duchowego, niewidzialnego, o czem niżej będzie sposobność mówić, jakkolwiek nie przeczy i pewnych stosunków z zaświatem, wyrażających się jużto w »obcowaniu świętych«, polegającem na wzajemnem komunikowaniu sobie wartości modlitw i zasług, jużto nawet w realnem stykaniu się n i e k i e d y w sposób cudowny z istotami zaświatowemi i odbieraniu od nich natchnień, jednak na natchnieniach tego rodzaju swej wiary Kościół bynajmniej nie opiera. Wiara katolicka opiera się na objawieniu Bożem, czyli na przemówieniu Boga do ludzi, mniejsza o to, czy bezpośredniem, czy za pośrednictwem aniołów lub specyalnych wysłanników Bożych. Takie przemówienie Boże do ludzkości, aby wykluczyć wszelką obawę złudzenia czy szarlatańskwa i nałożyć na ludzi obowiązek uwierzenia mu, musi być poparte nadprzyrodzonymi znakami, za

[1] Tamże, str. 6.

jakie Kościół przedewszystkiem cuda i spełnione proroctwa uważa, i objawienie chrześcijańskie, jak to każda apologetyka wykazuje, rzeczywiście posiada takie dowody boskiego swego pochodzenia. Objawienia, udzielone przez Boga pewnym wybrańcom ludzkości, nie potrzebują być powtarzanemi, a tem bardziej nie potrzeba, by Bóg bezpośrednio do każdego człowieka z objawieniami się zwracał. Raz udzielone i odpowiednią rękojmią swego pochodzenia obdarzone objawienie Boże na każdego człowieka rozumnego i dobrej woli, do którego doszło poznanie historycznego faktu tego objawienia, wkłada obowiązek przyjęcia go za prawdę nieomylną, dzięki nieomylności objawiającego Boga. Tym sposobem upada konieczność »sprawdzania« dogmatów swojem osobistem doświadczeniem religijnem[1].

Z całego toku rozumowania L. wynika, że według niego cykl objawień, dostarczających treści wierze, dotąd nie jest zakończony i nigdy się nie zakończy. Owszem wyraźnie o tem mówi w słowach już przez nas przytoczonych, że w miarę jak wiedza uzasadnia pewne dogmaty wiary, wiara też nie próżnuje i nowe sobie pola otwiera, nowe przedmioty zyskuje. Oczywiście logicznem jest takie twierdzenie, jeśli wiarę opiera się na telepatyi, ale co L. w charakterze katolika zrobi z punktem 5-tym Syllabusa Piusa IX, gdzie jest potępionem zdanie, iż objawienie Boże jest niedoskonałe, i jako takie podległe ciągłemu i bez końca postępowi? Według nauki Kościoła, cykl objawień, na jakich opiera się wiara chrześcijańska, zakończył się ze śmiercią Apo-

[1] Nie mówimy tu o innej drodze poznania niektórych prawd religijnych, drodze nazywanej często, acz nie w ścisłem znaczeniu — objawieniem. Jest to droga zwykłego rozumowania z widzialnego świata o istnieniu Boga, z działalności zaś duszy o jej nieśmiertelności, a potem wyprowadzania z tych prawd pewnych praktycznych konkluzyi. Na takiem »objawianiu się» Boga w naturze, a istoty duszy ludzkiej w jej czynnościach opiera się tak zwana religia naturalna, będąca nie czem innem, jak częścią filozofii. L. nie traktuje o tym naturalnym sposobie poznawania Boga, istnienie zaś duszy uważa za pewnik niewyrozumowany, lecz bezpośrednio widoczny, mniemaną tę widoczność mieszając znowu z wiarą. My mówimy tu tylko o wierze, opartej na objawieniu Bożem w ścisłem znaczeniu, wierze obejmującej przytem całokształt prawd religii nie naturalnej tylko, ale chrześcijańskiej.

stołów i Kościół otrzymał misyę strzeżenia pozostawionego przez nich skarbu nauki objawionej i autentycznego jej wykładu, nie zaś pomnażania ilości prawd przez otrzymywanie nowych objawień. Jest to pewnik, od którego nie wolno katolikowi odstępować [1].

Przypuszczamy, że do wyrobienia w sobie mniemania przez L., iż jest w zgodzie z nauką kościelną o źródłach wiary, mogło się przyczynić pewne nieporozumienie. Słyszał zapewne o rozmaitych objawieniach, o jakich nam żywoty świętych opowiadają, słyszał i o tem, że wiele z takich objawień Kościół uznał i zaaprobował, — a stąd niedaleko do wniosku, że one są dalszym ciągiem objawień, na jakich wiara katolicka spoczywa. Otóż zaszło tu, powtarzamy, niemałe nieporozumienie. Prawda, — jak już zaznaczyliśmy, — że Kościół nie wyklucza możliwości nowych objawień, wszakże nie składa ich do ogólnego depozytu wiary, jaki od Apostołów do strzeżenia otrzymał. Nie dowodzą tu niczego zatwierdzenia Kościoła, udzielone pewnym objawieniom, jak św. Gertrudy, Brygidy i innych świętych. Najpierw zaznaczmy, że Kościół trzyma się zwykle bardzo ostrożnie względem tego rodzaju objawień, a to z powodu, że w tej dziedzinie łatwo o złudzenia, a bardzo trudno o niezawodne kryterya boskiego pochodzenia podawanych za objawienia twierdzeń. Istnieje cała gałąź teologii mistycznej, podająca zasady odróżniania fałszywych objawień od takich twierdzeń, które rzeczywiście z góry pochodzić mogą [2]. Mówimy »pochodzić mogą«, gdyż Kościół, jeśli po zbadaniu tego rodzaju objawień, zgadza się na dopuszczenie ich do użytku chrześcijan, bynajmniej nie twierdzi tem swojem uznaniem, że one niewątpliwie i w całości od Boga pochodzą, ale zaświadcza jedynie, że treść ich nie sprzeciwia się dogmatom wiary, ani dobrym obyczajom, co do pochodzenia ich przypuszczając

[1] Różnicę między »pomnażaniem« depozytu wiary a rozwojem dogmatycznym wyłożyłem w pracy mojej: »Niepokalane Poczęcie Bogarodzicy na tle dogmatycznego rozwoju Kościoła«. *Przegl. Pow.* tom 84, zeszyt jubileuszowy, str. 14.

[2] Jednem z nowszych dzieł w tej dziedzinie jest książka A. Poulain'a: *Des grâces d'oraison.*

tylko prawdopodobieństwo pochodzenia od Boga, lub taką tego pewność, jaką można roztropnie urobić na podstawie danych, dostarczonych przez odbierającego objawienie. Znane są teologii mistycznej fakty sprzeczności w tego rodzaju objawieniach i zawody w oczekiwaniu spełnienia się przepowiedni nawet ludzi świętych, przepowiedni głoszonych jakoby na mocy objawień prywatnych. Stąd widzimy, że nawet po kościelnem uznaniu prywatnych objawień trudno nadawać im absolutną wartość.

Treścią takich objawień prywatnych bywają zazwyczaj wskazówki dotyczące poszczególnych osób, faktów, przyszłości; bardzo często objawienie wzywa do założenia jakiegoś nowego nabożeństwa, nowej praktyki w Kościele. Takiemi były np. objawienia, udzielone bł. Małgorzacie Alacoque, dotyczące kultu Serca Jezusowego. Jeśli wpłynęły one na kierunek pobożności katolickiej lub losy jednostek, to i wtedy Kościół nie szedł za niemi na ślepo, ale po zbadaniu, że podana w objawieniu praktyka ma za sobą dane teologiczne. Objawienia stawały się tu o k a z y ą, nie zaś m o t y w e m zarządzeń kościelnych.

Mogą, zasadniczo rzecz biorąc, objawienia prywatne podawać i pewne oderwane prawdy religijne i człowiek, który te objawienia odebrał, jeśli posada dostateczne kryterya ich boskiego pochodzenia, może dać im wiarę. Niema trudności, jeśli objawienia te podają takie prawdy, które z ogólnego publicznego objawienia chrześcijańskiego są znane. Lecz jeżeli przynoszą jakieś wyjaśnienia ciemniejszych punktów wiary, jeśli ją uzupełniają, wtedy do warunków koniecznych zgodzenia się na nie należy, aby z dogmatami wiary stały w zupełnej harmonii, w niczem się im nie sprzeciwiając. Wtedy mogą one wpłynąć i na myśl teologiczną i pokierować rozwinięciem jakiegoś dogmatu, ale znowu dla Kościoła, choć je i dopuści swem uznaniem, nie będą one m o t y w e m jakichkolwiek dogmatycznych określeń, lecz co najwięcej tylko o k a z y ą do szczególniejszego zajęcia się daną kwestyą wiary, i Kościół nigdy nie narzuci swym wiernym o b o w i ą z k u wiary w boskie pochodzenie tego rodzaju objawień prywatnych.

Te wyjaśnienia, nieco scholastyczne, wydały się nam koniecznemi, by przedstawić, na jak różnem stanowisku stoi Ko-

ściół a Lutosławski w kwestyi objawień prywatnych. Dla L. są one, jak i objawienia udzielone Apostołom, źródłem i motywem wiary, owszem sprawdzianem wiary, przyjętej od Kościoła; dla Kościoła mogą one być co najwięcej pewną okazyą, bynajmniej nie konieczną, dalszego rozwoju i wyjaśniania dogmatu, ale muszą się pod sąd tegoż dogmatu poddać.

Inny powód do nieporozumienia mogła dostarczyć L. nauka Kościoła, że wiara jest darem Bożym i że jest niemożliwą bez łaski Bożej. Łaską Bożą nazywamy jakieś bezpośrednie oddziaływanie Boga na duszę człowieka, i L. mógł łatwo za taką łaskę poczytać swoje objawienia, natchnienia, telepatyę. Dla rozwiania tego nieporozumienia dość zaznaczyć, że według nauki Kościoła, łaska wewnętrzna do wiary potrzebna, bynajmniej nie dostarcza umysłowi t r e ś c i wierzeń, lecz jest pewną pomocą Bożą, »oświeceniem i natchnieniem Ducha świętego, dającem s ł o d k o ś ć w wierzeniu i zgodzeniu się z prawdą«. Łaska nie naucza, w co wierzyć, ale usposabia umysł i wolę do godnego przyjęcia treści podanej skądinąd i poddania się miłosnego powadze objawiającego Boga. Oczywista rzecz, że takie pojęcie łaski, potrzebnej do wierzenia, nic wspólnego z telepatyą niema. Że nasz wykład psychologii aktu wiary nie jest tylko jakąś dowolną hipotezą teologiczną, ale dogmatem wiary katolickiej, łatwo może L. przekonać się nie już z katechizmów, o których lekceważąco się wyraża [1], ale z dekretów i kanonów soboru Watykańskiego o wierze i objawieniu [2], które ze swego katolickiego stanowiska uznać musi.

Z dekretów tych można dowiedzieć się i innej jeszcze rzeczy. Mianowicie, że nie dlatego nie może być sprzeczności między wiarą a rozumem, iż rozum nie jest w stanie sprawdzić faktu objawienia, na jaki się wiara powołuje. Owszem rozumowi Kościół przyznaje prawo, a nawet wkłada nań obowiązek przekonania się o autentyczności faktu objawienia i tylko po nabyciu p e w n o ś c i o objawieniu możliwą jest psychologicznie wiara w treść objawienia. Zgodność zaś wyników wiedzy i dogmatów

[1] »Wykłady Jagiellońskie« I, str. XXXVI.
[2] Denzinger *Enchiridion*, n. 1785 i nast.

wiary na tem polega, że jedno jest źródło obydwóch tych porządków poznania, mianowicie Bóg, dawca objawienia nadprzyrodzonego i stwórca naturalnego światła umysłu ludzkiego.

Jeszcze i to w dekretach watykańskich zaznaczono, że kto raz posiadł wiarę katolicką, ten nie może bez grzechu podawać w wątpliwość prawd objawionych, a zatem jeśli traci wiarę, to traci ją nie dlatego, że ona jest łaską, a łaskę nie każdemu Bóg daje, ale traci ją z własnej winy, stąd zaś wypływa, że wszyscy, co już uwierzyli, zawsze wierzyć mogą i jeśli wiarę odmiatają, to choć może nie na pogardę i lekceważenie [1], na politowanie wszakże zasługują.

Katolickie wreszcie pojęcie wiary nie przypuszcza tego rodzaju postępu dogmatycznego, wskutek którego dogmaty wiary stawałyby się z czasem pewnikami nauki. Są bowiem w objawieniu chrześcijańskiem tak zwane tajemnice, przewyższające zasadniczo skalę umysłu stworzonego, i dlatego na zawsze pozostaną tajemnicami. Pojęcie pokrewne twierdzeniu L. o przeobrażaniu się dogmatów w pewniki naukowe lub filozoficzne, jak chcieli hegliści, potępionem zostało przez Kościół niejednokrotnie, zwłaszcza w nauce tak zwanych pół-racyonalistów w rodzaju Hermesa i Frohschammera [2].

Z pojęcia, jakie o źródłach wiary urobił sobie L., wynikałoby logicznie, że zbyteczną jest wszelka zewnętrzna kontrola i powaga w rzeczach wiary. Cechą takiego pojmowania jest bezwzględny indywidualizm protestanckich mistyków. Na tem stanowisku stał, zdaje się, Lutosławski, kiedy pisał *Seelenmacht*, potem jednak musiał przez pewien kompromis wprowadzić nowy pierwiastek do swego systemu wiary, pierwiastek powagi kościelnej, stojącej na straży czystości wiary. Czyni jednak to z tylu zastrzeżeniami,

---

[1] *Eleusis*, I, str. 118. Do autorstwa całego tego tomu »czasopisma elsów«, pisanego pod 15-stu dziwacznymi kryptonimami, przyznał się L. w niemniej dziwaczny sposób na ostatniej stronie tegoż tomu, a potem wyraźnie w najnowszej książce »Ludzkość odrodzona». Zresztą i bez tego przyznania niktby nie miał wątpliwości co do autorstwa I tomu *Eleusis*. Styl to człowiek, mawiają francuzi, a L. ma swój własny styl, jak ma swoją logikę.

[2] Denzinger: *Enchiridion* n. 1642, 1645, 1669, 1671—1673, 1796.

że powaga Kościoła nauczającego schodzi u niego prawie do zera, staje się wprost iluzoryczną. Posłuchajmy.

Nieomylność kierownicza Kościoła podoba się Lutosławskiemu, w niej widzi nawet gwarancyę powodzenia Kościoła, przynajmniej w Polsce, gdzie »zamiłowanie do jednomyślności objawiło się w naszych instytucyach politycznych i stanowiło tak charakterystyczną cechę ducha polskiego« [1]. Czytelnik, uprzytomniwszy sobie, że jednomyślność polska polegała na tem, że nic prawem stać się nie mogło bez zgody wszystkich *(liberum veto)*, łatwo wyprowadzi wniosek, że i nieomylność Kościoła polega zapewne na podobnej jednomyślności, czyli na tem, że bez zgody wszystkich bez wyjątku członków Kościoła nic dogmatem stać się nie może. Na szczęście L. nie zawsze idzie za nieubłaganą logiką i dlatego i w tej kwestyi błąd jego nie jest tak krańcowo rażącym. Napotykamy zato liczne wahania i sprzeczności. Raz zastrzega się, że pomimo swego katolicyzmu nie jest przecie »ślepym niewolnikiem Rzymu« [2], na wielu innych miejscach jednak papieża uważa za nieomylnego stróża wiary [3]. Tak zabezpieczywszy się z jednej strony od zarzutu nieprawowierności, tem śmielej wyłamuje się z pod powagi innych władz kościelnych i czyni to jakoby w interesie samego papieża. »Aby nieomylność jednego papieża uszanować, trzeba się wyzwolić od fałszywego autorytetu wielu samozwańców« [4]. W tym celu każe »zawsze najstaranniej odróżniać kler od Kościoła, klerykalizm od katolicyzmu« [5], potępia »ów jezuicki klerykalizm, dla którego Kościół jest przedewszystkiem hierarchią księży« i t. d. [6]. Kiedy, darowawszy mu wstręt do jezuickiego klerykalizmu, zapytamy go, czy naprawdę tylko samego papieża uważa za stróża wiary, za Kościół nauczający, czy też jeszcze kogoś, to dowiemy się, że w Kościele »prawda wiary przechowuje się w wybranych naczyniach, t. j. w duszach świątobliwych« [7], i że nauka Kościoła to »jednomyślne orzeczenie wszystkich świętych« [8] i dlatego »nie od byle jakiego katechety,

[1] »Religia w życiu nar.«, str. 67. [2] »Wykł. Jag.« I, str. XXXIV.
[3] Np. *Eleusis* II, str. 31. [4] *Eleusis* I, str. 350. [5] Tamże.
[6] »Wykł. Jag.« I, str. XXXIV. [7] *Eleusis* II, str. 26.
[8] Tamże, str. 30.

ani ze szkolnych katechizmów« [1] uczyć się trzeba wiary, ale obok ewangelii, postanowień soborów i encyklik papieskich [2], także z »żywotów świętych i ich czynów, bo oni szczególniej (na równi z wymienionymi tamże Apostołami) Kościół nauczający stanowią« [3].

Pojmujemy psychologię Lutosławskiego. Przeczuwając, że jego poglądy religijne mogą się spotkać z poważnymi zarzutami księży, owszem przewidując, że »Jezuici ogłoszą go heretykiem« [4], chce się przed nimi zasłonić wyższą powagą papieża, a nawet mieszkańców niebios, sądząc, że tam żadna go krytyka nie dosięgnie. Sądzimy jednak, że zapóźno już na taki wybieg, skoro Kościół, nawet przez usta papieży i soborów już dawno orzekł, kto jest stróżem i wykładaczem nauki objawionej. Gotowiśmy zgodzić się chętnie z L. w twierdzeniu, że całego Kościoła nie stanowi sama tylko hierarchia księży, ale ogół wiernych oczywiście łącznie z duchowieństwem, ale nie potrzeba być ani klerykałem, ani Jezuitą, by wiedzieć, że w Kościele stale odróżnia się dwa stany, z których jeden Kościołem słuchającym, a drugi Kościołem nauczającym się zowie. Nie chcemy bynajmniej lekceważyć i świętości, jako czynnika wielce ważnego w dążeniu do prawdy, mimo to wiemy z nauki Kościoła, że sama świętość osobista nie czyni nikogo członkiem Kościoła nauczającego, lecz że potrzebną jest do tego g o d n o ś ć b i s k u p i a, bo tylko biskupi, mniejsza o stopień ich osobistej świętości, stanowią urząd nauczycielski wraz z papieżem, który jest centrum jednoczącem cały episkopat w jedno solidarne ciało. Święci mogą nam dostarczyć swemi przekonaniami tylko pewnego ubocznego świadectwa o tem, jakiem w danej epoce było nauczanie episkopatu.

Następnie, chociaż żaden biskup pojedyńczo nieomylnym nie jest, to jednak cały episkopat (włączając weń oczywiście i papieża) jest nieomylny w wykładzie wiary nie tylko wtedy, kiedy się zgromadzi na soborze powszechnym, ale i zawsze, bezustannie, pomimo rozsiania po całym świecie, o ile wypełnia swój zwyczajny nauczycielski urząd, głosząc w powszechnej zgodzie prawdy

---

[1] »Wykł. Jag.« I, XXXVI. [2] Tamże.
[3] *Eleusis* I, 350. [4] »Wykł. Jag.« I, XXXVI.

wiary i naukę obyczajów nie tylko swemi własnemi ustami, ale i przez upoważnionych przez się kapłanów lub innych pomocników. Sobór Watykański wyraźnie określił: »Należy wierzyć wiarą Boską i katolicką w to wszystko, co się zawiera w słowie Bożem pisanem lub podanem i co jako od Boga objawione podaje się do wierzenia przez Kościół czy to w uroczystem orzeczeniu, czy też przez zwyczajne powszechne nauczanie«[1]. To samo i w tych samych prawie słowach wypowiedział papież Pius IX w liście *Tuas libenter* w roku 1863[2]. Z tego łatwo zrozumieć, że konsekwentny katolik nie powinien tak lekceważąco, jak Lutosławski, traktować nawet katechetów i katechizmów. Gdyby i on ich nie lekceważył, z pewnością uniknąłby niejednego błędu w swoich teologicznych poglądach. Żywoty świętych są niezaprzeczenie wielce pożyteczną lekturą, ale katechizmu nie zastąpią. Nie zastąpi go nawet Pismo święte, choć jest natchnionem słowem Bożem, bo i ono nie zawiera całości nauki katolickiej, posiadającej, jak wiadomo, obok Pisma, inne jeszcze źródło — ustne podanie.

O »Piśmie świętem« ma L. swoje wprost niezgodne z Soborem Trydenckim pojęcia. Ów sobór określił, jakie księgi składają się na Pismo święte, jako natchnione słowo Boże, i do tego kanonu ani nic dodać ani nic od niego ująć nie można, ani żadnych innych ksiąg na równi z wyliczonemi w kanonie stawiać się nie godzi. Lecz byłoby to nielogicznem w nauce L. Jeśli bowiem cykl objawień nie zakończył się, dlaczegoby nie miały powstawać i nowe księgi święte? I stąd nie dziw, jeśli kanon ksiąg rośnie u niego. »Dziady« Mickiewicza, »Przedświt«, »Psalmy« i »Trzy myśli« Krasińskiego, »Król-Duch«, »Genezis z Ducha«, »Samuel Zborowski« i »List do Rembowskiego« Słowackiego nazywa on »pismami trzeciego Zakonu«[3], jużci chyba nie III Zakonu św. Franciszka, ale trzeciego Zakonu, jako nowej epoki Kościoła, w przeciwstawieniu do Starego i Nowego Testamentu. Nie dziw też, że każe już dzieci zaznajamiać z Żywotami świętych i z »Pismem

[1] Sob. Watyk. sesya III, rozdz. 3. O wierze. Denzinger: *Enchiridion* n. 1792.

[2] Denzinger n. 1683. [3] *Eleusis* I, str. 338.

świętem nie tylko żydów, lecz i innych wschodnich narodów« [1]. Domyślamy się, że i Zend-Awesta i Koran i może kodeks Hammurabiego należą do Pisma świętego. Nie dziw zatem, że tak się forsuje znajomość pism naszych »Wieszczów«, »których czytanie w świętości utwierdza« [2], i że tą nauką przesiąkli już pojętni Lutosławskiego uczniowie — elsy. »My Elsowie od początku czcimy trójcę wieszczów naszych (Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego), w Ich pismach widzimy ewangelię narodową« [3]. Nazwa ewangelii nie jest tu przenośnią, jeśli natchnienie Mickiewicza było tego samego rzędu co jakiegoś św. Łukasza, albo jeśli »Nowa Genezis zaćmiewa dawną mojżeszową« [4].

Otóż tu L. mija się widocznie ze stałą nauką Kościoła i dlatego, pomimo całej sympatyi ku naszym wielkim poetom, musimy raz przecie kazać mu zrozumieć, że dopóki Kościół Kościołem pozostanie, dotąd zawsze będzie umiał odróżnić pisma polskich poetów od ksiąg świętych, a przewidywanie Lutosławskiego, iż »rozpowszechnienie wśród całej ludzkości pism naszych wieszczów nada im charakter ksiąg świętych i powoli sprowadzi panowanie polskiego języka na miejscu łaciny i angielszczyzny [5] nie sprawdzi się nigdy, choćby nawet papieżem został polak, jak to L. prorokuje. Samo takie przypuszczenie uświęcenia pism naszych poetów, przypuszczenie choćby w formie patryotycznego *pium desiderium*, mogło zjawić się tylko w umyśle pisarza, który nie miał jasnego pojęcia czem w oczach Kościoła jest Pismo święte.

Jak pojęcie Pisma świętego, tak szerokiem jest u Lutosławskiego pojęcie Kościoła i katolicyzmu. I oto nastręcza się nam do zbadania nowy punkt nauki L. »Mój katolicyzm jest to szeroki, wszechludzkość obejmujący, wielu Polakom właściwy katolicyzm, wyznawany nawet przez najniezależniejsze duchy, jakimi byli Tomasz Zan, Mickiewicz, Słowacki i A. Towiański, ten polski apostoł« [6]. Tak pisał Lutosławski w tej samej chwili, kiedy opowiadał o swem nawróceniu na katolicyzm.

Swoje elastyczne pojęcie Kościoła przypisuje Lutosławski

---

[1] Tamże, str. 163. [2] *Eleusis* II, 65. [3] *Eleusis* V, III.
[4] Tamże str. 34. [5] *Eleusis* I, str. 255
[6] »Wykł. Jag.« I, str. XXXV.

samemu Kościołowi katolickiemu. »Wszystkie sekty i Kościoły, powiada, są wyłączne, obiecują zbawienie wieczne i zadowolenie doczesne (?) tylko swoim wyznawcom. Kościół katolicki pod tym względem zajmuje wyjątkowe i zupełnie odmienne stanowisko, zbyt mało znane wśród samych wyznawców, a najzupełniej ignorowane przez przeciwników« [1]. Jakież to stanowisko? »Katolicy mają nadto w swych wierzeniach (?) jeden szczególny pogląd, mocą którego zaliczają do swego Kościoła wielu protestantów, mahometan, buddystów, a nawet pogan (więc buddyści nie poganie?)... Dla kogoś, co teologii katolickiej nie zna, — ciągnie dajej autor, nie bez pewnej pretensyonalności, — pogląd ten wyda się bardzo dziwnym, ale należy on niewątpliwie do nauki Kościoła i nie można sobie wyrobić pojęcia o Kościele, nie znając tej nader subtelnej doktryny. Według wiary katolickiej, do ciała Kościoła należą wszyscy ci, co formalnie przez chrzest zostali do niego przyjęci i przyznają się choćby do zewnętrznej z Kościołem jedności. Ale do duszy Kościoła należą wszyscy ludzie dobrej woli na ziemi — jeśli nie mieli dostatecznie jasnych i przekonywujących osobiście informacyi, by przystąpić do ciała Kościoła. I wszyscy ci utajeni członkowie Kościoła, według wiary katolickiej, dostąpią w przyszłem żywocie tegoż wiecznego zbawienia, które jest najwyższym celem, dostępnym dla najlepszych członków ciała Kościoła, o tyle, o ile umrą w stanie łaski« [2]. Stąd ma wypływać szeroka tolerancya Kościoła względem innowierców. Stąd też, ponieważ tę naukę o »duszy Kościoła« najlepiej zrozumieli Polacy, dlatego i »utrzymanie inkwizycyi w Polsce stało się niemożliwem«. Co się tyczy inkwizycyi, to nie wynika ona, zdaniem L., z ducha katolickiego i dlatego żaden inkwizytor świętym nie został. U nas zaś tolerancya poszła tak daleko, że widzieliśmy dygnitarzy kościelnych, sprawujących obrządki nad poległymi w asystencyi pastora i rabina [3]. Zresztą inkwizycya hiszpańska nie może być dowodem nietolerancyi Kościoła; przeciwnie jest ona raczej przykładem tolerancyi Kościoła względem

[1] »Rel. w życiu nar.«, str. 19. [2] Tamże str. 20.

[3] Mowa zapewne o arcybiskupie Fijałkowskim i pogrzebie »pięciu poległych« w r. 1861.

złych skłonności niektórych jego członków« (t. j. zapewne samych inkwizytorów)[1].

Do duszy Kościoła należą wszyscy ludzie dobrej woli, lecz cóż to jest dobra wola? Jednem ze znamion takiej woli jest przyznawanie się do polskości. »Ci innowiercy, mówi L., co są prawdziwymi Polakami, w oczach naszych braci (t. j. zapewne elsów) bezwiednie należą do duszy Kościoła katolickiego«[2]. I znowu: »Polak-katolik będzie sądził swych rodaków według miary ich zasług obywatelskich, a o ile oni się okażą dzielnymi obywatelami, bez wahania uzna ich przynależność do duszy Kościoła i nie będzie się niepokoił o ich nawrócenie formalne, ani też o ich zbawienie wieczne«[3].

Oto w zarysach głównych nauka Lutosławskiego o Kościele i jego członkach. Ostatnie przytoczone zdanie brzmi sympatycznie dla niejednego ucha. Bądź Polakiem i obywatelem, a zbawienie masz zapewnione, choćbyś był Polakiem mojżeszowego wyznania, kalwinem lub maryawitą! Oczywiście łatwo i tu L. powiedzieć, że ten zwrot nie wyraża pełni jego wiary, że jest tylko pewną kaptacyą benewolencyi tych niewierzących, do których miał odczyt o znaczeniu religii w życiu narodowem. Na to jednak zmuszeni jesteśmy odpowiedzieć, że co innego jest nie mówić całej prawdy, a co innego mówić fałsz, i że fałszu etyka zakazuje używać choćby w najlepszym celu. A pogląd L. na Kościół i na warunki przynależenia doń nie tylko w wielu miejscach nie zupełny, ale w ostatnich twierdzeniach jest wprost fałszywy.

Co się tyczy niedokładności, to one tkwią w tem, co L. mówi o ciele i duszy Kościoła. Jeśli przez chrzest staje się człowiek członkiem ciała Kościoła, to między protestantami i, dajmy na to, buddystami należało zrobić jakieś rozróżnienie i nie stawiać ich obok siebie. Dalej »duszą« Kościoła nie jest jakabądź dobra wola, ani tem mniej polskość choćby najlepsza, ale nadprzyrodzone życie dusz ludzkich, polegające na obecności w nich łaski poświęcającej i miłości Bożej nadprzyrodzonej. Kto w chwili śmierci

---

[1] »Rel. w życiu nar.«, str. 22. [2] *Eleusis* I, str. 293.
[3] »Religia w życiu nar.«, str. 44.

znajdzie się w takim stanie, ten dostępuje zbawienia nadprzyrodzonego, polegającego na widzeniu Boga twarzą w twarz. Ale łaska poświęcająca i nadprzyrodzona miłość Boga, według nauki Kościoła, niemożliwą jest bez nadprzyrodzonej również wiary i to wyraźnej, przynajmniej w zasadnicze prawdy Chrystyanizmu. Ponieważ zaś akt wiary u dorosłych przypuszcza znajomość prawd objawionych, a wiara habitualna uzyskuje się znowu na chrzcie świętym, przeto logicznie wypływa nauka, że w zwykłym porządku rzeczy, aby należeć do duszy Kościoła, trzeba się stać członkiem jego ciała, a skoro się raz z tem ciałem weszło w stosunek, należy przynależność do niego umocnić wszystkimi węzłami, do jakich na chrzcie się każdy zobowiązuje, i węzłów tych nigdy nie zrywać. Dlatego święty Augustyn, doktor Kościoła, zapytuje, czy może ożywiać dusza członek odcięty od ciała? Do c i a ł a zaś Kościoła można należeć w rozmaitym stopniu. Najniższy stopień przynależności jest przez sam chrzest tylko i w tym stopniu członkami ciała kościelnego są i protestanci i odszczepieńcy. Wyższym stopniem przynależności do tegoż ciała jest należenie doń przez subordynacyę ustanowionej przez Chrystusa władzy biskupów i papieża i w ten sposób należą do ciała Kościoła tylko katolicy. Nieochrzczeni zaś wcale do ciała Kościoła nie należą. Jakże się teraz rzecz ma z d u s z ą Kościoła? czyli jaka przynależność do ciała Kościoła jest potrzebną, by módz żyć nadprzyrodzonem życiem łaski? O potrzebie życia etycznego tu nie mówimy, jako o rzeczy nie ulegającej sporowi. Oprócz tego, aby żyć życiem łaski, obowiązek jest wypełniać całą wolę Chrystusa, wolą zaś Jego, między innemi, jest i zupełna przynależność do ciała Kościoła, t. j. obok chrztu i wiary owa społeczna subordynacya ustanowionej przez Zbawiciela hierarchii z papieżem u szczytu, czyli zupełna katolickość. Kto zatem świadomie uchybia temu obowiązkowi, kto od Kościoła rzymskiego odpada, albo poznawszy jego prawa doń nie wstępuje, ten chociaż jest ochrzczony, żyć życiem nadprzyrodzonem nie może, czyli duszy Kościoła w sobie nie posiada. I żadne zasługi obywatelskie, żaden patryotyzm, braku tego zastąpić nie mogą. I w tem, a nie w innem znaczeniu powstała pierwotnie zasada: *Extra Ecclesiam non est salus.*

Rozumiano przez Kościół nie duszę, ale ciało Kościoła i to w znaczeniu najściślejszem, jako Kościół rzymsko-katolicki. Ale oczywiście odsądzano od zbawienia tych tylko, co stali poza tym jedynie zbawiającym Kościołem świadomie i dobrowolnie.

Skoro się tak tę zasadę zrozumiało, narzuca się pytanie, co sądzić o tych chrześcijanach, protestantach i odszczepieńcach, którzy poza rzymskim Kościołem znajdują się nie z własnej winy? I tu teologia przychodzi z wyjaśnieniami. Ponieważ tacy chrześcijanie są złączeni z ciałem Kościoła przynajmniej przez jeden zasadniczy węzeł chrztu świętego, ponieważ często, jak np. u odszczepieńców, mają nadto możność przyjmować i inne sakramenta, a z drugiej strony wierzą wyraźnie w te prawdy zasadnicze, które koniecznie są suponowane, by mogła zrodzić się miłość Boża nadprzyrodzona, przeto tacy, jako posiadający *minimum* uprzednich warunków do łaski, a nieodpowiadający przed Bogiem i własnem sumieniem za brak dalszych, mogą żyć życiem łaski czyli posiadać »duszę Kościoła« i jako tacy zbawić się. Lecz wtedy zbawiają się mocą tych węzłów, jakimi są związani z ciałem Kościoła katolickiego, t. j. mocą chrztu i innych sakramentów, a nadto wiary w zasadnicze prawdy, wspólne z tymże Kościołem. I oto drugie znaczenie maksymy: Poza Kościołem niema zbawienia.

Chociaż nie przeczymy możności zbawienia tych chrześcijanniekatolików, którzy bez winy niezupełnie do ciała Kościoła należą, jednak daleko stąd do wniosku, jaki czyni L., jakoby można nie niepokoić się o ich nawrócenie formalne, albo obojętnie patrzeć na odstępstwa od wiary katolickiej. Kościół przeciwnie troszczy się bardzo o nawrócenie innowierców, nawet tych, co są nimi bez własnej winy, bo wie, że wolą Chrystusa jest, »aby wszyscy byli jedno«, a nadto wie, że poza jednością z Kościołem rzymskim, jakkolwiek zbawienie jest, mówiąc absolutnie, możliwe, to jednak jest trudniejsze i zapewne względnie rzadsze z powodu pozbawienia się przez odłączone sekty i Kościoły wielu środków dopomagających do życia nadprzyrodzonego, środków, w jakie tylko Kościół katolicki obfituje. Dobrowolnych odstępców od wiary Kościół, nie wchodząc w stopień ich subjektywnej winy

przed Bogiem, piętnuje jako zdrajców sztandaru Chrystusowego i karami kościelnemi okłada, bo przez chrzest nabył praw do nich i zwierzchności nad nimi. Stąd i inkwizycya, dobrze zrozumiana, bynajmniej nie jest wrogą duchowi katolicyzmu, lecz owszem z tego ducha płynie, a polega na prawie sądu nauki swych członków, piętnowania ich błędów i okładania karami kościelnemi niepoprawnych błądzących. Taka inkwizycya istniała zawsze i wszędzie, nie wyłączając i Polski, i istnieje dotąd, a jednym z jej przejawów jest indeks książek zakazanych i ekskomunika kościelna. Dlatego i godność inkwizytora nie przeszkadzała nikomu zostać świętym i rzeczywiście tylko nieznajomość hagiografii mogła podyktować L. zdanie, że żaden inkwizytor świętym nie został. Inkwizytorem i to hiszpańskim był św. Piotr Arbuez, kanonizowany przez Piusa IX w r. 1867. Niepożądanemi są i pochwały L. dla tolerancyi polskiej. Czy kiedyś polski papież pozwoli odbywać nabożeństwa razem z protestantami, jak to obiecuje Lutostawski [1], mocno wątpimy, fakt zaś wystąpienia arcybiskupa na pogrzebie w obecności pastora i rabina bynajmniej nie wypłynął z jakiejś szczególnej polskiej tolerancyi, lecz z wyjątkowych w danym razie okoliczności. Trudno było z orszaku pogrzebowego wykluczać ludzi, którzy pod wpływem ogólnego entuzyazmu doń się przyłączyli. Mimo to, tak w Polsce jak i gdzieindziej, pozostaje w całej sile zakaz kościelny odbywania wspólnych nabożeństw z innowiercami, i Lutosławski, o ile chciał być szczerym katolikiem, praktyki przeciwnej pochwalać nie był powinien.

Wróćmy jeszcze do »duszy« Kościoła. Była dotąd mowa o chrześcijanach katolikach i chrześcijanach akatolikach. Mówiliśmy, że według nauki kościelnej, żeby należeć do duszy Kościoła, albo lepiej — żyć z duszy Kościoła, trzeba być członkiem jego ciała, przynajmniej w stopniu zasadniczym przez chrzest święty. Jest to prosty wniosek wysnuty ze słów Chrystusa Pana: »kto się nie odrodzi z wody i Ducha św. nie może wnijść do królestwa Bożego« [2]. Co sądzić jednak o żydach i poganach? Czyż nikt z nich zbawionym nie będzie? Czy do tego stopnia bezwzględnem jest

[1] *Eleusis* I, str. 255. [2] Ew. św. Jana, III, 5.

owo prawidło: poza Kościołem niema zbawienia, że nawet poganie, żyjący moralnie, lecz nie słyszący nigdy o Chrystusie, muszą dzielić losy potępionych? Oto pytania, które bardzo niepokoiły umysły wierzących. Lutosławski ma łatwą na to odpowiedź. Według wiary katolickiej, powiada, wszyscy ludzie dobrej woli należą do duszy Kościoła i to im wystarcza, zwłaszcza taki np. Polak mojżeszowy, Jankiel z »Pana Tadeusza«, może się o nic więcej nie troszczyć. Lecz czy tak jest naprawdę? Otóż śmiem zapewnić, że wiary takiej, dogmatu takiego w Kościele niema, i, o ile znam teologię, niema w źródłach objawienia podstaw do ostatecznego rozwiązania tej kwestyi. W takim zaś razie jest miejsce tylko dla pewnych hipotez, opartych na wnioskowaniu teologicznem. Mianowicie skoro jest faktem, że wielkie mnóstwo ludzi, bez żadnej swej winy o nauce Chrystusa nie słyszało nigdy, skoro jest z drugiej strony pewną rzeczą z nauki Kościoła, że cnoty naturalne, t. j. życie etycznie dobre, choć nie podniesione do godności nadprzyrodzonej przez łaskę, jest możliwe poza chrześcijaństwem (inna rzecz czy wielu takich pogan etycznych istnieje na świecie), skoro wreszcie trudnoby przypuścić, aby za sam grzech pierworodny, bez własnej osobistej woli odziedziczony, miał ktoś być karany mękami piekielnemi, przeto musiano szukać odpowiedzi na pytanie, cóż będzie z takimi poganami, co grzechu ciężkiego przeciwko prawu naturalnemu nie popełnili, a o nadprzyrodzonym porządku zbawienia zgoła nie słyszeli? Najwcześniej zgodzono się co do losu niemowląt, zeszłych bez chrztu z tego świata: zapanowało powszechnie między teologami przypuszczenie, nie dogmat wiary, że takie niemowlęta karane pozytywnemi mękami nie będą, będą jednak pozbawione nadprzyrodzonego widzenia Boga i pozostawione w stanie jakiegoś czysto przyrodzonego szczęścia. Stan ten nazwano otchłanią niemowląt. A dorośli? Co do tych panuje już większa rozmaitość przypuszczeń. Pospolicie teologowie, z wielkim doktorem Kościoła św. Tomaszem z Akwinu, przypuszczają, że poganin, który bez własnej winy nie miał sposobności poznać Chrystusa i jego nauki, nie wykroczył jednak ciężko przeciw etyce naturalnej, dostąpi tej łaski, że Bóg mu objawi najpotrzebniejsze prawdy wiary, albo bezpo-

średnio, albo zsyłając mu jakiego misyonarza[1] i tak podniesie go do nadprzyrodzonego porządku łaski. Niektórzy teologowie, uważając tę hipotezę za fikcyjną, stawiają inną, mianowicie, przypuszczają i dla dorosłych, umierających tylko w grzechu pierworodnym, możliwość zbawienia czysto naturalnego pospołu ze zmarłemi bez chrztu niemowlętami. Jeszcze inni dawniejsi teologowie sądzili, że w takich wyjątkowych razach wystarcza do usprawiedliwienia wiara w szerszem znaczeniu, a mianowicie samo przekonanie o istnieniu Boga, wyprowadzone z widzialnych stworzeń. Tę jednak hipotezę już dawno odrzucono. Jakiekolwiek przyjmiemy rozwiązanie tej zawiłej kwestyi, będzie to zawsze tylko hipoteza teologiczna. Pewnem jest tylko to, że bez winy własnej nikt potępionym być nie może. Nadto teologowie zauważają, że jeśli zdarza się taki wypadek zbawienia nadprzyrodzonego drogą nadzwyczajną, to i wtedy zbawienie to dokonywa się dzięki pewnej idealnej przynależności nie tylko do duszy, ale i do ciała Kościoła. Taki bowiem człowiek posiada ogólną wolę i gotowość spełnienia wszystkich rozkazów Bożych, ponieważ zaś między tymi rozkazami znajduje się i rozkaz przyłączenia się do prawdziwego Kościoła, więc domyślnie i na tę rzecz gotowość się owa rozciąga. Czyli, że taki człowiek należy do ciała Kościoła *in voto*. Jeszcze inaczej nazywa się to chrztem pragnienia. Czy jednak wielu się tak zbawia, o tem nikt nic powiedzieć nie może. Raczej na podstawie wielu danych teologicznych można sądzić, że szanse, — że użyję tego wyrazu — zbawienia poza chrześcijaństwem są bardzo małe, i dlatego Kościół dokłada wszystkich starań, by jak najprędzej rozszerzyć po świecie naukę Jezusa i jak najwięcej ludzi wprowadzić do Jego Kościoła.

Przyznajemy, że ta cała nauka o ciele i duszy Kościoła i o stopniu konieczności należenia doń, by osiągnąć zbawienie, należy do najsubtelniejszych i dlatego nie dziwimy się L., że niedokładnie ją wyraził. Największą niedokładność popełnił w tem, że należenie pogan dobrej woli do duszy Kościoła uważa za w i a r ę Kościoła, że możliwość traktuje jako fakt i pewność, że tym

[1] In. 2, d. 28, qu. 1, ar. 4

sposobem wpada w niebezpieczny praktycznie optymizm, zwalniający chrześcijan od troski o zbawienie stojących poza Kościołem.

Badając bliżej poglądy Lutosławskiego, przychodzimy do przekonania, że walną w nich rolę odgrywa indyferentyzm wyznaniowy. Indyferentyzm ten chce się wobec wierzących zamaskować niedokładnie przedstawioną nauką kościelną o »duszy« Kościoła, wypływa jednak z innych przesłanek, mianowicie z mylnych poglądów na źródła wiary. Jeśli wiarę otrzymuje się przez prywatne natchnienia czy telepatyę, to dlaczegóżby telepatya np. u Indyan miała być gorszą od telepatyi Europejczyków, a w takim razie, czy daleko do wniosku, że wszystkie religie posiadają tę samą wartość? I dlatego nie dziwimy się, gdy czytamy u L. takie zapatrywanie: »Z tego, że kilkaset milionów ludzi wyznaje pewną religię, a kilkaset innych inną, wcale nie wynika, by zachodziła sprzeczność między temi wiarami, dowodząca fałszywości jednej z nich, kilku lub wszystkich« [1]. Dlaczegoż jednak te religie różnią się między sobą, boć chyba nikt nie zaprzeczy różnicy np. między buddyjską nirwaną, a katolickiem oglądaniem Boga po śmierci. Lutosławski odpowiada, że »rozmaitość wierzeń wynika z rozmaitości jaźni«. Chrześcijanie różnią się co do natury jaźni swych od buddystów i mahometan i stąd nic dziwnego, że inne wierzenia mają. Inne znowu źródło różnic w wierzeniach ma polegać na tem, że chrześcijanie a buddyści »czerpią swe duchowe doświadczenia prawdopodobnie z różnych światów« (t. j. od innych wyższych jaźni jedni, a od innych — drudzy) [2]. Lecz różnice te są przypadkowe. »Wyrażają oni swą wiarę w różnych symbolach, językach i obrządkach,... a wszyscy zgadzają się przecie na to, że wszelkie wyrażenie prawdy religijnej jest tylko nieudolnym wysiłkiem słowa, skierowanym ku wyrażeniu samej rzeczywistości, nieuchwytnej i niewyraźnej« [3]. Wielki mędrzec indyjski Rama-Kriszna praktykował różne religie, »a w miarę jak się przejmował ich najgłębszą treścią, dochodził do przeświadczenia, że wszystkie do jednej i tej samej znajomości

[1] »Rel. w życiu nar.«, str. 16. [2] Tamże. [3] Tamże.

Boga i świata prowadzą« [1]. Stąd »przeciwstawiać wiarę prawdziwą fałszywej jest najbłędniejszem uogólnieniem« [2]. Stąd można oczywiście mówić i o Piśmie świętem nie tylko żydów, ale i innych wschodnich narodów.

Gdyby Lutosławski, pisząc te słowa w r. 1909, zajrzał był do dekretu Koncylium Watykańskiego o wierze i do encykliki Piusa X. *Pascendi dominici gregis* z roku 1907, byłby łatwo spostrzegł, jak dalece jego pojęcia pod tym względem odbiegają od nauki katolickiej, a jak blizkiemi są, nawet podobnemi w wyrażeniach, do błędów modernistów, potępionych przez obecnego papieża. Kto przeczyta ze wzmiankowanej encykliki ustęp *Sic igitur* [3], pomyśli, że L. wprost z niego skopiował myśli i wyrażenia modernistyczne o wierze i przyswoił je sobie. Skoro teraz modernizm został potępiony, musimy odrzucić i pogląd na równorzędność różnych religii. Według naszej nauki, prawdziwe objawienie Boże jest tylko w Kościele (przedtem w synagodze) i jeżeli gdzie poza chrześcijaństwem spotykamy okruchy prawdy religijnej, to są to albo resztki pierwotnego objawienia, albo prawdy, które samym światłem rozumu naturalnego, bez pomocy jaźni wyższych, nabyć można. Jeśli zaś gdzie napotykamy twierdzenie sprzeczne z jakąś prawdą chrześcijańskiego objawienia, to bez wahania odrzucamy je, jako fałsz.

Zapewne czytelnik ciekaw, w jaki sposób z zasadniczem zrównaniem wszystkich wiar godzi L. propagandę jednej z nich, to jest katolicyzmu i dlaczego wybór jego właśnie padł na katolicyzm. Na to nam tak odpowiada Lutosławski. Każdy człowiek, choć widzi, że zasadniczo wszystkie wiary są dobre, musi z nich jedną wybrać dla siebie. Inaczej byłby podobny do »kochanka idealnej bohdanki«, nie uznającego wdzięków żadnej żyjącej niewiasty [4], a wszak chyba więcej warta jakakolwiek konkretna kobieta, niż najbardziej wyidealizowana lecz abstrakcyjna »bohdanka«. Potrzeba łączenia się w wyznania, w Kościoły, rodzi się jeszcze i stąd, że »na wiarę składa się, oprócz wierzącej jaźni,

---

[1] »Rel. w życiu nar.«, str. 17. [2] Tamże, str. 46.
[3] Denzinger: *Enchiridion*, n. 2079. [4] »Rel. w życiu nar.«, str. 17.

rzeczywistość duchowa, dostępna innym jaźniom«, następnie stąd, że związki takie zapewniają znaczne korzyści, bo prowadzą do zewnętrznego wyrażania wiary, a »wyraz potęguje siłę doznanych objawień«, to znowu nadaje wierze większą objektywność i potęguje siłę przekonania, z silnego zaś przekonania rodzi się intensywność życia z wiary i t. d.[1]. Z tych naturalnych związków religijnych, nie z pozytywnej woli Chrystusa, jak to czynią katolicy, wyprowadza Lutosławski początek Kościoła i kapłaństwa[2]. Widzimy więc, że wybór religii nie opiera się na absolutnej wewnętrznej prawdzie jakiegoś wyznania, lecz wypływa z pewnych pobocznych względów, korzyści i t. d.

Jaką religię ma wybrać Polak i dlaczego taką a nie inną ma wybrać? »Charakter narodowy wpływa na wybór wiary«[3]. czytamy u Lutosławskiego, a charakterowi naszemu najbardziej odpowiada wiara katolicka. Najpierw bowiem wdzięczność sama wymaga, żebyśmy tę wiarę zachowywali, która się przyczyniła do wzmocnienia Polski, i tu L. przypomina zasługi św. Wojciecha, Jagiełły, Kordeckiego. Dalej dlatego, że u nas wszyscy wielcy ludzie byli dobrymi katolikami. Nie mówiąc już o Mickiewiczu, który »założył nowy zakon«, nawet Towiański był o tyle dobrym katolikiem, że nie stworzył sekty, chociaż mógł ją stworzyć, a najwięksi pisarze ostatniej doby, Sienkiewicz i Wyspiański, znani są z przywiązania do Kościoła i do praktyk religijnych[4]. Dalej dlatego, że katolicyzm jest nieomylny (t. j. głosi się za taki), a to odpowiada naszemu zamiłowaniu jednomyślności[5]. Dalej dlatego, że w nim rozwinięty jest kult Matki Boskiej; jeszcze dlatego, że naród polski jest rolniczy, »a rolnicze życie najbardziej przygotowuje do najwyższych objawień«, »w Kościele zaś katolickim, dzięki jego powszechności, jest miejsce na różne duchowości. Jest miejsce i dla tych, którzy przez własne doświadczenie dochodzą do poznania Boga i własnemi słowami z Nim rozmawiają«[6]. Jeszcze dlatego, że w katolicyzmie mamy wiarę w związek żywy z duchami poza światem, a taka wiara jest bardzo ko-

---

[1] Tamże, str. 17, 18. [2] Tamże, str. 18. [3] Tamże, str. 26.
[4] Tamże, str. 25. [5] Tamże, str. 37. [6] Tamże, str. 34.

rzystna dla narodu, bo »kto wierzy, że ciągle jest otoczony duchami potężnymi i życzliwymi, będzie czuł wielki przypływ sił własnych, a będzie czuł się moralnie skrępowanym« do złego [1]. Jeszcze dlatego, że katolicy się spowiadają, a pożytki ze spowiedzi i dla narodu są niezaprzeczone. Wreszcie dlatego, że *Credo* rzymskie ma liczne zastosowania praktyczne i najlepiej odpowiada duchowi polskiemu. Jako dowód ostatniego twierdzenia przytacza L. katolicki dogmat o pochodzeniu Ducha św. od Ojca i Syna. »W pedagogice np. dogmat ten znaczy, że nie tylko uczeń od nauczyciela, ale też nauczyciel od ucznia uczyć się powinien. W małżeństwie objawia się on analogicznem żądaniem, aby nie tylko żona męża słuchała, lecz także mąż żonie ulegał, przynajmniej w tych sprawach, które do niej należą. W działalności społecznej dogmat ten pociąga za sobą uznanie, że nie tylko lud się uczy od inteligencyi, ale też inteligencya od ludu. W polityce prowadzi on do równego udziału we władzy króla z narodem« [2]. Natomiast bizantyńskie zaprzeczenie *filioque* ma sprowadzać przeciwne skutki. Po wyliczeniu tylu korzyści wiary katolickiej dla narodu polskiego, po wykazaniu odpowiedniości tej wiary dla charakteru narodowego, ku wielkiemu zdziwieniu dowiadujemy się, że Lutosławski zostawia miejsce i dla innowierców w Polsce. Mogą pozostać i inne wiary dla szlachetnego współzawodnictwa, »majątek bowiem narodu polega nie tylko na zapasach (?) (może zasobach) wytworów materyalnych, lecz i na sile oraz rozmaitości wierzeń, z których powoli wyrabia się coraz to więcej nieomylnych dogmatów« [3]. Dowiadujemy się jeszcze i tego, że ci Polacy, co przyjmują katolicyzm, mają go przyjmować krytycznie, nie ślepo, bośmy sąsiadowali z różnymi narodami (wylicza ich 16), a te narodowości przyczyniały się do wyrobienia w nas większej bezstronności i uniwersalności. Naród tak wychowany, choć lgnął do religii najpowszechniejszej — katolicyzmu, nie przyjmował jej jednak ślepo, bo do krytycyzmu skłaniała już rozmaitość obrządków, spotykanych na ziemiach Rzeczypospolitej, oraz ciągłe ocieranie się o mahometan [4].

---

[1] Tamże, str. 23. [2] Tamże, str. 39. [3] Tamże, str. 48. [4] Tamże, str. 36

Oczywiście mahometanie ani domyślają się, jak wielką przysługę nam wyświadczyli. Dzięki im nie potrzebujemy być ślepymi niewolnikami Rzymu, nasz katolicyzm rozszerzamy aż do tego stopnia, że jest w nim miejsce nawet dla tych, »co przez własne doświadczenie dochodzą do poznania Boga«. Niepotrzebnie jednak L. łagodził »krytycznością« zachętę do wytrwania w wierze katolickiej, gdyż dowody, jakie na korzyść tejże wiary przytacza, gdyby innych pobudek do wiary nie było, niewielu zdołałyby przekonać. Bo cóż to za dowody prawdziwości katolicyzmu? Czyż stąd, że Polska ma wiele do zawdzięczenia katolicyzmowi, wypływa jego prawdziwość? Czyż dlatego, że katolicyzm odpowiada charakterowi naszemu, mamy wnioskować o jego prawdziwości, lecz cóż powiedzą ci, z których charakterem nie zgadza się on? Spowiedź jest pożyteczna i tego L. wymownie i zupełnie dobrze dowodzi, »obcowanie świętych« też narodowi w niczem nie zaszkodzi, choć to już cokolwiek bałamutnie L. wyraża, — ale te rzeczy dobre są znowu nie tylko dla Polaków, ale i dla każdej innej narodowości. Czy wreszcie wielu znajdzie się ludzi, którzy dostrzegą większą praktyczność życiową dla nas Polaków w dogmacie *filioque*, niż w jego negacyi bizantyńskiej, mocno w to wątpię, i dogmat ten obrony L. nie potrzebuje, opierając się na takich podstawach, które nie jego użyteczność, ale prawdziwość udowadniają. Pocieszanie wreszcie nas przez L. tem, że różność wiar w narodzie jest kapitałem, a i dla Kościoła pożyteczną rzeczą, bo z rozmaitości wierzeń wyrabiają się dogmaty — wskazuje na pokrewieństwo myślowe L. z teoryą synkretyzmu racyonalistycznego, według której dogmaty chrześcijańskie powstały ze zlania się pierwiastków żydowskich, wschodnich, greckich i rzymskich, teoryą, która podkopuje wiarę w nadprzyrodzone pochodzenie chrześcijaństwa i, jako taka, stale przez Kościół jest potępianą.

(C. d. n.)

Ks. Jan Urban.

WAŻNE ODKRYCIE

NA POLU STAROCHRZEŚCIJAŃSKIEJ LITERATURY.

Dokończenie.

Sąd swój o pochodzeniu »ód Salomona« zamknął prof. Harnack w następującem zdaniu: Tło żydowskie, interpolacye chrześcijańskie.

Wartość pierwszej części powyższego twierdzenia, roztrząsnęliśmy w poprzednim artykule. Wypada nam z kolei zbadać podstawy, na których wspiera się druga część tezy berlińskiego uczonego i zapytać, czy to prawda, że wybitniej chrześcijańskie ustępy nowo odkrytego zabytku noszą na sobie znamię interpolacyi [1].

Interpolacya!

Radykalny ten a wygodny, iście chirurgiczny środek, odegrał, jak wiadomo, ogromną rolę w biblijnej i patrystycznej krytyce protestanckiego racyonalizmu. W imię tego wyrazu pozbyto się całego szeregu niewygodnych tekstów, z jego pomocą »odtwo-

[1] Ściśle rzecz biorąc, są to dwie kwestye odrębne, czy ody Salomona są w gruncie żydowskiego pochodzenia i czy są interpolowane przez chrześcijanina. Interpolacya bowiem zarówno jest możliwa na żydowskim, jak na chrześcijańskim podkładzie. Dla uniknięcia wszelkich metodycznych nieporozumień traktujemy drugą kwestyę zupełnie niezależnie od pierwszej, t. zn. obecnie pytamy o to jedno: czy ustępy wyłączone przez Harnacka noszą czy nie noszą cechę późniejszych wtrętów.

rzono« wiele zabytków w »pierwotnem« ich brzmieniu, na oczyszczonych w ten sposób dokumentach zbudowano całe piętra śmiałych teoryi. Jednakowoż, pomimo tych rzekomych czy rzeczywistych tryumfów, jakie święciła w krytyce teorya interpolacyi, coraz częściej pojawia się u badaczy jakieś charakterystyczne zażenowanie, gdy im przychodzi uciekać się do tego rozwiązania problemów.

Od tego zażenowania nie jest wolny i prof. Harnack w krytyce »ód Salomona«. »Dass ich mich nicht leicht zu einer Interpolationshypothese entschliesse, wissen die Fachgenossen« — tak nam zaręcza już we wstępie. I w ciągu pracy raz po raz, jakby z pewnym niepokojem, zapewnia, że tylko zmuszony oczywistością chwycił się tego tłumaczenia [1].

Czy w tej sprawie może być mowa o jakiejkolwiek oczywistości, to zobaczymy niebawem.

W naszem przekonaniu postawił Harnack tezę interpolacyi najzupełniej *gratis*, na to tylko, by za wszelką cenę odebrać naszemu zabytkowi niezaprzeczalne cechy chrześcijańskiego pochodzenia i uniknąć przez to niemiłych konsekwencyi.

Dowód tego twierdzenia rozpoczniemy od kilku uwag ogólniejszej natury.

Argumenty za interpolacyą mogą być zewnętrzne i wewnętrzne. Pierwsze polegają na różnych paleograficznych spostrzeżeniach lub kollacyonowaniu cytatów, drugie opierają się na językowych, stylistycznych, pojęciowych i innych tym podobnych różnicach, któremi wtręt późniejszy odbija od pierwotnego podkładu. W naszym wypadku, nie tylko że niema mowy o argumentach zewnętrznych, ale i z wewnętrznych cały szereg odpada. Sam Harnack bowiem kilkakrotnie, lubo niechętnie, stwierdzić musi to, co już Harris obszernie był uzasadnił, że nasze ody są

---

[1] »Die Annahme von Interpolationen ist ganz unvermeidlich, soll die Sammlung in ihrer religiösen und theologischen Haltung nicht ein potenziertes Rätsel bleiben«. Str. 77. — »Es scheint mir sicher zu sein, dass christliche Interpolationen in einem jüdischen Texte hier vorliegen, und dass man nur unter dieser Voraussetzung ein Verständniss der Oden zu gewinnen vermag«. Str. 112 w przypisku i t. d.

językowo, stylistycznie i pod względem koncepcyi ściśle jednolite[1].

A więc cóż pozostaje jako źródło argumentu za interpolacyą? Pozostaje to, czem Harnack ustawicznie operuje: badanie związku logicznego pojedyńczych zdań i wierszy. »Diese Worte durchbrechen den Zusammenhang; dieser Satz kommt, wie aus der Pistole geschossen; diese Verse sind ganz abrupt« — oto jedyne i ustawicznie powracające dowody.

Bynajmniej nie mamy zamiaru dowodom tym na ogół odmawiać wartości. Zwracamy jednak uwagę, że jeśli wewnętrzne kryterya interpolacyi są wogóle narażone na wielkie niebezpieczeństwo subjektywizmu, to niebezpieczeństwo to niesłychanie wzrasta z chwilą, gdy w jedynej i ostatniej instancyi decyduje rzekomy czy rzeczywisty brak logicznego związku. Wiadomo bowiem, jak bardzo to trudno wmyśleć się w cudzą pracę tak wiernie i tak bezstronnie, by o logicznym lub nielogicznym przebiegu myśli, nie swoim, lecz cudzym sądem rozstrzygać.

Lecz w naszym wypadku do tych ogólnych i dobrze znanych trudności dołączają się nowe, a bardzo poważne.

---

[1] W cennych tych wyznaniach, które załączamy tu *in extenso*, pojawiają się raz po raz drobne zastrzeżenia, które z umysłu podkreślamy. Że jednak przy tych zastrzeżeniach niema nigdzie ani próbki uzasadnienia, wolno nam przejść nad niemi do porządku dziennego. Oto same wyznania: »Die Einheit der Hauptmasse der Oden begründet Harris erstens durch den einheitlichen Gesamteindruck; ... In dieser Beziehung muss ich Harris Recht geben. Die Oden machen den Eindruck als seien sie in ihrer überwiegenden Masse aus einer Feder geflossen«. Str. 11, 12. »Die Einheitlichkeit der meisten Stücke ist auch mir evident«. Str. 74. »Die christlichen Interpolationen sind wesentlich im Stile der Vorlage gehalten ... und wirklich ist eine gewisse Stileinheit erreicht, die bemerkenswert ist«. Str. 77. »Die Oden sind viel einheitlicher als die älteren oder jüngeren kanonischen Psalmen. Ein Blick auf das Vokabulär bestätigt es«. Str. 106. »Der ursprüngliche Dichter und der Interpolator sind unter sich verwandt. Die Interpolationen sind z. T. im Geiste des ursprünglichen Verfassers *mutatis mutandis* gedichtet«. (Str. 111). »Im ganzen ist der starke ästhetische Eindruck, den die Sammlung hinterlässt ein einheitlicher; viel einheitlicher als der von 40 aufeinander folgenden kanonischen Psalmen«. Str. 113 i. t. d. Bardzo to cenne wyznanie, że »ody Salomona« są jednolitsze, niż kanoniczne psalmy Dawidowe! Istotnie — coby się stało z psalmami, gdyby do nich po Harnackowsku przyłożyć kryteryum »logicznego związku«!!

By wydać sąd uzasadniony o braku logicznego związku w jakimś utworze, trzeba ten utwór dobrze rozumieć. Tymczasem »ody Salomona« już z natury swej treści, a zapewne i dlatego, że nie posiadamy oryginału tylko przekład nie bardzo szczególnie zachowany, tak są ciemne, że sam Harnack przyznaje się do niezrozumienia wielu ustępów [1]. Powtóre i rodzaj literacki dzieła również nie sprzyja badaniu logicznego wątku, bo »ody Salomona«, to liryka i to liryka o bardzo wysokim nastroju. Dodajmy wreszcie, że nieznany ten autor jeszcze ponad zwykłą miarę lubuje się w śmiałych zwrotach i niespodziewanych rzutach myśli tak, że znów Harnack, co prawda w innym kontekscie, robi mu zarzut z braku logiki i skłonności do przeskoków [2].

W tych warunkach wykrycie interpolacyi jest niewątpliwie bardzo trudnem; przypatrzmy się, jak wywiązał się z tego zadania berliński uczony.

Nie chcąc nużyć czytelnika szczegółową analizą kilkudziesięciu rzekomo interpolowanych ustępów, poprzestaniemy na nielicznych przykładach. Aby nam jednak wolno było z tych przykładów wnioskować o reszcie, wybieramy te pieśni, których interpolacya, zdaniem Harnacka, ma być p e w n a i o c z y w i s t a.

Zakwestyonowane ustępy oznaczamy kursywą; po każdej pieśni dodajemy argument Harnacka i nasze uwagi.

Zaczynamy od niekompletnie zachowanej ody trzeciej.

»... przywdziewam, 2. a członki Jego są przy Nim. Do członków tych i ja należę i On mnie miłuje. 3. Bo gdyby On mnie nie miłował, nie potrafiłbym kochać Pana. 4. Któż może pojąć co to miłość, jeśli nie Umiłowany? 5. Kocham Umiłowanego i miłuje Go dusza moja 6. i przebywam tam, gdzie odpocznienie Jego. 7. Nie będę już obcym przychodniem, bo niemasz zazdrości u Najwyższego a miłosiernego Pana. 8. Złączony z Nim jestem, bo kochający znalazł Umiłowanego. 9. *Miłując Syna i sam też synem zostanę* 10. bo ten, co

[1] »Die Zahl der Stellen ist nicht gering, die ich überhaupt nicht verstanden habe«. Str. IV. Por. str. 34. 39. 42. 46. 55. 56 i t. d.

»Es finden sich auch Lücken und Auslassungen, die schwerlich erst der Übersetzer oder seine Abschreiber verschuldet haben«. Str. IV.

[2] »Das Sprunghafte und Unlogische, welches sich, wenn auch nicht sehr häufig, doch öfters findet, empfängt bei der Annahme einer semitischen Urschrift seine beste Erklärung«, Str. 105.

złączony jest z nieśmiertelnym, sam też nieśmiertelnym będzie, 11. a kto upodobał sobie życie, ten żywot posiędzie. 12. Oto Duch Pański bez omylenia, który naucza ludzi poznania dróg Bożych. 13. Bądźcie mądrymi, miejcie rozumienie i czuwajcie. Alleluja«.

W komentarzu do tej pieśni powiada Harnack co następuje: »Wiersz 10-ty łączy się ściśle z 8-ym, przechodząca bowiem z Boga na człowieka nieśmiertelność jest owocem i wyjaśnieniem zjednoczenia, o którem mowa w w. 8-ym. Ale jeśli tak jest, to wiersz 9-y jest niewątpliwie interpolacyą, za czem już sama treść tego wiersza przemawia. Poprzednio bowiem, w wierszach 2—8, z wszelką pewnością mówił poeta o zjednoczeniu z Bogiem; tutaj nagle występuje »Syn« jako przedmiot miłości i »synostwo« wchodzi w miejsce nieśmiertelności. Już zaś w ten sposób, nie tylko przerywa się wątek myśli, ale wychodzi na widownię pojęcie, które w reszcie pieśni nie da się poprzeć żadnym przykładem. Jeśli interpolacya w tem miejscu jest udowodniona — a dowód, mojem zdaniem, jest niezbity *(stringent)* — wynika stąd, że oda jest żydowska, ale poprawiana przez chrześcijanina« [1].

»Niezbity« ten argument doprawdy zdumiewa! Bo i w jakiż to sposób wiersz 10-ty ma się wiązać z 8-ym? Co może znaczyć t e n przyczynowy związek: »Złączony z Nim jestem i t. d. ... b o kto złączony jest z nieśmiertelnym, sam też nieśmiertelnym będzie«?? Że w innym zwrocie myśli m o g ł y b y być związane te dwa pojęcia — nie przeczę, ale rzeczywiście związane n i e s ą, bo sens ody, o ile niejasność pozwala na pewną interpretacyę, jest zgoła inny. Do wiersza 8-go włącznie opowiadał poeta fakt swej miłości i zjednoczenia z Bogiem. W wierszach 9. 10. 11. wylicza owoce tego zjednoczenia. Ogólnym owocem jest upodobnienie, a to upodobnienie przychodzi do skutku w trzech kierunkach: w synostwie, bo umiłowany jest Synem; w nieśmiertelności, bo jest nieśmiertelnym; w pełności życia, bo On jest żywotem. W ten sposób tworzy oda piękną, harmonijną całość. Dodajmy, że wzmianka o »synostwie« bardzo logicznie przychodzi, jako dopełnienie słów: »nie jestem już obcym przychodniem«. Jest to

[1] Tak na str. 28. Podobnie, choć nieco skromniej, na str. 79.

bowiem myśl dobrze znana w Nowym Testamencie, np.: »Nie jesteście już goście i przychodnie, ale mieszczanie i domownicy« (Ef. 2, 19), »nie niewolnicy ale synowie« (Gal. 4, 7. Rzym. 8, 15 i t. d.). Jeśli zaś Harnack twierdzi, że w wierszach 2—8 była mowa o samym Bogu, a nie o Chrystusie, i stąd wzmiankę o »Synu« uważa za nieuzasadniony przeskok — podwójnie i to grubo się myli. Najpierw, że w wierszach 2—7 a. i 8 z pewnością jest mowa o Chrystusie, bo wyraźnie, tak jak w odzie 17-ej mowa jest o ciele mistycznem, a ciało mistyczne zawsze się łączy z pojęciem Chrystusa, nie Boga. Powtóre, choćby poprzednio była mowa o Chrystusie jako Bogu, a raczej o Bogu w suppozycyi drugiej osoby Bożej, żadnym nie jest przeskokiem, gdy mowa schodzi na Syna, bo żadnej niema zmiany podmiotu. W literaturze chrześcijańskiej spotykamy tysiące przejść podobnych [1].

Tak więc, żeby pominąć cały szereg innych spostrzeżeń, za interpolacyą 9-go wiersza ody 3-ej, nie przytoczył Harnack ani cienia argumentu.

W zawiłej i bardzo niezrozumiałej odzie 7-mej kładzie Harnack na karb interpolacyi pięć wierszy, ślicznie malujących tajemnicę wcielenia.

»Jak burza gniewu spadająca na niesprawiedliwość, tak niepowstrzymanym pędem biegnie radość ku Umiłowanemu swemu i bez

[1] Musimy tu zwrócić uwagę na pewien bardzo rozpowszechniony przesąd racyonalistycznych krytyków protestanckich. Niech znajdą w jakimś starym zabytku słowa: »Bóg się wcielił«, »Bóg cierpiał«, »Bóg ukazał się na ziemi« i t. d., zaraz wyrokują, jak np. Harnack str. 34 albo Schürer l. c. III³, str. 254: »Eine modalistische oder patripassianische Christologie!« Na podstawie tego samego przesądu Harnack w niniejszej i następnych 7-mej i 31-ej odzie dopatruje się zmiany podmiotu a stąd przeskoku między wierszami 2—8 a 9. Dlaczego? Oto straciwszy zdrowe pojęcie tajemnic Trójcy i Wcielenia, nie rozumieją ci panowie, że słowo »Bóg« ma zawsze to samo znaczenie, którem orzeka się o wszystkich trzech osobach i o Chrystusie, ale różną suppozycyę. Tak np. w zdaniu: »Na początku było Słowo a Słowo było u Boga a Bogiem było Słowo« — wyraz Bóg, znacząc zawsze to samo, suponuje raz za Ojca, drugi raz za Syna. Otóż, gdzie mowa była o Bogu w suppozycyi Syna, tam niema żadnego przeskoku, jeśli zejdzie mowa na Syna lub Chrystusa, bo jeden i ten sam pozostaje podmiot. Por. Franzelin: *De Deo Trino*. Th. 3-a, n. III, 2o b.

przeszkody przynosi owoce wesela (?) 2. Weselem mojem Pan i ku Niemu biegnę; oto piękna droga moja, 3. bo ona wiedzie mnie do Pana. 4. On sam w prostocie swojej dał mi się poznać bez zazdrości, *bo dobroć Jego sprawiła, że uniżyła się Jego wielkość. 5. On stał się jak ja, abym Go przyjął; 6. On całkowicie upodobnił się do mnie, bym w Niego się przyoblekł. 7. Kiedym Go ujrzał nie zadrżałem, bo On zmiłowaniem mojem; 8. stał się mojej natury, bym Go zdołał pojąć; przybrał moją postać, bym się nie odwracał od Niego.* 9. Ojciec poznania jest słowem poznania. (?) 10. On, który stworzył mądrość, mądrzejszym jest od sług swoich« .... i t. d.

Dowód na interpolacyę powyższego ustępu przeprowadza Harnack krótko.

»Skoro wiersz 9-y łączy się dobrze z wierszem 4 a, a nie zawiera nic specyficznie chrześcijańskiego, niepodobna wątpić, że wiersze 4 b—8 są interpolacyą«. Na zapytanie w jaki to sposób wiersz 4 a »dobrze« się łączy z 9-ym — odpowiada gdzieindziej: »Wyrażenie jest nieco ciemne, ale myśl jest ta, że Bóg dając się poznać (w. 4 a) rodzi poznanie przez Słowo« [1].

Dziwna doprawdy logika! »Wiersz 9-y może się łączyć z 4 a, a nie zawiera nic chrześcijańskiego, a więc trzeba go połączyć«!!! Czy tu nie leży, jak na dłoni, z góry powzięte uprzedzenie, że co specyficznie chrześcijańskie, to nie może być pierwotne? A zresztą jakież to połączenie? Cóż wogóle znaczy wiersz 9-y? Czy nie dużo piękniej i naturalniej łączy się 4 a z 4 b i nn.? Oda jest bez kwestyi ciemna i prawdopodobnie źle zachowana. Wystarczy jednak wczytać się w tekst, by przekonać się, że poprawka proponowana przez Harnacka doprawdy zaciemnia resztę możliwego sensu.

W odzie 31-ej bardzo przeważna część ma być naleciałością późniejszą.

»Przepaści zburzone zostały przed Panem, a spojrzenie Jego zniweczyło ciemności. 2. Fałsz przezeń pobłądził i zginął, prawda Pańska zapanowała nad bezdrożami głupoty. *3. Pan otwarł usta opowiadając dobroć i wesele i rozpoczął pieśń nową na uwielbienie imienia swego 4. i podniósł głos do Najwyższego oddając Mu za syny tych, co w ręku Jego byli. 5. Osoba Jego uznana została za sprawiedliwą, bo to otrzymał w darze od swego świętego Rodzica.*

[1] Tak na str. 83 i 34.

6. Wynijdźcie utrapieni, weźmijcie wesele, za łaską Jego posiądźcie dziedzictwem dusze wasze i odzierżcie żywot nieśmiertelny. 7. I kiedym stanął przed nimi, choć nigdy nie dopuściłem się żadnej winy, uznano Mnie winnym i jak zdobycz rozdzielono sobie moje mienie, choć im nic nie byłem dłużny. 8. A Ja cierpiałem w milczeniu i spokoju, jakby Mnie żadna nie spotykała krzywda 9. i stałem niewzruszony, jak nieugięta skała, co nie cofa się chociaż chłostają ją fale. 10. I gorycz ich zniosłem w pokorze, 11. by zbawić mój lud i posiąść go dziedzictwem i spełnić obietnice odkupienia, które dałem był praojcom i ich nasieniu. Alleluja«.

Cały argument Harnacka znów polega na tem, że w wierszach 1. 2. »Pan« oznacza Boga samego, w wierszu 3-cim i nn. Syna Bożego [1].

Co sądzić o takim sposobie dowodzenia, to nam już wiadomo, dlatego nad tą odą nie zatrzymuję się już dłużej. Zwracam tylko uwagę, że wiersze 1-y i 2-gi prześlicznie łączą się z następnymi. Zawierają one bowiem wspaniały obraz, który tworzy majestatyczny wstęp do następującego w dalszym ciągu hymnu o dokonanem przez Chrystusa dziele zbawienia. Że między wierszami 6-ym a 7-ym czegoś brakuje, to widoczne. Może zresztą mamy do czynienia z kompilacyą. Interpolacyi wszakże niczem udowodnić niepodobna.

Za jeden jeszcze przykład niech posłuży bardzo ciemna i trudna, zapewne znowu w usta Chrystusa włożona oda 36-a:

»Spocząłem na Duchu Bożym a on uniósł mnie w górę 2. i postawił mnie na nogi na wyżynie Pańskiej przed wielkością Jego i majestatem, podczas gdy ja nuciłem Mu dźwięczną pieśń Jego, pieśń uwielbienia. *3. Duch mnie zrodził przed obliczem Bożem i mimo że byłem człowiekiem, nazwany jestem światłością i synem Bożym, 4. gdy wielbiłem Go z wielbiącymi i wielki byłem pośród możnych. (?)* 5. Bo uczynił mnie Duch wedle miary wielkości Najwyższego i odnowił mnie według nowości Jego. I namaścił mnie Bóg ze swej doskonałości 6. i stałem się jednym z blizkich Jemu. Usta moje otwarły się jak (dobroczynna) chmura rosę dająca, 7. a z serca mego wytrysnął niepowstrzymany zdrój sprawiedliwości; 8. około mnie zagościł pokój i zostałem utwierdzony przez kierownictwo Ducha Jego. Alleluja«.

»Że wiersz 3-ci« — mówi o tej pieśni Harnack — »jest wtrętem zupełnie nieodpowiednim, to jasno pokazuje kontekst. Wiersz

[1] Tak na str. 63, 80, 84.

ten nie nadaje się zgoła do wątku myśli, a interpolator, lubo bardzo niezręcznie, starał się zatuszować swoją robotę, naśladując w wierszu 4-ym zakończenie 3-go. Coprawda i wiersz 4-y do 3-go tak źle przystaje, że może, zamiast wiersza 3-go, jakiegoś innego zdania w oryginale domyślać się trzeba. Jakkolwiekbądź, wiersz 3-ci w każdym razie wyrzucić należy, a wiersz 5-ty nie najgorzej harmonizuje się z 2-im«[1].

O dokładne wyjaśnienie wątku myśli nie chcemy się kusić, bo oda najwidoczniej jest ciemna, a może uszkodzona przez jakieś luki lub błędy. Konstatujemy tylko po pierwsze, że w tego rodzaju utworze nie można rozumnie argumentować z braku logicznego związku, na tej samej zasadzie bowiem dałby się wyłamać niemal każdy wiersz z osobna; powtóre, że nawet po wyrzuceniu wiersza 3-go i 4-go oda nie zyskuje na sensie, owszem traci, bo jeśli jest jakkolwiek zrozumiała w ustach Chrystusa, to jest całkiem niezrozumiała w ustach żydowskiego pieśniarza; po trzecie, rzekomy interpolator, któremu sam Harnack nie odmawia wielkiej zręczności, w tym wypadku musiałby się był dopuścić zupełnego nonsensu. Bo czemu interpolować wiersz 3-ci? Czemu tu a nie gdzieindziej? Czemu tak niejasno? Co chciał osiągnąć przez ten dodatek? A przeciwnie, wmyślając się w tę pieśń jako zepsutą może, ale jednolitą, odkrywa się powoli zarysy bardzo częstego w »odach Salomona« tematu, mianowicie jakiegoś hymnu radości zmartwychwstałego, czy też wstępującego w niebo Chrystusa[2].

Lecz dosyć już tych przykładów na to, by wolno nam było wyciągnąć z nich zupełnie stanowczą konkluzyę: Faktu interpolacyi »ód Salomona« tak samo nie udowodnił Harnack, jak faktu żydowskiego pochodzenia oryginału[3].

---

[1] Tak na str. 80. 81. 66.

[2] Porównaj ody: 10, 17, 28. 33, 9, i nn., 42.

[3] By słabym swoim argumentom dodać siły, insynuuje Harnack na str. 77, że interpolacya dzieł żydowskich przez chrześcijan była bardzo częstem zjawiskiem. Jako klasyczny przykład tego podaje »Testamenty 12 patryarchów« i Apokalipsę św. Jana. Wszelako interpolacya pierwszego z tych dzieł jest bardzo wątpliwa, a drugiego, na pewno nie rzeczywista. Stąd łatwo

Nietylko jednak nie udowodnił. Zapatrzony w tezę, którą chciał *per fas et nefas* uzasadnić, przeoczył to, co Harris uważał za całkiem jasne, co i nam wydaje się niemal oczywistem, że z wyjątkiem może kilku pieśni[1], całość »ód Salomona« jest chrześcijańska, nawet w tych ustępach, które nie zdradzają konkretnie chrześcijańskich pierwiastków.

Dla poparcia tego twierdzenia nie chcę kłaść nacisku na tę tylokrotnie stwierdzoną przez Harnacka jednolitość języka, stylu, koncepcyi całej, jednolitość, w której nie stanowią wyjątku ustępy na pewno chrześcijańskie. Pomijam i fakt, że w większości pieśni, o ile niejasność pozwoli na wykrycie logicznego wątku, chrześcijańskie pierwiastki splatają się z resztą w piękną, harmonijną całość. Pomijam głęboką, bez śladu formalistyki żydowskiej wewnętrzność pojęć religijnych, tchnących duchem nowego, nie starego zakonu[2].

Są ponad te inne jeszcze cechy chrześcijańskiego pochodzenia naszych pieśni.

I tak, nigdzie zgoła nie spotykamy nuty messyańskiego oczekiwania, nieodłącznej od ówczesnej poezyi religijnej Żydów, nigdzie nie dźwięczy ta dobrze znana nam struna smutku nad obecnym upadkiem i uciskiem, wraz z tęsknotą do przyszłego wybawienia[3]. A przeciwnie każda nieomal oda rozbrzmiewa potężnym hymnem radości z odkupienia już dokonanego, którego owoce opisuje:

---

ocenić wartość następującego zdania: »Justin wirft den Juden Abstriche vor, aber es handelt sich in Wahrheit in der Regel um christliche Zusätze«.

[1] Mogłyby może być żydowskie ody 5, 14, 16, 18, 26. Wydaje mi się to jednak bardzo nieprawdopodobnem, bo zbyt wyraźna jest jednolitość stylu i koncepcyi.

[2] Jako przykłady tej wewnętrzności podajemy np. następujące wiersze: »Ofiarą Panu jest sprawiedliwość i czystość tak serca, jak warg«. 20, 3. »Jedna godzina wiary więcej warta, niż wszystkie dni i godziny«. 4, 6. »Gdzie czyste serce, tam niema obrażenia na drodze, i niema ran, gdzie proste myśli i niema burzy, gdzie światło (Boże) świeci w sercu« 34, 1—3. »Mieszkaniem Słowa jest człowiek, a prawdą Jego jest miłość«. 12, 11 i t. d.

[3] W sierpniowym zeszycie *Stimmen aus Maria-Laach* str. 233, po przychylnej wzmiance o poprzednim artykule moim, powiada autor, co następuje o braku messyańskich pierwiastków w »odach Salomona«: »Man darf

»Okazała się łaska dla zbawienia waszego: wierzcie, żyjcie i pozwólcie się zbawić«; 34. 6. »Otwórzcie serca na przyjęcie Pana z weselem; powstańcie, którzyście byli pochyleni, bo Pan stał się pomocą waszą« 8, 1. 4. 7. »Żyjemy w Panu przez łaskę Jego, i dostajemy żywot w Chrystusie Jego, bo wielki dzień zaświtał nam i przedziwny jest Ten, który udzielił nam ze swej wielmożności« 41, 3. 4. — to są tony i motywa, które w »odach Salomona« po prostu dominują.

Oto kilka przykładów owych akcentów radości i tryumfu.

W odzie 30-ej tak zaprasza poeta do korzystania z owoców odkupienia:

»Napełniajcie się wodą z żywego zdroju Pana, bo wam stoi on otworem; przyjdźcie spragnieni i bierzcie napój orzeźwienia ze źródła Pańskiego, bo ono piękne i czyste i ożywia duszę, a woda jego słodsza nad miód i nie da się do niej przyrównać plastr modu. Bo popłynęła ona z ust Pańskich i w sercu Pana początek jej umienia. Cicho i niewidzialnie biegł strumień tej wody i nie znał go nikt aż danym został światu. Błogosławieni wszyscy, co pili z tej wody i w niej znaleźli orzeźwienie. Alleluja«.

W odzie 40-ej do nikogo pieśniarz nie przemawia, lecz wolny bieg zostawia wylewom własnego serca:

»Jak z plastru miodu patoka, jak mleko z piersi niewiasty miłującej swe dzieci, tak płynie nadzieja moja ku tobie Boże! Jak ze źródła wylewają się wody, tak tryska ze serca mego uwielbienie Pana a wargi moje oddają Mu chwałę i język mój brzmi hymnem pochwalnym. Oblicze moje rozpromienione weselem i duch mój rozpływa się w Jego miłości; dusza moja w Nim jest jasnością i bojaźń w Nim

---

der Tatsache dass der jüdische Dichter, wie er jetzt vor uns erscheint, keine Messiaserwartung kennt wenig Bedeutung beilegen. Lag doch dem christlichen Bearbeiter nichts näher, als solche Stellen, welche auf einen zukünftigen Messias anspielten, auszulassen oder umzuändern«. Niepodobna mi tej myśli uważać za trafną. Choćbyśmy bowiem przypuścili, co nieprawdopodobna, że w pierwotnych odach występował messyanizm w formie oderwanych zdań, które bez szkody całości dadzą się usunąć lub przerobić, wobec naszych ód i tak nie da się utrzymać to przypuszczenie. W naszych odach bowiem nie tylko negatywnie brak messyanistycznych pierwiastków, ale pozytywnie mnóstwo jest wskazówek, że dla autora zbawienie jest faktem dokonanym. A wskazówki te nie są jakby oderwane i luźnie przyczepione, ale ściśle związane z całością i całym jej charakterem. Nie tylko więc trzebaby było usunąć przypuszczalny messyanizm, ale rzecz całą z gruntu przerobić.

pełna ufności, bo mocne jest odkupienie Jego, bo owocem jego jest żywot wiekuisty a goście (?) (dary) Jego nieśmiertelnej natury. Alleluja«.

W innym szeregu pieśni brzmi hymn tryumfalny na dzieło odkupienia, włożony najwyraźniej w usta samego Chrystusa.

»Otwarłem drzwi zamknione i skruszyłem żelazne zawory ... i nic nie było mi zamknięte, bom Ja był wszystkiego drzwiami. ... I poszedłem do więźniów moich, by ich uwolnić... I dałem im poznanie moje bez zazdrości i w miłości mojej modlitwę moją. I posiałem na ich sercach owoce moje i przemieniłem ich w Siebie i wzięli błogosławieństwo moje i zostali zbawieni, bo oni stali mi się członkami a Ja głową«. I kończy od siebie poeta: »Chwała Ci głowo nasza, Panie nasz Chryste! Alleluja«. 17, 8—15.

»Stałem się mocnym i potężnym i podbiłem świat. Przeze mnie się to stało na chwałę Najwyższego i Boga, mojego Ojca. Rozproszone narody zostały zebrane w jedno ... i rzuciłem na ich serca promienie mego światła, a oni chodzili w mem życiu i zostali odkupieni i stali się mym ludem na wieki. Alleluja«. 10, 4—8.

Tutaj też należy, cytowana w poprzednim artykule oda 31-a i 42-a. Nie można więc wątpić, że dla naszego autora odkupienie jest faktem dokonanym, co zresztą nie uszło i uwagi Harnacka.

Lecz prócz tego dowodu inny jeszcze, bardzo poważny argument przemawia za chrześcijańskiem pochodzeniem całości.

Oto całe ody są po prostu pełne św. Pawła i św. Jana[1]. Formalnego cytatu przytoczyć nie można, ale ustawicznie powracają pojęcia, obrazy, wyrażenia tym dwom świętym pisarzom właściwe, ustawicznie pojawiają się alluzye do ich tekstów tak liczne i niedwuznaczne, że bardzo trudno położyć te podobieństwa na karb przypadku.

I tak, łaska Boża albo wprost Duch św. występuje co chwila jako »żywa woda, płynąca ze źródeł Pańskich«. 4, 10. 6, 7—13, 17. 11, 6. 7. 30, 1 i nn. Por. Jan. 4, 10 i nn. 7, 38. Apoc. 21. 6. 22, 17 i t. d. Chrystus jest głową, a wierni jego członkami. 3, 2. 17, 14. Por. św. Pawła passim. Często powraca wzmianka

[1] Mówię tylko o alluzyach do św. Jana i św. Pawła. Bardzo prawdopodobnie jednak jest kilka alluzyi do ew. św. Mateusza. Por. 22, 12. — Mat. 16, 18.; 24, 1. — Mat. 3, 16. 17.; 31, 6 — Mat. 11, 28.; 39. 8 i nn. — Mat. 14, 22 nn.

o przyoblekaniu się w Chrystusa, w łaskę, w dobroć nowego człowieka i t. d. 7, 6. 13, 2. 15, 8. 20, 7. 21, 2. 33, 10. 39, 7. Por. Rzym. 13, 14. Gal. 3, 27. Kol. 3, 10 i t. d. Obrzezanie serca zachodzi w odzie 11, 1. 2. 3. Por. Rzym. 2, 29. Kol. 2, 11 i Żyd. 4, 12. Duchowną pieczęć Bożą znajdujemy w odach 4, 8. 8, 16. Por. 2. Kor. 1, 22. Ef. 1, 13 i t. d. Niejednokrotnie jest mowa o Słowie Bożem z wyraźnem znaczeniem Bożej Osoby 7, 9. 12, 5 i nn. 41, 11. 15. Por. Jan. 1, 1. Jana 1, 1. Apoc. 19, 13 i t. d. Wierni są sadzeniem Bożem 38, 17 i nn. 11, 8 i t. d. Por. Jan 15, 1 i nn. 1. Kor. 3, 9 i t. d. Ustawicznie się powtarzają, jak u śś. Jana i Pawła symbole światła i ciemności na wyrażenie łaski i grzechu, ustawicznie zachodzą tak, że całemu zbiorowi pieśni aż barwę osobną nadają, pojęcia łaski, pokoju, żywota wiecznego, prawdy, wiary, życia, a nadewszystko miłości.

Lecz oto kilka próbek wybitnych, niezaprzeczalnych podobieństw.

W odzie 3, 3. czytamy: »Nie umiałbym Pana miłować, gdyby On mnie nie umiłował«; w pierwszym liście św. Jana: »Nie jakobyśmy umiłowali Boga, ale iż On pierwszy umiłował nas« 4, 10. W odzie 10, 4. Chrystus mówi: »Ja podbiłem świat«; u św. Jana: »Jam zwyciężył świat«. 16, 33. O kilka wierszy dalej przedstawia Chrystus jako owoc dzieła odkupienia, że »zebrał w jedno rozproszone narody« 10, 6. U św. Jana 11, 52 powiedziano, że Chrystus miał umrzeć, »by syny Boże, którzy byli rozproszeni, zgromadził w jedno«. Por. Jan. 10, 16. W odzie 7, 14 czytamy, że Bóg »pozwolił Synowi objawić się tym, co byli jego własnością«; u św. Jana 1, 11. »Przyszedł do własności, a swoi go nie przyjęli« 11, 20. »Wiele jest miejsca w twym raju«. Jan 14, 2. »W domu Ojca mego jest mieszkania wiele«. 41, 16. »Chrystus był znany przed założeniem świata«. Jan 17, 3. »Wsław Mnie Ojcze chwałą, którąm miał u Ciebie pierwej niźli świat był«. 18, 6. »Ciemność niema zwyciężyć światła«. Jan. 1, 5. »Światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły«. 19, 12. »Zwycięzcy zapisani będą w księdze«. Apoc. 3, 5. »Kto zwycięży, nie wymażę imienia jego z ksiąg żywota« 21, 2. »Złożyłem ciemności, a przyoblekłem się w światło«. 1. Jana. 2, 8. »Ciemności przeminęły a prawdziwa

światłość już świeci«. Por. Ef. 5, 8. 1. Tess. 5, 5. 1. Piotr 2, 9 i t. d. i t. d.

Nie chcę już nużyć czytelnika zestawieniami, których liczbę dałoby się jeszcze bardzo pomnożyć.

Cóż Harnack na te uderzające podobieństwa?

Pierwsza odpowiedź jego brzmi, że »interpolator« prawie na pewno znał św. Jana a może i św. Pawła[1]. Tłumaczenie to jednak nie wystarcza wobec tego prostego spostrzeżenia, że podobieństwa i alluzye znachodzą się i w tych ustępach, których żadnym sposobem nie można uważać za interpolacyę. Czyż więc znał św. Jana i »żydowski« autor pierwotnego oryginału? To już brzmi całkiem nieprawdopodobnie, więc zamiast tego ucieka się Harnack do innego przypuszczenia. Wyraźne pokrewieństwo duchowe św. Jana i autora »ód Salomona« ma się tłumaczyć wspólnem źródłem ich pojęć religijnych.

Oto w pierwszym wieku przed Chrystusem i w pierwszym po Chr. istnieć musiała w Palestynie żydowska szkoła religijno-filozoficzna, która nie dotknięta wpływem helenizmu lubo doń zbliżona i wolna od izraelskiego messyanizmu, wewnętrzną ewolucyą pojęć teologicznych Starego Zakonu wzbiła się na wyżyny ogromnego indywidualizmu i spirytualizmu graniczącego z wysoką mistyką. W tej szkole miały się wytworzyć pojęcia i wyrażenia: prawdy, światła, pokoju, wody żywej, wiary, miłości, żywota i t. d., słowem pojęcia, które dotąd uchodziły za specyficznie chrześcijańskie przez śś. Jana i Pawła stworzone.

Do grupy owych mistyków należy tak zwany »Jan«, czyli dokładniej: autor czwartej ewangelii; jej członkiem jest również autor »ód Salomona«. Obydwaj więc, jak barwnie powiada Harnack, z jednego kamieniołomu dobywają głazy na swą budowę. Różnią się jednak w jednym zasadniczym punkcie. Oto »Jan« nawróciwszy się na wiarę chrześcijańską, w tę religię światła,

---

[1] »Man muss fragen ob (der christliche Interpolator) nicht das Johanesevangelium gekannt hat. Namentlich nach der 41 Ode ist mir das recht wahrscheinlich; ich zögere nur zu behaupten dass es gewiss sei. Bekanntschaft mit Paulus ist noch weniger sicher, aber auch nicht als unwarscheinlich zu bezeichnen«. Str. 110.

miłości i życia wprowadził synoptycznego Chrystusa, zrobił go jej punktem centralnym; autor »ód Salomona«, przechował nam wierzenia tej szkoły jeszcze bez chrystyanizmu, a więc w pierwotnej ich formie [1].

Lecz cóż się stało? Oto ody te wpadły do ręki chrześcijanina, adepta niegdyś tej samej szkoły, owszem duchowego brata [2] tak »Jana« jak autora Salomonowych pieśni. Chrześcijanin ten postanowił za wzorem »Jana« również wnieść Chrystusa w kompleks religijno-filozoficznych swych pojęć. I wniósł go, ale wniósł

---

[1] Nie mogę sobie odmówić przyjemności zacytowania słów samego Harnacka. Wobec tych zamków, budowanych nie na lodzie, ale po prostu na powietrzu, człowiek się pyta ze zdumieniem, czy to naukowa krytyka, czy, jak dobrze ktoś powiedział, »naukowe kuglarstwo«. »Wir lernen aus den Oden, dass es auch in Palästina ein religiös sehr hoch stehendes Judentum... einen Kreis von Mystikern gegeben hat, die vom messianischen Gedanken kaum berührt in den religiösen Erfahrungen und Ideen lebten, die die Grundlage der johanneischen Theologie bilden. ... (Demnach) sind die Conceptionen von Licht, Wahrheit, Leben ... bis zu Formulierungen hin, die als Eigentum des »Johannes« bzw. auch des Apostels Paulus gelten und daher als Erzeugnisse des Geistes Christi erschienen, nicht christlich sondern bereits vorchristlich. ... Die »Tat« des »Johannes«, die sich aber auch ganz wesentlich hierin erschöpft, war, sie mit Jesus Christus zu verknüpfen. ... »Johannes« hat den synoptischen Christus mit dieser Religion von Licht, Liebe, Leben verschmolzen und sie in ihm begründet ... oder vielmehr er hat Christus als die persönliche Verkörperung und einzige Quelle (dieser Religion) aufzufassen gelehrt: Christus ist das Licht, Christus ist das Leben. ... Der »Johannes« mag (eben) bevor er Christ wurde, bereits ein jüdischer Mystiker gewesen sein, wie der Verfasser unserer Oden. ... Dieser Verfasser (aber), wenn er auch zu einem Teil mit demselben Begriffsmaterial arbeitet (Man hat hier den Steinbruch vor sich, aus dem johanneische Quadern gehauen sind) hat mit Jesus Christus gar nichts zu tun ... Wie ist nun der Interpolator verfahren? ... Er hat Christus in die Oden hineingesetzt, (er hat dasselbe gemacht), was »Johannes«, nicht durch dieses mechanische Mittel, sondern durch eine einheitliche Conception und daher in viel höherem Maasse erreicht«. Te twierdzenia rozrzucone są na stronach v, 99, 106, 107, 111, 118, 119, 120.

[2] »Auf alle Fälle ist der Interpolator ein, wenn auch unbedeuten derer Zwillingsbruder des »Johannes«. ... Sind aber der ursprüngliche Dichter und der Interpolator dem Verfasser des vierten Evangelium verwandt, so sind sie auch unter sich verwandt. ... Dies macht es aber auch wahrscheinlich dass der Interpolator räumlich dem Kreise nicht ferngestanden hat, dem die ursprünglichen Oden angehören«. Str. 111.

mechaniczniej, bo drogą interpolacyi cudzego dzieła, podczas gdy »Jan« dokonał tego w sposób głębszy i pełniejszy, bo drogą kreacyi całej czwartej ewangelii.

Oto według Harnacka, całkowite tłumaczenie zaznaczonych powyżej podobieństw.

I cóż powiedzieć o całej tej sztucznej konstrukcyi?

Doprawdy *difficile est satyram non scribere!* Ciśnie się pod pióro satyra i to nie tylko na to konkretne tłumaczenie, ale na całą metodę tej »uczonej« krytyki racyonalistycznej, której typowy przykład mamy przed sobą. Bo proszę tylko wpatrzeć się w wiązania tej skomplikowanej teoryi i zdać sobie sprawę, na czem ona się opiera!

Ni stąd ni zowąd wypływa jakaś szkoła żydowska religijno-filozoficzna, o której nikt nigdy nie słyszał, która żadnego po sobie nie zostawiła śladu. Szkoła ta nagle zaczyna być tak dobrze znana, że w formie tezy, nie hipotezy, charakteryzuje się jej naukę [1], wpływy, które na nią działały, różne punkta jej psychologii. Do tej szkoły zalicza się autora czwartej ewangelii i znów opowiada się dokładnie, co on, po nawróceniu swem na chrześcijaństwo, do pojęć tej szkoły dodał, co w nich zmienił, jaką całość stworzył; z równą dokładnością opisuje się pochodzenie, przekonania, zdolności poetyczne i t. d. rzekomego interpolatora, a na tem wszystkiem wreszcie, jak zobaczymy niżej, buduje się dalsze teorye, dotyczące ogólniejszej kwestyi początku i rozwoju katolicyzmu.

I na czemże się wspiera cała ta budowa? Na jednych jedy-

[1] Mimochodem zwracam uwagę na niedorzeczną prawdziwie płytkość zdania, że ta szkoła operowała pojęciami: światła, prawdy, miłości, żywota wiecznego i t. p. Cóż to znaczy? Wszak te pojęcia dawno już były znane, ale one nie mogą wypełnić żadnego religijnego *credo*, póki się im nie da treści, póki się pod nie nie podstawi jakiejś wartości. U św. Jana mają treść i wartość, bo jak słusznie Harnack mówi, odnoszą się wszystkie do Chrystusa Pana i dokonanego przezeń dzieła odkupienia. Ale cóż za treść miały w owej przedchrześcijańskiej szkole mistyków żydowskich? W jakim to sensie można było powiedzieć bez Chrystusa, że »otwarły się zdroje wody żywej i światła, które jak powódź rozlewają się po ziemi, krzepiąc, oświecając, niosąc życie i wesele«?

nych »odach Salomona« i źle mówię: na odach; jedyną podstawą tych konstrukcyi są wyżej roztrząsane przez nas dowody na istnienie interpolacyi chrześcijańskiej w żydowskim oryginale!! Zaprawdę, że jeśli gdzie to tutaj mamy do czynienia z krytyką twórczą!

Otóż nas nie stać na tak śmiałe teorye. Dopóki ktoś silniejszych argumentów nie wynajdzie, w »odach Salomona« będziemy widzieć dzieło jednego autora i to chrześcijanina obznajomionego z teologią śś. Pawła i Jana. Ten rezultat jest może mniej błyskotliwy, ale na lepszych oparty podstawach.

Lecz jakie ramy miejsca i czasu zakreślić naszemu pieśniarzowi?

Ostrożność każe poprzestać na samych domysłach.

Wiemy, że świadek z wieku trzeciego, Πίστις Σοφία, uważa »ody Salomona« za pismo święte. A zatem datę ich powstania trzeba cofnąć tak daleko, by błędne pojęcie o ich boskim początku miało czas przyjąć się i rozpowszechnić. Na to wystarcza, jak nas poucza historya τῆς Διδαχῆς i t. zw. listu Barnaby, ale bez wątpienia i potrzeba — lat kilkadziesiąt. Z tej strony więc ostateczny termin możliwości powstania naszych pieśni byłby mniej więcej rok 200 po Chrystusie.

Są jednak racye, które każą cofnąć tę datę.

I tak, uderza w odach świeżość i jakby blizkość dzieła odkupienia. Powtóre, co już zauważył Harris, chrześcijaństwo autora jest jeszcze jakby przesycone atmosferą żydowską i Pismem św. Starego Zakonu, nawet formą literacką psalmów. Już zaś tego nie spotykamy, tylko w bardzo starych pismach chrześcijańskich, pochodzących z czasu, w którym Nowy Zakon nie był jeszcze wyrobił własnej atmosfery i własnego typu. Po trzecie wreszcie, zastanawia w odach jakaś, przypominająca Pismo św., głębokość przy wielkiej prostocie i powadze. Niema w nich ani śladu tej sztucznej allegoryzacyi, jakiej pełny jest t. zw. list Barnaby, albo i t. zw. drugi list Klemensa.

Gdy rozbieramy te i inne jeszcze cechy i wczytujemy się głęboko w te dziwne, czasem tajemnicze pieśni — niepodobna nam

zrozumieć ich autora po roku 150, a chętnie cofnęlibyśmy go o 50 i 70 lat wcześniej.

A gdzie go umieścić?

Być może, że to mylne przeczucie, ale trudno nam pomyśleć go gdzieindziej, jak tam, gdzie u stóp św. Jana siedzieli wielki Polikarp i tajemniczy alegorysta Papiasz z Hierapolis, gdzie brzmiała codziennie słodka mowa miłości tego ucznia, którego ukochał był Jezus, gdzie uchylał się rąbek wielkich tajemnic Apokalipsy, gdzie dźwigały serca w górę orle loty autora czwartej ewangelii, gdzie może i św. Ignacy męczennik uczył się wzniosłej swej mistyki i rozpalał swe serce płomienną miłością.

Jak świadczy Διδαχή i jak wyraźnie wspomina Euzebiusz [1], w pokoleniu bezpośrednio następującem po apostołach żywy był jeszcze charyzmat natchnienia religijnego, który tryskał często »w psalmiech i śpiewaniach duchownych«, wielbiących bóstwo Chrystusowe, a niezawodnie i dokonane przezeń dzieło odkupienia. Wydaje nam się, że »ody Salomona« wyśpiewał tego rodzaju natchniony poeta, z koła uczniów Janowych pochodzący, narodowością, jak na to wskazują językowe poszlaki, żyd, a w każdym razie semita.

Żeby sam autor chciał się podszywać pod imię wielkiego króla Izraela nie wydaje się nam prawdopodobnem. Pseudoepigrafy nie zwykły nosić charakteru takiej przejrzystej pogody. Skąd zaś nazwa »ód Salomona« — na to wiele jest możliwych tłumaczeń. Może je wpisano w jeden kodeks z t. zw. psalmami Salomona i stąd przywarła im nazwa. Może im dano ten tytuł na podstawie samego podobieństwa do ksiąg Salomonowych, tak, jak zdaniem św. Augustyna [2], dano go kanonicznej księdze Mądrości. Może, znaleziony przypadkiem zbiór pieśni wzięto mylnie za szczątek tych 5000 »ód Salomona«, o których opowiadają Księgi Królewskie [3]. Nic pewnego w tej kwestyi powiedzieć nie możemy.

Jak zaś wytłumaczyć dziwne milczenie o zabytku naszym

---

[1] Hist. eccl. III. 37. Migne. ser. gr. t. 20. col. 292 i n.

[2] De doctr. Chr. 2. VIII. 13. Migne ser. lat. t. 34. ed. 41.

[3] Ἦσαν ᾠδαὶ Σαλωμὼν πεντακις χίλιαι. 3. Reg. 4, 32.

literatury starochrześcijańskiej, i na to można dać kilka prawdopodobnych odpowiedzi.

Wiemy, że heretycy zwalczający bóstwo Chrystusowe, po prostu tępili przeciwne swym błędom stare pieśni kościelne. Świadczy o tem wyraźnie list synodalny w r. 269 do papieża Dyonizego wysłany przez biskupów zebranych w Antyochii dla osądzenia Pawła z Samosaty [1]. Wiemy też, że niektóre synody prowincyonalne np. Laodycejski (343—381?), zapewne dla usunięcia z Kościoła pieśni niekatolickich lub zbyt dziwacznych, zakazywały publicznego odmawiania psalmów z Pisma św. nie wyjętych [2].

Być więc bardzo może, że nasze ody uległy jednemu lub drugiemu prześladowaniu. Nie jest też nieprawdopodobnem, że dla mistycznego ich charakteru zawczasu przyswoił je sobie gnostycyzm, przez co stracić musiały na reputacyi u wiernych.

Wszystko to jednak obraca się w sferze hipotezy, która nigdy może nie dojdzie do ostatecznego, naukowego wyjaśnienia. Z nieco większą pewnością możemy dodać słów kilka o doniosłości »ód Salomona« dla różnych zagadnień dotyczących początków chrześcijaństwa.

Doniosłość tę Harnack niewątpliwie egzageruje, a dlaczego — to łatwo zrozumieć.

Odmawiając historycznej wartości ewangelii św. Jana, a przyjmując jedynie okrojone i silnie »oczyszczone« ewangelie synoptyczne, musiał Harnack stawać nieraz wobec problemu: skąd się wzięła ta potężna i niezaprzeczenie wspaniała kreacya, jaką jest »Janowy« Chrystus i cała »Janowa« teologia. Problem ten rozwiązywał on dotąd w ten sposób, że czwarta ewangelia jest wytworem tego światła i ciepła, jakie w świat wniosła »dobra nowina« chrystyanizmu. Była to jakaś odpowiedź ale słaba, bo mimo to ogromna pozostawała przepaść między synoptycznym Chrystusem, jakim go Harnack z okrojonych ewangelii maluje, a mię-

[1] »Quin etiam psalmos in honorem Domini Iesu Christi cani solitos quasi novellos et a recentioribus hominibus compositos abolevit«. Hist. eccl. VII. 30. Migne l. c. col. 714.

[2] Canon 59. Ὅτι οὐ δεῖ ἰδιωτικοὺς ψαλμοὺς λέγεσθαι ἐν τῇ ἐκκλησίᾳ ... — *Histoire des conciles.* Hefele-Leclercq. T. 1, str. 1025.

dzy Chrystusem Janowym. Bardzo więc pożądane było inne, pełniejsze tłumaczenie.

I oto nagle zjawiają się na widowni »ody Salomona«, a w nich, jak to widzieliśmy wyżej, zdumiewającem jasnowidzeniem zaczyna Harnack odkrywać istnienie żydowskiej szkoły religijnej, operującej kompleksem pojęć Janowych! Czy wobec tego można się dziwić, że berliński uczony wykrzykuje z entuzyazmem: »Kann uns eine ersehntere, wichtigere Kunde überhaupt gebracht werden?« [1] Odkrycie tych pieśni, powiada kilkakrotnie, ma dla nauki »epokowe« znaczenie; jedyny ten w swoim rodzaju dokument »ist eine der bedeutendsten Vorstufen des Urchristentums« [2]. Wydaje mu się, że »problem« czwartej ewangelii definitywnie rozwiązany, że zatem wykryte są źródła ogromnej części wierzeń katolickiego Kościoła. Trzeźwy, prosty, »historyczny« Chrystus synoptyków *plus* mistyka żydowska w rodzaju »ód Salomona« — oto geneza historyczna wiary w bóstwo Chrystusowe i we wszystko, co zeń wypływa. Dodać do tego różne greckie i rzymskie wpływy, dodać wielowiekową ewolucyę wewnętrzną, a otrzymamy pełną historyę katolicyzmu. Zaprawdę wielkie odkrycia; szczęściem, że to tylko próżne suggestye tej latarni magicznej, jaką jest »krytyczna wyobraźnia« racyonalistycznych badaczy.

Z tego jednak, że Harnack znaczenie »ód Salomona« przesadził, nie wypływa bynajmniej, by one i dla nas nie miały doniosłości.

Przedewszystkiem, o ile nie pomyliliśmy się w krytyce zabytku, znajdujemy w odach cenne świadectwa dogmatyczne, bo jasno i z niespodziewaną precyzyą sformułowane wierzenia w Trójcę świętą, we wcielenie Syna Bożego i jedność Jego osoby, w dzieło odkupienia i jego owoc łaskę Bożą, w dziewictwo Maryi.

To jednak jest mniej doniosły owoc odkrycia; główny i najważniejszy też leży, jak u Harnacka, na polu studyów nad czwartą ewangelią. Nie potrzebujemy wprawdzie szukać jej źródeł, bo wiemy z wszelką pewnością, że źródłem jej jest z jednej strony

---

[1] Str. 99.
[2] Str. 119, v.

historyczny Chrystus, z drugiej strony lotny, skłonny do mistyki i kontemplacyi umysł ucznia miłości [1]. Jednakże, choć w to wierzymy, nie możemy nie zdawać sobie sprawy, że św. Jan doprawdy, jak orzeł wzbija się ponad ewangelie synoptyczne i jak orzeł rwie ku górze rozwój pojęć i uczuć chrześcijańskich. I dlatego właśnie, z radością powitać nam przychodzi każdy zabytek z pierwszych wieków chrześcijaństwa, który grupując się około św. Jana dodaje mu tła i obramienia, a przez to sprawia, że czwarta ewangelia stoi mniej samotnie na polu najstarszej literatury. Czy bowiem »ody Salomona« datują się z czasów gdy św. Jan był jeszcze żywym świadkiem nauki Chrystusowej, czy z czasów bezpośrednio następujących po jego zgonie, zawsze są dowodem, jak naturalnie, jak łatwo, jak bez opozycyi przyjmowała się w sercach chrześcijańskich Janowa teologia i jak głęboki w nich znajdowała oddźwięk. To zaś wskazuje na siłę wewnętrznej jej prawdy, wskazuje, że chrystyanizm nie przez żadne wpływy zewnętrzne, ale z samej treści swej nauki i swego ducha wznosi się na te wyżyny teologicznej i mistycznej kontemplacyi, na jakich przebywają św. Jan lub autor »ód Salomona«.

Krótko mówiąc, nowy ten zabytek, jak wszystkie poprzedzające, po katolicku, nie po protestancku oświetlił pierwsze wieki chrześcijaństwa; oświetlił je w duchu Chrystusa prawdziwego Boga, który z nieba zstąpił i do nieba ludzkość podnosi, nie w duchu Chrystusa trzeźwego, zwyczajnego człowieka, który chodzi tylko po ziemi i nic nie umie powiedzieć o niebie.

I dlatego trzecia korzyść z odkrycia jest natury polemicznej. Gdzież się podziały te dumne i pewne siebie głosy, które

---

[1] Bezwzględne i absolutne stwierdzenie historycznej wartości ewangelii św. Jana nie sprzeciwia się badaniom psychologicznym, które w ślad za Ojcami podejmują nowsi krytycy katoliccy: skąd odrębny, bardziej duchowy i Boży charakter Janowego Chrystusa. Wytłumaczeniem jest lotność, podniosłość, kontemplacya ucznia miłości. Chrystus oczywiście był takim, jakim go św. Jan przedstawia; był nawet objektywnie i historycznie stokroć wyższym nad to; ale promienie tej chwały pełniejsze znalazły odbicie w orlem oku św. Jana, niż prostych i bardziej ziemskich duszach trzech pierwszych ewangelistów. Tak mniej więcej już Klemens Aleksandryjski, święci Epifaniusz i Augustyn.

temu lat kilkadziesiąt ogłaszały najstarszą literaturę chrześcijańską za zbiór oszustw i fałszerstw? Wobec tego, że każdy nowo odkryty zabytek w sensie katolickim nie racyonalistycznym wydawał świadectwo, lat temu kilkanaście uroczyście oświadczał Harnack »dass wir in der Kritik der Quellen des ersten Christentums in einer rückläufigen Bewegung zur Tradition begriffen sind« [1]. Lat temu kilka zmuszony był na nowo powtórzyć, »dass die Kritik in die Irre gegangen ist und dass die Tradition Recht hat« [2].

Nie wątpimy, że podobnie będzie i w naszym wypadku.

Konstrukcye, które Harnack zbudował na »odach Salomona«, jak są metodycznie błędne, tak się też rozchwieją, a sam zabytek dokładniej zbadany i może nowem jakiem odkryciem oświetlony, wejdzie w chór tego potężnego świadectwa, którem brzmią pierwsze wieki, którem i nasz pieśniarz zakończył odę 41-ą: »Syn Najwyższego okazał się na ziemi w pełności chwały ojcowskiej, bo jeden jest Chrystus, co zbawia dusze i znany już był przed założeniem świata. Niech więc zabrzmi Mu nowa pieśń chwały od tych, co Go miłują. Alleluja«.

Ks. J. Rostworowski.

---

[1] *Chronologie der altchristlichen Litteratur.* 1897, t. 1. x.

[2] »In der Vorrede zum ersten Bande der Chronologie, schrieb ich vor 10 Jahren wir seien in der Kritik der Quellen des ältesten Christentums in einer rückläufigen Bewegung zur Tradition. Dieses Wort ist sogar von Freunden übel vermerkt worden, obgleich ich es durch meine Darstellung zum Theil bereits erwiesen hatte. Nunmehr erhalten sie einen neuen Beweis. Ich hoffe auf den folgenden Bogen gezeigt zu haben, dass die Kritik in die Irre gegangen ist und die Tradition Recht hat«. *Lukas der Arzt*... 1907. Vorrede, III.

WILLIAM EWART GLADSTONE.

(Dokończenie).

V.

Gdy Gladstone otrzymał telegraficzną wiadomość o swem powołaniu, zawołał głosem pełnym powagi i zapału: »Moją misyą jest uspokoić Irlandyę!« [1]. Istotnie o tym nieszczęśliwym kraju z dawna myślał, jako o najprzykrzejszej bolączce angielskiego organizmu państwowego; jeszcze za rządów Disraelego postawił śmiały wniosek o uwolnienie katolickiej wyspy od jarzma państwowego Kościoła anglikańskiego; odrzuciła go Izba lordów; to też ta sprawa religijnego i politycznego wyzwolenia Irlandyi była pierwszą, jaką podjął, zostawszy prezydentem ministrów; było to tem potrzebniejsze, że tymczasem rozruchy zorganizowane przez tajne stowarzyszenie »Fenjan« w Irlandyi, przybrały groźne rozmiary i przeniosły się nawet na grunt angielski. Gladstone tedy zaraz 1 maja 1869 r. wniósł ustawę, obalającą uprzywilejowane stanowisko i majątkową potęgę Kościoła angielskiego w Irlandyi; ustawa, choć osłabiona poprawkami przez Izbę lordów, w zasadzie przeszła, i znaczy pierwszy krok gorącego anglikanina Gladstona ku równouprawnieniu i tolerancyi innych wyznań w państwie brytyjskiem; niebawem miały nastąpić dalsze akcye w tym kierunku. Tymczasem zajęła premiera druga jeszcze, socyalna strona

[1] Morley I, 663.

kwestyi irlandzkiej; przez ustawę agrarną w roku 1870 znacznie polepszył położenie dzierżawców ziemi w Irlandyi, dotąd bardzo uciemiężanych przez wielkich właścicieli ziemskich; nie usunęło to co prawda jeszcze wszystkich powodów do niezadowolenia, i do dziś dnia stosunki ziemskie w Irlandyi pozostają jednym z najtrudniejszych problemów wewnętrznej polityki angielskiej [1].

Po tych pierwszych ustawach irlandzkich zwrócił się Gladstone do reform w prawodawstwie angielskiem. Już w r. 1869 przeprowadził był ważną w życiu społecznem innowacyę, znosząc znaną każdemu nie-Anglikowi choćby z Dickensa tylko, przestarzałą instytucyę więzienia dłużniczego, a powiększając zato istotną władzę wierzyciela nad majątkiem dłużnika; w tymże roku, a w dwa lata później ponownie wzmocnił prawne stanowisko związków robotniczych *(trades unions)*.

Ale dopiero w r. 1871 rozpoczęły się akcye w większym stylu: za inicyatywą ministra Forstera, Kwakra z pochodzenia, dokonała się reforma wychowania elementarnego przez ustawę, zaprowadzającą powszechną kontrolę nad szkołami publicznemi i prywatnemi przez miejscowe komitety *(school boards)*, nadającą tym komitetom prawo wywierania przymusu szkolnego, wreszcie ograniczającą naukę religii w nowych szkołach rządowych do czytania samej Biblii; tę ostatnią zasadę wychowania bez barwy wyznaniowej rozciągnięto i na szkolnictwo wyższe, znosząc istniejące jeszcze ograniczenia religijne co do osiągnięcia stopni i godności akademickich w Oxfordzie i Cambridge. Tak była daną podstawa do sekularyzacyi zarówno jak popularyzacyi wychowania szkolnego, które zresztą w szczegółach do dziś dnia nie przestało być jedną z najzawilszych łamigłówek ustawodawczych dla każdego z kolei ministeryum angielskiego.

Po szkole przyszła kolej na armię: zreorganizował ją minister Cardwell pod wpływem doświadczeń wojny prusko-francuskiej; zaprowadzono powszechny w państwach europejskich podział lat służby między ograniczony okres czynnej służby przy

[1] Szkic tych trudności daje A. Laurence Lowell: *The Governmen of England* (New York, Macmillan, 1908), tom I, rozdział VI.

froncie a czas przynależności do rezerwy; podzielono kraj na dystrykty wojskowe; zniesiono praktykowane dotychczas kupowanie stopni oficerskich, to ostatnie wskutek oporu lordów w krótkiej drodze rozporządzenia królewskiego. Podobnie zasadniczą reformą w administracyi cywilnej było ustanowienie obsadzania wszystkich posad rządowych przez otwarty konkurs, czyli, jak się w Anglii mówi, »kompetycyę«, a nie jak dotąd przez wybór z pośród nominowanych kandydatów.

Szczęśliwym rezultatem polityki finansowej — głównie dzięki redukcyi wydatków na wojsko i flotę — było osiągnięcie najniższej dotychczas stopy podatku osobisto-dochodowego (4 pensy od funta) w r. 1860; zniesienie stempla na dzienniki i zniżenie porta za gazety na pół pensa umożliwiło ideał »gazety za pensa« i znacznie podniosło cyrkulacyę i potęgę prasy; wreszcie instytucya pół-pensowych kart korespondencyjnych stanowiła dobrodziejstwo pocztowe dla ogółu.

Mimo tych fiskalnych sukcesów, wnet zresztą z konieczności okupionych nowem podwyższeniem podatku, kilka innych ustaw roku 1871 nie przeszło, a jedna z najpopularniejszych, ustanowienie czterech nowych dni świątecznych w roku, jakq »świąt bankowych« *(bank holidays)*, nie wyszła od rządu, lecz z szeregów posłów[1]; rząd przeprowadził co prawda jeszcze dwie nader ważne reformy: tajne głosowanie przy wyborach do parlamentu (*Ballot Act*, 1872) i energiczne ograniczenie wyszynku trunków *(Licensing Bill)*; ale zadowolenie z tych dwóch ustaw nie było bynajmniej ogólne; przedewszystkiem zaś zagraniczna polityka ministeryum nie mogła imponować tryumfami: nie udało się interwencyi angielskiej zażegnać wojny prusko-francuskiej; Rosya owładnęła Czarnem Morzem; za popieranie Stanów południowych w amerykańskiej wojnie domowej przez okręt *Alabama* i inne, międzynarodowy sąd rozjemczy — pierwszy w historyi nowożytnej! — skazał Anglię na $3^1/_4$ miliona funtów odszkodowania; tego nie przeciwważyły drobniejsze powodzenia kolonialne w Kanadzie,

[1] Twórcą jej był znany także jako przyrodnik Sir John Lubbock (późniejszy lord Avebury).

Afryce i Afganistanie. To też w dobrze wybranej chwili wystąpił pomysłowy Disraeli przeciwko gabinetowi z ideą, której potężny rozrost miał się niebawem stać najznamienniejszą cechą współczesnej historyi angielskiej: oto rozwinął sztandar imperyalizmu czyli konsolidacyi światowego państwa brytyjskiego przez unię cłową, udział kolonii w zbrojeniach i reprezentacyę ich interesów w jakiejś centralnej instytucyi[1].

Skuteczność tego manewru wnet się okazała: Gladstone przystąpił do dalszego punktu swego programu irlandzkiego, wnosząc projekt reformy uniwersytetów irlandzkich z dublińskim na czele w duchu równouprawnienia katolików i sekt dyssydenckich; ustawa, w szczegółach kompromisowa, nie zadowolniła żadnej strony i upadła. Gladstone zrezygnował; wprawdzie powrócił jeszcze na krótki czas do władzy, bo Disraeli na razie nie czuł się całkiem pewnym swego, ale losy liberalnego rządu były rozstrzygnięte. Przed ostatecznym upadkiem jednego jeszcze pamiętnego aktu dokonano przez kanclerza lorda Selborne: ustawa roku 1873 gruntownie zreorganizowała judykaturę, jednocząc całą skomplikowaną maszyneryę najwyższych sądów państwa w jednej naczelnej władzy, podzielonej na trybunał pierwszej instancyi i trybunał apelacyjny. Ostatnim blaskiem tryumfu był także budżet z nadwyżką $4^3/_4$ miliona funtów, umożliwiający ponowne zniżenie podatku dochowego. Ale popularność rządu już się nie podniosła; głośny skandal w administracyi finansów, mianowicie wielką inwestycyę na sieć telegraficzną bez upoważnienia przez parlament, Gladstone bezskutecznie usiłował odkupić wielkim programem finansowym: zaapelował do wyborców z obietnicami zniesienia podatku osobisto-dochodowego i cukrowego, kosztem podniesienia podatków spadkowych i od spirytualiów, a więc projektami w drugiej części podobnymi do dzisiejszego liberalnego budżetu. Faktem atoli było, że właśnie bezustanne wielkie, radykalne reformy

[1] Trzy główne punkty mowy Disraelego w londyńskiem *Cristal Palace* w czerwcu 1872 (*Political History of England*, ed. by W. Hunt and R. L. Poole, London, Longmans; tom XII: S. Low and L. C. Sanders: *The Reign of Victoria*, 1907; str. 253).

ustawodawcze zdenerwowały już konserwatywny z usposobienia naród angielski: i wybory z początkiem r. 1874 przyniosły łatwe zwycięstwo konserwatystom.

VI.

Zaczęła się sześcioletnia era konserwatywna, której szczegóły nas tu oczywiście zajmować nie mogą. Disraeli — od r. 1876 lord Beaconsfield — w myśl swych imperyalistycznych haseł prowadził energiczną politykę zewnętrzną, uwieńczoną istotnie wielkimi sukcesami: początkiem było zakupienie egipskich akcyi kanału suezkiego, a punktem kulminacyjnym kongres berliński po wojnie rosyjsko-tureckiej, na którym dyplomacya angielska odniosła tryumf nad wygórowanemi pretensyami Rosyi, swego głównego rywala na Wschodzie i zapewniła Anglii decydujący wpływ na sprawy państwa ottomańskiego a jako konkretną zdobycz wyspę Cypr. Sprężysta administracya wicekróla Lyttona w Indyach walczyła skutecznie z klęską głodu, a w Afganistanie siłą wojskową starała się ustalić protektorat angielski; w Polinezyi annektowano wyspy Fidżi; jedynie w południowej Afryce przedwczesna anneksya Transvaalu spowodowała długoletnie komplikacye, usiłowania owładnięcia krajem Zulusów kosztowały dużo krwi i niepokoju, a powstały już wtedy plan utworzenia brytyjskich Stanów Zjednoczonych Afryki południowej dopiero w r. 1909 doczekał się urzeczywistnienia.

Jeżeli zewnętrzna polityka Beaconsfielda na ogół przedstawia się imponująco, to daleko trudniej było zaćmić blask ery gladstońskiej w polityce wewnętrznej. Zrobiono wprawdzie dobry początek przez kilka ustaw, które podniosły hygienę oraz prawne i osobiste bezpieczeństwo pracującego proletaryatu, ale potem przyszły głównie tylko różne uzupełnienia i poprawki wielkich reform gladstońskich, nie zawsze szczęśliwie na nich zaszczepione; zaś od roku 1877 obstrukcya zorganizowanych teraz w osobne stronnictwo narodowców irlandzkich pod wodzą posła Parnella stała się prawdziwą klęską parlamentarną.

Gladstone wprawdzie wkrótce po objęciu rządów przez Dis-

raelego zrezygnował z przewodnictwa liberalnej opozycyi w parlamencie; ale nie przestał żywo się zajmować szczególnie problemami polityki zagranicznej. W przeciwieństwie do rządu, któremu głównie chodziło o pokonanie rywalizujących wpływów Rosyi na Wschodzie, Gladstone od chwili, gdy kwestya wschodnia stała się aktualną, występował w broszurach i mowach z całą stanowczością przeciwko Turcyi, jako rzecznik interesów chrześcijańskich państewek bałkańskich, i jego agitacyi w znacznej mierze zawdzięczają one swą niepodległość. Dla Grecyi w r. 1880 już jako minister, wyjednał nader korzystną regulacyę granic, a studyum jego o »czynniku helleńskim w kwestyi wschodniej« *(The Hellenic Factor in the Eastern Problem)* stanowi odrodzenie angielskiego filhellenizmu dni byrońskich.

Chwila ponownej energicznej akcyi w sprawach wewnętrznych nadeszła dla Gladstona, gdy nieurodzajny rok 1879 spowodował wielką depresyę w rolnictwie i powszechny brak pracy, a w Irlandyi głód podniecił agitacyę nacyonalistyczną.

Gladstone mimo siedemdziesięciu lat, jak młodzieniec porwał się do czynu i rozpoczął kampanię wyborczą; kandydował w szkockim okręgu *Midlothian*, a przelatując kraj wszerz i wzdłuż, przemówieniami na stacyach kolejowych, jak płomień szerzył ogólne uniesienie. Nieświetna w rezultatach gospodarka finansowa ministra Northcote stanowiła poważny argument; wprowadzenie amerykańskich metod organizacyi wyborczej przez Chamberlaina, który wtedy był skrajnym liberałem, ostatecznie przechyliło szalę zwycięstwa, i Gladstone w roku 1880 po raz drugi ujął ster rządów.

VII.

Nowe ministeryum, wkrótce przez śmierć Beaconsfielda uwolnione od głównego antagonisty, stało wobec trudnego zadania: należało podtrzymać to potężne światowe *prestige* Anglii, które ugruntowała zagraniczna polityka poprzedniego gabinetu, a to niełatwo było uczynić, odstępując zarazem w myśl kardynalnych zasad liberalizmu od egoistycznie-angielskich haseł im-

peryalistycznych i kierując się maksymami ogólno-ludzkiemi. To też nie mogło znaleźć ogólnego uznania, że gdy wybuchło powstanie w Transvaalu i Anglicy ponieśli upokarzającą porażkę pod Majubą, Gladstone mimo to przeprowadził pertraktacye pokojowe, zakończone faktycznem uznaniem niepodległości republiki transvaalskiej. W Afganistanie również zaniechano agresywnej polityki, co dało Rosyi z dawna pożądaną sposobność do zaborczych awansów na ten kraj i spowodowało przewlekłe układy i groźne napięcie między mocarstwami. Jedynie w Egipcie, który pod nieudolnymi rządami kedywów popadł w ruinę ekonomiczną, zdecydowano się — pod presyą konserwatystów — na energiczną, zbrojną interwencyę; dokonała się okupacya wojskowa i rozpoczęła się ta angielska administracya Egiptu, której rezultaty przedstawił niedawno główny jej agent lord Cromer w pomnikowem dziele *Modern Egypt*. Przeciwko tej wielkiej akcyi obok samego nacyonalizmu egipskiego, który do dziś dnia wzrasta w siłę, powstał niebawem niebezpieczny wróg zewnętrzny: Sudanem egipskim owładnął Mohammed Achmed, który jako *mahdi* czyli »przywódca« sfanatyzował tłumy do powstania przeciw egipsko-angielskim rządom. Walka z mahdyzmem rozpoczęła się klęską dla Anglii: upadkiem Khartumu po bohaterskiej obronie przez Gordona paszę. W Afryce Środkowej i w Nowej Gwinei udało się dyplomacyi Bismarcka zapewnić podstawy dla kolonialnej ekspanzyi Niemiec; te postępy nowego rywala musiały niepokoić Anglików, i ujemne na ogół wyniki zewnętrznej polityki tego drugiego ministeryum Gladstona znacznie się wkońcu przyczyniły do jego upadku.

Laurów, jak dawniej tak i tym razem, administracya liberalna z powodzeniem szukać mogła nie w polityce zewnętrznej, do której zasady liberalne pono nigdy z korzyścią zastosować się nie dadzą, lecz w dalszej pracy nad wewnętrznem odnowieniem społeczeństwa, rozpoczętem przez pierwszy gabinet gladstoński. Istotnie w szeregu reform wewnętrznych wraz z ostatecznem rozbiciem głównej z nich o egoizm narodowy angielski, właściwie się dokonywują pozostające jeszcze akty tego dziejowego dramatu.

Zaraz na początku nowej sesyi parlamentarnej zdarzył się epizod nader charakterystyczny dla przewodnich idei gladstońskiego liberalizmu. Jeden z posłów, ateista Bradlaugh, zamiast zwykłej przysięgi na konstytucyę, chciał złożyć proste zapewnienie. Na wniosek konserwatywny uchwalono, że nie można od niego przyjąć ani przysięgi ani zapewnienia. Przez szereg lat ciągnęły się jeszcze spory o tę sprawę; Gladstone od początku stał po stronie ateistycznego posła; wywalczył mu wreszcie dopuszczenie do parlamentu, a w r. 1891, gdy Bradlaugh umarł, zyskawszy sobie powszechny szacunek w Izbie, Gladstone poświęcił mu nekrolog. Piękniej może niż kiedykolwiek okazał w tym wypadku, jak ponad swój zasadniczo teologiczny sposób myślenia umiał się wznosić na wyżyny tolerancyi nawet dla przekonań tak skrajnie przeciwnych własnym najświętszym wierzeniom religijnym.

Niezadowolenie agrarne, jakie zastał w kraju, uśmierzył Gladstone zaraz pierwszym budżetem; proletaryat ujął sobie przez ważną ustawę o odpowiedzialności pracodawców za okaleczenie robotnika przy pracy. Najtrudniej jak zawsze było z kwestyą irlandzką: różne projekty reform upadły wskutek opozycyi konserwatystów oraz roznamiętnienia agitacyi nacyonalistycznej; w owych to dniach weszło w użycie słowo *boycott* od nazwy dzierżawcy, który odważył się postąpić wbrew hasłom wydanym przez narodowców w sprawach rolniczych, i za to został ukarany przez *anathema* społeczne.

Główną skargą irlandzką było, jak wiemy, uciemiężenie dzierżawców przez obszarników; prawne stanowisko dzierżawców wzmocniono ponownie przez ustawę roku 1881, ale spotkała się ona z ogólną nieufnością, powiększoną jeszcze przez środki bezwzględnej represyi, do jakich rząd liberalny się uciekł wobec zbrojnych rozruchów w Irlandyi. Chwilowy kompromis rządu z uwięzionym przywódcą narodowców, Parnellem, unicestwiło zamordowanie świeżo mianowanego sekretarza dla Irlandyi w Dublinie, i represya z jednej a gwałty z drugiej strony panowały dalej. Coraz wyraźniejszą stawała się konieczność zasadniczego uregulowania stosunków; zanim do tego wielkiego dzieła przy-

stąpiono, przeprowadził rząd jeszcze kilka doniosłych reform w ustawodawstwie angielskiem: a więc wzmocniono i w Anglii prawne stanowisko dzierżawców wobec właścicieli ziemskich; zapewniono sprawiedliwą administracyę majątku bankrutów; nadewszystko jednak prowadzono dalej tę wielką budowę reformy wyborczej, która się ciągnie przez cały legislatywny rozwój Anglii w XIX wieku. Wyznaczając pewne *maximum* wydatków kandydata na agitacyę, przez ścisłą kontrolę i groźbę surowych kar znacznie ograniczono możność przekupstwa przy wyborach do parlamentu; zaś przez ustawę roku 1884 rozciągnięto prawo głosowania na blizko 2 miliony obywateli, którzy go dotychczas nie posiadali, a zarazem przez nowy rozdział mandatów wzmocniono reprezentacyę wielkich miast fabrycznych i okręgów przemysłowych. W tem stadyum, znacznie rozszerzone ale jeszcze nie całkiem powszechne, pozostało angielskie prawo wyborcze do dnia dzisiejszego.

Tymczasem w Irlandyi wciąż panował bezrząd i niepokój; niezadowolenie z tego stanu rzeczy stało się jednym z głównych powodów upadku drugiego ministeryum Gladstona w roku 1885. To też podczas krótkiego konserwatywnego *interregnum*, jakie teraz nastąpiło, w umyśle Gladstona ostatecznie dojrzała pewność, że tylko zupełny samorząd nieszczęsnej wyspie prawdziwy spokój dać może, i z tym projektem wreszcie otwarcie występuje, gdy wybory przynoszą mu zwycięstwo i w pół roku po rezygnacyi po raz trzeci w życiu stawiają go u steru rządów państwa.

VIII.

Dnia 17 grudnia 1885 gazety *Standard* i *Leeds Mercury* równocześnie rzuciły zdumionej Anglii wiadomość, że Gladstone będzie dążył do utworzenia osobnego parlamentu irlandzkiego. Gladstone posłał dementi, ale wymijające; niebawem się okazało, że istotnie to a nie co innego miał na celu. Już przy tworzeniu nowego gabinetu żądał od upatrzonych osobistości pisemnej deklaracyi w tej sprawie i wskutek tego nie pozyskał na ministrów kilku z najwierniejszych dotychczas współpracowników politycz-

nych, między innymi Brighta: poczynał się rozłam w łonie partyi liberalnej. Najcharakterystyczniejszym nowym nabytkiem był literat John Morley, późniejszy biograf Gladstona, który podczas wyborów z całą energią przemawiał był za samorządem dla Irlandyi na sposób autonomicznych kolonii angielskich: powołanie jego na sekretarza dla spraw irlandzkich w nowym gabinecie było już wyraźną manifestacyą programową.

Z wiosną roku 1886 przedłożył Gladstone Izbie gmin ustawę o parlamencie irlandzkim, bardzo ściśle określającą i ograniczającą jego władze ustawodawcze a szczególnie finansowe; jedność cłowa zarówno jak wojskowa monarchii miała być zachowaną. W ślad za tą ustawą poszła druga: projekt wykupienia całej własności ziemskiej w Irlandyi przez rząd na korzyść dotychczasowych dzierżawców.

Bezpośredniem następstwem tych przedłożeń było odłączenie się od stronnictwa liberalnego grupy unionistów czyli zwolenników absolutnej jedności królestwa, pod wodzą lorda Hartington (późniejszego księcia Devonshire); z nimi poszedł i Chamberlain, odtąd najgłośniejszy rzecznik skonsolidowania imperyum brytyjskiego. Unioniści, znalazłszy się między obydwoma głównemi stronnictwami w parlamencie, podobnie jak niegdyś grupa Peelitów, weszli w alians a z czasem w ściślejszą łączność z partyą konserwatywną i w dzisiejszym stanie rzeczy podział na unionistów i liberałów reprezentuje tradycyjne angielskie przeciwieństwo torysów i whigów.

Secesya blizko stu członków z obozu liberalnego zadecydowała o losie *Home Rule:* ustawę odrzucono większością trzydziestu głosów. Gladstone zarządził nowe wybory, ale nawet jego płomienna, jak zawsze, wymowa nie przemogła niechęci całego narodu do udzielenia Irlandyi samorządu: do parlamentu weszła znaczna większość konserwatywna, i gabinet Gladstona ustąpił, a miejsce jego zajął unionistyczny pod przewodnictwem lorda Salisbury.

Tak zakończyła się największa i historycznie najdonioślejsza faza politycznej karyery Gladstona. Raz jednak jeszcze miał

sędziwy przywódca liberałów zajmować przez krótki czas naczelne stanowisko w państwie.

W Irlandyi pod energicznym sekretaryatem Balfoura — dzisiejszego przywódcy konserwatystów — z całą gwałtownością wrzała dalej walka między rządową represyą a organizacyą narodową. Gladstone w opozycyi na czele swego odłamu partyi liberalnej wytrwale walczył przeciwko polityce ucisku; przez konferencye z naczelnemi osobistościami wśród liberałów zarówno jak Irlandczyków pracował nad reorganizacyą swego stronnictwa i ukształtowaniem programu irlandzkiego; w r. 1890 święcił wielkie oratorskie tryumfy w swym okręgu wyborczym Midlothian; a nie złamała jego energii w służbie sprawy irlandzkiej nawet ta katastrofa, jaką dla niej stanowić musiał upadek przywódcy nacyonalistów, Parnella, który przez skandal osobistej natury zrobił się niemożliwym w życiu politycznem.

Zbliżały się nowe wybory w roku 1892. Gladstone na konferencyi swej partyi w Newcastle wystąpił z obszernym programem liberalnym, obejmującym wśród wielu innych radykalnych reform także usunięcie państwowego autorytetu Kościoła anglikańskiego w Wales i Szkocyi, oraz zniesienie pluralnego głosowania, które niestety do dziś stanowi usterkę angielskiego systemu wyborczego; wreszcie rozszerzenie praw korporacyi robotniczych. Ale naprzeciwko tych obietnic stały różne dobroczynne reformy społeczne tymczasem istotnie dokonane przez rząd partyi konserwatywnej, która głównie pod wpływem ognistego lorda Randolfa Churchilla stała się już od kilku lat demokratyczniejszą niż kiedykolwiek, i gorliwie się starała o względy pracującego proletaryatu. Tak się tłumaczy, że program Gladstona nie zapalił wyobraźni ogółu, i wybory przyniosły mu wprawdzie większość, ale bynajmniej nie tę przygniatającą, jakiej się spodziewał.

Objąwszy w takich warunkach po raz czwarty i ostatni w życiu rządy kraju, Gladstone uważał sobie za obowiązek znowu najpierw i nadewszystko zająć się kwestyą irlandzką. Zaraz z początkiem sesyi wniósł nową ustawę o autonomii irlandzkiej, nieco odmienną od poprzedniej o tyle, że obok własnego sejmu Irlandya miała posyłać osiemdziesięciu przedstawicieli swych interesów do

parlamentu w Londynie, podczas gdy w pierwszej ustawie właśnie usunięcie posłów irlandzkich z Izby gmin było jednym z charakterystycznych punktów. Oczywiście ta zmiana w oczach unionistów była krokiem od złego ku gorszemu, i Gladstone, który mimo osiemdziesięciu trzech lat ze zdumiewającą siłą i wymową bronił swej ustawy w Izbie, walczył od początku z gwałtowną opozycyą Chamberlaina i Balfoura; Gladstone zastosował środek przymusowego skracania czyli »gilotynowania« dyskusyi, już kilka lat przedtem wprowadzony do techniki parlamentarnej; pod koniec szczegółowych obrad przyszło nawet do bójki w Izbie, sceny niesłychanej w dziejach parlamentu angielskiego. Ustawa przeszła wreszcie Izbę gmin, ale Izba lordów odrzuciła ją olbrzymią większością, i Gladstone zrezygnował z dalszych usiłowań; smutne zwycięstwo patryotyzmu imperyalistycznego nad sprawiedliwością polityczną było dokonane.

Lordowie unicestwili także dalszą ustawę o przymusowej odpowiedzialności pracodawców za uszkodzenie robotników przy pracy, a w innej, o samorządzie gminnym, porobili zmiany. Rozgoryczony tym oporem, Gladstone w ostatniej parlamentarnej mowie swego życia, kończąc sześćdziesięcioletnią przeszło działalność w Izbie gmin, w potężnych słowach zapowiada ten nieunikniony konflikt aspiracyi liberalnych ze samą instytucyą dziedzicznej Izby lordów, który właśnie w obecnej dobie w Anglii się rozgrywa.

Znalazłszy się we własnym gabinecie w niezgodzie z kolegami wobec projektu olbrzymich zbrojeń morskich, które zasadniczo potępiał, Gladstone dnia 3 marca 1894 podał się do dymisyi i po dość chłodnem pożegnaniu z królową Wiktoryą ustąpił z życia politycznego.

Liberałów pozostawił bez wybitnej indywidualności politycznej; skończyły się też wnet ich dni, i nastało dziesięciolecie rządów konserwatywno-unionistycznych, zakończone przed kilku laty walnem zwycięstwem wyborczem liberałów, którzy z kolei wobec widocznej z najnowszych wyborów popularności imperyalistycznego hasła ceł ochronnych niebawem zapewne znów unionistom ustąpić będą musieli. Ten nowy liberalizm, dziś jeszcze rządzący,

w niejednym względzie oczywiście odmienny być musi od gladstońskiego: w polityce zewnętrznej udzieliło mu się ogólne w myśleniu narodu zabarwienie imperyalistyczne, w sprawach wewnętrznych nie mógł się oprzeć wzrastającej powszechnie fali radykalizmu socyalnego. Ale w naczelnych punktach liberalnego programu, jak się to przedewszystkiem okazało w kampanii przeciw Izbie lordów, bynajmniej zerwaną nie jest żywotna historyczna łączność z ideałami, którym z tak niestrudzoną wytrwałością i niezgaszonym zapałem przez lat dziesiątki służył William Ewart Gladstone.

IX.

W latach, gdy w jego ręku spoczywały losy kraju, Gladstone był bez wątpienia najpopularniejszym człowiekiem w Anglii. Ze zdumieniem opowiadano sobie o jego tytanicznej pracowitości i fizycznej energii: starzec odbywał codziennie dalekie kilkugodzinne wędrówki piesze, ścinał dęby w swym parku, pracował po kilkanaście godzin na dobę, z równie żywem zajęciem biorąc udział w bieżących sprawach naukowych, kościelnych i literackich, w wypadkach towarzyskich i interesach własnej rodziny, co we wielkich akcyach państwowych. Jednomyślnie też podziwiano nieporównaną technikę jego pracy umysłowej, intensywność w umiejętnem wyzyskaniu czasu; zawsze pracował z całem wytężeniem: »za cztery godziny robił to, na co inny potrzebował szesnaście, a pracował szesnaście godzin dziennie«, tak mówi o nim przyjaciel Sir James Graham[1].

Jeżeli w ostatnich latach działalności, szczególnie po kryzys irlandzkiej, postać »wielkiego starego człowieka« *(The Grand Old Man)*, jak go powszechnie nazywano, nie wywierała już dawnej swej fascynacyi na ogół narodu, tłumaczy się to w zupełności przewrotem, jaki się dokonywał w opinii większości Anglików. Istotnie duch zmarłego Beaconsfielda, jak duch Cezara, tryumfował nad tymi, co go obalili, wyniesiony przez śmierć na

[1] Morley I, 139.

idealne wyżyny nietykalności, stał jak posąg naprzeciwko żyjących ludzi, z konieczności często błądzących i niekonsekwentnych. Idea imperyalistycznego patryotyzmu, której on pierwszy nadał konkretne kształty, rozpaliła duszę narodu i dominuje dziś nad całem jego myśleniem politycznem. Dumna świadomość przynależności do największego państwa na świecie, gorące pragnienie coraz nowych zdobyczy kolonialnych z wykluczeniem rywalizacyi innych mocarstw, a zarazem dążenie do coraz ściślejszego organicznego zjednoczenia wszystkich rozległych krajów korony brytyjskiej, — codzień w nowych manifestacyach znajdują wyraz. Zapał dla wielkiej floty, jako głównej ostoi tej potęgi, podzielać i w budżetach wypowiadać muszą nawet dzisiejsi liberalni ministrowie. Tak jak w miejsce umiarkowanego mieszczańskiego liberalizmu niepowstrzymanym krokiem nadeszła epoka przewrotowych reform pod dyktandem stanu czwartego, tak po erze ogólnoludzkich sympatyi i rycerskiej obrony uciśnionych narodów zapanował i panuje coraz powszechniej egoizm narodowo-państwowy.

Nic więc dziwnego, że wiadomość o śmierci Gladstona w r. 1898 nie zelektryzowała narodu, i hołdy nad grobem w opactwie westminsterskiem były raczej konwencyonalnem uznaniem wielkiej roli historycznej, niż samorzutnym aktem uwielbienia dla bohatera i przywódcy narodu.

Do ostatka zachował Gladstone swą młodzieńczą ruchliwość umysłu i wszechstronność interesów. Raz jeszcze nawet wystąpił na arenę publiczną; dwa lata przed śmiercią, oburzony niezgodą i bezczynnością koncertu europejskiego wobec rzezi armeńskich, na wiecu w Liverpoolu gorąco przemówił za energiczną interwencyą samej Anglii przeciwko rządom tureckim, — co oczywiście nawet w jego własnym obozie już oddźwięku znaleźć nie mogło.

Ze zdwojoną gorliwością dalej oddawał się teraz emeryt polityczny umiłowanej z dawna pracy literackiej. Historykowi Anglii wiktoryańskiej w zbiorze swoich artykułów, memoryałów i innych autobiograficznych dokumentów p. t. »Pokłosie z lat minionych« (*Gleanings of Past Years*) dał cenne, autentyczne materyały do dziejów epoki, której był środkową postacią. Przez cały okres działalności publicznej nie przestawał zajmować się

życiem religijnem i studyami teologicznemi: wśród natężonej ustawodawczej pracy swej pierwszej prezydentury znalazł czas, by stanowisku swemu wobec uchwał soboru watykańskiego dać wyraz w osobnej pracy (1874); jeszcze przed ustąpieniem z życia politycznego wydał studyum o »niezdobytej opoce Pisma św.« (*The Impregnable Rock of Holy Scripture*, 1890), a w ostatnich latach życia dzieła starego teologa Butlera z monografią o nim, oraz komentarz do Psalmów.

Obok żywotnych zawsze interesów teologicznych bacznem okiem śledził rozwój literatury i sztuki. W roku 1878 miał w swej bibliotece 700 tomów poezyi angielskiej i spędzał długie godziny na pogawędkach z Ruskinem i z Millaisem, który wymalował najlepszy jego portret [1]. Z dwoma z pośród największych pisarzy angielskich swego wieku, Macaulayem i Tennysonem, miał sposobność krytycznie się rozprawić, a zdania i aforyzmy jego o wszystkich znakomitszych zjawiskach nowszej literatury angielskiej, zawsze głębokie i godne uwagi, bogato są rozsiane po biografii Morleya [2]. Obok angielskiego szczególnie kochał piśmiennictwo włoskie: pisał o Leopardim i tłumaczył poezye Manzoniego. Z największem upodobaniem jednak, jak każdy wykształcony Anglik, zagłębiał się Gladstone w klasyczną piękność świata starożytnego; długie cytaty z tragików greckich, Lukrecyusza [3], Wergilego same mu się cisną na usta w najświetniejszych mowach parlamentarnych. Wspomniałem już o studyach homeryckich: ciągną się przez całą karyerę polityczną Gladstona jako ulubiona rekreacya literacka; nie zawsze oczywiście stoją pod względem bibliograficznym na wysokości współczesnej nauki; przeciwne wszelkim *Lieder-Theorien*, przejęte uwielbieniem dla jednej twórczej osobistości poety, pełne są najsubteluiejszych szczegółowych spostrzeżeń nad artystycznemi doskonałościami tych wiecznie młodych poematów.

W ostatnich latach życia z klasycznych poetów zajmował

[1] Morley, II, 142.

[2] Szczególnie rozmowy w Biarritz (1891—1892): II, 524—546.

[3] Tego wspaniale zacytował w sprawie ateisty Bradlaugha: Morley, II, 194.

Gladstona szczególnie Horacy, nad którego tłumaczeniem pracował w wolnych chwilach nawet wśród wzruszeń ostatniego dnia swego urzędowania[1]. Wydał je w roku 1894.

Mamy więc przed sobą obraz człowieka, co jak mało który potrafił skorzystać ze wszystkich duchowych skarbów kultury ludzkiej, wzbogacić, ozdobić i rozjaśnić nimi życie, wypełnione niestrudzoną służbą dla wielkich spraw narodu, tak wielkich pełne dzieł i czynów, ale też tak tragicznym wkońcu zatrute zawodem.

Kraków, w lutym r. 1910.

Dr. Roman Dyboski.

[1] Morley, II, 564.

BITWA.

ILIADY PIEŚŃ V.

(Ciąg dalszy).

— »Weź mnie stąd, koni swoich daj mi, bracie drogi,
Niech ujadę na Olimp, kędy mają bogi
Siedzibę nieśmiertelni. Oto bowiem rana
Straszliwie mi dokucza, z ręki otrzymana
Śmiertelnego rycerza, z ręki Tydejczyca,
Onby się porwał nawet na Zeusa rodzica!«
Rzecze. Ares dał konie w złocistej uprzęży.
Wsiadła w rydwan, a żałość na sercu jej cięży.
Podle niej wsiadła Iris, wodze wzięła w dłonie,
Trzasła biczem i poszły nieleniwo konie.
Gdy w bogów dom, na Olimp wjechały obiedwie
Irida wiatronoga zawściągnąwszy ledwie
Rumaki, już je z wozu wyprzęgała żwawo
I zaraz ambrozyjską raczyła ją strawą.
Lecz Afrodite boska matce swej, Dionie
Na podołek upadła — ona zaś na łonie
Najmilejszą córuchnę tuląca w boleści,
Ozwawszy się, powiada i dłonią ją pieści:
— »Kochanie, któż cię z niebian znędził tak niegodnie.
Jakbyś jaką źrejomą popełniła zbrodnię?«
Na to jej w odpowiedzi odrzekła te słowa

Afrodita, czarownych uśmiechów królowa:
— »Ranił mnie syn Tydejów, Diomedes butny,
Iżem synaczka z walki uniosła okrutnej,
Ajneja, co nad wszystko jest mi ukochany.
Achaje nie z samymi bojują Trojany,
Toczy się już Danajów z niebianami wojna!«
Odrzekła jej Dione, bogini dostojna:
— »Ścierp, znieś to, dziecię lube, acz ci żal dopieka.
My, Olimpu mieszkańce, siła od człowieka
Jużeśmy wycierpieli, a to wtedy właśnie,
Gdy między sobą przykre zwodziliśmy waśnie.
Cierpiał Ares, gdy one sprośne dziewięsiły
Efialtes i Otes w pęta go zwęźliły,
Otroki Aloeja. W kadź wtrącon spiżową
Jedenaście miesięcy jeństwo znosił owo
I byłby zczezł tam Ares, co w bojach się kocha,
Gdyby Eeriboja, piękna ich macocha
Nie była Hermesowi oznajmiła raźnie;
Ów nawpół zmartwiałego wykradł z ciężkiej kaźnie.
Cierpiała Hera, kiedy w prawą stronę łona
Żgnął ją trójżądłym bełtem syn Amfitryona
Mocarny. Zdjął ją wówczas ból nieshamowany.
Cierpiał nawet Aides okropny — od rany
Zadanej prędką strzałą, gdy go w Pylos grotem
Obalił między trupy leżące pokotem
Mąż tenże sam, syn Zeusa, co Ajgidą włada,
I przez to go pogrążył w katusze nielada.
Szedł więc Ajdes w dom Zeusów na Olympu szczyty
Z pełnem udręki sercem, boleścią przeszyty,
Oścień mu bowiem w krzepkiem tkwił ramieniu samem
I nękał go na duchu. Kojącym balsamem
Pajeon mu wszelako zaopatrzył ranę
I zleczył, boć ów życie wieczyście miał dane.
Bluźniwy to gwałtownik, co krom wszelkiej trwogi
Z łukiem na olimpijskie śmiał się porwać bogi.
Tamtego zaś podżegła na cię złotobrewa

Athene. I szaleniec, ani się spodziewa
Tydejczyc, iż w niedługim kończy żywot czasie,
Kto z nieśmiertelnikami w wojowanie wda się
I że takiemu nigdy dzieciątek się stadko
Nie uczepi u kolan, wołając nań: tatko,
Gdy do dom z wojny, z rzeźby straszliwej powróci;
Tydejczyc przeto — chocia pełen mężnej chuci,
Niechaj baczy, ażeby orężnie mu w drogę
Nie wszedł kto wojenniejszy nad ciebie, niebogę;
I by Ajgialeja, córa po Adreście,
Ze snu nie uderzyła w lamenty niewieście
Miłą swą czeladź budząc w tęsknicy rzewliwej
Za młodym mężem, krzepszym nad wszystkie Achiwy —
Małżonka Diomeda, koni poskramiacza«.
Rzekła — i mlecz oburącz z rany jej wymacza
A tamtej się natychmiast wygoiła ręka,
Zaczem pofolgowała ciężka jej udręka.
Wypatrzyły to z boku Hera z Athenają
I obie przed Kronidą Zeusem poczynają
Dworować sobie z tego w uszczypliwej mowie;
Athene złotobrewa wśród nich się ozowie:
— »Ojcze, Zeusie, czy słowo nie zgniewa cię ono,
Które-ć rzekę? Kyprida znowu teraz pono
Achajkę snać jakowąś do Trojan posłała,
Bo miłością k'nim sama niesłychaną pała;
Więc Achajkę tę strojną muskając przed chwilką,
Dłoń gładką skaleczyła sobie złotą szpilką!«
Tak rzekła — i tem słowem do śmiechu pobudzi
Wielkiego rodziciela i bogów i ludzi.
Przywoławszy ją, mówił Afrodicie złotej:
— »Nie tobie, dziecię moje, wojenne roboty,
Ty lubieżne miłości konaj sobie sprawy,
Od tamtych zaś Athene jest i Ares żwawy«.
Tak tam pomiędzy sobą rozmawiali oni.
Tam zaś Diomed gromki Ajnejasa goni,
Wiedząc, iż go zasłania Apollo rękoma.

Lecz o wielkiego boga nie dbał, gdyż oskoma
Brała go, by Ajneja dobiwszy pociskiem
Obłupić go i zbroję wziąć wyborną zyskiem.
Trzykroć — by go uśmiercić, rozmachy brał chyże,
Trzykroć Apollon lśniącą podstawił paiżę;
Gdy czwarty raz nadludzkim zamierzył się ciosem,
Apollo w dal godzący wrzasnął strasznym głosem:
— »Strzeż się, Tydejowicu i bierz się precz z drogi,
Ani się z niebieskimi nie śmiej równać bogi,
Insza bowiem jest bogów nieśmiertelnych plemię
A insza plemię ludzi, którzy depcą ziemię!«
Tak rzekł, zaczem Tydejczyc zszedł co nieco z pola
Przed gniewem siejącego strzały w dal Apolla
I z zamętu Ajneja Fojbos uniósł ninie
Na święty Pergam, kędy swoją miał świątynię.
Tam w ogromnym przybytku krzepiła go Leto
Wraz z Artemidą strzelną, darząc go podnietą.
Bóg srebrnołuki zasie zmyśloną osobę
Zgoła na Ajnejasa utworzył podobę,
W takiej-że jak on zbroi. Przy onem widziadle
Achaje i Trojanie rąbią się zajadle
Po piersi wołowcowym pancerzem okrytej
I w okrągłe pawęże i w skórzane szczyty.
Do srogiego Aresa wtem Apollo rzecze:
— »Aresie, o Aresie, co plemię człowiecze
Tracisz, murów dobywco krwią cały zbluzgany,
Męża tego w orężne czy nie wziąłbyś tany
I z bitwy-byś nie przegnał precz Tydejowica,
Co mało się na Zeusa nie porwie rodzica:
Naprzód Kypridę zranił przy kostce u dłoni,
Nadludzkim ciosem we mnie godził też w pogoni!«
Rzekłszy, na samym szczycie Pergamu zasiędzie;
Tedy zabójczy Ares przebiegając w pędzie
Ufce Trojan, do walki podżegał je krwawej,
Akamasowi zgoła podobien z postawy
Hetmanowi trackiemu — i których Zeus chowa,

Otrokom Priamowym takie wołał słowa:
— »O, Priama, chowańca Zeusowego syny
Pókiż Achajom dacie lud rzezać do krztyny?
Póki się bój nie oprze o budowne brony?
Toć Anchiza wielkiego padł syn — obalony,
Ajnej, z boskim Hektorem w równej wielbion chwale;
Nuż więc chrobrego druha ocalmy w nawale!«
Tem słowem chuć i męstwo podżegł w każdem łonie.
Wtem boskiego Hektora Sarpedon zazionie:
— »Hektorze, gdzież to męstwo, które miałeś wprzódy?
Głosiłeś, że chociaby ni Trojańskie ludy
Ni za oręż nie wzięły rzesze sprzymierzone,
Sam z dziewierzmi a bracią miastu dasz obronę.
Nikogo z nich wypatrzyć nie mogę na oczy,
Przycupli, jako psiarnia, gdy lew ku niej skoczy,
My jeno, przymierzeńcy walczymy co siły:
Toć jam także sojusznik i zdala przybyły,
Kędy nad krętym Xantem Lykijska kraina,
Żonę niechałem lubą i małego syna
I mienia, ile jeno człek zapragnąć może
A Lykyjców podniecam i sam chucią gorzę
Rycernie się potykać, acz mnie nic Achiwy
Nie wzięli, nie zabrali. Lecz ty niekwapliwy
I sam stoisz i drugim nie dawasz podniety,
By w szyku trwali walcząc za swoje kobiety;
Bogdajbyście — ujęci niby w łowcze wniki —
Wrogom nie poszli kiedy w łup i w niewolniki,
Którzy niebawnie miasto wasze ludne zgniotą!
Twoja rzecz — dniem i nocą wciąż zabiegać o to
Prosząc, byśmy niezłomnie wytrwali — hetmany
Przymierzeńców; a wolen możesz być przygany!«
Rzekł Sarpedon i serce w Hektorze rozdraźni:
Z wozu więc na ziem w zbroi zeskoczył co raźniej
I ostrą wywijając włócznią, poprzez roty
Biegł wszystkie, zagrzewając do krwawej roboty;
Zaczem najokropniejsze pobudził natarcie,

Bo czołem się zwróciwszy, stanęli zażarcie
Oko w oko Achajom. Także i Argiwi
Ławą im dotrzymali placu, nielękliwi.
Jak podmuch wiatru, plewy po powietrzu ciska
Przy wianiu zboża pośród wielkiego klepiska,
Wonczas gdy przetowłosa Demeter od plewy
Ziarno celne oddziela rwącymi przewiewy,
Więc plewny pył na wszystkiem osiada białawo —
Tak ubieleni byli Achaje kurzawą,
Którą wśród nich skłębiły rumaków kopyta,
Że niosła się ku niebu spiżowemu wzbita.
Gdy powóźcy w wir boju skręcali nawrotem,
A woje w rąk zamachu wręcz godzili grotem,
Ze wszech stron oną walkę zasuł mroków nocą
Srogi Ares Trojanom spieszący z pomocą
I przez ich wszystkie ufce lecący: w czem kona
Pozew złotomiecznego Fojba Apollona,
Co mu zlecił pokrzepić w Trojanach otuchę,
Ujźrał bowiem, jak poprzez bitwy zawieruchę
Pallas Athene w pomoc Achajom dążyła.
On sam z pysznego chramu Ajneja wysyła,
Zdrowie i męstwo tchnąwszy w pierś ludów pasterza.
Więc Ajnejas w pośrodek swej drużyny zmierza.
Radowali się widząc, iże ku nim kroczy
Żyw i zdrów, pełen chuci do boju ochoczej,
Ale pytaniom inna przeszkodziła sprawa,
Do której Srebrnołuki bodźcá im dodawa
I Ares, który plemię wytraca człowiecze
I Eris mordu głodna, co rwąc naprzód, siecze.

(Dok. nast.).

Lucyan Rydel.

Wpływ „transfiguracyi“ Słowackiego w r. 1842/3

na nową koncepcyę bohaterstwa w „Księdzu Marku“ i „Śnie srebrnym Salomei“.

(Ciąg dalszy).

Ze zbiorową książką młodzieży akademickiej stanęliśmy u kresu dotychczasowych badań krytyki naukowej w mniejszym lub większym stopniu. — Poza niemi mamy do zanotowania jeszcze w bilansie jubileuszowym prace o zabarwieniu bardzo subjektywnem lub z tendencyą, że tak powiem, praktyczną. Są to dwie rozprawy filozoficzne prof. Wincentego Lutosławskiego, jedna w *Pamiętniku literackim* z r. 1909 p. t. »Losy jaźni u Słowackiego« (str. 3—21), druga w *Bibliotece warszawskiej* z r. 1909. t. IV. p. t. »Metafizyka w poezyi Słowackiego« (str. 431—452); dalej »Rozprawy i wyznania Elsów o J. Słowackim«, którym poświęcony jest cały V. tom czasopisma *Eleusis* z roku 1909; wreszcie dwie prace księży katolickich: ks. J. Makłowicza p. t. »Religijność J. Słowackiego«, Lwów, odbitka z *Gazety kościelnej*, stron 27. 1909 i ks. d-ra J. Ciemniewskiego: »J. Słowacki w świetle swoich pism religijnych«. (Lwów, 1910). Ostatnie dwie prace są pierwszą znaną mi — poza świadectwami ś. p. ks. arcybiskupa Z. Felińskiego, — próbą, słabą, interpretacyi psychy Słowackiego, jego dzieł i nauki mistycznej, z ostatnich lat życia szczególnie, ze stanowiska religii katolickiej. Wiele bowiem jeszcze

potrzeba wstępnych przygotowań i częściowych naprzód studyów nad różnymi okresami życia i twórczości autora »Anhellego«, zanim się uda wystawić trwały gmach syntezy ducha tego poety, oparty na podwalinach szczerze i ściśle katolickich. Wtedy i te pierwsze cegiełki mogą się na co przydać.

Ks. Makłowicz zestawia naprzód dorywczo pewne »uchybienia Słowackiego względem religii« z jego pism. To ustęp najsłabszy. Potem roztrząsa »organizacyę jego duszy, usposobienie psychiczne«, w którem podkreśla gorączkowość, wrażliwość, drażliwość, niepokój i dziwne nastroje psychiczne, co objaśnia zewnętrznymi wpływami antyreligijnymi i smutnymi warunkami życia narodu i poety. Następnie podkreśla moralne przymioty Słowackiego, jak pierwiastek idealny, wyrażający się ze wstrętem do wszystkiego, co niegodne, poniżające i brzydkie lub marne; nadzwyczajne poszanowanie dla cnoty czystości i miłość dla matki. To część pierwsza rozprawy. W drugiej usiłuje autor »odtworzyć obraz religijności« poety: twierdząc, że w wieku dziecięcym był Słowacki pobożny, ale w sposób nieco chorobliwy; że w latach młodzieńczych wskutek przyjaźni z Spitznaglem i złej lektury uległ wpływowi Swedenborga, i wiara jego się chwiała, choć jej nie stracił zupełnie, zwłaszcza zachował pamięć na Boga i żywą wiarę w Jego Opatrzność, szczerą wdzięczność i odczucie potrzeby modlitwy — a te resztki religijności podtrzymywało w nim głównie czytanie Pisma św. Nieszczęścia, spadające na ojczyznę i rodzinę, myśl jego coraz częściej zwracają ku Bogu. Podróż do Ziemi św. rozdmuchuje i ożywia te przysypane gruzem obojętności uczucia religijne z wielką mocą, ale jeszcze nietrwale. Od 12 lipca 1842. (poznanie Towiańskiego) nastaje w tym względzie zwrot zupełny. »Odtąd główną myślą Słowackiego jest uzasadnienie towianizmu(?), główną pracą — praca nad sobą i apostołowanie dla nowej idei. Gdy Towiańskiego z Francyi wydalono, a wodzem towiańczyków został Mickiewicz, Słowacki poddał się jego kierownictwu z pokorą. Kiedy go jednak zniecierpliwiła ciasna pedanterya towiańczyków, wystąpił z »Koła« w d. 6 listopada 1843 r. i zaczął działać na własną rękę«. W dalszym ciągu określa ks. M. króciutko zasady jego nauki, zasadnicze jej błędy dog-

matyczne i to dziwne złudzenie poety, sądzącego, że »pogłębia« i »odsłania« tajemnice wiary. Wkońcu po wzmiance o pięknej śmierci poety dochodzi ks. M. do ostatnich swoich wniosków. W Słowackim więc widzi »nie uświadomionego herezyarchę, ale fantastę religijnego«; przyznaje mu raczej »uczucia«, niż »przekonania« religijne; przypomina spostrzeżenie ks. arcybiskupa Felińskiego, że idea kształcenia formy (materyi) przez ducha »występuje u Słowackiego nie jako dogmat religijny, lecz jako luźny poetyczny pogląd na rozwój wszechświata, co do wyobraźni przemawiając, nie wiąże się wcale z dziełem odkupienia« (z »Pamiętników«, I. 276). — Tej niewielkiej, ale treściwie napisanej rozprawce zarzuciła krytyka[1], że choć to »szanowny i cenny głos«, ale »jeszcze bardzo nieśmiały i niepewny«. a »broszura do myślenia i roztrząsań na dany temat pobudza«. Jakkolwiek nie godzę się na pewne twierdzenia tej krytyki (zwłaszcza o mierze, czy normie oceny wiary »umysłowych tytanów«!), to jednak z przytoczoną tu uwagą zgadzam się całkowicie. Zarzucona ks. Makłowiczowi »nieśmiałość i niepewność« daje się w jego pracy istotnie wyczuć. Atoli nie razi ona w tym stopniu co w broszurze ks. d-ra J. Ciemniewskiego, bo ta jest trzykroć obszerniejsza i obfitszym rozporządza materyałem.

Ks. Ciemniewski rozprawia po kolei w rozdziale I o wewnętrznej stronie religijności Słowackiego, w II o wzajemnem oddziaływaniu religijności i patryotyzmu na siebie i w umyśle i w utworach poety, w III o pismach jego wyłącznie religijnych, w IV o t. z. rewelatorstwie Słowackiego czyli jego apostołowaniu nowej nauki o »sprawie Bożej«. Rozdziały te nie rozgraniczają ściśle różnej treści, ale często jeden na drugi treścią swą zachodzi, wskutek czego wielokrotnie powtarzają się te same myśli lub spostrzeżenia. Autor opiera się głównie na listach poety, o dziełach zaś jego ledwie zawadza, nawet gdy roztrząsa jego »pisma filozoficzne«, zajmuje się niemi tylko ogólnikowo. W całej rozprawie znać silny rozdźwięk między uczuciem i wraże-

[1] P. A. E. Balicki w *Przeglądzie Polskim*, 1910, I, 82—84.

niem — chęcią może — które autorowi szepcą bezustannie: że Słowacki to człowiek »nawskróś religijny, — wyjątkowej wprost religijności, — nawskróś wierzący, — arcykatolickich przekonań«(!?), — a sumieniem autora kapłańskiem i szczerością katolicką, które każą mu wyznać otwarcie, że jednak pomimo owych »arcykatolickich przekonań« spotyka się u poety »złośliwe wycieczki przeciwko duchowieństwu, ataki na Rzym i papiestwo... narzekania na zastój i strupieszałość Kościoła, martwotę katolicyzmu« (str. 12) — »apoteozę Lutra... niezgodną z nauką Kościoła teoryę metampsychozy i reinkarnacyi, która powtarza się wciąż w pismach Słowackiego i stanowi poniekąd zasadniczy dogmat jego religijnego systemu« (str. 13). W dalszym ciągu zarzuca autor Słowackiemu, że mu »w początkach brakło... prostoty i pokory chrześcijańskiej« (str. 16), a już »w pierwszym okresie cechuje go pewne zobojętnienie wobec religii... brak spokoju i stałości w wierze« (str. 16 - 18), gdyż »baryerą między nim a Bogiem była duma, poza, wygórowana ambicya i samolubstwo« (str. 21), słowem »katolicyzm jego z tego okresu jest bardziej swojski, niż dogmatyczny, bardziej polski, niż rzymski, bardziej Chrystusowy(!?), niż kościelny« (str. 20). Już z porównania syntezy wstępnej z określeniem charakteru religijności poety w latach młodości przed podróżą wschodnią wyłania się, jeśli nie sprzeczność, to bodaj niejasność i wahanie się autora, które są jeno wyrazem niepewności w sądzie. Zdaje mi się, że takie ujęcie kwestyi, chwiejne i balansujące, wprowadza jeno bałamuctwo szkodliwe w wysokim stopniu przy ocenie przedmiotowej wartości religijnych uczuć Słowackiego. Z tego powodu uważam za całkiem usprawiedliwiony zarzut, uczyniony ks. Ciemniewskiemu przez ks. P. w *Gazecie kościelnej*[1] w recenzyi niniejszej broszury: »Autor... chciał... wykazać, że Słowacki pomimo pewnych zboczeń i błędów, które trzeba pismom jego zarzucić, należy przecież do największych poetów *religijnych*... Autor nie przeczy, że na niejedno zdanie Słowackiego katolik nie może się zgodzić, ale stara się zawsze

[1] R. 1910. n. 11. p. 140.

umniejszyć znaczenie jego błędów i niekiedy posuwa się w dobrej intencyi swojej za daleko w ich tłumaczeniu i usprawiedliwianiu«.

Wskutek tej niejasności stanowiska i dalsza ewolucya religijna Słowackiego od roku 1834 jest pogmatwana, a linia jej w przedstawieniu ks. Ciemniewskiego mocno powichrzona. Autorowi się zdaje, że »Mickiewicz był tym młotem, którym Bóg uderzył niejako Słowackiego w jego piętę Achillesową tj. w przesadną żądzę sławy« (str. 21), i że po przeczytaniu »Pana Tadeusza« uznał nasz poeta wyższość jego twórcy, przez co upadła owa »baryera«, dzieląca Słowackiego od Boga — duma i poza. To też zbyt pospiesznie autor wnioskuje, że »co przygnębiło poetę, uratowało człowieka« i »Słowacki wchodzi teraz (!) w siebie (w r. 1834!), odradza się wewnętrznie, staje się człowiekiem wierzącym w całem tego słowa znaczeniu« (str. 22). Prawdą jest atoli, co powiada o podróży z r. 1837 do ziemi św., choć i tu nie brak łudzenia się co do zupełnej już »transfiguracyi« poety: »Odtąd anioł pokoju stale już gościć będzie w duszy poety« (str. 25); »Słowacki na kilka lat przed spotkaniem się z Towiańskim staje się już... człowiekiem wewnętrznym, szukającym prawdy przez wgłębianie się w tajniki ducha zapomocą intuicyi, a nie samego tylko rozumowania. Ze sfery czysto estetycznej, uczuciowej i wrażeniowej przechodzi on teraz w sferę moralną t. j. w sferę czynu... Wszystko to posiadał już Słowacki, gdy dnia 12 lipca 1842 r. poznał się z Towiańskim, ale mimo to »od tej chwili w usposobieniu Juliusza następuje zwrot zupełny«! (str. 29). A objawy tego zwrotu określa autor w słowach: »Jeżeli chodzi o moralną stronę wiary, t. j. o wcielenie idei Chrystusowej, to Słowacki wykonał ją bez zarzutu, stając się jej wyznawcą i apostołem« (str. 36). Na przyjęcie i uznanie tego wniosku autor nas nie przygotował, bo chciał dowieść... za wiele — a w tych razach często nie dowodzi się... niczego. Zasługą jego jednak pozostanie, że pewne pozory niereligijności Słowackiego wyjaśnił, że niezgodne z nauką katolicką opinie niektóre poety uwydatnił, a następcom swoim pracę w tym kierunku ułatwił.

Jak ks. Ciemniewski chciał ze Słowackiego uczynić »arcykatolika«, tak prof. W. Lutosławski chce zeń zrobić koniecznie arcyfilozofa, metafizyka. Mówi o tem wyraźnie w *Bibliotece Warszawskiej*«; a ten sam artykuł, zmieniwszy jeno wstęp, zakończenie (oba króciutkie) i tytuł, podaje w *Pamiętniku literackim*, w wymienionych już rocznikach. Dla wykrycia właściwej p. Lutosławskiemu tendencyi, warto oba te wstępy i zakończenie wywodów przytoczyć.

»Wielka wrażliwość Słowackiego — powiada autor w *Pamiętniku literackim* (str. 3) — stanowiąca naturalną cechę poetyckiego ducha, utrudniała mu zarazem wpływ na otoczenie, którego tak gorąco pragnął. To było dla niego źródłem wielkich cierpień, wśród których przygotowywał się w nim nowy pogląd na świat, który *(sic!)* całą jego istotę miał przeobrazić, gdy spotkał Towiańskiego, a pogodził się z Mickiewiczem. Te dzieje przełomu w duszy Słowackiego dziś jeszcze mało są znane, gdy znaczna część jego korespondencyi pozostaje niewydaną, a typ jego ducha tak jest odosobniony, że wśród tych, co wydawali jego pisma lub opisywali jego życie, mało kto był w stanie go zrozumieć. Więc przedwczesnem byłoby dziś jeszcze rozprawiać o psychologii wewnętrznej samego Słowackiego, o rozwoju własnej jego jaźni i osobistości. Brak nam jeszcze bardzo wielu danych, by orzec, o ile ta ogromna zmiana, jaka w nim zaszła po 30 roku życia, była już przygotowana wewnętrznym jego rozwojem... Natomiast wydane dotąd pisma Słowackiego... w obu ostatnich wydaniach jubileuszowych, stanowią dostateczny materyał dla zrozumienia poglądów, jakie Słowacki miał na duszę ludzką, zwierzęcą, roślinną i na ducha wogóle we wszechświecie. Poglądy te warto jest wyrazić systematycznie na zasadzie późniejszych dzieł Słowackiego, mianowicie »Genezis z Ducha«, »Króla Ducha«, »S. Zborowskiego«, drobniejszych wierszy mesyanicznych, a także listów Sł. z ostatniej doby jego życia, o ile są dostępne. Słowacki wyraził dobitniej, niż ktokolwiek inny, prawdy psychologii mesyanizmu polskiego... Dobre zrozumienie psychologii Słowackiego będzie przeto stanowić przyczynek do zrozumienia psychologii najdojrzalszej doby Mickiewicza i Kra-

sińskiego. A łatwiej Słowackiego słowami te prawdy psychologii polskiej wyrazić, niż szukać ich u innych naszych wieszczów, bo Słowacki najjaśniej (?!) je sformułował, najzupełniej je opracował, kładąc całe swe życie i wszystkie siły w to słowo narodu, które było przedmiotem największej jego czci i miłości. Więc w Słowackim jest główny klucz do zrozumienia mesyanizmu polskiego — i od znajomości i zrozumienia psychologii Słowackiego zależeć będzie pojęcie głębsze ostatnich dwudziestu lat życia Mickiewicza, o których (czy dwudziestu?) biografowie tak często wspominają z politowaniem, jakby one były zmarnowane — jakby największy duch narodu mógł być (!!) obałamucony i zepsuty przez jakiegoś niedokształconego szalbierza«.

Może spokojnie rozumujący, myślący i krytyczny czytelnik niedowierza swym oczom, gdy czyta takie oświadczenia »polskiego filozofa«, i przypuszcza, że cytata niedokładna. Zaręczam, żem opuścił jeno w miejscach, oznaczonych kropkami, dwa zdania, zawierające porównanie z innymi wieszczami, a raczej innych ze Słowackim. Nic one do treści sądów p. Lutosławskiego nie dodają, ani nie ujmują z nich nic. Tylko wszystkie znaki w nawiasach pochodzą ode mnie. — Otóż profan może przyjmie na wiarę wyroki autora; ludzie jednak, zawodowo na polu literackich studyów pracujący, muszą co chwilę ze zdumieniem pytać: jakie autor ma dowody na swe twierdzenia, tak niezgodne z historyą i krytyką? Dlaczego bezlitośnie obchodzi się z datami i dowolnie je przesuwa? Ale daremnie pytamy: autor w takie »drobnostki« nie wchodzi i o nie dbać nie myśli, bo zamierzył sobie zbudować z poetyckich rojeń Słowackiego system »metafizyki«, o której się dowiadujemy jeszcze dziwniejszych rzeczy z *Biblioteki Warszawskiej*. Posłuchajmy cierpliwie.

»Słowacki jest wśród poetów najgłębszym metafizykiem, a wśród metafizyków najwznioślejszym poetą. Trzeba było tego wyjątkowego zupełnie wypadku, by wielki poeta nagle (pamiętajmy to określenie!), pod wpływem spotkania z mistyczną potęgą skupionej woli Towiańskiego zapłonął chęcią badania wszelkich tajemnic rzeczywistości — aby nam dać system metafizyczny, wyrażony w słowach przepięknie z sobą połączonych

i dziwnie jasno (?!) ukazujących prawdy nadzwyczaj ciemne. Czytelnicy Słowackiego, pod urokiem piękna jego utworów, rzadko sobie zdają sprawę z całej logicznej konsekwencyi poglądów metafizycznych, wyrażonych przez wieszcza w ostatnich siedmiu latach jego życia, od r. 1842—49 (a więc tu już na pewnika się twierdzi, że od 1842 r. Słowacki został owym »dziwnie jasnym metafizykiem«!). Dopiero teraz, kiedy ważniejsze pisma tej epoki są zebrane w dostępnych dla ogółu wydaniach, zestawienie ich ułatwia nam ogarnięcie tej przedziwnej całości, jaką ostateczny i dojrzały pogląd na świat Słowackiego stanowi. Słowacki wyrasta wtedy w oczach naszych na genialnego myśliciela (!!), mającego dla wyrażenia swych myśli wszystkie barwy niepospolitego języka poety. Takie połączenie poezyi z metafizyką, zdolności bardzo ścisłego myślenia z darem poetycznego wysłowienia, od czasów Platona nie było znane w ludzkości — chyba u Dantego (! biedny autor »Boskiej Komedyi« nie spodziewał się pewnie tyle uznania od septemtryonów — wszak przed pięciu laty, w roku jubileuszowym Reja, już i z twórcą »Figlików« go zestawiono!). Warto więc zdać sobie sprawę z tej metafizyki Słowackiego i rozpowszechniać jej znajomość, tem bardziej, że główne prawdy metafizyki Słowackiego nie tylko jego zapatrywanie wyrażają, lecz dziwnie się też godzą z mniej szczegółowo wyrażonymi poglądami Krasińskiego (?) a szczególniej Mickiewicza, nie mówiąc już o samym Towiańskim, który systematycznym i konsekwentnym myślicielem nie był, choć myśli innych rozbudzał«. Z takiem to upojeniem ekstatycznem rozwodzi się p. Lutosławski nad »metafizyką« Słowackiego! Może czytelnicy myśli te z *Bibl. Warsz.* już słyszeli w cytacie z *Pam. lit.*, ale to nie moja wina: sam autor ich w błąd wprowadza, że zmieniwszy tylko wyraz »losy jaźni« i »pogląd na świat« na »metafizykę«, potrafił o tej samej rzeczy stworzyć równocześnie dwa niby różne artykuły, dodawszy do nich tylko nieco odmienne wstępy. Reszta bowiem obu tych rozpraw dosłownie jest ta sama. Metoda jego — jeśli to jest metodą, a nie tendencyą tylko — polega na tem, że wypisawszy moc cytat z różnych pism Słowackiego z lat mistycznych, nawet bez zadania

sobie trudu, by podać miejsce, skąd są wzięte, — co było tak łatwe wobec wydania Gubrynowicza i Hahna, — interpretuje owe cytaty najswobodniej tak, aby ile możności we wszystkich szczegółach przystawały do »systemu metafizycznego«, którego sam jest twórcą w dziele p. t. *Seelenmacht* (Lipsk, 1899), czyli »eleuteryzmu« albo »filozofii wolnych dusz«. A co o tej rzekomej »filozofii« sądzi gruntowna, ścisła i naukowa krytyka, to wiadomo już od dawna z oceny eleuteryzmu, ogłoszonej przed dziesięciu laty przez ks. Stanisława Kobyłeckiego T. J. w *Przeglądzie Powszechnym* (r. 1900, t. 65. str. 1—20, 184—207, 410—438 i t. 66. str. 215—237). Jeśliby »metafizyka« Słowackiego na tychże samych opierała się podwalinach, jak chce p. Lutosławski, to nie tylko nie dowodziłaby tezy jego o myślicielskich zdolnościach poety i jego genialnej pod tym względem wyższości, lecz przeciwnie zasługiwałaby na ów uzasadniony ściśle i logicznie wyrok potępienia, który o »eleuteryzmie« słusznie wypowiedział ks. Kobyłecki w tych słowach: »Główna, naczelna zasada eleuteryzmu, że wola w badaniach filozoficznych jest nad rozumem, obala już z góry cały ten system. Twierdzenie to samo w sobie zupełnie dogmatycznie, bez żadnej krytyki postawione, nadaje całemu systemowi cechę zupełnej dowolności. O krytyczności jakiejkolwiek już mowy nawet być nie może, bo usunięty jest wyłączny organ krytyki, t. j. rozum. Rozum nie rozstrzyga o przedmiotowej wartości wszelkiego filozofowania czy rozumowania eleuterystycznego, ale wola, »wszechwładna pani«. Rozum jest tylko jej »pokornym sługą«. Postawienie tej zasady jako podstawowej już samo stanowczo decyduje o niefilozoficzności całego eleuteryzmu. Eleuteryzm nie należy więc do filozofii, nic z nią nie mając wspólnego«. (*Przegląd Powszechny*, t. 66, p. 223—4). Następnie, w streszczeniu końcowem swej rozprawy, zestawił ks. Kobyłecki zasadnicze niedorzeczności eleuteryzmu w zakresie teozofii, psychologii, logiki, w nauce o monadach — jaźniach od atomów aż do Absolutu. o preegzystencyi dusz i metampsychozie, w teorematach etyki i polityki, a nawet w twierdzeniu o rzekomej »polskości« tej

całej »filozofii wolnych dusz« (str. 226—230 t. 66), o czem tak się wyraża (na str. 231): »Gdyby dowolność i samowola, wroga rozumności i trzeźwości sądu, cechowała rzeczywiście wielką nawet ilość naszych ziomków w pewnej epoce, wtedybyśmy winni powiedzieć, że to jest objaw bardzo niezdrowy, znamię choroby społecznej, którą trzeba leczyć dotkniętą nią część społeczeństwa. Nasz narodowy organizm jest zdrowy, ale musi się właśnie mieć na baczności przed tą chorobą, a najwięcej przed dobrowolnem co do niej zaślepieniem. Zaślepienie takie byłoby bardzo niebezpieczne, bo choroba pewnej części naszego narodu mogłaby się rozszerzać na zdrowe części organizmu narodowego. Samowola w postępowaniu to najwyższa zasada eleuteryzmu, który nie zna przecież żadnych praw, nawet boskich! Autor mówi o rezygnowaniu z tej samowoli na rzecz wyższych jednostek, czy całego społeczeństwa, w imię miłości; ale to jest tylko najdowolniejsze przypuszczenie, niezgodne z zasadą niezależności indywidualnej. Wyrazem tej samowoli jest sławne *liberum veto*. Otóż p. Lutosławski otwarcie się do tego przyznaje, że jest filozofem, a eleuteryzm filozofią tego *liberum veto*... Nasi przodkowie nieraz chorowali na... *liberum veto*. Najtrzeźwiejsi i najdzielniejsi jednak przedstawiciele naszego narodu nie tylko sami tej chorobie nie podlegali, ale boleli nad chorobą współbraci i pracowali nad jej usunięciem. Samowola była chorobą społeczną. *liberum veto* jej paroksyzmem. Gdyby więc nawet samowola, brak karności był cechą naszego charakteru, to byłby tylko cechą negatywną, znamieniem jego chorobliwości w jakiejś części jego przedstawicieli. System więc, głoszący się przedstawicielem i obrońcą tej cechy, byłby również negatywnym, chorobliwym. Jeżeli niekarność jest rzeczywiście cechą polskiego charakteru, a eleuteryzm cechy tej wyrazem, to eleuteryzm jest symptomem u nas niezdrowym, chorobliwym. Walczyć z tym symptomem jest obowiązkiem społecznym. Apoteozowanie tej niekarności i usiłowanie oparcia jej na podstawach filozoficznych jest sprzeniewierzeniem się sprawie narodowej. Kto prawdziwie kocha swój naród, ten

winien pracować nad jego postępem i uszlachetnieniem, nie zaś utrzymywać go w zaślepieniu i wstecznictwie«.

Powyższa przestroga ciętego krytyka eleuteryzmu była bardzo bystra i może wtedy, gdy ją autor wypowiadał, nie przeczuwał, że wkrótce stanie się bardzo praktyczną i potrzebną w innym zakresie — bo na obszarach badań nad okresem wielkiej poezyi mesyanicznej. Obecnie bowiem wątpić już nie można — po licznych w tym kierunku studyach nad mistycyzmem i mesyanizmem polskim — że p. Lutosławski dlatego tak śmiało swe utopie filozoficzne nazywał polskiemi specyficznie i narodowemi, gdyż od dawna zatapiał się w kontemplacyi marzeń, rojeń i majaczeń mistyczno-mesyanicznych już to polskich filozofów, zwłaszcza Cieszkowskiego, już to wieszczów naszych, Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego. A jako umysł z zawodu filozofujący, znalazłszy w ich majakach pewne pokrewieństwo niektórych ich pomysłów i wierzeń ze swojemi, łacno w siebie wmówił, że jest tylko ich wyższym szczeblem, syntezą pod każdym względem. Chcąc zaś działać i stworzyć dokoła siebie wymarzony w swej bądź co bądź marzycielskiej duszy ów idealny świat, uległ naprzód sam swej autosuggestyi, a potem zaczął suggestyonować i swe otoczenie, zapewne w tej szlachetnej wierze, że wciela w życie najpiękniejsze porywy, wzloty i natchnienia wielkiej romantyki! Powoli zapierał się, czy wyrzekał niejednego z swych dawniejszych pomysłów utopijno-filozoficznych[1] na korzyść zupełnego zbliżenia się do poetyckich majaków mistyki twórcy »Króla-Ducha«; aż odpowiednio dostroiwszy je do swoich teoremów, stworzył z nich »Metafizykę« Słowackiego. Taiło się w tem dążeniu gorące pragnienie stęsknionej duszy do realizacyi swych marzeń z pomocą tak popularnych w narodzie i powszechnie uwielbianych wieszczów. I stąd, może nieświadomie, wynikło

[1] Jak daleko p. Lutosławski odbiegł w pewnych sprawach od *Seelenmacht*, dowodzi np. ostatnia jego praca »Ludzkość odrodzona« (Warszawa, 1910), gdzie wyraźnie zaznacza, że w *Seelenmacht*, »książce, napisanej przed nawróceniem autora, należy zastąpić rozdział VII, jako niezgodny z nauką Kościoła, przez rozprawę« z I tomu *Eleusis*. (Str. nieliczb. VI, uwaga na dole).

to widoczne w »Metafizyce« usiłowanie zlania własnych wierzeń z fantazyą największego w poezyi polskiej utopisty-marzyciela i fantasty, ukrywające się w tendencyi, by zeń uczynić »wśród poetów najgłębszego metafizyka«. Bezstronna krytyka wykaże z pewnością autorowi, że ten sposób »algebraicznych skróceń«, dokonywanych na dziełach poety, zawodny jest i zwodniczy. Na tem miejscu tego nie czynimy, bo przekraczałoby to zakres niniejszej pracy. Musieliśmy się jednak przy tej kwestyi nieco zatrzymać, bo p. Lutosławski pierwszy z pośród badaczy Słowackiego przesuwa kąt widzenia w stosunku do »mistycznej« twórczości poety na pole konstrukcyi filozoficznej własnego pomysłu, usiłując, jak w kleszczach, zamknąć w ramach tej konstrukcyi ulotną fantazyę wieszcza naszego i tak go wprzęgnąć w rydwan swego »eleuteryzmu« czyli »filozofii wolnych dusz«. Taka apryoryczna teorya wnosi w pogląd na »transfiguracyę« Słowackiego nowy zamęt, choć niewtajemniczonemu we wszystkie szczegóły marzeń poety może się wydawać, na pierwszy rzut oka, rozświetleniem ciemnych mroków. Ale jest to tylko oświetlenie... bengalskie, chociaż nasz autor z całą siłą przekonania, i zapewne dobrej wiary, przy rozstaniu się z czytelnikami powtarza im *pro memoria:* »Kto bierze utwory Słowackiego tylko jako płody jego wyobraźni, a nie jako »echa duchowego świata«, ten ich olbrzymiej doniosłości w pełni ocenić nigdy nie będzie w stanie. Poza poetą jest tu pierwszorzędny metafizyk, który przejrzał do głębi niektóre najważniejsze tajemnice bytu i daleko więcej dba o ich uprzystępnienie bliźnim (a czemuż ich drukiem nie ogłaszał?!), niż o piękno formy poetyckiej, w której je usiłuje wyrazić (czyż swej »Genezis« nie przyodział w najcudniejszą szatę poetyckiej prozy?). Rozwija on dalej w metafizyce pomysły i odkrycia poprzedników swych, Leibnitza, Herbarta, Wrońskiego. A w najnowszej metafizyce francuskiej, której naczelnym wyrazicielem był Renouvier, znów spotykamy wyraźne ślady duchowego wpływu Słowackiego. Jaźń działa na inne jaźnie według tej metafizyki bezpośrednio, więc nie potrzeba szukać dróg zewnętrznych, któremi myśli Słowac-

kiego natchnęły późniejszych myślicieli. To, że on te myśli myślał, samo przez się już ułatwiło te same myśli jego następcom« (*Bibl. warsz.* 1909. t. IV, p. 451—452). Dalej już chyba w dowolności, w najwyższym stopniu niefilozoficznej i nienaukowej, posunąć się nie można.

P. Lutosławski jest, jak wiadomo, twórcą stowarzyszenia »Elsów«, które od 1903 wydaje swe czasopismo, dość nieregularnie, p. t. *Eleusis*. Ostatni V tom, poświęcili Elsowie wyłącznie Słowackiemu, składając tu na 251 stronach swe »rozprawy i wyznania« o poecie. »Wyznania«, bo wyznają oni, co w Słowackim widzą i za co go mają. Są po prostu jego »wyznawcami«, bo mistrz ich, p. Lutosławski, w swej »kuźnicy narodowej« na kowadle »mistycznej« nauki Słowackiego kuje ich ducha, i w pancerz swego »eleuteryzmu« przyobleka. Jest w tych wyznaniach sporo naiwności, czasem budująca i szlachetna szczerość, nawet dobra wiara, ale ogółem zalatuje z nich jakiś niezdrowy, chorobliwy, bałwochwalczy niemal kult Towiańskiego, Cieszkowskiego i trzech wieszczów naszych, a zwłaszcza Słowackiego[1]. To nuta i ton zasadniczy tych »rozpraw« i »wyznań« bez względu na to, kto je czyni: czy sam p. Lutosławski, (np. str. 3—4), czy p. St. J. Witkowski (np. str. V), czy p. T. Strumiłło (np. str. 166—172), czy wreszcie p. St. Pigoń (np. str. 101—102), bo inni »Elsowie« jak pp. Jeż, Wid, Dzik, Lipa, Brzoza, Grab, Sęk, Chłop, Dąb, są o wiele skromniejsi, więc nie podają »rozpraw«, jeno krótkie »wyznania«. A zatem ton główny Elsów możnaby wyrazić jędrnemi słowy p. Pigonia, który w swym »Trudzie Słowackiego« na str. 101—102 o poecie powiada: »Odpłacić winniśmy duchowi jego za tyle lat poniewierania, niezrozumienia, ignorowania owoców ciężkiej jego pracy — odpłacić rzetelnem ujęciem w prawdzie wartości jego. Uświadomić sobie musimy konieczność budowania na jego fundamentach, oparcia całego życia indywidualnego i społecznego na tej prawdzie kardynalnej, która uświęciła resztki

[1] Na tę chorobliwość zwracali już uwagę ks. Szczeklik w *Dwutygodniku katech.* w n. 11 i 12 z r. 1908. i ks. P. w *Gazecie kościelnej* (Lwów) r. 1909, n. 50 i 51, r. 1910 n. 1 i 9 w artykule p. t. »Mistyka Słowackiego i jej wielbiciele«.

jego żywota (t. j. na »mistycyzmie« »Genezis« zapewne!). Uświadomić sobie z całą mocą, z całem poczuciem odpowiedzialności, że poza wieszczami niemasz dla nas życia, że przez nich wskazana droga jest jedyną w przyszłości ku odrodzeniu, wyzwoleniu«.

A jeśli kto zapyta, co to za jedyna droga zbawienia, co to za fundamenta, na których mamy wznosić »budowanie« i »wyzwolenie« narodu, to p. Pigoń odpowie, że »Słowacki to burzące działo« i że »burzycielstwo jego święte jest, bo jest czynieniem przestrzeni wolnych — pod budowę«. Czy można z zamkniętemi oczami, na oślep, i gwałt zadając sumieniu, wszystko uznać za prawdę i adorować, jakoby objawienie Boże, co się tylko biednemu samotnikowi-poecie przesunęło przez głowę i zbolałe serce w ostatnich latach jego wygnańczej tułaczki na obczyźnie? Wszak wiele z pomysłów fantastycznych i »dogmatów« Słowackiego sprzeciwia się wierze św. katolickiej, a nawet prostemu rozumowi i elementarnym zdobyczom nauki! Azali i to są »prawdy«, azali to także »święte objawienia«? Wobec tej bezkrytycznej adoracyi wszelkich »mistycznych« marzeń Słowackiego i wogóle wieszczów narodowych, ciśnie się pod pióro wyraz oburzenia, przez twórcę właśnie tego ślepego kultu poetów, p. W. Lutosławskiego, z innej racyi niedawno wypowiedziany: »Szybkie zmiany w ludzkich stosunkach wykolejają tysiące ludzi wszędzie. Zła i przewrotna literatura oślepia ich, a gdy zdolności nie odpowiadają ambicyom, mamy tragiczne nieporozumienia. Powierzchowne broszurki są brane za powagi — powaga Pisma św. bywa lekceważona. Dziwna rzecz, jak to bywa ludziom łatwiej ślepo i bezkrytycznie wierzyć jakiemuś współczesnemu Niemojewskiemu lub Szechowi, niż staremu Mojżeszowi lub św. Pawłowi. Ludzie jakoś nie zdają sobie sprawy z tego, jak wielkim trzeba być, żeby przetrwać w pamięci ludzkiej tysiącolecia — i bywają niesłychanie krytyczni wobec dawnych proroków i apostołów — a nadzwyczaj łatwowierni wobec współczesnych blagierów i agitatorów[1]. Genialna to myśl! Ale czyż nie jest w niej zawarty wyrok potępienia tego przesadnego i patologicznego wprost kultu dla całego »mistycznego« do-

[1] W. Lutosławski: »Ludzkość odrodzona«. Warszawa. 1910, p. 233.

robku wieszczów romantycznych, nawet w tych objawach, które się wprost sprzeciwiają nauce powszechnego Kościoła i jego tradycyi, mającej za sobą dwa albo i więcej tysięcy lat? A przecież taki kult szerzą Elsowie i takie właśnie »wychowanie narodowe« zawdzięczają p. W. Lutosławskiemu! Wystarczy przeczytać pięć tomów *Eleusis*, aby się o tem jasno przekonać... A przecież i p. Lutosławski i jego Elsowie chcą odrodzenia religii, świętości, cnoty, ducha w narodzie; chcą wiary nie teoretycznej tylko, ale i praktykującej, owszem choćby najwyższych, bo mistycznych jej wzlotów. I o złą wiarę bynajmniej ich nie posądzamy! Lecz kiełkują w nich właśnie owe złe ziarna, zasiane przez Towiańskiego, a uprawione przez wieszczów, i twórcę na poły heglowskiej filozofii, Cieszkowskiego: pokutuje w nich duch racyonalizmu starego, żądający po protestancku w rzeczach wiary swawolnej autonomii indywidualnej: buntuje się ciągle tętniące w polskiej krwi dziedzicznie *liberum veto* — odwieczna anarchia — i jak »mistykom« romantycznym, tak i im szepce pokuśne słowa niedowierzania świętemu posłannictwu Kościoła. I stąd się rodzi dwoistość ich jaźni — niepojęta jakaś, w sobie rozdarta dwuosobowość: zapewniają, jak ongi Towiański, że są w Kościele katolickim, że wierzą, jak Kościół powszechny, a przez dziwny patryotyzm boczną furtką wpuszczają do duszy »dogmaty wieszczów«, biegunowo nieraz nauce tegoż Kościoła przeciwne. Dawno, bardzo dawno przestrzegał przed tem wiernych Chrystusowych św. Paweł[1]: »Oświadczam się przed Bogiem i Jezusem Chrystusem, który będzie sądził żywe i umarłe — przez przyjście Jego i Królestwo Jego« – to chyba najświętsze zaklęcie! I cóż po niem następuje? Oto nakaz surowy i groźna wróżba: »Przepowiadaj słowo, nalegaj... karz, proś, łaj z wszelaką cierpliwością i nauką. Albowiem będzie czas, gdy zdrowej nauki nie ścierpią, ale według swoich pożądliwości nagromadzą sobie uczycielów, mając świerzbiące uszy; a od prawdyć słuchanie odwrócą, a ku baśniom się obrócą«! Czyż nie to się dzieje? Nie dośćże nam

[1] W liście do Tymoteusza drugim, r. 4, w. 1—4.

rozbicia? Za małoli wrogów zewnętrznych i wewnętrznej zgnilizny, żeby i ci jeszcze, co szczerze chyba pragną odrodzenia i uzdrowienia moralnego, chwiejną swą postawą i bałamutnemi teoryami osłabiali jedyne podwaliny moralności, siły, jedności i zdrowia narodu? Nie daj, Boże, tego doczekać!

Przykre refleksye nad ostatnim objawem zajęcia się Słowackim, choć nas nieco z drogi sprowadziły, tłumaczą się bolem, który serce rozdziera na widok rozpryskiwania się i marnowania najlepszych nieraz sił w narodzie. Lecz powróćmy do rzeczy.

Roztrząsając pisma Elsów o Słowackim, choć spotykamy w nich nieraz nader cenne uwagi o jego duszy i twórczości, to jednak ogółem odczuwamy wszędzie przesadę we wnioskach, a w uczuciu autorów widoczną dążność wyniesienia poety na jakieś wyże prawie nieomylnego w swej intuicyi półboga lub świętego objawiciela absolutnych prawd. Trzeba dlatego te wynurzenia ich czytać bardzo krytycznie, by ziarno prawdy z nich wydobyć.

Z pośród rozpraw *Eleusis* za ważniejszą uważam pracę p. Heloty p. t. »Słowacki w epoce przełomu«, zamieszczoną w tomie III—IV *Eleusis* z r. 1908 od str. 71—116, gdyż ma ona ścisły związek z podjętym przeze mnie tematem; częściowe zaś tylko przyczynki w tej sprawie przynosi t. V. *Eleusis* w artykule p. Ś. Pigonia p. t. »Trud Słowackiego« (w ust. od str. 135 - 147) i p. T. Strumiłły p. t. »Pojęcie Boga u Słowackiego« (w ustępie od str. 164—179).

Helota tak określa lata przełomowe między 1842—1845 w życiu poety: »Czas ten to chwila... gruntownego zatracania i »wymiatania« człowieka wczorajszego a rzucania fundamentów pod gmachy nowej duszy — swojej, człowieka, narodu. W tym więc okresie jakoby w praognisku przeistoczeń najzupełniejszych w zawierusze prac i dążeń są już *in potentia* wszystkie moce i przepychy, uczucia i poglądy, które rychło olbrzymim gejzerem poezyi, piękna i prawdy wykwitły«[1]. Autor mniema, że to mo-

[1] *Eleusis*, t. III—IV. p. 77.

ment dosięgania szczytów, a ślady krwawego pochodu poety na jego zbawczą Golgotę są nadto świeże, by je można zamglić w artystycznym zachwycie. Więc w dziełach tych lat, a nie w »Królu Duchu«, gdzie już interes artystyczny góruje, szuka p. H. »klucza do tajemniczych runów życia« poety, gdyż każde z tych dzieł to etap w walkach jego wewnętrznych. Albowiem »poznanie z Towiańskim było Słowackiemu chwilą przeznaczenia«. Odtąd podjął »iście tytaniczną, najstraszniejszą z prac człowieka na ziemi — przeistoczenie, wyzwolenie w sobie człowieka jutra« (tamże str. 78). Atoli zaczęło się ono wyzwolenie już dawniej — u Grobu Chrystusowego w r. 1837. — »a Towiański przyniósł jeno... pewność, postawienie Sprawy na ostrzu miecza, piorunowe pchnięcie... był młotem do wyłamania kryształu duszy, nie kładką a *(sic!)* poręczą nad przepaścią. Którzy mieli odwagę i moc w sobie, chwyciwszy się jej — poszli w szczyty« (tamże str. 80). »A zaś nigdzie niema tak proroczego widzenia ogromu przyszłych i doczesnych spraw ducha, nigdzie tego zachwycenia pielgrzyma polskiego, na polskiem wygnańczem Patmos oglądającego wodza-archanioła narodu twarzą w twarz (!)... jak u Słowackiego« (tamże str. 81). A dalej podobnie »apokaliptycznym« stylem i frazesem maluje p. H. oną trudną dla poety pracę »wymiatanie brudów« od chwili, gdy się poznał z Towiańskim: »Oto melancholijny budowniczy kościołów bez Boga, który *(sic!)* tak w koturny i gest dostojny się stroił, teraz staje się prostym i cichym jak eremita i jak tenże dla siebie surowym. Postem więc, czuwaniem i modlitwą jarzmił ciało swe, sumienie moralne w sobie budząc... ochoczo, myślą Bożą owiany, imał się wymiatania ze siebie człowieka Duchem przeciętnego... Przeciw sobie miał wszystko: nawyknienia dotychczasowe, ciała gnuśność i opór, zdrowie podupadłe i ludzi niechętnych... a zerwał z tem wszystkiem, z niekształtnej masy życia dotychczasowego wyłamał kryształną postać — na miarę proroków... Modlitwa była mu najskuteczniejszą bronią« (tamże str. 82—83). Następnie daje p. H. obraz duszy poety po zerwaniu z »Kołem« i po napisaniu »Genezis«: tłumaczy powody zerwania; wyjaśnia różnicę między pe-

wnemi wierzeniami Słowackiego a reszty towiańczyków; a wreszcie, nie bez pewnej sprzeczności z poprzednimi wywodami, tak kończy tę syntezę swoją: »Mimo całe swe przeistoczenie królową mienił on zawsze brylantową Panią Poezyi, a *faculté maitresse* była mu zawsze wspaniale opalizująca, chromatyczna wyobraźnia, zbyt potężna, by mógł stać się tym, który kamiennych praw przyszłości fundamenty stawia« (str. 101), bo »Słowacki niedługo zatrzymał się przy źródle: zaczerpnął wody żywej, umocnił w sobie człowieka wewnętrznego i — skrzydłom artyzmu się powierzywszy, wylatał na nich na szczyty myśli i uczucia, w swoje królestwa złota i tęczy, — rzucał arcydzieła narodowi, do przyjęcia ducha miłości i ofiary go sposobiąc« (str. 107).

Prócz tego uzasadnia p. H. swój pogląd na różnicę między duchem Mickiewicza (pojętym zgodnie z »Monsalwatem« A. Górskiego!) a duchem Słowackiego, przyczem wybucha bałwochwalczym hymnem uwielbienia bez miary, twierdząc, że »w tych dwóch ludziach wcielona jest i ujawniona tajemnica życia naszego i życia narodu... w ich życie ze świętem drżeniem patrzeć należy, jak w mroczne ksiąg sybillińskich karty, — patrzeć a umieć czytać... w nich jest rozwiązana alfa i omega idei polskiej« (str. 102—103); jeden z nich Słowacki, — »był słupem ognistym, pełnym ognia i błyskawic — nie Mojżeszem, był poetą, — nie zdobywcą« (str. 106), a obaj »dla każdego z nas świętym hufem, stanowiącym granice duszy ludzkiej« (str. 107). Przez takie puste frazesy Słowacki nic nie zyskuje, a »mistyka« jego chyba się nie rozjaśnia. Określenie zaś tej mistyki, dane przez p. H. na końcu, jest tak »mroczne, jak ksiąg sybillińskich karty«, bo cóż innego zawierają takie powiedzenia autora, jak np. to, że »mistyka jest dążeniem do ujęcia świata przez ducha poznającego, dążeniem, opartem na absolutnej wolności ducha i świata« (str. 109—110)? albo taka definicya: »Mistyka Słowackiego opiera się na poczuciu w sobie synostwa Bożego w przedpoczątkach i na pochodzie ustawicznym do tego praźródła i celu zarazem« (str. 110)? Nie dziw, że przy t a k i e j jasności pojęć może autor w rezultacie ni stąd ni zowąd dojść do wniosku, że tak się bu-

dują zręby Kościoła, na słowiańskim duchu braterstwa i ofiary opartego, z papieżem słowiańskim na czele« (str. 113)![1]

Widzieliśmy, że autor dowolnie podzielił okres »mistyczny« w życiu Słowackiego na dwie części: że rozwodził się nad pierwszą z nich od 1842 - 45. górnolotnie, ale mglisto; że zapowiadał, jako w dziełach tych lat okaże etapy walki wewnętrznej — ale ostatecznie skończył na paru cytatach z listów poety, a utworów jego nie tknął wcale. — Może »rozprawy« V tomu *Eleusis*, specyalnie poświęconego poecie, więcej wniosą światła w one ciemne labirynty... Posłuchajmy co mówi o r. 1842 p. Pigoń.

Towiański »wstrząśnieniem, błyskawicą prawdy wywiódł go (Słowackiego) z mrocznych zamętów szukania i rozwiązał trud: wskazał mu czyn jego... Jakiż był czyn Towiańczyka? Otóż przedewszystkiem to fundamentalne poznanie, że czyn jeden jest, a to ustanowienie siebie samego, odrodzenie się do doskonałości« (str. 137—138); a gdy Słowacki zdobył swoje odrodzenie wewnętrzne, wtedy nabrał też tego przekonania, »że droga do wyzwolenia wiedzie właśnie przez ustawiczne, cząstkowe przezwyciężanie i stanowienie siebie, że to właśnie czyni on, tworząc, ujmując doznania, pracę swoją wewnętrzną, w kategorye artystyczne, w dzieła... To »nagłe wstrząśnienie« towianizmu ukazało Słowackiemu jasne pola przyszłości, rzuciło dziwne blaski w przeszłość... (str. 143). Czyn polski oprze się więc na pracą wyciosanym duchu ludzkim, będzie syntetyczny i bezkreślny. Kresem mu Bóg — Nieskończone Piękno, Dobro i Miłość. Oto założenie dzieł, które Słowacki napisał po roku 1842« (str. 145). A więc przeciwnie, niż p. Helota, autor tej rozprawy nie rozgranicza dzieł okresu mistycznego, a podobnie ekstatycznie i... mglisto wartość moralną przemiany duszy poety określa. Do analizy dzieł, która sama mogłaby konstrukcyę jego syntezy i jej wartość stwierdzić, znowu się nie zabiera.

Ostatni wreszcie zajmuje się sprawą »transfiguracyi« w V tomie *Eleusis* p. Strumiłło. Podkreśla on silnie (czy nie zasilnie?)

[1] Czy to miałby być taki »słowiański papież«, jakich już mają Moskale, Bułgarzy i Serbowie?

naprzód ten szczegół, że nawet pobyt w Ziemi św. nie wywołał jeszcze »ostatecznego uchrześcijanienia« poety, właśnie bowiem lata 1839 - 1842 »znamionuje większe niż kiedyindziej rozwichrzenie nerwowe życia i myśli poety... zaostrzenie największe walki o sławę i uznanie« (str. 163). Dopiero »tem światłem wewnętrznem, tą błyskawicą, rozjaśniającą zadania człowiecze *sub specie aeternitatis*, stał się towianizm. Towiański z całą mocą tej afirmacyi stanowczej, jakiej Słowackiemu brakowało, wskazał poecie najwyższy cel i sens życia, uwydatnił Bożą myśl przewodnią, wiążącą życie i przeznaczenie człowieka ze światem i z Bogiem. I gdy dotychczas stosunek do Boga przedstawiał się Słowackiemu niewyraźnie, jako coś dalekiego, jako rzecz wiary, i zrzadka tylko dawał uczuć bezpośredniej płynące z zaświata wskazania, — gdy tymczasem duma, pragnienie sławy i poczucie rzeczywistej wyższości, z czystości i geniuszu płynące, wysuwały na pierwszy plan zagadnienia stosunku do otoczenia na gruncie osobistych, egoistycznych zachceń i podniet: — teraz nagle uczuł »drgnięcie wewnętrzne«, usłyszał w sumieniu najwyraźniej, że Bóg przez usta Mistrza Andrzeja podaje mu sformułowanie jego obowiązków z Bożego punktu widzenia, powołując wraz z gronem czystych, szlachetnych, ofiarnych — do czynienia »Sprawy« Chrystusowej na ziemi. Życie nabrało więc wyraźnych kształtów, »powiewy z zaświata«, przeczucia, tak wielką rolę zawsze w życiu poety grające, mistyczne porywy, powiązały się przyczynowo; odżyły może mistyczne ziarenka, ongi przez Swedenborga zasiane; uzasadniło się dawne pragnienie jakiejś głębszej religijności i niechęć stała do formalistycznego klerykalizmu. Z drugiej strony światowe życie poety z jego ambicyami... uwypukliło się jako pustka i fałsz... Czuł, że dusza jego »była pełną skarbów Bożych oddawna, lecz nie było w niej miłości« — tej miłości Bożej, która świat ku celom ostatecznym prowadzi... Zaczęło się tedy mozolne wymiatanie z serca dawnego »brudu«, dawnej niedoskonałości i małości, praktykowanie pokory i ćwiczeń religijno-moralnych, wsłuchiwanie się w natchnienia Boże. Ta praktyczna strona nauki przejęła go zrazu nadewszystko: mało w listach do matki teoryzowania, natomiast pełno poczucia potrzeby czynu moral-

nego« (str. 164—166. Ten tedy »okres przerabiania siebie samego — najpierw w łączności z »Kołem«, potem samotną, wytężoną pracą wewnętrzną — trwał aż do wielkiego duchowego rozwidnienia — dwa lata, 1842—1844« (str. 172).

Aczkolwiek nie we wszystkiem zgadzam się z powyższym poglądem autora na okres od 1842—44, to jednak zaznaczam, że w porównaniu z innemi, cytowanemi tu pracami Elsów, jest rozprawa p. Strumiłły treściwa, jasna, wolna od pustych frazesów; a przez to w istocie rzuca na te ciemne lata życia Słowackiego pewne światło.

W mozolnej wędrówce naszej po rozłogach badań literackich nad mistycznemi laty w życiu Słowackiego, a zwłaszcza nad samą istotą t. zw. »transfiguracyi« jego z roku 1842/3, dotarliśmy do kresu. Widzieliśmy całą tę krzywiznę, dziwnie na swej powierzchni powyginaną, jakby od działania jakichś ukrytych, wulkanicznych sił...

Żaden z wielkich pisarzów naszych w krótkiej stosunkowo epoce przeszło czterdziestu lat nie bywał tak różnolicie, tak nieraz sprzecznie pojmowany. Zdaje się, jakoby sam Słowacki przeczuł te przyszłe spory o swą osobę i twórczość, skoro dopatrywał się w sobie i swych dziełach »siły fatalnej«.

Nie mam zamiaru ani godzić ani zwalczać ani nawet wyjaśniać tych rozmaitych sprzeczności. Mówią tu one same za siebie. Dla mnie są one jeno dowodem, że krytyka literacka nie zdołała dotąd przedmiotem owładnąć, a przedewszystkiem wyzwolić się od przeróżnych uprzedzeń. Dadzą się one zauważyć tak po stronie tych, co w czambuł wszystko potępiają, co Słowacki myślał, czuł, działał i tworzył w owych latach końcowych swego żywota; jak u tych, co padają na twarz, jak przed bałwanem, przed każdem urojeniem, każdą marą, każdą fantasmagoryą brylantowej jego fantazyi lub kaprysu. Wobec tylu sprzeczności można poniekąd zgodzić się na zdanie p. I. Matuszewskiego, że »gdzie jest tyle różnych zdań, tam żadne nie budzi bezwzględnej wiary... Każdy z myślicieli dostrzegł jakiś rys prawdziwy, ale żaden nie ogarnął całości« [1].

[1] I. Matuszewski: »Twórczość i twórcy«. Warszawa. 1904, p. 1.

To też zamierzyłem pójść inną drogą: zamiast stawiać kruche syntezy, chcę zanalizować słowami samego poety trzy jego pierwsze, na większą skalę, poematy w okresie transfiguracyi między r. 1842—1844. powstałe i wydane, mianowicie »Księdza Marka«, »Sen srebrny Salomei« i »Księcia Niezłomnego«. Niech twórca ich przemówi sam w tej analizie, która dla łacniejszego uwydatnienia zarysów jego uczuć, myśli i pomysłów będzie czemś w rodzaju przekroju, dającego nam pogląd na układ słojów drzewa. Analiza treści dramatów powyższych doprowadzi nas do bezpośrednich wniosków ideowych, które będziemy illustrować świadectwami poety samego, więc jego listami; a następnie zestawimy je ze znanymi skądinąd dokumentami towianizmu i jego doktryny. A gdy tę doktrynę, o ile nią jest, porównamy z mistyką czysto katolicką [1], wówczas będziemy mogli wydać umotywowany sąd, w czem towianizm uwłacza religii katolickiej, a o ile prawdą jest, że towianizmowi jako takiemu, a nie religii katolickiej, Słowacki, — przynajmniej przed powstaniem »Genezis z Ducha«, więc przed drugą połową r. 1844., bo się na razie nad tym jeno okresem zatrzymam — swą duchową »transfiguracyę« zawdzięcza. Na podstawie wyników dotychczasowych moich spostrzeżeń i badań spodziewam się, że zdołam wszechstronnie uzasadnić, że rok 1842—1844 stanowi pierwszy etap ewolucyi pojęć religijnych Słowackiego, bardzo różny od pięciu lat ostatnich, w których wysunęły się na plan pierwszy mętne i mgliste, może na pół jeno świadome, popędy mistyczno-sekciarskie.

(C. d. n.).

Ks. Romuald Koppens.

[1] Fakt, że piszący o mistyce Słowackiego opierają się na wszelkich choćby świstkach okkultystów, a nie zaglądną do dzieł ściśle naukowych o mistyce katolickiej, wprawił mnie w zdumienie. A przecież istnieją o niej wprost znakomite dzieła; że tu wymienię tylko jedno, które badaczom na tem polu może wyborne oddać usługi: O. Aug. Poulain T. J. p. t. *Des grâces. d'oraison. Traité de théologie mystique.* Paryż, wyd. v. 1906. Str. 600 Pierwsze wydanie wyszło r. 1901!

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Kazimierza Chłędowskiego: Rzym. Ludzie Odrodzenia, (Lwów 1909) wobec najnowszych badań historycznych.

(Dokończenie)

Rozpatrzmy się między historykami, za ich oceną Sykstusa IV. Oto słowa kard. Hergenröthera l. c. t. II, str. 126 sq.: »Sykstus IV, przedtem Franciszek de la Rovere, od wczesnej młodości Franciszkanin, został 1464 jenerałem swego zakonu, cieszył się wielkiem zaufaniem obu ostatnich papieży, jak i znakomitego kardynała Bessariona, na którego naleganie Paweł II kreował go 1467 kardynałem. Jako kardynał żył według swej reguły zakonnej i był cenionym pisarzem dzieł dogmatycznych. Jako papież okazał się w rzeczach dogmatu i dyscypliny surowym i gorliwym... starał się o gruntowne teologiczne wykształcenie kleru, rozszerzył watykańską bibliotekę, wzniósł wspaniałe budowle i popierał silnie sztukę i jej mistrzów. Miasto Rzym ma jemu bardzo dużo do zawdzięczenia... Okazywał wielkie dary umysłu a szczególniej talent rządzenia oraz żywą gorliwość pasterską i zupełną czystość obyczajów. Choć świetnym się okazuje jego pontyfikat, to go przecież zaciemnia często gorzko ganiony nepotyzm... Wogóle papież był bardzo uprzedzającym wobec swych krewnych. Trzeba jednak uwzględnić, że papieże wtedy nie mogli się spuścić na rzymską i tubylczą szlachtę, znajdowali najpewniejszą podporę w swych krewnych i że właśnie przez Sykstusa wyniesieni krewniacy po największej części okazali się godnymi swego stanowiska: kardynał Julian okazał w dwudziestym siódmym roku życia wyszczególniające zdol-

ności i nikt mu nie dorównał w biegłości załatwiania spraw. Piotr Riario, również Franciszkanin, przedtem lektor filozofii w Wenecyi, prowincyał w Romanii, wysoce uzdolniony i ceniony, był nieustannie czynny jako pierwszy minister swego wuja; nie nadużywał swej władzy, był tylko za rozrzutny i lubował się zanadto w okazałości, ale umarł bardzo od ludu żałowany i powszechnie lubiany; wyuzdanego rozpustnika chciały zeń uczynić dopiero oszczerstwa nieprzyjaciół papieskich«.

Możeby te słowa fachowego historyka coś zaważyły na szali, na którą tyle oskarżeń rzucił nasz autor.

Pastor l. c. II, 425 sqq. też ostro ocenia Piotra Riario, mówi o jego rozrzutności, o długach pozostawionych, ale nie jest tak jednostronnym, jak p. Ch.; dodaje bowiem: »kard. Piotr Riario dla uczonych i ubogich był szczodry«, str. 429; na str. 439 pisze: »Sprawiedliwość wymaga powiedzieć, że Riario użył swego bogactwa po części na cele szlachetne. Jego sojusz ze sztukami (pisze Schmarsow) pokazuje nam w jednym roku, przez który mieszkał przy kościele SS. Apostoli, w jego otoczeniu i w jego służbie wszystko zgromadzone, co w Rzymie mieć było można. Zgodnie z tem utrzymuje na podstawie dokładnych badań pewien rzymski uczony, że nie było w ówczesnym Rzymie ani jednego poety, któryby nie wielbił kardynała, jako wielkiego mecenasa. W mowie na pogrzebie kardynała wspomniał kaznodzieja wyraźnie o kosztownej bibliotece, którą zamierzał założyć w swoim pałacu; prócz tego podniósł przez Piotra Riario zarządzone restauracye i upiększenia kościołów w Treviso, Medyolanie, Pawii i Rzymie«.

Nasz autor o tej stronie działalności Piotra ani słówkiem nie wspomina: ale bo to do jego celu nie przystawało!

O bratanku, Giulianie della Rovere, inaczej się wyrażają Pastor l. c. 127 sq. i przywiedzeni przezeń Schmarsow i Reumont, obaj protestanci. Miał wady, ale miał i wielkie zalety; nie można podnosić tylko tamte a milczeć o tych.

O Girolamie Riario, który po swym bracie, kardynale Piotrze, dziedziczył wpływ na papieża i władzę (według mniemania autora rozumie się), czytamy same potworne rzeczy. O spisku Pazzich na Medyceuszów opowiada autor na jednej (155) stronie. Fakt ważny, wymagający dokładnego i spokojnego wyjaśnienia, ujęty w kilkudziesięciu wierszach zaledwie, które wystarczyły, żeby ze Sykstusa zrobić Piłata, dającego pozwolenie na zmianę rządu we Florencyi a nie chcącego rozlewu krwi. O intrygach Lorenza Medici, o zniewagach wy-

rządzonych papieżowi, o jego zamiarach i porozumieniach z Ludwikiem XI, królem francuskim, dążącym do wywołania schizmy w Kościele, autor nie wspomina ani słówkiem, ale za to mówi o nienawiści Sykstusa do Lorenza i o gniewie, jakim doń pałał siostrzeniec papieski, Girolamo Riario. Ktoby chciał tę kwestyę dokładnie poznać, tego odsyłam do dzieła Pastora l. c. wyd. 3, tom II, str. 522—541.

Girolama Riario nie myślimy bronić, jedno tylko mamy życzenie, aby autor, idąc za Pastorem l. c. t. II, str. 599—602, w opowiadaniu wypadków rzymskich z r. 1484 i mówiąc o śmierci protonotaryusza Lorenza Oddone Colonny, powiedział wszystko, co w Pastorze znalazł, nie tylko to, co Sykstusa IV obciąża. Przedewszystkiem należało powiedzieć, że Sykstus zrobił ostry wyrzut Lorenzowi Colonnie, gdy go przed nim stawiono, że Lorenzo dwa razy usiłował go z Rzymu wypędzić.

Co do śmierci Lorenza, pozwolimy sobie zacytować Pastora l. c. str. 602: »Nieszczęśliwy umarł z rezygnacyą i godnością. Przyniesiono ciało na razie do kościoła S. Maria Traspontina, położonego blizko zamku Anioła, skąd je wieczorem odstawiono do kościoła śś. Apostołów. Tu przyjęła matka w towarzystwie wielu niewiast, wśród głośnego płaczu, śmiertelne szczątki syna, które tegoż samego wieczora pogrzebał Infessura i jeden z wasalów Colonny«.

W przypisku 3 dodaje Pastor, że o słowach matki: »Oto dobra wiara papieża« i t. d., nie wspominają źródła ani nawet Infessura, chociaż stronnik Colonnów i bardzo źle usposobiony względem Sykstusa IV. Przytacza je jeden tylko Allegretti a za nim Gregorovius i Ranke, Reumont zaś nie. Schmarsow i Creighton dodają wyraźnie, że niema pewności, żeby papież przyrzekał wypuścić Lorenza. Ważne jest to także, że poseł mantuański, Stefano Guidotto, zupełnie nie wspomina o słowach matki.

Kończy Pastor tą uwagą: »Według wszystkich prawideł krytyki należy odrzucić przez autora odległego podany fakt, o którym nic nie wiedzą świadkowie blizcy i najbliżsi«. Mimo to p. Ch. przytacza te słowa jako historyczne o Sykstusie IV. Kończy wreszcie nasz autor swe opowiadanie przytaczając epigramy łacińskie złośliwe, każące pamięć papieża, zowiące go »dzikim Sykstusem«, »wiary i słuszności wzgardzicielem«, »wrogiem pokoju«, »co w zbrodni i występku przewyższył Nerona«. Niewytłumaczona zagadka, dlaczego autor, który zna Pastora i jego sąd o Sykstusie IV, zna również, a przynajmniej znać powinien pochopny do oszczerstw i kłamstwa język humanistów

poetów satyrycznych i innych pismaków owego czasu, tak lekkiem sercem powtarza ich wyrażenia, pełne żółci i jadu!

Źródłem tych oszczerstw jest kronikarz rzymski Infessura. »Jako zaciekły zwolennik«, pisze Pastor l. c. 640, »śmiertelnie z papieżem poróżnionych Colonnów, sławi ów dzień, w którym Bóg wybawił swój lud z ręki najnikczemniejszego i najniesprawiedliwszego króla„... Dobrego nic, zupełnie nic, nie umie opowiedzieć Infessura o Sykstusie«.

W przypisku l. c. 641, 2, podnosi Pastor, że Infessura w swych zarzutach na Sykstusa miotanych przywodzi jako źródło: *fertur vulgo, dicunt quidam, ut dicitur.* Nasz autor często używa także takich dowodów: mówiono, miał, zdaje się, zapewne, może. Ależ na takich źródłach nie opiera się badań historycznych!

Historycy, protestanccy nawet, uznają zdolności szczególne i przymioty Sykstusa IV. Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia ustępu, którym Pastor (t. II, wyd. 3, str. 655) rozpoczyna nowy rozdział pod napisem: Sykstus IV jako protektor umiejętności i sztuki.

Czytamy tam: »Jednego tytułu do chwały nie można Sykstusowi IV zaprzeczyć: jego nieustannej gorliwości w popieraniu nauki i sztuki. W ubóstwie klasztoru franciszkańskiego wzrosły i wyłącznie ściśle teologicznym i filozoficznym studyom oddany, rozwinął Francesco della Rovere zaraz po swem wyniesieniu na Stolicę Piotrową iście ognistą gorliwość w tym kierunku, by ozdobić Rzym najcenniejszemi i najróżnorodniejszemi dziełami sztuki i nauki, by uczynić stolicę świata chrześcijańskiego także środowiskiem artystycznego i literackiego odrodzenia. Prowadzić dalej wielkie dzieło Mikołaja V było ideałem, który zapełniał jego duszę. I do urzeczywistnienia tego ideału zdążał papież pośród politycznych i kościelnych zaburzeń przez czas 13-letnich rządów z zapałem, który wymusił na jego przeciwnikach podziw. Historya cywilizacyi musi zawsze ze czcią wspominać imię Sykstusa IV obok imion Mikołaja V, Juliusza II i Leona X«.

»O tem nie może być wątpliwości; imię Sykstusa IV ma podobne znaczenie dla rozwoju Odrodzenia w Rzymie, jak imię Cosima de Medici dla Florencyi. Chociaż złoty okres, który Sykstus IV rozpoczął, często odbierał przesadne pochwały od tych, co podziwiali jego (t. j. okresu) wspaniałą świątynię muz, to przecie należy Sykstus IV do najpopularniejszych papieży narodu włoskiego« [1].

[1] Crove-Cavalcaselle: *Gesch. der ital. Malerei.* Lipsk 1869—71, t. III, str. 326.

O następcy Sykstusa IV opowiada autor na str. 196: »Innocenty VIII, stary, schorowany, umarł w r. 1492, po długiej agonii. Jego lekarz, żyd z Ghetto, starał się wszelkimi sposobami życie mu przedłużyć, wstrzykiwał (!) nawet krew trzech młodych chłopców w żyły konającego papieża. Innocenty jednak nie wyzdrowiał, chłopcy poumierali, a zbrodniczy lekarz uciekł, obawiając się odpowiedzialności wobec kardynałów« — za co? czy może za zabójstwo 3 chłopców? nie! — »którym śmierć papieża była pożądaną«.

Z góry proszę czytelnika, aby oszczędzał swe nerwy, bo w tem niema krzty prawdy. Pastor nie uważał za stosowne mówić o tej plotce w tekscie swego dzieła: wspomina o niej (t. III, wyd. 3, str. 240, w przypisku 5) w ten sposób: »Infessura opowiada, że lekarz przyboczny Innocentego VIII, żyd, kazał zabić 3 dziesięcioletnich chłopców i przyniósł papieżowi wytoczoną krew, jako jedyny środek utrzymania życia. Ponieważ papież odrzucił krew, niesumienny lekarz ratował się ucieczką. Gdyby to opowiadanie było uzasadnione, mielibyśmy przed sobą rażący fakt, że żydzi używali krwi ludzkiej do celów leczniczych. Jednakowoż przejrzane przeze mnie dokładne relacye dyplomatyczne mantuańskich agentów nie mówią o niczem podobnem. I w sprawozdaniach Valorego nie czytamy nic o tej sprawie. Sprawozdawca, który zaznacza całkiem dokładnie, co papież przyjmował do siebie, byłby z pewnością nie omieszkał wspomnieć o tak ohydnym środku«.

To jest ostatnie słowo badań historycznych o tym zarzucie. Nasz autor niem się nie zadowala, cofa się wstecz i powtarza starą bajkę jako pewnik niezbity. To ma być sumienność historyczna!

O ostatnich chwilach Juliusza II opowiada p. Ch., że »przywoływano doń wielu lekarzy, ale ufał tylko rabbiemu, ponieważ się do niego przyzwyczaił... Czternastego lutego 1513 r. trochę się Juliuszowi polepszyło, ale niewstrzemięźliwy, kazał sobie podać ośm gatunków najmocniejszych win, aby się wzmocnić. Kordyały na nic się nie przydały, 20 lutego czuł, że się zbliża kres jego życia« i t. d

Skąd autor wziął wiadomość o lekarzu rabbinie i o niewstrzemięźliwości Juliusza, tego nie powiada: chce, byśmy mu wierzyli.

Pastor l. c. t. III, str. 727 powiada, że papież »od świąt Bożego Narodzenia nie był w stanie opuścić łóżka; cierpiał na bezsenność i brak apetytu. Ośmiu lekarzy, najcelniejszych w mieście, mozoliło się napróżno, by znaleźć właściwy powód choroby... Bezsenność i brak apetytu nie chciały ustąpić mimo wszelkich środków lekarskich«.

Stan chorego był zmienny; 19 lutego przybył doń mistrz ceremonii Grassis i znalazł go »zdrowym, rzeźwym i wesołym«. Rozmowa toczyła się około sesyi soborowej i porządku obrad. Na końcu zaproponował mu papież kieliszek małmazyi na dowód, że się zdrowszym czuje. Polepszenie jednak było zwodnicze, gdyż umarł w nocy z 20 na 21 lutego. Czyby ten kieliszek podany mistrzowi ceremonii miał służyć za dowód niewstrzemięźliwości Juliusza II?

Przy pontyfikacie Leona X, 1513—1521, wspomina autor o jego bracie stryjecznym Juliuszu, synie Juliana, stryja papieskiego, zamordowanego w spisku Pazzich 26 kwietnia 1478 i mówi, że był synem naturalnym Juliana i Fioretty i t. d. Wspominając o tem, co nie jest zupełnie stwierdzone, należało dla wierności historycznej zaznaczyć i tę okoliczność, że kwestya pochodzenia nieślubnego jest sporna.

W tej sprawie daje nam Pastor l. c. t. IV, cz. 1, str. 55 sq. wyjaśnienie, z którego się okazuje, że opinia publiczna we Florencyi początkowo uważała Juliusza za takiego; kiedy jednak w jesieni 1513 chodziło o jego promocyę do godności kardynalskiej, zeznania dwóch świadków stwierdziły, że między jego ojcem i matką istniało ważne małżeństwo w tajemnicy. Tego rodzaju tajne małżeństwa, choćby nawet i bez świadków były zawarte, uważało podówczas prawo kościelne za ważne, choć niedozwolone.

Co autor rozumiał pisząc, że Leon X wśród pochodu uroczystego do Lateranu wypowiedział do żydów sakramentalne wyrazy? i t. d. Dlaczego używa słowa: sakramentalne, nie mającego tu wcale rozumnego znaczenia? Wszakże Leon nie udzielał sakramentu żydom! Takich miejsc nie mających sensu naliczyłby więcej w jego dziele. Według autora (311) Leon X, »ulegając Alfonsynie«, swej bratowej a matce Lorenza Medici, »wygnał Franceska Marię della Rovere z całą rodziną z Urbino a zagrabiwszy księstwo na rzecz nepota, popełnił najohydniejszy czyn polityczny, którym splamił swe panowanie«, a na str. 564: »Francesco Maria zaczął układać się ze św. Kollegium, aby mu zwrócono nieprawnie przez Leona X wydartą własność«.

Znowu autor nie powiedział całej prawdy: mówi, co jest na niekorzyść papieża, a zamilcza to, co papieża usprawiedliwia. Czy papież nie miał za sobą prawa, by tak z Franciszkiem Maryą postąpić? Otóż miał i to niewątpliwe.

Franciszek Maria, jako książę Urbinu, był wasalem papieskim. W czasie inwazyi francuskiej w drugiej połowie 1515 r., zagrożony

papież wzywa go kilkakrotnie, by mu spieszył na pomoc przeciw Franciszkowi I i posyła mu pieniądze na cele wyprawy. Książę Urbinu nie tylko z pomocą nie spieszy, choć pieniądze przyjął, ale wchodzi w tajne związki z królem. Po zwycięstwie Francuzów pod Marignano, książę Urbinu podszczuwa króla przeciwko papieżowi. Ale w Bolonii przyszło do zgody między papieżem a królem, a książę Urbinu musiał ponosić skutki swego zdradzieckiego postępowania. Papież nie chcąc być kowadłem, wolał być młotem; odebrał Urbino Franciszkowi della Rovere a dał bratankowi Lorenzowi. Twardy los, ale i twarde obowiązki są wasala. Przyjął je Franciszek z lennem, a gdy ich spełnienia odmawia, sam na siebie pisze wyrok. Można mieć współczucie dla niego, ale trzeba być sprawiedliwym wobec papieża.

Nie podoba się autorowi tajny szambelan (tak go zwie Pastor l. c. t. IV—I, str. 364), Giovanni Lazzaro Serapica. Ulubieniec papieski, służył za młodu za psiarczyka u »kardynała Sanseverino« a »potem został papieżem i światem rządził, jak powiada zjadliwy Aretino«. Że wpływowy Serapika przedtem pełnił nizkie posługi a potem się wysunął aż na szambelana papieskiego, to chyba dobrze o nim świadczy. Nie mogli mu tego zapomnieć satyrycy złośliwi i zazdrośni, nie szczędząc epitetów w rodzaju »psiarczyka«. Pastor pisze l. c. 395 o stosunkach społecznych podówczas:

»Różnicy stanów Odrodzenie nie znało zgoła: najmniej była ona dostrzegalną na dworze Leona X. Najwyżsi prałaci i dyplomaci traktowali każdego, co posiadał talent i osobiste zalety charakteru, jako zupełnie równouprawnionego. Wskutek tego humaniści, poeci, uczeni, a wreszcie także wysuwający się teraz zwolna na czoło artyści, stanowili istotny element wyższego towarzystwa w mieście, które nazywano światłością i widowiskiem świata. Czem był później Paryż, tem podówczas było miasto wieczne: cywilizacyjnem środowiskiem Europy«.

Tendencya papieżom nieprzychylna okazuje się i w tem, że autor chwyta każdy zarzut, choćby fałszywy, przeciwko papieżom podnoszony i bawi nim czytelników: »Posądzano Leona X, że go (kardynała Bibbienę) kazał otruć, ponieważ kardynał chciał z pomocą Francyi zostać papieżem. Mówiono, że« i t. d. »To posądzanie wszakże nie ma dostatecznych podstaw«. A więc poco je autor przytacza? Pastor l. c. str. 377, zbywa tę plotkę krótko: *Das sofort auftretende Gerücht einer Vergiftung ist völlig grundlos. Der Kardinal war seit Jahren leidend.* Nasz autor omawia ją szeroko a uwaga, że posądzenie nie ma dostatecznych podstaw, nie zatrze ujemnego wrażenia? Kto wie? może?

Dzieło p. Chłędowskiego idzie w szerokie koła naszej intelligencyi, czyta je młodzież gimnazyalna, która nie ma sposobności sprawdzać zarzutów, uprzedza się bez powodu i potrzeby do głowy chrześcijaństwa, dlatego przyniesie więcej szkody, niż pożytku. Prawdziwe *capo d'opera* stronniczości daje nam autor w opowiadaniu na stronie 321—328 o tragicznym losie kardynała Alfonsa Petrucci. Ułatwiając sobie pracę, streścił Pastora t. IV, cz. 1, str. 117—142, nie podając źródła, jak to łatwo poznać można po następstwie faktów, zdań, nawet wyrazów, niekiedy fałszywie (zapewne z pośpiechu) komu innemu przypisanych, ale tak streścił, że podniósł, ubrał i potępił ostrymi wyrazami twarde postępowanie Leona X, ale ani najmniejszem słówkiem nie wspomniał o tem, co przemawia za Leonem, co wykazuje jego prawa a tem samem tłumaczy jego surowość. »Leon X postąpił, pisze autor, z prawdziwym machiawelizmem, bo dał list żelazny kard. Petrucciemu, a nadto zapewnił posła hiszpańskiego, że się kardynałowi nic złego nie stanie. Petrucci uwierzył, przybył do Rzymu, udał się do papieża, aż tu go uwięziono i odstawiono do zamku Anioła i pomieszczono w najgłębszej ciemnicy«.

»Poseł hiszpański oburza się na to postępowanie Leona X i zakłada protest przeciw uwięzieniu Petrucciego, ponieważ papież dał słowo honoru, że się kardynałowi nic złego nie stanie«. Tyle z autora!

Rzecz się ma cokolwiek inaczej. Kard. Petrucci wraz z innymi, co przy wyborze Leona X dali mu swe głosy, stawiał potem tak przesadne żądania do Leona, że spełnienie ich było niemożliwe. Wielu z kardynałów uważało się, mówi pastor 117, za »urodzonych współudziałowców we władzy papieskiej«. Żaden papież na toby się nie zgodził. Powodów tedy do rozgoryczenia wiele. Petrucci miał jeszcze inny powód do gniewu na papieża. Brat jego Borghese Petrucci, tyran Sieny, został z pomocą papieża wypędzony. Siena od r. 1493 stała przeważnie po stronie Francuzów, którzy mieli załogę w mieście; to się oczywiście papieżom, przy znanej polityce francuskiej, nie mogło podobać. Kard. Petrucci dotknięty osobiście wywrotem sieneńskim, postanowił wywrzeć zemstę na »niewdzięcznym« papieżu. Między planami było otrucie papieża przez lekarza florenckiego, Battistę da Vercelli. Z zamiarami swymi się nie taił; mówił zbyt głośno i wiele, stąd popadł w podejrzenie. Zmiarkował to i opuścił Rzym, nie pożegnawszy się z papieżem; udał się naturalnie do Colonnów. Z bratem, bawiącym w Neapolu, konspiruje tak jawnie, że papież upomniał go w marcu r. 1517, by dał spokój zamiarom wywoływania rewolucyi

w Sienie, w przeciwnym razie będzie uważał dalsze kardynała w tym kierunku działanie za spisek przeciwko sobie. To nie pomogło. Wchodzi w układy z Franciszkiem Maryą della Rovere, byłym księciem Urbinu, a przez to popada w tem większe podejrzenie. Kroplą do pełnego naczynia było przejęcie listu szyfrowanego, który z Rzymu wysłał do kardynała bawiącego w Gennazzano jego sekretarz, Marco Antonio Nino, donoszący mu, że ów lekarz florencki gotów jest służyć mu według życzenia i że się spodziewa cel osiągnąć zapomocą dwóch powierników papieża.

Uwięziono natychmiast sekretarza i wzięto na tortury, według ówczesnego zwyczaju w praktyce sądowej używanego. Jakie były zeznania, o tem w mieście nie wiedziano, prócz ogólnych zapewnień, że kard. Petrucci jest mocno skompromitowany. Wtedy posłano do kardynała obietnicę restytucyi na Sienę, byle przybył osobiście do Rzymu. Kardynał ociągał się; nie przypuszczał, że korespondencya z sekretarzem wykryta: jego obawy odnosiły się tylko do układów z Franciszkiem Maryą della Rovere. Wtedy Leon X dał mu poręczenie (list żelazny) o tyle tylko i wyraźnie, o ile chodziło o te układy, a nadto ustnie przyrzekł posłowi hiszpańskiemu, że słowa dotrzyma. Na tę gwarancyę przybył do Rzymu kard. Petrucci, stawił się w pałacu papieskim i tu go zaraz uwięziono. Papież zwołał natychmiast kardynałów; oświadczył im, co zaszło, oraz, że zarządził proces przeciwko kardynałom Petrucci i Sauli, którego to procesu akta zostaną w swoim czasie przedłożone do opinii osobnej komisyi, złożonej z kardynałów Remolino, Accolti i Farnese.

Ten szczegół nasz autor przedstawia fałszywie.

Tego samego dnia uwiadomiono dwory wybitniejsze i ich posłów w Rzymie, że kardynałowie Petrucci i Sauli zostali uwięzieni pod zarzutem spisku na życie papieża i że proces sądowy wdrożony. Wtedy »poseł hiszpański założył protest przeciwko uwięzieniu Petrucciego, twierdząc, że on (nie papież) ręczył słowem honoru, to należy jego porękę uważać za obietnicę króla samego. Na to odparł Leon X, że i najdalej idący list żelazny nie może chronić truciciela, który nastawał na życie swego suwerena, chyba że ta ohydna zbrodnia była wyraźnie wymienioną. Ponieważ tedy list żelazny dawał bezpieczeństwo tylko z powodu układów z Franciszkiem Maryą della Rovere, odstąpił poseł hiszpański od swego protestu«. Pastor, str. 120.

Nie papież więc, jak autor mówi str. 322, ale poseł hiszpański dał słowo honoru, a to wielka różnica.

Śledztwo trwało długo, bo chodziło o rzecz ważną: w dniu 23 czerwca 1517 na konsystorzu podał papież do wiadomości zebranych 12 kardynałów wynik śledztwa przeciwko kardynałom Petrucci, Sauli i Riario. Akt oskarżenia zarzucał poczwórną zbrodnię stanu. Według oświadczenia papieskiego było udowodnionem:

1) że Petrucci i Sauli układali się za życia prawowitej głowy Kościoła o wybór papieża,

2) że się przysięgą zobowiązali kardynała Riario zrobić papieżem, na co ten się zgodził,

3) że celem usunięcia Leona X Petrucci i Sauli pozyskali Battistę de Vercelli, który miał leczyć fistułę papieża i zadać truciznę, w co także był Riario wtajemniczony, wreszcie

4) że Petrucci i Sauli byli w porozumieniu z Franciszkiem Marya della Rovere a przeto popadli w te same kary, jakie były wydane na niego.

Chodziło tedy o zdradę stanu, na którą nałożona była kara śmierci oprócz pozbawienia godności i urzędów. Według ówczesnych praw podlegali karze śmierci nie tylko ci, co knuli zamach na życie naczelnika państwa, ale i ci, co o tem knowaniu wiedzieli a o niem władzy nie donieśli.

Wyrok śmierci został zaraz wykonany na Petruccim, to jednak nie pewne czy przez uduszenie czy przez ścięcie. Dwóch innych kardynałów Riario i Sauli papież ułaskawił, nałożywszy na nich wysokie kary pieniężne. Tak się ma rzecz ze spiskiem kard. Alfonsa Petrucciego. Tragiczny jego los! — to prawda tem tragiczniejszy, że nie może znaleźć tego współczucia, jakie się ma do człowieka, co przypadkiem wpadnie pod koła młyńskie i zostanie zmiażdżony.

»Gdy wieść o tych strasznych wypadkach, pisze Pastor l. c. 135, dotarła do Niemiec, opozycya, ze zrozumiałych powodów, zajęła się tą sprawą. Zaraz przedstawiono wydaną na winnych karę, jako niesprawiedliwą, a proces cały, jako spekulacyę pieniężną«. Za głosami opozycyi niemieckiej poszedł p. Ch.

Czytamy na str. 375 sq., że Leon X powodował się »małostkowością« i nie dopuścił Michałowi Aniołowi wykończyć grobowca Juliusza II, stawiając mu tyle przeszkód, aż wreszcie artysta się zniechęcił zupełnie«. Ostatnie badania z zakresu historyi sztuki nie potwierdzają tego twierdzenia. »Ciężkie zarzuty, pisze Pastor l. c. str. 535, podniesiono z tego powodu przeciwko Leonowi X; dopiero najnowsze badania wykazały, że takowe są zupełnie nieuzasadnione«.

Czy więc można powiedzieć, że dzieło »Rzym« stoi na wysokości badań naukowych? że p. Ch. zużytkował najnowsze badania historyczne? Ale prawda! z tych badań nie można ukuć zarzutu przeciwko papieżowi!

Nie możemy pojąć, dlaczego autor przytacza słowa początkowe epitaphium ułożonego przez Aretina o Hadryanie VI i dodaje: »albowiem złe języki rzymskie rozpuściły wieść, że papież umarł z przepicia się«. Jeśli języki złe, to autor szanujący się nie będzie powtarzał ich złośliwych plotek; jeśli mimo to powtarza, to widocznie chce plotkę podtrzymać, na zasadzie francuskich filozofów VIII w.: *calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose.* Twórca epitaphium (*der furchtbare Aretino*, Pastor, 4—2, 552) Voltaire, XVI wieku, znany dostatecznie choćby tylko z dzieła p. Chłędowskiego, ze swych rozwiązłych obyczajów, z chęci szkalowania i talentu szydzenia, wszystkim tak groźnego, że mu się papieże i cesarze opłacali, kupując sobie względny spokój, nie zasługiwał ani na wiarę, ani na ten honor, żeby powtarzać jego oszczerczy wiersz o Hadryanie VI. Pastor l. c. 4—2, 552 nazywa Piotra Aretino »mistrzem najsromotniejszych paskwinad, które uważał za swój monopol«. »Jego paszkwile tryskają rozumem i dowcipem; nikt mu nie dorówna oryginalnością i gryzącym sarkazmem, ale jest to sromotna mowa kanalii pełnej złości«. Tak go ocenia Flamini, historyk literatury włoskiej, u Pastora l. c. str. 9.

Hadryana VI, następcy Leona X, nienawidzili humaniści i kuryaliści za jego skromne życie, za cudzoziemskie pochodzenie (był Niderlandczykiem), za energię, z jaką wziął się do reformy kuryi papieskiej. »Francuska i przeciwna reformie partya ścigała jeszcze papieża po śmierci niemal piekielną nienawiścią«. Pastor l. c. str. 148. Mamy tedy źródło i powód nienawiści do Hadryana VI. Historyk sumienny nie powtórzy wiadomości, z tak mętnego źródła czerpanej, bez jakiegokolwiek sprostowania ze swej strony.

Domagali się różni, między nimi nawet Aretino, sławny z »aretynek« (str. 501) i z miłości greckiej (str. 484), reformy Kościoła, a jak Pan Bóg dał papieża, który się do niej wziął na seryo, to go ubezwładnili swym oporem nie biernym ale czynnym. »I usprawiedliwiona jest mądrość od synów swoich«. Mat. 11. 19.

»Spokojnie, pobożnie i święcie, jak żył tak i umarł«, pisze jeden z przyjaciół Hadryana VI. Na stronie 565 czytamy znowu: »znienawidzony Hadryan« i nic więcej! jakby nienawiść miała się sama przez się rozumieć! jakby była dobrze zasłużoną! Są różne nienawiści;

są i honorowe, zaszczytne. Chrystus był także nienawidzony, padł ofiarą nienawiści, ale sromota za tę nienawiść spada na kogo innego, nie na Chrystusa. Podobnie ma się rzecz z Hadryanem VI.

Z pogromu, jakiego doznał Klemens VII i Rzym w r. 1527 przy najeździe wojsk cesarskich (*sacco di Roma*), cieszyli się Włosi; tak zaręcza autor str 487 słowy: »Wogóle papiestwo tak było wówczas znienawidzone, że znaczna część znakomitych ludzi na półwyspie cieszyła się z upokorzenia i upadku Rzymu«. Jakie ma p. Ch. na to dowody? »Same twierdzenia są tanie, jak jeżyna«, mówi przysłowie niemieckie. Kto nienawidził? Kto się cieszył? Czy wszyscy, co się cieszyli, tacy byli jak Aretino, który nienawidził papieży, ale ich pieniądze lubił? Nam tacy nie imponują. Wiemy też, że Klemensowi VII. gdy odzyskawszy wolność, wyjechał do Orvieto, słali mu tam wyrazy współczucia i życzenia prawie wszyscy książęta włoscy i wiele miast listami lub przez umyślnych posłów.

To są najważniejsze błędy i wady dzieła p. Chłędowskiego. Jest ich jeszcze więcej, które szpecą jego pracę. Znajomością prawd katechizmowych nie może on się poszczycić. Prawdopodobnie nie zależy mu na nich, ale wtedy lepiej byłby zrobił nie potrącając o nie całkiem; byłby też uniknął takiej niedorzeczności, jaką czytamy na str. 119: Mikołaj V nie przewidywał, że »humanizm toczyć będzie pień rzymskiego Kościoła, jak czerw zamierające drzewo«. Z takimi absurdami uporać się nie warto. Nie brak też i szyderstw niesmacznych, jak na str. 154 i 278. Z rażących chronologicznych błędów wymieniamy, oprócz fałszywej daty śmierci Celestyna V. wyżej zaznaczonej, następujące: Leon X umarł 26 listopada, str. 361, właściwie 2 grudnia 1521; Aleksander VII z rodu Chigi urodził się 7 kwietnia 1655 a został obrany papieżem 13 lutego 1699; w rzeczywistości Aleksander VII był papieżem 1655—1667.

Oprócz historycznej strony dzieła jest jeszcze inna niemniej nagany godna: to rozpisywanie się *con amore* o rozwiązłości obyczajów w czasach, o których autor mówi. Są tam ustępy str. 29, 107, 179, 233, 268, cały rozdział o kurtyzanach, dla których to dzieło nie powinno się nigdy dostać do rąk młodzieży i osób moralnie i umysłowo niedojrzałych. Dla oskarżeń nieuzasadnionych, rzuconych na papieżów, i dla pieprzyku pornograficznego będzie się niestety podobało i będzie czytane. Właśnie dlatego dzieła p. Chłędowskiego nie można mierzyć tylko miarą literackiej lub naukowej wartości; jedna i druga zresztą mała. Trzeba je mierzyć miarą zgorszenia, jakie da wielu, bardzo

wielu czytającym. I z tego względu jest ono ważne, ale też za to nie można go dosyć potępić.

Przed kilkunastu laty wyszła w Krakowie socyalistyczna broszura p. t. »Worek Judasza«. W grubej formie, choć ilustracyami opatrzona, prostackim językiem, opowiada ona ohydne rzeczy o papieżach, biskupach i księżach, których pódobnie, jak p. Chłędowski, nazywa »klechami«. To dla ludu i niższych warstw społecznych. »Rzym« p. Chłędowskiego, w formie wykwintnej, z ilustracyami świetnemi, w języku lepszym, przychodzi z tą samą tendencyą do sfer inteligentnych.

Ks. biskup Łętowski zrobił uwagę Samuelowi Bandtkemu. z powodu wydanej przez niego 1817 »Kroniki zboru ewangelickiego«, w tych słowach: »O paręś zborów nahałasił a wywróciliście nam do kilkuset kościołów naszych w samej dyecezyi krakowskiej!« a Bandtke rzekł na to: »to piszcie!« [1]

Ks. dr. Józef Bąba.

Z piśmiennictw obcych.

Theologische Zeitfragen von *Chr. Pesch S. J.* 5. Folge: Glaubenspflicht und Glaubensschwierigkeiten. Freiburg i.B. 1908, str. 217, 8-a.

Wiara ma bezsprzecznie swe trudności, ale bez porównania więcej ludzie sami sobie ich stwarzają fałszywem lub niedokładnem pojmowaniem wiary. Nie znają natury wiary i dlatego stawiają jej wymogi, których ona bez zniszczenia samej siebie dopełnić nie może. Żądają n. p. by była dla rozumu tak jasną, jak wiedza, kiedy ona z natury swej musi posiadać pewne niejasności. Kłopotają się i niepokoją zarzutami, jakie można z łatwością podnieść przeciw dogmatom wiary, a z trudem tylko je rozwiązać; chwieją się we wierze z tego powodu, odpadają od wiary lub czekają z jej przyjęciem, aż wszystkie trudności sobie usuną — nie pomni, że wiara polega na przyjęciu dobrze uzasadnionych, pozytywnych prawd, a nie na umiejętności rozwiązania trudności. Jednem słowem, żadne może inne pojęcie nie jest w umysłach wielu tak skrzywione, tak pogmatwane, takiemi urojonemi nieraz trudnościami najeżone, jak właśnie pojęcie wiary. Dla-

[1] Katalog Biskupów i t. d. Kraków, 1852, t. I, str. XXXIII.

tego wszelka książka, broszura, czy artykuł, mający za cel objaśnienie pojęcia wiary jest przedsięwzięciem pochwały godnem, a gdy się uda, jest dziełem bardzo cennem, przez wzgląd na niesłychaną cenę wiary, której obronie i utrwaleniu takie dzieło służy. Do takich dzieł cennych należy podana w tytule praca O. Chr. Pescha T. J. Autor w przedmowie wyraża życzenie, »by dzieło jego przyczyniło się jednym do lepszego poznania katolickiej wiary i większego jej cenienia, innym, których trapią trudności i wątpliwości, do ich zadowalającego rozwiązania«. W rzeczy samej praca wspomniana może służyć wybornie jednemu i drugiemu celowi. O. Pesch umie »ze skarbca nowe i stare rzeczy wyjmować«, umie stare, boże prawdy w nowej przedstawiać szacie. Obznajomieni z tego rodzaju książkami zabierają się do ich czytania zwykle z pewnym pessymizmem i sceptycyzmem Nowych argumentów lub choćby tylko z nowego punktu widzenia podanych zazwyczaj mało w nich się znajdzie, znać skrzętne zbieranie i korzystanie z innych, ale oryginalności niewiele. Czytelnik obyty z tem wszystkiem, za każdą kartką przeczytaną powtarza z rezygnacyą: »nic niema nowego pod słońcem«. Dzieło O. Pescha jest miłym w tym względzie wyjątkiem. Argumentacya w niem świeża, bo z życia wzięta, głęboko pomyślana i przemedytowana, nieraz argument *ad hominem* w szlachetnej formie, rzadki ale silny sarkazm i szczere oburzenie sprawiają, że książkę czyta się z zajęciem, często ze zdziwieniem nad nowością i prostotą argumentowania, zawsze z wielką korzyścią.

Prawda, są także rozdziały, w których niemiecka ścisłość walczy z pedanteryą o pierwszeństwo, ale takich zaledwie dwa czy trzy. Obliczone są zresztą więcej na teologów, niż na ogół wierzących. Ale zato ustępy jak: o dostojeństwie wiary, o przesłankach wiary, o cudach, o stosunku woli do wiary, o trudnościach i wątpliwościach wiary, każdy przeczyta z zainteresowaniem. Dla wymienionych zalet książki i z powodu niesłychanie ważnej materyi przez autora omawianej, zamierzamy dać tutaj z dzieła obszerniejsze sprawozdanie, aby wszyscy, ale przedewszystkiem ci z czytelników *Przegl. Powszech*, którzy samego dzieła, z jakichkolwiek przyczyn, nie będą mogli czytać, zapoznali się przynajmniej z głównemi myślami cennej pracy.

1. Dostojność wiary. Jest to rodzaj wstępu do omawianych kwestyi o wierze. Ustęp przepiękny. Oto tok myśli w nim zawartych. Wszyscy cenią sobie wiedzę — do wiary wielu uczonych niemal, że wstydzi się przyznawać, jakby do czegoś, co poniża godność człowieka nauki. Nie dość rozumieją dostojeństwa wiary. Wiara jest najszla-

chetniejszym aktem poznania, na jaki się człowiek w tem życiu zdobyć może. Bo cóż to jest wiara? To udział myśli ludzkiej w myślach Bożych »Wierzyć to nie znaczy zrzekać się wiedzy naturalnej, tylko się nią nie zadowalać, to nie znaczy poniżać rozum ludzki, ale się wznieść ponad siebie samego, stać się jedno, pod pewnym względem, przez poznanie z Bogiem«. Bóg nie ma w tem swego interesu, kiedy żąda poddania naszego rozumu pod prawdy objawione, ale tylko nasze dobro ma na oku. Nie ujarzmić nas przez wiarę, ale uszlachetnić, ale wynieść do stanu dzieci Bożych, zrobić swoimi przyjaciółmi — oto zamiary Boga, kiedy nam odsłania swe tajemnice i każe w nie wierzyć. »Już was nie będę zwał sługami, bo sługa nie wie, co czyni Pan jego. Lecz was nazwałem przyjaciółmi, bom wszystko, com słyszał od Ojca mego, oznajmiłem wam« [1]. Tajemniczość jest przeciwną przyjaźni. Bóg odsłania nam we wierze skarby swego boskiego życia, w którem uczestnictwo ma być naszą kiedyś nagrodą, byśmy niemi zachwyceni i olśnieni tu już, na ziemi, myśleli, pragnęli i działali, jak przystało na »dziedziców Boga i współdziedziców Chrystusa« [2]. Uchyleniem zasłony z przedmiotu naszego przyszłego szczęścia napomina nas Bóg: »Co wzgórę jest szukajcie, co wzgórę jest miłujcie, nie co na ziemi« [3], bo »nasze obcowanie jest w niebiesiech« [4], »albowiem nie znamy tu miasta trwającego, ale przyszłego szukamy« [5]. pokazuje na górze Sion »miasto Boga żywiącego, Jeruzalem niebieskie« [6] i oznajmia, że wygląda naszego przybycia. Byśmy się w drodze nie zbłąkali, daje nam za przewodnika Kościół św., a ludzie sobie krzywdują i wiarę nazywają poniżeniem człowieka.

Ale właśnie ten Kościół stanowi dla wielu trudność we wierze niemałą. Gdyby to sam Bóg do mnie mówił — powiadają — nie miałbym powodu nie uznać za prawdę jego słów. Ale oto ludzie, omylni tak jak ja i ułomni, choćby byli nawet biskupami i papieżami, stają przede mną i żądają, bym swój rozum poddał pod ich orzeczenia. Nie samo poddanie się pod powagę Boga, ale pod powagę Kościoła jest kamieniem obrazy dla człowieka wykształconego.

Słusznie O. Pesch nazywa ten zarzut patetyczną deklamacyą. Bo wszakże nie da się zaprzeczyć, że Bóg może ludzi przez ludzi do nieba prowadzić. On jest najwyższym Panem, przeto nie można mu przepisywać sposobów, jakimi ma ludzkość w swej miłości ku celom

[1] Jan 15. 15. [2] Rzym 8. 17. [3] Kol. 3. 1 [4] Filip 4. 20. [5] Żyd. 13. 14. [6] Żyd. 12. 22.

najmędrszym kierować. Zresztą byłoby to już z góry dziwne, gdyby Bóg na polu religijnem inaczej ludzi wiódł do doskonałości, niż to czyni na innych polach życia ludzkiego. Wszędzie indziej Bóg nie chce mieć ludzkość rozbitą na atomy, ale chce, by jednostki żyły w społeczeństwie i nie inaczej tylko przez społeczeństwo, przez ludzi, osiągały swe udoskonalenie fizyczne, umysłowe i moralne. Już z góry tedy trzeba było przypuścić, że i rozwój religijny jednostki będzie Bóg chciał osiągnąć za pośrednictwem ludzkiem. Nie dziwić się tedy, że swe objawienia nie bezpośrednio, każdemu z osobna udziela, ale przez Kościół, przez biskupów i papieża to czyni. Znać tak w porządku naturalnym jak i nadnaturalnym tę samą kierującą rękę, tego samego Pana i Ojca ludzkości.

Dążność wydobycia się w rzeczach religijnych z pod powagi Kościoła jest tylko jednym z objawów dzisiejszego, żadnych ograniczeń nie chcącego uznać indywidualizmu i subjektywizmu. A przecież i najskrajniejszy indywidualizm czerpie ze spuścizny przeszłości pełną garścią swe myśli i rozumowania, a przecież ci, którzy nie chcą w religii uznawać żadnego autorytetu, poddają się na każdym niemal kroku pod autorytet ludzki, czy to będzie jakaś powaga naukowa, czy tak zw. duch czasu, a często źle zrozumiane, a jeszcze gorzej stosowane hasła, jak wiedza, wolność, moralna autonomia itp. Wyobraża sobie niejeden, że jest wolny od wszelkich dogmatycznych więzów, a nie widzi, że jest tysiącznemi, delikatnemi włóknami przywiązany do cudzych zapatrywań. »Bo też całkiem konsekwentny indywidualizm i subjektywizm jest czemś tak przeciwnem naturze ludzkiej, że w swej czystej formie znajduje się chyba u ludzi umysłowo chorych«. Ale i ten z natury swej ograniczony indywidualizm tak dziś już wybujał ponad słuszną miarę i okazał swą bezowocność, że ze wszystkich stron odzywają się głosy, iż tak dalej iść nie można i że trzeba znaleźć koniecznie sposób skojarzenia w przyjaznej zgodzie indywidualności z poszanowaniem autorytetu.

Problem ten już dawno jest rozwiązany w Kościele katolickim na polu religijnem. Kościół żąda poddania rozumu i woli w prawdach wiary pod autorytet nie ludzki, ale Boży. Wprawdzie Kościół domaga się uznania za prawdę swych orzeczeń dogmatycznych, ale nie jako tworów uczoności i ludzkiej mądrości biskupów i papieża, ale jako prawd przez Boga ludziom objawionych. Kościół jest w tym razie tylko nieomylnym pośrednikiem i przesłannikiem tych prawd. Legitymuje się też należycie ze swego posłannictwa i nieomylności. Wierzący.

oparty na autorytecie Bożym, nie zatraca swej indywidualności, ale pod wpływem wiary rozwija ją w najszlachetniejszy sposób. Bo wiara doprowadza człowieka do poznania i miłości Boga. A te dwa czynniki uszlachetniają duszę ludzką, oczyszczając ją z tego, co w niej liche i nizkie, a za to wydobywają z niej, pomnażają i do najwyższego rozkwitu przywodzą wszystkie w niej tkwiące szlachetne siły. Bo miłość Boga to pełnia życia, to wytężenie wszystkich sił naszego ducha, by jak najwięcej przynieść chwały umiłowanemu Bogu, a tem samem to rozkwit indywidualności, tylko z zanikiem tego, co ją szpeci i poniża. Taki św. Augustyn, św. Franciszek Seraficki, św. Ignacy Loyola, św. Dominik i i., to ludzie o bardzo wybitnej indywidualności wyrobionej, uszlachetnionej i do najwyższego rozwoju doprowadzonej autorytetem wiary katolickiej.

2. Przesłanki wiary. Wiarę w prawdy objawione winno poprzedzać poznanie rozumem t. zw. przesłanek wiary, t. j. istnienia Boga i faktu objawienia. Rzecz oczywista. Jeśli mam wierzyć w objawienie Boże, to, by moja wiara była rozumną, muszę wprzód wiedzieć, że Bóg istnieje i że do ludzi mówił.

W jaki sposób przyjść do poznania tych prawd? Nie musi ono być tak trudne, kiedy miliony nie tylko uczonych, ale i prostaczków przyjęło wiarę katolicką, a więc musiało mieć pewność, że Bóg przez Chrystusa mówił do ludzi. Wiara katolicka wymaga od swych wyznawców ofiar nieraz bardzo bolesnych, zaparcia się, przylgnięcia do prawd objawionych, bezwarunkowego, bez wahań i wątpliwości. Kto taką wiarę przyjmuje, ten musi być głęboko przeświadczony o fakcie objawienia.

Ale może to przeświadczenie nie na prawdzie się opierało, lecz na fałszu, na ułudzie? Kto tak mówi, ten musi mieć odwagę przyjąć na siebie wszystkie konsekwencye swego twierdzenia.

Chrześcijaństwo było największym czynnikiem kulturalnym dla ludzkości. Zaprzeczać mu niewyczerpanej żywotności na polu kultury, znaczy wojować z faktami. »A więc Jezus Chrystus, Apostołowie, Święci.. bohaterzy chrześcijańskiej miłości bliźniego, olbrzymy ducha między Ojcami Kościoła i uczonymi chrześcijańskimi, dzieła najszlachetniejszej sztuki na wszystkich polach piękna, wyrosłe na gruncie chrześcijańskiej wiary, słowem chrześcijaństwo ze swymi szlachetnymi ludźmi i wspaniałemi dziełami, którym świat nic równego do dziś dnia nie może przeciwstawić — jeśli to wszystko jest owocem ułudy, chorej wyobraźni i nierozumu, to trzeba przypuścić, że błąd jest bardziej

w skutki błogosławiony niż prawda, że fałsz jest najpodatniejszym gruntem dla zrodzenia dobra, że cała nasza natura nie na poznaniu prawdy, lecz na iluzyach się opiera, że poznanie prawdy czyni ludzi nieszczęśliwymi i stoi na przeszkodzie wszelkiej prawdziwej wielkości. W takim razie ludzkość jest wielką rodziną matołków, którzy tylko w posiadaniu swych głupich idei są szczęśliwymi i do wykonania swych najlepszych dzieł uzdolnionymi«. Pyta się autor po tych słowach słusznie, »co jest bardziej na nierozumie oparte, czy wiara chrześcijan ze wszystkimi swymi błogosławionymi skutkami, czy ta filozofia, która się waży piętnować tę wiarę jako nierozum i szaleństwo i bierze na swą odpowiedzialność wszystkie wyżej wymienione konsekwencye«.

Jaką więc drogą przyszły owe miliony wierzących do przekonania o boskości objawienia w Kościele katolickim? Nie wszyscy tą samą. Jest wiele i rozmaitych dróg, któremi można dojść do pewności faktu objawienia. Każdy może sobie obrać tę, która mu najlepiej odpowiada. Życie nie trzyma się jednolitej metody. Niema może dwóch ludzi, którzyby te same wrażenia otrzymywali, tymi samymi dowodami dali się przekonać. Apologetyka naukowa, która się zajmuje dowodami istnienia Boga i faktu objawienia, posiada w swych głównych zarysach jedną formę. »Ale kto kiedy w ten sposób przyszedł do wiary, że najprzód filozoficznie udowodnił sobie istnienie Boga, dalej możliwość i odpowiedność objawienia, zbadał krytycznie źródła objawienia i dopiero wtedy uwierzył? Prawdopodobnie nikt. Życie nie postępuje ani tak mechanicznie, ani tak logicznie«. Nie trzeba mieszać wiary z teologią. »Aby wierzyć nie potrzeba być apologetą ani teologiem, nie trzeba wiele dzieł czytać... znać wszystkie odnośne kwestye, zarzuty i ich rozwiązania, tak jak nie trzeba studyować filozofii, by do codziennego życia mieć potrzebne pojęcia, tworzyć sądy i wnioski«.

W pierwszych czasach chrześcijaństwa cuda dość częste, spełnienie się proroctw, świętość życia pierwszych chrześcijan, potem heroiczna wiekowa wytrwałość męczenników były dla wielu dowodem boskości nauki katolickiej. »W średnich wiekach było królestwo Boże na ziemi w krajach chrześcijańskich tak jawnie urzeczywistnione, że wątpliwość o fakcie objawienia mogła powstać chyba tylko w głowie jakiego uczonego mola książkowego«. A dzisiaj? Dziś dziecko, wychowane w domu katolickim, dowiaduje się z ust rodziców, później katechety o boskości religii katolickiej. Cała atmosfera domowa, jeśli to dom szczerze katolicki, praktyki religijne rodziców, kazania w kościele, nabożeństwa, śpiewy, ceremonie kościelne — to wszystko wpaja dziecku

przekonanie o fakcie objawienia. Ludziom prostym tego rodzaju motywa wystarczają na całe życie, by ich utrzymać w przekonaniu o boskiem pochodzeniu ich religii. Innym, w miarę ich rozwoju duchowego, trzeba będzie dawne motywa pogłębić, nowe sobie przyswoić. A dla wszystkich motywem łatwo dostępnym faktu objawienia jak i istnienia Boga, to samo istnienie Kościoła katolickiego. Sobór Watykański, *cap. 3 de fide*, tak o tym motywie powiada: »Kościół sam przez się dla swego podziw budzącego rozszerzenia się, nadzwyczajnej świętości i niewyczerpanej w błogie skutki żywotności, dla powszechnej jedności i stałości niezwyciężonej, jest wielkim i ustawicznym motywem uwierzytelniającym boski swój początek... Wskutek tego jest on jakby znakiem wysoko wzniesionym między narody, które zaprasza do siebie, a syny swe czyni pewnymi, że ich wiara opiera się na najsilniejszym fundamencie«. Cechy Kościoła, wymienione przez sobór, tylko niedokładnie z początku dziecko pojmuje, ale przy łasce bożej na swój wiek dostatecznie, by mogło z nich mieć pewność o boskości Kościoła. Zresztą w tym okresie życia, motywem dla dziecka uwierzytelniającym jego religię jest powaga rodziców, katechety itp. W miarę swego rozwoju wnika coraz głębiej w siłę dowodową wspomnianych cech Kościoła. A każde głębsze wniknięcie służy tylko do potwierdzenia i ugruntowania dawnej pewności. Zresztą kwestye dotyczące faktu objawienia są wyłuszczone w tysiącznych katolickich pismach, od popularnych broszur, aż do dzieł jak najściślej naukowych, tak, że każdy, stosownie do potrzeby, może w nich znaleźć odpowiednie pouczenie. Ponieważ fakt objawienia wytrzymuje najściślejszą krytykę, jeśli tylko ta jest z miłości prawdy podjęta, przeto postęp wiedzy nie jest szkodliwy dawniejszym pojęciom dziecka, ale wielce pożyteczny. Szkodliwą jest tylko, tak w religii jak i gdzie indziej, zadowolona z siebie niedouczoność i, co na jedno wychodzi, ślepe powtarzanie cudzych, niedowiedzionych twierdzeń. Dlatego powinien wierzący pamiętać na przestrogę Apostoła: »Albowiem powiadam wszystkim, którzy między wami są, żeby nie więcej rozumieli, niźli potrzeba rozumieć; ale, iżby rozumieli wedle mierności, jako każdemu Bóg udzielił miarę wiary«. (Rzym 12, 3).

W każdej umiejętności ośmiesza się człowiek, jeśli zabiera głos w kwestyach przekraczających jego wiedzę. Tylko w umiejętnościach wiary dotyczących myśli każdy, że może o wszystkiem sądzić i wypowiadać się. Wszak nie każdy jest teologiem, nawet wtedy nie, kiedy z jakiegoś działu wiedzy ludzkiej porobił egzamina państwowe, a na-

wet teolog nie może o sobie twierdzić, że na wszystkich polach teologii jest fachowcem. Jeśli tedy ktoś bez wyboru wszystko czyta, wszystkiego słucha, zabiera głos w rzeczach, które tylko fachowych ludzi obchodzą i oni jedni umieliby na nie dać odpowiedź, to musi sobie przypisać, że jego teologiczny dyletantyzm przyniesie szkodę jego duszy. Właśnie dlatego Chrystus ustanowił Kościół, aby nie każdy w rzeczach wiary swym siłom tylko był pozostawiony.

Ale czy przez to nie tamuje się postępu wiedzy religijnej? Bynajmniej, tylko czyni się każdego uważnym na to, że postępu można pragnąć i szukać tylko w granicach rozumnej możliwości. Inaczej doszlibyśmy do bardzo dziwnych konsekwencyi. »Czyniono n. p. zarzuty przeciw katolickiej wierze, powołując się na rzekomą niezgodność nauki Kościoła z oryginalnymi tekstami Pisma św. Czy mają wszyscy wierzący przysiąść fałdów i studyować hebrajskie, aramajskie, greckie po to, by na podniesione zarzuty umieć odpowiedzieć? Toby już było sporo roboty. Ale gdyby się z tą pracą kto uporał, może znowu natrafić na zarzut: To wszystko na darmo, bo ja ci mogę udowodnić, że cała chrześcijańska religia jest z buddyzmu wzięta. A więc znowu na gwałt studyować języki indyjskie, czytać całą literaturą do buddyzmu się odnoszącą. Potem trzeba będzie uczyć się odczytywać pismo klinowe, bo w Babilonii miały być początki chrześcijaństwa. A potem przyjdą zarzuty z historyi, z nauk przyrodniczych i t. d. — a więc znowu głębokie studya tych gałęzi wiedzy ludzkiej«. Myślę, iż niedorzeczność tych konsekwencyi każdego przekona, iż postęp w umiejętnościach religijnych musi się stosować do zdolności i możności każdego. Prawda polega na pozytywnych dowodach, a nie na umiejętności zbicia wszystkich możliwych zarzutów. Niema nic na świecie tak pewnego, coby się nie dało zaczepić pozornymi zarzutami, ale jest to, jak zauważył Arystoteles, dowodem słabego umysłu niepokoić się zarzutami, jeśli się ma prawdę dobrymi, pozytywnymi argumentami uzasadnioną. We wszystkich umiejętnościach są trudności, które rozwiązać na razie niepodobna. A jednak tam nikomu na myśl nie przyjdzie wątpić o faktach raz ustalonych. Dlaczego ma być inaczej, kiedy chodzi o wiarę? Przeciw faktowi objawienia już 19 wieków poszukują nieprzyjaciele religii dowodów i dotąd ich nie znaleźli, a i w przyszłości się im to nie uda, bo przeciw prawdzie nie da się nic uzasadnionego wynaleźć. Już niejedno, co uważano dawniej za oręż niezwyciężony przeciw wierze, przebrzmiało dawno. Kto z powodu zarzutów wówczas czynionych wyzbył się wiary, dziś słusznie uchodzi za niemądrego i lekko-

myślnego. Nie lepiej powiedzie się w przyszłości tym, którzy dziś z przesadnego kultu dla »wiedzy« dadzą się zachwiać w swych religijnych przekonaniach.

3. Cuda. Kościół uważa cuda za jeden z najprzystępniejszych dla wszystkich i najpewniejszych dowodów boskości objawionej religii. Dla racyonalistów cuda właśnie są solą w oku. Powiadają, że z cudami już się wiedza uporała i że tylko niewykształceni wierzą jeszcze w cuda. »Twierdzenie takie to plewy, na które się tylko głupie ptactwo łapie«. Uczeni niedowiarkowie mają zwyczaj podawać się za jedynych przedstawicieli wiedzy i tych tylko uważają za ludzi nauki, którzy ślepo powtarzają ich zdania.

Nie możemy podać wszystkiego, co autor pisze o cudach — a wszystko mądre i głębokie — ograniczymy się na rozświetleniu jednego, pozory naukowe mającego zarzutu przeciw cudom.

Nauka — powiadają niedowiarkowie — cudu nie uznaje. Bo przedmiotem nauki są zjawiska, siły i prawa przyrody. Co leży poza tym terenem, to nie obchodzi fizyka, chemika itp.

Podwójny błąd tkwi w takiem rozumowaniu. Najprzód, nielogicznem jest to twierdzenie. W obrębie pewnej wiedzy nie ma miejsca na cud, więc cud jest wogóle niemożliwy. Wniosek prawdziwy byłby taki: Cud jest niemożliwy, jak długo tylko naturalne siły działają, a temi tylko zajmują się umiejętności przyrodnicze; więc w zakres tych umiejętności cud nie wchodzi. Ale z tego wcale nie wynika, że niema ponad siłami przyrody Stwórcy, który może zrobić, czego przyroda nie potrafi. Już myślenie ludzkie leży poza sferą fizyki i chemii, a przecież ani fizycy, ani chemicy nie zaprzeczają faktu myślenia. Powtóre, jest nadużyciem pojęcia »wiedzy«, kiedy się tą nazwą oznacza wyłącznie empiryczne dziedziny wiedzy, a więc tylko umiejętności przyrodnicze i historyczne, a potem się tak wnioskuje: »Wiedza« nie wie nic o cudach, cuda naukowo nie dadzą się uzasadnić. To jest sofizmat. Bo jeśli się nazwę »wiedzy« ogranicza tylko do samego konstatowania empirycznych faktów w przyczynowym związku zostających, to tego, co poza tymi faktami leży, nie można odrzucać jako nienaukowe, ale tylko zaznaczyć, że to nie jest przedmiotem tej tak pojętej »wiedzy«. Z tego jednak bynajmniej nie wypływa, że człowiekowi jest wzbronione, albo że to jest nierozumne nie zostawać tylko przy oglądaniu samych faktów, ale szukać dla ich wytłumaczenia odpowiednich przyczyn, a gdy się te nie znajdują w obrębie praw przyrody, szukać takowych poza temi prawami. Wnio-

sek ze skutku na odpowiednią przyczynę zawsze się utrzyma wobec zdrowego rozumu, czy go kto nazwie »naukowym«, czy nie. Tak samo dozwolonem zawsze będzie wnioskować ze skutku, który siłami przyrody nie mógł powstać, na nadprzyrodzoną przyczynę. Czy taki wniosek będzie »naukowy«, czy nie, o to nie chodzi, w każdym razie będzie rozumny.

Ale to jest metafizyka, a z metafizyką już sprawa skończona. Do »rzeczy samej w sobie«, do *numenon* jest nam droga zamknięta. Tak mówi Zaratustra... nie, Kant. Z umiejętnościami nieempirycznemi już koniec, to są illuzye transcendentalne. A więc w imię nauki cud jest niemożliwym, bo cud jest czemś transcendentalnem.

Twierdzenie, że wszelkie poznanie rzeczywistości poza światem zjawisk jest niemożliwem, jest, jak dotąd, bez dowodu. Jest ono wypowiadane z »metafizyczną« iście dogmatycznością, ale nie dowiedzione A z metafizyką to tak: Wypchnie się ją drzwiami, to włazi oknami. Kant i jego zwolennicy nie mogą się też obejść bez metafizyki. Ich dzieła roją się od metafizycznych pojęć i twierdzeń. W każdym razie samo twierdzenie o niemożliwości transcendentalnego poznania, nie jest dowodem przeciw cudom. Mamy prawo, na mocy zasady przyczynowości, powiedzieć: Każdy skutek ma swą przyczynę; a skutek, który przewyższa siły naturalnych przyczyn, musi mieć nadnaturalną przyczynę. Gdy kto powie, że ten wniosek jest nienaukowy, to dobrze, w takim razie jest »nadnaukowy«, a przedewszystkiem rozumny. A gdy się mówi, że poza empiryczną wiedzą niema żadnego innego pewnego poznania, to prosimy już raz dać nam dowód na to twierdzenie.

4. Stosunek woli do wiary. Wielu dzisiaj wyznacza wierze na pole działania sferę uczuć. Rozum ma się od wiary zdala trzymać. Uczuciem, miłością człowiek łączy się z Bogiem, odczuwa Go, czerpie bezpośrednie od Boga objawienia, doznaje doświadczeń religijnych. Wtedy, powiadają zwolennicy takiej wiary, odpadną wszelkie trudności, jakie »intellektualistyczne« pojmowanie wiary stwarza, a wiara znajdzie się na terenie, na którym nigdy nie przyjdzie do konfliktu z wiedzą, bo tej ostatniej zakresem są czynności rozumu. »Sprawa jednak nie da się tak prędko ani tak gładko załatwić. Dzielić człowieka na dwie części, z których jedna — rozum — nic nie wie o Bogu, a druga — uczucie — bez rozumnego poznania, goni za urojeniami wyobraźni, które, wmawia w siebie, mają być Bogiem i jego objawieniami — to stan nienormalny, sprzeczny z na-

turą rozumnej istoty, jaką jest człowiek, to tchórzliwa ucieczka przed sceptycyzmem, to niemęska bojaźń przed wynikami »wiedzy«, to w ostatecznym rezultacie ruina chrześcijańskiej religii«. My katolicy nie chcemy wiary, którąby była ryzykiem, my chcemy wiary, o której rejbyśmy mogli powiedzieć: Wiem, komum uwierzył i pewien jestem, że jego słowo mię nie myli. Antyintellektualizm jest rakiem, który niszczy jedną po drugiej prawdę objawioną i, jak się to stało w protestantyźmie, ledwie szkielet chrystyanizmu zostawia.

Mimo to wiara nie jest wyłącznem dziełem rozumu, tak jak niem jest wiedza. Wiedza polega na w g l ą d n i ę c i u rozumu w pewną prawdę, tak, iż rozum sam widzi, przy własnem świetle, że inaczej być nie może. Stąd uznanie czegoś za prawdę, kiedy chodzi o wiedzę, nie zależy od woli człowieka, nie jest jego aktem wolnym ani zasługującym na nagrodę. A przeciwnie, wiara jest aktem dobrowolnym, za którym idzie nagroda, tak jak za niewiarą kara. Bo na czemże wiara polega? Na uznaniu pewnego zdania za prawdę, ale nie dlatego, iż się jej tam rozum własną intuicyą dopatrzył, ale na słowo czyjeś, człowieka wiarogodnego, kiedy chodzi o wiarę ludzką, na słowo Boże, kiedy chodzi o Boską. Wiara tedy wspiera się na powadze mówiącego. Wierzę nie dlatego, żem sam prawdę zobaczył, ale dlatego, że mi to ten lub ów powiedział, którego słowo jest dla mnie powagą, staje mi za racyę. Oczywiście, że aby moja wiara na słowo drugiego była rozumną, muszę wprzód wiedzieć, że on rzeczywiście zdanie, w które mam wierzyć, wypowiedział i że zasługuje na wiarę. Kiedy chodzi o wiarę Boską, muszę, nim uwierzę, wiedzieć, że Bóg istnieje i że pewną prawdę objawił. Skoro atoli raz kto tę pewność posiadł, już potem, kiedy wzbudza akt wiary, wiara jego opiera się li tylko na słowie Bożem: wierzę, bo Bóg tak powiedział. I dlatego siła tej wiary nie mierzy się stopniem pewności, jaką miałem o przesłankach wiary, ale jedynie i wyłącznie powagą, jaką ma i na jaką zasługuje — a więc u nas najwyższą — powagą słowa Bożego. Wiara nie jest konkluzyą rozumową z przesłanek wyciągniętą. Gdyby tak było, toby ani wolną nie była, ani silniejszą nad wszelką pewność ludzką. Bo konkluzye rozumowe nie są aktem wolnym, a ich pewność mierzy się pewnością, jaką dają przesłanki. Akt wiary zaś jest i wtedy wolnym, gdybyśmy o przesłankach wiary, tj. o istnieniu Boga i o fakcie objawienia, mieli pewność bezwzględną, opartą na samej choćby oczywistości. Mówię, że i wtedy nawet wiara byłaby aktem wolnym, bo oczywistość przesłanek okazałaby nam tylko, w sposób niezbity, nasz

obowiązek wierzenia prawdzie objawionej, ale znać swój obowiązek, a spełnić go, to dwie całkiem różne rzeczy, które nie zawsze ze sobą idą w parze. Uznać coś za prawdę, na rozkaz, na życzenie, na słowo drugiego, będzie zawsze aktem dobrowolnym, choćbyśmy wiedzieli najdokładniej, że on ma prawo żądać od nas takiego aktu. I dlatego to wiara jest dobrowolnym aktem czci i hołdu, oddanego nieograniczonej władzy, jaką ma Stwórca do swego stworzenia, wiara to akt ufności dziecięcej, która oddaje się w ręce najlepszego Ojca, pewna, że ten Ojciec swego dziecięcia nie wprowadzi w błąd, to ofiara dobrowolna naszego rozumu, złożona Bogu w uznaniu Jego nieomylnej prawdomówności.

Wskutek nierozróżniania wiedzy od wiary, utrudniają sobie ludzie samą wiarę. Często się daje słyszeć: Mogę tylko w to wierzyć, co rozumiem. Oczywiste pomieszanie wiedzy z wiarą. Wiedza opiera się na zrozumieniu, wiara na powadze. Nie o to chodzi we wierze, czy rozumiem prawdę wiary, czy nie, ale o to, czy ją Bóg objawił? Bo jeśli się przekonam, że tak jest, to już mam obowiązek w nią wierzyć bez względu na to, czy ją rozumiem, czy nie. Gdybym w nią wierzył dlatego tylko, że ją pojmuję, nie byłaby to wiara, ale wiedza.

5. Trudności wiary. We wierze biorą udział wszystkie władze duszy: uczucie, wola i rozum. Wszystkie też wywierają na wiarę dodatni lub ujemny wpływ, podnoszą jej życie lub je osłabiają, a czasem odbierają.

Wiara jest aktem wolnym, więc też przyjęcie i utrzymanie jej zależy głównie od woli. Ale na akty woli nie sam rozum wpływ wywiera, ale i uczucie. Na cuda Pana Jezusa patrzył lud prosty i uczeni faryzeusze i doktorowie zakonu. Widzieli jedni i drudzy spełnienie się na Nim proroctw. I co się stało? Maluczcy, ubodzy i ci wszyscy, którym zbawienie duszy więcej leżało na sercu, niż wymarzony byt polityczny narodu żydowskiego, poszli za głosem rozumu i łaski. Wielcy i uczeni, dla których niezależność narodowa była wszystkiem, nie chcieli Mesyasza, którego »Królestwo nie było z tego świata«. Ich konkluzya na widok cudów nie była: Jezus dał dowody, iż jest prawdziwym Mesyaszem, a więc musimy w niego uwierzyć, ale: ten człowiek czyni wiele znaków, a więc musimy go zabić, by cały lud za nim nie poszedł. Teoretyczne poznanie boskiego posłannictwa Chrystusa było u wierzących i niewierzących, ale praktyczne konkluzye były odmienne, bo na praktyczny sąd wpływa nie samo poznanie, ale może jeszcze więcej subjektywne usposobienie. Namiętności, życzenia, bojaźń,

nadzieja, nienawiść, miłość - słowem cała dziedzina uczuć przemawia za przyjęciem lub odrzuceniem wiary. Otoczenie, w jakiem kto przebywa, książki, dzienniki, stan polityczny narodu, prądy duchowe współczesne, wychowanie itd., wszystko to wytwarza u jednostki usposobienie przychylne lub nieprzychylne wierze.

Wola także ma swoje nieraz cele, by odwodzić rozum od przyjęcia prawdy objawionej. Objawienie żąda od człowieka nie tylko teoretycznego uznania pewnych prawd, ale i spełnienia ciężkich nieraz, a zawsze przykrych dla naszej natury obowiązków. Kto nie ma dość siły woli, by te ciężary wziąć na siebie, ten pocznie wyszukiwać najrozmaitsze pozory, trudności, zarzuty, by sumienie zagłuszyć, światło prawdy przysłonić, wiary nie przyjąć, lub się jej, jako niewygodnej, wyzbyć.

Zaznaczone dotąd trudności są natury moralnej, płynące ze skażonej woli, lub namiętnością opanowanego serca. Namiętność jednak to dobrze rozumie, że sama przez się nie może być usprawiedliwieniem odstępstwa od wiary lub nieprzyjęcia jej, dlatego szuka zawsze płaszczyka na pokrycie swego postępku w rzeczywistych lub pozornych intellektualnych trudnościach. O tych jeszcze słów kilka, idąc śladem autora, powiemy.

We wszystkich niemal umiejętnościach spotykamy się z trudnościami, na które albo wcale niema odpowiedzi, albo tylko niezadowalające. Fakt naukowy może nie ulegać wątpliwości, ale wyjaśnienie przyczyn tego faktu, określenie bliższe szczegółów napotyka na trudności. »Że słońce własne ciepło posiada, jest rzeczą pewną; jakie jest źródło ciepła słonecznego, czy kurczenie się masy słonecznej, czy deszcz meteorów, czy co innego jeszcze — rzecz dotąd niezbadana. Że ciała się nawzajem przyciągają, nie ulega również wątpliwości; jaka jest przyczyna tego zjawiska, o tem dadzą się najwyżej stawiać hipotezy«. A więc nie można wierze robić z tego zarzutu, co we wszystkich umiejętnościach jest rzeczą naturalną. A jednak jak często się słyszy: przeciwko wierze da się podnieść niejedna trudność, a więc nie można jej przyjąć. Nielogiczna konsekwencya, bo aby wierzyć, nie trzeba umieć rozwiązać wszystkich trudności. Tylko wtenczas trudności mogłyby zachwiać pewnem twierdzeniem, gdyby obaliły same dowody, na których się to twierdzenie opiera. Jeśli zaś dowody są nienaruszone, to nastręczające się trudności, czy dadzą się rozwiązać, czy nie — mniejsza o to — nie powinny wierzącemu sprawiać kłopotu. Każdy wierzący ma zresztą całkiem prostą odpowiedź na wszystkie zarzuty: Kościół

jest od Chrystusa ustanowiony, aby pouczał wszystkie narody i w tym celu posiada dar nieomylności. Wszelkie więc twierdzenie niezgodne z nauką Kościoła musi być fałszywe. Ta odpowiedź jest dobrą i służy każdemu wierzącemu za szaniec, od którego się pociski błędu odbijają. Kto ten szaniec opuszcza, niech się nie dziwi, że go zranią pociski nieprzyjaciół. Nawet uczeni teologowie nie mogą się obejść, w wielu razach, bez powoływania się na naukę nieomylnego Kościoła. Bo żaden z nich nie jest w stanie wszystkich trudności, jakie istnieją i jakie jeszcze w przyszłości mogą się pojawić, rozwiązać. Dla każdego główną odpowiedzią będzie: Kościół tak uczy.

Powołanie się na powagę Kościoła jest tylko pośredniem rozwiązaniem trudności. Kto w granicach swej możności usiłuje rozwiązać wyłaniające się przeciw dogmatom trudności, ten czyni coś takiego, co nie jest koniecznie potrzebnem wierzącemu — zajmuje się wtedy raczej teologią, niż wiarą. A wiara i teologia to nie to samo. Wiara jest uznaniem za prawdę pewnych zdań na podstawie boskiego objawienia. Teologia jest naukowem objaśnieniem, rozwinięciem, zastosowaniem, systematycznem ugrupowaniem tych prawd. Zadaniem teologii, a nie wiary, jest rozwiązywać trudności. Kościół katolicki stara się o to troskliwie, by teologia katolicka była gruntownie uprawianą, a teologowie mają obowiązek starać się o rozwiązanie trudności. Jest to tedy obowiązkiem osobnego stanu w Kościele, nie zaś zwykłych wiernych; dla nich wystarczy trzymać się nauki Kościoła, a po rozwiązanie trudności zwracać się do tego Kościoła i jego teologów. Oczywiście i świeccy, w miarę możności, nie są wykluczeni od usiłowań w rozwiązywaniu trudności wiary.

Komu uda się trudność rozwiązać, ten oddał cenne usługi wierze, Kościołowi i teologii. Jeśli jednak w tem usiłowaniu dojdzie do rezultatów, które nie zgadzają się z nauką Kościoła, to musi sobie powiedzieć, że mu się rozwiązanie trudności nie udało, ale że przez to nic się nie zmieniło w prawdzie objawionej, ani w jego wierze. Bo wiara nie jest owocem ludzkiej wiedzy i nie zależy od jej wyników, ale opiera się jedynie na powadze objawiającego Boga. Prawdziwa wiedza może o tyle wierze świadczyć usługi, że usuwa z jej drogi przeszkody, które stoją na zawadzie jej przyjęciu, a fałszywa wiedza może jej o tyle szkodzić, że jej te przeszkody rzuca pod nogi; ale zasady, na których się wiara wspiera, nie są wzięte z wiedzy i żadna wiedza nie może ich obalić. Dlatego wiara pozostaje w sobie nienaruszoną wynikami badania naukowego i odwrotnie — metoda nauko-

wego badania w niczem przez wiarę nie bywa skrępowana. Wierzący uczony może w ten sam sposób badać, jak i niewierzący; może przy badaniu całkiem nie oglądać się na to, że objawienie wypowiedziało się już w kwestyi, którą on bada. Dopiero we wyniku badań wierzący uczony nie może nic za prawdę uznawać, co się sprzeciwia boskiemu objawieniu. Ale to jest tylko naturalną konsekwencyą jego przekonania o nieomylności wiary i Kościoła i tego pewnika, że prawda prawdzie sprzeciwiać się nie może. Jeśli się tedy rezultat badań sprzeciwia prawdzie objawionej, to musiała zajść pomyłka w samem badaniu, trzeba tedy jeszcze raz samo badanie poddać rewizyi.

Te są najważniejsze kwestye, poruszone w cytowanem na początku dziele O. Pescha. Staraliśmy się podać główne myśli ogół czytelników obchodzących kwestyi. Wiele innych, niemniej wspomnienia godnych, n. p. o tajemnicach wiary, o łasce musieliśmy opuścić, by zbyt naszego sprawozdania nie rozszerzać. Znajdują się w książce, jak wspomnieliśmy na początku tej recenzyi, także kwestye teologów więcej, niż ogół wiernych obchodzące. Do takich zaliczamy zaraz pierwszy pełny polemiki rozdział: »o obowiązku wiary«, drugi o kwestyi ciekawej ale subtelnej: »o wierzących poza Kościołem«, wreszcie ostatni, już czysto na teologów obliczony: »o stosunku przesłanek wiary do samego aktu wiary«. Pomijamy omówienia tych kwestyj, odsyłając ciekawych do samego autora.

Na zakończenie recenzyi, skromna uwaga. Wolelibyśmy, by kwestye subtelne, obchodzące teologów, a mało zwykłych wiernych, były z książki wypuszczone, lub w sposób więcej popularny, niż to czyni autor, traktowane. Książka albo musi mieć cel ściśle naukowy, albo, jeśli jest przeznaczona dla szerszej publiczności, tak jak omawiana, winna kwestye ściśle teologiczne pomijać lub je w sposób bardzo przystępny przedstawiać. Także daje się odczuć pewna rozwlekłość i powtarzanie się w niektórych ustępach książki. To są jednak tylko usterki wobec prawdziwych pereł głębokich myśli, jasności na ogół i gruntowności przedstawienia.

Ks. M. Sieniatycki.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Księżna Łowicka. Powieść historyczna z XIX wieku. *Wiesław Sclavus*. Wyd. II. Tom I, str. 267, tom II, str. 290. Kraków. Gebethner i Sp.

Autor przeniósł się w ową chwilę, kiedy to namiestnikiem Królestwa Polskiego był generał Zajączek, kiedy Nowosilcow trwał na stanowisku komisarza cara Aleksandra, a w Belwederskim pałacu rozpierał się, jak we własnym, Konstanty, wielki książę, a mały człowiek, o kocim charakterze, co to raz łasi się i przymila, by dla lada kaprysu pazury pokazać, niemi zadrasnąć choćby na śmierć. Spochmurniała więc dawna królów polskich siedziba. Bo, kiedy każdy z przybocznych księcia, od szyldwacha przy bramie pałacu, aż do — niby zaufanych, o samą osobę księcia się ocierających — baczył jeno, czy książęca wesołość nie zmieni się we wściekłość, to i trudno było o pogodę. Mało jej też miała Żaneta Grudzińska, »z woli księcia« jego żona. Przeprowadził ją autor przez Golgotę, jaką i w życiu przechodziła; odmówił jej chwil radosnych, bo ich nie miała przy boku księcia. Ideą ozdobił wielką, by małżonka i dworaczy tłum na drogę prawą wieść — tą ideą, którą i za życia się pieściła, a którą, według powieści, przywiedzeniem męża do wiary katolickiej chlubnie uwieńczyła. (Porównaj rozprawkę ks. Sasa w *Przegl. Pow.*, luty, 1909 r.). A kiedy w komnatach belwederskich cichy wiodła żywot, to stanął przed nią cień: W mundurze majora — wyniosły, dumny, wspaniały — Łukasiński. Był czas, kiedy obopólna sympatya zwiewała ich ku sobie — ale to minęło i rozwiało się z chwilą wyjścia za mąż, ale to łachmanem kiru się pokryło z chwilą, kiedy Łukasiński w tym samym, co Żaneta, zamieszkał pałacu — w lochach jego. I wspaniała, wspaniała grozą jest ta scena, kiedy to księżna, szukając służebnej, wchodzi w podziemia i nadspodziewanie majora spotyka — albo ta, w której zakutego w kajdany przed oblicze księżnej przyprowadzili, czyby go może dawnem wspomnieniem czystem do brudnej stopy księcia zwalić się nie udało. Ale major został sobą do końca, do owej chwili, w której bratnią kulę, co mu w ręce utkwiła, jak relikwię całował i błogosławił. Między tymi obrazami przesuwa się szereg innych, a wszystkie one nadają powieści wdzięku, czynią z niej napój dla duszy, któryby się jednym haustem chciało wypić. Tu stary Wawrzon mundur wdziewa i ordery na pierś przypina i do kościoła, w którym już bardzo dawno nie był, idzie, by się z samym Bogiem »prawować«, a śmierci ukochanego wodza, Dąbrowskiego, przeszkodzić. Na łożu śmiertelnem leży sam wódz i żegna otaczających go. A kiedy trumnę na katafalku ułożą, to przemówi do niej Kosiński, przemówi z tą wiarą, że ciało jeno w grób odejdzie, a duch ostanie się żyw, duch, który w armię przejdzie i w pamiętną noc listopadową młodzieńcze skrzydła do lotu rozwinie. *W. B.*

Genezis z Ducha. Modlitwa. J. Słowackiego (obraz duszy poety). *Karol Wróblewski*. Lwów. Księgarnia H. Altenberga. 1909. Str. 50.

Sto lat upłynęło od chwili, w której przyszło na świat owe dziecko,

które marzeniem sławy żyć poczęło, o tę sławę w modłach swych się dopominało. Dziś, świat mniej lub więcej uczony (z pewnymi oczywiście wyjątkami) przyszedł do przekonania, że ten, co tak po mistrzowsku słowem władać umiał, godzien istotnie wielkiej u potomnych sławy. Każde dzieło, każdy w tem dziele ton poddano obserwacyi w mnóstwie odczytów i rozpraw. Jedną z takich złożył do skarbnicy polskiego piśmiennictwa i p. Karol Wróblewski. *W. B.*

Jak rozbudzać wśród młodzieży cześć do Przenajśw. Sakramentu. *Ks. M. Jeż.* Warszawa 1909.

Mała ta, o 24-ch stronicach, broszurka wiele dobrego może sprawić, jeśli będzie znana i rozpowszechniana.

Autor jej, wytrawny pedagog, znawca i miłośnik młodzieży, zachęca w niej wychowawców do umiejętnego korzystania z tak dzielnego środka pedagogicznego, jakim jest Przenajświętszy Sakrament.

Napisana jędrnie, praktycznie, bez balastu dewocyi, ale prostem i gorącem sercem, godna jest wszelkiego zalecenia. *Tollatur et legatur.*

Ks. H. P.

Vie de la bienheureuse Marguerite Marie. Par *A. Hamon.* Paris. G. Beauchesne. 16-o. Str. 520.

W r. 1907 pojawiło się obszerne dzieło ks. Hamona o błog. Małgorzacie Alacoque, w którem na podstawie sumiennej i ścisłej krytyki starał się on odtworzyć jak najwierniejszy obraz tej pięknej i tak wielce uprzywilejowanej duszy. Wszystkie fazy wewnętrznego jej życia, o ile mogą być nam przystępne ze światłemi i ciemnemi swemi stronami, rozwija on przed oczami czytelnika jak wstęgę coraz to szerszą i coraz piękniejszą.

Żeby uniknąć zarzutu subjektywności, zaopatrzył on przytem tekst licznemi i długiemi dopiskami i nie mówiąc o osobnym traktaciku »O źródłach« *(Etude des sources),* który umieścił na końcu.

Wszystko to razem nadawało jego pracy wielką wartość naukową, ale ze szkodą jej popularności, jużto ze względu na cenę (7.50 fr.), już na objętość (8-vo, str. 600). Żeby tym niedogodnościom zaradzić, wydał on osobno sam żywot Błogosławionej, opuszczając dopiski, ów traktacik o źródłach i przydłuższy wstęp.

To wydanie skrócone tak samo, jak wspomniane obszerniejsze, miało na celu przyśpieszenie kanonizacyi Błogosławionej. Czciciele Serca Najśw. mieli bowiem nadzieję uzasadnioną, że w 1900 r. Jego uprzywilejowana Powierniczka zaliczoną zostanie pomiędzy Świętych w Kościele. 11 maja miało się odbyć posiedzenie przygotowawcze Kongregacyi dla zbadania potrzebnych dwóch cudów, a 11 sierpnia inne w sprawie samej kanonizacyi.

Do tego jednak niestety nie przyszło. Ale w każdym razie został szlachetny wysiłek tych, którzy przyśpieszyć ją chcieli — między innemi została ta praca ks. Hamona.

Wielu zajmowało się tym samym co on przedmiotem: byli między nimi i tacy pisarze znakomici, jak ks. biskup Bougaud. Każdy w swoim rodzaju dodał trochę nowego światła, rozjaśnił nowe strony charakteru Błogosławionej. Ale można powiedzieć, że palmę pomiędzy nimi on właśnie otrzymał, tak przynajmniej sądził ks. biskup z Digne, Dominik Castellan, kiedy do ks. Hamona pisał:

»Szeroka erudycya przy skrupulatnej ścisłości w jej stosowaniu, stawia dzieło ks. proboszcza na wysokości wymagań krytyki najsurowszej.

A przytem piszesz ksiądz z życiem, bez powziętej z góry niechęci do objawów nadprzyrodzonego świata, która to tyle innych życiorysów świętych pod piórem niektórych zwolenników modernistycznego kierunku w historyi, odziera z polotu, świeżości i naturalności«.

»Umiałeś mój księże — pisze dawny biskup z Mans — zużytkować cały ogrom nagromadzonego materyału historycznego, opracowując go ze ścisłością krytyki delikatnej i czujnej. Wskutek tego mogłeś nakreślić obraz po raz pierwszy całkowity i prawdziwy tej sympatycznej świętej. Teraz możemy zrozumieć dlaczego współcześni (zanim poznali tajemnice drogi jej życia) byli do niej uprzedzeni, wkońcu jednak uznać musieli trafność jej sądu, dar rady, hart duszy niezłomny, tak że w klasztorze i poza nim słowo jej było decydującem w sprawach pierwszorzędnej doniosłości. Przyczem czytając Twe dzieło nie dziwimy się, że była zawsze serdeczną, gotową na usługi każdego, zawsze równie przystępną, uczynną i miłą. Wykazujesz nam, księże proboszczu, jak bardzo zrównoważone były w niej jej przyrodzone władze, co nie przeszkadzało, że od czasu do czasu, jak błysk z innego świata, przebijało się w jej życiu coś z nadziemskich światów. Udało się Tobie, Księże proboszczu, za pozorami codzienności klasztornego życia wyprowadzić na światło dzienne historyę duszy wielkiej świętej.

»Czytając dzieło Twoje, żaden uczony sumienny mówić nie będzie o newrozie lub hyperatonii chorobliwej, bo w życiu Błogosławionej nawet śladu tego wszystkiego niema; chyba, że zechce on utrzymywać, że jest niem to, co duszę czyni wielką, piękną i szlachetną«.

Wobec tego życzyćby wypadało, aby znalazł się czemprędzej ktoś, coby dzieło to tak bardzo wobec ascezy zasłużonego autora przyswoił naszej literaturze, a nim to nastąpi, aby dusze żądne doskonałości i nabożne do Serca Najśw. jak najobficiej przynajmniej z oryginału francuskiego korzystały. *A. M.*

Der Tabernakel einst und jetzt. Eine historische u. liturgische Darstellung der Andacht zur aufbewahrten Eucharistie. Von *Felix Raible*, weiland Pfarrer in Glatt (Hohenzollern). Aus dem Nachlass des Verfassers herausgegeben v. Dr. Engelbert Krebs. Mit 14 Tafeln u. 53 Abbildungen im Text. 8-o, XXII & 336. Freiburg 1908. Herder.

Duch głębokiej czci i pobożności dla Przenajśw. Sakramentu wieje z tej gruntownej pracy zmarłego w r. 1907 proboszcza Raible'a. Chcąc nowe tabernakulum sprawić dla swego parafialnego kościoła, podjął się mozolnego studyum odnośnych rzymskich przepisów, ich historyi, uzasadnienia i głębszego znaczenia, by »budować Panu dom« (1 Kr. 22, 6.), któryby wszystkim najdrobniejszym nawet przepisom, oraz wymaganiom sztuki odpowiadał. Z tych praktycznych zamiarów wyrosło to poważne studyum, które praktyczne wskazówki łączy z pogłębieniem naukowem na tle historyi, dogmatyki, liturgii i ascezy. Adeptom sztuki kościelnej i duchowieństwu wogóle podaje książka ks. Raible'a piękne motywy i projekty dla ozdoby domu Bożego Kaznodzieje znajdą w niej wyborne materyały dla eucharystycznych nauk.

Ks. F. M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Papież, Sillon i *Nowa Reforma.*

Pius X-ty wydał d. 25 sierpnia 1910 r. pismo do zwierzchników Kościoła we Francyi w sprawie związku zwanego Le Sillon, — i o tem to piśmie *Nowa Reforma* już dnia 1 września 1910 w nrze 398-m wydała swój sąd, zaczęty słowami: Kurya rzymska znów uczyniła krok nieszczęśliwy, — potępia działalność republikańsko-katolickiego stowarzyszenia »Sillon« (Brózda).

Chlubę przynosi redakcyom mieć czujnych sprawozdawców z każdego wypadku w świecie i uwiadamiać o nim czytelnika bez zwłoki. Ale ujmę przynosi sprawozdawcom wprowadzać czytelnika, za jego pieniądze, w błąd, a za to brać jeszcze dla siebie pieniądze od redakcyi, której narusza się powagę.

Otóż sprawozdawca *Nowej Reformy* pośpiesznie czytał pismo papieskie czy zawierzył o niem słowom innych sprawozdawców lekkomyślnych, i donosi, jakoby papież wyraził zdanie, że wszystkim tradycyom Kościoła sprzeciwia się praca społeczna bez udziału władz kościelnych, praca mająca na celu wolność i równość współobywateli. Stąd rzekomo: w kołach klerykalnych panuje przekonanie, że papież Pius X-y nie zna nastroju w obozie katolickim francuskim, skutkiem czego nieprzezorna polityka Rzymu może

oddać wszystko, co klerykalizm zdobył, w ręce skrajnego liberalizmu.

Otóż, kiedy p. sprawozdawca bez pośpiechu przeczyta pismo papieskie, tedy sam pozna, że papież nie potępia, lecz chwali działalność Sillonu, zatem gani członków tego związku nie za pracę obywatelską, ale za nowe poglądy przeciwne tradycyom Kościoła, i wzywa do dalszej pracy, ale już pod nadzorem biskupów; więc koła klerykalne widzą zdobycze pracy chwalebnej nie wydane w ręce klerykalizmu, ale właśnie z takich prądów wyrwane.

Wypada tu najprzód ze samego Sillonu przytoczyć jeden albo drugi objaw ducha samowolnego, który do zasad jego katolickich dorzucał niebezpieczną dawkę liberalizmu.

Między wielu dziwnemi rozprawami, Le Sillon roztrząsał także, — 10 i 25 maja 1906, — sprawę sług, a to ze względu na przeciwieństwa między stanem służebnym a popędami demokratycznymi.

Któraż to demokracya, czy socyalna, czy chrześcijańska, budzi w sługach popędy sprzeczne z ich stanem? Tego Sillon nie wyraził, ale wymienił same owe popędy, z którymi stan służebny nie zgadza się, więc wymaga zmiany w ustroju społecznym. Otóż z demokracyą nie zgadza się po 1-e że słudzy nie są swobodni, tylko zawsze na oku panów, po 2-e stanowisko służebne zawiera poddaństwo sprzeczne z dostojeństwem człowieka, po 3-e słudzy nie mają oznaczonej liczby godzin pracy, po 4-e zbyt często pan domu i synowie postępują obelżywie ze sługą, po 5-e zbyt często sługa mieszka w kącie niewygodnym, nie bardzo przyzwoitym i niezdrowym, po 6-e sługa nie może mieć żadnych stosunków towarzyskich: nie ma sposobu przyjąć przyjaciela najuczciwszego chyba w kuchni pod dozorem państwa.

Otóż i chrześcijańska demokracya popiera sługi w prawie do mieszkania stosownego, do względów na ich obyczajność, zdrowie i duchowne obowiązki, — ale chyba to socyalna demokracya widzi ujmę dostojeństwa ludzkiego w stosunku zawisłym sługi od pana albo żąda fabrycznej liczby godzin w pracy domowej. Więc Sillon wygląda skłonnym do demokracyi ponad miarę chrześcijańską, kiedy owym wszystkim sześciu wymogom dla służby

przyznaje, że odpowiadają potrzebie przyrodzonej, głębokiej, nieodzownej. Nawet dalej idzie: uważa za zbawienne, żeby słudzy poczuwali się zależnymi przedewszystkiem od siebie samych, żeby okazywali państwu powagę swojej osoby i łączyli się między sobą w związki, w których gromadnie żądaliby zmiany w obecnym ustroju stosunków służebnych.

Zarzuca sam sobie, że dąży do takiej demokracyi, w której każdy wyrzeknie się wszelkiej posługi. Tak!... ludzie nauki chyba sobie sami kolejno posługiwać będą do doświadczeń, bo chirurgowi nagle laborant w środku operacyi pozamyka noże, a astronomowi w ciągu zaćmienia bedel pochowa szkła i pójdzie do siebie, kiedy usłyszy godzinę na koniec służby.

Ale Sillon nie boi się tego pesymizmu. Spokojnie mówi, że może słudzy w popędach demokratycznych nie ustaną, aż zniosą służbę zupełnie; może nowy ustrój społeczny nie zgodzi się z przeżytkiem starzyzny, samem pojęciem służby. Nie mielibyśmy sług domowych, tylko zarobników przychodnich do roboty na godzinę; pewnie będziemy musieli także sobie sami usługiwać. Co to szkodzi? Sprawimy sobie maszyny i wieść zaczniemy żywot w większej prostocie. Te przygody nie powinny dziwić ani smucić prawdziwych demokratów.

Nie jeden to pomysł, jakim razi Le Sillon. W innym zeszycie, — (z 25 września 1906) — opisuje swoją rozmowę z żydem poważnym i skromnym. Ten okazał się zdziwionym, iż Sillon osobliwie miesza porywy wybitnie religijne z socyalnymi równie wybitnymi. Żydowi wydają się zrozumialszymi katolicy dbali o zbawienie i sprawiedliwość u Boga, a nie o doczesny świat i sprawiedliwość pomiędzy ludźmi. Więc Le Sillon odpowiada, że odróżniać sprawiedliwość ludzką od boskiej, to świętokradztwo a nie chrześcijańska nauka; z nauki tej wywodzi sobie ktoś ową różnicę, przypuszczać przecie wolno i wykład odmienny. Ani Sillon nie myśli swojego wykładu wywodzić z ewangelii, Summy Tomasza albo bull Leona. Wita zorzę sprawiedliwości społecznej, która wschodzi nad światem, a o której mówi, że ją chrześcijaństwo zapowiedziało, przygotowało, okazało możliwą, zdziałało konieczną. Le Sillon wyznaje wiarę w nową dobę dla Kościoła:

Kościół nie spełnił jak tylko część swoich obowiązków, dał chrześcijańskie dusze, winien nam teraz społeczeństwo chrześcijańskie i nam je da. Ewangelia przepowiadała się głównie jednostkom: słyszy swoją godzinę, odkąd przepowiadać się zacznie narodom. Kościół w pochodzie oświaty zdoła wrócić na czoło; przez Kościół powstanie świat nowy, który drga w społeczeństwie obecnem, ale wyjść z niego nie może na jaw: wtedy spełni się Dobra Nowina Mesyasza. — Żyd na te słowa uśmiechnął się dość szydersko i odparł, że kiedy usłyszał obietnice wspaniałego jutra dla Kościoła, wtedy pomyślał o katolikach znajomych, o poczciwym księżynie ich proboszczu, niezdolnym nie zżymać się i nie fukać na samą wzmiankę o kwestyi socyalnej, i wystawiał ich sobie, jakby wyglądali przy pracy, której po nich Sillon oczekuje: więc... się roześmiał.

Miejsca tu już brak na więcej przykładów tego ducha, który z młodzieńczą ochotą marzy o porządku domowym bez sługi, o nowym dopiero po nas Kościele z całemi społeczeństwami Świętych, o śmiesznych w oczach żyda parochach. Taka bujna ochota młodzieńcza może doskonale przydawać się do samej pracy z zapałem, ale nad swoim rozumem potrzebuje koniecznie przewodnika wytrawnego, aby od niego dowiedzieć się, po co wieki zaprowadzały podział pracy między poetów i ich kucharki, po co Kościół wojuje o pojedyncze dusze, a zrzeka się snów o zupełnem zwycięstwie sprawiedliwości na tym już świecie.

O chlubnej pracy sillonistów *Nowa Reforma* może dopiero teraz dowiaduje się od swojego sprawozdawcy: inne pisma już dawno o tem donosiły [1]. A znacznie goręcej o tej pracy wypowiada pochwały papież, niż *Nowa Reforma;* pisze wyraźnie: »Kochamy tę dzielną młodzież, zaciągniętą pod chorągiew Sillonu. i uważamy ją za godną pod wielu względami pochwały i podziwu. Kochamy tych wodzów, w których Nam przyjemnie rozpoznawać dusze podniosłe, wyższe nad popędy pospolite i ożywione najszlachetniejszym zapałem do dobrego; widzieliście ich, Wielebni Bracia, jak przejęci najżywiej poczuciem braterstwa między ludźmi,

[1] Por. *Przegl. Powsz.* z r. 1903, tom 79, str. 51.

szli naprzeciw spracowanym i zbolałym, aby ich podnieść, dźwigani sami w poświęceniu przez miłość dla Jezusa Chrystusa i wzorowo wykonywane obowiązki wiary«. I dalej wspomina papież o encyklice Leona XIII-go, »którego głosem Kościół jakby wzywał serdecznie bojowników coraz liczniejszych, aby naprawić porządek i sprawiedliwość w społeczeństwie u nas zmąconem. Wtedy, — ciągnie papież, — w chwili pożądanej, czyż założyciele Sillonu nie przyszli oddać na usługi Kościoła zastępów młodych i wiernych, aby ziszczać jego upragnione nadzieje? I rzeczywiście Sillon wzniósł śród warstw robotniczych chorągiew Jezusa Chrystusa, znamię zbawienne dla jednostek i narodów, krzepił się do pracy społecznej u źródeł łaski, zdobywał dla Kościoła powagę w środowiskach najmniej przychylnych, przyzwyczajał prostaczków i bezbożników słuchać o Bogu i często, w rozprawach spornych, wobec słuchaczy wrogich, powstawał obudzony zarzutem albo szyderstwem, aby głośno i dumnie wiarą się szczycić. Były to piękne czasy Sillonu; piękna to jego strona, która wyjaśnia, czemu dla niego nie szczędził episkopat i Stolica święta zachęt i pochwał, póki ten zapał religijny zdołał zasłaniać właściwe piętno ruchu sillonistów.

»Bo, trzeba to powiedzieć, Wielebni Bracia, w nadziejach doznaliśmy po wielkiej części zawodu. Nadszedł dzień, kiedy Sillon zaniepokoił oczy bystrzejsze swoimi zapędami. Sillon tracił drogę. Czyż mogło to inaczej być? Założyciele jego, młodzi, zapalni i pełni wiary w siebie, nie uzbroili się dostatecznie w naukę dziejów, zdrowej filozofii i jędrnej teologii: nie bez niebezpieczeństwa spojrzeli w oczy trudnym zagadkom społecznym, — ku którym rwali się pracą i sercem, — nie obwarowali się w dziedzinie nauki i posłuszeństwa przeciw wtrętom wolnomyślnym i protestanckim...

»Winniśmy prawdę drogim naszym synom z Sillonu, których płomień wspaniałomyślny poniósł na drogę równie błędną jak niebezpieczną«.

Następnie papież wytyka nie w pracy sillonistów coś zdrożnego, ale w ich poglądach widzi coś ciemnego, sprzecznego z lo-

giką i z prawdą, w czem nie poznaje ani ducha katolickiego ani geniuszu francuskiego.

»Najprzód — mówi — wypada wytknąć surowo zachciankę Sillonu, aby ujść przewodnictwa władzy kościelnej. Zastawiają się jego wodzowie swojem polem pracy, które rzekomo nie należy do Kościoła, bo dążą do dóbr doczesnych a nie duchownych«.

Papież uważa, że »łatwo na te wykręty dać odpowiedź. Ktoby w samej rzeczy wmówić w siebie dał, że silloniści nic na oku nie mają w pracy społecznej, jak tylko doczesny dobrobyt warstw robotniczych? Wodzowie Sillonu sami głoszą o sobie, że są idealistami nieprzekonanymi, że zamierzają podnieść warstwy robocze, ale pierwej sumienia ludzkie, że mają naukę społeczną i zasady filozoficzne oraz teologiczne, aby budować społeczeństwo według nowego planu, że mają pojęcie osobliwe o dostojeństwie człowieka, o wolności, sprawiedliwości i braterstwie i, aby usprawiedliwić swoje mrzonki, odwołują się na ewangelię swojego wykładu i co ważniejsze, na jakiegoś Chrystusa przeobrażonego i pomniejszonego«.

Dalej papież szczegółowo wykłada sillonistom, jakie to u nich, — prócz pracy społecznej dla dobra doczesnego, — pojawiły się nowe nauki, przeciwne Kościołowi.

Silloniści przypisują najwyższe zwierzchnictwo nad społeczeństwem ludzkiem samemu ludowi i powstają zasadniczo przeciw różnicom między stanowiskami i stanami ludzkimi. Przeciwnie Leon XIII napiętnował ową demokracyę, która dochodzi do tego stopnia bezeceństwa, że przypisuje w społeczeństwie zwierzchnictwo ludowi i pracuje, aby poznosić i powyrównywać warstwy społeczne. W tej mierze Silloniści dążą do celów potępionych... »Marzą o zmianie podwalin, na których przyroda i doświadczenie wzniosły budowę społeczną; obiecują budowę przyszłą, opartą na innych zasadach, — jak śmieją mówić, — owocniejszych i przydatniejszych, niż na których obecnie spoczywa społeczna budowla chrześcijańska. Nie, Wielebni Bracia!... nie! uspołecznienia nie dopiero szukać trzeba, społecznej budowli nie trzeba dopiero wznosić na chmurach. Wszystko było, wszystko jest: jest uspołecznienie chrześcijańskie, jest społeczeństwo katolickie. Trzeba

tylko naprawiać i ustawicznie poprawiać budowlę na podwalinach przyrodzonych i boskich, kiedy napada raz po raz utopia niezdrowa, duch przewrotowy i bezbożny: naprawiać wszystko w Chrystusie«.

W treści już tylko można przytaczać dalsze słowa papieża. »Sillon troszczy się zacnie o dostojeństwo człowieka. Ale o jakie dostojeństwo dba? Mowi o niem na sposób filozofów, którym do tego daleko, żeby z nich chlubił się Kościół. Pierwszy pierwiastek tego dostojeństwa: swoboda, — drugi: równość. Zdobędzie człowiek te pierwiastki, kiedy wyzwoli się politycznie od władzy jakiejkolwiek, której sam nie powierzył wybrańcowi własnemu, — kiedy wyzwoli się ekonomicznie od wszelkiego pracodawstwa, — kiedy wyzwoli się umysłowo od wszelkiego przewodnictwa warstw oświeceńszych. Nadto dostojeństwo człowieka wymaga po nim, żeby kochał swój zawód i cały ród ludzki. Niech powstanie społeczeństwo, gdzie każdy z duszy kocha nie tylko osobiste dobro i rodzinne, ale daje się opanować miłością sumienną dla wszystkich towarzyszy pracy i towarzyszy pielgrzymki życiowej. Wszak takie społeczeństwo ledwo potrzebowałoby jakiejś władzy nad sobą! Wszak przedstawiałoby dostojeństwo człowieka u szczytu, gdzie każdy obywatel byłby w duchu królem, każdy robotnik w duchu panem. Oto człowieczeństwo wielkie i wzniosłe, urobione przez potrójne hasło: wolność, równość, braterstwo.

»Sillon do tego to dąży swoją nauką i — jak je nazywa, — wychowaniem demokratycznem ludu, — aby uświadomić każdego jak najbardziej i rozwinąć w nim poczucie odpowiedzialności, a stąd wypłynie wyzwolenie polityczne i ekonomiczne oraz królestwo sprawiedliwości, swobody, równości i braterstwa.

»Niema tam, właściwie mówiąc, praw, niema już posłuszeństwa. Sillon to przyznaje, w owem społeczeństwie, wyzwolonem potrójnie, już tam nie będzie panów i sług, sami tam będą obywatele wolni, sami towarzysze, sami królowie. Rozkaz czy przepis byłby to zamach na swobodę; ktoby podlegał jakiemubądź przełożonemu, ująłby sobie z człowieczeństwa... Sillon, który uczy podobnych zasad i wykonywa je w stosunkach poufnych,

sieje przecie oczywiście śród waszej młodzieży katolickiej błędne pojęcia i zgubne o powadze, swobodzie i posłuszeństwie«.

Prócz tych i innych błędów zasadniczych i odstępstwa od pojęć katolickich, papież wymienia następstwa złe owych nauk wprowadzanych w zwyczaje. Silloniści przestają ze sobą, wszyscy z każdym po koleżeńsku bez żadnej różnicy wieku, płci i stanowiska. W kołach naukowych Sillonu może towarzysz kuchta uczyć towarzysza urzędnika, księdza czy oficera albo towarzyszkę hrabiankę, aby umieli w przyszłem społeczeństwie obchodzić się bez służby: więc zawczasu do wszystkich kuchta mówi jak do równych i przy nauce upomina ich jak dzieci. Z tych kół wychodzą silloniści pomiędzy ludzi o dzisiejszych pojęciach, spoglądają na nich jak na zabytki z doby przesądów; spotykają różnice stanów, prawa powagi, obowiązki posłuszeństwa: widzą w tem jarzmo, do którego naginać się nie uchodzi przedstawicielowi przyszłego społeczeństwa wyzwolonego; spostrzegając w dostojnikach Kościoła niepokój o dalsze koleje Sillonu, powiadają sobie, że Kościół jeszcze nie znalazł prawdziwej podwaliny, na której oparłby świat, że nie pojął właściwie powagi, wolności, równości, braterstwa i dostojeństwa ludzkiego.

»Przestał Sillon chlubić się godłem katolickiem i zamiast dawnego hasła, że demokracya będzie katolicka, albo jej nie będzie, — głosił nowe, że demokracya nie będzie antykatolicka, jak ostatecznie ani antysemicka ani antybuddystyczna. Do budowy przyszłego społeczeństwa wezwał robotników wszelkiego wyznania z pod wszelkiej chorągwi. Cały ustrój nowy nastał: Sillon zakładał koła pracy katolickie, protestanckie, wolnomyślne i t. d.... Katolicy oto założyli związek bezwyznaniowy«... Wódz ich występuje coraz jaśniej z widoczną zasadą, że religia jest rzeczą prywatną: na jego słowach oparty papież mówi: »Tak niestety! dwuznacznik prysł, praca społeczna Sillonu nie jest już katolicką... Dziwnie, strasznie i smutnie są te śmiałe i lekkomyślne umysły ludzi, którzy mienią się katolikami, a marzą, że założą ponad Kościołem Powszechnym królestwo sprawiedliwości i miłości z robotnikami przybyłymi zewsząd, z wszystkich wyznań albo bez wyznania, byle ci zapomnieli o tem, co

ich dzieli: o przekonaniach religijnych i filozoficznych, a zastąpili wszystko tem, co spólne: szlachetnym idealizmem i siłą ducha, zaczerpniętą skąd się da... Wyniknąć z tej roboty różnorodnej może chyba demokracya ni to katolicka, ni protestancka, ni żydowska — religia, — bo sillonizm za świadectwem wodzów, to religia — powszechniejsza niż Kościół Powszechny, która ma zgromadzić wszystkich ludzi i utworzyć z nich braci i towarzyszów w Królestwie Bożem... Bracia Wielebni! Cóż się stało z katolicyzmem Sillonu? Niestety! budził kiedyś takie nadzieje miłe ów strumień przejrzysty i wartki; zmienił łożysko za sprawą wrogów Kościoła. Przed nimi nie zdołali obronić się wodzowie Sillonu. Ich uczucie rozpłomienione, ślepa dobroć ich serca, mistyczna ich filozofia zaprawiona illuminizmem porwała ich ku jakiejś ewangelii nowej do tego stopnia, że śmią obchodzić się z Panem Naszym Jezusem Chrystusem w sposób poufały aż do wstrętnego braku czci».

Następnie papież wzywa dostojników Kościoła we Francyi do pracy społecznej i pragnie, żeby do niej nie przeszkadzała młodzież z Sillonu, ale pomagała szczerze i skutecznie. Potem pisze: »Zwracamy się tedy do wodzów Sillonu, jak ufnie Ojciec mówi z dziećmi, i prosimy ich, żeby biskupom ustąpili miejsca dla dobra własnego, dla dobra Kościoła i ojczyzny. Oceniamy pewnie ogrom poświęcenia, którego od nich się domagamy, ale znamy ich dość wspaniałomyślnymi, aby zdobyli się na nie i zawczasu ich za to błogosławimy. Co do członków Sillonu, niech po dyecezyach urządzą się do pracy pod przewodnictwem biskupów. A jeżeli, Wielebni Bracia, niektóre ich koła nie zgodzą się na taką pracę, trzeba będzie zbadać, czy ograniczą się na polityce albo ekonomii czystej, czy też trwają przy dawnym obłędzie. W pierwszym razie jasna rzecz, że nie macie zajmować się nimi więcej, niż ogółem wiernych; w drugim — postąpicie odpowiednio, roztropnie i stanowczo. W pierwszym razie księża i klerycy mają popierać ich w pracy, ale nie zapisywać się do nich na członków: w drugim razie duchowieństwo zupełnie usunie się od poróżnionych z nauką Kościoła i poprzestanie na posłudze sakramentalnej według ogólnych przepisów teologii o rozgrzeszeniu.

»Tymi to przepisami praktycznymi uważaliśmy za potrzebne dać moc trwałą niniejszemu pismu o Sillonie i sillonistach«.

Znowu tedy koniec pisma papieskiego zadaje kłam p. sprawozdawcy z *Nowej Reformy*. Papież przewiduje śród sillonistów odtąd albo pracę społeczną w dziedzinie czystej polityki ekonomicznej, bez żadnego nauczycielstwa, — i taką pracą nie mają zajmować się biskupi, jako nadzorcy, tylko księżom poleca papież, żeby udzielali do takiej pracy sillonistom swojej pomocy i obrony; albo zwrócą się silloniści do pracy społeczno-wychowawczej, i poddadzą się nauczycielskiej władzy Kościoła: wtedy nad ich pracą mają biskupi nadzór; albo silloniści postanowiliby dalej szerzyć zasady przeciwne nauce podanej Kościołowi przez przodków po wierze: wtedy papież potępia syllonizm za wolnomyślny popęd do samowolnego wykładu zasad obyczajowych, nie za ich pracę czysto społeczną.

Ks. K. Czaykowski.

Christliche Kunst.

Monachium, 8 lipca 1910.

Byłoby przesadą powiedzieć, że sztuka grecka jest nieosobistą, byłoby szczególnie fałszem względem Eschylosa, Eurypidesa, Arystofanesa i innych, lecz się nie mylimy sądząc, że sztuka grecka jest bardziej kolektywną, niż osobistą. Znamię jej — to przedewszystkiem znamię rasy, a doskonałość jej, bez uniesień i gwałtowności, nabiera wkońcu nieco — jednostajności. Dziś nam potrzeba o wiele więcej rozmaitości, niż jej przedstawia zbiór arcydzieł klasycznych. Rozwój dzisiejszego malarstwa, najwymowniejszej ze sztuk wzrokowych, przyzwyczaił nas szukać nawet w rzeźbie bardziej określonego wyrazu. Dziś chcemy w niej widzieć życie fizyczne i moralne jaśniej, silniej zaznaczone. Pragniemy w każdem dziele coś szczególnego, coś osobistego. Ogólniki dziś nam już nie wystarczają, choćby dlatego, że rozwój nowożytny życia moralnego, działalności umysłowej, przyzwyczaił, uzdolnił nas do wrażeń liczniejszych, bardziej natężonych, bardziej działających na nerwy i — wlał w nas nienasycone ich pragnienie.

Dziś — nam chodzi w sztuce o wyraz osobisty talentu i geniuszu, chodzi nam o wrażenia artysty przez jego dzieło i my szukamy jakby moralnego podpisu, będącego niby pieczęcią temperamentu osobistego autora.

Dziś my żądamy i szukamy w sztuce oryginalności, może mniej doskonałej, ale zaznaczonej jaskrawiej, ostrzej i, jednem słowem, bardziej podniecającej,

Z tego powodu wybór przedmiotu nie jest rzeczą tak obojętną, jak to pewna liczba artystów sądzi. Wybór ten pozwala nam przynajmniej osądzić intelektualną potęgę artysty, stopień jego fantazyi, wielkość jego duszy.

Z pewnością, kosz brzoskwiń lub talerz ostryg dobrze namalowany, może, pod względem rozkoszy estetycznej, mieć daleko wyższą wartość, niż źle oddana wielka scena historyczna, — podobnież i poemat o gastronomii — może być lepszym od epopei. Jednakże, każdy mi przyzna, że odtworzenie talerza ostryg lub kosza brzoskwiń wymaga sumy zdolności daleko niższej, aniżeli malowanie kaplicy Sykstyńskiej, i że można być Tetmajerem lub Żeromskim, nie uważając się za zdolnego do napisania »Iliady«, »Boskiej Komedyi« lub »Fausta«.

Rozumiem, że nieraz artysta wobec jakiegoś widoku jest głównie wzruszony harmonią barw i linii. Rozumiem, że znaczenie historyczne, moralne, intellektualne faktu mają dla artysty nieraz mniej wartości, jeżeli tylko ma okazyę do oddania wrażeń czysto malarskich. Podobnież i w muzyce, gdzie symfonia może być przyjemną dla słuchu, dzięki tylko prostemu efektowi muzykalnemu, wynikającemu z zestawionych tonów. Paolo Veronese, Rossini dali nam takie przykłady, gdzie rozpuściwszy swobodnie rozhukany swój talent, rozmiłowany w kolorach i dźwiękach, szukali w nich tylko bezpośredniego zadowolenia oka i ucha... Lecz brak idei, brak myśli, zastąpiony przez wyjątkowo cudowną wirtuozyę, nie obali doktryny, która gwałtownie dopomina się udziału inteligencyi do tworzenia i że dzieło, które łączy zadowolenie zmysłu estetycznego z zadowoleniem rozumu i refleksyi, przez to samo już dostarcza rozkoszy pełniejszej, żywszej i głębszej i daleko więcej działa na wrażliwą naszą duszę...

Że Ernst Zimmerman, podobnie wielu innym artystom, za życia nie był tak czczonym i cenionym, jak dziś, to w historyi sztuki nieraz się fakt taki spotyka.

Zimmerman nie umiał *se pousser*, zostawiał to innym. Kiedy go teraz, po paru latach, że tak powiem »odgrzebano«, zdumiewa wszyst-

kich wielostronnością swego talentu, bogactwem myśli i poezyi, nawet w najmniejszem płótnie, najmniejszym rysunku.

Z prawdziwym pietyzmem zwraca się wzrok nasz ku obrazowi pod tytułem: »Przyjdźcie tu do mnie wszyscy...« *(Kommet her zu mir alle...)*

Z każdego cala tego płótna bije kawał silnej poezyi, myśli wzniosłe, rozmarzające, rozrzewniające z każdej postaci.

Zmrok wieczorny. Gdzieniegdzie gwiazdy zaczynają migotać. Jasność, bijąca od całej postaci Chrystusa, oświetla klęczących i stojących wkoło Niego, garnących się do stóp Jego, młodych i starych, schorzałych i zdrowych, wielkich i maluczkich.

Chrystus wyciągnął swe jasne, litościwe ręce... Chce niemi wszystkich ogarnąć, wszystkich przytulić do siebie. Z boskich Jego oczów, z boskiej Jego twarzy każdy czuje szept wołający:

Chodźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie,
Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy...
We mnie jest spokój, we mnie jest życie!...
Nie płaczcie próżno na świeżej ruinie,
Wszystko przemija — prawda nie przeminie.

Więc się garną tłumy z nadzieją przebaczenia, życia wiecznego, ulgi cierpienia, pokoju duszy.

Stary górnik, przyzwyczajony do wiecznych podziemnych ciemności, olśniony jasnością Chrystusową, przymruża oczy. Skarga i jęk z podniesionej piersi opowiadają życie, pełne trudów i znoju — bez słońca promyka...

Tuż koło niego, owinięta krepami, postać schylona klęczącej kobiety, z nerwowo wyciągniętą ręką ku Chrystusowi — żebrze ulgi po ciężkiej stracie...

Zgarbiony starzec, przygnieciony wiekiem, z drżącą ręką ku światłości, prosi o zdrowie dla swej wnuczki obłąkanej, którą resztką swych sił podtrzymuje...

Tuż stoi w pełnej sile i piękności wykwintny młodzian, z głową opuszczoną pod ciężarem cierpień, które mu duszę rozdarły... *un jour — une femme passa...*

Tam dalej kapłan młodziutki matkę swą prowadzi, dalej dzieci z mroku wieczornego biegną do Światłości...

Wszystek ten tłum, cisnących się do stóp Chrystusowych, taki rozmodlony, taki rozrzewniony głosem Zbawiciela, tyle nadziei i wiary w tych twarzach, taka bije od nich *une majesté des souffrances hu-*

maines, że z pewnością ten Chrystus ich nie odtrąci, i to Chrystus, któregoby Munkacsy pozazdrościł!...

Piękniejszej, łagodniejszej, dobrotliwszej twarzy Chrystusa, twarzy, w której rzeczywiście boskość się czuje pod rysami ludzkiemi — mało jest tak świetnych. Zimmerman duszę swą wlał w farby, któremi malował miłosiernego tego Chrystusa, — wiarę swą żywą, że go też kiedyś ten Chrystus nie odtrąci i, w tej grupie ludzi, mógł śmiało i siebie pomieścić, bo — dużo cierpiał, dużo przebaczał i — dużo kochał...

A jak po mistrzowsku w tym obrazie światło i cień rozłożone, z jakim rozmachem to wszystko malowane, jak każde pociągnięcie pendzla jest pewne i każda plama w miejscu postawiona?! A do jakiego wirtuozostwa jego technika doszła?! Co za oryginalność w kontrastach światłocienia! A co za kolorystyka! Jak on włada najszerszą skalą tonów, jak on gra wszystkiemi gamami bogatej swej palety! A z jaką brawurą to wszystko rysowane!

Wszystkich piękności, wszystkich subtelności kompozycyjnych, malarskich i technicznych zliczyć nie sposób, to trzeba samemu widzieć, samemu odczuć, bo to jest *l'art plus sevère qui, plongeant jusque dans la profondeur de l'âme, s'efforce d'en exprimer les plus fécondes aspirations,* jak mówi comte d'Haussonville (de l'Academie Française), a ja dodam *et après la joie de les avoir ressenties — quel plaisir de le dire!*

Johannes Mogk nie ma szczęścia ze swym obrazem »Św. Krzysztof« *(St. Christophorus).* Już zabijające samo przez się powieszenie jego obrazu przy takim Zimmermanie — z powodu techniki, rysunku, a cóż dopiero kolorytu.

Wszystko co u Zimmermana silne, zdrowe, soczyste — tu mdłe, słabe, suche. Co tam idealne — tu brutalne, co poetyczne — tu zanadto realistyczne, co tam podnosiło obraz — tu zabija. To są wrażenia mimowolne, które oko odbiera przez tak blizkie sąsiedztwo.

Przypatrzmy się jednak bliżej. Treść — legenda o św. Krzysztofie, który przenosił Dzieciątko Jezus na swych barkach olbrzyma przez jakieś duże wody.

Święty Krzysztof, jak przystało na pustelnika z czasów cesarza Decyusza, nawpół nagi, jeśli kawał skóry u bioder można jakiemś okryciem nazwać, a także trochę ciała ma przykrywać olbrzymia, siwa broda, sięgająca prawie do kolan świętego.

To ciało! Jeśli pustelnik, to rozumiem, że od wiatru i słońca tak ciało osmalone, zczerniałe, ale sądziłbym, że w pustyni, odżywianie

korzonkami olbrzyma, jakim był św. Krzysztof, musiało na organizmie się odbić i, prócz silnie stosunkowo rozwiniętych mięśni, ani odrobiny chyba tłuszczu być nie powinno. Ten św. Krzysztof robi jednak wrażenie nie tyle silnego, co dobrze odżywianego, i wątpię, by taki olbrzym mógł się tak zmęczyć ciężarem na plecach rocznego dziecka, by błyski na ciele mogły być potem, tem bardziej, że formy ciała zanadto są obfite, zanadto zaokrąglone.

Zwraca też uwagę mięśń *Delfoïde*, który za mało jest skurczony na ramieniu takiego siłacza i za mało wymodelowany stosunkowo do innych mięśni. Przy podjęciu zaś ramienia do trzymania dziecka, mięśń *Grand dentelé* o wiele więcej powinien być widocznym, i widzi się nie trzy, ale cztery *digitations* na żebrach, bo przecież, przy podjęciu ramienia, tem bardziej stosunkowo wysokiem, mięśń *Grand pectoral* odkrywa — czwartą. Sądzę też, że *Biceps brachiale* może zanadto jest naprężonym do trzymania za nóżkę dzieciątko i robi wrażenie, jakby za mało był przykryty w górze mięśniem *Deltoïde*.

To są usterki, które oka malarskiego nie ujdą, szczególnie, jak powiedziałem, przy tak blizkiem sąsiedztwie Zimmermana.

Ten, gdzie tylko pokazał trochę ciała, to tak idealnie anatomicznie i tak artystycznie każdy mięśń wymodelował i w miejscu narysował, że z prawdziwą rozkoszą i anatom i esteta patrzeć na to ciało muszą.

Nie mogę przemilczeć i o tym surowym, zimnym kolorze *krapp-lacku*, który w zachodzącem słońcu dominuje i całemu obrazowi ton nadaje.

To słońce ni świeci ni grzeje! Prawie żadnych ciepłych kolorów w niem niema. A jeszcze te światła słoneczne na ciele! Jak one proszą się *cadmiumu*, jak pragną choć szczyptę *lichtockeru!* Szkoda! tem więcej, że żal mi tego Dzieciątka Jezus w takiem otoczeniu! Tak dobrze namalowane, tak z miłością wypieszczona artystycznie Jego główka, a nawet i Jego ciałko, że tylko, dla spotęgowania kontrastu z aktem brunatnym św. Krzysztofa, za mało to ciałko jest białem. Przecież, chyba dni całych św. Krzysztof nie miał je na plecach, więc za prędkoby było, *qu'Il porte déjà la livrée du soleil!?*

Ogromnie miłe wrażenie robi Gaetano Previati swoją *Die Madonna der Lilien.*

W tym obrazie tyle się czuje prawdziwej poezyi, tyle boskości i wdzięku w Najświętszej i Dzieciątku na Jej kolanach, tyle myśli

w tych korzących się liliach przed świętościami, tyle duszy w tym pejzażu, i tyle słońca — i to jakiego!

Najświętsza! W tej szacie białej, z tą twarzyczką dziecinną i dziwnie uroczo-boską, *on dirait une petite vierge de Botticelli descendue de son cadre!* A serca bijącego czyż nie słyszymy pod tą białą suknią? (rodzaj długiej tuniki, z bardzo cienkiej, delikatnej tkaniny). Czyż nie słyszymy w tej ciszy pejzażowej, *ce que murmurent les vagues profondes de son coeur?* jak mówi Fr. Coppée.

A to Jej Dzieciątko na kolanach? Jakie to Boże Dzieciątko! To jakieś takie cudne, takie dziecinne, takie miłe i delikatne, *que c'est un petit rêve de fragilité et de jeunesse!!*

Na co się patrzę w tym obrazie, to jedno piękniejsze od drugiego, że rzeczywiście, najzłośliwszy krytyk wynaleźć nic nie może!

Ten pejzaż? jaki on dziwnie uroczy, jaki szalenie *stimmungowy*, a jak tam słońce w nim mile przygrzewa, jak poetycznie rozlało swe promienie i tylko, gdzieniegdzie, prześlizguje się dyskretnie w cieniach!

A cóż mówić o tych wspaniałych liliach, oddających cześć?! Jak one bajecznie malowane, jak one rozrzewnione, rozmarzone obecnością Najświętszych! Jak czuć w nich, *qu'elles sont reines, mais savent abdiquer* wobec *Sanctissimum!?*

Gaetano Previati tą swoją Madonną i Dzieciątkiem Jezus, swą duszą w tym obrazie, tym swoim artyzmem tyle uczuć budzi w widzu, takie wrażenie na nim robi, że rzeczywiście można powiedzieć z Henri Lavedaux: *C'est de l'art — et du plus grand!...*

Maryan Strzembosz.

List berliński: Teatr Reinhardta.

W stolicy Rzeszy niemieckiej i państwa pruskiego, w trzechmilionowym Berlinie, życie wrze i kipi, w szalonem tempie przesuwając się przed zdumionem okiem. Ujęte jednak w surowy schemat twardych przepisów policyjnych, nie pozwalając sobie nigdy na ich przekroczenie, ukazuje nam jednostajnie-nudną fizyognomię olbrzymiego, kupiecko-handlowego ruchu, który jest głównym i najbardziej charakterystycznym rysem Berlina. Nic zatem dziwnego, że w mieście tak intensywnie i gorączkowo pracującem istnieje niezliczone mnóstwo

przedsiębiorstw, poświęconych rozrywce i wytchnieniu, przedewszystkiem teatrów, których jest w Berlinie przeszło trzydzieści.

Z pośród teatrów berlińskich pierwsze miejsce przyznać trzeba teatrowi Maksa Reinhardta. Założony pierwotnie w Monachium — zawsze wesołej stolicy Bawaryi — przeniósł się niedawno do Berlina. Rozgłos i pierwszorzędne stanowisko, jakie zdobył sobie w całych Niemczech — w stosunkowo bardzo krótkim czasie — polegają na tem, że scenę traktuje Reinhardt istotnie jako sztukę, rozwijając w każdym szczególe twórczość artysty, a nie jak dotąd przeważnie było — kładąc główny nacisk tylko na dobrą grę aktorów. Dlatego właśnie przedstawienia jego dają nam nieznaną przedtem, a tak przedziwną biesiadę prawdziwej sztuki teatralnej. Wszędzie znać tu pracę artysty, a przedewszystkiem w komponowaniu dekoracyi scenicznych i kostyumów. Tego rodzaju pojmowanie sceny jest jednym z wielu objawów nowego, ożywczego prądu w sztuce lat obecnych. Jest to właśnie zerwanie z całem niewolnictwem naśladowania form minionych stylów, zerwanie z utartym szablonem i powrót do tego, co istniało jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego stulecia — do oryginalnej twórczości artystycznej.

Bawiąc obecnie przez parę dni w Berlinie, miałem sposobność zapoznać się ze sceną Reinhardta. Położony przy bocznej i cichej ulicy Schumana, ożywiającej się tylko pod wieczór, w godzinach przedstawień, teatr ten nie cieszy się — jakby to można było przypuszczać — zbyt wielkiem powodzeniem. Raczej jest przeciwnie. I to jest bardzo charakterytycznym objawem dla zawsze akcentowanej kultury artystycznej Berlina, która w rzeczywistości całkiem nie istnieje. Skromny budynek, z dość szczupłą widownią, nie jest obliczony jednak na przedsiębiorstwo dochodowe. Mając zapewniony materyalny byt teatru — dzięki poparciu prywatnych osób, prawdziwych mecenasów sztuki — Maks Reinhardt rozporządza niewielkim stosunkowo repertuarem. Zato jednak każda ze sztuk, pojawiających się na tej scenie, jest skończonem dziełem sztuki, tak pod względem przepysznych dekoracyi, jak i nieporównanej gry aktorów.

Tu poznaje się dopiero, że istnieje nowy świat oryginalnej, twórczej sztuki teatru. Weźmy n. p. pod uwagę »Poskromienie złośnicy« Szekspira, aby się przekonać, że scenerya teatralna może być naprawdę doskonałą kompozycyą architektoniczną. Projektowana przez artystę-malarza E. Sterna, przedstawia nam wspaniałą halę barokową, ujętą w szereg ciężkich kolumn, na których obiega wokoło

krużganek. Hala ma ton jasno-żółtego kamienia. Nastrój bogatej architektury barokowej, który tu jest świetnie uchwycony, pochodzi najpierw z dużego odczucia, jakie ma dla architektury p. Stern. Dekoracya jego nie jest bynajmniej jakąś kopią ze starego wzoru. Przeciwnie, jest pomysłem zupełnie nowym. Barokową jest o tyle, że pan Stern posługiwał się tylko formami tego stylu, ale bynajmniej nie kopiował układu hali. Następnie wrażenie żywej architektury, jakie odnosimy na nią patrząc, polega na tem, że cała dekoracya jest plastycznie wykonaną w drzewie, a nie tylko malowaną na płótnie. Czyli widzimy tu przed sobą rzeczywistą architekturę, komponowaną przez kapitalnego artystę, a nie tylko malowaną i naśladującą szablonowo formy stylów historycznych.

W ten sposób postępowano zawsze w ośmnastym stuleciu, kiedy teatr stał się prawdziwie artystyczną rozrywką. Rozwinąwszy się na wielką skalę, wydostaje się z pałaców panujących lub wielkich panów, gdzie mu już za ciasno, i wznosi sobie osobne budowle. Wtedy właśnie wykształca się typ budynku teatralnego, jakim się posługujemy do dzisiejszego dnia. Również wtedy wytworzył się nowy rodzaj artystów, których zadaniem było komponowanie dekoracyi scenicznych, wykonywanych plastycznie z drzewa. I w tych czasach, kiedy cały tryb życia miał w sobie tyle teatralnej pozy, powstała nowa gałąź sztuki: architektura teatralna i rozwinęła się do zupełnie wyjątkowej świetności, sadząc się na niewidziany nigdy przedtem przepych.

Na te właśnie tory prawdziwej i twórczej sztuki teatralnej umiał skierować Maks Reinhardt dekoracye swej sceny. I gdy do nich dodamy prześliczne kostyumy, możemy — patrząc na scenę i niezrównaną grę aktorów — mieć czasem złudzenie, że żyjemy w barwnym świecie Tycyana lub Veronesa. Takie wrażenie zwłaszcza odnosimy patrząc na wstęp czy prolog »Poskromienia złośnicy«. Opisana powyżej barokowa hala przedstawia wnętrze pałacu angielskiego lorda. Na środku sali stoi wielkie łoże. W sali zebrała się służba, czekając na przebudzenie pana. Ubrani w malownicze stroje barwy silnie zielonej, stoją w milczeniu po jednemu przy każdej kolumnie. Zestawienie kolorów: blado-żółtawej sali i zielonych strojów, z białym kolorem pościeli łoża — to rzadko spotykany dzisiaj kolorystyczny efekt.

Jeszcze może piękniejsze wrażenia malowniczości odnosimy ze sztuki obecnie wystawianej Hofmannsthala p. t. *Cristinas Heimreise*. Jest to swobodna komedya, napisana pod wpływem pamiętnika malarza Cassanowy z ośmnastego wieku. Akcya przenosi nas w piękną We-

necyę. Don Blasius, proboszcz z Capodimonte, ma uroczą siostrzenicę Krystynę, którą właśnie odwozi do Trewizo. Przed samym wyjazdem Krystynę poznaje młody chłopiec Floryndo, a zachwycony jej urodą, postanawia jechać razem z nimi. Po drodze całe towarzystwo zatrzymuje się w gospodzie w Ceneda, gdzie Floryndo przygotował dla proboszcza i swej wybranej sute przyjęcie. Krystyna, ujęta jego zabiegami, odpłaca mu się wzajemnością, ale gdy następnego dnia mieli dalej ruszyć, Floryndo, znudzony łatwą miłostką, woli wrócić do Wenecyi, polecając piękną Krystynę i jej wuja opiece Tomasa, kapitana okrętu, który się również udawał do Trewizo. Tomaso, poczciwy Włoch, w sile wieku, błąkając się przeszło trzydzieści lat po morzach, zapragnął w końcu spokoju. Odprowadziwszy Krystynę, zamieszkał w domu jej wuja i ujęty wdziękami pięknej dziewczyny, oświadczył się po pewnym czasie o jej rękę, zostając przyjętym. Tak przedstawia się główny wątek akcyi, nie dość silnie umotywowany pod względem logicznym i życiowym.

Komedya ta, wystawiona przez Reinhardta, daje nam cudowny, niezapomniany obraz lekkiego życia, które tak bardzo cechowało wiek ośmnasty. Pierwszy akt przedstawia Wenecyę, tę cudną perłę Adryatyku, ale jak! Na przodzie sceny, nieco z boku widzimy niewielki, jednopiętrowy dom z balkonem, typowo wenecki, skromny, ale tak pełen powabu. Po drugiej stronie brama przeciwległego domu, z mostkiem przerzuconym przez kanał. W oddali zaś las masztów ginie we mgle porannej. Drugi akt wyobraża zwykłą, przestronną izbę gospody, trzeci odsłania nam wnętrze miłego domku wiejskiego Krystyny, pełnego światła i kwiatów. Jeżeli do tego dodamy prześliczne stroje ośmnastego wieku, wraz z kapitalnie wyzyskanymi efektami świetlnymi i wyjątkową, niezrównaną grę aktorów — możemy mieć naprawdę złudzenie życia w tamtej epoce.

Główną rolę Krystyny grała panna Elza Heims. Rola jej niełatwa i polegała przeważnie na krótkich ustępach. Floryndem był pan Moissi, poczciwym kapitanem p. Diegelmann. Obok tych głównych kreacyi występuje szereg postaci dodatkowych, epizodycznych, z których jednak każda, choć najmniejsza, miała świetnego wykonawcę. Tak n. p. pan Kühne grał starego służącego w gospodzie, Romea, zrzędę, wiecznie niezadowolonego, mizantropa na swój sposób, którego nic już nie obchodzi, któremu nic nie imponuje, nawet pieniądze. Otrzymawszy monetę jako napiwek, rzuca ją w milczeniu o stół, czy

prawdziwa, i potem nie widząc dającego, głową nawet nie kiwnąwszy, wsuwa ją do kieszeni.

Podobnie jak w tamtych sztukach, tak samo w »Zbójcach« Schillera znać było w każdym szczególe gry i inscenizacyi nowy, ożywczy prąd. Najpierw świetne były tu dekoracye, projektowane przez głośnego malarza E. Orlika, zwłaszcza sala pałacu, ponuro-uroczysta, i pokój Franciszka Mora, a także wnętrze szynkowni, w której się zbierają studenci i zakładają bandę opryszków. Następnie uderzała w tej sztuce, tak bardzo zbanalizowanej, ogromna inteligencya w wystudyowaniu wszystkich postaci. Tak n. p. pan Wegener stworzył w roli Franciszka Mora, typ zupełnie odmienny od tych, jakie u nas przywykliśmy widzieć. Nasi aktorzy starają się zawsze w tej roli podkreślić odrażającą brzydotę rysów i efektowanymi ruchami, akcentują całą ohydę charakteru przedstawiając Franciszka, jako gruboskórnego potwora. Tam Franciszek p. Wegenera był też brzydki, ale przy tem o jak subtelnie chytrej naturze. Właśnie najciekawszy rys postaci t. j. ogromne wyrafinowanie charakteru, które u nas w grze nikt nie podkreśla, tam było niezrównanie wyrażone.

Parę wieczorów może wystarczyć, by poznać całą różnicę pomiędzy teatrem Reinhardta a innymi, i zrozumieć w czem leży przyczyna jego tak wielkiego rozgłosu. Niemcy, ojczyzna uczonych, kierują się we wszystkiem autorytetem uczoności. A ta uczoność nie ma nic wspólnego z życiem praktycznem, nad którem jednak zapanowała, wytwarzając przez to niezdrową atmosferę. Dlatego nowy zwrot, jaki się szerzy od kilkunastu lat, objawiając się najpierw w sztuce, wywołuje taki entuzyazm, gdyż przynosi istotnie świeże, ożywcze pierwiastki. Jednym właśnie objawem tego całego ruchu jest teatr Reinhardta i stąd jego niezwykła popularność.

Franciszek Klein.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1909.

(Ciąg dalszy).

Lwów.

Jedyną, oprócz Akademii krakowskiej i Kasy Mianowskiego w Warszawie, instytucyą, mającą na celu udzielanie pomocy badaniom naukowym ze wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej, jest lwowskie To-

warzystwo dla popierania nauki polskiej. Że działalność jego okazała się już po upływie lat kilku istnienia nader owocną, że rezultaty jej są wprost zdumiewające, że wreszcie Tow. potrafiło zgromadzić fundusze, o jakich nikomu nie śniło się w naszej osławionej z biedy Galicyi, — to wszystko jest niemal wyłączną zasługą niepożytej energii i zapobiegliwości właściwego twórcy tej instytucyi, a znakomitego uczonego prof. O. Balzera. Na każdym kroku znać w pracach Tow. jego rękę doświadczoną, jego radę dobrą, jego działanie skuteczne. I bodaj — czy stworzenie tej instytucyi nie jest równą zasługą jego, jak działalność cała naukowa niezmordowana na niwie prawa polskiego!

Ruch członków w roku ubiegłym w porównaniu z poprzednim (1908-mym) przedstawia się w sposób następujący: członków czynnych założycieli 179 (+4), członków wspierających dożywotnich 94 (—2), członków czynnych zwyczajnych 341 (—43), członków wspierających zwyczajnych 382 (—37). Z ogólnej liczby członków 1074, wykazanych przy końcu 1908 roku, ubyło tedy 145, przybyło nowych 67, czyli że łączna ich ilość wynosiła w r. ub. **996**. Ów pokaźniejszy ubytek w gronie członków świadczy o pewnej nierównomierności społeczeństwa w popieraniu obranych celów. Nierównomierność zaś ta utrudnia w wysokim stopniu rozwinięcie prawidłowej działalności instytucyi, opartych na współdziałaniu społeczeństwa. Jakkolwiek zazwyczaj w najbliższych potem latach polepszają się stosunki przez znaczniejszy napływ członków nowych, niepodobna przecież nie stwierdzić ujemnego charakteru tego zjawiska.

Obrót kasowy roku ubiegłego wykazał w dochodach 12.070 kor., z czego, po strąceniu wpływów funduszów osobnych, pozostała suma 10.009 kor. jako fundusz obrotowy. Wysokość funduszu tego utrzymała się na tym samym prawie poziomie, jak w r. 1908, mimo, że skutkiem zmniejszenia ilości członków uszczuplił się dochód z wkładek i mimo, że niektóre inne pozycye dochodu (np. ze sprzedaży wydawnictw) doznały zmniejszenia. Zawdzięczać to należy podniesieniu się innych, samoistnych źródeł dochodu, przedewszystkiem odsetek od kapitału, jak niemniej dochodu z subwencyi. Rozporządzając znaczniejszym kapitałem obrotowym, mogło Tow. pokryć nie tylko bieżące wydatki naukowe i administracyjne, ale także w znacznej części wyrównać zaległości dawniejsze, tak, że do całkowitego pokrycia zobowiązań pozostała już tylko suma 193 kor. W ten sposób dochód tegoroczny będzie mógł być użyty w wydatniejszej, niźli przedtem, mierze, na

pokrycie kosztów bieżących wydawnictw naukowych. — Fundusz zakładowy wzrósł obecnie do wysokości 49.748 kor. Podobnież i fundusz bibliotek prowincyonalnych wzrósł stosunkowo znacznie, tj. o 1468 kor. i wynosi obecnie w całości 5878 kor. 30 hal.

Stan wydawnictw Tow. i rozwój działalności w kierunku popierania celów naukowych przedstawiają się następująco: w nakładzie Tow. wyszły w r. ub. prace: d-ra Przemysława Dąbkowskiego »Wierna ręka czyli pokład«, studyum z prawa polskiego, prof. Balzera »Sądownictwo ormiańskie w średniowiecznym Lwowie«, d-ra L. Sawickiego »Z fizyografii zachodnich Karpat«. Prócz tego ukończono już prawie w zupełności druk pierwszego tomu d-ra Dąbkowskiego »Prawo prywatne polskie« i rozpoczęto druk »Wirydarza Trembeckiego« w opracowaniu prof. A. Brücknera, publikacyi pierwszorzędnej wartości do poznania stanu naszej twórczości poetyckiej w wieku XVII. Wydawnictwo to, obliczone na dwa tomy, stanie godnie obok ogłoszonego już przez Tow. »Ogrodu fraszek« W. Potockiego. — Ogłoszono także nowy zeszyt »Bulletin de la Societé polonaise pour l'avancement des sciences«, zawierający szczegółowe streszczenia prac, wydanych nakładem Tow. w ciągu r. ub. — Wreszcie przyznano komitetowi, który podjął wydawnictwo księgi zbiorowej prac naukowych, celem uczczenia jubileuszu Słowackiego przez młodzież, zasiłek w kwocie 150 koron.

Sprawa zakładania bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincyonalnych ograniczała się i teraz jeszcze ciągle zgromadzaniem środków naukowych, znajdując sporo życzliwego i wydatnego poparcia w szerokich warstwach społeczeństwa. Na ten cel otrzymywało Tow. stale 96 czasopism peryodycznych (w tej liczbie »Misye katolickie«). Książek wpłynęło też sporo, tak, że inwentarze wykazują ogółem w książkach: 20.114 numerów w 28.546 tomach, w atlasach i mapach 122 n-rów, w nutach 32 n-rów, w rycinach i sztychach 87 n-rów, w medalach i monetach 242 n-rów, wreszcie w przedmiotach muzealnych 5 n-rów. Fundusz biblioteczny dosięgnął cyfry 5878 koron Sprawa bibliotek prowincyonalnych jest o tyle ważniejsza, ile że w Tarnowie, Przemyślu, Stanisławowie i w Stryju powstały już stowarzyszenia naukowe. Działalność ich zaś, nie oparta o zasobne księgozbiory, nie może być tak wydatna, jakąby być powinna.

* * *

Pamiętam, jak gdyby to było wczoraj, chociaż od tych czasów dzieli mnie całych lat dziesięć. Przed przybyciem do Lwowa prof. d-ra

Kaz. Twardowskiego o filozofii ścisłej albo wcale się nie mówiło, albo też rozprawiali o niej dyletanci, niezdolni zresztą do samodzielnej pracy.

I jeżeli ruch umysłowy w zakresie filozofii ścisłej stoi obecnie we Lwowie na tym stopniu rozwoju, jak nigdzie indziej w Polsce, to jest to walną i niezaprzeczoną zasługą równie znakomitego uczonego, jak troskliwego wychowawcy świeżego narybku pracowników, prof. Twardowskiego. Szereg lat mozolił się zarówno na wszechnicy, jak niemniej w kółkach młodzieży, szereg lat uczył (i jak znakomicie uczył?!), zachęcał, pomagał studentom, aż wyrobił skupiające się dokoła niego grono młodzi uczonej, z pomiędzy nazwisk której kilka, żeby tylko wymienić: doc. uniw. d-ra Jana Łukasiewicza i d-ra Wład. Witwickiego, znanych jest daleko poza granicami monarchii. Wyrobiwszy tedy zastęp należycie przygotowanych pracowników, zajął się prof. Twardowski zorganizowaniem *Towarzystwa filozoficznego*, skromnego liczbą członków, ale też najpoważniejszego pod względem działalności naukowej wśród plejady naszych stowarzyszeń.

Trochę cyfr: członków liczyło Tow. 89, którzy odbyli w r. ub. 15 posiedzeń naukowych.

Staraniem Tow. ukazała się rozprawa d-ra Władysława Biegańskiego p. n. »Wnioskowanie z analogii«, jako tom trzeci wydawnictw P. T. Fil., a w najbliższych tygodniach wyjdzie, jako tom czwarty rzecz d-ra Adama Stoegbauera »O wyobrażeniach ogólnych«.

Tow. fil. wzięło udział przez delegatów w I. Zjeździe neurologów, psychiatrów i psychologów polskich w Warszawie, a do stałego komitetu tych Zjazdów włączono przewodniczącego Tow. — Do nagrody drugiego konkursu *Przeglądu filozoficznego* przyczyniło się Tow. kwotą 50 rb. — Biblioteka Tow. liczy obecnie 69 dzieł. — Na walnem zgromadzeniu prof. dr. Twardowski przedstawił sprawę zmniejszenia ilości godzin nauki propedeutyki filozoficznej w gimnazyach, podkreślając znaczenie tego przedmiotu w rozwoju umysłowym młodzieży; skutkiem referatu tego uchwalono jednomyślnie wnieść do Rady Szkolnej kraj. memoryał z wykazaniem szkodliwości tego zarządzenia i żądaniem przywrócenia pierwotnej ilości godzin.

* * *

Polskie Tow. Przyrodników im. Kopernika wykazuje rozwój normalny. Z pomiędzy spraw o znaczeniu ogólnem Zarząd szczególną opieką otaczał akcyę w sprawie utworzenia osobnego działu przyrod-

niczego w krakowskiem Muzeum Narodowem. Sprawa ta posuwa się ciężko, gdyż czynniki miarodajne tłumaczą się złym stanem finansów krajowych oraz brakiem miejsca na Wawelu. Zarząd Tow. wszelako, wychodząc z tego słusznego założenia, że Muzeum Narodowe powinno dać cały obraz także teraźniejszego stanu ojczyzny naszej, a zatem nie może pominąć fauny i flory polskiej, — nie zaniecha i w przyszłości starań w sprawie rzeczonej.

Liczba członków wzrasta stale. Wydawnictwo miesięcznika *Kosmos* pochłonęło w r. ub. znacznie więcej gotówki, niżeli w latach poprzednich, ale też wzrosło z 30 arkuszy druku na 72 arkusze. — Pozostałość kasowa wynosi gotówką 128 koron oraz 1500 koron należytości do ściągnięcia.

* * *

Towarzystwo ludoznawcze — niestety! — owionięte było dziwną obojętnością ze strony społeczeństwa. Nie dziw tedy, że — pomimo wszelkich wysiłków wydziału, członkowie zamiast powiększać, pomniejszali i tak szczupły zastęp. Bo podczas gdy z końcem r. 1908 ogólna ilość członków wynosiła 284, to z końcem 1909 roku spadła do 255. tj. do tej ilości, jaką Tow. liczyło przed 15-tu laty, w pierwszym roku swego bytowania!... Z wkładek członkowskich uzyskano 2283 kor. tak, że ogólna cyfra dochodu zamyka się 3.320 kor. 90 hal., podczas gdy wydatki wyniosły 3281 kor. 41 hal. Nic w tem smutnem sprawozdaniu kasowem nie razi tak, jak kolosalne wprost zaległości u członków, o jakich za lat, w których urząd skarbnika piastował p. dyr. Bal, ani mowy być nie mogło.

Stąd też zapewne i organ Tow. — *Lud* — ukazywał się bardzo nieregularnie, tak. że (piszemy te słowa w połowie marca) do tego czasu nie wyszedł jeszcze zeszyt czwarty za r. ub. Tymczasem, gdyby energiczniej wziąć się do dzieła tak, jak to czynił nieodżałowanej pamięci prof. Kalina, gdyby zmniejszyć koszta druku, który jest wprost luksusowy, a zarazem zająć się jednaniem członków na prowincyi, gdyby wreszcie spróbować wznowienia oddziałów prowincyonalnych, jakich za lat dawniejszych liczyło Tow. kilka w zachodniej Galicyi, niewątpliwie byt Tow. poprawiłby się bezwarunkowo. Wreszcie uwaga: dlaczego nie urządzano posiedzeń miesięcznych z odczytami? Czyliżby zobojętnienie dla Tow. doszło do granic ostatecznych? Podpisanemu, który był świadkiem lepszych czasów Tow., z pewnością wychodzą

takie uwagi z pod pióra nie bez przykrości. Tem większym obowiązkiem jest je poczynić, skoro się widzi, jak na marne idzie praca lat całych...

* * *

Lwowskie *Towarzystwo historyczne* zamknęło 23-ci rok swego istnienia wśród zwykłych warunków. Byt materyalny nie wykazuje zmiany na lepsze. To też tak samo, jak już od lat szeregu, powtarzają się w sprawozdaniu rocznem wyrazy żalu, że mimo tylokrotnych apelów nie doznało Tow. wydatniejszego poparcia, na które zasłużyło sobie bezwarunkowo, jako instytucya, która służyła zawsze wiernie nauce ojczystej, a przecież była zdana na pracę i poświęcenie jednostek. Wystarczy zaznaczyć, że tylko przez krótki przeciąg czasu, bo w latach 1894—1896 liczba członków przekroczyła nieznacznie cyfrę 300, liczba zaś prenumeratorów nie mogła w owych latach osiągnąć cyfry 100. Odtąd, tj. od lat 13-tu, liczba członków utrzymuje się ciągle na jednej i tej samej wysokości mniej więcej, a wzrasta tylko cyfra prenumeratorów tak, że ogół osób, popierających cele Tow. nie dochodzi 500. Wprawdzie co roku przybywają nowi członkowie, ale wypełniają oni tylko luki, powstające w szeregach starszych. Ogólna liczba członków wynosiła w r. ub. 259 czynnych i 3 honorowych, liczba przedpłacicieli 181. — I jakkolwiek suma dochodu utrzymuje się w granicach mniej więcej tych samych, to jednak stan budżetu Tow. przedstawia się coraz niekorzystniej, głównie z powodu ciągłych zwyżek kosztów drukarskich. Wystarczy powiedzieć, że podczas gdy w roku 1893 cena druku *Kwartalnika historycznego* wynosiła około 2000 koron, obecnie druk rocznika o tej samej objętości kosztuje 3500—3800 koron. Celem utrzymania równowagi, zaprowadzano coraz to większe oszczędności, ale i te doszły już do kresu ostatecznego tak, że r. ub. zamknięto deficytem w wysokości 1800 kor., skutkiem czego nieuchronną koniecznością okazało się podwyższenie wkładek.

Jedyną pociechą może być ta okoliczność, że bilans moralny Tow. jest znacznie lepszy od materyalnego, organ bowiem Tow. *Kwartalnik historyczny*, doznaje poparcia ze strony pracowników na polu historyi, gdyż zyskuje coraz to nowe siły. I gdy tak niedawno jeszcze wyrażano obawę, że z powodu obojętności zawodowych historyków, z powodu braku materyałów byt pisma jest poważnie zagrożony, dzisiaj — z powodu braku odpowiednich funduszów trzeba ograniczać rozmiary pisma, którego rocznik ostatni, wydany pod redakcyą

niestrudzonego d-ra Al. Semkowicza, pomieścił ogółem na 43 arkuszach druku 6 rozpraw, 9 miscellaneów, 63 recenzyi, bibliografię historyi polskiej, rozumowaną bibliografię historyi powszechnej i kronikę, na co złożyło się 37 współpracowników.

Ramy działalności Tow. rozszerzyły się w r ub. przez podjęcie nowego wydawnictwa. Dzięki subwencyi, otrzymanej z fundacyi im. Jana Towarnickiego, przystąpiono do osobnego wydawnictwa źródeł, odnoszących się do dziejów ziem ruskich, w szczególności zaś żywiołu polskiego w tych krajach. Jako tom pierwszy postanowiono wydać dzieło Bartosza Paprockiego p. t. »Panosza t. j. wysławienie panów i paniąt ziem ruskich i podolskich«. Pierwszy ten z herbarzy Paprockiego, dotąd zupełnie prawie nieznany, z powodu niezmiernej rzadkości, jest ważnem źródłem historycznem, heraldycznem i obyczajowem, a poza tem i wybitnym zabytkiem literackim. Opracowania jego podjął się dr. Eug. Barwiński, druk już rozpoczęto, tak, że w połowie br. dzieło ukaże się na półkach księgarskich. Posiedzeń naukowych odbyto pięć z następującymi odczytami: dr. Br. Pawłowski »Metternich a Czartoryski w dobie upadku powstania listopadowego«, p. J. Rutkowski »Skarbowość polska za króla Aleksandra«, pan E. Kipa »Fryderyk Gentz a Adam Czartoryski 1804—1805«, pan M. Kukiel »Sprawa organizacyi lwowskiej 1797—1802« i p. Wł. Konopczyński »Precedens wywłaszczenia w Wielkopolsce za Fryderyka II«. Dwa z tych odczytów były wydrukowane w *Kwartalniku historycznym.*

Co się tyczy sprawy IV. Zjazdu historycznego, którego termin oznaczano na r. 1910, wydział po rozważeniu jej postanowił wobec szeregu obchodów z okazyi rocznicy grunwaldzkiej odroczyć zjazd na rok 1911. Doświadczenie bowiem, wyniesione z III. Zjazdu, który był połączony z jubileuszem uniwersytetu jagiellońskiego, pouczyło, że łączenie zjazdu naukowego z wielkimi obchodami, zamiast przyciągać, odciąga uczestników, rozpraszając ich uwagę i siły. Dlatego też odroczono termin zjazdu do r. 1911, w którym Tow. będzie obchodzić 25-lecie swojego istnienia. Zjazd poświęcony będzie w pierwszym rzędzie rozpatrzeniu kwestyi, odnoszących się do historyi żywiołu polskiego na ziemiach ruskich; będzie to obrachunek, co dotychczas na tem polu zrobiono i co przedewszystkiem jeszcze wykonać należy.

Na pamiątkę rocznicy zwycięstwa grunwaldzkiego Tow. postanowiło wydać osobny zeszyt *Kwartalnika*, który ma objąć prace

i materyały, odnoszące się do stosunków polsko-krzyżackich w XV wieku. Starania około zgromadzenia materyałów trwają już od pół roku.

Co się tyczy strony finansowej — dochody doszły do sumy 6200 kor. (w tem subwencye: sejmowa 1400 kor. i ministeryalna 1200 kor.), rozchody do wysokości tej sumy, pochłaniając niemal wszystko na wydawnictwo *Kwartalnika histor.*, bo 5900 kor. Fundusz żelazny wynosił 700 kor., zapasowy zaś: w zapisie śp. Zygm. Kaczkowskiego 203 kor., śp. d-ra Jana Towarnickiego 442 kor., wydawnictwa listów A. Bielowskiego 92 kor.

Za przykładem analogicznego stowarzyszenia krakowskiego, zorganizowało grono historyków lwowskich *Towarzystwo miłośników przeszłości Lwowa.* Dzięki zapobiegliwości wydziału, w którego skład wchodzili między innymi pp.: dr. L. Kubala, dr. A. Czołowski, prof. dr. Wł. Abraham, dr. Eug. Barwiński, F. Bostel, dr. Br. Czarnik, prof. dr. L. Finkel, Fr. Jaworski i dr. Wł. Gubrynowicz, mogło Tow. — pomimo skromnych zasobów materyalnych i aż nadto znikomej ilości członków (150) — rozwinąć wcale wydatną działalność. W ciągu r. ub. bowiem ukazały się nakładem Tow. następujące publikacye: d-ra B. Pawłowskiego »Lwów w 1809 roku«, prof. d-ra Wł. Abrahama »Początki arcybiskupstwa łać. we Lwowie«, A. Krajewskiego »Lwowskie przedmieścia«, F. Jaworskiego »Nobilitacya Lwowa« oraz 2-tomowa »Dzielnica żydowska i jej zabytki« d-ra M. Balabana. Ilustracyi tym pracom nie szczędzono. Środki materyalne zaś, jakimi Tow. rozporządzało, były aż nadto skromne. Dochód bowiem z wkładek członków wynosił 2026 kor., subwencya zaś Wydziału kraj. 500 kor.; wydatki zaś na honorarya autorskie, druk »Biblioteki«, klisze i t. p. pochłonęły 2438 koron. Pomimo to Tow. wyszło obronną ręką, gdyż na rachunek r. b. pozostało jeszcze 388 kor.

* * *

Założone przed dwoma laty, głównie dzięki sprężystości i inicyatywie znanego historyka d-ra Wład. Semkowicza, *Tow. heraldyczne* rozwijało się nadspodziewanie pomyślnie, jakkolwiek zamknięcie rachunkowe wykazuje niedobór poważny wcale, bo wynoszący 720 kor. Dochody dały kwotę 2993 kor. (w tem 626 kor. tytułem darów jednorazowych i 1753 kor. z wkładek). W rubryce wydatków największa była suma 1388 kor., którą pochłonęło wydawnictwo *Miesięcznika heraldycznego.* Spodziewać się można wszelako, że z rozsprzedaży I. *Rocznika* t. j. *Elektorów*, którego druk pokrywa E. hr. Dunin-

Borkowska, pewną część niedoboru będzie można pokryć. Natomiast co do II. tomu tego wydawnictwa, zawierającego *Poczet herbów szlachty średniowiecznej*, dochodów spodziewać się nie można, gdyż wydawnictwa takie, jako zanadto specyalne, nie należą u nas do pokupnych. Członków liczyło Tow. 4 honorowych, 148 czynnych i wspierających oraz 16 korespondentów. — Rozwój *Miesięcznika heraldycznego* był widoczny. Liczba rozpraw, pomieszczonych w r. 1909 wzrosła w dwójnasób, w porównaniu z rokiem poprzednim. Nadto zaprowadzono nowe działy, a mianowicie *Inscriptiones clenodiales* i *Miscellanea*, w których pomieszczano artykuły i notaty z zakresu heraldyki.

Koło konserwatorów dla Galicyi wschodniej, którego kierownictwo naczelne spoczywało w rękach tak niezawodnego uczonego, jakim jest prof. dr. Wł. Abraham, załatwiło pomyślnie cały szereg spraw konserwatorskich, niejednokrotnie znaczenia pierwszorzędnego, jakkolwiek aż nadto często musiało protestować żarliwie przeciwko wandalizmowi na punkcie niszczenia lekkomyślnego zabytków architektury kościelnej. — Pomiędzy innemi, wydało opinię przychylną w sprawie rozszerzenia katedry obrz. orm. przez przybudowanie kaplicy i portalu, według projektu architekty p. Mączyńskiego z Krakowa, ale też równocześnie wniosło sprzeciw wobec zamierzonego zburzenia dzwonnicy i klasztoru OO. Bazylianów we Lwowie, na podstawie wyczerpujących referatów, przedłożonych przez prof. d-ra Abrahama i d-ra Al. Czołowskiego. Natomiast zatwierdziło projekt relikwiarza na szczątki bł. Jakóba Strepy, oraz plany restauracyi ogólnej i dekoracyi ścian kościoła OO. Dominikanów we Lwowie, (jakkolwiek okazało się później, że konwent odstąpił w niejednem od planów). Również zgodzono się na projekt Wydziału Krajowego w sprawie najpotrzebniejszych robór rekonstrukcyjnych zamku królewskiego na Wawelu; natomiast sprzeciwiono się zasadniczo rozebraniu ruin zamkowych w Tokach i poczyniono starania o konserwacyę ich na koszt kraju. W Trembowli odnowiono część murów fortyfikacyjnych kościoła OO. Karmelitów, zgodzono się na wymianę w katedrze lwowskiej hełmów kamiennych na metalowe (o co prasa codzienna robiła tyle wrzawy niepotrzebnej, bo zgoła niczem nieuzasadnionej!...), również zgodzono się z konieczności na rozebranie całego szeregu cerkwi drewnianych (np. w Chłopówce, Pustyniu), ale zarazem sprzeciwiono się zamierzonemu rozebraniu cennej cerkwi w Dolinie, pochodzącej z XVII. wieku. Z pomiędzy innych prac konserwatorskich nie można przemilczeć powierzenia restauracyi obrazu bitwy pod Wiedniem, znajdującego się

w kościele farnym w Żółkwi, znanemu art.-malarzowi p. Marcelemu Harasimowiczowi. Tak samo należy podnieść z tego miejsca czyn prawdziwie obywatelski, jakim było niezaprzeczenie udzielenie »Związkowi studentów architektury« kwoty 500 koron na dokonanie inwentaryzacyi cerkwi w powiatach stryjskim i drohobyckim. Wreszcie wspólnie z »Gronem dla Galicyi zachodniej«[1] przesłano projekt ustawy konserwatorskiej na ręce członka Izby Panów hr. Leona Pinińskiego, oraz poparto w Magistracie lwowskim nowy projekt ustawy budowlanej miejskiej, opracowanej przez d-ra T. Rutowskiego, w którym to projekcie interesy konserwatorskie zostały uwzględnione wszechstronnie, ale bodaj — czy nie zbyt późno?... Przyjęto wreszcie do wiadomości obszerne sprawozdanie p. Pełeńskiego z poszukiwań archeologicznych, dokonanych w Haliczu.

Wymienieliśmy, ograniczeni szczupłością miejsca, sprawy najważniejsze, nie dotknęliśmy nawet projektowanych, których jest sporo. Niepodobna jednakowoż przemilczeć właściwego ruchu naukowego, jak niemniej też wydawniczego, bo i w jednym i w drugim *Koło* brało udział wybitny. Oprócz bowiem trzech bogato ilustrowanych zeszytów *Teki konserwatorskiej*, wychodzącej zeszytami w miarę gromadzenia się materyału, dokumentuje go najlepiej długi szereg arcyważnych komunikatów, odczytanych na posiedzeniach przez prof. d-ra K. Hadaczka, a tyczących się wykopalisk przedhistorycznych na Podolu galicyjskiem, co do których prelegentowi przypada palma pierwszeństwa. Dyskusye nad tymi referatami przeciągały się niejednokrotnie bardzo długo.

* * *

Działalność *Towarzystwa literackiego im. A. Mickiewicza* była bardzo wydatna, jakkolwiek zaniechano urządzania odczytów miesięcznych, które — nawiasem dodamy — były uczęszczane bardzo nielicznie. Całą uwagę położył Zarząd, złożony z tak wybitnych uczonych jak prof. Kallenbach i Bruchnalski, na wydawnictwo *Pamiętnika literackiego*, który pod redakcyą zapobiegliwego d-ra Ludw. Bernackiego rozwija się z roku na rok coraz to świetniej. Rocznik ostatni, wydany bez zarzutu pod każdym względem, został po-

[1] Z tego miejsca składam szczerą podziękę p. dr. Wł. Kozickiemu za łaskawe udzielenie mi wyciągu obszernego z niedrukowanego sprawozdania »Koła«, co uważało za niestosowne uczynić krakowskie »Grono dla Galicyi zachodniej«.

święcony wyłącznie Słowackiemu. Ponadto ukazał się pierwszy tom »Pana Tadeusza«, w opracowaniu śp. prof. R. Pilata, a uzupełniony i wydany przez prof. W. Bruchnalskiego. — Niestosunkowo mierne było zachowanie się ogółu wobec Tow., które zdołało skupić zaledwie niespełna 400 członków i egzystencyę swoją musiało oprzeć na subwencyach. Ogólny obrót kasowy wynosił 6700 kor., w czem mieściły się subwencye: ministerstwa wyz. i ośw. 1000 kor., sejmu kraj. 800 kor., miasta Lwowa 500 kor., wreszcie dar prywatny 600 kor. prof. Ign. Chrzanowskiego z Warszawy, który od szeregu lat przychodzi Tow. rok rocznie z wydatną pomocą. Dar ostatni jest godnym podniesienia przykładem tak rzadkiej u nas ofiarności na cele naukowe jednostek, popierających stale od lat szeregu rozmaite przedsięwzięcia naukowo-wydawnicze. Tem więcej godziwe jest publiczne zaznaczenie zasług prof. Chrzanowskiego, ponoszonych stale wobec nauki polskiej.

Towarzystwo filologiczne rozwijało się wcale pomyślnie, pomimo znanej u nas antypatyi do wszelkiego rodzaju nauk filologicznych. Liczba członków zwiększała się stale. W r. ub. liczyło Tow. łącznie z Kołami krakowskiem i rzeszowskiem 2 członków honorowych i 160 zwyczajnych. W porównaniu z liczbą nauczycieli, zajętych w gimnazyach nauczaniem języków starożytnych, liczba to niestosunkowo mała. Stan finansowy przedstawiał się pomyślnie, głównie dzięki subwencyi ministeryalnej, która wynosiła kor. 600, oraz temu ciekawemu zjawisku, że ilość odbiorców czasopisma *Eos* poza gronem członków wzrasta z każdym rokiem. Czasopismo to było najżywotniejszym objawem działalności Tow. i pozostawało pod redakcyą prof. d-ra St. Witkowskiego. Artykuły i recenzye stały na pożądanej wyżynie pod względem treści i formy, jakkolwiek honorowano je bardzo skromnie ze względu na ograniczone fundusze. Ponadto przyznało Tow. 400 koron subwencyi zamierzonemu wydawnictwu filologicznemu, do którego dał inicyatywę i którem będzie kierować prof. dr. Witkowski. Będzie ono zawierać prace w języku łacińskim, przystępne zatem światu naukowemu za granicą. — Na konkurs, ogłoszony przez Tow. przed dwoma laty, celem uczczenia setnej rocznicy urodzin Słowackiego, nie nadesłano żadnej pracy. — Nie spuszczano też z oka planu stworzenia wydań autorów klasycznych z oryginalnymi takstami i polskimi wstępami i objaśnieniami. — Posiedzeń naukowych odbyło się 10, na których wypowiedziano między innymi następujące odczyty: prof. dr. A. Bednarowski »Historya przekładów tragedyi greckich w Pol-

sce i ich ocena«, prof. dr. T. Sinko »J. Słowacki jako Homeryda«, prof. dr. K. Hadaczek »Ateny Fejdiasa«, prof. E. Fiderer i I. Strycharski »Języki klasyczne w nowym planie nauki dla gimnazyów«. W Kole krakowskiem odbyły się trzy odczyty, a to: prof. d-ra L. Sternbacha »Stan wydawnictwa pieśni św. Grzegorza z Nazyanzu«, »Kilka uwag do Iliady« oraz d-ra J. Sajdaka »O Nowym Testamencie«. — Ze sprawozdania kasowego wyjmujemy następujące cyfry: dochody wynosiły 2176 kor. (w tem 1007 kor. z wkładek członków), wydatki 2077 kor. (w tem druk »Eosu« 1514 kor. i honoraryа autorskie 340 kor.). Zaległości członkowskie dosięgają blizko tysiąca koron!...

* * *

Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych wykazuje stale wprost fenomenalny, w porównaniu z latami dawniejszemi, rozrost, od chwili, w której ster rządów objął tyle zasłużony na licznych polach pracy narodowej prof. dr. Kazimierz Twardowski. O ruchliwości zarządu mówi sama przez się aż nadto pokaźna cyfra 41 posiedzeń, cyfra niebywała w życiu ogółu naszych stowarzyszeń. *Gros* wszelako pracy wzięły na siebie specyalne komisye, a mianowicie: administracyjna, prasowa, redakcyjna *Muzeum* i redakcyjna wydawnictwa *Nauka i Sztuka*. Agendy Tow. wzmagały się również na prowincyi, która przyniosła w r. ub. cztery nowe oddziały Tow.: w Brzozowie, Czortkowie, Gorlicach i Rawie, tak, że liczba oddziałów prowincyonalnych dosięgła cyfry 32. Ogólna liczba członków pomnożyła się o 109, tj. Tow. liczy obecnie 10 członków honorowych i 1737 zwyczajnych. I to jest imponujące, zwłaszcza z uwagi na czysto polski separatyzm, jaki objawia się bujnie na różnych polach działalności naszej, jak niemniej z tego względu, że »ukraińcami« mieniący się Rusini wystąpili gremialnie ze znienawidzonego »lackiego« stowarzyszenia, za co tylko Panu Bogu podziękować należy. Garstka ta bowiem Rusinów, o czem niestety — zbyt daleko posunięte w swojej lojalności Tow. N. S. W. przemilcza, była żywiołem nawskróś destrukcyjnym, wnoszącym jedynie waśń i politykomanię do stowarzyszenia nie mającego niczego wspólnego ze skoszlawioną polityką pajdokracyjną. To też słusznie i godziwie postąpiono nie odpowiadając na ujadania secesyonistów, których godłem pałka i obelga pospolita, a terenem walki świstki brukowe, czytywane przez służące podmiejskie najpodlejszego gatunku.

Celem nabrania wyobrażenia o rozległości agend *T. N. S. W.*

przejdziemy pokrótce czynności jego w kierunkach scentralizowanych. Mając na uwadze hasło szczytne, ile młodzieży należy się od szkoły, nie tylko pod względem duchowym, ale też fizycznym, wprowadzono w życie kolonię wakacyjną. Dzięki wspaniałomyślności Ignacego hr. Krasickiego, który udzielił bezinteresownie pomieszczenia, oraz ofiarności kół najwięcej zainteresowanych, mogło Tow. przyjąć do swojej kolonii w Podsobniu koło Liska 23 uczniów na 6-cio tygodniowy pobyt wakacyjny, w pięknej, a zdrowej okolicy pod opieką prof. T. Witwickiego. Postawiwszy w ten sposób pierwsze kroki na nowem, a tak doniosłem polu swojej działalności, poczyniło Tow. bezzwłocznie kroki celem rozszerzenia i zabezpieczenia kolonii na przyszłość, co zostało uwieńczone rezultatami pomyślnymi, dzięki nadzwyczajnym dochodom z przedsiębiorstw, urządzanych na ten cel. Komisye reformy szkoły średniej, zarówno krakowska, jak i lwowska, dokonały podziału pracy w ten sposób, że podczas gdy oddział lwowski ma zajmować się przedmiotami językowo-historycznymi, krakowski objął grupę matematyczno-przyrodniczą. Sprawa reformy planu nauki języka polskiego wywołała rozległą dyskusyę na łamach *Muzeum*, w której zabrali głos pomiędzy innymi tak wyborni znawcy, jak: prof. M. Mazanowski, T. Pini, Fr. Próchnicki, dr. K. Wojciechowski i dr. St. Zathey.

Ze spraw ogólnych — najważniejsza była sprawa obchodu 25-ciolecia istnienia Tow. Z tej okazyi wydano, jako dodatek do *Muzeum*, pracę d-ra A. Karbowiaka, przedstawiającą rozwój Tow. w pierwszem 25-cioleciu. Największą jednak uwagę zwrócono na świetnie przez prof. d-ra Bol. Mańkowskiego redagowane *Muzeum*, pismo przodujące wszystkim pokrewnym w całej Słowiańszczyźnie, zarówno pod względem rozległości programu, jak niemniej tężyzny artykułów. Rocznik ostatni przyniósł aż $132^{3}/_{4}$ arkusza druku, podczas gdy rocznik pierwszy (z r. 1885) liczył ich tylko 41. Dołączono do niego oprócz wymienionej pracy d-ra Karbowiaka — »nowe plany naukowe« w przekładzie d-ra M. Janellego, a nadto cenne studyum prof. d-ra J. Buzka »Rozwój stanu szkół średnich w ciągu ostatnich lat 50 (1850—1909)«, oraz szkic p. L. Jankowskiego p. t. »Lata uniwersyteckie Słowackiego«. Objętość tych dodatków jest wprost imponująca, gdyż dosięgła 30-tu arkuszy druku. Niechaj zresztą o wartości pisma, a zarazem o niepożytej zasłudze redaktora zaświadczy fakt, iż *Muzeum* wychodzi w 2000 egzemplarzy, tj. w liczbie, o jakiej nie marzył dotąd żaden z polskich miesięczników!

Administracya wydawnictw może pochwalić się nowemi wydaniami czterech podręczników szkolnych, oraz zupełnem przygotowaniem do druku kilku nowych; wydawnictwo zaś »Nauka i sztuka« cenną monografią Opieńskiego o Chopinie oraz przygotowaną do druku prof. J. Antoniewicza o Arturze Grottgerze, która niezawodnie uświetni zapoczątkowany tak szczęśliwie cykl.

Ruch naukowy w kołach prowincyonalnych był tak olbrzymi, że cząstka podana z niego zdolna jest wprawić w zdumienie wszystkich najzagorzalszych przeciwników każdej »pedagogii«, do tego stopnia rozpatrywał zagadnienia, nie mające częstokroć żadnego punktu łącznego ze znienawidzoną »pedagogią«. I tak np. między innymi mówili: w Bochni: dr. M. Dragan »O stosunku historyozofii do socyologii«, p. H. Trzpis »O stosunku szkoły do domu rodzicielskiego«, p. St Pełka »O przyczynach złego stanu moralnego naszej młodzieży«: w Jarosławiu (26 odczytów!): p. Missona »O sprawie suplenckiej«; w Jaśle: E. Eminowicz »O nocy listopadowej Wyspiańskiego«, pan Z. Klinger »Z badań nad duszą dziecka«, p. Hadała »Rys literatury chrześcijańskiej gr.-łac. w I. i II. w. po Chr.«; w Krakowie: dr. Kiernik »Nauki prawno-społeczne w szkołach średnich«, p. H. Radlińska »Nauczanie historyi ojczystej«, p. F. Łopuszański »Ruchy reformatorskie na polu szkolnictwa średniego«; we Lwowie: dr. K. Nittman «Z wędrówki po szkołach szwajcarskich«, dr. Bandrowski Br. »Wrażenia z wycieczki po szkołach niemieckich«; w Nowym Targu: ks. Biszek »O wychowaniu młodzieży«; w Rzeszowie: p. J. O. Sędzimir »Słowacki, a teorya ewolucyi«; w Samborze: p. J. Szafran »Siemieński jako tłumacz Horacego i Homera«, p. M. Skibiński »Polska w czasie wojny sukcesyjnej«; w Nowym Sączu: p. F. Wzorek »Dom a szkoła«, p. F. Drozd »Sobótka« Kochanowskiego na tle indoeuropejskiego folkloru«; w Tarnopolu: p. Fr. Vogel »O ile uczniowie szkół ludowych przychodzą przygotowani do gimnazyum« i dr. J. Mikułowicz »O zajęciach ubocznych nauczycieli«.

Obrót kasowy Zarządu Gł. T. N. S. W. wykazuje w dochodach cyfrę *36.701 koron*, administracyi *Muzeum* 19.594 kor., administracyi wydawnictw bajeczną wprost kwotę **175.986 kor.**, a funduszu żelaznego 42.281 kor, wreszcie fundacyi im. A. Mickiewicza 39.388 kor.

Niepodobna wreszcie nie zatrzymać się przy *Polskiem Muzeum Szkolnem*, odgałęzieniu *T. N. S. W.*, wyrosłem z jego pnia i potąd karmiącem się jego sokami, bodaj dlatego, że r. ub. zaznaczył się niezwykłym rozwojem tej młodej instytucyi, której pole działania

w różnych kierunkach życia szkolnego i rozwoju szkolnictwa jest bardzo obszerne, zwłaszcza gdy stało dotąd odłogiem, oczekując na pracownictwo chętnych i gorliwych. Chcąc odpowiedzieć powołaniu kulturalnemu, *P. M. Szk.* nie kroczy utartemi przez obcych drogami, żeby ustrzedz się od popadnięcia w jednostronność, czemu uległy analogiczne instytucye zagraniczne. To też nasze *Muzeum* ujmuje w miarę sił całość życia pozaszkolnego, starając się o ujęcie w karby organizacyi, utrwalenie i rozpowszechnienie samorodnych objawów różnych nowych idei. Często daje inicyatywę do nowych zagadnień i wogóle pragnie w każdej gałęzi nieoficyalnego zwłaszcza wychowania przedstawić obraz dokonanych zdobyczy i faktycznego rozwoju.

Oprócz czynności bieżących, polegających na gromadzeniu zbiorów muzealnych, porządkowaniu ich systematycznem i konserwowaniu starannem, wreszcie na ułatwianiu korzystania z tych zbiorów osobom pracującym naukowo, urządzono świetnie rozwijające się i znane w całym kraju warstaty studenckie, oraz wystawy prac szkół zawodowych w Świątnikach, Zakopanem i Kołomyi, o których powodzeniu może zaświadczyć liczba trzech tysięcy z górą zwiedzających.

Zbiory muzealne wzrastają w szybkiem tempie. W dziale bibliotecznym cyfra nowonabytków przekroczyła 900, tak, że ogólna liczba okazów dosięgła 8.356 numerów, których katalog, przeznaczony do druku, jest już na ukończeniu. Wśród darów zeszłorocznych większa część przypada na dzieła treści pedagogicznej i dydaktycznej, drogą zaś zakupna nabyto kilkanaście starych publikacyi, dotyczących Komisyi Edukacyi Narodowej, liceum krzemienieckiego i w ogólności szkół polskich z doby Królestwa Polskiego przed powstaniem listopadowem. Dział map i atlasów został ostatecznie uporządkowany, równie z działem monet i pieczęci. Świetnie rozwijają się kollekcye fotograficzne, tabel statystycznych, rękopiśmienna, wreszcie dotycząca hygieny szkolnej. Najwspanialej wszelako przedstawia się zbiór programów szkolnych oraz sprawozdań stowarzyszeń oświatowych, równie bowiem obfitego kompletu nie posiada żadna z tylu bibliotek polskich! Jeśli do tego dodamy, że ogół kosztów, wydatkowanych w r. ub. na tę instytucyę wynosił zaledwie 5259 kor. — możemy przyznać bez pochlebstwa, iż *T. N. S. W.* postawiło sobie stworzeniem tego archiwum — *monumenntum aere perenius!...*

Jakkolwiek pod względem wieku *Polskie Towarzystwo pedagogiczne* we Lwowie liczy się do weteranów, przecież w działalności swojej utrzymuje nadal rzeźkość młodzieńczą i godną pozazdro-

szczenia ruchliwość we wszystkich działach, niejednokrotnie biegunowo różniących się pomiędzy sobą. Na równi bowiem z celami naukowymi uprawia Tow. ped. cele praktyczne. Stąd też w łonie zarządu muszą istnieć specyalnym kwestyom poświęcone komisye, a mianowicie: redakcyjna, wydawnicza, petycyjna, lustracyjna, stypendyalna itp. Nic w tem dziwnego, skoro zważymy, że Tow. liczy 40 kilka oddziałów prowincyonalnych z 2700 członków.

W myśl programu, uchwalonego przed dwoma laty, działalność zarządu głównego była skierowana w dwu zasadniczych kierunkach, a mianowicie: 1. w kierunku podniesienia wychowania narodowego, 2. w kierunku polepszenia i obrony stosunków służbowych stanu nauczycielskiego. Przystępując do zrealizowania powyższych postulatów, zdawano sobie jasno sprawę z trudności i przeszkód, jakie przeprowadzenie ich napotka w ciałach dotyczących, zwłaszcza, gdy problemat kwestyi szkolnej w kraju naszym dotychczas nie został należycie odczuty i oceniony przez całe społeczeństwo. Sprawami oświatowemi interesowano się na ogół mało, pomimo tyloletniej pracy nauczycielstwa. Trzeba tedy było rozpocząć rzecz całą od urabiania opinii przychylnej. W tym celu zapraszano na posiedzenia zarządu głównego posłów sejmowych, oraz odbyto ankietę obywatelską, przedstawiając jej najważniejsze zagadnienia z dziedziny szkolnictwa ludowego. Z pośród spraw zasadniczych, o których ankieta wypowiedziała się, wymienić należy: żądanie unarodowienia szkoły ludowej, zniesienia dzisiejszych typów szkolnych, usunięcia języka niemieckiego z planów szkół ludowych, ułożenia podręczników szkolnych zgodnie z zasadami wychowania narodowego, pogłębienia wykształcenia ogólnego kandydatów nauczycielskich, wreszcie tworzenia szkół mniejszości narodowych w Galicyi wschodniej, reformy planów naukowych i zniesienia monopolu w wydawnictwie książek szkolnych dla szkół ludowych.

Koronę wszelako działalności zarządu głównego stanowiło zorganizowanie K o n g r e s u p e d a g o g i c z n e g o z całej Polski, który obradował świetnie w sześciu sekcyach specyalnych, a to: ogólnooświatowej, wychowania dziewcząt, szkolnictwa średniego i stowarzyszeń oświatowych. Obradom tym poświęciły dość miejsca pisma codzienne.

Sprawa wychowania fizycznego młodzieży upostaciowała się najrealniej w kolonii wakacyjnej chłopców w Hucie korostowskiej obok Skolego, istniejącej już 26 lat, w ciągu których blizko cztery tysiące młodzieży mogło zaczerpnąć, po całorocznej pracy szkol-

nej, świeżych sił na łonie przyrody górskiej. Rok rocznie dokonywuje śmierć bogatego żniwa wśród dziatwy naszej jedynie dlatego, że nie zdobyliśmy się dotąd na taki rozwój społeczny, który dozwalałby młodym pokoleniom rozwijać się normalnie. Bogu dzięki, liczne stowarzyszenia podjęły już walkę z degeneracyą fizyczną społeczeństwa. Gniazda sokole, Tow. zabaw ruchowych, korpusy wakacyjne, parki Jordanowskie, warstaty studenckie mogą wykazać się coraz wydatniejszymi rezultatami usiłowań swoich. Pomimo to wszystko jednak sprawa kolonii wakacyjnych nie stanęła jeszcze na wysokości rozwoju, ale domaga się ustawicznie nowych usiłowań i nowych placówek. Kolonia wakacyjna Tow. pedagogicznego zaradzić stara się bodaj w części tym niedomaganiom, a że skutki pobytu w niej są widoczne, to można było stwierdzić przy końcu sezonu wakacyjnego, kiedy widziało się, że na niejednem obliczu wyblakłem wykwita rumieniec zdrowia.

W redagowaniu organu Tow. *Szkoły* zaszła zmiana zasadnicza. Dotychczasowy tygodnik został przekształcony na miesięcznik, bez zmiany wszelako objętości pisma. Obawy, jakie co do tego przekształcenia żywiono, okazały się płonne, zyskały bowiem na niem zarówno interesa nauczycielstwa, jak też Tow. ped. Obok *Szkoły* wydawano *Praktykę szkolną*, poświęconą wyłącznie metodyce poszczególnych przedmiotów naukowych. *Praktyka* okazała się znakomitym środkiem pomocniczym dla nauczycieli początkujących, którzy znajdują w niej rady, podane przez nauczycieli wytrawnych, jak należy uczyć tego lub innego przedmiotu szkolnego.

Życie w oddziałach, których ogółem liczyło Tow. 43, rozwijało się wcale pomyślnie. Do najczynniejszych należały oddziały: buczacki, gródecki, kołomyjski, kosowski, łańcucki, pilzneński, przemyski, samborski, sokalski i tarnopolski. Wiece oświatowe urządziły oddziały we Lwowie, Chrzanowie, Kosowie, Łańcucie i w Rzeszowie, jak niemniej szereg zebrań naukowych dla członków i pogadanki dla szerszych warstw społeczeństwa. Przy wielu oddziałach istniały biblioteki, niektóre wreszcie utrzymywały swojem staraniem prywatne seminarya nauczycielskie, szkoły zręczności (Kraków, Łańcut) i t. d.

(C. d. n.)

Dr. St. Zdziarski.

Druk ukończono 7 września 1910.